

ROBERT
GRAVES
WYSPY SZALEŃSTWA



WSPY SZALEŃSTWA to barwna powieść historyczna Roberta Graves'a ukazująca ekspansję Hiszpanów na nie zbadane dotąd obszary Oceanu Spokojnego. Zacięta rywalizacja Hiszpanii i Anglii o dominację na morzach, doprowadziła do odkrycia wielu wysp na Morzach Południowych i zbliżyła żeglarzy hiszpańskich do brzegów Australii.

Porywająco napisana powieść ukazuje początek tego podboju, odkrycie tytułowych Wysp Szaleństwa, czyli Wysp Salomona i jego konsekwencje. Wartka narracja i bogata galeria błyskotliwie opisanych postaci sprawiają, że lektura tej powieści jest wielką przyjemnością dla czytelników.

Tadeusz Górny
KSIĄŻKI Z GÓRNEJ PÓLKI - TVP3

Cena 34,00 zł

ISBN 83-89700-08-5



9 788389 700087 >

ROBERT GRAVES

WYSPY SZALEŃSTWA

Przełożyła

AGNIESZKA GLINCZANKA

POLSKI INSTYTUT WYDAWNICZY

Tytuł oryginału angielskiego „THE ISLES OF UNWISDOM”

Wiersze tłumaczyła Ludmiła Mariańska

Projekt graficzny Marta Mielczarska

© Copyright by The Trustees of the Robert Graves Copyright Trust

© Copyright for Polish translation by Agnieszka Glinczanka

© Copyright for Polish edition by Polski Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2004

PRINTED IN POLAND

Polski Instytut Wydawniczy, Warszawa 2004 r.

e-mail: piw@strefaksiążki.net

www.StrefaKsiążki.net

Dystrybucja: „L&L” Sp, z o.o., 80-445 Gdańsk,

ul. Kościuszki 38/3, e-mail: L&L@softel.gda.pl,

tel. (058) 520 35 57

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp, z o.o.,

01-217 Warszawa, ul. Kolejowa 15/17,

e-mail: biuro@olesiejuk.pl,

tel./faks (022) 631 48 32

Skład: Studio Wydawniczo-Typograficzne „Typoscript”

Andrzej Płoch, 53-006 Wrocław

ul. Wojszycka 15

Druk i oprawa: Drukarnia Della, 50-212 Wrocław, ul. Otwarta 10a

ISBN 83-89700-08-5

UCZESTNICY WYPRAWY

WYMIENIENI Z NAZWISKA

WOJSKOWI

Don **Alwar de Mendaña y Castro**, generał, głównodowodzący wyprawy, na pokładzie galeonu „San Geronimo”.

Doña **Izabela Barreta**, jego żona

Don **Lope de Vega**, admirał jego zastępca na pokładzie galeonu „Santa Ysabel”

Doña **Mariana Barreta de Castro**, jego żona, siostra doni Izabeli

Pułkownik don **Pedro Merino de Manrique**, dowódca sił wojskowych

Major don **Luis Moran**, jego zastępca

Kapitan don **Felipe Corzo**, właściciel i dowódca galeoty „San Felipe”

Kapitan don **Alonso de Leyva**, dowódca fregaty „Santa Catalina”

Kapitan don **Manuel Lopez**, kapitan artylerii

Doña Maria Ponce, jego żona

Kapitan don **Lorenzo Barreta**, dowódca kompanii, najstarszy brat doni Izabeli

Kapitan don **Diego de Vera**, adiutant

Chorąży królewski don **Toribio de Bedeterra**

Chorąży don **Diego Barreta**, drugi brat doni Izabeli

Chorąży don **Juan de Buitrago**

Doña **Luiza Geronimo**, jego żona

Chorąży don Tomas Ampuero
 Chorąży don Jacinto Merino, bratanek pułkownika
 Chorąży don Diego de Torres
 Sierżant Jaime Gallardo
 Sierżant Dimas
 Sierżant Luis Andrada
 Juan de la Roca, ordynans kapitana Barreto
 Raimundo, ordynans chorążego de Buitrago
 Gil Mozo, ordynans chorążego de Ampuero
 Salvador Aleman
 Sebastian Lejia
 Federico Salas
 Miguel Geronimo, z żoną i siedmiorgiem }
 dzieci } żołnierze-
 Melchior Garcia } -osadnicy
 Miguel Cierva }
 Juarez Mendés }
 Matia Pineto } weterani poprzedniej wyprawy

MARYNARZE

Kapitan don Pedro Fernandez z Quiros, główny
 nawigator wyprawy i kapitan galeonu „San Geronimo”
 Don Marcos Marin, bosman na „San Geronimo”
 Damian z Walencji, bosman-mat
 Don Gaspar Iturbe, oficer rachunkowy
 Jaume Bonet, szafarz wody
 Don Martin Groc, nawigator na „San Felipe”
 Don Francisco Frau, nawigator na „Santa Catalina”

DUCHOWNI

Ksiądz licencjat Juan de la Espinosa, wikariusz
 Ksiądz Antonio de Serpa, jego kapelan
 Ksiądz Joaquin, kapłan na „Santa Ysabel”
 Juan Leal, braciszek zakonny, pielęgniarz chorych

INNI

Don Luis Barreto, najmłodszy brat doni Izabeli

Don Miguel Llano, sekretarz generała

Don Andrés Serrano, jego pomocnik

Don Juan de la Isla, kupiec-spekulant, z żoną

Doña Maruja de la Isla, jego córka

Don Andrés Castillo }
Don Mariano Castillo } kupcy-spekulanci

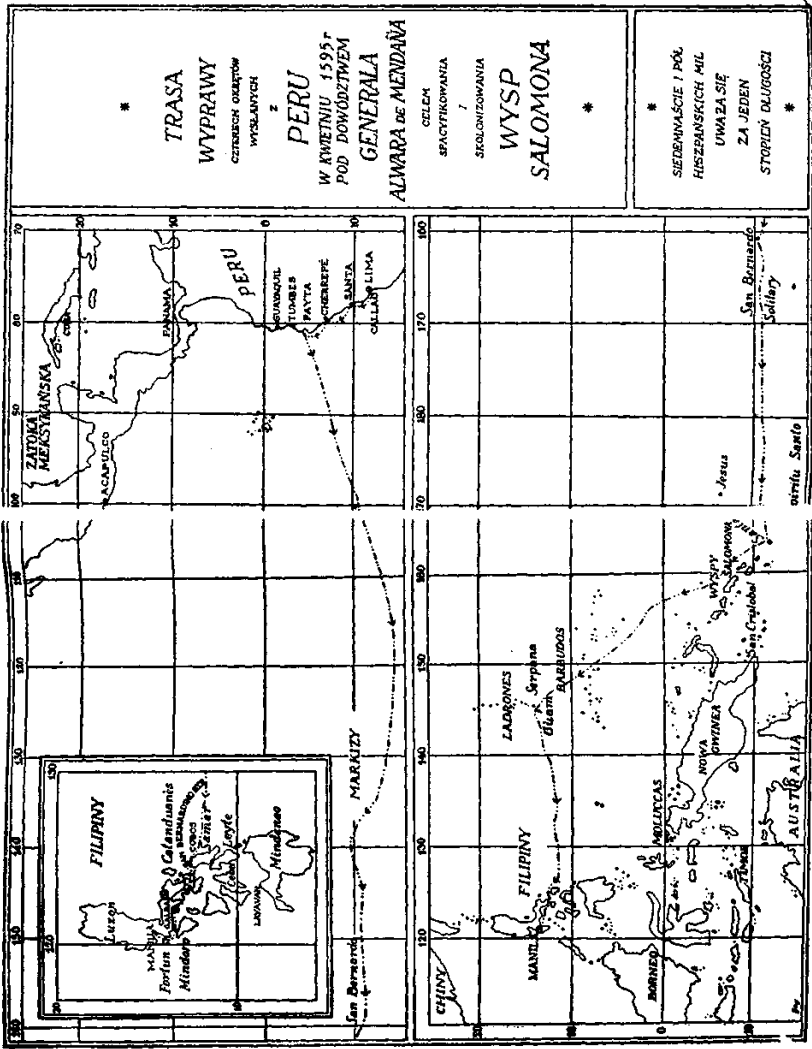
Elvira Delcano }
Belita z Jerez } służebne doni Izabeli, Hiszpanki

Pancza, jej niższa służebna, Indianka

Pacito, paź pułkownika

Leona Benitel, jego praczka

Myn, Murzyn generała, weteran poprzedniej wyprawy.



*

TRASA
WYPRAWY
CZTERECH OKRĘTÓW
WYSŁANYCH

Z
PERU

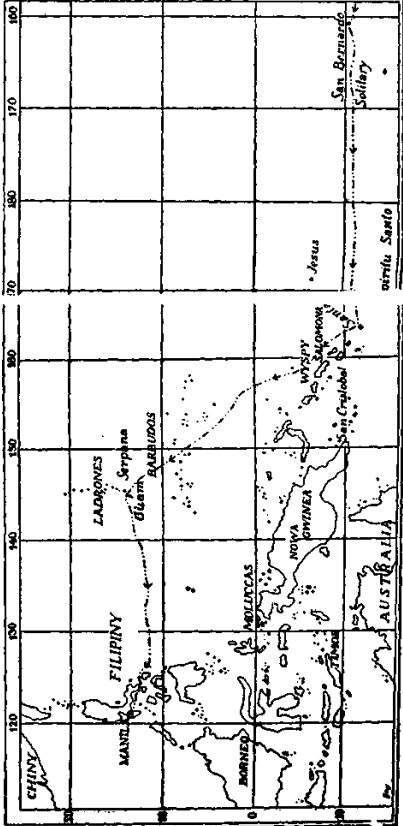
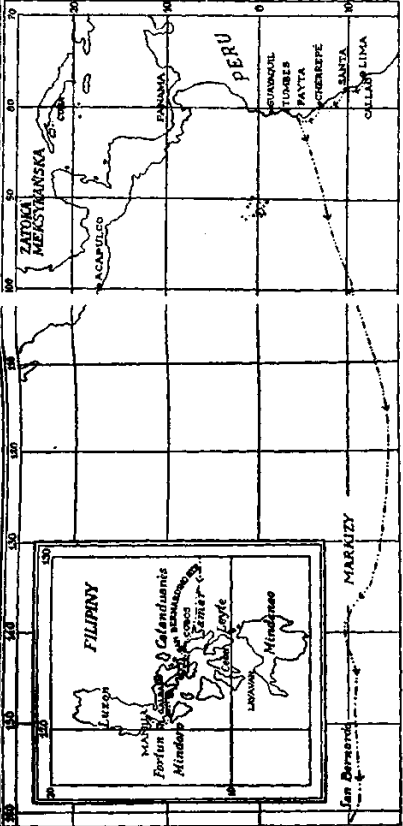
W KWIETNIU 1595 r
POD DOWÓDZTWEM
GENERALA
ALVARA DE MENDAÑA

CELEM
SPACYFIKOWANIA
I
SEKOLONIZOWANIA

WYSP
SALOMONA

*

*
SIETERNIĄSCIE I PÓŁ
HISZPAŃSKICH MİL
UMIARZA SIĘ
ZA JEDEŃ
STOPIEŃ DŁUGOŚCI
*



...La tragedia de las islas donde faltó Salomon: esto es, la prudencia. (Tragedia wysp, na których nie znaleziono Salomona, to jest mądrości.)

Varios diarios de los viajes a la mar del Sury descubrimientos de las Islas de Salomon, las Marquesas, las de Santa Cruz, etc.... 1606.

SŁOWO WSTĘPNE

Większość moich czytelników zdziwi się - podobnie jak ja się zdziwiłem na wieść, że Hiszpanie próbowali odkryć Australię i zasiedlić Wyspy Mórz Południowych na całe pokolenie przedtem, nim Ojcowie Pielgrzymi wylądowali na Plymouth Rock. Wyprawa ta, choć nie osiągnęła swoich głównych celów, zasługuje na bliższe poznanie, ponieważ w jej trakcie odkryte zostały Wyspy Markizy i południowa grupa Wysp Salomona, a także dlatego, że po śmierci głównodowodzącego, generała Alwara de Mendaña, jego młoda żona doña Izabela Barreto¹ objęła dowództwo flotylli i sprawowała nad nią absolutną władzę, przekazaną jej przez męża - jedyny tego rodzaju wypadek w nowożytnych dziejach żeglugi morskiej. Jednakże w tej historii zainteresowało mnie najbardziej jej znaczenie dla dziejów kolonizacji hiszpańskiej. Kiedy - jak na Filipinach - brał górę duch misyjny, krajowcy na dalszą metę odnosili korzyść mimo korupcji rządu; gdy - jak w Nowym Świecie - drogocenne metale wzniecały żądę podboju, cierpieli okrutnie; lecz gdy - jak w tym przypadku - zachodził bezwzględny konflikt pobudek, wówczas popadali bez ratunku (by użyć hiszpańskiego zwrotu) „w szpony tego, kto pierwszy ich ucapił”.

¹ Wówczas kobiety nie przybierały jeszcze na ogół męzowskiego nazwiska, Cervantes w *Don Kichocie* (1605) wymienia jako nowość, że żona Sancho Pansy, Teresa, uczyniła to, zwyczaj ten bowiem przeszedł właśnie z Francji do Manczy. Izabela Barrete) nawet na urzędowych dokumentach nie dołączała do swojego podpisu uzupełnienia „de Mendana”.

Historia ta wyjaśnia też, dlaczego Anglia, mająca daleko mniejszą flotę, zdołała wydrzeć Hiszpanii panowanie nad morzami: organizacja jej sił zbrojnych była mniej sztywna. Angielski galeon niewiele się różnił od hiszpańskiego i był podobnie uzbrojony; jednakże hiszpańscy marynarze, choć dobrze znali swoje rzemiosło, tylko obsługiwali okręt, lecz na nim nie walczyli, podczas gdy żołnierze - najbardziej zdyscyplinowani żołnierze na świecie - walczyli, lecz nie zniżali się do zajęć pokładowych. Oficerowie marynarki i wojskowi prawie zawsze wodzili się za łby, a im większy okręt, tym większa była wzajemna nieufność i zamieszanie. W angielskiej flocie wojennej sztuka nawigacji i sztuka wojenna ściśle się z sobą wiązały, co wiodło do szczególnego postępu w dziedzinie sztuki artyleryjskiej; ci sami ludzie manewrowali żaglami i odpierali wroga próbującego wedrzeć się na pokład, a do rywalizacji dochodziło jedynie pomiędzy dowódcami bratnich okrętów.

Nie byłem zmuszony polegać na angielskich tłumaczeniach odnośnych dokumentów. Pierwsze sprawozdanie z wyprawy pojawiło się w roku 1616, kiedy Suarez de Figeroa włączył starannie okrojoną wersję do swojej biografii markiza de Cañete, który patronował wyprawie i dopiero w 1876 r. don Justo Zaragoza opublikował w Madrycie oryginalne anonimowe sprawozdanie, z którego czerpał Figeroa. Jedyny - jak się zdaje - angielski przekład tekstu Zaragozy ukazał się w r. 1903 pod tytułem *Voyages of Pedro Fernandez de Quiros, 1595-1606*. Tłumaczem i wydawcą był ówczesny przewodniczący Hakluyt Society, sir Clements Markham, który posiadał wielki zasób wiadomości z zakresu geografii i żeglugi morskiej, ale język hiszpański znał tak słabo, że musiał odgadywać znaczenie niemal co drugiego zdania i zazwyczaj odgadywał je błędnie. Typowym tego przykładem jest fragment ustępu o głodzie pod koniec podróży: *Todo el bien vino junto*, „Całe dobre wino pojawiło się także”, należący prawie do tej samej kategorii co *Le peuple*

*ému répondit à Marat*¹, „Purpurowe *emu* ponownie zniosło jajko Maratowi.” W rzeczywistości ludziom konającym z pragnienia żadnego wina nie podawano, a właściwy sens *passusu*, który dosłownie znaczy: „Wszystko, co dobre, przyszło razem”, jest taki, że ogólne położenie poprawiło się nagle, gdy „San Geronimo” zbliżył się do wyspy Corregidor u wejścia do Zatoki Manilskiej.

¹ W rzeczywistości zwrot ten znaczy: „Wzruszony lud odpowiedział Maratowi” (fr.).

Jednakże nawet w dokładnym tłumaczeniu owo oryginalne sprawozdanie, w dużej mierze inspirowane przez Pedra Fernandesa z Quiros, głównego nawigatora wyprawy, jest lekturą trudną. Do jego zrozumienia konieczna jest dość wszechstronna znajomość całokształtu stosunków panujących ówczesnie w Hiszpanii i hiszpańskiej Ameryce, znajomość nawigacji z końca szesnastego wieku oraz obyczajów krajowców Polinezji, Melanezji i Mikronezji. Ponadto autor, nie chcąc rozwodzić się nad niektórymi bardziej kompromitującymi epizodami, nieraz ucieka się do tego rodzaju sprawozdań:

Dziesięciu ludzi posłano na brzeg po zakup żywności. Doszło do tego, że don Diego kazał wystrzelić z hakownicy do majtka, który wdrapał się na bezanmaszt. Główny nawigator doradził doni Izabeli, iż w jej interesie ze wszech miar leży, aby podróż zakończyła się w spokoju. Głupia to była sprawa, toteż więcej o niej nie powiem.

Albo:

Nie było to jedyne fałszywe świadectwo, jakie złożyli malkontenci, gdyż i o innej osobie dopuszczono się kłamstwa. Do jednego z nich powiedział przyjaciel...

Jakie to było kłamstwo, kto się go dopuścił i kim był ów przyjaciel, musimy się domyślać z aluzji rzuconych mimochodem gdzie indziej.

Starąłem się w miarę możliwości zrekonstruować prawdziwą historię wyprawy, zmyślając tyle tylko, ile było konieczne dla nadania jej ciągłości, a choć malując przyczyny napiętych stosunków pomiędzy donią Izabelą a głównym nawigatorem wkraczam na niebezpieczny grunt, coś bardzo podobnego do mojej wersji wydarzeń musiało się naprawdę przytrafić. Religijne przypowieści wikariusza są autentyczne, choć skondensowane; nie musiałem też wymyślać imion nawet dla służebnych doni Izabeli ani dla dzieci osadnika Miguela Geronimo, gdyż dr Otto Kubler odnalazł niedawno prawdziwe ich imiona w sewilskim archiwum.

Muszę tu wyrazić podziękowanie doktorowi Kublerowi, który pierwszy zwrócił moją uwagę na tę historię i był łaskaw sprawdzić pierwsze rozdziały; don Juliowi Caro za wypożyczenie egzemplarza bardzo dziś rzadkiej książki Zaragozy *Historia del descubrimiento de las regiones Austriales*, która ocalała ze zniszczenia jego biblioteki podczas hiszpańskiej wojny domowej; Robertowi Pring-Millowi za badania przeprowadzone w Oksfordzie; mojemu sąsiadowi don Gasparowi Sabaterowi za oddanie mi do dyspozycji encyklopedii hiszpańskiej; Gregory Robinsonowi, wybitnemu znawcy żeglugi czasów elżbietańskich, za korektę moich marynistycznych omyłek oraz Kennethowi Gay za stałą pomoc we wszystkich stadiach pracy nad powieścią.

R.G.

Deyà

Majorka

1949.

ROZDZIAŁ I

ŚLEPA DZIEWCZYNA Z PANAMY

Na widzialnym-nieboskłonie - który (według moich uczonych sewilskich przyjaciół) jest tylko jednym z ośmiu wspaniałych firmamentów, siedem zaś pozostałych przeznaczonych jest tylko dla świętych, męczenników i służących im aniołów - Bóg umieścił wiele tysięcy gwiazd. Niektóre z nich są wielkie, inne średnich rozmiarów, jeszcze inne tak małe, że tylko najbystrzejsze oko dostrzec je może w najjaśniejsze noce. A przecież, jak zapewnił mnie kiedyś Fray Junípero z Kadyksu, który w dzieciństwie wpajał mi nauki Kościoła katolickiego, każda z nich opatrzona jest numerem i zapisana i każda migoce zgodnie z określonym przez Boga przeznaczeniem.

- Gdyby bodaj najmniejsza z nich zgasła, mój synu - powiedział - wprędce zaobserwowano by na ziemi jakiś odpowiadający temu ubytek.

Kłęcząc na zimnej posadzce zakrystii przed obrazem świętego Franciszka zapytałem z uszanowaniem:

- Ojcze, a jaki morał powinniśmy z tego wysnuć?

- Mały Andresie, synu mój - odparł - morał ten jest równie oczywisty jak nos na twojej twarzy. Najdrobniejsze nawet wydarzenie, według wszelkich pozorów całkowicie i na zawsze zakończone, czy wynika ono z dobrej, czy złej intencji, musi we właściwym czasie wyrzucić skutek na ludziach, którzy w nie byli wmieszani: skutek zgodny

z jakością intencji, jak winne grona są owocem winorośli, a piach ulatuje z ostu, przysmaku osłów.

Filozoficzna doktryna Fray Junípera upamiętniła mi się równie jak surowość jego dyscypliny, i z tym szczególnym wnioskiem zgadzałem się zawsze całkowicie. Można na przykład powiedzieć, że wszystkie kłopoty, które zdarzyły się w czasie sławnej i strasznej podróży po Morzach Południowych, stanowiącej przedmiot niniejszej historii, wynikły - i rozprzestrzeniły się niby puch ostowy niesiony na wietrze - z opowieści o ślepej dziewczynie z Panamy. Opowieść tę, choć grubą i niedelikatną, przytoczę zatem w całości tak, jak ją słyszałem, nie po to zaiste, by was zabawić (niech święci Pańscy bronią!), lecz - mocą jednego z tych paradoksów, w których tak się lubują i które tak eksploatują uczeni scholastycy - ku waszemu moralnemu zbudowaniu.

Rankiem czwartego kwietnia roku pańskiego 1595 w Callao, porcie Limy, gdzie rezydują wicekrólowie Peru, stałem z dwoma towarzyszami między forkasztem a pokładem szańcowym naszego okrętu flagowego „San Geronimo”, pięknego galeonu o wyporności stu pięćdziesięciu ton, a z czubków masztów nad nami dwa królewskie sztandary Hiszpanii i porporzec generała don Alwara de Mendaña y Castro łopotały dzielnie na lądowej bryzie. Sławny ten badacz nieznanych ziem, członek szlacheckiego rodu galicyjskiego i bratanek byłego wielkorządcy Peru, mianowany został wodzem naszej wyprawy na mocy patentu królewskiego podpisanego przez samego króla Filipa II. Celem naszej podróży były Wyspy Salomona, które don Alwar sam odkrył dwadzieścia siedem lat wcześniej, lecz których nikt od tego czasu nie zwiedził; naszym zadaniem było skolonizować je. Towarzyszami moimi byli waleczny chorąży Juan de Buitrago, okryty bliznami i posiwiwały weteran wielu wojen, oraz wysoki, garbatonosy, łagodny w obejściu stary Marcos Marin, bosman pochodzący z Aragonii.

- Wielka to prawda, don Marcosie - mówił chorąży - że niektóre ko-biety nie dadzą się odwieść od celu, choćbyś nie wiem jak próbował.

Pamiętam, jak będąc młodym żołnierzem w Panamie, stanąłem na kwaterze u pewnego kupca z Santanderu, handlującego hebanem, bardzo szanownego obywatela, którego nazwiska już zapomniałem... Wkrótce po moim przybyciu, gdy zdjąwszy wierzchnie odzienie siedzieliśmy sobie i popijali, ozwał się do mnie z powagą:

„Don Juanie, czy zechcesz wyświadczyć mi pewną łaskę?”

„Jestem całkowicie do twojej dyspozycji, gospodarzu” - odpowiedziałem.

„Rzecz jest taka. Na poddaszu tego domu mieszka piękna dziewczyna, sierota, która dni całe spędza na gręplowaniu i przędzeniu wełny. Bardzo jest pilna i wydajna w pracy, ale nic innego robić nie może, ponieważ biedaczka jest niewidoma. Pragnie ona gorąco dotknąć twego oręża i porozmawiać z tobą, gdyż dziad jej, który ją wychował, służył niegdyś pod wielkim Pizarrem i choć panna jest wzorem pobożności, zawsze ciekawa jest opowiadań o żołnierzach i życiu obozowym.”

„Odmówić niewidomej sierocie paru minut z mojego długiego dnia byłoby zaiste nieludzko - powiedziałem. - Gotów jestem spełnić jej wolę choćby w tej chwili, jeśli ci to dogadza. - Mówiąc to wstałem, zgarnąłem w ręce swój rysz tunek i rzekłem mu: - Prowadź!”

Poszliśmy na górę do izby na poddaszu, gdzie dziewczyna siedziała przędąc przy otwartym oknie; i piękna była rzeczywiście, na jedenaście tysięcy dziewic świętej Urszuli, ze swoją bladą cerą i czołem szerokim jak u Madonny, z lśniącymi włosami, smukłą talią i krągłymi piersiami. Mój gospodarz zapoznał nas ze sobą i wymieniliśmy parę grzeczności oraz nic nie znaczących słówek, a gdy niebawem odwołano go do jakichś interesów, ona i ja pozostaliśmy sami.

Otóż więc naprzód poprosiła mnie o pozwolenie zbadania mojej zbroi; podałem jej zatem mój hełm, pancerz i taszki, a ona obstukała je paznokciem i pogładziła palcami, ogromnie podziwiając ich lekkość i twardość. Następnie sięgnęła po moją wenecką pochwę i obmacała ją

starannie palcami od końca do końca; wydała okrzyk zachwytu nad jej srebrnymi ozdobami, które istotnie są misterne i ładne, jak możecie przekonać się sami, gdyż tu oto jest też sama pochwa. Następnie wyciągnęła z niej szpadę na dłoń czy dwie i drobnym swym kciukiem wypróbowała ostrze. „Ostre jak brzytwa!” - wykrzyknęła, po czym koniuszkami palców powiodła po pięknej toledańskiej inkrustacji na płaszczyźnie klingi. Potem przysła kolej na meksykański kordzik i jego miedzianą pochwę nabijaną turkusami. Potem na mój wierny arkabuz i jego lont, na róg z prochem i torbę z kulami. Wszystko sprawiało tej biednej ślepej dziewczynie niewysłowioną przyjemność. Ale potem, potem...

Don Juan urwał i jego twarz, dotąd poważna, przybrała zabawny wyraz ni to tryumfu, ni zawstydzenia.

- Ale potem? - przynaglił go bosman.

- Ale potem... „Czy to wszystko, żołnierzu?” - spytała tonem niezadowolenia.

„Zaprawdę wszystko, córko - odrzekłem. - Choć przykro mi bardzo sprawić ci zawód, nic więcej nie posiadam.”

Ale niektórych kobiet nie odwiedziesz od celu, choćbyś nie wiem jak próbował. Podeszła do mnie blisko i jej skwapliwe ręce obmacały mnie całego, zwinne jak u neapolitańskiego złodziejaska i bezlitosne jak u weneckiego kapitana statku, gdy obszukuje pojmanego Turka, czy nie ma na sobie ukrytych klejnotów. I niebawem pochwyliła coś mocno.

„Aba! - zawołała - mój dzielny wojaku, a cóż to za ukryta broń?”

„Wyjmij, panno, rączki ze spiżarki! - powiedziałem. - Nie żadna to broń, jeno kawał przedniej bolońskiej kiełbasy, zawieszony na haku na czarną godzinę.”

„Zawieszony? - wykrzyknęła zdziwiona. - Ależ to wisi do góry nogami! - A potem tonem głębokiego wyrzutu: - Ach, szlachetny don Juanie, czyżbyś chciał okłamywać biedną ślepą dziewczynę, i do tego sierotę?”

Intencji tej opowieści w żaden sposób nie można określić jako dobrą, toteż jej skutek był zgoła opłakany. W chwili gdy chorąży doszedł do tego krytycznego punktu ścisząc głos, ponieważ zbliżał się ku nam właśnie ksiądz Antonio de Serpa - bystrooki kapelan wikariusza - do burty okrętu dobiła łódź i pułkownik don Pedro Merino de Manrique ciężko wgramolił się na statek. Bosman i ja tak byliśmy pochłonięci opowieścią, że nie odwróciliśmy się nawet, a zważywszy na śpiewy i krzyki majtków oraz postukiwania dwóch ciesielskich młotków zrozumiałe było, że przybycie pułkownika uszło naszej uwagi; przypuszczaliśmy, że to przyплыnęła łódź jakiegoś handlarza owocami albo może szalupa wysłana po odbiór bielizny z prania.

Pułkownik wszedł na pokład zataczając się, w trzech czwartych pijany cziczą, kukurydzaną wódką peruwiańską - było to bowiem święto Matki Boskiej Radosnej. Pośliznął się na kałuży oliwy, szpada zaplątała mu się między nogami i runął głową naprzód prosto w odpływnik, dokładnie w tej samej sekundzie, gdy bosman, choć szacowny starzec, zarechotał ochryplym śmiechem z opowieści chorążego. Ja śmiałem się także do łez, gdyż byłem młody, wesoły i nie tak już pobożny jak wówczas, kiedy uczyłem się u Fray Junípera.

- Rany boskie! - zawołał pułkownik gramoląc się na nogi przy pomocy relingu i ciężkiej okutej laski, którą jakoś utrzymał w garści. - Rany boskie!

Bosman wykrztusił, z trudem łapiąc oddech:

- Do góry nogami, na cudowną Panienkę z Pilar, do góry nogami! A to wspaniałe! Cha! Cha! Cha!

Spróbowałem oddalić się po cichu. Prawdę mówiąc, nie miałem prawa bawić się ploteczkami w tak pracowity ranek, ledwo na trzy dni przed naszym odjazdem. Miejsce moje było pod pokładem, przy sprawdzaniu zapasów układanych w ładowni: tego przedpołudnia miało zwieść na statek pięćset beczek solonej wołowiny, cztery tony suszcharów, tonę grochu, pięćdziesiąt butli octu i półtony suszonej fasoli. Ale pułkownik ryknął na mnie, żebym wracał.

- Ty tam, puciołowaty! Tyś też śmiał się ze mnie, gdym się pośliznął i upadł! - krzyczał. - Wynieść się chyłkiem i zostawić towarzyszy, by na nich skrupił się mój gniew, to zaiste postępek tchórza. Szczurem jesteś, drabie, czy mężczyzną?

Ściągnąłem z głowy kapeluszyk z piórami i zamiotłem nim po ziemi w głębokim ukłonie.

- O panie - rzekłem - nie jestem żadnym szczurem, jestem pomocnikiem sekretarza generała i twoim najpokorniejszym sługą. Ale obawiam się, panie, żeś złapał niewłaściwego byka za rogi. Śmiałem się z ucieszonej historii, którą opowiadał mi chorąży, a że nie zauważyłem upadku waszej dostojności, więc nie miałem okazji - jako też nigdy bym się nie poważył - śmiać się z waszej dostojności.

Chorąży poparł mnie śmiało:

- Co Andres Serrano powiedział waszej dostojności, jest szczerą prawdą, a gdyby było inaczej, natychmiast bym stanął w obronie czci waszej dostojności.

Pułkownik spojrzął z wściekłością na nas obu i z kolei jął piorunować bosmana, którego twarz była jeszcze cała w uśmiechach.

- A co do ciebie, ty aragoński pożeracz ślimaków, ty chwiejąca się, zgniła drabino, czy także zaprzeczysz, że to ze mnie się śmiałeś? „Do góry nogami, na Panienkę z Pilar, do góry nogami!” Nie były to twoje własne słowa, ty psie z nasmołowanym ogonem, ty bękarcie?

Bosman nie był przyzwyczajony do podobnie grubiańskiego traktowania. Jego kapitanowie zawsze mu ufali, załogi dobrze o nim mówiły, zestarzał się w królewskiej służbie. Ciężko mu było ścierpieć w milczeniu, jak pułkownik wymyśla mu wobec majtków; mało tego - wobec całego portu Callao, gdyż don Pedro Merino miał najpotężniejszy głos, jaki kiedykolwiek rozlegał się na placu musztry. Nie stracił panowania nad sobą, lecz podszedł tuż do pułkownika, który będąc nikczemnego wzrostu wyglądał przy nim jak mały napuszony indyk, i poważnie pochyliwszy głowę spojrzął na niego z góry. Następnie, przeraźliwie

kalecząc hiszpański, macierzystym jego językiem był bowiem rodzaj langwedockiej francuszczyzny, rzekł:

- Z największym szacunkiem ośmielę się powiedzieć, że słowa moje odnosiły się nie do niefortunnej pozycji waszej dostojności, ale do pozycji pewnej przedniej bolońskiej kiełbaski, która figurowała w opowiadaniu chorążego. Rad byłbym sądzić, że przestyszałem się przed chwilą i że brzydkie wyzwiska, któreś wasza dostojność wypowiedział przed chwilą, przeznaczone były dla teje kiełbaski, a nie dla bosmana z „San Geronimo”.

Pułkownik, chociaż pojął, że zachował się głupio, był zbyt podпиты, by skorzystać z okazji do wycofania się z honorem, jaką dawał mu bosman. Prostując się z godnością na całe swoje półtora jarda, ryknął w odpowiedzi:

- Niech cię diabeł porwie z twoją przednią bolońską kiełbasą! Myślisz, że uwierzę w to łgarstwo? Ze mnie się śmiałeś, ty wyskrobku z oślej stajni, żyrafo z parszywym łbem - zamiast wprowadzić mnie na pokład z respektem należnym mojej randze i zasługom, śmiałeś się ze mnie... ze mnie, don Pedra Merino de Manrique y Castellón, pułkownika mianowanego przez samego wicekróla dowódcą wojskowym tej wyprawy! Co więcej, upadek mój, w którym mogłem połamać sobie obie nogi, spowodowany był przez twoje niegodne marynarza niechlujstwo. Pośliznąłem się na oliwie, którą rozchlapali po pokładzie twoi niegodziwi majtkowie!

- Sądz, wasza dostojność, co ci się podoba, lecz niech mi będzie wolno przypomnieć ci, że na żadnym królewskim statku nie jest przyjęte, by wojskowy oficer, choćby nie wiem jak wysokiej rangi, wymyślał bosmanowi, chyba że za pozwoleniem i w obecności kapitana statku, a i wtedy nie wobec załogi. Pokornie przepraszam, że nie wprowadził waszej dostojności na okręt, lecz przybywszy, jak to uczyniłeś, w niezręcznej chwili, nie zapowiedziany biciem w bębny, znalazłeś się, wasza dostojność, na pokładzie w mgnieniu oka. Co więcej, chociaż boleję głęboko

nad upadkiem waszej dostojności, nie mogę złożyć przeproszenia jako osoba zań odpowiedzialna, ponieważ moi ludzie nie przynosili żadnych butli z oliwą. Jeśli pragniesz, wasza dostojność, satysfakcji, najlepiej, byś skierował swoją skargę do doni Izabeli, małżonki generała, której służba nosiła oliwę do jej prywatnej spiżarni na rufie.

- O słodka święta Barbaro i cała głośna artylerio niebieska! - wybuchnął pułkownik. - To jest bezczelność, na którą nie ma lekarstwa innego niż śmierć!

Chwycił rękojęść szpady i byłby niechybnie nadział na nią bosmana jak prosię na rożen, gdybym nie rzucił się naprzód wespół z Miguelem Llano, sekretarzem generała, i nie złapał go za przegub, podczas gdy ksiądz Antonio i chorąży wspólnymi siłami odprowadzili pośpiesznie bosmana.

Nie potrafiliśmy długo utrzymać na wodzy rozjuszonego oficera, tak zawzięcie się szamotał i kłął, opluwając nam twarze jak lama, ale bosman umknął pod pokład, nim pułkownik zdołał dobyć szpady i pognać za nim pokrzykując głośno niczym Murzyn na odpuście.

Doña Izabela stała na górnym pokładzie i z nieporuszoną twarzą przyglądała się scenie, rozgrywającej się u jej stóp, lecz niebieskie jej oczy migotały jak gwiazdy pod koroną włosów o kolorze pszenicy. Idąc na dziobówkę, oddałem jej pełen uszanowania ukłon, należny zarówno jej piękności, jak wysokiej pozycji, gdy wtem stojący u jej boku główny nawigator, don Pedro Fernandez z Quiros, skinął na mnie, bym poczekał; myślę, że chciał mnie wypytać o początek całej awantury. Usłuchałem i mimo woli musiałem posłyszeć, co mówiła do niego doña Izabela.

- Nasz pułkownik jest człowiekiem niezwykle srogim. Jeśli zamierza w ten sposób podkreślać swoją ważność przez cały czas trwania naszej podróży, może się to oczywiście dobrze dla niego skończyć, ale uważam to za wysoce nieprawdopodobne.

Pedro Fernandez pośpiesznie pokiwał głową.

- Zmuszony jestem zgodzić się z tobą, dostojna pani - powiedział. - Chciałbym tylko, by ktoś ostrzegł go, nim będzie za późno.

- Czemu nie? - odparła lekko. - Im wcześniej, tym lepiej.

Pułkownik widząc, że ofiara mu umknęła, wsunął szpadę do pochwy i pomaszzerował w stronę dziobówki, wciąż ziejąc ogniem i dymem. Doña Izabela zawołała do niego z góry:

- Ej, pułkowniku, cóż to cię naszło w ten piękny ranek? Jakież zajadły insekt wkradł ci się pod kubrak? Z gwałtowności twego zachowania mogę tylko wnosić, że coś ugryzło cię w miejsce, w które wstyd ci się podrapać. Posłuchaj mnie jednak, panie: jeśli mąż mój dowie się o tym, co się tu działo, wierz mi, niezbyt będzie zadowolony na wieść, że oficerowie jego okrętu traktowani są grubiańsko i częstowani wyrazami, które bardziej przystoją właścicielce burdelu niż pułkownikowi z królewskim patentem, zwłaszcza że przyczyna twojego wybuchu była tak błaha.

Pułkownik na wpół się odwrócił, gdy doña Izabela zaczęła doń przemawiać. Teraz zrobił żakowski grymas i wskazując kciukiem przez ramię, zgoła bezczelnie zawołał do towarzyszącego mu sierżanta:

- Ej, na honor, a cóż my tam mamy na rufie?

To gburowate odezwanie sprawiło, że główny nawigator wmieszał się do kłótni. Oburzył się, i nie bez racji.

- Panie - rzekł - w nieobecności generała mnie to wypada obruszyć się za grubą zniewagę, którą wyrządził cnotliwej i szlachetnie urodzonej doni Izabeli. Lepiej by było, gdybyś publicznie ją przeprosił; wszyscy ją bowiem szanujemy, nie tylko jako małżonkę generała, ale jako kwiat i ukoronowanie niewieściego rodu w zamorskich posiadłościach jego arcychrześcijańskiej mości.

- Milcz, zuchwały Portugalczyku! - ryknął pułkownik w odpowiedzi. - Wcale nie znieważylem doni Izabeli. Uwaga moja dotyczyła owej sławetnej bolońskiej kiełbasy, wiszącej do góry nogami - choć, słowo daję, byłbym w kłopotcie, jak odróżnić jeden koniec kiełbasy od drugiego

- nie zaś żadnej kobiety, a już najmniej dostojnej małżonki generała. Nie zawaham się jednak znieważyć ciebie, jak na to zasługuje twoja niska ranga i profesja. Zrozum, półgłówku, że jestem pułkownikiem i że jeśli popłyniemy razem na tym okręcie, ja nim dowodzę w bitwie; a jeśli spodoba mi się kazać ci roztrzaskać go o skałę, co wtedy? Odpowiedz mi, psie, co wtedy? Czy usłuchasz mego rozkazu?

Główny nawigator odpowiedział dyplomatycznie:

- Kiedy czas ten nadejdzie, panie, uczynię, co mi się wyda najślusniejsze, ale przypadek jest hipotetyczny i wątpliwy. W obecnym stanie rzeczy nie uznaję w morskich sprawach żadnego zwierzchnika poza jego ekscelencją generałem, którego szlachetnie urodzonej małżonce - choć twierdzisz, że nie miałeś zamiaru jej obrazić uchybiłeś, omieszkując oddać jej przynajmniej uprzejme pozdrowienie, należne od każdego szlachcica każdej szlachetnej damie. Generał powołał mnie do kierowania tym statkiem i do sprawowania nad nim władzy kapitana, podczas gdy on kieruje ruchami całej flotylli; kiedy przybędzie na pokład - a mam nadzieję, że zrobi to wkrótce, nim skandal ten przybierze gorsze rozmiary - musi określić moje uprawnienia na wypadek konfliktu pomiędzy władzą waszej dostojności a moją. Możesz jednak wierzyć mi, panie, gdy ci powiem bez przekleństw i wymysłów, że jeśli celem twym jest stać się panem i władcą wszystkich lądów, jakie mamy nadzieję odkryć, wolę natychmiast zrzec się nominacji niż poddać się pod rozkazy oficera, który tak wiele bierze na siebie, a tak mało wykazuje rozwagi.

Pułkownik skinął na sierżanta.

- Właż na ambonę, chłopie - powiedział - i sprowadź mi tu tego pyskiego portugalskiego kaznodzieję. Chcę mu tą oto laską zagrać na skórze diabelskiego marsza!

Sierżant zsalutował, zarzucił broń na ramię i niechętnie ruszył ku pokładowi szańcowemu; nim jednak zdążył wykonać rozkaz, dwaj bracia doni Izabeli, kapitan don Lorenzo de Barreto i chorąży don Diego de Barrete, posłyszawszy, co się dzieje, nadbiegli z dobytymi

szpadami. Don Diego ściągnął sierżanta za nogę z drabinki, a don Lorenzo kopniakiem posłał go na drugą stronę pokładu, gdzie wpadł na pułkownika i zwałił go z nóg po raz drugi. Potem weszli na górę do siostry i z szacunkiem ucałowali każdy po jednej jej ręce, a następnie zwrócili się do głównego nawigatora i pokleпали go po plecach.

- Panie - rzekł don Diego - może jesteś tylko Portugalczykiem, ale śmiałość i szlachetność, z jaką obroniłeś siostrę naszą przed grubiaństwem tego spitego Bombastes¹, czynią cię godnym miana Hiszpana. Szpady nasze zawsze będą do twojej dyspozycji, gdybyś ich kiedykolwiek potrzebował w trakcie naszej podróży.

¹ Bombasíes - bohater burleski Williama Barnesy Rhodesa, symbol człowieka napuszonego.

Pedro Fernandez podziękował im z powagą i oświadczył, że nieźmiernie ceni sobie ich życzliwość.

- Niemniej, panowie, nigdy bym się nie zgodził przyłączyć do którejkolwiek ze zwaśnionych stron w przedsięwzięciu, które uda się tylko przy całkowitej jednomyślności wszystkich, którzy w nim służą.

Doña Izabela uśmiechnęła się mile do głównego nawigatora, który był przystojnym mężczyzną, wzrostu więcej niż przeciętnego, smukłym, lecz muskularnym, o jasnych szarych oczach i krótkiej, kędzierzawej brodzie; był wówczas w trzydziestym szóstym roku swego życia. Kiedy żegnał się mówiąc, że wzywają go pilne zajęcia, i ceremonialnie ucałował jej rękę, powiedziała głosem, w którym brzmiała ostra nuta:

- A co do tego, co ci mówiłam przed chwilą, przyjacielu, jestem teraz przekonana, że przeciwne woli bożej i całkowicie niemożliwe jest, aby pułkownik skończył w najmniejszym choćby stopniu szczęśliwie.

Doña Izabela była Galicjanką do szpiku kości, a że poznałem już z bliska ten śmiały, uparty, skąpy i skryty lud o klanowym ustroju, pochodzący w trzech czwartych od dawnych germańskich najeźdźców

tej krainy, a w jednej czwartej chyba od jakiegoś rodzimego diabła, przeżegnałem się mimo woli i pomyślałem sobie: „Życie tego pijaka nie jest warte jednego maravedí¹, jeśli popłynię w towarzystwie doni Izabeli.”

¹ 32 mosiężne maravedí = 1 srebrnemu realowi; 8 reali = 1 złotemu peso (który wart był mniej więcej 4 szylingi w angielskiej monecie owych czasów).

Główny nawigator zeszedł z pokładu szanćowego i biorąc mnie serdecznie za rękę powiedział nagłym tonem:

- Mały Andresie, na wszystkich świętych zaklinam cię, pomóż mi naprawić to zło, które się stało. Zabierz pułkownika na dół do jego kwatery i jakimkolwiek sposobem doprowadź go do stanu trzeźwości, ale koniecznie ustępuj mu we wszystkim, jakby był księżniczką chorą na żółtaczkę, i dopilnuj, by przyszedł do siebie, zanim generał przybędzie na pokład.

Pułkownik stracił przytomność, gdy upadając uderzył całą siłą o lewą burtę. Sierżant dźwignął go teraz na zwój lin za grotmasztem i oburącz podtrzymywał jego stłuczoną, bezwładnie zwisającą głowę. Wśród tłumu gapiów zobaczyłem naszego cyrulika i zawołałem go do siebie; razem znieśliśmy pułkownika pod pokład, gdzie zwymiotował dobrą kwartę trunku. Następnie cyrulik puścił mu krew i dał środki przywracające siły, toteż wkrótce pułkownik już siedział na posłaniu trzeźwy, lecz osłabiony, i z zamętem w głowie. Ponieważ w głębi serca był to człowiek, który chciał jak najlepiej, wielokrotnie wołał przy nas: „Aj, aj! Oby się to nie było stało! - Raz zaś jęknął: - Ale, na miłość boską, cóż miałem począć? Ci podlece nie pozwolili mi wycofać się z honorem z położenia, w które sami mnie wpędzili. Powinni byli widzieć, że jestem opity ognistą cziczą i nie trzeba mnie drażnić; powinni byli traktować mnie bardziej ogłędnie. O tych oficerów dbam tyle, co o figę, ale że uchybiłem szacunku dostojnej damie, zarazem młodej i pięknej, a do tego żonie dowódcy tej wyprawy - człowieku, to katastrofa!” Rycerska

jego dusza dotkliwie odczuwała tę hańbę, toteż opatrzywszy skaleczenia plastrem i otrzeźwiwszy się do reszty gorącym tureckim napojem, przyodział się w najlepsze szaty - te, które miał na sobie, były bowiem poplamione smołą i oliwą - i poszedł do kajuty generalskiej przeprosić donię Izabelę. Dowiedział się jednak, że udała się na brzeg.

Poeci mówią, że los, jak miłość, jest ślepy; palce jego są wszakże tym zwinniejsze - niczym u ślepej dziewczyny z Panamy.

ROZDZIAŁ II

AUDIENCJA U WICEKRÓLA

Generała zatrzymał w Limie wicekról, don Garcia Hurtado de Mendoza, markiz Cañete, któremu poszedł był ucałować rękę na ostateczne pożegnanie. Markiz nigdy nie wstawał wcześniej i dziś generał musiał antyszambrować do południa i dłużej. Czekał jednak cierpliwie, choć miał jeszcze tysiąc i jedną sprawę do załatwienia, i skracał sobie godziny odmawiając wielokrotnie różaniec. Ufał, że nigdy już więcej nie będzie musiał wyczekiwać, aż raczy go przyjąć jakiś wicekról. „Cierpliwości mam pełną piwnicę” - powiedział mi tydzień czy dwa wcześniej. Potem odwrócił się z uśmiechem i schwytał mnie za ucho.

- Słyszę, że jesteś początkującym poetą, mały Andresie; jakże więc twoja natchniona wyobraźnia przedstawia sobie piwnicę pełną cierpliwości?

- Ekscelencjo - odparłem - cierpliwość widzę jako cnotę złożoną z wiary, nadziei i pręężności. Emblematem jej jest korek, który, gdy go mocno uderzyć, powraca do swego kształtu nie uszczerbiony, choć spłaszczony, i jest dostatecznie lekki, by utrzymać na powierzchni ciężkie serce szamocące się w ciemnych nurtach rozpacz. Piwnica pełna cierpliwości, mówi wasza dostojność? Widzę ogromny kopiec korków, przyciętych do różnych rozmiarów; starczy ich na zatkanie wszystkich butli gniewu i wściekłości, jakie diabeł kiedykolwiek wydał w swojej piekielnej hucie.

- A sama piwnica? - zapytał. - Jak wyobrażasz sobie samą piwnicę?
- Fantazja moja zawodzi w tym miejscu, ekscelencjo.
- Pozwól więc sobie powiedzieć, mój poeto - rzekł z wielką mocą - że piwnicę ciepłości czuć myślą i zbutwiałym sukniem, a wyjść z niej można tylko tamtędy, którędy się weszło. Umieblowana jest jak przedpokój wicekróla, pięknymi, lecz niewygodnymi krzesłami, pełna wspaniale ubranych, ale niegrzecznych lokajów, i wytapetowana od podłogi do sufitu niezliczonymi nie czytаныmi pismami, podaniami i memoriałami, które wszystkie podpisane są nazwiskiem i opatrzone pieczęcią, generała don Alwara de Mendaña y Castro z Neiry.

Kiedy markiz, który był weteranem wojny holenderskiej i mediolańskiej, lecz wciąż cieszył się krzepkim zdrowiem i lubił wyszukaną elegancję, wezwał w końcu generała do sali audiencjonalnej, uściskał go i przeprosił za zwłokę, tłumacząc ją wieloma przyczynami. Trzeba było - twierdził - natychmiast wyekspediować przez Panamę ważny list do Rady do Spraw Indii w Madrycie; przybył z wizytą biskup, by go uwiadomić, że w najbliższą niedzielę przekazany zostanie władzom świeckim heretyk-recydywista, i całe mnóstwo innych spraw nieoczekiwanie spadło mu na głowę.

Generał słuchał uprzejmie, choć dobrze wiedział, że biskup leży chory na febrę, że sprawę przejęcia heretyka z rąk Świętego Officium omówiono poprzedniego popołudnia i że statek pocztowy do Panamy odpłynąć ma dopiero za trzy dni. Wiedział także od doni Izabeli, która niegdyś była damą dworu wicekrólewskiego, że małżonka markiza zazdrosna jest o każdą chwilę poświęconą sprawom państwowym, a nie jej osobiście, i że wymogła na nim obietnicę zabrania jej tegoż popołudnia na miesiąc wyczasów do Cuzco, wysoko w góry. Szlachetna ta dama była również roztropna, jak piękna i nigdy nie wtrącała się wprost w mężowskie sprawy; lecz gdy na jej intencję uchylone zostało królewskie rozporządzenie zabraniające używania karet w Nowym Świecie, stało się jasne, kto naprawdę rządzi w tym stadle. Przypadkowo wiem, że doña Izabela była

jej powiernicą w wielu delikatnych sprawach i gdyby nie te usługi, które nie mają związku z niniejszą opowieścią, nasza wyprawa nigdy nie wyruszyłaby z Peru.

Wicekról klasnął w dłonie o wino i słodkie biszkopty, które służący-Murzyn wniósł na masywnej tacy ze srebra z Potosi, po czym energicznie zabrał głos:

- A więc opuszczasz nas wreszcie, don Alwarze, i daję ci słowo, że jakkolwiek szanuję ciebie i twoją uroczą małżonkę, odetchnę z ulgą widząc, jak twój proporzec znika na zachodnim horyzoncie.

- Nie głębiej odetchniesz, ekscelencjo, niż ja na widok śnieżnych wierzchołków Andów mających za nami niby odległe góry lodowe. Rozważ tylko mój przypadek: minęło nie mniej niż dwadzieścia jeden lat, odkąd jego królewska mość Filip II podpisał ten mój patent i na uroczystym posłuchaniu życzył mi szczęśliwej podróży. Proszę, spójrz na ów pergamin, jak pożółkł i jak zbladł na nim atrament! A moja czarna broda oto dziś przetkana jest srebrnymi pasmami. Nie umiem dostatecznie wyrazić wzruszenia, z jakim teraz całuję szczodrobliwą dłoń, która przekreśliła wrogość don Francisca de Toledo - i żmije kęsają bowiem, choć nieżywe - i naprawiła wyrządzoną mi niesprawiedliwość.

- Nic to, mój przyjacielu - rzekł wicekról przesuając palcem wokół szyi zdobnej w największą i najsutszą koronkową kryzę na całej zachodniej półkuli i gładząc uperfumowaną, żółto farbowaną brodę. - Nic nie uczyniłem, a w każdym razie nic ponadto, co ci się należy, choć przyznaję, że raport mojego poprzednika o tobie, którego kopię posiadam w swym archiwum, z pewnością nie usposobił Rady do Spraw Indii życzliwie do ciebie. Opiera się on głównie na świadectwie niejakiego Hernana Gallego, twojego głównego nawigatora, który najwidoczniej był ci wielce nieprzyjazny i zeznał, że pod żadnym względem nie nadajesz się do prowadzenia drugiej wyprawy na te same południowe wody.

- A więc to dłoń Gallega wodziła piórem don Francisca! W prostocie ducha mego kładłem to wszystko na karb nieprzejednanej złości kapitana Pedra Sarmiento de Gamboa, który sprawił mi tyle kłopotu i troski w czasie podróży i którego w końcu zdegradowałem za okrucieństwo i niesubordynację. Więc to jednak był Gallego! Na Najświętszą Pannę, cóż za podła niewdzięczność! Mój rodak, któremu zapewniłem majątek i sławę czyniąc go moim głównym nawigatorem, kiedy mogłem być wybrać dwudziestu zdolniejszych i bardziej na to zasługujących!

- O zdolnościach Gallega wyrokować nie mogę. Twierdził on jednak, że nie tylko nie zapewniłeś mu sławy, lecz go z niej odarteś; że on sam powziął projekt wyprawy, obmyślił ją i przygotował. I, że tylko na osobistą prośbę twego wuja, prześwietnego licencjata de Castro, jego królewska mość powierzył tobie dowództwo, tobie, który jeśli mi wolno zacytować jego słowa) „ani przed, ani po wyruszeniu nie umiałeś odróżnić rufy od dziobu, smoły od terpentyny ani gwiazdy polarnej od planety Wenus”. Według tegoż memoriału tak skandalicznie zaniedbywałeś swoje obowiązki, że (by wymienić tylko jeden przykład spośród wielu tam podanych) gdy wróciłeś na łapu capu do Kalifornii na wpół tylko wypełniwszy zadanie, on to musiał wypłacić z własnej kieszeni tysiąc czterysta złotych pesos za oporządzenie twoich dwóch statków i jeszcze czterysta za nowy zapas żywności, z której to sumy nie otrzymał ani jednego maravedi zwrotu, chociaż z dziesięć razy przedstawiał rachunki.

Wicekról przerwał, by obserwować efekt tej rewelacji, ale don Alvar ani mrugnął. (Znam przebieg tej rozmowy od mojego chrzestnego ojca, sekretarza markiza, który był przy niej obecny.)

- Wiedziałem dobrze, ekscelencjo - odpowiedział kiwając głową ze smutkiem - że wybór Gallega na głównego nawigatora nie był szczęśliwy, że był to człowiek zawistny, zdrażliwy, plotkarz pozbawiony bodaj iskry chrześcijańskiej miłości bliźniego. Muszę przyznać, niestety,

że nasza Galicja rodzi najgorszych ludzi obok najlepszych. Gallego wychował się wśród mgieł Cebrero, którego nieokrzesani mieszkańcy tysiąc razy bardziej szanują wiedźmę niż księdza i są tak chciwi, że kiedy ktoś obcy w tych stronach stanie, by napoić kobyłę w którymś z ich strumieni, przytrzymają go siłą i porwą mu buty lub opończę, jeśli odmówi im pieniędzy. Nie miałem jednak pojęcia, że nawet Gallego będzie kłamał tak bezwstydnie i że nie bacząc na żadne nakazy lojalności ujmie swoje kłamstwa w formę tajnego raportu do don Francisca. Ale dość o Gallegu: dostał za swoje pięć lat temu, kiedy diabeł upomniał się o niego w katastrofie statku u ujścia rzeki Sani.

- A w jaki sposób naraziłeś się don Francisowi? Był to człowiek uparty, ale ani nierozsądny, ani kłótlivy. Widzę, że oskarża cię o to, iż wróciłeś z Wysp Salomona ze złotem wartości czterdziestu tysięcy pesos i nie zadeklarowałeś go w swym sprawozdaniu do jego królewskiej mości. W tej materii, nawiasem mówiąc, ani Gallego, ani Sarmiento nie byli jego informatorami.

Tu don Alvar był na pewniejszym gruncie.

- Oczywiście że nie! Sarmiento obwinał mnie przecież o to, że nie pozostałem na Wyspach dostatecznie długo, by przeprowadzić operacje górnicze, lecz pośpieszyłem do domu z pustymi rękoma. A co do Gallega (który nienawidził Sarmienta jak jedna żmija nienawidzi drugiej), to gdybym był znalazł choć jedną dziesiątą sumy, którą ekscelencja wymienił, czyż poważyłby się twierdzić, iż byłem tak skąpy, aby dać mu samemu zapłacić za naprawę moich starganych burzami okrętów? Ale cóż mnie obchodzi, kto nagadał kłamstw don Francisowi? Ekscelencja musiałeś słyszeć o głębokiej niechęci, jaką ten złodziej - gdyż mogę go tak nazwać, skoro sędziowie królewscy posłali go do więzienia w Sewilli, by tam odpokutował za przywłaszczenie sobie wielkich funduszy rządowych - o niechęci, powiadam, jaką ten złodziej żywił do mego świętej pamięci stryja, a swojego poprzednika. Złość jego skrupiła się na mnie jedynie jako na

bratanku mego stryja. Kiedy w sześć lat potem wróciłem tu z Hiszpanii z królewskim patentem w kieszeni, udał najwierniejsze posłuszeństwo życzeniom jego królewskiej mości, ale oświadczył, że kraj tak strasznie zbiedniał pod złymi rządami mego wuja, iż na razie nie ma mowy o wyposażeniu i obsadzeniu flotylli w tej sile, na jaką opiewało zezwolenie. A przecież wszystko to była nieprawda.

- Don Alwarze - powiedział wicekról - spróbuj być sprawiedliwy względem tego człowieka, jakkolwiek gorzką czułbyś doń urazę. Istnieje powiedzenie: „O zmarłych mówi się tylko dobrze”; i choć wiele z tego złota i srebra, które przechodziło przez ręce mego poprzednika, przykleiło się do jego dłoni, przecież nie mija ani jeden dzień, w którym nie byłbym mu wdzięczny za energię, z jaką umacniał podboje i zdobycze bohaterskiego Pizarra, mojego świętej pamięci ojca i twojego świętej pamięci stryja. To don Francisco ustanowił wspaniałą konstytucję, którą Peru rządzi się do tej chwili. I on to także, z pomocą twego wroga Sarmienta, postarał się o to, by zapewnić po wsze czasy wierność tutejszego ludu koronie Kastylii, kładąc kres starodawnej, niedorzecznej dynastii Inków. Nie mógł dostarczyć ci okrętów? Przecież nie mogę tego i ja, choć tak dobrze ci życzę; kopalnie srebra w Potosi i Huancavelica nie są już tym, czym były, a coraz większe żądania skarbów ze strony króla zmuszają mnie do najdalej posuniętej oszczędności. Statki i zapasy nabyłeś, jak sądzę, sam. Wypożyczyłem ci jedynie broń z królewskiego arsenału, przydzieliłem sprawnych żołnierzy do służby pod twoim proporcem i pozwoliłem ci werbować na własną rękę marynarzy i osadników. A skoro o tym mowa, nareszcie znalazłem ci pułkownika, jakiego ci potrzeba, i już dzisiejszego ranka, jeśli nie przeszkodziła mu jedna z jego sławnych pijatyk, udał się on na pokład twego okrętu flagowego. To dzielny i pobożny człowiek, który walczył na stu polach bitewnych; musisz znać go przynajmniej ze słyszenia - mówię o don Pedrze Merino de Manrique.

- Merino! - zawtórował słabym głosem generał, kurczowo łapiąc się za poręcz fotela. - Niestety, ekscelencjo, gdybyś tylko był wcześniej mi o tym powiedział! Wolałbym, żeby sam diabeł sprawował komendę nad moim wojskiem. Merino był niegdyś bliskim przyjacielem wspomnianego Sarmienta i tydzień temu w pewnej winiarni w Callao pobił się z jednym z moich oficerów, don Felipem Corzo, kapitanem naszej galeoty. Tylko przytomność umysłu ładnej dziewczyny, która była przedmiotem zwady, przeszkodziła temu smokowi przebić mojego kapitana na wylot. Chlusnęła Merinowi w twarz pełnym kubkiem wina, wypchnęła don Felipa na ulicę, zaryglowała drzwi, a sama schroniła się w pewnym małym przybytku na tyłach domu, gdzie delikatność pułkownika nie pozwoliła mu jej ścigać. Gdy ci dwaj spotkają się znowu, co w końcu musi nastąpić, choć popłyną na różnych okrętach, poznają się natychmiast, kłótnia rozgorzeje na nowo i zakończy się mordem.

- Tu w Peru - rzekł wicekról władczym tonem, prostując się w krzesło - tu w Peru, don Alwarze, jesteś prywatną osobą i nie masz prawa zażegnać bodaj karczemnej zwady bez odwołania się do mnie lub moich urzędników. Wypada jednak, abyś pamiętał, że gdy raz twoja flotylla znajdzie się w drodze, jesteś zaufanym i umiłowanym namiestnikiem jego arcychrześcijańskiej mości i w jego imieniu sprawujesz absolutną władzę. Jeśli jacykolwiek twoi podwładni ośmielą się wszcząć zwadę i dopuszczą się zakłócenia spokoju, obowiązkiem twoim jest zbadać natychmiast sprawę, uderzyć w winnych jak młot kowalski i zmiażdżyć ich na kowadle dyscypliny. „Niech ten, kto ma rządy w rękę, rządzi!” Tę naukę dał mi mój świętej pamięci ojciec, który przywrócił pokój w tym kraju tłukąc głowami o głowy bez liczenia się z rangą i nie lękając się odwetu; aja będąc wielkorządcą Chile dowiodłem - jeśli mi wolno się pochwalić - że jestem jego nieodrodnym synem... Ale powiedz mi, przyjacielu, ile jest prawdy w pogłosce, że znalazłeś dużo złota i wiele ogromnych pereł na Wyspach Salomona?

- Jeśli chodzi o złoto - odparł generał z rozbijającym uśmiechem - to znaleźliśmy je i nie znaleźli. Krajowcy z wielkich wysp Santa Ysabel i Guadalcanal, którzy weszli na pokład mego okrętu flagowego, uczcili wszyscy złoty krzyż z łańcuchem, zawieszony na mojej szyi, a gdy pokazałem im kilka grudek złota, które miałem ze sobą, kiwnęli głowami i wskazali w stronę gór, mówiąc „*Yaro bocru*”, a *bocru* znaczy „dużo” w ich języku. Kiedy zaś spytałem, jakie mają słowo na złoto, odpowiedzieli mi *areque* i pokazali na migi, że można je znaleźć blisko płynących wód. Ponieważ jednak nie mogliśmy, ze względu na małą liczbę żołnierzy i szczupły zapas amunicji, udać się z wyprawą wojenną w góry, nie dostaliśmy w końcu żadnego złota w ręce; żółta ruda, którą znaleźliśmy na wyspie Guadalcanal, była tym, co nasi górnicy nazywają „psim złotem”. Wysłałem niejakiego Andresa Nuñeza z trzydziestoma żołnierzami, aby przekonał się, co ta ziemia rodzi, i poszukał prawdziwej rudy w szczelinach lub rozpadlinach, ponieważ dwóch górników znajdujących się na tym orzekło, że ziemia wygląda na taką, która zawiera drogocenne metale. Ale podczas gdy w poszukiwaniu złota przemycali piasek jednej z rzek w głębi łądu, zgromadziło się wokół nich tylu wymachujących groźnie krajowców, że musieli zrezygnować z przedsięwzięcia; poza tym strumień płynął zbyt wartko na ich płuczki. Opowiadali jednak, że piasek błyszczał mocno. Co więcej, kobiety z Aytora noszą podobno naszyjniki, które nazywają *aburu*...

- A perły? - spytał wicekról bębniąc niecierpliwie palcami po stole.

- Jeśli chodzi o perły, mogę mówić z całkowitą pewnością. Na wyspie Veru sam widziałem i miałem w ręku wiele drobnych pereł o pięknej barwie. Krajowcy mieli je za nic, nie umiając stosować drylu. W zatoce Estrella znów znalazłem bardzo duże perły, którymi dzieci grały w kulki; były jednak osmalone i miały skażoną barwę, ponieważ rodzice, ceniąc jedynie mięso małży, kładli muszle na rozżarzone kamienie, aby się upiekły. Na pozostałych wyspach także znajdowaliśmy

mnóstwo muszli perłowych olbrzymiej wielkości i jeśli perły były odpowiednich rozmiarów, byłyby to klejnoty godne korony. Lecz perły, odwrotnie niż złoto, są zbytkiem - więc jeśli nie ma złota na wyspach, które Bóg pozwolił mi odkryć, możesz, ekscelencjo, uznać mnie za głupca. Na tym punkcie przynajmniej zgadzam się z Sarmientem: moim zdaniem pełno w nich drogocennych metali.

- W takim razie, don Alwarze - rzekł wicekról - byłeś bardzo nierozsądny rozgłaszając na cały świat ich bogactwa przez nazwanie ich Wyspami Salomona, tak jak byś odkrył na nowo krainą Ofir, skąd król Salomon sprowadził olbrzymie ilości złota na upiększenie swej świątyni.

- Ekscelencja wybaczy. Nazwę tę nie ja wymyśliłem; wyszła ona od kąpiącego w gorącej wodzie Sarmienta i stała się tak obiegową wśród majtków, że nie mogłem ich nakłonić, by nazywali archipelag inaczej. Przyznam jednak, że zdziwił mnie mocno żydowski układ rysów u bardzo wielu wyspiarzy - według Sarmienta, potomków żeglarzy Salomona - oraz obyczaj obrzezania, który jest tam rozpowszechniony. Nazwa ta w każdym razie była dla mnie zgubna. Zazdroszcząc mi sukcesu don Francisco stawiał na mojej drodze śmieszne przeszkody i przetrzymał mnie tu sześć lat, mimo iż słałem memoriał za memoriałem do Rady do Spraw Indii, a inne jeszcze wprost do króla. Wtrącił mnie nawet do więzienia, kiedy raz, bardzo nieszczęśliwym trafem, jeden z tych listów wpadł w jego ręce...

- O ile sobie przypominam, w liście tym nie tylko w ostrych słowach skarżyłeś się na sposób, w jaki traktuje cię wicekról, lecz obwiniąłeś go o to, że bez pozwolenia wysyłał wyprawy na Morza Południowe dla własnego zysku i że zamierza wysłać jeszcze jedną na twoje wyspy - jeśli mogą je tak nazwać - w poszukiwaniu nielegalnych skarbów.

- Obstawiam przy wszystkim, co napisałem, ekscelencjo. A na dowód, że nie byłem jedynym świadkiem przeciwko niemu, czyż go nie

odwołano? Jednakże nie więcej szczęścia miałem z jego następcą, don Martinem Enriquezem...

Wicekról odchylił się do tyłu w swoim wielkim, rzeźbionym, hebanowym fotelu i zaczął się chłodzić lekkim wachlarzem z koronek i szylkretu. Oczy jego wędrowały od niechcenia po złościstych maswerkach na suficie.

„Ach, na wszystkie bolączki Łazarza! - westchnął w duchu mój ojciec chrzestny - czyżby don Alwar zamierzał rekapitulować historię swoich krzywd rozdział po rozdziale?” Mój ojciec chrzestny był sekretarzem wszystkich tych wicekrólów po kolei i słyszał ją nie raz, a pięćdziesiąt razy, z coraz to nowymi dodatkami i haftami. „Dziwię się, że markiz nie przerwał mu do tej pory”.

- ...Don Martin tedy, jak mówiłem, musiał przeczytać niezycliwy raport na mój temat, który zostawił mu w spadku don Francisco. Nie mając litości dla biednych nieszczęśników, których przywiozłem z Hiszpanii celem skolonizowania moich wysp, a którzy teraz cierpieli straszliwą nędzę - połowa kobiet zmuszona była pójść na ulicę, co napawało mnie bezbrzeżnym wstydem... Nie mając tedy litości nad nimi, powiedział mi, że dość już lądów odkryto i że najważniejsze jest teraz zasiedlić i zaludnić te lądy raczej niż trwonić królewskie zasoby na poszukiwania nowych krajów, zwłaszcza w regionach tak odległych, że nawet po spacyfikowaniu byłyby wielkim i bezużytecznym ciężarem. Ośmielił się nawet zakwestionować autentyczność mojego patentu mówiąc, że skoro tylko mieć będzie okazję napisania do swych przyjaciół w Radzie do Spraw Indii, poprosi o bliższe informacje na mój temat. Don Martin zmarł następnego roku, a stary hrabia Villardompardo, poprzednik waszej ekscelencji, nie mógł mi - przynaję - pomóc, gdyby nawet chciał, a to z powodu trzęsień ziemi, a po nich zarazy i głodu, które uczyniły jego kadencję tak niepomysłną. Ponadto do tego czasu wieść o naszym odkryciu rozeszła się na wszystkie strony - winę za to ponosi pewien genueński majtek - i w Anglii dowiedziano się, że Wyspy Salomona są ósmym cudem świata. Znęciło to Franciszka Drake'a

na Morza Południowe, gdzie zaczął żerować na naszych statkach. Nazwisko Drake'a rzuciło czarny cień na moje życie, gdyż jego piractwo wysuwano wszędzie jako argument przeciwko mojemu projektowi. „Szaleństwem byłoby kolonizować te wyspy i zaprzęgać krajowców do pracy w kopalniach - mówiono mi - skoro Drake i jego kapitanowie z całą pewnością zbierać będą to, co wy posiejecie!” Gadanie takie uważam za tchórzliwe i niepatriotyczne. Dopiero w zeszłym roku ty, ekscelencjo, dowiodłeś, że odważne hiszpańskie serce i celne hiszpańskie armaty mogą ujarzmić Anglików nawet śmielszych jeszcze od Drake'a... Markiz uśmiechnął się mile połechtany.

- Istotnie, wielka to satysfakcja mieć mężnego Ryszarda Hawkinsa bezpiecznie pod kluczem w naszym więzieniu miejskim. Powinien byś go zobaczyć, don Alwarze, jak chodzi po swojej celi, nawet w ten piekielny upał, tam i z powrotem, tam i z powrotem niby lew w klatce! Dzięki niech będą Błogosławionej Dziewicy, dowiedzieliśmy się o jego przybyciu wcześniej, niż się spodziewałem! Kiedy nasze okręty wojenne otoczyły go w zatoce San Mateo i pozbawiły go miejsca do manewru, wystrzelał swoje działa do końca i nie chciał się poddać, nawet gdy jego okręt był już bez masztów i tonął straciwszy połowę załogi. Nasi tarczownicy wdarli się na pokład z obu stron, zalewając go po prostu. Brat mój, don Beltran Hurtado, który w tym dniu sprawował dowództwo, twierdzi, że Hawkins walczył wspaniale.

- Istotnie wielka to pochwała, ekscelencjo. Ale jeśli mi wolno powrócić do mojej smutnej opowieści: Rada do Spraw Indii doradziła wówczas jego królewskiej mości wstrzymać się na razie od kolonizowania Wyp Salomona, aby, jak mówili, angielscy korsarze, którzy by przepłynęli Cieśninę Magellana z zamiarem napadania od tyłu na korzenne wyspy Molukki, nie mogli zaopatrywać swych statków naszym kosztem po drodze. Politykę tę stosowano przez wiele lat, aż wreszcie teraz, gdy nadzieje moje już gasły, wspaniałomyślna interwencja

waszej ekscelencji, za którą pragnę okazać wdzięczność nazywając twoim imieniem pierwszy większy ład, jaki uda mi się odkryć...

- Oczywiście, oczywiście, to rozumie się samo przez się. Jeśli te piractwa trwać będą nadal, cóż korzystniejszego dla jego królewskiej mości niż posiadanie dobrze umiejscowionej bazy na Morzach Południowych, w pół drogi między Peru a dawno założoną kolonią na Filipinach, z której to bazy nasze okręty mogłyby skutecznie pozbawiać korsarzy owej pomocy w postaci wody i żywności, jakiej Indianie mogliby im inaczej udzielać? Zeszłego roku twoja uroczą małżonka przedstawiła mi ten argument tak wymownie, że nie umiałem znaleźć ani słowa sprzeciwu i tegoż dnia, jak ci wiadomo, na własną odpowiedzialność napisałem w tej sprawie do króla. Uczyniła również, niewątpliwie z twoją aprobatą, pewną propozycję dotyczącą złota i pereł... Wasze galicyjskie kobiety wszelkiej rangi i stanu wykazują podziwu godną niezależność i męstwo: przejeżdżając przez tę prowincję w drodze do Corunny widziałem ze zdziwieniem, jak imają się pługa, sieją, bronują, ścinają drzewa, słowem, wykonują wszelkie męskie prace, zachowując przy tym skromność i pobożność, jakiej mogłoby im pozazdrościć wiele kobiet z południa.

- Ach, pobożność! - zawołał generał, z wdzięcznością podchwytyjąc to słowo, a jego oczy rozblęły żarliwością religijną. - Na Boga, jest to temat, który powinien być wcześniej znaleźć się na moich ustach. Choć odkrycia są rzeczą chwalebną, handel koniecznością, złoto godne pożądania, a odwaga racją bytu męskiego rodu, przecież pobożność nie jestli klejnotem wartym tysiąckroć więcej niż wszystko inne? Pierwszym celem naszego przedsięwzięcia nie jest odkrywać po to, by podbić; podbijać po to, by znaleźć złoto; znajdować złoto, by się wzbogacić; a wzbogacać się po to, by żyć w lenistwie i zbytku! Cel jest daleko szlachetniejszy i bardziej chwalebny: wykonać święty obowiązek, jaki nałożył na nas nasz Zbawiciel - zanieść tym ciemnym, ludożerczym

poganom niewysłowioną radość wiary; ochrzcić ich według świętego obrządku matki naszej, Kościoła; pouczyć ich, że mają nieśmiertelne dusze, ostrzec przed ohydą grzechu i poprowadzić ich po wąskiej ścieżce wiodącej do odkupienia... Ale markiz już nie słuchał.

- Powiedz mi, don Alwarze - rzekł gładząc brodą w zamyśleniu - gdybyś znalazł pod dostatkiem złota, bądź to w rzekach, bądź w skałach, lub dużych i pięknie ukształtowanych pereł, czy byłoby możliwe, jak to małżonka twoja wspaniałomyślnie proponowała?... Czy sądzisz, że?...

Zawahał się, szukając odpowiedniego słowa, lecz w tym delikatnym momencie drzwi za plecami generała otworzyły się z wolna, ukazała się pulchna, błyszcząca pierścieniami ręka i wytworny paluszek skinią przyzywająco.

Wicekról umilkł, westchnął głęboko i nie dokończył pytania.

- Za minutkę, za minutkę, pani moja - tłumaczył się właścicielce pulchnej rączki. - Jeszcze nie skończyłem.

Następnie pochwycił ze stołu zwój pergaminu, rozwinął go, odchrząknął i pewnym głosem, choć nieco pośpiesznie, zaczął natychmiast odczytywać przemówienie, które mój chrzestny ojciec pod jego kierunkiem ułożył.

- „Don Garcia Hurtado de Mendoza, markiz Cañete, wicekról Peru, do nieustraszonego generała Alwara de Mendaña y Castro z Neiry, w obecności głównych dostojników Kościoła i Państwa zebranych tu w naszej wicekrólewskiej sali posłuchań w Limie, mieście królów, w roku naszego odkupienia w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym piątym - pozdrowienie!

Dostojny generale, mogę śmiało życzyć ci szczęśliwej podróży, skoro wyruszasz na tę wyprawę z tak świetnym zastępem ludzi, jaki trudno by znaleźć gdzie indziej na świecie. Wielkie zaiste były czyny Hiszpanów w różnych czasach i miejscach, zwłaszcza gdy prowadzili ich mężni wodzowie umiejący stawiać czoło przeciwnościom i przewycięzać je: wodzowie, którzy w niebezpieczeństwie okazywali roztropność; którzy

zachowywali pogodne oblicze mimo objawów niełaski Fortuny i krzepili ducha swych podwładnych pięknymi obietnicami i słowami zachęty; którzy nagradzali ich, kochali i wspomagali i którzy rządząc z dobrocią mądrze wykorzystywali każdą okazję, jaka się nadarzała. Tylu jest sławą okrytych wodzów naszego narodu, którzy w ten sposób postępowali w przeszłości, że niewątpliwie znużyłbym umysł i język, gdybym chciał przypomnieć ich wszystkich. Nie wolno mi jednak pominąć w pochwałach ich mężnych podkomendnych, którzy zawsze, przy każdej okazji byli wierni i posłuszni, pełni rycerskości i cnoty w słowie zarówno, jak w czynie. Jeśli w odniesieniu do obecnych czasów pochwały moje muszą być nieco ograniczone, nie jest to winą żołnierzy i marynarzy. Pewne lata dają lepsze plony niż inne. Ostatnio nasi dzielni włodarze zebrali skąpe żniwa, a przywódcy ich zarobili na niewiele pochwał - zwłaszcza ci szukający przygód na pełnym morzu, gdzie niebezpieczeństw i trudności jest mnóstwo, a środków ratunku mało.

Starzy żeglarze mogą ganić dzisiejszych ludzi, że są gorsi od naszych przodków, którzy głębokimi bruzdami woraliby się we wschodnie morza. Śmiali to byli mężowie, przyznając; lecz jakże mało dokonali na zachodniej półkuli, tym niemal nieograniczonym polu dla podbojów i odkryć, a jakąż świetną plejadą wspaniałych żeglarzy możemy się tu pochwalić! W pierwszym ich szeregu stoi Krzysztof Kolumb, który wzgardzony i odepchnięty przez wiele koronowanych głów, wyruszył wreszcie w drogę pod patronatem katolickich monarchów Izabeli i Ferdynanda i odkrył ten oto kontynent Ameryki, trwałą opokę, na której zbudowano od tej pory tyle znakomitych gmachów, duchowych jak i doczesnych. Następcą jego był Hernán Cortez, zdobywca Meksyku, słynący z poszerzenia imperium o olbrzymie tereny i ze swych wielkich czynów. Tutaj, do Peru, przybył Francisco Pizarro i jego nieliczna sławą okryta drużyna, która miała podbić tak bogate i ludne prowincje.

Następnie Ferdynand Magellan - wierny sługa Hiszpanii, choć

Portugalczyk - który byłby opłynął świat całkiem dookoła, gdyby nie spotkał go przedwczesny koniec mniej szczęśliwy, niż na to odważny duch zasługiwał. Potem Vasco da Gama szukał dalekich krajów i otworzył dla swego narodu, a więc i dla naszego, drogi handlu ze Wschodem. Śmiało - nie można przeczyć - były poczynania Anglików, Drake'a, Candisha i naszego więźnia Hawkinsa, którzy pozazdrościwszy sławy Magellanowi przepłynęli cieśninę nazwaną jego imieniem i wnieśli niepokój na morza, przez długie lata bezpieczne i spokojne pod naszym berłem i trójzębem.

Mimo to wszystko widzę w tobie odkrywcę ani mniej znakomitego, ani mniej sławnego od tych, których wymieniłem. W każdym kraju, na całej przestrzeni dziejów kierownictwo wielkich wypraw powierza się ludziom, którzy przez wzgląd bądź to na swoje zdolności, bądź na godność swej postawy, czystość życia czy też takt i autorytet zasłynęli powszechnie jako sprawiedliwi panowie wojny i pokoju; szczęśliwe bowiem wypełnienie podjętych przez nich zadań zależy od wytrawnej mądrości ich postępowania. Jestem przekonany, że wszystkie te wartości łączą się w twojej osobie. Postępki twoje potwierdzają słusność wyboru, jakiego dokonał jego królewska mość, powołując cię do oddania tak wielkiej usługi Bogu i jemu samemu: mianowicie do spacyfikowania i nawrócenia pogan zamieszkujących dalekie Wyspy Salomona, ukryte w wielkim odmęcie, który oddziela wybrzeża Nowej Hiszpanii i Peru od wybrzeży Filipin i Japonii. Ja osobiście nie mam najmniejszej wątpliwości, że rządy, które ustanowisz, będą pełne chwały i tryumfu i że ludzie poddani twej władzy pozostaną nam wierni; tak iż z góry pochwalić cię już można za twoją znamienitą zapobiegliwość, roztropność i męstwo.”

Skończywszy przemówienie, wicekról odrzucił na bok zwój pergaminu, podał dłoń do ucałowania, po czym rzekł energicznym tonem:

- Przyjacielu, mam jeszcze dwie rzeczy do dodania. Po pierwsze, powtarzam, że twoja flotylla ma opuścić port Callao najpóźniej w piątek, od dziś za trzy dni. Po wtóre, będę cię trzymał za słowo, dane mi przez twoją małżonkę. A teraz żegnaj i niech cię Bóg prowadzi! Naczelnym admirałem Mórza Południowych zastąpi mnie w porcie, a dzień twego odjazdu będzie ogłoszony świętem publicznym.

Wstał i wyszedł pośpiesznie przez małe drzwiczki. Don Alwar, który właśnie miał rozpocząć przygotowaną mowę dziękczynną, był zaskoczony. Zamrugał powiekami, otworzył szeroko oczy, po czym z wolna nasadził na głowę przybrany piórami kapelusz i zbierał się już do odejścia, gdy mój chrzestny ojciec zatrzymał go uprzejmie, mówiąc, że musi jeszcze chwilę zostać.

- Ależ, człowieku, przecie audyencja skończona!

- Tak jest, don Alwarze, lecz nadworny malarz wicekróla otrzymał rozkaz wymalowania cię stojącego tutaj na tle otwartego okna z królewskim patentem pod pachą, skromnie słuchającego przemówienia wicekróla. Mocą malarskiej licencji twoja flotylla, stojąca na kotwicy, uwidoczniowana będzie za twoją postacią. Płótno jest nader obszerne.

- Ależ na skończenie takiego dzieła potrzeba miesięcy - wyjąkał generał - zwłaszcza że markiz jest tak niesłychanie zajęty.

- Nie, nie - rzekł mój chrzestny ojciec uspokajająco. - Źle mnie zrozumiałeś, panie. Sala posłuchań jest już utrwalona na płótnie, jak również postacie większości dostojników duchownych i świeckich, którzy, jak dowiedziałeś się z łaskawego przemówienia jego ekscelencji, obecni byli duchem, choć niestety nie ciałem, na tej dobrze wróżącej uroczystości. Obraz, który będzie dla potomności świadectwem wielkiego zaszczytu, jakiego dostąpiłeś, zostanie uzupełniony, gdy tylko jego dostojność biskup i jego ekscelencja znajdą czas na pozowanie; i zapewniam cię, panie, iż będzie to bardzo piękne i realistyczne dzieło.

- Niestety, mam tysiąc niezwykle pilnych spraw do załatwienia przed zapadnięciem nocy. Dlaczegoż malarz nie zaczął swojej roboty, kiedy tak długo czekałem w przedpokoju?

- Pójdź, don Alwarze - namawiał go łagodnie mój chrzestny ojciec.
- Jeżeli udasz się do niego zaraz, wkrótce będzie po wszystkim. Rozkazy jego ekscelencji są ściśle i lekceważyć ich nie wolno. Ale może wolałbyś, panie, zjeść przedtem coś posilniejszego od tych cienkich, słodkich biszkoptów?

- O, święty Wawrzyńcze na rozżarzonem ruszcie! - jęknął generał. - Pomóż mi przecierpieć w milczeniu jeszcze tych parę godzin!

ROZDZIAŁ III

BAGAŻE WIKARIUSZA

Ksiądz Antonio, nasz kapelan, zeszedł na dół obejrzeć kwaterę, którą miał dzielić z wikariuszem, księdzem Juanem de la Espinosa. Choć był człowiekiem mało dbałym o cielesne wygody, to jednak znalazł kabinę tak ciasną, ciemną i duszną, że aż cofnął się skonsternowany. Wydało mu się rozmyślnym afrontem dla Kościoła, iż taką norę przydzielono słabemu starcowi, który całe swe życie poświęcił miłosiernym dziełom i niebezpiecznym misjom wśród Indian w głębi lądu. W samej rzeczy graniczyło to z profanacją: czyż miejsce to nadawało się na przechowywanie świętych przyborów kościelnych, pobłogosławionych przez biskupa Limy, które miano zawieźć na Wyspy Salomona - kielicha, puszki na komunikanty, szat kościelnych, Pisma Świętego i składników Najświętszego Sakramentu?

Na każdym królewskim okręcie, jak pamiętał ze swej podróży do Peru przed wielu laty, istnieją dwie świeckie służby: marynarska i wojskowa. Tu na „San Geronimo” główny nawigator, jako kapitan statku, miał pod swoją komendą załogę, a pułkownik - oddziały wojskowe. Generał sprawował władzę nad obiema służbami, a gdy flotylla raz znajdzie się na pełnym morzu, uprawnienia jego zrównają się z uprawnieniami wicekróla, któremu z tą chwilą przestanie podlegać, będąc odpowiedzialny jedynie przed Radą do Spraw Indii, której przewodniczył król. Jednakże w sprawach ducha nie tylko główny nawigator z wszystkimi swoimi majtkami i pułkownik z całym swym wojskiem,

ale nawet generał musi słuchać wikariusza albo ponosić konsekwencje. Sam król Filip, najpotężniejszy i najbardziej absolutny monarcha wszystkich czasów, jest duchowym wasalem papieża, dzierżącego klucze niebios i piekieł w bezpośredniej sukcesji po świętym Piotrze, który otrzymał je od Zbawiciela, Honor Kościoła wymagał, by wikariusz miał pomieszczenie nie gorsze niż ktokolwiek inny na statku.

Zacny ksiądz kazał niewolnikom, którzy szli za nim niosąc bagaż kościelny, zanieść go z powrotem na górny pokład, sam zaś poszedł z zażaleniem do oficera rachunkowego, mając nadzieję uzyskać dla swojego zwierzchnika wymianę z jakimś oficerem marynarki lub wojskowym, któremu dostała się lepsza kwatery.

Przybywszy do kabiny kapitańskiej, którą don Alvar, spodziewając się wielkich odkryć, nazwał górnolotnie „Salą Map”, spytał pazia:

- A czyjaż to ta piękna kwatery, moje dziecko?
- Tutaj mieszka główny nawigator, jeśli to dogadza waszej wielbności.

- Dogadza mi bardzo - rzekł ksiądz Antonio i mruknął do siebie: „Może zgodzi się na zamianę; znany jest z pobożności niezwyklej u człowieka tego zawodu.”

Pedro Fernandez rozpakował już swoją kapitańską skrzynię i teraz układał przyrządy nawigacyjne na półkach zrobionych w tym celu przez cieślę. Złożył kapelanowi niski ukłon i ucałował srebrny krzyż, który ten miał na sobie.

- Synu mój - rzekł ksiądz Antonio - mam ci coś do powiedzenia w imieniu mego przełożonego, księdza wikariusza.

Chodzi mianowicie o to: Najwyższy Trybunał Świętego Officium sądził ostatnio dwóch bogatych kupców z Limy, uznał ich winnymi nawrotu do przekłętej herezji luterańskiej, niczym psy wracające do swych rzygowin...

- Niestety, wielbny ojciec - zawołał Pedro Fernandez wciągając go do Sali Map, zamykając drzwi i padając na kolana. - Czyś przybył, aby

robić mi wymówki? Skąd się dowiedziałeś, że byłem zamieszany w ich niegodziwości?

- Twoje własne sumienie oskarża cię, nie ja; ale niechże wysłucham twej spowiedzi.

- Ojcze, zgrzeszyłem. Wyznaję, że zawarłem porozumienie z pewnym urzędnikiem celnym tutejszego portu i przemycałem doń na prośbę przyjaciół niewielkie ilości towarów, a ten urzędnik przepuszczał je za opłatą. Praktykuje się to tutaj powszechnie, a ponieważ człowiek ten ma bardzo niskie pobory i nie może utrzymać rodziny bez brania łapówek, więc nigdy nie miałem wyrzutów sumienia robiąc to, co robią inni. Ale winą, o którą się oskarżam, było to, że zgodziłem się przemyścić ciężką pakę dla tych luteranów, o których wiedziałem, że już raz sądzono ich za herezję; miała zawierać rejestry i kwity, a ja, choć wiedziałem, że takie papiery nie są kontrabandą, zagłuszyłem w sobie podejrzenia i zrobiłem, o co mnie prosili. Potem, gdy dowiedziałem się, że dopomogłem w przeszmyglowaniu Pisma świętego drukowanego w Amsterdamie w gminnym języku, czułem się tak, jakby kula prześliznęła mi się po czaszce i zerwała z głowy kapelusz. Co by było, gdyby inspektor ceł przyłapał mnie z tymi książkami? Bóg był dla mnie bardzo litościwy: mogłem przecież łatwo spłonąć w miejsce tych heretyków. Rozgrzesz mnie, ojcze.

- Synu mój, coś uczynił z zyskami z tego wstrętnego procederu?

- Zwróciłem je Bogu, wielbny ojcze. Co do jednego maravedí rzuciłem je do jałmużniczej puszeki u Klarysek.

- Rozgrzeszam cię - rzekł ksiądz Antonio. - Za pokutę zmówisz pięć Ojcze nasz i pięć Zdrowaś Mario, i pomodlisz się w mojej intencji. Teraz wzbudź w sobie głęboki akt skruchy... Więc, jak miałem ci powiedzieć: z tych dwu heretyków, jeden na torturach wyznał swoją winę i żałował za nią; ten ujdzie z życiem, choć straci cały swój majątek. Drugi jednak trwa uparcie w swoich błędach, twierdząc, że skoro musi umrzeć, chce umrzeć w wierze luterńskiej; a że ciało jego musi

spłonąć, nie uduszą go przedtem, lecz przyprawią mu brodę z paproci.

- Jak powiedziałeś, wielbny ojcze?

- Nie wiem, jakie są obyczaje w twoim kraju, ale w Peru, podobnie jak w Hiszpanii, nim rozpalimy stos w czasie *auto da fé*, wznosi się okrzyk: „Przyprawić temu psu brodę!”, co następnie wykonuje się przykładając heretykowi pęki płonących paproci do podbródka, póki się całkiem nie zwęgłi. Widok to zaiste okrutny i straszliwe przypomnienie o losie czekającym tych, co wiedą gorszące życie i umierają bez spowiedzi. Jednakże ognie czyszcące są tysiącokrotnie gorętsze od wszelkich ogni na tej ziemi i palą się bez przestanku aż do dnia sądu ostatecznego. Jako umartwienie wikariusz ślubował stać przy stosie w najbliższą niedzielę i pragnie gorąco, by załoga statku udała się z nim razem do Limy. Widowisko takie zdusiłoby w kolebce niejednego młodego grzech zrodzony z lekkomyślności, który inaczej mógłby doróść lat męskich i posłać duszę na męki. Prosi cię przeto, mój synu, zrób wszystko, co w twojej mocy, aby odłożyć nasz odjazd do poniedziałku, a Bóg ci to wynagrodzi.

- Ależ, wielbny ojcze - powiedział główny nawigator - generał wydał mi rozkaz jak najszybszego przygotowania się do wyruszenia w podróż w piątek. Wczoraj wieczór pieniał się na niedbalstwo dostawców, którzy do tej pory dostarczyli nam tylko połowę potrzebnych prowiantów, i złażał mnie za to, że zapasowe żagle i liny zapłacone z mojej własnej kiesy - które miano przywieźć dziesięć dni temu, jeszcze także nie są na miejscu. Ze względu na moją chorą żonę sam dałbym chętnie sto pesos za dalszy tydzień zwłoki, póki gorączka się nie przesiłi. Ale generał ma rację, że się spieszy; wiatry południowo-wschodnie mogą nas zawieść, jeśli bodaj trochę odwlecemy wyjazd. Przedłóż, ojcze, prośbę twego zwierzchnika generałowi, jeżeli chcesz, ale proszę cię, nie wymieniaj mnie przy tym, aby nie podejrzewał mnie o skryte pobudki osobiste; nie śmiem narazić się na utratę jego zaufania.

Ksiądz Antonio zmarszczył brwi i powiedział:

- Jest jeszcze jedna drobna sprawa, w której możesz okazać wdzięczność Bogu.

I opowiedział z rozżaleniem o ciemnej rupieciarni, która miała służyć wikariuszowi za prywatną kaplicę i mieszkanie zarazem.

- Ale, wielebny ojcze, co ja mogę zrobić? Przydział kwater to sprawa oficera rachunkowego. Omal nie postradał zmysłów starając się znaleźć godziwe pomieszczenie wszystkim ważnym osobom na tym okręcie tak przepełnionym żołnierzami, marynarzami, towarami i żywym inwentarzem. Dopóki nie spodoba się Bogu doprowadzić nas zdrowych i całych na Wyspy, każdy musi się pogodzić z nader wielką niewygodą. Powiększenie prywatnych składów generała uszczupliło pomieszczenia mieszkalne; w tym leży cały kłopot.

- Nie widzę, mój synu, abyś sam miał cierpieć niewygodę. Nie byłoby to pobożnym i miłosiernym uczynkiem zamienić twoją przestronną kabinę z wikariuszem, starym człowiekiem, który kaszle całą noc jak kot z ością w gardle, a tak jest świątobliwy, że nigdy nie poprosi o nic lepszego niż to, co mu dano?

- Z chęcią odstąpiłbym swoją kwaterę - rzekł główny nawigator - i zamieszkał ze zwykłymi majtkami na dzióbówce, choć leżą tam ciasno jak solone sardynki w beczce. Nie zapomniałem, że zanim awansowałem na zawiadującego ładunkiem i pomocnika sternika, służyłem sześć lat jako prosty majtek. Teraz jednak, kiedy jestem zarówno kapitanem tego okrętu, jak głównym nawigatorem całej flotylli; miejsce moje jest w kapitańskiej kajucie, gdzie przynależą te przyrządy nawigacyjne i gdzie mam stół, na którym mogę rozpostrzeć mapy; mój pokój musi się też łączyć z kajutą generalską, aby generał mógł wezwać mnie w każdej chwili, jak również musi być o jeden skok od pokładu szańcowego. Ponieważ jednak wszystkie kajuty są pełne, a raczej przepełnione, zgodziłem się dzielić moją kwaterę z sekretarzami generała. Więcej lokatorów przyjąć już nie mogę. Jeśli wasza kabina nie pomieści

was obu, czy wolno mi pokornie zaproponować ci, ojcze, byś poprosił o pozwolenie płynięcia na galeocie, gdzie nie ma żadnego kapłana?

- Wikariusz nie może się beze mnie obejść, mój synu, i dalibóg, twoje wymówki nie świadczą o zbytnej pobożności. Czyż przybory żeglarskie mają być bardziej honorowane od kościelnych?

- Nie wymawiam się, wielebny ojcze; wyjaśniam tylko okoliczności. Idź do generała, idź koniecznie i poproś go o tę zamianę; jeśli się zgodzi, usłucham go.

Zacny ksiądz odszedł bardzo niezadowolony, a spotkawszy Murzyna, sługę oficera rachunkowego, kazał mu oprowadzić się po kabinach i innych pomieszczeniach mieszkalnych. To, co mówił Pedro Fernandez, okazało się jednakże prawdą: okręt był przepełniony, i nawet kajuta, którą pułkownik miał dzielić ze swym bratankiem i czterema innymi oficerami wojskowymi, wydawała się ciemna i duszna jak loch. Kiedy jednak Murzyn powiedział mu, że najlepsza ze wszystkich kabin, oprócz kabiny Barretów, przydzielona została zwykłemu kupcowi-spekulantowi, don Juanowi de la Isla, ksiądz natychmiast udał się z protestem do doni Izabeli.

Doña Izabela okazała mu wiele szacunku, ale mało zrozumienia. Wyjaśniła, że don Juan, stary znajomy generała i weteran wojen filipińskich, dał większy wkład w przedsięwzięcie niż ktokolwiek inny w całej flotyli, wyjąwszy jej męża, oraz że miał dzielić swą kabinę ze swoją żoną i córką, których jako kobiet dobrego rodu nie można było umieścić nigdzie indziej. Co do dwu pozostałych kupców, zainstalowanych w mniejszej kabinie obok, to dali się oni tylko z największą trudnością namówić do udziału w wyprawie.

- Gdyby teraz okazać im najmniejszą nieuprzejmość - powiedziała - mogliby się rozmyślić i wysiąść z powrotem na ląd.

- Jeśli przybyli niechętnie, nic by to nie zaszkodziło, córko moja; a gdyby ta kabina się zwolniła, mogłaby służyć wikariuszowi, który jest stary i ma ciężki kaszel.

Uśmiechając się trochę złowrogo doña Izabela odparła:

- Drogo trzeba by zapłacić za kabinę tych kupców, wielobny ojczu. Cała wieprzowina i wszystkie suchary znajdujące się na statku są ich wkładem, jak również połowa wina. Czemu narzekasz na swoją kwatery? Nie ze względu na siebie, ręczę; biskup twój mówił mi, że jesteś przyzwyczajony do ubóstwa i trudów. Czy ze względu na twój przełożony? Nie przynosiłoby mu to zaszczytu, skoro jest to podobno człowiek pobożny i franciszkanin z ducha, choć nie nosi habitu. Czy też może ze względu na naczynia liturgiczne, szaty kościelne i tym podobne? Ale czyż sam nasz Zbawiciel w nieskończonej łasce Swojej nie zgodził się rezydować w stajence, w oślim źłobie, a Najświętsza Panna z Nim razem?

Słowa te, choć odpowiedzi na nie nie było, nie zadowolily księdza Antonia, jako że pochodziły od kobiety, toteż postanowił przedłożyć sprawę generałowi. Nie on też jeden miał zażalenia co do zakwaterowania, więc oficer rachunkowy, napastowany przez tłum rozgniewanych ludzi, skrył się pod pokładem, gdzie woda z dniska cuchnęła tak okropnie, że nie potrzebował bać się pościgu. Kiedy ujrzałem go znowu, wyglądał, jakby miał porządne mdłości, ale rzekł do mnie filozoficznie:

- Śmierdząca woda z dniska jest dobrą ochroną.

Na koniec werble obwieściły wejście generała na pokład. Nie podejrzewał żadnych kłopotów, jak człowiek, który z pogodą spogląda w niebo, a tymczasem stawia nogę w gniazdo os. Pedro Fernandez powitał go pierwszy i podczas gdy wchodzili razem na pokład szancony, gdzie czekała doña Izabela, usiłował wytłumaczyć, co zaszło pomiędzy nim a pułkownikiem, dodając, że nie życzy sobie płynąć w podróż z szaleńcem i woli zostać w Peru, choćby to miało oznaczać stratę owych tysięcy pesos, które włożył w przedsięwzięcie. Bracia doni Izabeli wzięli jego stronę przeciw pułkownikowi i obstawali przy tym, że bez Pedra

Fernandeza obejść się nie można; na zdolnych oficerach wojskowych nam nie zbywa, twierdzili, on natomiast jest najlepszym nawigatorem w Peru, i nie tylko w Peru. Niech pułkownik powiesi się czy utopi, jest im to obojętne, lecz honor nie pozwala im popłynąć w podróż razem z żołnierzem, który obraził ich siostrę, i rozstać się z żeglarzem, który bronił jej ryzykując własne życie.

Generał jęknął i załamał ręce.

- Bracia - powiedział - nie wiecie, czego żądamie. Pułkownika mianował wicekról, i tak samo nie mogę go odprawić, jak nie mógłbym podrzeć jego królewskiego patentu. Jeśli uczynimy cokolwiek przeciwko niemu, jego kuzyn nadzorca portu Callao dowie się o tym od razu i każe dozorcóm doków opóźnić nasz załadunek prowiantów; a gdybyśmy nawet byli na tyle lekkomyślni, by wyruszyć z niekompletnymi zapasami, po przybyciu do Paity moglibyśmy snadnie się przekonać, że wiadomość dotarła tam przed nami i że nie otrzymamy owych osiemdziesięciu arkabuzów, które kapitan portu ma nam wydać. Uspokójcie się, błagam was! Pedro Fernandezie, przyjacielu mój, jesteś człowiekiem rozsądnym i musisz zdawać sobie sprawę, że to ja, nie pułkownik, dowodzę tą wyprawą. Ręczę ci słowem honoru, że jeśli zgodzisz się zostać, będą zastosowane odpowiednie środki zaradcze.

Ale czekał jeszcze ksiądz Antonio ze swoją skargą o kabinę, jak też żądaniem odłożenia wyjazdu. Generał wyraził mu współczucie i powiedział, że choć nie może ani powiększyć okrętu, ani zmienić przydziału kwater, jednakże, kiedy dopłyną do Wysp, da wikariuszowi wszelką pomoc w wybudowaniu wspaniałego kościoła i plebanii, które będą miały pierwszeństwo przed wszystkimi innymi budowlami. Zgodził się nawet wysłać posłańca do wicekróla z prośbą o pozwolenie odłożenia odjazdu, choć twierdził, że nie ma nadziei na pomyślną odpowiedź.

Tegoż wieczoru Juarez Mendés i Matia Pineto, dwaj chudzi jak szczapa żołnierze, trzymali straż pod drzwiami kajuty generalskiej, a dotrzymywał im towarzystwa Jaime Bonet, szafarz wody. Trójka ta tworzyła ścisłą juntę, ponieważ byli to jedyni ludzie na pokładzie - poza generałem i jego Murzynem Mynem - którzy brali udział w poprzedniej wyprawie, kiedy odkryto Wyspy Salomona. Siedzieli po turcku w korytarzu grając leniwie w karty i popijając cziczę; ale głównie wspominali wydarzenia, w których uczestniczyli, i wymieniali uwagi o nowych towarzyszach podróży. Generał i doña Izabela spędzali noc na ładzie, a głównego nawigatora też nie było, gdyż pielęgnował swoją chorą żonę. Czy ci trzej nie wiedzieli, że leżą tuż obok w Sali Map i słyszę każde ich słowo, czy też wiedzieli i nie dbali o to - nie umiem powiedzieć. Nadstawiałem uszu co siła, gdyż ludzie ci dużo wiedzieli, lecz nie byli skorzy do wypowiedzania swoich poglądów, chyba tylko gdy sobie podpili. Usłyszałem, jak Juarez pyta:

- Ty na czym chcesz zarobić, Matia?

- Dłuta, noże, brzytwy, igły i tym podobne; mam tego za piętnaście pesos: kramik wędrownego handlarza, który kupiłem w głębi ładu miesiąc temu.

- Kupiłeś! - wykrzyknął Juarez z niedowierzaniem.

- Za żołnierską modlitwę i błogosławieństwo, nie mówiąc o byczej pycie, którą przetrzepałem mu z kurzu ubranie. Dzikusy zapłacą mi całego świniaka za jedną jedyną igłę. Któregoś dnia zobaczycie mnie otoczonego wieprzami, jak syna marnotrawnego, ale z lepiej wypchanym kałdunem. Za każde zaś dłu to pełny worek złotych grudek: oto moja cena. A ty co wiesz, sprzedawco baraniny?

- Trzydzieści jardów lontu do arkabuzów, wypożyczone z królewskiego arsenału przez znajomka, któremu zostawiłem w spadku moją bogdanę.

- Co dzikusom po loncie, jeśli nie sprzedasz im także swojej hakownicy i różka z prochem, czego przecież nigdy nie zrobisz?

- Ten lont nie jest dla nich, półgłówku! Nasza pierwsza wyprawa, choć daleko lepiej zaopatrzona niż obecna, nie udała się z braku lontu. Na tych wyspach życie człowieka zależy od tego, czy jego lont stale się pali, i zapamiętaj moje słowa, Matia: przyjdzie czas, kiedy gotów będziesz zamienić wszystkie swoje czarne wieprzaki, i worki z grudkami złota także, za pasemko knotu...

- Wpierw zadusiłbym cię tym knotem, ty Żydzie. Ale, Juarezie, czy pamiętasz ten dzień na Malaicie, kiedy napadli nas Indianie, a ja zakatrupiłem tego starca z siwymi włosami zaplecionymi w sznurki? Na Mękę Pańską, jak ten bękart walczył, choć cała reszta uciekła, gdy otworzyliśmy ogień! Szkoda, Jaume, żeś go nie widział! Stał naprzeciw nas sam jeden ze swoją włócznią i tarczą, z wielką krwawiącą raną na udzie. Czterech naszych tarczowników rzuciło się na niego, ale bronił się jak szatan rozdając straszliwe ciosy w ich puklerze tą swoją nędzną włócznią, która, gdyby miała stalowe zakończenie, poprzebiłaby ich na wylot, i osłaniając się przed cięciami ich szpad swoją drewnianą tarczą, póki nie rozsiekali jej na pięćdziesiąt kawałków. I nawet kiedy dostał od nas ze dwa dobre cięcia w ramiona i sztych w bok, ten czarny diabeł bił się dalej, aż dopiero ja załatwiłem go ciosem, który omal nie rozplątał mu czaszki i powalił go na ziemię, a to, co pozostało z jego włóczni, wypadło mu z ręki.

- Alboż kiedy o tym zapomnę? - rzekł Juarez. - Don Hernando Enriquez kazał nam nie czynić mu więcej krzywdy, a ten, choć konał, choć krew strumieniami zalewała mu twarz, to jeszcze próbował wstać i macał ręką szukając resztek włóczni, ale nie mógł jej znaleźć i zwałił się na nowo. Nie zapomnę też nigdy twojej twarzy, Matia, kiedy niebawem odważyłeś się podejść do niego blisko, a on cisnął ci tak jadowite spojrzenie, że odskoczyłeś wstecz o trzy kroki, i próbował jeszcze raz podnieść się przeciwko tobie, ale nie mógł, więc wyrwał

garść trawy i tę cisnął... Tylko bronią palną można opanować tych pogan. Twierdzą dalej, że mój lont to najlepszy interes. - Jaume - dodał po chwili - jesteś dzisiaj zasępiony. Jeszcze kubek, bracie, i powiedz nam, co sądzisz o tym statku i jego załodze.

Nastąpiło milczenie, w czasie którego Jaume pił, po czym z wolna powiedział.

- Moim zdaniem, stary zbójcu, nasz „San Geronimo” jest całkiem niezły; nie ustępuje żadnemu z wybudowanych w Peru okrętów, na jakich pływałem, choć wszystkie one w sztormie są niezdarne i niedobrze znoszą, jak się je podnosi do wiatru. Wszedł ze stoczni w Guayaquil nie dawniej niż dwa lata temu i widziałem, jak główny nawigator lustrował go od bukszprytu do latarni na rufie i od stępki do szczytu masztów i gwarantował, że jest dobry. Temu człowiekowi można wierzyć, to lizboński szczur stoczniowy i żeglarz po czubki palców, a przy tym lepiej wychowany od niejednego markiza. Załoga jest także całkiem dobra; a co do don Mareosa Marina, to nigdy nie służyłem pod lepszym bosmanem. Cóż więcej potrzeba mówić?

- Dużo, Jaume. W tamtej naszej podróży nie mieliśmy ani jednej kiecki na pokładach, prócz tych pięciu dzikusów, które porwaliśmy tuż przed powrotem; a zresztą generał zamknął je pod pokładem oddając klucz od ich kwatery Fray Franciscowi. A teraz ci? Ten okręt można by równie dobrze nazwać pływającym zamtuzem; słyszę - i wierzę temu chętnie - że co najmniej połowa dziewczyn tym sposobem zarabiała na życie. Gdzie są kiecki, tam są kłopoty, powiadam. Bo kto potrafi je utrzymać w ryzach? Nawet księża tego nie potrafią. Nawet sam Pan Bóg.

- Co do tego nie mam żadnych obaw. Generałowa ma zimne niebieskie oczy, którymi umie wymóc posłuszeństwo, a jej pokojówka Elwira mówi mi, że jeśli tylko najmniejszy powiew zgorszenia dojdzie do jej uszu, potrafi kazać wychłostać dziewczkę niemal na śmierć, a biednego nierządnika pławić pod stępką. Do rządzenia babami trzeba baby,

a generałowa to tygrysyca, jakiej świat nie widział. Niech się ma na baczności ten, co jej wejdzie w drogę; co do mnie, nauczyłem się ściągąć czapkę ze łba na pół mili naprzód, kiedy widzę, że się zbliża, i stygnąc w unizonej pozie pół godziny po jej przejściu.

- Jakże to się stało, na Boga, że się generał z nią ożenił?

- Przyjechała z Hiszpanii jako dama do towarzystwa małżonki wicekróla na tym samym statku co i on; jest córką don Francisca de Barreto, wielkorządcy Angoli, który umarł, jak powiadają, szukając złota w afrykańskich górach. Złota mucha ukąsiła widać także donię Izabelę, a jej chciwość równa jest jej odwadze. Elwira mówi, że nieraz marzy ona o kąpieniu się w rzekach złota, jak król Bogoty. Kiedy dowiedziała się o patencie don Alwara, bardzo prędko postarała się, by połknął jej haczyk. Według mnie, gdyby nie ona, generał poprzestałby na dawnych laurach i spędziłby resztę życia w swoim majątku w Guanaco. I wiem jedno: użyła swego wpływu u wicekrólowej, żeby wyprawa doszła wreszcie do skutku, i zmusiła starego do sprzedania lub zastawienia wszystkich jego ziemskich dóbr na wykwapowanie, sama zaś werbowała kupców-spekulantów, żeby uzyskać brakujące sumy. Ty rozdajesz karty, Matia, ale pamiętaj o starej przyjaźni. Twoje ręce ruszają się trochę za prędko jak na mój gust.

- Ejże, Jaume, wiesz chyba, że ciebie nigdy bym nie ograł! Przysięgam, tak cię kocham, ty dziwkarzu z Majorki, że jeśli zapłacisz mi jedne pół peso, nauczę cię całej sztuki rozdawania kart. Gwarantuję, że w trzy dni zrobię z ciebie fachowca i nigdy do końca życia nie będziesz już cierpieł biedy.

Jaume chrząknął z powątpiewaniem, ale Juarez powiedział:

- Czego chrząkasz jak świnia, człowieku? To całkiem wspaniałomyślna oferta. Matia jest największym w świecie artystą, kiedy chodzi o kombinacje z kartami. Jego specjalność to primero, a ja jestem jego wiernym uczniem. Pół peso, żeglarzu, to tyle co nic, a za tę sumę nauczy cię zerkać szybko na spodnią kartę, wtasować ją tam,

gdzie będzie najpotrzebniejsza, a potem dać sobie pewniaka. Sztuka polega na tym, żeby dać współnikowi pięćdziesiąt dwa punkty, a potem schować w dłoni asa i samemu mieć pięćdziesiąt pięć albo, jeżeli wolisz, sobie na czysto pięćdziesiąt cztery, tak żeby wygrać czy to na karty, czy na punkty. Daj drugie pół peso mnie, Jaume, to nauczę cię dobrać trzy karty, a zrzucić tylko dwie bez obawy, że cię na tym nakryją. Ilekroć Matia i ja gramy razem - oczywiście nie z takim starym kolegą jak ty - gramy sobie rączka w rączkę niczym para braciszków zakonnych i dzielimy się zyskami. A oto jak kombinujemy: jeden z nas bądź podnosi dobre karty już rzucone i kładzie je ukradkiem na wierzch, tak żeby współnik je dobrał, albo też wymienia talię na inną, odpowiednio ułożoną, podczas gdy współnik odwraca w jakiś sposób uwagę grających. Łatwa robota, żeglarzu. Wejdz z nami do spółki, potrzebujemy trzeciego.

- Dziwi mnie, że skoro tacy z was sztukmistrze, możecie zmusić się do uczciwej gry ze mną.

- Ależ, Jaume, to tak jak byś się dziwił, że będąc żołnierzami z zawodu nie okradamy domów naszych najbliższych krewnych.

- Tak, w tym się nie mylisz, Juarezie. Mógłbym to równie dobrze powiedzieć znając reputację, jaką wyrobiliście sobie w czasie ostatniego krwawego buntu.

Żołnierze roześmiali się hałaśliwie i po nowej kolejce cziczcy powrócili do rozmowy o generale. Matia zapytał:

- A co ty o nim sądzisz, Jaume? Według Juareza nie jest on już zgoła tym, któregośmy znali; ale po co to mówić? Jest o pół wieku starszy, zgoda, ale i ty się zestarzałeś, i ja także.

Nie wiem, jak jest z wami, koledzy, ale ja, choć kapkę wolniej się ruszam i łatwiej mi się zasapać, za to celniej strzelam z arkebuza; a chodem mniej niez mordowany w pogoni za spódniczkami, to przecie, gdy którą złapię, potrafię dogodzić jej równie dobrze jak dawniej albo i lepiej; i jeśli nie nauczyłem się mądrości, to przynajmniej umiem unikać pozorów głupoty. Czy mam sądzić, że generał przez te lata

więcej stracił i mniej zyskał niż ja?

- Jeżeli o to chodzi - powiedział Jaume - Elwira mówi, że ślubował czystość na cały czas trwania wyprawy i starał się namówić don Juana de la Isla, kapitana artylerii i pozostałych żonatych mężczyzn, żeby zrobili to samo. Czyni to pod pretekstem pobożności, ale sądząc z tego, co mówi Elwira, której pani tak samo zwierza się ze wszystkiego jak ona mnie, generał, niegdyś cieszący się wspaniałą reputacją jako galant, już od lat nie obdarza swojej małżonki należnymi jej czułymi atencjami. Bardzo możliwe, że to właśnie jest przyczyną jej niepokojów i gwałtownych humorów - największy głupiec widzi po jej ruchach i figurze, że to pełnokrwista kobieta, a jeśli wierzyć Elwirze, nigdy dotąd nie wzięła sobie kochankę, choć niejednego szlachcika wyczerpała wszystkimi siłami, żeby ją uwieść. Moim zdaniem, generał cierpi już na uwiad starczy; soki nie idą już w górę, liście opadają. Ufam tylko, że odwaga i determinacja, jakie wykazywał, kiedyśmy go poznali, niezupełnie go jeszcze opuściły.

- Amen, powiadam na to - rzekł Juarez. - Widywałem go jednak raz po raz w ciągu lat dzielących nas od tamtych czasów, i w moim przekonaniu nie przyszedł nigdy do siebie po owej sprawie w Panamie. Zapewne nie znacie tej historii. Otóż kiedy po raz pierwszy próbował uruchomić tę wyprawę, będzie ze dwadzieścia lat temu, udając się tutaj przejeżdżał przez Panamę z ochotnikami, których zwerbował w Hiszpanii, a pośród których i ja się znajdowałem. Na nabrzeżu, gdyśmy zeszli ze statku, jakiś śledziennik, urzędnik celny, skonfiskował mój kuferek twierdząc, że znalazł w nim kontrabandę. Znacie mnie, nazwałem go łajdakiem i złodziejem i zagroziłem, że wybiję mu zęby kolbą hakownicą. Inspektor w jednej chwili kazał mnie aresztować, a wówczas wszyscy moi koledzy pobiegli do miasta, żeby poskarżyć się prezydentowi, który okazał się obrzydłym karaluchem nazwiskiem doktor Loarte.

- Loarte? To chyba ten jegomość, który uwiódł swoją pasierbicę, żeby nie mogła wyjść za mąż i zabrać ze sobą swojego majątku.

- Łatwo mi w to uwierzyć; miał szubienicę jasno wypisaną na całej twarzy. Nie tylko poparł inspektora, który popierał urzędnika, ale wysłał oddział wojsk w celu aresztowania generała jako przywódcy rozruchów, a potem, by zrobić na złość jego stryjowi, którego nienawidził za to, co na niego napisał jako członek Rady do Spraw Indii, kazał odprowadzić generała do pospolitego więzienia (gdzie mnie już przedtem zamknięto) i rzucić pomiędzy śmierdzących Murzynów i ospowatych Indian. Ludzie z portu trzymali naszą stronę na tyle, na ile śmieli, i okazywali swoją nienawiść do tej gadziny w kryzie, tego prezydenta; bali się jednak Sądu Najwyższego, który był przez niego opanowany. Tylko jeden człowiek wystąpił w obronie generała: tenże Juan de la Isla, który teraz z nami jedzie. Przekonał on doktora Loarte, że trzymanie w więzieniu szlachetnie urodzonego Hiszpana z patentem królewskim w kieszeni jest obrażą samego króla Filipa; niebawem więc przeniesiono generała do ratusza, gdzie don Juan oddał mu do dyspozycji swoją kieszę - bo skonfiskowano mu wszystko, co posiadał - i w tydzień później byliśmy obaj wolni i mogliśmy ruszyć dalej w podróż. Otóż twierdzę, że coś w duszy generała - jakaś skrzydlata istota wielkiej szlachetności - otrzymało w tym więzieniu śmiertelną ranę i przetrwawszy jeszcze parę lat w niesprzyjającym powietrzu Peru zginęło na zawsze. Uważam w samej rzeczy, a tu obecny Jaume potwierdzi mój pogląd, że choć generał może odegrać rolę przywódcy tej wyprawy z godnością i odwagą, chodzi on już jak ktoś stąpający po przeznaczony mu drodze do grobu lub na szubienicę. Tym, co go popycha, nie jest jego własna wola, lecz wola doni Izabeli, która, kiedy tylko wylądują na Wyspach i wezmą je w posiadanie, stanie się wielką właścicielką ziemską i zacznie paradować w złotych pantofelkach. Serdecznie mi żal jej poddanych i dzierżawców. Daj cziczy, Jaume! O tych rzeczach nie-dobrze jest rozmyślać.

Koledzy nie zdawali się zwracać wiele uwagi na jego słowa.

- Nie, nie, Jaume, nie w ten sposób - łątał Maria. - Twoje palce to same kciuki, żeglarzu. Daj, pokażę ci jeszcze raz, jak się podmienia wierzchnie karty.

- Palce mam za stare i nazbyt przywykłe do uczciwości, żeby teraz nauczyć się złodziejskiego rzemiosła gderał Jaune.

- I tak się nie chowa asa, człowieku! Pukałeś do wszystkich drzwi po kolei niczym kapelan wikariusza.

ROZDZIAŁ IV

WYJAZD Z CALLAO

Nie zapomnę nigdy naszych trudów i utrapień w ów czwartek, ostatni pełny dzień, jaki pozostał nam na załadunek zapasów. Mieliśmy teraz przymało rąk do pracy: piętnastu majtków zwerbowanych na wyprawę zdezerterowało w ciągu nocy, zapewne zdecydowawszy się na to pod wrażeniem gwałtownego starcia pomiędzy pułkownikiem a głównym nawigatorem - i sam zaczynałem podzielać ich pogląd, że nie jest to okręt, na którym dobrze jest płynąć do nieznanych krańców świata. Co więcej, oficer rachunkowy, don Gaspar Iturbe, przekonał się ku swojej konsternacji, że choć lista naszych zapasów była imponująca, aż nadto dostateczna na sześć miesięcy i więcej, choć obejmowała mnóstwo pozycji, jak na przykład piły, topory, łopaty, motyki, i przenośną kuźnię do budowy osiedla, nie mówiąc już o dzwonkach, lusterkach, paciorkach, kolorowych chustach, jedwabnych czapeczkach, niemieckich nożach i innych drobiazgach wysoko cenionych przez dzikich - to jednak dotychczas dostarczono na pokład tylko dwie trzecie żywności oraz mniej niż jedną trzecią narzędzi i towarów. Kiedy poszedł z pretencją do dostawców, dowiedział się, że generał nie zdołał wpłacić dość pieniędzy, aby zapewnić sobie resztę, i że nie mają zaufania do jego weksli, chociaż popartych królewską gwarancją. Na każde pięć wypraw na Morza Południowe cztery chybiały celu, i choć mieli prawo przedstawić skarbowi swoje roszczenia, zaspokojenie ich mogło trwać długie lata; obiecali więc, ale nie wywiązali się z obietnicy.

Istotnie, choć generał zapłacił za okręt „San Geronimo” i przyczynił się do zakupu dwóch innych okrętów zastawiając dochód ze swojego majątku, jak również zdołał nabyć trochę błyskotek dla Indian, parę sztuk bydła dla zapoczątkowania jego hodowli na Wyspach oraz urządzenia do wytapiania szlachetnych metali, to jednak na tym się zatrzymał. Zażądał od wszystkich nawigatorów, aby sami postarali się o swoje przyrządy nawigacyjne, a nawet, by pożyczili mu pieniądze na zakup zapasowych żagli, słupów masztowych i lin; co do żołdu majtków i żołnierzy, wypłacany miał być ze skarbu państwa, z wyjątkiem około pięćdziesięciu ochotników, którzy służyli na zasadzie umowy, że otrzymują posiadłości na Wyspach.

Oficer rachunkowy ostrzegł mnie, bym nie mówił żywej duszy, że generał nie wywiązał się ze swego wkładu w przedsięwzięcie; nie tylko zmniejszyłoby to jego autorytet wśród załogi, ale wywołałoby wielkie niezadowolenie naszych kupców-spekulantów, którzy nie wiedzieli też jeszcze, że obciążono ich całym kosztem zaprowiantowania okrętu flagowego ani że wciąż brakuje koniecznych zapasów.

- Bądźmy sprawiedliwi - rzekł don Gaspar - i przynajmniej, że wina nie spada w całości na niego. Dwadzieścia lat temu własnym sumptem zakupił galeon z Corunny naładowany towarami i ochotnikami; ale prezydent Panamy i wicekról Peru sprzysięgli się przeciwko niemu, tak iż musiał sprzedać towary z wielką stratą i zapłacić odprawę ochotnikom i od tej pory stale jest w długach. Nie mam więc serca obwiniać don Alwara.

Obiecałem trzymać język za zębami, ale gdy zobaczyłem, jak obficie prywatna spiżarnia generała zaopatrywana jest w oliwę, suszone mięsa, pęcherze pełne szmalcu, beczki małmazji i madery, słoje miodu, puszki konfitur z pigwy, wory białej mąki i tym podobne, zacząłem się mocno zastanawiać. A kiedy doña Izabela weszła tego wieczoru na pokład w sztywnej brokatowej sukni z brylantowymi guzami, w złotej

bransolecie gęsto wysadzonej pięknymi szmaragdami, z których każdy był wielkości dużego paznokcia, w kolii tego samego wzoru i z pierścieniem rubinowym na małym palcu, wartości co najmniej dziesięciu tysięcy pesos, oprócz kosztownych kolczyków i innych klejnotów, zatrzęsło mną oburzenie.

- Don Casparze - powiedziałem do oficera rachunkowego - generałowa powinna się wstydzić paradować w bogactwach, które można było zastawić na zakup tak potrzebnych zapasów.

- Cicho bądź, człowieku! - odparł. - Odziedzyczyła te klejnoty po matce, a jak ci powie każdy, kto dobrze zna świat, gdy szlachcianka raz zacznie zastawiać biżuterię lub pozwoli mężowi robić to za nią, traci dumę i zadowolenie z życia i widzi się od razu w łachmanach, żebrzącą na stopniach katedry. Generał nigdy nawet nie napomknąłby, aby je poświęciła; zresztą przysłużyły nam się nieźle. Doña Izabela potrafiła zdobyć zapasy na potrzeby męża bez uszczerbku ani dla niego, ani dla siebie, ponieważ wielu bogatych Andaluzyjczyków z Limy, choćbyś tego nie przypuszczał, jest ludźmi o rycerskich sentymentach, to znaczy głupcami. Kiedy szlachetnie urodzona i piękna dama wchodzi do kantoru i pewnym siebie ruchem wręcza kupcowi spis towarów potrzebnych do zaopatrzenia kajuty generalskiej na okręcie, którym ona i jej mąż wyruszają na Morza Południowe w poszukiwaniu złota i pereł, i nie targuje się przy tym, lecz tylko żąda natychmiastowej dostawy, co wtedy, człowieku? Ano, kupiec zgadza się jakby w transie, olśniony jej uśmiechem i łaskawością, przyjmuje jej weksel bez obawy i nawet nie zauważa, że termin spłaty nie jest na nim podany. Wykonuje zamówienie, bo honor mu nie pozwala nie dotrzymać słowa (czyż nie zwracała się do niego per „szlachetny panie”?), a potem uspokaja swoje kupieckie sumienie mówiąc sobie: „Mogę być pewny, że odzyskam swoje pieniądze. Miała na sobie biżuterię wartości czterdziestu tysięcy pesos, a towary te są dla niej, co czyni dług jej długiem honorowym”. Mimo to nie jest taki głupi, żeby pokazać weksel żonie, która z

pewnością obdarłaby go żywcem ze skóry, gdyby wiedziała, co zrobił.

Widzisz więc, mały Andresie, że jej klejnoty zarobiły na sobie i możemy podziwiać je bez urazy. Możesz zaś być pewien, że jeśli z powodu niesprzyjających wiatrów dłużej, niż się przewiduje, pozostaniemy na morzu i z prowiantami zrobi się krucho, don Alwar zaspokoi nasz głód i pragnienie ze swoich prywatnych zapasów. Jest to człowiek współczujący i słyszałem, że w czasie pierwszej podróży z zasady jadał i pijał nie lepiej niż zwyczajny majtek; tak, a w chwilach niebezpieczeństwa szedł dobrowolnie pod rozkazy bosmana i odrabiał kolejkę przy pompach, a nawet pomagał ściągać żagle.

Flotyllę naszą uzupełniały trzy mniejsze statki. Galeon „Santa Ysabel”, o wyporności około stu dwudziestu ton, był zniszczonym starym gratem, który dowódca jego, kapitan Lope de Vega, kupił za bezcen w imieniu swoim i generała. Galeota „San Felipe”, piękny okręcik o wyporności siedemdziesięciu ton, był w całości wkładem kapitana Felipe Corzo, który nim dowodził. Pięćdziesięcotonowa fregata „Santa Catalina”, której dowódcą był kapitan Alonzo de Leyva, została zakupiona przez pewnego kupca z Limy, ale generał był w jednej trzeciej jej właścicielem, jak również pełnomocnikiem kupca; był to statek, zużyty i wywrotny, z wygiętym w środku kilem i zagrzybionymi nadbudówkami. Powinno się go było dawno porąbać na opał: przeżywalismy go „Świątą Trumną”.

Do północy wszyscy osadnicy zgromadzeni już byli na pokładzie i „San Geronimo” był mniej więcej gotów do drogi, a z fregaty i galeoty też nadeszły raporty, że mogą już wychodzić w morze. Tylko „Santa Ysabel” nie było jeszcze w porcie; jej kapitana wysłano dalej na północ, żeby werbował porządných, żonatych osadników w dolinach rzek Saña, Santa i Truxillo, oraz po zakup solonej wołowiny, mąki

i serów na wikt dla żołnierzy, gdyż były one tam tańsze niż w Callao. Nieobecność galeonu była gęsto komentowana wśród marynarzy. Jedni mówili, że generał bał się zaprezentować tak lichy okręt naczelnemu admirałowi; inni, że galeon poszedł już na dno z całą załogą.

Ruch i podniecenie związane z odjazdem zażegnały w pewnej mierze właśnie pomiędzy wysokimi oficerami. Ponieważ pułkownik był teraz bezwzględnie trzeźwy i bardzo gorliwie słuchał rozkazów generała, główny nawigator i bracia doni Izabeli zgodzili się traktować go tak, jakby skandaliczne wydarzenia wtorkowe nigdy nie miały miejsca. Sama doña Izabela okazywała mu łaskawość, od której topniał jak cukier wsypany do grzanego wina, a że miał nieczyste sumienie, więc gorąco pragnął naprawić swą winę, acz bez uszczerbku dla swojej godności. Kiedy sobie nie podchmielił, był to poprawny i miły staruszek, chociaż zawsze wypowiadał bez zastanowienia pierwszą rzecz, jaka strzeliła mu do głowy, a była to najczęściej rzecz niemądra. Niezmiernie lubił czytać romanse: *Amadisa z Galii*, *Siedmiu obrońców chrześcijaństwa*, *Historię Palmyryna z Anglii* i tym podobne i miał ze sobą całą torbę tych książek dla zabicia nudy w podróży. Ulubionym jego bohaterem był Cyd; obyczaje dzisiejszego świata nie odpowiadały mu i nieraz narzekał, że wszystko zeszło na psy, odkąd wynalazek prochu zrównał pachołka z rycerzem.

Wreszcie nadszedł piątek. Ku mojemu zmartwieniu kazano mi zostać na pokładzie, podczas gdy wszyscy żołnierze i majtkowie, bez których można się było obejść, zeszedli na brzeg i pomaszerowali do Limy, gdzie w katedrze wysłuchali uroczystej sumy i przystąpili do sakramentów. Generał polecił ich też opiece świętego Dominika, którego kościół przylega do pięknej bazyliki Vera Cruz, zbudowanej przez Pizarra przeszło pięćdziesiąt lat temu. Tu przechowuje się w relikwiarzu wysadzany klejnotami drzazgę z Prawdziwego Krzyża, dar papieża Pawła III, który teraz wystawiono, by ludzie hołd mu oddali.

Oficerowie byli niezadowoleni, że patronem naszym obrano świętego Dominika, jakbyśmy byli zakonnikami, a nie świętego Jakuba z Compostelli, który popiera i wynagradza śmiało wyprawy, gdzie pobożność idzie w parze z nieugiętą odwagą. Następnie pobłogosławiono wszystkie trzy królewskie sztandary; na każdym widniał dwugłowy orzeł Świętego Imperium Rzymskiego obejmujący królewski herb Hiszpanii; nad tym wysoki krzyż, a pod spodem motto „Tyś moją tarczą i obroną”. Królewskie chorągwie z purpurowej mory ze złotymi frędzlami zostały też poświęcone, jak również proporce wszystkich dowódców.

Ponieważ było to święto publiczne, tysiące obywateli Limy przebyły dwie mile do Callao, żeby zobaczyć okręty, choć dzień był duszny i upalny, nadający się bardziej do tego, by z wachlarzem w ręce siedzieć w domu przy zamkniętych okiennicach. Pochód ciągnął od katedry z wielką pompą; generał z małżonką kroczyli na czele załóg i wojska, poprzedzani mnichami z trzech różnych zakonów, którzy machali kadzielnicami i śpiewali psalmy pokutne. Nasi ludzie ujrzeni ze zdziwieniem, że generał przywdział habit franciszkańskiego braciszka, a doña Izabela, by należycie dotrzymać mu towarzystwa, miała na sobie suknię z grubego szarego sukna bez żadnych ozdób prócz małego złotego krucyfiks. Gadatliwa Elwira miała najwidoczniej słuszość mówiąc o ślubie don Alwara; ale sądząc po ich bogatych strojach ani Juan de la Isla, ani dwaj nasi pozostali kupcy-spekulanci, Andres i Mariano de Castillo, nie dali się generałowi namówić do podobnej ofiary. Główny nawigator dźwigał w ramionach figurę Najświętszej Panny Opiekunki Samotnych, dar pożegnalny klasztoru klarysek, w którym jego szwagier pełnił funkcje spowiednika. Nie mógł to być ciężar łatwy do niesienia.

Śpiewy zakończyły się na nabrzeżu, gdzie nasi muzykanci dzielnie wzięli się do piszczałek i bębnow, podczas gdy generał z podkomendnymi przeprawili się z powrotem na okręty całą flotą udekorowanych łodzi. Wojskowe oddziały z okrętu flagowego ustawiły

się w pełnym uzbrojeniu na pokładzie, po czym werble oznajmiły przybycie na inspekcję Naczelnego Admirała Mórz Południowych ze świtą. Zgodnie z przewidywaniami znalazł wszystko w najlepszym porządku, ponieważ oprowadzono go tylko po tym, co nadawało się do pokazania, on zaś nie zadał sobie trudu porównania składów wojskowych ze spisem, który mu wręczono; nie dokonał również przeglądu ani fregaty, ani galeoty. Dziekan kanoników katedralnych poświęcił okręt „San Geronimo”, pokropił wodą święconą jego łańcuch od kotwicy, maszty i koło sterowe oraz udzielił błogosławieństwa tym z nas, którzy nie mogli być z rana na mszy. Wszystkie statki i łodzie w przystani ustrojone były kolorowymi wstęgami na naszą cześć, panowało wielkie ożywienie i rywalizujące ze sobą orkiestry zaczęły grać na okrętach i na nabrzeżu.

Admirał Naczelnny opuścił nas mniej więcej w porze nieszpórów, a ledwo jego reprezentacyjna barka dobiła do brzegu, zaraz wyruszyła stamtąd duża łódź i podpłynęła pod konchę naszej rufy wioząc w darze piętnastu majtków na miejsce tych, którzy pouciekali. Łatwo było zrozumieć, czemu nie przysłano ich aż po skończonej inspekcji; nie byli to żadni żeglarze, ale szumowiny portowe, i bardziej łajdackiej bandy szubieniczników nigdy w życiu nie widziałem: napiętnowani, z szyjami i nogami poodparzanymi od powrozów, zawszeni, chudzi jak tyki, z grzbietami gęsto porysowanymi chłostą, jeden bez ręki, inny z drewnianym kołkiem zamiast nogi, wszyscy obszarpani do ostateczności i nie posiadający najpotrzebniejszych rzeczy. Bosman nie poskarżył się ani słowem kapitanowi portu, który przekazał mu tych ludzi, lecz udał zadowolenie i poczekał, aż łódź odbije, po czym natychmiast kazał ich wszystkich zamknąć pod strażą na dole. Do generała powiedział:

- Wieczorem, jeśli ekscelencja pozwoli, odwiozę tych bohaterów na brzeg i niech szukają sobie na powrót drogi do więzienia miejskiego, gdzie jest ich właściwe miejsce.

- Zrób tak koniecznie, bosmanie - rzekł don Alvar. - Przysłano ich nam przez pomyłkę. Kapitan portu musiał źle zrozumieć rozkaz nadzorca, aby dostarczyć na nasz galeon piętnastu wprawnych majtków, i zamiast nich dał nam galerników.

Sztandar królewski odwiązano z rufy, podniesiono kotwicę przy wtórze głośnego tupania nogami i śpiewu, po czym barkas wziął nas na hol, a wtedy kapitan artylerii dał rozkaz wystrzelenia wspaniałego salutu z naszych dział i falkonetów. Była to piękna, jednoczesna salwa, którą podjęły natychmiast galeota i fregata; na co inne królewskie okręty i fort na przystani odpowiedziały gromko, następnie zaś żołnierze wypalili z arkebuzów. Tłumy hucznie wiwatowały, jak również załogi statków zakotwiczonych opodal. Z placu przed komorą celną wypuszczono race i inne ognie sztuczne. Pamiętne to było pożegnanie. Wiosła barkasu uderzały urywanym rytmem, rozwinięto fok i zaczęliśmy z wolna oddalać się od nabrzeża; bryza była jednak tak lekka, że nie mogliśmy wypłynąć z przystani. Myślę, że od biedy byłoby się to udało, gdyby załoga nie uważała piątku za nieszczęśliwy dzień zarówno na jakąkolwiek robotę, jak na opuszczenie portu, i gdyby główny nawigator, widząc, jak niechętnie przykładają się do roboty, nie doradził generałowi, żeby powściągnął swoją niecierpliwość do rana.

Całą tę noc staliśmy na kotwicy oddaleni zaledwie o długość kabla od komory celnej, a gdy obudzono środkową wachtę, bosman wysłał po cichu barkas na ląd, w ustronną część wybrzeża. Na jego dnie leżało owych piętnastu zbójów, związanych i zakneblowanych, a my cieszyliśmy się z ich odjazdu; jednakże w pół godziny później łódź wróciła, zanurzona w wodzie równie głęboko jak przedtem, a bosmanmat zakomunikował, że wybrzeże na całej długości patrolują uzbrojone strażę, które siłą sprzeciwiły się jego lądowaniu.

- To nie ma wielkiego znaczenia - powiedział bosman spokojnie - możemy zawsze pozbyć się ich w Santa albo w Cherrepé.

Główny nawigator zamartwiał się o żonę, donię Anę Chacon, która miała tak wysoką gorączkę, że nie poznała go, kiedy przyszedł się pożegnać, lecz wzięła go za księdza przybyłego z ostatnim namaszczeniem. Miguel Llano i ja ledwo mogliśmy go uspokoić, gdy pod koniec jego wachty goniec w szalupie przywiózł listy do generała: był przekonany, że jeden z listów jest do niego i zawiera wiadomość o śmierci żony. Drżał jak osika i czoło miał zroszone potem. Nie było jednak dla niego wiadomości, złych ani dobrych, i niebawem uspokoił się modlitwą i medytacją, choć nie spał całą noc.

Rankiem, a był to dzień ósmy kwietnia, wiatr się ożywił. Podnieśliśmy na nowo kotwicę i opłynęliśmy potężną bryłę wyspy San Lorenzo; wtedy nareszcie flotylla wyszła na morze pod pełnymi żaglami - widok, od którego radowało się serce. Galeota prowadziła o milę, a wkrótce o dwie. Nie zwracała uwagi na wszystkie nasze sygnały, aby trzymać się w polu naszego widzenia; przeciwnie, rozwinęła jeszcze więcej żagli i gdy nadeszło południe, zniknęła nam całkiem z oczu. Gdy dogoniliśmy ją w godzinę czy dwie później na wprost miasta Ancon, oddalała się właśnie od małego statku żeglugi przybrzeżnej płynącego do Callao, po czym znowu nam umknęła. Dowiedzieliśmy się potem, że kapitan Corzo wdarł się na pokład tego statku i obrabował go z ładunku solonej wołowiny i grochu, a następnie zatrzymał jeszcze dwa inne statki i zmusił je do oddania zapasów żywności, zabierając przy tym siłą trzech rybaków z jednego, a dwóch majtków i chłopca z drugiego, aby uzupełnić własną załogę.

Wiatr dął dość silnie z południa przez cały dzień i całą noc. Morze było świeże, toteż większość spośród trzydziestu kobiet i liczni mężczyźni, między innymi i ja, cierpieli na morską chorobę. Musiałem jednak przyznać, że mimo długiej suszy wybrzeże przedstawiało się pięknie ze swymi licznymi wyspami i skalistymi cyplami zaludnionymi milionami mew i stadami lwów morskich oraz ze wspaniałym zapleczem pagórków i gór ciągnących się daleko jak okiem sięgnąć.

Nie dogoniliśmy galeoty aż w poniedziałek wieczór. Stała w porcie Santa, sześćdziesiąt mil w górę wybrzeża, gdzie kapitan odważył się pochwycić statek handlowy o wyporności około dziewięćdziesięciu ton, „Santa Trinidad”, również zdążający do Callao. Statek był nazbyt duży, by kapitan galeoty mógł dać sobie z nim radę samemu, toteż gdy tylko weszliśmy do przystani, powitał nas słowami:

- Kapitan Corzo pozdrawia generała. Pokazaliśmy nasz sztandar kapitanowi „Santa Trinidad”, płynącemu z Panamy z ładunkiem i pięćdziesięcioma murzyńskimi niewolnikami, na znak, że go rekwirujemy w imieniu jego królewskiej mości. Czy generał zechce łaskawie potwierdzić rekwizycję?

Kiedy poszedłem do kajuty generalskiej, żeby powtórzyć don Alwarowi tę wiadomość, generał zbladł.

- Ależ, człowieku! - wykrzyknął - toż to czyste piractwo!

Doña Izabela, siedząca przy oknie ze swoją owdowiałą siostrą donią Marianą Barreto de Castro, spojrzała ostro znad tamborka, na którym wyszywała wzór złożony z gołąbków i kwiatów.

- Piractwo? - powtórzyła. - Panie mój, to brzydkie słowo; używaj go oszczędnie, proszę. Koszty wypraw aprobowanych przez Koronę, lecz pozostawionych bez pomocy ze skarbu państwa zawsze muszą spadać na prywatne barki. Czyż twój królewski patent nie uprawnia cię do rekwirowania, czego zechcesz, kiedykolwiek zechcesz?

- Pani moja - zawołał generał - tego nie można ścierpieć! Czy chciałabyś, abym stał się odbiorcą kradzionych dóbr? Jakże się skończy nasza podróż, jeśli rozpoczniemy ją w ten nieuczciwy i bezbożny sposób?

- Don Alwarze - odparła z zarumienionymi policzkami - gdybyś miał na względzie nasze bezpieczeństwo i dobro naszych ludzi raczej niż nierozważne nakazy twego honoru, byłoby lepiej dla nas wszystkich. Potwierdź koniecznie rekwizycję i jeśli statek ma mocny kadłub i osprzęt, przyłącz go do flotyli.

- Właśnie, mój szwagrze - wtrąciła się doña Mariana - by uspokoić swoje sumienie możesz zawsze obiecać, że zwrócisz właścicielom pełną wartość statku i ładunku... kiedyś, gdy Bóg pozwoli.

Machnął rękoma, wstał i wezwawszy wikariusza spytał go w obecności wszystkich, czy powinien usankcjonować lekkomyślne postęпки kapitana Corzo. Ksiądz Juan wypowiedział pogląd, że grzechem byłoby to uczynić. Jednakże nawet mając takie orzeczenie don Alwar nie śmiał odwiedzić galeoty i napomnieć jej kapitana, z obawy, że ten może się obrazić i podjąć jakąś wyprawę na własną rękę. Poza tym doña Izabela sposobem, w jaki wyduła wargi i wbiła igłę w pierś wyszywanego gołąbka, dała jasno do zrozumienia, że jeśli mąż spróbuje pohamować kapitana, ona nie da mu spokoju. Widzieliśmy to wszyscy i zasmuciło nas to wielce.

Główny nawigator, który odkąd byliśmy w drodze, odzyskał trochę humoru, teraz sposepniał na nowo. Gdy wracaliśmy do Sali Map, rzekł mi po cichu:

- Choć don Alwar jest człowiekiem uczciwych intencji i szlachetnych uczuć, obawiam się, że brak mu sił, aby popłynąć przeciwko temu prądowi.

Potem pobiegł za wikariuszem i powiedział:

- Ojczy, żeby uniknąć niepokoju w kajucie generalskiej, czy nie byłoby dobrze, abyś sam udał się na galeotę i przemówił kapitanowi do rozsądku? Mógłbyś stwierdzić wyraźnie, że nie przysyła cię generał, lecz że przybywasz w imieniu Kościoła.

Ksiądz Juan podziękował mu za dobrą radę i podczas gdy doña Izabela z siostrą starały się przekabacić don Alwara na swój sposób myślenia, kazał się zawieźć łodzią na „San Felipe”, gdzie złożył wizytę kapitanowi Corzo. Jak się zdaje, kapitan odpowiedział na jego surowe upomnienia, że decyzja w tej sprawie należy do generała, nie do kapłana, co u zacnego księdza wywołało wybuch świętego oburzenia.

- Synu mój - powiedział - czy wiesz, co mówisz? Jeśli trwać będziesz w swoim niegodnym uporze, będę cię musiał ekskomunikować, tu, natychmiast, a wtedy zobaczymy, czy twoi podkomendni zechcą popłynąć pod twoim porpcem.

Wtedy kapitan Corzo padł na kolana i obiecał zapłacić kapitanowi „Santa Trinidad” za wszystkie towary już przeniesione na „San Felipe” i nie zatrzymać zapasów, które zabrał z tamtych mniejszych statków. Wtenczas wikariusz dał mu rozgrzeszenie, zobowiązał go do gorliwego aktu skruchy i odszedł bardzo zadowolony. Lecz ponieważ kapitan miał mało pieniędzy, więc oddał kapitanowi „Santa Trinidad” jako odszkodowanie pozostałe swe łupy, spełniając w ten sposób przynajmniej formalnie swoją obietnicę.

Doña Izabela, dowiedziawszy się od cieśli okrętowego, że doprowadzenie „Santa Trinidad” do należytego stanu kosztowałoby go trzy tygodnie pracy i wiele beczek smoły, zrezygnowała z wszelkich roszczeń do statku, lecz namówiła don Alwara, by zagarnął z niego piętnastu sprawnych marynarzy, oddając w zamian za nich włóczykiów z Callao. Decyzja ta sprawiła bosmanowi niemałą przyjemność.

Uwagę doni Izabeli odwrócił niebawem incydent domowy. Oprócz hiszpańskich pokojówek, Elwiry Delcano i Belity z Jerez, miała oswobodzoną sługę Peruwiankę imieniem Pancza. Owa Pancza, prawdę powiedziawszy, choć oddana swej pani, była istną ulicznicą, zmysłową niebywale; mimo jej straszliwie oszpeconej twarzy mężczyźni bili się o jej względy i chwaliła się nieraz, że potrafi każdego męża odciągnąć od żony choćby w samą noc poślubną. Mając pod swoją opieką krowę i kozy doni Izabeli, szła tego wieczoru do kajuty generalskiej z pełnym wiaderkiem mleka, gdy wzrok jej padł na Raimunda Ponsa, ordynansa Juana de Buitrago; postawiła więc wiaderko i zatrzymała się, by z nim pogadać. Wciągnęła ją do kajuty, którą pan jego dzielił z dwoma innymi chorążymi, ale która w tej chwili była pusta, i zaczął się z dziewczyną

targować twierdząc, że zbyt wysoko ceni swoje względy. Nie mogli się pogodzić co do ceny i Raimundo tracąc wszelką cierpliwość nazwał ją suką z zaszarganym ogonem, chwycił ją za ramiona i usiłował zniewolić. Nie szkodziło to Panczy, która nie stroniła od gwałtu i byłaby zmusiła Raimunda do podwójnej zapłaty kradnąc część jego rynsztunku i żądając zań okupu, jak to podobno zrobiła później z inną swoją ofiarą. Ale Raimundo był niezdarny i uderzył jej głową o róg kufra, na co Pancza wydała głośny okrzyk bólu. W tejże chwili posłyszała zbliżające się kroki i bojąc się odkrycia, wrzasnęła: „Gwałtu, gwałtu! Mordują!” Wbiegł Juan de Buitrago, przewracając po drodze wiadro z mlekiem, schwycił ordynansa za kołnierz, ściągnął go z Panczy i przekazał sierżantowi.

Później chorąży opowiadał kolegom, że byłby wolał dać dziewczce jeden czy dwa reale za trzymanie języka za zębami, a ordynansowi porządnie kopniaka za robienie domu schadzek z ich kajuty. Wówczas sprawa nie musiałaby dojść do wiadomości generała, bo Raimundo był dobrym żołnierzem; gdy jednak rozległ się krzyk o gwałcie, postąpił bez namysłu. Raimunda zaprowadzono więc przed generała, podczas gdy Pancza pośpieszyła z pustym wiadrem do doni Izabeli, udając wielkie wzburzenie. Skoro sprawa stała się już publiczna, trzymała się swojej wersji, że żołnierz próbował ją zniewolić, jak zresztą było istotnie; doña Izabela zaś uwierzyła w jej skrzywdzoną niewinność i podjęła się dopilnować, by napastnik został przykładnie ukarany.

Generał wierzył mocno, że powodzenie naszego przedsięwzięcia zależy w daleko mniejszym stopniu od zręczności żeglarzy czy odwagi i zaradności wojskowych niż od czystości ich postępowania. Usiłował wszelkimi środkami nakłonić ich do pobożnego życia i nie zadowalając się zwyczajowym odśpiewywaniem Ojczy nasz i Zdrowaś w porze jutrzni i nieszpórów, prosił wikariusza o przeciąganie tych modlitw w całe nabożeństwo, ilekroć pozwalała na to pogoda, z kazaniem co sobota i wielkimi uroczystościami w niedziele i wigilie świąt Tak więc,

gdy doña Izabela przyszła do niego z pełną oburzenia skargą na żołnierza, który usiłował zgwałcić jedną z jej służ, zgorszył się bardzo i przyznał, że człowieka tego trzeba ukarać z całą surowością.

Pułkownik próbował z początku zbyć sprawę lekko, ponieważ ostatecznie do gwałtu nie doszło, a gdy dowiedział się, że chodzi o ospowata służkę doni Izabeli, chciał puścić winowajcę z ostrzeżeniem. Po swemu bezmyślnie przekładał chorążemu:

- Ależ, don Juanie, przecież jej zamek otwiera się każdym kluczem! A ten żołnierz to dobry i zasłużony strzelec, jak sam powiadasz. Chyba don Alwar nie każe chłostać go publicznie za tak powszedni grzeszek? Załatw sprawę po cichu, mości chorąży, przy pomocy swego kija i buta. Nie mam czasu do tracenia na głupstwa.

Generał posłał po chorążego i bardzo źle przyjął wiadomość, że pułkownik nie tylko oskarżył jego małżonkę o zatrudnianie służącej znanej ze złego prowadzenia, ale traktuje gwałt jako codzienne wydarzenie, za które wystarczającą karą jest kilka uderzeń kijem i kopnięcie w pośladki. Pułkownik, widząc, jak rzeczy stoją, zmienił od razu front i by przebłagać donię Izabelę, zarządził natychmiastowe podciąganie na linie.

Wszystkich majtków i żołnierzy ustawiono w ordynku na pokładzie, a Raimunda z rękami związanymi na plecach dwaj halabardnicy zaprowadzili pod grotmaszt. Prosił o łaskę, ale mu odmówiono. Ksiądz Antonio był proszony o wygłoszenie kazania na temat pożyteczności i grzesznego życia, uczynił to jednak w sposób ogólnikowy i wyglądało na to, iż zna prawdziwe fakty, jako dawny żołnierz zaś uważa karę za nazbyt surową. Gdy skończył, dobosz wybił długi werbel, więźniowi przewiązано liną przeguby rąk za plecami, po czym przewieszono ją przez wysoką reję. Tuzin marynarzy wywindowało go w górę, a potem, na nagłe głośne, podwójne uderzenie w bęben, puściło; ale ich koniec liny był zaczepiony o kołek, tak iż torturowany nie zwałił się na pokład, lecz lina poderwała go z okropnym szarpnięciem o stopę czy dwie ponad nasze głowy, a nagły zwis wywichnęła mu oba ramiona.

Ponure milczenie żołnierzy i majtków, którzy przy tego rodzaju okazjach zwykle śmieją się i żartują, jeśli uważają, że więzień słusznie dostaje za swoje, nie uszło uwagi pułkownika. Rozpuścił wieść, że zarządzając podciąganie był posłuszny rozkazom generała i że sam uważa więźnia raczej za pechowca niż zbrodniarza. Raimundowi, jęczącemu strasznie, dano przełknąć jeden po drugim parę kubków okowity, a gdy był już gruntownie pijany, sam chorąży z pomocą wielokrażka nastawił mu z powrotem łopatki - niełatwe zadanie nawet dla chirurga. Następnie wysadzono go na brzeg jako już niezdatnego do służby, a Juan de Buitrago zebrał fundusz na jego utrzymanie, do którego pułkownik dołożył dwa pesos, a prawie każdy żołnierz na statku po realu. Ta dbałość o Raimunda, wyglądająca na rozmyślny afront dla doni Izabeli, do tego stopnia rozjątrzyła jej braci przeciw chorążemu, że poza porą musztry w najniegrzeczniejszy sposób ignorowali jego obecność. Dla samoobrony musiał dbać o względy pułkownika i stać się jego stronnikiem.

Podczas gdy staliśmy na kotwicy na wprost Santa, generał kazał głównemu nawigatorowi sporządzić pięć map: jedną dla kajuty generalskiej, jedną dla kapitańskiej oraz po jednej dla każdego z pozostałych okrętów. Z obawy jednak przed spotkaniem z angielskimi korsarzami, którzy mogli zrobić zły użytek z tych wiadomości, polecił mu nie zaznaczać żadnej z wysp na Morzach Południowych i nakreślić linię wybrzeży Peru tylko od Arica w górę do Paity. Dwie pionowe kreski, jedna narysowana na siódmym stopniu szerokości południowej, druga na dwunastym, miały wskazywać położenie Wysp Salomona, które, zdaniem generała, rozciągały się przez pięć stopni szerokości. Miały one być umieszczone o tysiąc pięćset mil na zachód od Limy, to bowiem była największa odległość, jaką miała przebyć nasza wyprawa;

odległość do wysp wysuniętych najdalej na północ miała wynosić tylko tysiąc czterysta pięćdziesiąt mil¹.

¹ Siedemnaście i pół hiszpańskich mil liczono jako jeden stopień.

- Ale niech tam, przyjacielu Pedro, zaokrąglmy to na tysiąc pięćset, a jeśli dopłyniemy wcześniej, niż się spodziewamy, tym lepiej.

Główny nawigator obiecał, że mapy będą gotowe przed naszym odjazdem z Cherrepe, portu leżącego w pół drogi między Santa a Paitą, w którym mieliśmy zaopatrzyć się w wodę; wtedy generał wręczył mu dziennik nawigacyjny z poprzedniej podróży, prowadzony przez Hernana Gallego. Dziennik ten przestudiował z uwagą; znał niegdyś Gallego i ufał jego obliczeniom szerokości geograficznej, chociaż, jak mi powiedział, mógł się on mylić co do długości, która jest zawsze sprawą domysłu.

Nawet w Niemczech - mówił - gdzie wyrabiają najlepsze przyrządy nawigacyjne, żaden matematyk nie wpadł jeszcze na dokładny sposób określania długości geograficznej poprzez obserwację gwiazd i planet. Szerokość określa się dość łatwo, mierząc wysokość słońca na niebie sposobem w danej chwili najdogodniejszym, ale gdy chodzi o długość, my, nawigatorzy, zdani jesteśmy na ślepe wyliczanie, które jest trudne, zwłaszcza w nocy. Jednakże Hernán Gallego zapewne nie popełnił żadnego takiego błędu, jakiego i my nie moglibyśmy popełnić na tych samych wodach, a więc chyba to i wszystko jedno.

Ponieważ nasza podróż była już na dobre rozpoczęta, generał zwołał wielką radę wysokich oficerów, kapitanów i nawigatorów i wygłosił do nich przygotowane zawczasu przemówienie. Rozprawiał pobożnie i długo o czystości, wstrzemięźliwości i braterskiej miłości, lecz sedno sprawy zachował na zakończenie. Powiedział mianowicie, że w czasie poprzedniej wyprawy pewne złośliwe osoby miały doń pretensję o to, że nie chciał ujawnić swego rozkazu podróży. Ci sami ludzie oskarżali go o czyny sprzeczne z wolą króla i jego mandatem. Ponieważ jednak

rozkazy były tajne, nie mógł się wtedy usprawiedliwić. Na szczęście - tym razem jest inaczej; postanowił więc odczytać im tekst mandatu podpisanego przez króla Filipa II dnia dwudziestego siódmego kwietnia 1574 roku w obecności świadka, don Antonia de Eraso, ówczesnego sekretarza stanu. Tu obecni panowie będą zatem od tej pory wiedzieli, czego się trzymać, i gdyby on, generał, w czymkolwiek zawiódł okazał mu zaufanie lub przypisał sobie uprawnienia niewyszczególnione w tym królewskim patencie - przed czym niechaj go Bóg ustrzeże - proszą ich o zwrócenie mu na to uwagi, aby mógł z pokorą błęd swój naprawić.

MANDAT KRÓLEWSKI
JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ FILIP II ZLECA
GENERAŁOWI DON ALWAROWI DE MEND AÑA Z
GMINY NEIRA W GALICJI:

1) Powrócić na swój własny koszt na Wyspy Mórz Południowych raz już przezeń odkryte, jak to opisał w sprawozdaniu przedłożonym dnia trzydziestego pierwszego stycznia 1569 roku swemu wujowi, prześwietnemu licencjatowi Castro, wielkorządcy i zwierzchnikowi królestwa Peru, które to sprawozdanie przechowywane jest obecnie w archiwum Rady do Spraw Indii.

2) Wziąć ze sobą pięciuset zbrojnych mężów, w tym pięćdziesięciu żonatych z ich ślubnymi żonami i dziećmi.

3) Wziąć ze sobą dwadzieścia cielnych krów, dziesięć żrębnych kłacz, dziesięć wierzchowców, dwadzieścia kotnych kóz i stosowną liczbę kozłów, dwadzieścia kornych owiec i stosowną liczbę tryków oraz dziesięć macior i dwa knury, aby zapoczątkować hodowlę na rzeczonych Wyspach.

4) Wziąć ze sobą okręty konieczne do przewiezienia wyżej wymienionych ludzi i żywego inwentarza.

5) Wziąć ze sobą wszelkie zapasy i prowianty potrzebne na podróż i na skolonizowanie rzeczonych Wysp.

6) Założyć trzy miasta, z których jedno stanie się stolicą, każde na własnych prawach i z własnym zarządem miejskim; zadanie to ma być wykonane w przeciągu sześciu lat, które uznać można za okres konieczny do przeprowadzenia całkowitej kolonizacji Wysp.

7) Wpłacić do skarbcza jego królewskiej mości kaucję w wysokości dziesięciu tysięcy dukatów jako gwarancję, że wypełni warunki niniejszego mandatu.

W zamian za to król udzielił następujących przywilejów, zezwalając generałowi:

1) Przybrać tytuł i prerogatywy prefekta rzeczonych Wysp na cały czas swojego życia; tytuł ten przejdzie na jego syna, dziedzica lub prawowitego następcę dożywotnio, następnie zaś stanie się darem króla Hiszpanii.

2) Przybrać tytuł i prerogatywy wielkorządcy i naczelnego wodza rzeczonych Wysp na cały czas swojego życia; tytuł ten również przejdzie dożywotnio na jego syna, dziedzica lub prawowitego następcę, wraz z pensją, którą generał sam ustali zależnie od bogactwa krajów, jakie spacyfikuje i zasiedli.

3) Przybrać tytuł i prerogatywy najwyższego sędziego rzeczonych Wysp na cały czas swojego życia; tytuł ten przejdzie itd., itd.

4) Wywieźć bez cła z zasiedlonych już posiadłości zamorskich jego królewskiej mości dwudziestu Murzynów-niewolników i zawieźć ich na rzeczone Wyspy, ale nigdzie indziej.

5) Wywieźć bez cła z Hiszpanii, Portugalii, Wysp Zielonego Przyłądka lub z wybrzeża Gwinei osiemdziesięciu niewolników oprócz dwudziestu już wymienionych.

6) Przewieźć z Hiszpanii jeden statek o wyporności nie przekraczającej trzystu ton, naładowany hiszpańskimi towarami.

7) Corocznie odsyłać z rzeczonych Wysp do zasiedlonych już

zamorskich posiadłości jego królewskiej mości jeden statek w pełni uzbrojony i zaprowiantowany.

8) Rekwirować zapasy i żywność od kupców odmawiających oddania ich, jednakże po bieżących cenach, i to tylko podczas pierwszej podróży na rzeczony Wyspy.

Ten ósmy przywilej odczytał dwa razy, bardzo wolno, aby usprawiedliwić się z możliwych pomówień o piractwo; źle to jednak obmyślił, gdyż, jak się okazało, kapitanowie błędnie zrozumieli jego intencję i sądzili, że w zawołowanej formie zachęca ich do popełniania dalszych aktów przemocy

9) Wpłacić do skarbcza jego królewskiej mości nie więcej niż dziesiątą część złota, srebra i pereł, które znajdzie na rzeczonych Wyspach lub na innych, jakie zdarzy mu się odkryć.

10) Być zwolnionym od podatku od sprzedaży na okres dwudziestu lat od chwili przybycia na rzeczony Wyspy.

11) Być zwolnionym od cła wywozowego na wszelkie towary, które on sam lub jego towarzysze zawiozą na rzeczony Wyspy, przez pierwsze dziesięć lat; zwolnienie to przedłuży się na lat dwadzieścia w odniesieniu do niego samego lub jego następcy na stanowisku prefekta.

12) Zatrzymać dla siebie i swoich dziedziców po wieczne czasy prawa połowu ryb na rzeczonych Wyspach, w tym prawo poławiania pereł.

13) Nadawać majątki ziemskie na rzeczonych Wyspach i przydziałać do każdego z nich niewolnych krajowców.

14) Nadawać ziemię i tereny budowlane cieszącym się dobrą sławą pionierom, którzy się będą o to ubiegać; jeśli jednak potrzebować będą niewolnych krajowców, muszą opłacić podatek odpowiedni do liczby zatrudnionych.

15) Zbudować trzy fortece i wyznaczyć żołd dla ich garnizonów.

16) Wydzielić sobie i dzierżyć bez opłaty przez całe życie, a następnie przekazać w spadku swoim zstępnym na dwa pokolenia lub,

jeśli umrze bezdzietnie, małżonce dożywotnio jeden tylko z majątków ziemskich wymienionych w punkcie trzynastym niniejszych przywilejów; pozostałe bowiem majątki będą przydzielone wedle uznania Prefekta cieszącym się dobrą sławą osadnikom, a podatek ustalony zależnie od liczby niewolnych krajowców zatrudnionych w tychże majątkach.

17) Korzystać w dalszym ciągu z praw i przywilejów związanych z wszelkimi dobrami, jakie dzierży gdzie indziej w granicach posiadłości jego królewskiej mości niezależnie od tego, czy zamieszka na stałe na rzeczonych Wyspach.

18) Poddawać próbie i opatrywać specjalnym stemplem wszystko złoto i srebro znalezione na rzeczonych Wyspach lub innych, jakie uda mu się odkryć.

19) Mianować urzędników służby celnej, za których postępowanie będzie odpowiedzialny przed jego królewską mością.

20) Tłumić zbrojne bunty lub wszelkie próby zmian formy rządu, do którego ustanowienia upoważniają go niniejsze artykuły.

21) Wydawać zarządzenia dotyczące otwierania i eksploatacji kopalń.

22) Wedle swego uznania przyjmować lub odrzucać wszelkie odwołania od decyzji mianowanego przezeń sądu, czy to w sprawach cywilnych, czy karnych, i niezależnie od tego, czy sprawa była sądzona przez sędziego pokoju, przez burmistrza lub przez zastępcę samego prefekta.

23) Odpowiadać za swoje czyny, decyzje i ustanowione przez siebie prawa tylko przed Królewską Radą do Spraw Indii.

24) Nie dzielić z żadną inną osobą swych najwyższych praw sędziowskich na rzeczonych Wyspach.

25) Przewieźć pięciuset ludzi z rzeczonych Wysp do Hiszpanii lub Peru bez przeszkód ze strony sędziów w portach, gdzie zostaną wyładowani.

Dokument kończył się królewskim życzeniem, aby, z chwilą gdy rzezony generał Alwar de Mendaña wypełniając powierzone mu zlecenie dotrze na Wyspy Salomona, nadany mu został dziedziczny tytuł markiza. Później dołączono trzy dodatkowe klauzule: jedna wyjaśniała przywilej dotyczący trzech fortec, w którym nie było powiedziane, czy garnizony opłacane będą ze skarbu państwa, czy z miejscowych podatków; druga rozszerzała piastowaną przez generała godność prefekta, zrównując ją z innymi prefekturami Mórz Południowych; trzecia wreszcie ściślej określała jego władzę sędziego najwyższego.

Obecni wysłuchali tej recytacji w głębokim milczeniu, zdziwieni i trochę przerażeni szerokimi uprawnieniami, jakie nadano generałowi. Później pułkownik podszedł do Miguela Llano i zażądał kopii mandatu, którą też otrzymał. Przeczytał poszczególne artykuły kilkakrotnie w wielkim skupieniu, aż nauczył się ich na pamięć, a następnie, jak się zdaje, wskazywał liczne ich słabości współmieszkańcom swojej kajuty.

ROZDZIAŁ V

CO SIĘ ZDARZYŁO W CHERREPÉ

Ilekoć czytam jakąś kronikę dziejów starożytnej Grecji, Rzymu lub mojej własnej ojczyzny, a zdarza się to często, zastanawiam się najpierw, jak wyglądał jej autor, i dopóki jego wizerunek nie zarysuje się jasno w moim umyśle, nie wiem, na ile mogę mu wierzyć. Z tego też powodu, nie zaś z chęci wypychania Andresa Serrano na pierwszy plan jako ważnej osobistości, opiszę siebie samego bez obłonek ku zaspokojeniu ciekawości moich czytelników.

Piszę w Manili w roku pańskim 1615 i mam obecnie lat czterdzieści trzy, ale wygląd mój i obyczaje niewiele się zmieniły od dnia, w którym wypłynęliśmy z Callao, tak że niniejszy opis dotyczy równie dobrze roku 1595, jak chwili obecnej. Jestem niski, zażywny, bladej twarzy i nieruchawy z usposobienia; mam mały nos, rzadką brodę i szerokie usta, głos mój jest bezbarwny, miarowy, a obyczaje stateczne. Nigdy nie bywałem pastwą gwałtownych namiętności, natomiast bardzo lubię jeść i pić i wolę obserwować i notować wydarzenia niż w nich uczestniczyć. Pisuję wiersze, raczej dlatego, że rymowanie przychodzi mi łatwo, niż żebym czuł się tknięty ogniem Apollina; szpadę noszę nie po to, by wywoływać zwady, lecz by przypominać światu, że pochodzę z dobrego rodu. Dotychczas nie wstąpiłem w związki małżeńskie, lękając się nałożyć sobie pętlę na szyję, choć w swoim czasie niejedna kobieta okazywała mi życzliwość. Jeśli mam jakich wrogów,

nigdy się oni dotąd nie ujawnili, a Bóg pobłogosławił mnie mnóstwem przyjaciół. Najgorszą opinię na swój temat usłyszałem - i wyznaję, że odczułem ją boleśnie - wówczas, gdy pod koniec podróży weteran Juarez obliczał, ilu ludzi zdatnych jest do noszenia broni, i między innymi wymienił moją osobę. Jego kamrat Matia zakrzuszył się od śmiechu: „Co, nasz Kupidynek? Liczysz go jako mężczyznę? Mógłbyś równie dobrze wpisać na listę łaciate cielę doni Izabeli!” Ponieważ jestem człowiekiem „podobniejszym do śpiewającego eunucha niż do ludzkiej istoty”, jak mawiał o mnie z pewną irytacją mój kolega po fachu Miguel Llano, i ponieważ, gdy podpiję, robię się raczej milczący niż gadatliwy, ludzie, którzy bali się wypowiedzieć księdzu lub nie znajdowali żadnego pod ręką, nieraz zwierzali mi się ze swych kłopotów.

O świcie siedemnastego kwietnia, po nowym odcinku podróży odbytych przy sprzyjającym wietrze, zatrzymaliśmy się w Cherrepe, porcie miasta Santiago de Miraflores, gdzie zastaliśmy „Santa Ysabel” na kotwicy. Kapitan Lope de Vega zjawił się na pokładzie okrętu flagowego, by zaraportować, że zebrał doskonały zespół osadników, same zacne pary małżeńskie z dziećmi, i że zapłacili oni za swój przejazd, przyczyniając się do zaprowiantowania jego statku soloną wołowiną, sucharami, winem i innymi zapasami, a także zabrali z sobą narzędzia swych rozmaitych rzemiosł. Generał na tę wiadomość okazał wielką radość i ulgę i natychmiast wypełnił swoją część układu, który między sobą zawarli: nadał don Lopemu tytuł admirała, tj. swego pierwszego zastępcy na stanowisku dowódcy flotyli, i ożenił go bezzwłocznie ze swoją szwagierką donią Marianą. Postawił jednak warunek, aby wesele odbyło się bez uczyty i tańców oraz aby - w imię czystości - oblubienica nie weszła do łóżnicy przed dotarciem na Wyspy, lecz pozostała przy siostrze na okręcie flagowym.

Kiedy pułkownik dowiedział się, że don Lope przystał na ten warunek, podniósł ręce do nieba.

- Na mękę Pańską - rzekł do chorążego królewskiego - do czegośmy doszli? Czy mężczyźnie ma nie być wolno obcować w noc poślubną ze swoją prawowitą żoną? Chodzi mi po głowie, że święty Augustyn czy jakiś inny sławny święty postanowił: „Kogo Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza.” Zapamiętaj sobie moje słowa: nim podróż ta dobiegnie końca, oficer rachunkowy będzie wydawał włosiennice wszystkim majtkom, a zbójmistrz napychał kadzidłem lufy naszych armat!

Doña Mariana, niewiasta energiczna, nie miała zamiaru drugi raz stać się wdową, jeśli w jakikolwiek sposób da się temu zapobiec. Siedząc tego popołudnia pod płóciennym daszkiem na rufie w towarzysztwie siostry, powiedziała do niej:

- Kochana Izabelo, wygląda mi to na bardzo piękny statek... ten galeon tam oto, za naszym „San Felipe”. Proszę cię, spytaj głównego nawigatora, co mu o nim wiadomo.

Wezwano Pedra Fernandezę. Znał ów statek ze słyszenia, pływał bowiem parę razy w jednym z nim konwoju: był to „Tres Reyes Magos” z Panamy, zdążający do macierzystego portu z ładunkiem mąki i budulca. Określił go jako solidny i wygodny.

- Czy nie zgodzisz się zatem ze mną - spytała doña Mariana - że wielki żal bierze patrzeć, jak taki duży, piękny statek marnuje się w żegludze przybrzeżnej, podczas gdy mój biedny mąż musi przemierzać tysiące mil po niezbadanych morzach na połatanej i cieknącej balii, z której nawet szczury dawno uciekły?

- Czemu nie poprosisz don Alwara, żeby zrobił wymianę? - wtrąciła się doña Izabela, nim główny nawigator zdążył odpowiedzieć. - Zgadzę się, że byłoby to z wielką korzyścią dla króla.

- Sądzę - odparła skromnie jej siostra - że lepiej, by ta prośba wyszła

od mego męża; generał nie zechciałby zapewne usłuchać kobiety.

- O, to da się z łatwością urządzić, moje dziecko - powiedziała doña Izabela.

Pedro Fernandez milczał. Był w rozterce: rekwizycja statku byłaby wielką samowolą i mogłaby zrujnować jego właścicieli; on sam jednak wahałby się poprowadzić tak rozklekotany i zmurszały okręt jak „Santa Ysabel” nawet z Callao do Cherrepé i uważał bez mała za morderstwo wyprawiać na nim ponad stu dwudziestu ufnych osadników, nie mówiąc już o załodze i niewolnikach, w przeszło dwumiesięczną podróż po wodach równikowych.

Pod wieczór w samej rzeczy admirał don Lope de Vega przedstawił generałowi formalną petycję, by zarekwirować statek „Tres Reyes Magos” do służby królewskiej, a ofiarować w zamian jego właścicielom galeon „Santa Ysabel”. Don Alvar zgorszył się bardzo tą propozycją i odrzekł, że okręt admirała, choć rzeczywiście niepiękny, jest dobrze wyposażony i pod każdym względem zdolny do ciężkiej służby, jaką przyjdzie mu pełnić. Kiedy z cnotliwą stanowczością odrzucił petycję, don Lope wrócił na swój okręt i kazał bosmanowi zejść pod pokład ze świdrem i potajemnie wyborować w jego dnie szereg dziur. Podobno podstęp ten podsunęła admirałowi doña Izabela, obiecując osłonić go przed gniewem generała, gdyby się sprawa kiedykolwiek wydała; sam wiem tyle, że ona i doña Mariana siedziały razem na rufie z oczyma utkwionymi w „Santa Ysabel”, szepcząc i chichocząc ukradkiem jak dwie niegrzeczne dziewczynki.

Niebawem usłyszeliśmy z admirałskiego statku głośne wrzaski; wołano, że tonie i część ładunku jest już zalana. „Do pomp, zuchy!” - krzyknął kapitan statku i wydał pilne rozkazy, by natychmiast odszukać i zatkać przeciekające miejsca. Na to oficerowie admirała przyszli do niego z oświadczeniem, że nie popłyną ani mili dalej na tak lichym okręcie, i przynaglali go, by dokonał wymiany, nim będzie za późno.

Kapitan i nawigator poparli ich żarliwie i wszyscy razem ułożyli i podpisali memoriał tej treści: ponieważ „Santa Ysabel” przepuszcza wodę na wszystkich szwach, nie nadaje się do zamierzonej długiej i niebezpiecznej podróży; błagają zatem jego ekscelencję o „zastosowanie środka zaradczego, który znajduje się pod ręką”.

Don Alwar pojął, że ich zbiorowego oporu nie da się przezwyciężyć; nie chcąc jednak przyznać się do porażki ani postąpić wbrew sumieniu, oświadczył, że ma nagły atak zapalenia migdałków i przekazał sprawę pułkownikowi, dając mu pełną władzę uczynienia wszystkiego, co w danych okolicznościach wyda się słuszne i sprawiedliwe. Pułkownik, mający w takich okazjach niewiele skrupułów, powiedział wówczas przy wszystkich don Lopemu:

- Szlachetny admirale, dobrześ uczynił przyśpieszając sprawę. Proszę, wywierć jeszcze kilka dziur w dnie statku dla dopełnienia miarki, abym mógł zgodnie z prawdą oznajmić generałowi, że cieknie jak sito. A teraz musimy zająć „Tres Reyes Magos”, nim zdąży się wymknąć; jego załoga już zdradza oznaki nieufności i zaniepokojenia.

Powrócił spieszenie na okręt flagowy z raportem, który na żądanie generała przedstawił w formie pisemnej. Don Alwar uważnie przeczytał dokument, porównując go z poprzednim, po czym upoważnił pułkownika do zarekwirowania „Tres Reyes Magos”, nie wcześniej jednak, nim cieśle wysłani na oba statki oszacują różnicę ich wartości.

- Pamiętaj, panie - powiedział - iż nie życzę sobie, aby cokolwiek robione było nieformalnie ani wbrew prawom bożym.

Cieśle zawiadomili pułkownika, że statek handlowy, choć o tej samej wyporności co „Santa Ysabel”, wart jest o jakieś dziewięć tysięcy sześćset pesos więcej; z szacunku tego pułkownik obciął jednak trzy tysiące przez życzliwość dla generała i admirała, współwłaścicieli galeonu.

Pech chciał, że „Tres Reyes Magos” również miał dwóch właścicieli: kupca i kanonika z Panamy. Kanonik w czasie tych poczynań bawił na ładzie i kiedy schodząc spacerowym kroczkiem ku nabrzeżu ujrzał Murzynów i majtków wynoszących na brzeg ładunek, którego zgromadzenie i umieszczenie na statku kosztowało go tyle starań, kiedy zobaczył żołnierzy dozorujących ich z bronią palną, wydał okrzyk rozpaczony i rzucił się pomiędzy nich. Nazwał ich bandytami, niewiernymi i gorzej jeszcze i zakazał im tknąć bodaj jednego worka czy beczki więcej, jeśli pragną zbawienia, gdyż wszystko to jest własność Kościoła i to, co robią, jest ohydny świętokradztwem. Bosman z „Santa Ysabel”, człowiek niecierpliwy i niezbyt miłujący księży, powiedział mu krótko, żeby sobie poszedł i zaniósł swoją skargę do admirała; on sam - twierdził - działa na rozkaz i nie robi niczego dla własnej korzyści. Ludzie z niewzruszoną miną robili dalej swoje, bojąc się bosmańskiego postronka daleko więcej niż grózb i łajañ jakiegoś tam księdza; doprowadziło to kanonika, który był młody i szlachetnego rodu, do paroksyzmu niepohamowanego gniewu. Rzucił się na przeciwnika, jakby chciał rozszarpać go na kawałki, ale bosman odskoczył w bok i kanonik byłby wpadł do basenu portowego, gdyby żołnierz pełniący straż na samym skraju nabrzeża nie odepchnął go w porę.

- Masz ochotę skąpać się, ojcze, w trzech sążniach słonej wody? - krzyknął rubasznie.

Wściekłość kanonika zwróciła się teraz przeciwko żołnierzowi, któremu zapowiedział nędną śmierć i wiekuiste potępienie; człowiek ten jednak zakrył twarz rękami, by kanonik nie mógł go potem rozpoznać, i uciekł. Wtedy kanonik zaczął chodzić od majtka do majtka, grożąc im wszystkimi mękami piekielnymi, aż wreszcie doprowadzony do ostateczności bosman rzekł mu:

- Jak sobie życzysz, księżu. Skoro nie chcesz, żebyśmy wynieśli ze statku resztę ładunku, niechże tam pozostanie. Przyda nam się bardzo,

i zapewniam waszą wielbność, że w taki upał moi ludzie nie dźwigają beczek i kłoców drewna dla zwykłej przyjemności.

I rozkazał majtkom, żeby sobie odpoczęli.

Kanonik i jego współnik, kupiec z Cherrepé, wskoczyli do łódki i niezdarnie wiosłując popłynęli do okrętu flagowego, gdzie zażądali natychmiastowej rozmowy z generałem. Pułkownik czekał na nich na pokładzie i przywitał kanonika dość uprzejmie, ale niewiele dał mu satysfakcji. Powiedział, że don Alvar źle się czuje i przekazał mu wszelkie pełnomocnictwa i że, jeśli o niego chodzi, przykro mu bardzo, lecz konieczność zmusza go do zamiany statków.

Młody ksiądz wybuchnął nowym potokiem wymysłów, oświadczając, że nie tylko obrabowano go z całego majątku, ale prosty żołnierz popchnął go i groził mu utopieniem w trzech sążniach wody; że zanieśie swą skargę do samego Rzymu, jeśli będzie trzeba, i winnym tego bezprawia zapewni sam tylko ból i cierpienie na tym świecie, a wieczne męki na tamtym.

- Uspokój się, uspokój, wielbny ojcze! - rzekł pułkownik i skinąwszy na Juana de Buitrago wydał mu szeptem rozkaz, aby nie dopuszczał na pokład wikariusza i kapelana. - Potrafi dać sobie radę z jednym księdzem, ale trzech byłoby mu za wiele.

- Ośmielasz się żądać, abym się uspokoił, bezbożniku! - krzyknął kanonik. - Ty, który pochodzisz w prostej linii od tych rzymskich żołdaków, co grali w kości o skradzioną szatę Pana naszego, gdy On wiśiał na krzyżu!

- Nikt nic nie ukradł waszej wielbności! Z upoważnienia króla Filipa dokonujemy legalnej wymiany statków, a ty nic nie stracisz na tej transakcji, lecz raczej zyskasz. Generał jest szczodrobliwym i ludzkim panem, który prędzej obrabowałby własną matkę niż kapłana... nawet takiego z Panamy - dodał bez zastanowienia. - Zwróci ci twój udział w statku, potrącając jedynie wartość tego, który ci damy w zamian, a który twoim celom doskonale posłuży, twójego zaś ładunku nikt palcem nie tknie.

Ale kanonik, zaciskając pięści, syknął przez zęby:

- Ci synowie diabła nie zadali sobie nawet trudu wyniesienia całego ładunku i grożą, że zatrzymają resztę do własnego użytku. Ostrzegam cię, panie, że co rano i co wieczór podczas nabożeństwa, śląc modły do Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, zanosić będę tę zbrodnię przed Jego sędziowski tron i błagać go o niedopuszczenie do tego, aby mój skradziony statek kiedykolwiek zawinął bezpiecznie do portu. Uszy Pana naszego są zawsze otwarte dla modłów Jego skrzywdzonych księży... nawet tych z Panamy!

Daję słowo, że żal mi było kanonika, ale jeszcze bardziej jego współnika, który nie mógł oczekiwać ani łaski, ani zadośćuczynienia. Biedny kupiec bronił swej sprawy płacząc rześnistymi łzami i zaklinał się, że ta strata uczyni zeń żebraka, ale pułkownik poradził mu zimno, by dziękował Bogu, iż nie ograbili go angielscy korsarze, natomiast może okazać wierność królowi Filipowi udzielając drobnej, ale użytecznej pożyczki jednemu z najwybitniejszych dowódców królewskich i że z czasem, jeśli Bóg pozwoli, i on otrzyma pełną zapłatę.

Juan de Buitrago nie miał trudności z wypełnieniem swego zadania, gdyż wikariusz leżał zmożony morską chorobą - fala była duża nawet w zatoce portowej - w stanie nie pozwalającym mu wmieszać się w spór, a kapelan zajęty był pielęgowaniem przełożonego. Co do księdza Joaquina, płynącego na „Santa Ysabel”, był on nieśmiały i oderwany od świata i trzymał się z dala od wszelkich kłopotliwych spraw. W końcu kanonik namówił pułkownika, by ten nakazał dokończyć wyładunku, co też uczyniono przy pomocy niewolnych Indian, których dowódca okręgu na prośbę don Alwara przysłał z Santiago de Miraflores, by zaopatrzyli nasze okręty w wodę. Cały ładunek ułożono na nabrzeżu, a kanonik, starannie oddzieliwszy swoją część od części kupca, zasiadł pośrodku na kupie worków i wartował noc całą, póki nie zobaczył, żeśmy na dobre odpłynęli. Żaden z naszych ludzi nie odważył się ruszyć najmniejszej rzeczy z jego stosu.

Kiedy don Alvar dowiedział się, na czym stanęło, posłał kanonikowi podpisany i opieczętowany list, w którym zobowiązywał się wpłacić współnikom sumę sześciu tysięcy sześciuset pesos w terminie dwóch lat albo zaraz po powrocie do Peru, a na razie dawał im zastaw w postaci okrętu flagowego, wspaniałomyślnie dorzucając swój udział we fregacie, wynoszący jedną trzecią jej wartości. Dokument ten nie byłby zadowolili kanonika, nawet gdyby uznał szacunek za słuszny; nie widział bowiem - poza przyłączeniem się do wyprawy - żadnego sposobu zapewnienia sobie zapłaty w oznaczonym terminie ani zresztą i później.

Generał poskarżył się z goryczą doni Izabeli na fałszywe położenie, w jakim postawił go pułkownik, i twierdził, że sprawa została źle załatwiona.

- To prawda, mężu - zgodziła się - szkoda, żeś sam nie rozprawił się z kanonikiem zamiast przekazywać swoją władzę pułkownikowi, który jest prędko w języku, a rękę ma ciężką. Jednakże Bogu niech będą dzięki przynajmniej za to, że mąż mojej siostry dowodzi teraz statkiem nie całkiem niegodnym jego nowej rangi.

- Cóż ten wikariusz powie - lamentował - kiedy usłyszysz, co się stało?

- Powiedz mu zaraz sam - odrzekła lekko - zanim zdąży wydobrzeć po mdłościach i wymiotach, a nie odrzeknie nic więcej, jak tylko: „Uch!” i „Aj, aj, Matko Boska!”, i „Bóg zrządził, żeby człowiek cierpiał za swoje grzechy.”

Prowianty zakupione przez admirała rozdzielono pomiędzy wszystkie okręty; okazało się jednak, że ani jakoś ich nie jest dobra, ani ilość dostateczna, i pułkownik, który jakimś sposobem dowiedział się, że don Alvar nie uiścił jeszcze swojej części wkładu w przedsięwzięcie, zaczął się burzyć. Klął się, że jako sumienny oficer dopilnuje, by jego oddziały nie cierpiały braków dlatego, że ktoś był niedbały czy skąpy, i wieczorem, gdy generał poszedł spać, zarekwirował prowianty wyławowane z „Tres Reyes Magos”, prócz udziału kanonika, i kazał je

przewieźć na okręt flagowy. Następnie włamał się do składu z żywnością zwiezioną z okolicznych dolin na sprzedaż statkom żeglugi przybrzeżnej i tę także kazał załadować. Właściciel składu, który nocował na miejscu z żoną i dwoma małoletnimi synami, był zupełnie przerażony; nie wszystko, co było w składzie, stanowiło jego własność, a pułkownik, który znów popił mocno, nie dawał mu nadziei zapłaty. Na koniec w desperacji zgodził się na propozycję oficera rachunkowego, aby on i jego rodzina przyłączyli się do wyprawy, a to, co mu skonfiskowano, zostało uznane za jego wkład w przedsięwzięcie, na co pułkownik przystał bez sprzeciwu.

Trudność polegała teraz na wyszukaniu jakiegoś pomieszczenia dla właściciela składu, ale oficer rachunkowy, zawsze pomysłowy, znalazł radę i na to. Poszedł do kajuty generalskiej o północy, kiedy generał miał zwyczaj wstawać na modlitwę, i poskarżył się na skandaliczne zachowanie grupki osadników zwerbowanych w Callao: starego bednarza z dwoma synami i trzema córkami. Mężczyźni, mówił, to istne sroki kradnące wszystko, co nie znajduje się pod kluczem; kobiety zaś jawnie zaczepiają marynarzy.

- Wypędź ich, don Gasparze, wypędź ich natychmiast! - zawołał generał z zapalem. - Ale wpierrw przeszukaj ich toboły.

Wysadzono ich więc na ląd, mimo głośnych protestów, a ich kwatery dano rodzinie właściciela składu. Nawiasem mówiąc, gdyby don Alwar wypędził ze statku wszystkich osadników z Callao, nie byłoby wielkiej szkody, ale, jak się później okazało, oficer rachunkowy powinien był pomyśleć dwa razy, nim pozbył się rodziny zręcznych bednarzy.

Gdy zaczęło świtać, pułkownik, który nadzorując wynoszenie zapasów często gęsto pociągał z butelki, natknął się na admirała i będąc bardziej niż zwykle podпиты uklonił mu się z przesadą.

- Witam ekscelencję! - rzekł. - Czy wolno mi złożyć najszczersze kondolencje?

- Bardzoś uprzejmy, pułkowniku - odpowiedział admirał - ale nic mi nie wiadomo, bym ich potrzebował.

- Alboż to nic spędzać noc poślubną harując jak murzyński niewolnik na nabrzeżu takiego nędznego portu zamiast dawać dowody swojego temperamentu w uperfumowanej pościeli, podczas gdy za drzwiami komnaty przygrywiają skrzypki i wiwatują drużbowie? Słyszę, że nie masz przystępu do doni Mariany na świętoszkowaty rozkaz... nie potrzebuję mówić czyj. Ale, na Boga, ja na twoim miejscu ostrzem szpady dochodziłbym swoich praw.

Don Lope rozzłościł się tym bardziej, że słowa te słyszeli towarzyszący mu żołnierze; odpowiedział jednak dość łagodnie, iż przez tyle lat żył w bezzennym stanie, więc jeszcze dwa miesiące kawalerstwa nie są dlań zbyt wielką karą oraz, że szanuje pobożne pobudki don Alwara.

Jednakże pozbyć się pijaka, nim wygada wszystko, co ma na wątrobie, nie bywa łatwo. Pułkownik uczepił się go i wrzeszczał na cały głos:

- Poczekaj troszkę, don Lope, przyszło mi na myśl coś, co cię uraduje. Jest tu ładna kurewka z Callao, Dolores, córka bednarza, którą generał wypędził, bo zbyt jawnie parała się swym rzemiosłem. Jest schludna, czysta, pracuje znakomicie - ręczę za to głową - i właśnie była u mnie cała we łzach, błagając, żebym znalazł jej i ojcu miejsce na jednym z mniejszych okrętów. Czemu byś nie miał wziąć jej, admirale mój, na pociechę, że cię tak źle potraktowano? Gwarantuję, że okaże ci wdzięczność w każdy, jaki zechcesz, sposób. Niech sam-wiesz-kto powiesi się ze swoimi napuszonymi kazaniami o czystości małżeńskiej. Do czego jest żona, jak nie do tego, żeby spać z mężem.

Admirał, czując się ciężko obrażony - choć propozycja pułkownika wypytywała z prawdziwej litości dla wszystkich zainteresowanych - sięgnął ręką do szpady; rozmyślił się jednak i poszedł dalej, nie niższy się do odpowiedzi. Wówczas incydent ten wydawał się nieważny, ale ilekroć diabeł widzi najmniejsze zarzewie urazy, dmucha na nie

cierpliwie, póki nie zamieni go w wielki pożar; i kiedy don Lope wszedł na pokład swego nowego statku, ochrzczonego tym samym imieniem co dawny, i wywiesił królewskie sztandary i własny proporczyk, powiedział swoim oficerom, iż ma wielką pretensję do generała o to, „że nie trzyma krócej tego starego Momusa”.

Chociaż pułkownik postąpił nierozważnie publicznie oferując admirałowi nierządnicę, to jednak, jak się w dalszym ciągu okaże, nie pomylił się co do jego cnoty. W porze śniadaniowej don Lope złożył wizytę generałowi i poprosił o pozwolenie przykładowego ukarania pewnego sierżanta, który bez zapłaty zabrał jakiemuś wieśniakowi prosiaka. Generał zgodził się skwapliwie, rad, że przynajmniej jeden wysoki oficer podziela jego zapał do sprawiedliwości. Zaraz więc bez ceremonii sierżanta podciągnięto na linie, wywichnięto mu łopatki i wysadzono na brzeg, ale jego ładna i żywa żonka pozostała na „Santa Ysabel”, gdyż oświadczyła, że o ile jej wiadomo, zakonnik, który dawał im ślub, był przebrany marynarzem i że jej sierżant ma podobno drugą żonę w Quito. Odtąd spędzała część dnia i wszystkie noce w kabinie admirała, dbając o jego odzież i wygładzając mu poduszki; żadne starania księdza Joaquina nie potrafiły jej stamtąd wypędzić. Żołnierze na admiralskim statku, którzy cenili swego sierżanta, zaraz zaczęli mówić, iż jedyną jego winą było poślubienie kobiety o smukłej kibici i pięknych, krągłych piersiach i że za całą tę sprawę odpowiedzialny jest don Alvar, ponieważ nie dopuścił doni Mariany do ślubnego łoża. Twierdzili, że dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby admirał posłuchał rady pułkownika i okazał miłosierdzie córce bednarza. Inni znów obwiniali donię Izabelę, zaklinając się, że to ona wymyśliła ów warunek czystości bojąc się, że siostra mogłaby zająć w ciężę przed końcem podróży i w ten sposób zdystansować ją w niewieściej sławie.

Nasz wyjazd z Cherrepé odłożono do wieczora, gdyż wciąż jeszcze nie mieliśmy zapasu wody; a gdy dowódca okręgu, don Bartolomé de

Villavieencio, przyjechał konno do portu i ujrzał, że niewolnych Indian, których nam przysłał w tym celu, użyto zamiast tego do przenoszenia ładunku ze starej „Santa Ysabel” na nową i do transportowania zawartości składu na okręt flagowy, wpadł w gniew i oświadczył, że zabijamy mu ludzi nadmierną pracą. Odwołał ich natychmiast i odesłał z powrotem do Santiago de Miraflores.

Odejście ich stało się powodem nowego starcia, tym razem pomiędzy don Alwarem a głównym nawigatorem. Generał kazał mu odpływać w kierunku Wysp bez dalszej zwłoki; tamten jednak sprzeciwił się twierdząc, że szaleństwem byłoby wyruszać na pokonanie największej i najniebezpieczniejszej przestrzeni morskiej w świecie mając tylko tyle wody, co w sągwiach i dzbanach, które sam w Callao zabrał na pokład na użytek załogi.

- A co z żołnierzami - spytał. - Co z osadnikami i ich rodzinami?

Don Alwar wyjąkał nerwowo, że jego oficerowie wywierają nań presję, by nie zawijać już do żadnego portu, lecz wypłynąć na pełne morze, gdyż ludzi już trudno jest utrzymać w karchach, i że, jeśli trzeba, wszystkim można zmniejszyć racje wody do połowy.

- Zrób, jak ci mówię, przyjacielu - zawołał.

- Ale powiedz mi, ekscelencjo - zapytał główny nawigator - gdybyśmy nawet mogli obejść się bez wody, czyż nie mamy wstąpić do Paity, aby zabrać arkabuzy, proch, lonty i kule? Oficerowie twoi nie są chyba tak niedbali, żeby zapomnieć o tej broni, o którą sam tak gorliwie zabiegałeś?

Generał spuścił głowę, nie chcąc spotkać wzroku głównego nawigatora.

- Nasi żołnierze mają broń palną - powiedział - a także szpady, halabardy i tarcze, wystarczy tego na nasze potrzeby. Broń Indian niegodna jest tej nazwy i doświadczenie nauczyło mnie, że daleko lepiej jest iść pomiędzy nich z darami niż z orężem. Nie mamy czasu do trącenia na Paitę.

Pedro Fernandez zrozumiał z tego, że nikt nie wywiera presji na generała, lecz obawia się on, iż wiadomość o piractwach mogła rozejść się po wybrzeżu, a w tym wypadku namiestnik Paity może pociągnąć go do odpowiedzialności i przeszkodzić mu wyruszyć w drogę. Poha-
mował wzbierający gniew i powiedział:

- Don Alwarze, jesteś wodzem tej wyprawy i obowiązkiem twoim jest przewidywać nasze potrzeby na daleką metę, nie zaś pozwalać się zastraszać natrętnym głupcom, którzy nie rozumieją, czego żądają.

Pod jakimś pretekstem poprosił o pozwolenie odejścia i poszedł powiedzieć kapitanowi don Lorenzowi o decyzji generała. Kapitan był nią zdziwiony i oburzony.

- Nawigatorze - rzekł - cieszę się, żeś przyszedł z tym do mnie, a nie do pułkownika, który jest w tej chwili skłonny podtrzymać generała we wszystkich jego fantazjach. Skoro don Bartolomé zabrał swoich Indian, nie mamy tu teraz widoków na zaopatrzenie się w wodę; ale ograniczać ludziom racje wody do połowy, nim jeszcze podróż na dobre się rozpoczęła... przecież to niepodobieństwo! Poza tym, jeśli mamy utrzymać się na tych ziemiach, nieliczne hakownice, jakie posiadamy, nie wystarczą do ujarznienia krajowców. W parę miesięcy po naszym przybyciu połowa ich będzie nie do użytku, nie możemy więc obejść się bez tych siedemdziesięciu sztuk odłożonych dla nas w Paicie. Chodź ze mną do generała, a ja sprowadzę go z powrotem na drogę rozsądku.

Wspólnymi siłami bez trudu przekonali don Alwara, aby raz jeszcze zmienił decyzję. Uczynił to wśród wielu mądrych i rozsądnych uwag i paru innych mniej do rzeczy; nadal jednak usiłował usprawiedliwić swoje poprzednie postanowienie twierdząc, że mniej byłoby marnotrawstwa, gdyby żołnierze wiedzieli, iż mamy niewiele wody, i że gdyby obciąć racje wody do połowy, zmalałoby spożycie solonego mięsa, które jest przyczyną szkorbutu; a nade wszystko, że wstrzeźliwość jest miłą Bogu.

W godzinę później wypłynęliśmy, ale fregatę wysłano naprzód z rozkazem, by dała ostrzegawczy strzał z armaty, gdyby się okazało, że wieść o naszych niedawnych poczynaniach doszła do władz Paity. W rzeczywistości jednak tamtejszy namiestnik, choć doskonale wiedział o naszych grabieżach, uznał, że polityczniej będzie nie pociągać generała do odpowiedzialności, lecz wszelkimi sposobami starać się przyśpieszyć nasz odjazd. W przystani nie było żadnych królewskich okrętów, a garnizon zdziesiątkowała febra.

ROZDZIAŁ VI

CO SIĘ ZDARZYŁO W PAICIE

Kłótnie wybuchały we wszystkich portach, do których zawijaliśmy, a że Paita, leżąca o sto mil na północny-zachód od Callao, jest jednym z najpiękniejszych portów na wybrzeżu peruwiańskim, więc też na nią przypadała najpiękniejsza nasza kłótnia. Wkrótce po naszym przybyciu, wczesnym popołudniem dnia dwudziestego drugiego kwietnia, zdrzemnąłem się właśnie trochę, gdy gdzieś dalej na korytarzu rozległy się gniewne przekleństwa i krzyki. Choć rozespany, poznałem głos pułkownika.

- Niech tysiąc zaraz i furii spadnie na ciebie, tonsurowany capie! Jak śmiesz wtykać swój długi pysk w moje sprawy? Co cię to obchodzi, kogo, gdzie i po co posyłam? Jestem pułkownikiem i we wszystkich wojskowych sprawach ja decyduję, dyryguję i robię, co mi się podoba... podlegając samemu tylko generałowi.

Cichą, uprzejmą odpowiedź, której sensu nie złowiłem, przerwała nowa wiązanka wymysłów:

- Więc sierzant poszedł naradzić się z tobą? Powiedział, że boi się popełnić śmiertelny grzech wykonując mój rozkaz? Do diabła! kiedy go złapię, klnę się na Boga Wszechmogącego, że obedrę go ze skóry jak płaszczkę; a co do ciebie, jak śmiesz sprzeniewierzać się swojemu świętemu urzędowi spowiednika psując stosunki pomiędzy mną a moimi sierzantami? Dalibóg, pokraję cię na kawałki jak kapłona, ty ojciec sodomitów!

- Spokój, spokój, mój synu! - zawołał tamten płacząco, po czym: - Na twoje własne ryzyko! Czyżbyś nie troszczył się wcale o swoją nieśmiertelną duszę?

„Boże kochany! - powiedziałem do siebie, całkiem już rozbudzony. - To przecież wikariusz.” Zeskoczyłem z koi nie mając nic na sobie prócz kusej koszuli i wbiegłem bez pukania do kajuty generalskiej.

- Prędko, na miłość boską, don Alwarze! - błagałem. - Na korytarz, natychmiast, żeby przeszkodzić rozlewowi krwi, jeśli nie czemu gorszemu!

Generał, który dawał sobie właśnie strzyc brodę, jednocześnie odmawiając różaniec, wlepił we mnie nieobecny wzrok.

- Czy mnie oczy mylą, czy też to mały Andrés - powiedział - z rozwianymi połamami koszuli! Chłopcze, wyglądasz jak cnotliwy Józef uciekający przed żoną Putyfara.

Doña Mariana wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Czynisz temu nieszczęsnemu młokosowi zbyt niemiłosiernie, szwagrze. Sądząc po jego minie, powiedziałabym raczej, że Putyfar przyłapał go na gorącym uczynku i goni za nim z nożem, aby go wytrzebić.

Zawstydzony i zmieszany ściągnąłem ze stołu adamaszkowy obrus i obwiązałem go sobie wokół pasa, wzrokiem błagając donię Marianę o przebaczenie.

- Prędko, don Alwarze - powtórzyłem - nie ma chwili do stracenia! Pułkownik lada moment uczyni z księdza Juana męczennika.

Zerwał się, z serwetą cyrulika jeszcze związaną pod szyją, i pobiegł za mną ku drzwiom, które otworzyliśmy w samą porę. Pułkownik, z pięścią wzniesioną i rozpłomienioną twarzą, szedł korytarzem w naszą stronę. Wikariusz, trzymając wysoko swój srebrny krzyżyk, cofał się przed nim krok po kroku, powtarzając wątłym głosem: „Precz, grzeszniku, precz!” Gdy drzwi stanęły otworem, zacny ksiądz wpadł w moje ramiona, prawie nieprzytomny z przerażenia. Wciągnąłem go do kabiny i usadziłem na skrzyni, zostawiając don Alwara twarzą w twarz z pułkownikiem.

Oddając należną cześć generałowi nie okazał ani cienia strachu, tylko łagodny smutek.

- O, szlachetny don Pedro Merino! - wykrzyknął. - Jak mogłeś tak dalece się zapomnieć, by podnieść rękę w gniewie na naszego duchowego przewodnika? Uspokójże się, panie, i powiedz mi, co cię aż tak sprowokowało.

Pułkownik spuścił pięść i skłonił się, dosyć zmieszany.

- Może zechcesz, ekscelencjo - powiedział kipiąc cały od gniewu - pouczyć wikariusza, że nie ma prawa mieszać się do spraw wojskowych? Proszę o to dla jego własnego dobra, gdyż jego czelność omal nie przywiodła mnie do aktu świętokradztwa; przybyłeś w sam czas, aby uratować go od śmierci, a mnie od potępienia.

- Szlachetny panie - odparł don Alwar cichym głosem - znam cię jako pobożnego i obowiązkowego oficera; to tylko czicza robi z ciebie grzesznika. W tym pucharze trucizny czai się rogaty indiański diabeł. Unikaj go całkiem, człowieku, albo przynajmniej zachowaj przyzwoite umiarkowanie.

- Dobra to rada, dobra rada, zaiste - westchnął potężnie pułkownik. - Ale skoro już ten indiański diablik dostanie się do moich wnętrzności, mam prawo oczekiwać od bliźnich, żeby albo okazywali mi chrześcijańskie miłosierdzie, albo trzymali się ode mnie z daleka. Wikariusz skandalicznie przekroczył swoje uprawnienia, namawiając jednego z sierżantów, aby nie usłuchał mojego rozkazu.

- Jeżeli masz na tyle odwagi, mój synu, to powiedz generałowi, jaki to był rozkaz, i niech on nas rozsądzi - wyjąkał wikariusz zsiniałymi wargami, kurczowo przytrzymując się krawędzi skrzyni.

- Co powiedziałem sierżantowi - huknął pułkownik - nie nia nic do rzeczy i nie obchodzi nikogo poza mną, a już najogólniej jakiegoś tam księdza.

Don Alwar spostrzegł jego zakłopotanie i wykorzystał je, aby go

poskromić; uczynił to zresztą nader skutecznie. Podczas gdy ja wróciłem do Sali Map, żeby naciągnąć spodnie, wezwał na świadka kapitana don Lorenza i w jego obecności pogodził skłóconych. Jednakże, choć rozstali się wśród zapewnień o wzajemnym szacunku i obiecali zapomnieć o tym, co zaszło, wikariusz czuł się dotknięty, że generał nie wyraził większego oburzenia bezbożnymi pogroźkami pułkownika, pułkownik zaś żywił urazę o to, że don Lorenzo widział go na klęczkach całującego krucyfiks wikariusza i pokornie proszącego go o przebaczenie. Nikt do dziś dnia nie wie, co to był za rozkaz, który sierżant wahał się wykonać; snuto na ten temat wiele domysłów, po większej części prymitywnych i nieprawdopodobnych, nie ma to jednak nic do rzeczy.

Wikariusz powrócił do brewiarza, pułkownik do butelki i wszystko wróciło do porządku. Ale w niespełna pół godziny znów wybuchła awantura. Tak się zdarzyło, że ordynans don Diega de Barreto nosił tego dnia pęk kolorowych wstążek i malowany na jedwabiu obrazek przypięty do czapki, a drugi, większy jeszcze pęk na piersi. Pułkownik zdobył go niespodziewanie przed drzwiami jednej z kabin i poczęstowawszy go kopniakiem, zapytał:

- Powiedz mi, mule jeden, kto jest twoim zapijaczonym panem i kiedy zamierza wysłać cię na jarmark z furą rzepy?

Zaskoczony żołnierz odwrócił się, żeby pomścić zniewagę, lecz gdy poznał pułkownika, odpowiedział nader grzecznie:

- Jeśli wasza dostojność pozwoli, jestem Juan de la Roca, ordynans pana chorążego Diega de Barreto, do usług waszej dostojności.

- A czy szlachetny chorąży kazał ci zrobić z siebie błazna i ubrać się wbrew przepisom w te fatałachy ku hańbie twojej kompanii?

- Tak, wasza dostojność, mam jego pełne zezwolenie, inaczej nigdy bym się nie ośmielił. Pan chorąży wie, że dziś jest wigilia świętego Józefa, a ja jestem z San Jose, za Cherrepé, gdzie każdy wierny rodak nosi w tej chwili takie same ozdoby z miłości do naszego patrona.

- Ze wszystkich świętych z kalendarza - ryknął pułkownik zdzierając i depcząc wstążki - twój budzi we mnie, jak w każdym człowieku honoru, największą odrazę! Czyś nigdy nie słyszał, jak opryskliwie skarcił Najświętszą Pannę, kiedy była brzemienna i miała apetyt na wiśnie? Pamiętaj, gburze, żebym cię więcej nie zobaczył w tym zapustnym przebraniu, chyba że w tłusty wtorek, a tymczasem - tu podniósł laskę - masz na pamiątkę to i to, i to!

Kapitan don Lorenzo wyszedł z kabiny, którą dzielił z braćmi, i krótko spytał pułkownika, w czym ordynans zawinił.

- Nie udawaj, proszę, kapitanie, że nic nie wiesz o jego przewinie - rzekł pułkownik przedrzeźniając galicyjski akcent tamtego. - Wiem, że ten bezczelny półgłówek z twoją zgodą wystawił swój mundur na pośmiewisko, strojąc się niczym piesek pokojowy jakiejś ksieni i jeszcze, jakby tego było mało, powołuje się na patronat wstrętnego świętego Józefa.

- Ale nim zacząłeś okładać go kijem, pułkowniku - rzekł don Lorenzo z trudem hamując gniew - czy nie było lepiej poskarżyć się mojemu bratu lub mnie na to straszne przekroczenie przepisów? Bądź co bądź, ten człowiek nie jest w tej chwili na służbie, a ponieważ my, Barretowie, mamy szczególne nabożeństwo do świętego Józefa, pozwoliłem mu nosić te wstęgi, podczas gdy nam służy. Właśnie teraz czcimy dobrego patrona ciastkami i winem i będziemy prawdziwie zaszczyceni, jeśli zechcesz przyłączyć się do towarzystwa.

- Wolałbym raczej jeść łajno z Cyganami w jaskini! - ryknął pułkownik wznosząc na nowo laskę; w tymże momencie drzwi kabiny otworzyły się nagle, wybiegł z nich don Diego i przypadkowo go potrącił. Pułkownik, u którego działanie zawsze wyprzedzało namysł, spuścił laskę na głowę don Diega, który zachwiał się i omal nie upadł. Twierdził później, że nie poznał swojego napastnika; poznał wszakże jedną rzecz, której poprzysiągł nigdy nie zapomnieć, mianowicie ciężar jego okutej laski.

To, co potem nastąpiło, było jeszcze gorsze. Bracia Barretowie stali oszołomieni, nie wiedząc, co robić, ale ich sierżant był świadkiem napaści, i kiedy pułkownik podniósł laskę do nowego ciosu, podbiegł i chwytając w garść własną brodę zawołał gniewnie:

- Jeżeli wasza dostojność nie przestanie, klnę się na...

Pułkownik rzucił laskę, dobył szpadę i z wściekłością natarł na sierżanta, który odwrócił się na pięcie i zwinnie jak małpa wdrapał się na górny pokład; koniec szpady przeszedł mu między nogami i drasnął go powierzchownie w udo.

- Trzymajcie tego buntownika! - krzyknął pułkownik, ile miał siły w płucach. - Chcę go nadzieć na szpadę jak kwiczoła.

- Zamordowanie bezbronnego nie przyniesie ci zbytnej chwały, don Pedro Merino - powiedział chłodno kapitan, pułkownik zaś miał na tyle rozsądku, że schował szpadę do pochwy i podniósłszy laskę pomaszerał do kajuty generalskiej.

Siedziałem tam z generałem pisząc pod jego dyktando - lecz z ciągłymi wtrętami i poprawkami ze strony doni Izabeli - list do wicekróla, zawierający obszerne usprawiedliwienia tego wszystkiego, cośmy narobili przez ostatnie dwanaście dni. Don Alvar podniósł wzrok ze znużonym uśmiechem.

- Cóż tam znowu, szlachetny panie? - spytał. - Z korytarza dolatywał taki hałas, że ledwo mogłem zebrać myśli. Mam nadzieję, że upomniałeś winowajców, kimkolwiek byli.

- Zaiste uczyniłem to, ekscelencjo - odrzekł pułkownik, szybko wykorzystując tak sformułowane pytanie - i proszę o pozwolenie skazania sierżanta Dimasa, głównego winowajcy, na publiczną chłostę. Żądam dla niego dwustu batów.

- To ten sam sierżant, nieprawdaż, który poskarżył się na ciebie wikariuszowi?

- Ten sam pies, buntownik! Przed chwilą właśnie, kiedy szedłem zaprotestować przeciwko nieżołnierskiemu zachowaniu się pewnych

oficerów uczujących w swojej kajucie, jeden chorąży ośmielił się mnie potrącić, a gdy się broniłem, ów Dimas schwycił się ręką za brodę i zaczął mi wygrażać.

- Jeżeli tak... - rzekł don Alwar.

- Jeżeli tak? - krzyknął pułkownik.

- Skoro tak - ustąpił don Alwar - wypada mi tylko zgodzić się na twoje żądanie. Ale to, co zrobił sierżant, to jedno, a co robią moi oficerowie, to całkiem co innego. Martwi mnie niewymownie, iż pobiliś się z jednym z chorążych, i ufam, że zgodzisz się pojednać z nim w mojej obecności, zanim sierżanta dosięgnie jakakolwiek pomsta. Moim zdaniem, wina Dimasa polega na tym, że ujął się za swoim oficerem w kłótni, której świadkiem nigdy nie powinien być zostać.

Don Lorenzo, don Diego i trzeci brat, don Luis, przystali tymczasem gońca do doni Izabeli z prośbą, by przysłała do nich natychmiast, nie zwracając uwagi generała; a gdy po krótkiej nieobecności wróciła do kajuty generalskiej, zauważyłem, że jest bardzo rozgniewana.

- Don Alwarze - powiedziała słodziotko - przychodzę w imieniu moich braci wstawić się za sierżantem Dimasem. Podobnie jak jego imiennik, któremu nasz Zbawiciel przebaczył na krzyżu, okazuje się on (wbrew temu, co tu na niego nagadano) człowiekiem odważnym i dobrych zasad. - W tym miejscu jednak oburzenie jej nagle znalazło sobie ujście. - Wmieszał się, aby ocalić mego brata, don Diega, przed brutalną i niczym nie sprowokowaną napaścią pułkownika. Jeżeli sierżant otrzyma chłostę, jeżeli ktoś tknie go bodaj palcem, w grę wejdzie honor mojego rodu.

- A jeżeli nie wychłoscze się tego buntownika - krzyknął pułkownik butnie - zrezygnuję natychmiast z mojej nominacji i zejdem na ląd...

- Do burdelu, obficie zaopatrzonego w pulchne dziesięcioletnie Murzyneczki, gdzie będziesz trąbił cziczę aż do wymiotów, ty cuchnący satyrze - przerwała mu doña Mariana z fotela przy oknie.

- Gdybyś, pani, nie była szlachcianką - odrzekł pułkownik trzymając

się rycersko na wodzy - a ja człowiekiem niezwykle dwornych manier i anielskiej cierpliwości, dalibóg, rozplątałbym ci głowę, aż mózg twój rozbryznąłby się po podłodze!

Cisnął laskę w kąć i wielkimi krokami wyszedł, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Generał załamał rękę.

- Teraz jesteśmy doszczętnie zgubieni! - jęknął. - Donio Mariano, czemuż, na pięć mądrych panien, nie utrzymałaś języka za zębami?

- Zapewne chciałbyś, abym i ja uczyniła to samo? - zapytała doña Izabela wzgardliwie. - Siostra moja przemówiła jak prawdziwa córka rodu Barretów.

- Światłości mego życia - zawołał don Alvar chwytając ją za rękę i całując je żarliwie - czy dziewięć lat małżeństwa ze mną nie nauczyło cię, że honor twego rodu jest mi równie drogi jak mój własny? Proszę cię, pozwól pułkownikowi postawić na swoim jeszcze ten jeden raz; inaczej zejdzie na brzeg i naskarży na nas namiestnikowi. Wtedy nie tylko nie dadzą nam wody i broni, ale może nawet zatrzymają nas w Paicie całe miesiące, póki wicekról nie rozpatrzy sprawy.

Nakazawszy mi przysiąc, że nikomu nic nie powiem, doña Izabela odprawiła mnie gestem i dalszego ciągu rozmowy już nie słyszałem. Na pokładzie pułkownik miotał groźby i wymysły, żądając, by odwieziono go łodzią na brzeg. Niebawem don Alvar wyszedł ze swej kajuty; poszedłem za nim i usłyszałem, jak ściskając pułkownika mówi cicho:

- Proszę cię, szlachetny panie, nie obrażaj się o ostry jęczyczek mojej szwagierki! Złajałem ją porządnie i możesz być pewien, że surowo odpokutuje za swoje haniebne odezwanie się. A teraz błagam cię, pozostań z nami. Czyż nie podtrzymałem twojego autorytetu w sprawie sierżanta, każąc go natychmiast wychłostać?

Pułkownik oświadczył, że nie zostanie na okręcie, gdzie tak mało okazuje się poszanowania jego randze i wiekowi, ale widziałem, że

zmiękł nieco i zgodzi się pozostać. Jednakże w tym delikatnym momencie nadszedł główny nawigator i zaczął błagać generała o odłożenie chłosty. Tłumaczył, że sierżant wcale nie użył gwałtu na osobie pułkownika, lecz tylko zaprotestował przeciwko jego nieuzasadnionej napaści na chorążego.

- Dość tego, mój panie - rzekł generał surowo. - Na przyszłość wdzięczny ci będę, jeśli ograniczysz swoje propozycje do spraw żeglarskich, a decyzje wojskowe pozostawisz pułkownikowi i mnie.

Pedro Fernandez nie dał się jednak zbić z tropu.

- Musisz, ekscelencjo, albo mnie wysłuchać, albo pożegnać się ze mną - powiedział. - W całym forkasztelu wybuchnie burza, jeśli sierżant dozna jakiegokolwiek dalszego upokorzenia. Już i tak gwardziści pułkownika pobili go i skopali niemiłosiernie na pokładzie.

- Przyłożył rękę do brody, a to przecie oznacza rodzaj buntu, prawda? - rzekł generał zaczynając się wahać.

Główny nawigator pośpieszył wykorzystać uzyskaną przewagę.

- Ponieważ wchodzi w grę honor nie tylko pułkownika, ale również twoich szwagrów, ekscelencjo, obowiązkiem twoim jako dowódcy flotylli jest powołać świadków i gruntownie zbadać sprawę, nie zaś pozwolić, by jeden człowiek był jednocześnie oskarżycielem, sędzią i katem.

Don Alwar skinął na bosmana, który stał z uszanowaniem na uboczu.

- Pójdź, zacy przyjacielu, co masz w tej sprawie do powiedzenia?

- Z całym respektem dla pułkownika, ekscelencjo, i choć nie moja to sprawa, muszę powiedzieć, że główny nawigator nie jest daleki od prawdy. Jeśli wasza dostojność się nie rozmyśli, ręczę, że do wieczora na statku nie będzie ani jednego majtka umiejącego obchodzić się z żaglami.

Speszony wielce don Alwar zwrócił się znów do pułkownika.

- Drogi mój panie - rzekł drżącym głosem - ponieważ okazuje się, że pogląd moich oficerów nie zgadza się z twoim, może przystaniesz na formalne śledztwo? Udowodnisz - w co ufam niezbitcie - że powodowałaś się jedynie chęcią utrzymania należytej dyscypliny i że słuszność jest po twojej stronie, wówczas kara zostanie wymierzona w całej rozciągłości i wszystkim burzycielom zatka się usta.

Ale jeszcze nim skończył tę przemowę, pułkownik przesadził burtę i zszedł po jakubce.

- A sierżant Dimas? - spytała doña Izabela pojawiając się u boku męża. - Czy nie uwolni go się teraz? Główny nawigator przemówił dzielnie w jego obronie. Doprawdy, wydaje się on jedynym oficerem na pokładzie, poza moimi braćmi, który ma dość odwagi, by wystąpić przeciwko krzywdzie.

- Ależ oczywiście, moja miła - odparł don Alvar nieszczęśliwym głosem. - Sierżant jest wolny jak ptak.

Wciąż jednak zależało mu bardzo na ugłaskaniu pułkownika. Gdy tylko doña Izabela odeszła, posłał po don Lorenza i admirała i poprosił ich gorąco, aby udali się na ląd i użyli jakich zechcą argumentów, byle nakłonić marnotrawnego syna do powrotu. Zobowiązał się słowem honoru, że jeżeli misja ta im się powiedzie, nigdy więcej nie pozwoli pułkownikowi nadużyć swojej władzy; chociaż bowiem w obecnej chwili trzyma w ręku los wyprawy, gdy odpłyną na dobre z Peru, zupełnie przestanie być groźny.

Nader chętnie zgodzili się obaj spełnić prośbę generała, a choć pułkownik przysłał tymczasem łódź po swoje rzeczy, udali się za nim do jego mieszkania, by tam słodko i pokornie namawiać go do zmiany postanowienia. Admirał w zbytnim zapale oświadczył nawet, iż sierżant w tej właśnie chwili otrzymuje chłostę.

Pułkownik wprędce ustąpił. Jak się później dowiedziałem, nie bardzo mógł postąpić inaczej, gdyż wicekról był o krok od posłania go do więzienia za podobne pijackie ekscesy i mianował go pułkownikiem

wyprawy na usilną prośbę nadzorcy portu Callao z zastrzeżeniem, by nie pokazywał się więcej w Peru, jak długo król nie zamianuje innego wicekróla. Dowodem, że ani przez chwilę nie zamierzał opuścić okrętu, był fakt, iż nie zabrał ze sobą bratanka, chorążego Jacinta de Merino, którego był opiekunem. Młodzian ten był po trosze dziwolągiem: lubił się stroić, na ile mu pozwalały jego skąpe środki, i torturować kastylijski język figurami retorycznymi i wymyślnymi konceptami tak, że nieraz nie rozumieliśmy, co mówi. Stryja jednak bał się tak bardzo, że w jego obecności stał sztywno jak kołek, nie odzywając się słowem, chyba w odpowiedzi na pytanie.

Tymczasem w Sali Map główny nawigator zbierał z półek swoje przyrządy nawigacyjne i pakował je na nowo do skrzyni. Gdy zdjął również z niszy nad stołem figurę Najświętszej Panny Opiekunki Samotnych i owinał ją w lnianą chustę, zapytałem go:

- Don Pedro, co to znaczy?

- Wyrzucam w błoto tysiąc pesos - rzekł - i może, kto wie, ratuję sobie życie. Skoro pułkownika ma się uprosić, by wrócił, ja odchodzę, i niczyje prośby, choćby nie wiem jak wymowne, nie zmieniają mego postanowienia. Kiedy podróż zaczyna się w nieporządku, kończy się chaosem.

Poszedłem prosto do don Alwara.

- Ekscelecjo - powiedziałem - jestem tu, aby podjąć na nowo pracę nad pismem do wicekróla. Ale przedtem, za pozwoleniem waszej dostojności, pragnę powiedzieć, że muszę zwolnić się ze stanowiska.

- Zwalniasz się? - spytał nie wierząc własnym uszom. - Ale dlaczego, mały Andresie? Czyż niedobrze cię traktowałem?

- Jak rodzony ojciec - odparłem zgodnie z prawdą ale teraz, gdy główny nawigator pakuje swoją skrzynię...

Zerwał się z tapczana i pobiegł do Sali Map, gdzie zarzucił ręce na szyję don Pedra Fernandezę i zaczął go błagać o zaniechanie zamiaru.

- Czyż dla ciebie nie zraziłem sobie pułkownika, uwalniając sierżanta? - zapytał.

- Być może, ekscelencjo, ale teraz znowu po niego posłałeś, a skoro był świadkiem mojego wystąpienia, nie może być miejsca dla nas obu na tym samym okręcie.

- Jeśli zejdiesz na ląd - rzekł generał z goryczą - cała załoga pójdzie za twoim przykładem i nawet siłą się jej nie powstrzyma. Chciałbyś więc raz jeszcze przekreślić moje nadzieje, w ostatniej chwili, tylko przez osobistą ambicję?

- Mogę przekonać ich, aby nie odchodzili. Wystarczy, że wspomnę o twojej światowej sławie jako żeglarza. Jeśli ty, ekscelencjo, będziesz wyznaczać drogę, a bosman pokieruje okrętem, moje skromne umiejętności nie będą potrzebne. Mówiąc otwarcie, „San Geronimo” stał się domem wariatów; postanowiłem poświęcić pieniądze, które włożyłem w wyprawę.

- Tylko anioł potrafiłby wszystkim dogodzić w takich okolicznościach - lamentował generał - a ja jestem biednym człowiekiem, pełnym wad i znużonym niemal śmiertelnie.

Prosił i błagał miodowym głosem, ale postanowienie głównego nawigatora było niewzruszone; pożegnał się z uprzejmymi wyrazami szacunku i ubolewania i zabrał się na nowo do pakowania. Gdy skrzynia była już obwiązana sznurami, kazał ją spuścić do łodzi, a sam zszedł po drabince trzymając świętą figurę pod pachą i zamachał nam czapką na pożegnanie. Jego odjazd napełnił mnie wielkim smutkiem, i choć całym sercem pragnąłem udziału w tej przygodzie, postanowiłem wycofać się z niej, gdy tylko zdam swoje rachunki Miguelowi Llano.

Kiedy łódź przepływała pod dziobem statku, podniósł się głośny, pełen przestraszu szmer i jakiś majtek krzyknął:

- Ahoj, nawigatorze, dokąd to? Opuszczasz statek?

A drugi:

- Do diabła z tymi wszystkimi odejściami i powrotami. Powiedz nam szczerze, don Pedro, czy odchodzisz na dobre? Jeżeli tak, ani żywa

dusza nie zostanie na tym nieszczęsnym okręcie, choćby nas mieli rzędem powiesić na grotrei.

- Spełniajcie swój obowiązek, majtkowie! - odkrzyknął. - Bosman będzie kapitanem, a generał jest daleko lepszym nawigatorem ode mnie!

- Generał! - pierwszy majtek prychnął wzgardliwie i splunął w morze. - W swoim czasie może i był dobry, ale teraz nawet ślepy zauważy, że rozlatuje się jak stare pudło, które wpadło na rafę. Już bym wołał kapelana jako dowódcę okrętu!

- Święty Mikołaj świadkiem - wtrącił inny - że don Alwar jako nawigator nie potrafiłby pokierować drewnianym trepem po bali!

Łódź dopłynęła do nabrzeża i Pedro Fernandez wyskoczył właśnie na brzeg, gdy na kamienistej plaży ukazał się wąż bogato ubranych postaci o uśmiechniętych dobrodusznie twarzach. Na czele kroczyli w czerwieni, złocie i zieleni namiestnik Paity pod rękę z admirałem; następnie szli kapitan don Lorenzo i don Luis wraz z kapitanem portu; za nimi świta namiestnika i grupa kupców z Paity, którzy przybyli pożegnać flotyllę prezentami i modlitwą.

Kiedy admirał ujrzał głównego nawigatora na nabrzeżu, z opończę i kocem przewieszonym przez lewe ramię, a statua pod prawym, zawołał wesoło:

- Odłóż te ciężary, przyjacielu, i złóż uszanowanie jego ekscelencji namiestnikowi. Właśnie mówiłem mu, że w tobie mamy najodważniejszego i najzręczniejszego nawigatora Nowego, jak i Starego Świata i że póki ty utrzymujesz nas na kursie, nie potrzebujemy się obawiać niczego zgoła.

Pedro Fernandez zignorował komplement, ale złożył ukłon namiestnikowi.

- Z żalem muszę zameldować, ekscelencjo - powiedział - że zwolniłem się ze służby u generała; jeśli ekscelencja ma dla mnie jakie zajęcie w tym porcie, jestem całkowicie do jego usług.

Rozległ się chór protestów, admirał zaś poprosił go o wytłumaczenie tej okrutnej dezercji. Bez złości i dobierając jak najmniej dotkliwych

słów wyjaśnił, że z powodu zacieklej kłótni wśród niektórych wysoko postawionych osób we flotylli woli poszukać sobie pracy gdzie indziej.

- Ależ, drogi przyjacielu - zawołał don Lopez biorąc go w objęcia - dzięki wspaniałomyślnej interwencji jego ekscelencji spory te należą już do przeszłości. Wszyscyśmy się pojednali i od tej pory na „San Geronimo” będzie panował taki sam spokój i zgoda jak na galeonie, którym ja dowodzę. Spójrz, kto tu się zbliża. Widziałeś kiedy większą miłość?

Wskazał za siebie, a tam kapitan Corzo pomagał iść zataczającemu się pułkownikowi z taką czułością, jakby ten był jego bogatym a bezdzietnym wujaszkiem.

- Oby ta zgoda trwała jak najdłużej - odparł główny nawigator chłodno. - Nie będę obecny, by jej przyklaskiwać.

Pułkownik podszedł bliżej i kiedy zobaczył Pedra Fernandeza stojącego obok swoich tobołków, krzyknął:

- *Cóż to, mój panie, dezercujesz ze swego okrętu? To bardzo źle, bardzo małodusznie. Ach, biedny generał, który tyle już wycierpiał! A teraz, w ostatniej chwili, główny nawigator odchodzi sobie i opuszcza go.*

- To nie dezercja, wasza dostojność. Wypowiedziałem umowę i straciłem pieniądze włożone w przedsięwzięcie.

- Nie szermuj mi tu argumentami, mój panie. Powiedziałem, że to dezercja! Słowo daję, diabeł najwidoczniej grasuje wśród nas i stara się, jak może, zniweczyć wielkie dzieło generała Mendani. Wróćmyż wszyscy na okręt flagowy i przepędźmy tego piekielnika z koźlimi kopytami. Klnę się na maciorę świętego Antoniego, że mu to sprawi srogi zawód. Będzie knuł zemstę i obmyślał nowe sztuczki, by znowu wodzić nas za nosy, ale do piekła z nim, powiadam, i niech się tam smaży! Naszym obowiązkiem jest teraz dzierżyć wysoko sztandar naszej chrześcijańskiej wiary i służyć Bogu i naszemu królowi nadzwyczajnymi czynami, choćby za cenę życia.

Wzniósł laskę niby chorągiew, zamachał nią jak szalony, po czym zwałił się bezwładnie na ziemię. Wszyscy prócz głównego nawigatora

wybuchnęli śmiechem; nawet pułkownik śmiał się sam z siebie wraz z innymi. Gdy uciszono się wreszcie i postawiono go znów na nogi, Pedro Fernandez odpowiedział:

- Szlachetny panie, ceńmy umiar i powściągliwość ponad wyczyny nieśluchanej odwagi. Dotychczas zbyt pochopnie - używałeś kija i szpady na podległych sobie żołnierzy i obrzucałeś przekleństwami moich ciężko pracujących majtków.

Wiem dobrze, jaką to wyrządziło szkodę, i nie mogę nawet myśleć o powrocie na swoje stanowisko, jeśli nie przysięgniesz, że to się nie powtórzy.

Na to pułkownik odrzekł tylko z szerokim uśmiechem:

- Ależ, mój drogi, nie oczekujesz chyba umiaru i powściągliwości od pułkownika?

- Oczekuję ich od niego, i to przy każdej okazji - obstawał przy swoim główny nawigator, po czym ciągnął dalej prostymi słowami, jakby przemawiał do dziecka: - Jesteś, panie, wciąż jeszcze w Peru, skąd moi ludzie niedługo zawiozą ciebie i twoich, żołnierzy na dalekie Wyspy Salomona; a kiedy tam zejdziecie na ląd, oni zostaną na pokładzie, żeby opiekować się okrętami. Czy jasne jest dla ciebie to, co mówiłem do tej pory? Otóż jeśli tobie, panie, podobało się nimi pomiatać, im, być może, spodoba się odpłynąć i zostawić was tam na łasce losu. Zresztą, jeśli nawet nie spletają ci takiego figla, nie zapominaj, że potem popłyną jednak z powrotem do Peru po posiłki i świeże zapasy. A meldunek, jaki z sobą zawiozą o naszych widokach na przyszłość, nie będzie ani lepszy, ani gorszy od traktowania, jakiego doznają ze strony waszej dostojności.

- Mówisz jasno, panie - rzekł namiestnik Paity - ale zechciej zniżyć głos, aby twoi towarzysze ze statku nie usłyszeli słów nie przeznaczonych dla ich uszu. Jestem przekonany, że nasz szlachetny przyjaciel w zasadzie zgadza się z tobą.

Pułkownik jednak trwał przy swoim punkcie widzenia.

- Wcale nie, ekscelencjo! - wykrzyknął. - Ten człowiek cacka się z załogą i jeśli nie okaże większej stanowczości, przekona się wkrótce,

że majtkowie kpią sobie z niego. Musi nauczyć ich spełniać jego rozkazy na wysokim, a nie spacerowym kroczkiem... doprawdy, byłbyś ekscelencjo obrzydzony widząc, jak marnie spisywali się na paradzie w piątek wieczór, i to na oczach Naczelnego Admirała! A ten jak to przyjął? Z niedbałym wzruszeniem ramion jak Eli w przypowieści. Pedro Fernandez uparł się.

- Ekscelencjo - powiedział - dałem słowo, że nikt mnie nie nakłoni do podróży z pułkownikiem, jeśli ten nie zmieni gruntownie swego nastawienia.

Namiestnik był człowiekiem trzeźwo myślącym i dobrym dyplomatą.

- Ach - odrzekł - jeśli to kwestia dotrzymania słowa, nie ma o czym mówić! Ale bądź przynajmniej łaskaw poczekać tu i niczym nie pogarszać sprawy, póki nie wrócę.

Zawołał o swoją łódź i wkrótce bicie bębnow oznajmiło jego wejście na pokład „San Geronimo”.

Na okręcie flagowym wszyscy stali przechyleni przez burtę słuchając tej wymiany słów, a mój podziw dla głównego nawigatora kazał mi przypuszczać, że wojsko stało za nim całym sercem na równi z załogą. Jednakże podczas gdy namiestnik bawił na dole w kajucie generalskiej, kilku żołnierzy zawzięcie broniło pułkownika. Junta niedbale rozparta riał pokładzie za moim plecami wypowiedziała swoje poglądy z całą mocą.

- Ja tam zupełnie się zgadzam z pułkownikiem - powiedział Matia. - Ten Dimas to awansowany lokaj i taki z niego żołnierz jak ze mnie mamka. Pułkownik wydał mu rozkaz i powinien był wykonać go bez gadania, chociażby chodziło o poderżnięcie gardła własnemu ojcu. A on co zrobił? Poszedł skamlać do wikariusza. „Proszę księdza, mam czułe sumienie!” Jakie prawo ma sierżant do sumienia? Niech zostawi takie zbytki lepszym od siebie. „Pułkownik dał mi rozkaz i boję się o swoją duszę, jeżeli go wykonam!” Czemu nie poszedł raczej do kapelana, który kiedyś był jednym z nas? Ksiądz Antonio byłby go zaraz osadził:

„Rozkaz to rozkaz, mój synu - powiedziałały - a jeżeli pułkownik przypadkiem jest w błędzie, co ciebie to obchodzi? Konfesjonał zawsze stoi przed nim otworem. Rób, co jest twoim obowiązkiem, człowieku!”

- Tak - rzekł Juarez - byłby użył dokładnie tych słów, a Dimas po raz drugi wykazał swoją nieznajomość dobrej żołnierki, kiedy wtrącił się w kłótnię pomiędzy szlachcicami. Gdy oficer czubi się z oficerem, niech uszy twoje będą głuche, oczy ślepe, a usta nieme: oto pierwsza lekcja, jakiej się nauczyłem jako rekrut. Dimas zasłużył sobie na podciąganie na linie.

- Powoli, bracia - wmieszał się szafarz wody. - Może jestem tylko marynarzem i nie nadążam za wami w sprawach wojskowego obyczaju, ale czy uważacie, że pułkownik miał rację kopiąc i bijąc ordynansa za to, że robił coś, na co miał pozwolenie?

- Co do tego, chłopie, czy to raz majtek dostaje powrozem za usłuchanie głupiego rozkazu swojego bosmana? Gdyby był dobrym żołnierzem, osłoniłby swojego oficera; powiedziałały: „Nie, wasza dostojność, nikt nie dawał mi pozwolenia. Upraszam waszą dostojność o przebaczenie, wypięm o łyk cziczy za wiele.” Uważacie, nie twierdzą, że ordynansowi przypięto te wstążki umyślnie, żeby zwrócić uwagę pułkownika i zmusić go do wierzgania i stawania dęba; ale miał on już dosyć kłopotów z pewnymi wysokimi oficerami - nie będę ich wymieniał z nazwiska - i postanowił sobie dbać o to, aby go respektowano. Wszystko zaczęło się od tego, że generałowa zbesztła go z pokładu szańcowego, gdy tylko zameldował się na statku... Oczywiście, szlachciance kagańca założyć nie można, ale pani ta ma ostry język, a skóra pułkownika jest wrażliwa.

- I wtedy - podjął Matia - wtedy ten twój błędny rycerz, główny nawigator, stanął po jej stronie i ujął się za bosmanem; nie twierdzą, że źle zrobił, Jaume, bo marynarze też mają swoją dumę. No, ale naraził się pułkownikowi, rozumiesz? Jego dostojność może i jest starym hula-ką, skorym do bójki, ale serce ma dobre, sakiewkę zawsze otwartą dla

biedaka; pilnuje, żebyśmy byli dobrze odżywieni i uzbrojeni i nigdy w życiu nie obraził nikogo bez jakiejś, chociażby małej, prowokacji. Jeśli chcecie znać moje zdanie, ci wysocy oficerowie nie powinni byli owego dnia ofiarowywać głównemu nawigatorowi swojej opieki, i cenię go za to, że jej nie przyjął; knucie intrygi przeciwko pułkownikowi mocno trąci buntem, a ja wiem, co jest moim obowiązkiem. Ale kiedy teraz bronił sierżanta, popełnił wykroczenie. Pułkownik skłął bosmana; dobrze, główny nawigator ma prawo protestować; ale jeśli pułkownik kopie żołnierza, przeszywa go szpadą, spuszcza mu baty, wypruwa kieszki czy kraje go na kotlety, które rzuca psom - nic to głównego nawigatora nie obchodzi. Może najwyżej przeżegnać się i pójść dalej swoją drogą.

- Daj rękę, Matia, zgadzam się z tobą - rzekł Juarez. - A morał z tego taki: wystarczy wsadzić tylko baby na statek, by kłopoty mnożyły się jak wszy.

Właśnie gdy to mówił, któryś z chorążych kazał żołnierzom stanąć na baczność i namiestnik Paity wrócił do swojej łodzi, wiodąc pod ramię donię Izabelę. Generał pozostał na statku. Na nabrzeżu wszyscy ściągnęli nakrycia z głowy, gdy kroczyła delikatnie po wyboistym bruku, i nigdy przedtem ani potem nie widziałem kobiety wyglądającej tak pięknie jak wówczas doña Izabela w ciepłych promieniach zachodzącego słońca. Kładąc lekko dłoń na ramieniu głównego nawigatora, rzekła półgłosem:

- Pójdź, przyjacielu, jesteś nam potrzebny. Choć nikt nie może cię zmusić do zmiany postanowienia, nie wątpię, że usłuchasz kobiety. Ręcę ci słowem, że pułkownik nie wywoła dalszych skandali ani w czasie podróży, ani gdy wylądujemy na naszych wyspach. Czy przyjmiesz moje słowo?

Cóż mógł Pedro Fernandez odpowiedzieć? Przykląkł i ucałował jej rękę w milczeniu. Następnie podziękowawszy namiestnikowi za życzliwość wrócił na okręt i zameldował się do służby. Pułkownik zrobił to samo nieco później i nikt nie podjął już więcej prób pojednania ich.

W Paicie napełniliśmy tysiąc osiemset stągwi i dzbanów wodą, a namiestnik przekazał nam resztę hakownic, tak że mieliśmy ich teraz ogółem dwieście. Z trzystu siedemdziesięciu ośmiu osób w naszej flotylli nie mniej niż dwieście osiemdziesiąt zdolnych było do noszenia broni, a generał zdołał znaleźć oficera chętnego do zapłacenia dwóch tysięcy pesos za patent majora, drugiego po pułkowniku dowódcy wojskowego. Nazywał się don Luis Moran i, moim zdaniem, mądrzej było zostawić go na łądzie razem z jego pieniędzmi. Ta stara, podła i tchórzliwa kreatura nadawała się raczej na stangreta jakiejś starszej damy niż na dowódcę dobrego oddziału wojska.

ROZDZIAŁ VII

NA PEŁNYM MORZU

Mimo, że tak bardzo pilno nam było ruszyć na nowo w drogę, musieliśmy pozostać w Paicie jeszcze blisko miesiąc. Fregata zaczęła teraz przeciekać tak szybko, że kapitan Leyva odmówił wyprowadzenia jej w morze, dopóki nie dokona się gruntownego jej przeglądu; wiedząc jednak, że u don Alwara nic nie wskóra, poszedł prosto do namiestnika Paity. Zawezwany doń generał usiłował zlekceważyć skargę jako płonną i przedstawił świadectwo zdatności statku „Santa Catalina” do wyjścia w morze, wydane przez kapitana portu Callao. Namiestnik spojrzął na nie pobieżnie i zarządził nowe oględziny statku przez kapitana portu, którego sprawozdanie wypadło tak niekorzystnie - wręgi fregaty były miejscami cienkie jak skóra na buty, a stępka zżarta przez robaki teredo - że generał poskarżył się z goryczą, iż uszczelnianie i inne naprawy w Callao zostały umyślnie wykonane lada jako, i poprosił o pozwolenie wymiany statku na inną, znajdującą się w porcie fregatę. Na to namiestnik zgadzał się tylko pod warunkiem, że różnica wartości zostanie wpłacona od razu w brzęczącej monecie; potrzebnych pesos nie było jednak skąd wziąć. Ponieważ fregata potrzebna była do żeglugi wśród raf wyspowych, zbyt niebezpiecznych dla galeonów, więc musieliśmy zostać w porcie, podczas gdy „Świętą Trumnę” rozładowano, przewrócono na bok i łatano.

Oficerom pozwolono zejść na ląd, pozwolenie to jednak nie rozciągało się na załogę ani na wojsko. Nabrzeża pilnował bez przerwy patrol

arkabuźników, mający rozkaz strzelania do każdego, kto by próbował opuścić okręty. Mimo to pięciu młodych żołnierzy zdołało zdezerterować przepływając basen portowy, a jeden z nich zabrał ze sobą dziewczynę - emigrantkę, holując ją na nadmuchanej koźlej skórze. Był to okres męczący i przykry; pogoda była upalna, gdyż nie spadła dotąd ani kropla deszczu; moskity cięły niemiłosiernie; do tego zmarnowaliśmy całomiesięczną porcję prowiantu. Jednakże każde zło ma swój koniec: we czwartek przed Wniebowstąpieniem fregata była naprawiona i ponownie załadowana, i mogliśmy już odpłynąć, lecz te i owe drobiazgi nie pozwoliły nam opuścić portu aż dopiero nazajutrz rano.

W piątek zatem, dwunastego maja, wypłynęliśmy na morze przy dźwiękach trąb i bębnow, generał zaś lamentował głośno, że dwa pełne miesiące minęły od dnia, w którym zamierzał opuścić Peru. Obiecywał jednak, że jeśli wiatry dopiszą, ujrzymy pierwszy ląd za osiem tygodni lub wcześniej, a na Wyspy Salomona dotrzemy w trzy tygodnie później, czyli w ostatnim tygodniu lipca; a że szerokość geograficzna Wysp jest mu dobrze znana, więc będzie jak w piosence:

Karawelo, pomykaj.
Płyn wzdłuż równoleżnika,
A wysiądziemy na ląd.

Gdy wypłynęliśmy z zatoki i patrzyliśmy na niknącą z wolna w od dali sylwetę rezydencji namiestnika Paity, pojawiło się stado wielorybów i zaczęło baraszkować pomiędzy okrętami. Jeden ogromny byk, dwa razy tak duży jak „Santa Ysabel”, dał nura pod jej rufę; dech nam w piersiach zapało ze strachu, że wzniesie się nagle na powierzchnię i uderzy w nas, płynących o trzy kable przed nią. Wypłynął z szumem na wierzch, wyrzucając olbrzymi słup pyłu wodnego; ksiądz Juan usiłował uśmierzyć jego gniew żegnając go znakiem krzyża i przyśpiewując: „O wieloryby, błogostawcie Pana!”, podczas gdy główny nawigator, świadom grożącego nam niebezpieczeństwa, odwiódł kapitana artylerii,

Manuela Lopeza, od zamiaru strzelenia z działa w złośliwego potwora, do czego namawiała go żona. Wieloryb płynął za nami jeszcze przez jakieś dwie mile, podczas gdy jego towarzysze zawrócili na północ, ale potem nie widzieliśmy już innych przez cały czas podróży; rzadko się one pojawiają na tych szerokościach, wolą bowiem zimną wodę od ciepłej.

Przez resztę dnia byliśmy wszyscy w dobrych humorach. Pomyślna bryza, która wydymała nasze żagle, gdy płynęliśmy wzdłuż wybrzeża, dęła jeszcze; lecz w drodze do Paity żeglowaliśmy na północ od równoleżnika, którego mieliśmy się trzymać, teraz zaś, sterując na południowy zachód, mieliśmy wiatr na trawersie i posuwaliśmy się daleko wolniej.

Na rozkaz generała wszyscy na okręcie pościli od północy, a teraz odprawiono mszę; byliśmy wszyscy bardzo przejęci powagą chwili: zastanawialiśmy się, co też może nas spotkać, i dumaliśmy o naszych rodzinach i przyjaciółach, których może nigdy więcej nie mieliśmy ujrzeć. Wikariusz wygłosił krasomówcze kazanie, którego treść zapisałem w dzienniku, póki miałem ją świeżo w pamięci. Powiedział, że celem naszej wyprawy jest zaszczepienie świętej wiary na wyspach Mórzu Południowych; że wszelka ziemska chwała lub korzyść, jaką możemy osiągnąć wypełniając to zadanie, jest jedynie czymś przygodnym. Tak żeńcy koszący pole mogą przypadkiem zdybać zająca skrytego w pozostałej pośrodku kępie zboża i zabić go szczęśliwym zamachem sierpa; tak wojowniczy święty Jerzy, wyruszający raz pewnego konno z Libanu, by głosić ewangelię niewiernym, natknął się na srogiego smoka, którego przebił niezawodną dzidą, dając tym ciosem jakby uboczny upust swojemu misyjnemu zapałowi.

Opowiedział nam potem historię, za której prawdziwość ręczył: jak to w niedalekim Tumbes - miejscu, gdzie wylądował Pizarro i pierwszej po Panamie miejscowości na stałym lądzie, którą zasiedlili nasi ludzie - pewien ksiądz zszedł na brzeg z krucyfiksem w ręku prosto w

tłum dziesięciu tysięcy Indian przypatrujących mu się w zdumieniu. Gdy stopa jego dotknęła piasku wybrzeża, z puszczy wyszły dwa wielkie lwy, a gdy delikatnie położył im krzyż na grzbietach, natychmiast padły na ziemię i cześć mu oddały. Co więcej, dwa tygrysy, które pojawiły się w ślad za nimi, uczyniły to samo, dając w ten sposób poznać Indianom doskonałość naszej chrześcijańskiej wiary, którą też zaraz potem wszyscy przyjęli jak jeden mąż.

- Kapłan ten - ciągnął dalej wikariusz - był mężem nadzwyczaj świętobliwym, do tego stopnia, że trzymał oczy stale utkwione w niebo, jak gdyby po to, by lepiej oglądać chwałę bożą; w ten sposób unikał też widoku kobiet z owego wybrzeża, które chodziły nago. Wiara, o bracia moi, która z pomocą bożą cuda czyni - jak w przypadku tych lwów i tygrysów - zależy od najściślejzego unikania cielesnej pokusy. Pewnego dnia królowa jednego z okolicznych plemion przybyła kusić tego świętobliwego księdza. Miała niezwykle białą skórę i włosy jak włókna konopne, tak iż można ją było wziąć za Niemkę, a kształty jej były nad wyraz ponętne. Zbliżyła się do niego zupełnie naga, jeśli nie liczyć klejnotów na szyi i przegubach rąk, i powiedziała doń: „Ojcze, jestem królową i przysłałam cię powitać. Czy podoba ci się to, co widzisz?” Wpatrzony w niebo, odrzekł niewinnie: „Owszem, córko, podoba mi się bardzo.” A ona: „Cała jestem dla ciebie, jeśli przyjmiesz moją miłość.” Święty mąż zadrżał i kazał jej odejść, mówiąc, że całą swą miłość oddał Bogu samemu i ona powinna uczynić to samo; ona jednak nie chciała go usłuchać i oplotła go miłosnym uściskiem. Wówczas on, wciąż patrząc w górę, ujrzał na drzewie olbrzymiego pręgowanego węża, a gdy odtrącał od siebie kusicielkę, wąż zsunął się i owinął się wokół jej kibici, by ją udusić. Nieskończone miłosierdzie boskie sprawiło wszakże, iż choć potwór już na wpół ją pochłoniął, pożałowała swych grzechów w porę, by szczerze się z nich wyświadczyć, i umarła słodko w chrześcijańskiej wierze.

Od tej pouczającej opowieści był już tylko krok do pokus, jakie mogły nas opaść w naszej długiej i nużącej podróży wskutek obecności na statkach wielu płochych niewiast.

- Słyszałem - ciągnął ksiądz Juan kiwając ostrzegawczo kościstym palcem wskazującym - że rytmiczne kołysanie statku, gdy żołądek raz się do niego przyzwyczai, wywiera diabelski urok na kobiety, pobudzając i rozpalając ich wszeteczeństwo; z tego to powodu starodawni poganie wyobrażali swoją boginię miłości cielesnej jako wynurzającą się z morskiej piany. Otóż, synowie moi, miłość mężczyzny do kobiety jest rzeczą naturalną, ale nikt nie powinien spoglądać na kobietę inaczej niż oczyma brata, jeśli nie jest mu ona poślubiona z błogosławieństwem Kościoła. Pomnijcie więc na dusze wasze i uważajcie, byście nie potknęli się i nie zginęli!

Jak pisze święty Augustyn: „Jeśli miłe wam są ciała, chwalcie Boga i zwróćcie miłość, jaką do nich żywicie, na powrót ku Stwórcy waszemu, abyście, używając tego, co wam jest miłe, nie stali się Jemu niemiłi... Trwajcie przy Nim, a będziecie żyć w pokoju. Dokąd zmierzacie, żyjąc niegodnie? Dokąd, pytam? To, co miłujecie, z piekła pochodzi i może się stać dobre i miłe tylko za sprawą Boga. Wszystko, cokolwiek On stworzył, jeśli nie jest miłowane tak, jak On przykazał, źle jest miłowane i słusznie obróci się w gorycz w ustach waszych, jeśli zakosztujecie tego nie tak, jak potrzeba.” Tedy, synowie moi, uciekajcie przed śmiertelnym grzechem nierządu i przed gorszym jeszcze grzechem cudzołóstwa. Jeśli ciało wasze jest pyszne, umartwiajcie je wstrzemięźliwością; nie nadużywajcie mięsa i wina, gdyż siedem grzechów głównych tańczy razem w kole, a Nieczystość trzyma kochanka swego, Obżarstwo, za prawą rękę.

Mówił jeszcze dużo w tym samym duchu; młodzi żołnierze słuchali nabożnie, ale weterani ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem. Piece kuchenne buzowały za zasłonami od wiatru i w wielkich miedzianych kotłach kipiała już gęsta mieszanina duszonej fasoli, kapusty, cebuli,

solonej wołowiny i boczku. Juan de Buitrago powiedział do mnie, chciwie wciągając w nozdrza powietrze:

- Nie myli się przysłowie:

W dobrej potrawce
Ma być boczek tłusty;
W dobrym kazaniu
Święty Augustyn.

Ale na honor, trzeba być świętym, żeby praktykować wstrzeźliwość przy takiej okazji jak ta, i jeżeli rzeczywiście Obżarstwo jest kochankiem Nieczystości, niejeden śmiertelny grzech zostanie popełniony, zanim paziowie wywołają środkową wachtę.

Powiedział prawdę: przed zapadnięciem nocy nie było na całym galeonie ani jednego trzeźwego żołnierza czy majtka i można było oglądać wiele nieprzystojnych widoków; jednakże panował miły nastrój i nikt ani razu nie dobył szpady ni noża. Oficerowie ucztowali w zgodzie przy wspólnym stole pod płóciennym daszkiem rozpostartym nad pokładem szańcowym. Pułkownik był zbyt pijany, aby się pokazać, a jego stronnicy postanowili zachować spokój, jeśli ich nikt nie zaczepi. Wymieniano przyjazne toasty, a don Alvar uśmiechał się do nas promiennie, syjąc dowcipnymi żarcikami; jednakże ledwie że umoczył wargi w dobrym winie i zjadł tylko skórkę chleba i parę oliwek.

Kiedy siedzieliśmy przy wetach, weseli, z porozpinanymi kubrakami, wysłuchaliśmy jeszcze jednego kazania, tym razem z ust generała. Dotyczyło ono naszych stosunków z krajowcami, do których przybywaliśmy nie jako zdobywcy, lecz jako ambasadorowie Chrystusa; nie po to, by brać, ale by dawać.

- Stanowczość łągodzona dobrocią, taka musi być nasza zasada - mówił. - Niechaj tych pięknych wysp nie spotka los Indii Zachodnich, gdzie - choć krzyż zatknięto tam na dobre - niewinne błędy ustąpiły miejsca wyrafinowanemu występki. Niestety, zaszczepili go

rzekomi chrześcijanie, którzy przybyli między Indian z bronią palną, batami i wszetecznymi żądzami! Słyszałem, jak pewien żeglarz obliczał, że z trzydziestu milionów Indian zamieszkujących te wyspy przed stu laty, gdy odkrywał je Kolumb, dziś żyje zaledwie trzy miliony... ochrzczonych, to prawda, lecz wciąż nie nauczonych świętych zasad wiary, nękanych chorobami i jęczących pod batem. Okażmy więc wyspiarzom wyrozumiałość, choćbyśmy widzieli, że popełniają straszne czyny; pamiętajmy, że żyją w ciemnocie i niewiedzy, a my, ludzie oświeceni, przybywamy rozproszyć te mroki.

Pamiętam dobrze, jak w czasie tamtej mojej podróży, w miejscowości zwanej Baso, gdzie naprawialiśmy naszą brygantynę, słuchaliśmy mszy pewnego ranka, kiedy wartownicy ujrzeli osiem nadpływających wielkich łodzi pełnych ohydnie wymalowanych Indian z łukami i dziadami. Sierżant zameldował mi o tym po cichu; przeżegnałem się i odszedłem, pozostawiając resztę zgromadzonych wiernych na klęczkach. Kiedy goście wpływali do zatoki, jeden z wartowników chciał wystrzelić z hakownicy do ich wodza, który stał na dziobie pierwszej łodzi wymachując włócznią z żeber palmowych i hebanu, ale wyrwałem mu broń z ręki i zeszedłem na sam brzeg wody. Indianie powitali mnie imieniem *Taurique*, co w ich języku znaczy „król”, i zaprosili mnie, bym wszedł do łodzi wodza; odmówiłem jednak, a że msza się tymczasem skończyła, udałem się pod baldachim, gdzie zasiadłem, zapraszając w ten sposób do parlamentacji.

Łodzie ustawiły się rzędem niedaleko brzegu, a wódz dobył kawał mięsa i jakieś korzenie, wołając: *Nalea! Nalea!*, co znaczy „Jeść! Jeść!” Przyjrząwszy się dokładnie darom, zobaczyliśmy ze zgrozą, że była to ćwiartka chłopca z delikatnym ramionkiem i małą rączką! Niebawem jeden z Indian dał nurka z łodzi i pozostawił dary tuż przy brzegu, abyśmy mogli je zabrać. Mój Murzyn wyniósł je z wody, prawda, Myn? A gdy znalazł się poza zasięgiem ich łuków, wartownicy spytali, czy

mają strzelić do tych krwiożerczych kanibali; ale ja nie pozwoliłem. „Ludzie ci - powiedziałem - nie odróżniają jeszcze dobra od zła.” Na co mój pułkownik, don Hernando Enriquez, odparł: „Ekscelencjo, odróżniają całkiem dobrze, gdyż nie jedzą swoich współplemieńców, tylko szukają sobie ofiar na sąsiednich wyspach.” Kapitanowie poparli jego słowa, ale ja: „Bracia chrześcijanie - rzekłem - to, że powstrzymują się od zjadania własnych krewnych, dowodzi pewnej łagodności i miłości, którą można będzie obrócić na dobry użytek. Zanim zaczniemy wojsować z dzikimi, trzeba pokazać im, że nie powinni popełniać tych niegodziwości; dopóki ich w ten sposób nie pouczymy, wszelka krzywda, jaką im wyrządzimy, obciąży nasze sumienia.”

Kazałem wykopać dół na oczach Indian, a wtedy Myn podniósł ową ćwiartkę, prawda, Myn? Pokazał ją im i złożył delikatnie w dole, my zaś wszyscy odwróciliśmy twarze zdradzając oznaki obrzydzenia. Zdziwili się i zawołali obrażonym tonem: *teo nalea!*, „nie jeść”, uderzyli w bębny i odptłynęli. Nauczylismy ich jednak, że jedzenie ludzkiego mięsa jest chrześcijanom wstrętne.

Doña Mariana, która wyszczyła sporo małmazji, zaczęła pokpiwać z generała, a doña Izabela zachęcała ją ukradkowymi ruchami głowy i mrugnięciami.

- Aha, szwagrze - powiedziała - teraz wiem, dlaczego boisz się utuczyć i wstrzymujesz się od tych wybornych potraw: czynisz to z obawy, że gdy pójdziesz w tym habicie między Indian, żeby uczyć ich *Credo* i *Pater noster*, mogliby ulec pokusie. Ale pilnuj się! Kiedy ci chytry łotrzykowie dowiedzą się, jaki słodki masz język i jakie miękkie serce, mogą wyciąć ci jedno i drugie, upiec je na rożnie i dać swoim niemowlętom do ssania.

Jej bracia podjęli żart i zaczęli rozważać, kto z obecnych smakowałby najlepiej, gdybyśmy, po wyczerpaniu się prowiantów, musieli żywić się jedni drugimi. Don Diego, najbardziej szalony z całej trójki, spojrzął na mnie wilczym wzrokiem i powiedział:

- Nasz Andrés Serrano upiekłby się na chrupko i byłby miękki do krajania, ręczę za to!

- Masz słuszność - rzekła doña Mariana. - Daj no, mały Andresie, niech pomacam ci żebra i zobaczę, ile na nich tłuszczu.

Przechyliła się, wsunęła mi rękę pod koszulę i uszczypnęła mnie, aż zapiszczałem o litość.

- Hej, bracia! - zawołała. - Po co czekać, aż zbraknie prowiantów? Ten prosiaczek teraz jest w najlepszym stanie i szkoda byłoby jeść go dopiero, jak będzie chudy.

Obwiązali mnie jak kawał mięsa do gotowania i udali, że chcą mnie zanieść do kuchni, a doña Mariana wołała, że trzeba mnie nadziać na rożen i dobrze podlać tłuszczem.

Tymczasem don Alvar, niezadowolony, że własna rodzina naśmiewa się z jego słów, odszedł prawie natychmiast do siebie; oni zaś mogli teraz pić bez ograniczeń i wygłaszać dalsze kazania na całkiem odmiennie tematy. Główny nawigator odszedł następny, tłumacząc się nawałem zajęć, a na jego prośbę Miguel Llano zwolnił i mnie; nie wcześniej jednak, aż don Luis i don Diego porządnie mnie utuczili, zmuszając mnie pod groźbą użycia szpady do połknięcia ogromnej bryły suszonych fig i kubka gęstej zupy fasolowej (od której, jak twierdzili, najlepiej zawiązuje się sadło) oraz do wypicia wielkiej ilości cienkiego piwa; doña Mariana zaś wpychała mi do i tak już pełnych ust cukierki i omal mnie nie zadusiła. Potem zataczając się poszła do osłony kompasowej, gdzie złażała Pedra Fernandeza, że miał tak kwaśną minę w ten uroczysty wieczór. Zerwała mu czapkę z głowy i oświadczyła, że nie dostanie jej z powrotem, dopóki nie wytłumaczy swego złego humoru lub nie zmieni go na lepszy. Wtedy wyznał, jaki ból sprawia mu wyruszenie w podróż bez wieści o żonie; opowiedział, że gdy nadszedł rozkaz dokonania przeglądu fregaty, posłał gońca do szwagra w Limie z zapytaniem o jej zdrowie, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Obdarzona czułym sercem doña Mariana zwróciła mu

czapkę i uroniła sentymentalną łezkę współczucia.

Główny nawigator był człowiekiem poważnym z natury; co dzień spędzał godzinę na modlitwie, lecz raczej wolał odmawiać sobie snu niż znajdować na to czas kosztem swoich wacht. Nie grał nigdy w kości ani karty i wiódł tryb życia tak regularny jak kieszonkowa klepsydra, którą nosił przy sobie; ustawicznie lustrował cały okręt, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i piętnował lenistwo i wykroczenia, gdziekolwiek je zauważył. Dobrze pamiętam jego gniew pewnego ranka, gdy odkrył, że jacyś żołnierze powbijali gwoździe w fokmaszt, aby rozpiąć sobie namiot. Poszedł jednak dość spokojnie ze skargą do don Lorenza, mówiąc mu, że nawet drobne skaleczenie sosnowego drzewa może spowodować jego pęknięcie i utorować drogę grzybowi, a wówczas, gdy zadmie sztorm i maszt ugnie się jak powróśło, trzask! Przelamie się w osłabionym miejscu i pozostawi nas na łasce fal. Kapitan obiecał surowo ukarać winowajców, jak również innych żołnierzy, którzy odrąbywali szczapy z nadbudówek okrętu, aby na nich smażyć sobie naleśniki.

Ponieważ namiot miał im służyć jako miejsce do gier hazardowych, żołnierze narzekali, że główny nawigator użył dziurki od gwoźdźnia jako pretekstu do popsucia im zabawy. Kiedy zauważył ich zły humor, spytał niejakiego sierżanta Gallarda:

- Gdybym wziął twoją szpadę i użył jej jako różna, czy byłbyś zadowolony?

- Gniewałbym się niezmiernie, nawigatorze - odpowiedział sierżant.
- Gorąco rozhartowuje szpadę; mogłaby mnie zawieść w potrzebie i przyprawić o utratę życia.

Pedro Fernandez powiedział na to:

- Ja zaś dbam o ten maszt jak ty o swoją szpadę; gdyby pękł w ciężkiej chwili, nie tylko ja, ale my wszyscy moglibyśmy stracić życie.

Barretowie szanowali umiejętność i odwagę głównego nawigatora, choć gardzili nim za niskie urodzenie i wyśmiewali się z jego gorliwości religijnej. Co do mnie, im lepiej go poznawałem, tym więcej żywiłem dlań podziwu. Zgadzał się z generałem i wikariuszem co do celu naszej wyprawy i ducha powszechnej miłości niezbędnego do jej powodzenia, a choć nigdy przedtem nie podróżował po Morzach Południowych, był jednak żeglarzem o wielkim doświadczeniu; opłynął Afrykę sześciokrotnie, dwa razy w drodze na Timor, a cztery razy na rejsie do Goa, nie mówiąc już o częstych przeprawach przez Atlantycką Ocean. Doszedł do wniosku, że Wyspy Salomona są forpocztami południowego kontynentu, „Australii”, jak go pomysłowo nazwał na część Domu Austriackiego. Kontynent ten musi być olbrzymi, by stanowić przeciwwagę kontynentów północnej półkuli; inaczej - mówił mi - ziemia straciłaby równowagę i runęłaby w otchłań bez ratunku. „Austrialia” z pewnością żywi wiele milionów dusz, dojrzałych do nawrócenia, i nasze osiedlenie się tam będzie ukoronowaniem wspaniałego stulecia. Choć początki były niepomyślne, miał nadzieję, że Bóg skłoni jeszcze zatwardziałe serca z flotylli do przejścia się Jego miłością i wzajemnego pojednania, a potem natchnie je do przekazania Indianom słodkiej i cudownej nowiny o odkupieniu ludzkości przez krew Jezusa Chrystusa.

Nie przeczyłem mu; ale przez ostatnie dwa miesiące słyszałem tyle niechrześcijańskiego gadania z ust żołnierzy i osadników, że lękałem się, iż taka odmiana usposobienia byłaby większym chyba cudem niż ten z lwami i tygrysami. Widzieli się już wielkimi właścicielami ziemskimi, strojnymi w jedwabie, koronkowe kryzy i kapelusze z piórami, żyjącymi w dostatku na swoich majątkach, podczas gdy Indianie harują na polach w pocie czoła i oddają im swe ładne córki do zaszczytnego rozprawiczenia przed wstąpieniem w związki małżeńskie, jak to się działo w Peru. „Będziemy musieli wywalczyć sobie nasze przyjemności, przyjaciele! - mówili, klepiąc się po hakownicach lub rękojeściach szpad. - Ludzie Pizarra wylądowali w Peru bez zaszczytnych tytułów

ani innych atutów poza umiejętnością władania bronią; ale ta właśnie umiejętność uczyniła ich bogatymi, a nas uczyni jeszcze bogatszymi, ponieważ złoto cenniejsze jest od srebra.”

Zapiski w moim dzienniku stały się rzadsze, w miarę jak płynęliśmy coraz dalej, i w coraz to większej mierze zaczęły dotyczyć pogody i świąt kościelnych. W dziesięć dni po wyruszeniu z Paity mieliśmy jeszcze wiatry peruwiańskie, które o tej porze roku wieją przeważnie z południowego wschodu. Nasz kurs był na zachodnio-południowy-zachód i robiliśmy zaledwie piętnaście mil dziennie. Okrętom nie towarzyszyły już mewy ani gapy, a ostatni żagiel widzieliśmy z oddali drugiego dnia podróży. Boże Ciało obchodziliśmy uroczyście; procesja ze świecami obeszła okręt przystrojony flagami i kolorowymi wstęgami, po czym żołnierze odtanńczyli taniec ze szpadami, a paziowie taniec sewilski dla uczczenia Najświętszego Sakramentu. Majtkowie pracowali i spali, wojsko wylegiwało się na pokładzie grając w karty i zawadzając wszystkim; dzieci osadników goniły się po takielunku, podczas gdy matki ich siedziały plotkując, reperując odzież lub robiąc pończochy, gdzie tylko udało im się znaleźć trochę cienia. Łowienie wielkich tuńczyków na wędkę ciągnioną za statkiem było zabawą najchętniej uprawianą przez oficerów i pewnego ranka don Luis złapał dwa ogromne okazy; ale przeważnie nie mieli nic innego do roboty, jak tylko grać w hazardowe gry, pić, śpiewać piosenki i komiczne ronda i płać sobie nawzajem figle. Nadzór nad swoimi podkomendnymi pozostawiali sierżantom.

Pułkownik nie wyszedł dotąd z kajuty; nadmiar wypitej okowity i niedostateczne pożywienie wtrąciły go w stan delirium tremens; sypiał źle i budziło go złudzenie, że w jego koi jest pełno skorpionów. Nie poznawał już kolegów i wpadał w szał, hałasując bardzo nawet po nocy, kiedy obowiązywała bezwzględna cisza z obawy, że ktoś mógłby wypaść za burtę i jego wołania o pomoc mogłyby pozostać nie zauważone. Generał pod wpływem nalegań doni Izabeli kazał go zakneblować

i związać; kiedy zaś wreszcie zapadł w głęboki sen, a następnie oprzytomniał, był tak osłabiony, że nie mógł ustać na nogach. Nie pamiętał jednak ani o kneblu, ani o skorpionach, a kapelan, który go pielęgnował, wylał w morze resztę jego okowity, całe dwa galony, aby ustrzec go przed recydywą. Wracał do zdrowia powoli, lecz bardzo polubił księdza Antonia, który dogadzał jego kaprysom i traktował go z wszelkimi względami. Okazało się, że zacny ksiądz służył z nim razem w Niderlandach, i teraz obaj przeżywali na nowo swe boje i zaprzyjaźnili się ogromnie, tak iż bracia Barretowie zaczęli podejrzewać kapelana i zaliczać go do frakcji pułkownika, co bynajmniej nie było prawdą. Don Diego rozpuszczał o nim kłamliwe i złośliwe historie, których przykładem może być następująca: ksiądz Antonio grał któreś niedzieli z pułkownikiem w kości, kiedy odwołano go, by odprawił mszę na fregacie; tam udzielając komunii pewnej staruszce, niebacznie dał jej kostkę do gry zamiast hostii. Staruszka, żując kość bezzębnymi dziąsłami, zawołała: „Ojczy, pomyliłeś się. Zamiast słodkiego ciała Jezusa, dałeś mi Boga Ojca, takie to stare i twarde.”

Dzień mijał za dniem i żeglowaliśmy dalej, jako jedyny widok mając rozległy horyzont. Znałem już każdą dziurę po sęku w ścianach Sali Map, wszystkie nieprawdopodobne opowiadania w repertuarze oficera rachunkowego i bosmana i potrafiłem dokładnie przepowiedzieć, jakie potrawy nam w danym dniu podadzą. Przy wspólnym stole siedziała obok mnie córka Juana de la Isla, Maruja, podobna - niby cielę do krowy - do swojej matki, otyłej kobiety oddanej całkowicie plotkom i obżarstwu. Bratanek pułkownika ustawicznie prawił Maruji wyszukane komplementy, które ona przyjmowała chichotliwym śmiechem i uważała się już za jego narzeczoną, choć matka uparcie twierdziła, że jest jeszcze za młoda, aby myśleć o małżeństwie. Po mojej drugiej ręce siedział kupiec Mariano de Castillo, który rozmawiał wyłącznie o pieniądzach i zyskach i nieźle musiał się obłowić na lichwie. Umiał

powiedzieć z całą dokładnością, ile w miarce pszenicy szło na rozkurz przy wianiu i przesiewaniu albo o ile więcej, co do okruszyny, wynosiła strata na stu bochenkach chleba, kiedy krajało się je nożem zamiast przełamywać ręcznie. Kłócił się stale z oficerem rachunkowym, którego oskarżał o oszustwa; i nigdy nie mogłem dojść, jakim sposobem don Alwar namówił go do włożenia pieniędzy w tak ryzykowne przedsięwzięcie.

Czas odmierzali nam paziowie. Obserwowali oni i przekręcali klepsydry w niszy osłony kompasowej i za każdym przekręceniem wyśpiewywali:

Dobry czas ucieka.
Lepszy czas nadchodzi.
Teraz pierwszy milczy,
Drugi brzękiem zwodzi.

Bóg wie, jak wiele dobrych lat zostało;
Bierz je, licz je, korzystaj niemało.

- Hej, wy tam, na dziobie! Nie śpicie? Czuwacie? Świt nadchodził wraz z ich przenikliwym śpiewem powitalnym, podobnym trelom ptaków w okresie godowym:

Chwałą zorzy, co się jawi,
Drzewu, na którym Chrystus krwawił.
Chwała Trójcy, jej Boskości,
Prawdziwej w Jedności.
Chwała sercom chrześcijańskim,
Które chcą miłości Pańskiej.
Chwała dniu, co wstaje z zórz,
Bóg usunął ciemność już.

Potem odklepywali prędko Ojczy nasz i Zdrowaś i wołali śpiewnie:

Amen! Niech nam Pan Bóg da wiele takich dni. Słuchaj, generale, słuchaj, prosimy, dostojna pani, słuchaj, pułkownika, słuchaj, kapitanie i wszyscy szlachetni mężowie i damy, słuchajcie: życzymy wam szczęśliwej i pomyślnej

podróży! Płyńcie dalej, płyńcie wesoło! I wy, panowie z rufy i panowie z for-
kasztełu, dzień dobry wam wszystkim, w imię boże!

Na co wstawaliśmy i szliśmy na nabożeństwo poranne. Gdy nad-
chodziła pora obiadowa i paziowie nakrywszy do stołu nieśli z kuchni
półmiski, i wołali:

Do stołu, do stołu! Generale, pani generałowo, pułkowniku, kapitanie i
wszyscy pozostali szlachetni panowie i damy - słuchajcie! Stół nakryty, stawa
podana i wody utoczono dla waszych ekscelencji!

Wiwat, niech żyje król kastylijski!
Na wodzie, na łądzie wiernym sercom bliski.
Topór lub stryczek dostaną wrogowie.
(Nosa nie umoczy, kto Amen nie powie.)
Stół zastawiony, wkrótce będzie pusty:
Kto się nie zjawi, straci kasek tłusty.

O zmierzchu zaś któryś z nich zapalał lampę na osłonie kompasow-
wej, po czym intonował, a wszyscy pozostali odpowiadali mu chórem:

Pozdrowiona godzina, gdy się rodził Zbawiciel.
Pozdrowiona Pani Nasza, która dała mu życie.
Pozdrowiony święty Jan, iż go chrzczył, zwany Chrzciciel.
Wachty wyznaczone, wychodzimy w morze,
Ześlij nam pomyślny wiatr, prosimy Cię, Boże.

Wachty wywoływali w te słowa:

Na miejsca, na miejsca, piękni panowie z nowej wachty, na miejsca, na
miejsca! Wielki czas pokwapić się teraz, więc prędko! Wstawać, wstawać,
panowie z nowej wachty.

Na miejsca!

Wacht mieliśmy trzy: kapitańską, bosmańską i nawigatorską. Po-
nieważ główny nawigator był zarazem kapitanem „San Geronimo” i nie
miał pomocnika, nad tą trzecią wachtą komendę sprawował bosmanmat,
Damian z Walencji, człowiek popędliwy, który uważał żołnierzy za

darmozjadów niepotrzebnie zajmujących miejsce na ziemi, żeglarstwo zaś za jedyne uczciwe rzemiosło.

Co dzień w południe nawoływaliśmy się z pozostałymi okrętami celem wymiany nowin i obserwacji; co niedziela zatrzymywaliśmy okręty na dwie godziny i podczas gdy kapelan szedł na fregatę, a wikariusz na galeotę, aby odprawić mszę i wysłuchać spowiedzi, nawigatorzy i wyżsi oficerowie składali sobie wizyty. W trzecią niedzielę na pełnym morzu pewien oficer z „Santa Ysabel” nieopatrznie napomknął don Diegowi, że admirał sypia z żoną sierżanta, ten zaś, wielce oburzony, poszedł z tym prosto do generała. W kajucie generalskiej wybuchła potężna awantura; padło dużo gorzkich słów, z których niejedno mimo woli podsłuchałem. Doña Mariana wybierała się bez zwłoki na pokład „Santa Ysabel”, żeby wyrzucić rywalkę za burtę i odzyskać męża; siostra jej utrzymywała jednak, że cudzołóstwo don Lopego jest afrontem, z którym żadna szanująca się kobieta nie może się potulnie pogodzić, i że admirał musi przyjść do niej, nie ona do niego. Omawiali tę sprawę cały tydzień, z każdym dniem bardziej się zaperzając, a w następną niedzielę don Lorenzo i don Diego udali się do admirała i powiadomili go, że jeśli pragnie cieszyć się żoną po dotarciu na Wyspy, musi wyprawić nałożnicę na inny statek i na kolanach prosić całą rodzinę o przebaczenie. Temu żądaniu admirał odmówił, oświadczając bez ogródek, że odkąd tylko sypnęła mu się broda, nie spędził ani tygodnia bez kobiety w łóżku; że za późno mu teraz uczyć się wstrzeźliwości i że kolana ma znacznie za sztywne, by zginać je przed kimkolwiek poza królem Kastylii. Niech tylko żona przyjdzie do niego - powiedział - a będzie ją czcił i miłował, tamta zaś kobieta może być jej sługą.

Don Lorenzo odpowiedział nie bez gniewu, że widocznie admirał nie zdaje sobie w pełni sprawy, z jakim spowinowacił się rodem. Na to don Lope - odrzekł, że zgodnie z umową podpisaną przez generała oczekuje, iż żona połączy się z nim na pierwszej wyspie, na której wylądują, i że nie przystanie na żaden nowy warunek narzucony ich

związkowi bądź to przez jej rodzinę, bądź przez jakąkolwiek postronną osobę.

W tej samej chwili don Diego spostrzegł żonę sierżanta ukrytą za kotarami łoża i zapytał jej:

- Czy wstydu nie masz, ładacznico, że porzuciłaś okaleczonego męża i narażasz duszę uprawiając cudzołóstwo?

- Dostojny panie - odpowiedziała spokojnie - lepiej jest być szczęśliwą kochanką niż nieszczęśliwą żoną; ja zresztą nic innego nie robię, jak tylko ogrzewam łóżko admirała na przyjęcie siostry waszej dostojności.

Odeszli wściekli, bez pożegnania, i w najbliższą niedzielę między galeonami żadnej wymiany wizyt nie było.

Dopłynęliśmy w tym czasie do czternastu stopni szerokości geograficznej, wciąż trzymając się kursu na zachodnio-południowy-zachód i przeżeglowawszy około pięciuset mil; na świętego Jana jednak zmieniliśmy kurs na zachodnio-północny-zachód, ponieważ wiatry zmieniły kierunek, i stopniowo zbliżaliśmy się do dziewiątego równoleżnika, zwiększając o pięć mil przebywane na dobę odcinki. Trzydziestego czerwca, w dzień świętego Marcjalisa, ksiądz Antonio wybrał się do generała i zaproponował mu, że z pomocą świętego wyleczy go z bólu głowy.¹

¹ Nieprzetłumaczalna gra słów. *Headache* oznacza ból głowy oraz kłopot.

- Z bólu głowy? - spytał don Alvar zdziwiony.

- Mam na myśli - wyjaśnił ksiądz - twoją bolesną troskę o młode kobiety na statku, których wszeteczeństwa nie zdołałeś ukrócić ani groźbą, ani przestrogą.

- Czyżby ci, księżę, niebiosą objawiły jaki środek?

- Środek jest tylko jeden, mój synu - rzekł kapelan - a mianowicie małżeństwo, które sam Zbawiciel nasz uświęcił, będąc na weselu w Kanie. Zezwól kobietom wyjść za mąż, a ręczę, że choć nie wzdragały się przed nierządem, będą się bały większego grzechu, jakim jest

cudzołóstwo. Jeśli jednak pozwlekasz jeszcze trochę z pozwoleniem, rejestr urodzeń Miguela Llano rozpocznie się pięknym pokłosem bękartów. Niewiele ludzi potrafi trzymać na wodzy namiętności, jak ty to czynisz, mój synu, a któraż młoda niewiasta jest mądra poniżej paska? Oczekując zbyt wiele od bliźnich, narobiłeś sobie niepotrzebnego zmartwienia.

Don Alwar ustąpił w końcu, ale wzdragał się przemówić publicznie w sprawie, która tak bardzo mu była niemiła. Zamiast tego na jego rozkaz przywiązano do grotmasztu pergamin z obwieszczeniem, że ponieważ lepiej jest wstąpić w związki małżeńskie niż gorzeć w piekle, ci kochankowie, którzy nie mogą zdobyć się na wstrzemięźliwość do chwili przybycia na Wyspy, mają przyjść do niego i poprosić go o zgodę na ślub. Postąpił w ten sposób bez wiedzy doni Izabeli, która dowiedziawszy się o obwieszczeniu była bardzo niezadowolona. Powiedziała z krótkim śmieszkim do siostry:

- Kochankowie, rzeczywiście! Trudno będzie orzec, kto się w kim kocha, skoro tyle dziewczek należy do całej załogi pospołu. Don Alwar lepiej by zrobił posługując się dybami i batem, jak mu radziłam.

Według opowiadań Elwiry, zaczęła następnie molestować generała, by zrzucił zakonny habit i poprosił księdza Juana o zwolnienie go od złożonego ślubu; nie dał się jednak uprosić. Mam jasno w pamięci obraz jego wejścia do kajuty generalskiej pewnego ranka, z Juanitem na rękę - najmłodszym z naszych emigrantów, rok niespełna liczącym siódmym dzieckiem osadnika z Truxillo, niejakiego Miguela Geronimo. Don Alwar w swym franciszkańskim kapturze, w grubym habicie podkasanym dla ochłody, wyglądał całkiem jak święty Krzysztof przenoszący Dzieciątko Jezus przez rzekę, a cudowna tkliwość w jego oczach, kiedy nucił małemu jakąś niemądrą kołysankę, napełniła mi serce litością. Widoczne było, że bezdzietność go gnębi, a gdy spojrziałem ukradkiem na donię Izabelę, haftującą już znowu na tamborku,

uświadomiłem sobie, że ona żywi doń o to samo wściekłą urazę. Twarz jej przez chwilę pobrzydła od nienawiści i wstydu; jednakże powiedziała tylko:

- Jeśli mnie kochasz, mężu, odnieś tego brudnego bachora z powrotem do matki! Roi się cały od wszy i obsika nas tu wszystkich.

Generał westchnął i potulnie wyśliznął się z kajuty.

W ciągu następnych trzech tygodni obchodziliśmy piętnaście ślubów, było jednak jeszcze sporo kobiet, które wołały jakiś czas, pozostać w stanie wolnym, mając teraz mniej rywalek w swej profesji i mogąc szybko uskładać sobie okazały posąg. Tak przeszedł lipiec, z jednym tylko nieszczęśliwym wypadkiem. Dziewiątego, w wigilię świętego Krzysztofa, zdarzyło się, że Miguel Llano, najadłszy się nieświeżej ryby, dostał gwałtownej biegunki. Doña Izabela poskarżyła się nazajutrz rano, że przebywał zbyt długo w „ogródku” przy kajucie generalskiej i panie musiały czekać; generał kazał mu więc chodzić na grędy zawieszane pod bukszprytem, których używała załoga. Są to miejsca niebezpieczne przy wzburzonym morzu, a choć tego dnia było zaledwie świeże, Miguel miał pecha. Kucał dopiero chwilę, gdy jakiś niezgrabny sternik wachtowy zanadto zbliżył okręt do wiatru, okręt stracił szybkość, a osłabiony Miguel wpadł do morza.

Stało się to w porze, kiedy oficerowie i załoga zasiadali właśnie do swych oddzielnych obiadów, i wśród ogólnej krzątaniny jego krzyki przeszły nie zauważone; niebawem wypatrywacz na bocianim gnieździe dojrzał go szamocącego się w wodzie o długość kabla za rufą i podniósł alarm. Jeden z majtków rzucił się w morze na ratunek, podczas gdy wszyscy na statku hałasowali, czym kto miał pod ręką, żeby odstraszyć rekiny. Miguel raz już poszedł pod wodę, a gdy wypłynął, śmiały ratownik schwycił go za kołnierz i uderzył go między oczy, aby się nie szamał. Na koniec wyciągnięto obu na pokład, ale Miguel był ledwo żywy. Bosman podniósł go za pięty, aby opróżnić jego płuca z

wody; oficer rachunkowy łaskotał mu gardło piórkiem, by pobudzić go do wymiotów; don Alvar kazał wlać mu w przęłyk gorącej polewki winnej, a następnie kubek oliwy, żeby słona woda nie przeżarła mu kiszek, a dwóch majtków masowało mu piersi i brzuch oliwą. Wszystko na próżno: wargi mu pobladyły i zaczął konać. Kapelan wyszedł na pokład, spieszenie go wyspowiadał i udzielił mu wiatyku.

Tegoż wieczoru wrzuciliśmy ciało Miguela Llano do morza. Mianowano mnie po nim rejestratorem urodzeń, małżeństw i zgonów i smutnym moim obowiązkiem było otworzyć listę zmarłych jego własnym nazwiskiem. Był oschłym, kłótlwym człowiekiem, który nie okazał mi wiele dobroci; mimo to przez miesiąc z okładem co wieczór modliłem się za jego duszę, bo litowałem się nad jego losem będąc jedynym, który osiągnął z niego korzyść.

ROZDZIAŁ VIII

WYSPY MARKIZY

Co dzień w południe główny nawigator brał wysokość słońca, aby określić szerokość, na której się znajdowaliśmy, i utrzymywał statek na należytych zachodnim kursie dziesięć stopni i pięćdziesiąt minut na południe. Gdy wyżsi oficerowie zaczęli się trochę niecierpliwić brakiem lądu, choć mijał już sześćdziesiąty dzień od naszego wyjazdu z Paity, powiedział im, że nie powinni brać obietnic generała zbyt dosłownie; płynęliśmy teraz o przeszło trzy stopnie na południe od samotnej Wyspy Jezusa, jedynej lądu, jaki dostrzeżono podczas poprzedniej wyprawy przed dotarciem na Wyspy Salomona. Przypomniawszy im również, że don Alwar wyruszył wtedy o pięć miesięcy wcześniej i przez to korzystał z pomyślniejszych wiatrów. Może wypadnie nam spędzić jeszcze wiele tygodni na morzu; dotychczas przebyliśmy tylko osiemset mil z przewidzianych tysiąca pięciuset i nie wiadomo, czy przed przybyciem do celu dane nam będzie ujrzeć bodaj jaką nagą skałę.

W dziesięć dni później rozmawiałem akurat z bosmanem przy grotmaszcie, kiedy nadszedł chorąży Juan de Buitrago i przyłączył się do rozmowy. Omawialiśmy wydarzenie dnia - gdyż w długiej morskiej podróży nawet błahostki nabierają ważności - a mianowicie wypadek Murzyna generała, Myna, który wchodząc po drabince na pokład szanconowy dostał w głowę kamienną kulą armatnią ważącą blisko cztery funty.

Kulą tą nikt w niego umyślnie nie rzucił; wyslizgnęła się z rąk don Diega, gdy bawił się nią w piłkę z don Luisem. Myn runął w tył na główny pokład, lecz natychmiast skoczył na równe nogi uśmiechając się szeroko i ruszając uszami, nie doznawszy najmniejszego szwanku.

- Któryż to z panów rzucił ten orzeszek? - krzyknął i poszedł w swoją stronę śmiejąc się do siebie pod nosem.

- Tak, tak, don Marcosie - rzekł chorąży - wiadomo, że Murzyni mają twarde czaszki. Ale słyszałeś kiedy, jak niezwykle są łaskotliwi? Dziad mój Hermenegildo de Buitrago pojechał z Balboa na sławną wyprawę do Darien, kiedy to ze skalistej góry Pirri ujrzano po raz pierwszy ocean, po którym teraz płyniemy. Mawiał do mnie na swój ucieszny sposób: „Juanie, chłopcze mój, jeżeli kiedykolwiek będziesz miał trudności z jakimś czarnuchem, nie wal go łaską po głowie; wyśmieję cię tylko, łypnie oczami i puści wiatra. Ale połaskocz mu skórę piórkami, a będziesz go miał na swojej łasce i niełasce. Ot, choćby ów Murzyn Ñuño...”

I zaraz rozpoczął swoją opowieść: „Balboa, uważasz, sprowadzał nas ze szczytu góry, obdartych i chorych na febrę, przez gęstą, ciernistą dżunglę; a kiedy na koniec zeszliliśmy nad brzeg morza, wszedł po kolana w wodę, ciął w nią uroczyście szpadą i w imieniu króla objął ją we władanie. Ale to widać nie wystarczało. Ksiądz, który był z nami, uparł się, że czyn ten musi być urzędowo zapisany, z podaniem dnia, godziny i nazwisk świadków, i chwała należycie Bogu oddana. Sekretarz Balboi usiadł na piasku, rozpostarł na kolanach zwój pergaminu, odkorkował rożek z inkaustem, naostrzył gęsie pióro i zaczął pisać pod dyktando księdza. Ale kolana miał chude i kościste; niebawem wstał i oznajmił, że potrzebny mu jest stół. «Chodź tu, Ñuño - powiada Balboa - dobry z ciebie katolik i wierny poddany króla, użyż nam więc swego czarnego, spoconego grzbietu!» Więc Nuño ukląkł, wsparł się rękoma o piasek, sekretarz zaś rozpostarł pergamin na jego szerokich barach i zaczął pisać od nowa. Ale, jak Bóg na niebie, męka tego Murzyna stanowiła

istne studium dla rzeźbiarza: tak był łaskotliwy, że za każdym pociągnięciem pióra stół przechylał się i miotał niby czółno na burzliwym morzu. «Spokojnie, człowieku, nie ruszaj się! - rzekł ksiądz surowo. - Jest to dla nas wszystkich najbardziej uroczysta chwila w życiu: wkraczamy teraz we wrota historii. Przestań chichotać jak pijana družka na weselu, łajdaku; nie ruszaj się, kiedy dyktuję, bo pożałujesz! Murzyn nie mógł się jednak powstrzymać; wił się jak węgorz w słoju i śmiał się jak hiena. Sekretarz stał przy nim z poważną, melancholijną twarzą i piórem zawieszonym w powietrzu, czekając, aż się uspokoi. «Historii! - zawołał Ñuño, gdy był znów w stanie mówić. - Wielebny ojcze, jakże to święte słowo łaskocze Nuña w plecy!» Na to zacny ksiądz stracił panowanie nad sobą i zamasyżuje kopnął Murzyna w zadek; sekretarz, chcąc pochwycić pergamin, wpadł na niego i obaj potoczyli się na ziemię. Powaga chwili przepadła z kretesem. Oto na białej plaży Pacyfiku leżeli pokotem Murzyn, sekretarz, ksiądz, róg z inkaustem i pergamin - wszystko do góry nogami.”

- Do góry nogami! - zawołał prostoduszny bosman z zachwytem. - Do góry nogami, na cudowną Panienkę z Pilar! Cha! cha! cha!

Ogarnęło mnie niejasne uczucie, że kiedyś, może we śnie, przeżyłem już podobną sytuację. Rozejrzałem się dokoła w nagłym strachu i oto tam, niecałe pięć kroków od nas, stał pułkownik, bardzo błądy i ciężko wspierający się na lasce - pierwszy to raz od wielu dni pokazał się na pokładzie. Wtedy dopiero przypomniałem sobie opowieść o ślepej dziewczynie z Panamy i zrozumiałem, dlaczego słowa bosmana wydały mi się takie znajome. Pułkownik, w którym dawna uraza odżyła na skutek tak wiernego powtórzenia tamtej sceny, już na wpeł podniósł laskę i najwyraźniej zamierzał rąbnąć nią w głowę bosmana, gdy raptem z bocianiego gniazda na górnej rei rozległ się głośny okrzyk:

- Ziemia! Ziemia!

- Jaki namiar, człowieku? - krzyknął don Marin.

- Dwa rumby w prawo, wasza dostojność! Wyspa, o jakieś dziesięć mil stąd!

W wielkim podnieceniu, nieświadom niebezpieczeństwa, którego o tak mały włos uniknął, bosman wdrapał się na olinowanie i wkrótce potwierdził odkrycie wypatrywacza. Generała odwołano natychmiast od różańca; kazał on zmienić kurs flotylli i skierować się ku wyspie. Majtek wśród głośnych wiwatów poszedł do kajuty generalskiej odebrać w nagrodę trzy złote pesos i wypić czarę najprzedniejszego wina.

Don Alvar nie posiadał się z radości. Przekonany był, że dotarliśmy na Wyspy Salomona o dziesięć dni wcześniej, niż nam obiecał, i na jego życzenie wszyscy na pokładzie - żołnierze, marynarze, osadnicy i oficerowie - ukłękli, by podziękować Bogu za wielką łaskę, jaką nam okazał doprowadzając nas do celu, a księża tymczasem odśpiewali *Te Deum Laudamus*. Wyspie nadał nazwę La Magdalena, ponieważ mieliśmy właśnie wigilię świętej Marii Magdaleny.

Tego wieczoru wśród naszych żołnierzy było więcej niż zwykle przechwałek i pijaństwa; spostrzegłem też, że nie grali już w kości na maravedi lub reale, jak to mieli we zwyczaju, lecz na kwity, zobowiązując się do zapłacenia, po otrzymaniu przydzielonych im majątków, tyłu a tyłu świń, niewolnych krajowców czy też uncji złota. Nie mogę powiedzieć, aby oficerowie zachowywali się bardziej po chrześcijańsku; zaiste, sądząc po ich rozwichrzonej gadaninie i hałaśliwych wybrykach można ich było wziąć za marokańskich piratów gotujących się do napaści na Neapol lub wybrzeże sycylijskie w poszukiwaniu niewolników.

Kiedy paziowie powitali pieśnią świt, mężczyźni, kobiety i dzieci co do jednego wybiegli na pokład i wszyscy niecierpliwie wypatrywali lądu, choć padał rześisty deszcz. Mężczyźni wdrapali się na wanty i obsiedli je niby stado szpaków. Gdy zrobiło się jaśniej, rozległ się okrzyk radości; niecałe pół mili przed nami widniała wyspa, sprawiająca wrażenie zamieszkałej. Sterowaliśmy na jej południowy kraniec, a ponieważ nie było widać raf ani sterczących z morza skał, trzymaliśmy się całkiem blisko brzegu. Pozostałe okręty miały rozkaz płynięcia

za nami w przyzwoitej odległości i nieparlamentowania z krajowcami, don Alwarowi zależało bowiem, jak mówił, na uniknięciu zbędnego rozlewu krwi.

Choć nie bardzo duża, wyspa nie była bynajmniej nikczemnych rozmiarów; miała może z dziesięć mil obwodu, była gęsto zadrzewiona, a wysokie wzgórza poprzecinane jarami sprawiały, że wyglądała na większą. Zielone palmy kołysały się na wietrze, sponad niewidocznych wiosek unosiły się błękitne dymy, a na szerokich plażach roiło się od krajowców, którzy krzyczeli i gwizdali. Deszcz tymczasem ustał i zza cypla po wschodniej stronie wystrzeliły dziesiątki małych czółen. W niektórych było tylko po trzech Indian, w innych aż dziesięciu, lecz każde drażone było z jednego tylko pnia, z rzeźbionym dziobem i częścią rufową, zakończoną wąską, zadartą do góry płetwą. Doliczyłem się ich aż siedemdziesięciu. Miały trójkątne białe żagle, a od przewrócenia chroniły je po obu stronach wysięgniki w formie pływaków z klocków, przymocowanych do trzciniowych poprzeczek. Osady czółen nie zdawały się jednak tylko na żagle: używały też wiosł kajakowych o szerokich piórach. Dzikich było może czterystu, licząc tych, którzy płynęli wpław lub których holowano za czółnami; wszyscy oni, choć obficie wytatuowani, zwłaszcza na twarzach, w desenie kwiatów i ryb, byli nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył. Don Alwar przyjrzał im się z uwagą i rzekł do swego Murzyna:

- Czy uważasz, Myn, że to ta sama rasa ludzi, którą widzieliśmy na naszych wyspach?

- Nie, nie, panie! - odpowiedział Myn. - Ci są biali.

Myn nie widział białych ludzi na Wyspach Salomona; samych czarnych dzikusów z kędzierzawymi włosami i z łukami i strzałami. Teraz Myn nie widzi łuków ani strzał. To muszą być chrześcijanie, bardzo goli, pomalowani chrześcijanie!

- Zgadzam się z tobą, Myn - rzekł don Alwar maskując rozczarowanie. - To nie to samo miejsce, ale też szczęśliwe odkrycie. Wszystko tu inne, choć nie mówię, że lepsze. - Zwrócił się do głównego nawigatora: - Te wyspy dał nam Bóg ku wypoczynkowi i rozweseleniu, ale dzieło nasze jest wciąż przed nami.

Dzicy byli rzeczywiście zadziwiająco biali, tak podobni do Hiszpanów z budowy ciała i rysów twarzy, że kapitan artylerii poczuł wstyd, iż jego żona ogląda ich całkiem nagich, i prędko odesłał ją pod pokład.

- Gdyby byli małpami - powiedział - albo afrykańskimi Murzynami, to co innego, ale nawet mężatce nie godzi się oglądać tak nieprzyzwoitych widoków.

Jednakże doña Izabela i jej siostra stały przechylone przez relingi rufy i bez zmrużenia oczu przyglądały się widowisku. Mężczyźni byli pięknie zbudowani: rośli, muskularni, o jasnej skórze, prostych nogach, smukłych palcach, najzdrowszych zębach, jakie kiedykolwiek widziałem, i długich, kręconych włosach, niekiedy bardzo jasnych i ułożonych w fantastyczne zwoje i sploty.

- Na mękę Pana naszego! - usłyszałem okrzyk pułkownika - jeżeli tacy są mężczyźni, ich kobiety muszą być doprawdy piękne!

Stałem u boku głównego nawigatora patrząc z przyjemnością na te niespotykane widoki, gdy jedno niewielkie czółno podpłynęło tuż pod rufę: było ładnie rzeźbione i ozdobnie wyłożone muszlami perłowymi. W czółnie znajdowało się trzech młodych chłopców wyglądających na synów wodzów; trzymali oczy utkwione z napięciem w naszych oczach. Jeden z nich, lat około dziesięciu, miał misternie trefione loki tak jasne jak u pierwszego lepszego Duńczyka i anielskie rysy, w których piękność i szlachetność ducha tak szczęśliwie się z sobą łączyły, że Pedro Fernandez pochwycił mnie za rękę i zawołał:

- Mały Andresie, przyjacielu mój, serce mi się kraje na myśl, że tak prześliczne dziecię mogłoby być pozostawione na zatracenie, nie ochrzczone i nie nauczone prawdziwej wiary.

Pozostali krajowcy przywiosłowali teraz bliżej, wskazując palcami zatoką, z której przybyli, i wykrzykując w języku, którego nikt z nas nie rozumiał; najczęściej używali słów *atalut* i *analut*, jak gdyby chcieli nas tam zaprosić. Na znak przyjaźni przywieźli nam orzechów kokosowych i owinięte w liście wałki jakiegoś ciastowatego pożywienia, które nazywali *tutao*, lecz które nam nie smakowało, a także piękne, dojrzałe banany i świeżą wodę w laskach bambusu, grubych jak nogi mężczyzny. Podawali nam to wszystko z czółen na statek, lecz bali się wejść na pokład, nie wiedząc zapewne, czy jesteśmy widmami, czy też żywymi ludźmi.

Nagle rozległy się ochryple wiwaty żołnierzy na widok dwóch dorosłych dziewczyn płynących w dość znacznej odległości od czółen, a za nimi - gromady, może ze dwudziestu, innych; wszystkie były zupełnie nagie, o smukłych kibiciach i małych jędrnych piersiach; nie szpeciły ich żadne tatuaże, prócz wąskich niebieskich pasków na ramionach. Żołnierze wymachiwali czapkami jak szaleni i wykrzykiwali sprośności, na co dziewczęta reagowały, jakby rozumiały, o co chodzi, wykonując gesty tak lubieżne, że zdolne byłyby w samym świętym Antonim rozpalic namiętności. Don Alwar prędko położył kres tym zabawom; polecił pułkownikowi zakuć dwóch żołnierzy w dyby, sam zaś, zapałając w oburzeniu, że nie znajduje się już w swoim majątku w Guanaco, zwymyślał piękne syreny w języku peruwiańskim, grożąc im batem i potrząsając pięścią, po czym klasnął energicznie w dłonie, by je odpędzić. Zawróciły i uciekły całą ławicą, płacząc ze strachu, a z tłumu u burty wyrwało się długie, zawiedzione: „Aaaa!”

Tubylczy wojownicy zgotowali naszym paniom całkiem inne powitanie. Rozpoznali w nich wprawdzie jakoweś osoby płci żeńskiej, ale nie okazali im najmniejszej kurtuazji. Pokazywali je tylko palcami i śmiali się z ich strojów, nigdy w życiu bowiem nie oglądali niewiast we francuskich kapturkach, krochmalonych kryzach i barwnych szatach;

ich własne kobiety zadowalały się, jak stwierdziliśmy potem, krótką, prostą spódniczką. Być może dziwił ich także widok kobiet pływających na okrętach; ich żonom i córkom nie wolno było bodaj ręką dotknąć czółna.

Doña Izabela zaczerwieniła się po samą szyję i rzekła do don Lorenza:

- Proszę cię, bracie, każ któremuś z arkabuźników nabić broń sru-tem i przejechać tym nieokrzesancom po nogach. Trzeba ich nauczyć grzeczności!

Don Alwar, usłyszawszy przypadkiem te słowa, wmieszał się z wielką zapalczywością.

- Czyż to jest sposób niesienia krzyża pomiędzy pogan? - zawołał do don Lorenza. - Przecież to są niewinne dzieci! Śmieją się z serdeczności, nie zuchwalstwa, a żadna z naszych dam nie musi pozostawać na pokładzie, jeśli czuje się obrażona w swej skromności.

Doña Izabela wzruszyła ramionami i spojrzała na siostrę, jakby chciała powiedzieć: „Cóż ma począć kobieta, gdy mąż zbyt jest pobożny, aby strzec jej czci?” Bracia jej bardzo źle przyjęli interwencję generała i zebrali się w gromadkę rozmawiając po cichu, marszcząc brwi i co rusz dotykając rękojęści szpad.

Bosman tymczasem jowialną miną i łagodnymi słowy nakłonił jednego z krajowców do dotknięcia kadłuba statku, stukając w jego bok na dowód, że jest to rzeczywistość, a nie zjawą. Dalsze namowy sprawiły, że krajowiec wspiął się po linie i stanął na pokładzie. Był to wojownik mniej więcej trzydziestoletni, misternie wytatuowany i noszący brodę wedle nowej dla nas mody: środkiem podbródka biegł wygolony pasek, a włosy po obu stronach zaplecione były w warkoczyki przetykane psimi zębami. Na głowie miał wysoki strój z kogucich piór, za jednym uchem czerwony kwiat, drugie zaś przekłute szpikulcem, na którym wisiał krążek z kości słoniowej. Zauważyłem, że podobnie jak i inni

jego pobratymcy, był obrzezany. Niebawem zaczął przechadzać się dumnie po pokładzie, lewą ręką podrzucając dwa ostro zakończone bełty, a prawą pokręcając procę z plecionego łyka, jakby chciał pokazać, że się nie boi; jasne jednak było, że wystarczyłoby postraszyć go byle jakim okrzykiem, a przesadziłby burtę w prerażeniu.

Generał, siedzący teraz w fotelu okrytym czerwonym suknem, przyjął go łaskawie i wręczył mi starą webową koszulę i furmański kapelusz, w które kazał mi go przyodziać. Indianin przyjął te dary z godnością, pozwalając mi zapiąć na nim koszulę, jakby to była dla niego całkiem codzienna czynność, po czym zdjawszy z głowy strój, ofiarował go generałowi w zamian za kapelusz. Gdy skoczył do burty i pokazał się towarzyszom, roześmieli się na całe gardło, co jednak nie zamąciło jego spokoju. Machnął im ręką i krzyknął coś nagłym tonem, jakby chciał powiedzieć: „Jest tu dużo rzeczy, które można otrzymać bez trudu i bez niebezpieczeństwa.”

Wówczas jeszcze ze czterdziestu wdrapało się skwapliwie na okręt; w porównaniu z nimi poculiśmy się jakąś skarłatą rasą: jeden wojownik o głowę i szyję przewyższał chorążego Tomasa de Ampuero, najroślejszego z naszych mężczyzn, którego uważaliśmy dotychczas nieomal za olbrzyma; a dzięki ozdobnemu strojowi z piór na głowie krajowiec wydawał się jeszcze wyższy. Po chwilowym wahaniu zaczęli zuchwale przechadzać się po głównym pokładzie, biorąc do rąk wszystko, co im przypadło do gustu; postawiono jednak warty, aby nie mogli rozłazić się po innych pokładach. Zdawali się nie całkiem pewni, czy nasi żołnierze są ludźmi takimi jak oni sami, i co chwila zaglądali im z bliska w twarze i ostrożnie dotykali palcami ich ubrań.

Jeden z tarczowników chcąc im dogodzić rozpiął kaftan i koszulę, pokazując nagą pierś; inny spuścił pończochy i podwinął wysoko rękawy. Upewniwszy się, że jesteśmy mimo wszystko ludźmi, od razu wyzbyli się wszelkiej obawy i zaczęli się zachowywać jak u siebie w domu; w istocie równie trudno było nakłonić ich do odejścia jak przedtem

do wejścia na okręt. General rozdał jeszcze kilka koszul i trochę cacek, między innymi lusterko, które wywołało wiele strachu i podniecenia. Potem za przykładem generała poszli żołnierze, co jednak okazało się błędem. Nasi goście zawołali głośno na swoich towarzyszy w czólnach, aby także wspięli się na pokład i odebrali podarunki.

- Nie, nie, chciwcy utrapieni! - krzyknął generał odpędzając ich gestem. - Zabierajcie się stąd, a prędko! Odpłaciliśmy wam już sowicie za wasze dary. Bosmanie, nie puszczaj ich więcej na okręt!

Zmarszczył groźnie brwi, klaskał po wielokroć w dłoń i wskazywał krajowcom czółna.

Śmiali się uradowani z jego gestów, ale niczym nie zdradzali zamiaru opuszczenia nas i zaczęli poczynać sobie jeszcze śmieiej niż dotychczas. Niektórzy wtargnęli do kuchni, podziwiali cynowe naczynia i próbowali je ukraść. Kucharz odpędził ich wiązką chrustu, przedtem jednak zdążyli już porwać z haka polec słoniny. Wskoczywszy z tym do barkasa, nożami zrobionymi z trzciny cukrowej zaczęli odcinać kawałki słoniny, które wpychali sobie do ust, cały czas śmiejąc się i paplając.

Don Alwar wszedł za nimi do łodzi i przemówił bardzo surowo, nakazując im oddać, co pozostało ze słoniny, i natychmiast opuścić okręt. Gdy w dalszym ciągu śmiali się, a nawet pokazywali mu języki, kazał wystrzelić pusty nabój z falkoneta. Przyglądali się, jak artylerzysta wbija ładunek do lufy i zapala lont, tłocząc się wokół, by zobaczyć, co to będzie za nowa sztuczka; nagle iskra padła na proch i armata wypaliła z hukiem, czerniąc im twarze dymem i napełniając nozdrza cierpkim zapachem. Skoczyli za burtę z wielkim pluskiem, oszalali ze strachu, niczym żaby spłoszone nad brzegiem sadzawki.

Tymczasem niektórzy Indianie z czółen przymocowali do naszego bukszprytu pięknie plecioną linę, a do jej końca dowiązali drugą w zamiarze zaholowania nas do swojej przystani przy energicznym

użyciu wiosła; gdy jednak armatka wystrzeliła, z nagłą puścili linę. Jedyńm krajowcem, pozostałym jeszcze na okręcie, był ów chłopiec, którego anielska twarz tak wzruszyła głównego nawigatora. Wdrapał się po linie na dziób okrętu i nabijaną kolcami maczugą starał się obciąć kawałek złoczonego ornamentu zdobiącego podpórkę bukszprytu. Zameldowano o tym don Diegowi, który pobiegł tam ze szpadą w rękę i krzyknął nań, by zaraz złąził. Chłopiec jednak nie usłuchał i mocno uczeplił się jednej z grzęd zawieszonych u dziobu. Don Diego ciął szpadą, raniąc go ciężko w rękę, tak, że krzyknął głośno i spadł w wodę. Wciągnął go do łódki mężczyzna z siwą brodą, obficie wytatuowany i mający na czole błyszczący krążek z muszli perłowej.

Starzec okazał oburzenie z powodu tej napaści i powiosłował ku większej łodzi, w której siedział, trzymając w rękę parasol z liści palmowych, dostojny wojownik o brodzie i włosach pofarbowanych na trzy różne kolory - biały, czerwony i niebieski - wyglądający na wodza. Było wiele krzyku, po czym wszystkie łodzie utworzyły półokrąg w odległości jakichś pięćdziesięciu kroków od statku, podczas gdy starzec, patrząc na nas z nienawiścią, przyłożył ręce do podbródka, wojowniczo nastroszył wąsy i wezwał towarzyszy do pomszczenia chłopca. Na to dobyli włócznie złożone po bokach czółen, wstali jak jeden mąż i zaczęli potrząsać nimi groźnie, aż całe zawibrowały. Inni wtedy naładowali proce i wystrzelili całe mnóstwo bełtów, podczas gdy reszta wiosłując doprowadziła czółna na odległość rzutu włócznią, wznosząc nieharmonijne okrzyki bojowe.

Pułkownik w obliczu wroga odzyskał nagle wigor; wydał mocnym głosem komendę „Prezentuj broń”, a następnie „Pal”. Wszystkie hakownice skierowały się na czółna, ale deszcz zamoczył proch i nie padł ani jeden strzał. Tymczasem bełt wystrzelony z procy wybił sierżantowi Andradzie przednie zęby, a liczne włócznie przeleciały ze świstem pomiędzy olinowaniem lub odbiły się o tarcze żołnierzy.

- Ładuj na nowo! - zawołał pułkownik i niebawem wzdłuż całej burty rozległy się strzały. Starzec padł martwy, z ozdobą na czole strzaskaną przez celną kulę, i jeszcze pięciu czy sześciu zabito, w tej liczbie wodza z parasolem; kilku innych zaś raniono.

W mgnieniu oka zapanowało ogólne zamieszanie. Niektórzy z dzikich rzucili się do wody; niektórzy starali się ukryć za towarzyszymi. Reszta zawróciła i odpłynęła wiosłując tak szybko, jak tylko mogła, zderzając się często czołnami i zawadzając sobie wzajem o wysięgniki. Generał przyglądał się tej scenie z rozpaczą.

- Ach, don Diego, don Diego! - zawołał. - Czemuś ranił tego ładnego chłopca?

- Żeby nauczyć hultaja dobrych manier - odrzekł don Diego zuchwale. - Tej beczelnej rasie potrzebna jest taka lekcja. Wydaje mi się niezmiernie dziwne, dostojny panie, żeś pozwolił im znieważać moje siostry. Przekonałeś się chyba sam: dać im baranią nogę, a wezmą całego barana.

Wikariusz, który był zbyt pokorny i skromny, by oczekiwać, że cud z Tumbes powtórzy się na jego osobie, podszedł do don Alwara.

- Synu mój - powiedział - nie sądzę, by ci dzicy ludzie byli usposobieni do przyjęcia krzyża. Płynmy dalej i pozostawmy ich rozmyślaniom nad morałem wynikającym z ich chciwości i uporu. Może spodoba się Panu zaprowadzić nas jeszcze kiedy w te strony; ale jeśli nie, u celu naszej podróży wiele innych dusz czeka na zbawienie.

Generał przystał z wielkim smutkiem, i choć niebawem ukazało się czołno z trzema starymi krajowcami, z których jeden powiewał zieloną gałęzią i białą chustą jako rękojmią pokoju, nie odstąpił już od swej decyzji. Wdzięcznie przyjąwszy orzechy kokosowe, które ze sobą przywieźli, odmówił zaproszenia do zejścia na ląd.

Pozostawiliśmy za sobą wyspę La Magdalena i wkrótce, o dziesięć mil na północno-północny-zachód zobaczyliśmy nową wyspę, która

wyglądała o dwie trzecie mniejsza, gęsto zalesiona i pozbawiona wysokich gór; u jej wschodniego krańca nie opodal brzegu wystawała stromo z morza ogromna skała. Z powodu tej opoki oraz na łączną cześć pułkownika i głównego nawigatora, którzy obaj nosili imię Pedro, don Alwar uprzedził o kilka dni uroczystość świętego Piotra w Okowach i nazwał nasze nowe odkrycie San Pedro. Pułkownik podziękował w kwiecistych i trafnie dobranych słowach, ale zdawał się obrażony, że ma dzielić tę sławę z drugim.

- Niechże główny nawigator weźmie sobie skałę - powiedział - a mnie pozostawi wyspę.

- Chętnie zadowolę się tym, szlachetny panie - odparł natychmiast główny nawigator, niby ktoś, kto podbiega, aby odbić piłkę tenisową - i oby barka waszej dostojności nigdy nie wpadła na moją skałę!

Minęliśmy San Pedro nie wysławszy nawet jednej łodzi na brzeg, ponieważ o pięć mil dalej na północny-zachód dostrzegliśmy jeszcze dwie wyspy oddzielone od siebie wąską cieśniną. Mniejszą z nich ochrzcił generał na cześć świętej Krystyny, której to była wigilia; większą zaś, leżącą bardziej na północ, nazwał Dominika na cześć świętego Dominika, do którego w Limie zwrócił się był o wstawienie. Obie wyspy były piękne, z rozległymi równinami, wysokimi górami i licznymi plantacjami drzew owocowych, i obie robiły wrażenie gęsto zaludnionych. Ponieważ don Alwar zobowiązał się ochrzcić nazwiskiem wicekróla pierwszy znaczniejszy łód, jaki uda nam się odkryć, nazwał całą grupę Las Islas Marquesas del Virrey Garcia Hurtado de Mendoza, która to szumna nazwa wprędce skróciła się do trzech pierwszych słów.

Manewrując na wietrze, oglądaliśmy się za dogodną przystanią na wybrzeżu Dominiki, mającej piętnaście mil obwodu, ale nie znaleźliśmy żadnej. Gdy okrążyliśmy południowy kraniec wyspy, na spotkanie nasze wypłynęło mnóstwo czółen zbudowanych podobnie jak te z La Magdalena, a choć siedzący w nich ludzie mieli skórę ciemniejszą, oni

także powitali nas wesołym śmiechem i nie dobywali broni złożonej na dnie łodzi. W jednym z czołen stał herold powiewając zieloną gałęzią i wskazując na łódź zapraszającym gestem. Przypadkiem w tej właśnie chwili zmieniliśmy hals i okręt wykonał zwrot. Herold sądząc, że odrzucamy jego propozycję, zrobił obrażoną minę i ponowił swoje gesty z większą natarczywością, ciągnąc wąsy ku dołowi na znak pokojowych zamiarów i robiąc wymowne ruchy rękami.

Generał przychylił się do jego prośby i kazał głównemu nawigatorowi spuścić barkas, przedtem ułożywszy na jego dnie wysoki drewniany krzyż zrobiony tego ranka przez cieślę. Nagle jednak wzmógł się wiatr, a że nie było żadnego przyładka, za którym moglibyśmy się schronić, popłynęliśmy dalej, ścigani krzykami herolda. Jedyne bliższe kontakty pomiędzy naszymi ludźmi a mieszkańcami Dominiki nastąpił, gdy do fregaty, która trzymała się blisko brzegu, przyplłynęło dwóch krajowców i weszło na jej pokład. Jeden z nich był ogromnego wzrostu i nic sobie nie robiąc z żołnierzy zaczął przechadzać się po pokładzie w poszukiwaniu pamiątki, którą mógłby zabrać ze sobą. Nie spodobało mu się nic poza srokatą cielicą doni Izabeli, na którą spoglądał z zadziwieniem, gdyż na Markizach nie było innych czworonogów prócz szczurów, świń i małych psów. Cielica była już dobrze podchowana i musiała ważyć blisko dwa cetnary; a jednak podniósł ją za jedno ucho i już miał ją zabrać, gdy tuż koło głowy wystrzelono mu z hakownicy Uciekł z próżnymi rękoma, towarzyszowi jego natomiast podarowano igłę do żagli i - co sprawiło mu jeszcze większą przyjemność - damę czerwioną ze starej talii kart.

Wśród żołnierzy naszych panował pogląd, że wyspy te muszą być bardzo żyzne, skoro rodzą tak krzepko zbudowanych mężczyzn i tak zgrabne kobiety, lecz że dla naszych celów są za małe. Słyszałem, jak Juan de la Isla, kupiec-spekulant, powiedział do don Alwara:

- Ekscelecencjo, podobałoby mi się tu bardzo, gdyby było nieco więcej miejsca; kiedy jednak wspomnę, że żołnierze Pizarra uważali się za pokrzywdzonych, jeśli nie nadano im przynajmniej po dwadzieścia pięć tysięcy akrów, cieszę się, że przed nami leżą jeszcze większe łądy.

Dodał, że ponieważ nie zauważono ani złota, ani srebra nawet wśród ozdób wodzów, należało wnosić, że tego tu nie ma; oraz że powinniśmy spędzić tu tyle tylko czasu, ile potrzeba do zaopatrzenia się w wodę, drzewo opałowe i wszelkie świeże owoce, jakie uda się zdobyć.

Generał, którego główny nawigator błagał o udzielenie krajowcom bezcennego daru zbawienia, nie zgodził się ze zdaniem kupca. Powiedział, że bardzo korzystne dla nas, jak również dla króla, będzie założyć w tych stronach niewielkie osiedle jako bazę, do której będziemy mogli powrócić, gdyby coś poszło źle. Krajowców można będzie wdrożyć do chrześcijańskiej dyscypliny i z ich pomocą zrobić zapas suchego prowiantu i być może zbudować dok do naprawy okrętów, warsztat powroźniczy i manufakturę płótna żaglowego. Są oni życzliwego usposobienia, całkiem inaczej niż wojownicy z Wysp Salomona, którzy wszędzie witali go z otwartą wrogością, a choć zręczni procarze, zdają się nie znać łuku. W tej myśli zawezwał pułkownika, który już mniej więcej wrócił do zdrowia, i polecił mu następnego dnia udać się barkasem z dwudziestoma żołnierzami na poszukiwanie przystani na wyspie Santa Cristina, gdzie można by zaopatrzyć się w wodę. Ma jednak nie pozwolić im używać broni, chyba w obliczu bardzo silnej prowokacji.

Ponieważ główny nawigator miał wziąć udział w wyprawie, poprosiłem o pozwolenie towarzyszenia mu; pozwolenie to otrzymałem.

ROZDZIAŁ IX

PUŁKOWNIK SZUKA PRYZYSTANI

Nie bez pewnego niepokoju zasiadałem w tyle barkasa obok głównego nawigatora. Pułkownik był w nastroju do samowoli, a gdyby sprowokował krajowców, włócznia lub bełt wystrzelony z procy mógł zabić mnie nie mniej skutecznie od jakiejś groźniejszej broni. Przyjrzałem się jednej z włóczni ciśniętych na pokład, która przeszzyła dół sułtany kapelana i przygwoździła go do bezanmasztu; zakończona była ostrym kręgosłupem płaszczki. Co do bełtów, to nadawany im przez procę wirowy ruch sprawiał, że leciały ostrzem naprzód z dostateczną siłą, aby wypruć człowiekowi mózg z czaszki. Zataiłem jednak nurtujące mnie obawy i tylko w duchu pomodliłem się do mojej opiekunki, Matki Boskiej Sewilskiej.

Majtkowie z wachty głównego nawigatora podwieźli nas łodzią ku brzegowi, a gdy zbliżyliśmy się doń na tyle, że można już było rozróżnić twarze krajowców, którzy zbiegłszy się ze wszystkich stron przyglądali się nam i krzyczeli, że wschodu ukazało się dziesięć czółen i szybko nas dogoniło. Osady ich, skoro tylko nas ujrzały, ujęły włócznie w garść i okrążyły nas z groźnymi okrzykami; być może otrzymali już wiadomość o rzezi na La Magdalena, która dla tak szybkich łódek leżała o niespełna dzień drogi.

- Uwaga! - krzyknął pułkownik. - Kiedy uniosę w górę kapelusza, strzelajcie!

Spodziewając się takiego spotkania, główny nawigator zaopatrzył się w białą chustę; teraz więc, nie pytając o pozwolenie, wstał i zaczął nią machać do krajowców, którzy przestali wrzeszczeć i odłożyli włócznie. W tejże chwili pułkownik odwrócił się przypadkiem, ujrzał białą chustę i wściekły zapytał Pedra Fernandeza, kto, u diabła, dowodzi tą wyprawą.

- Nikt inny, tylko ty, szlachetny panie - odrzekł. - Ja jednak mam obowiązki względem mojej bezbronnej załogi, której nie należy wciągać w niepotrzebny bój.

- Rzuć natychmiast tę szmatę, do kroćset... tę oznakę tchórzostwa! - krzyknął pułkownik. - Te obrzezane psy wystąpiły do nas z orężem i orężem zostaną odparte. Nie przystoi synowi świętego Jakuba odrzucać wojennego wyzwania!

Przepchał się przez całą długość łodzi, wyrwał chustę z rąk Pedra Fernandeza i wrzucił ją do wody, po czym stojąc niepewnie na wiosłarskiej ławie, wsparty o sierżanta, zaczął gestykulować w kierunku krajowców, strosząc siwe wąsy i wywijając szpadą w powietrzu.

- Niech żyje święty Jakub! - wołał złowrogo.

Krajowcy zdziwili się tą nagłą zmianą frontu, ale prędko się do niej przystosowali. Wódz ich, wysoki, korpulentny mężczyzna z białą brodą i parasolką, zaczął wykrzykiwać i groźnie machać włócznią w odpowiedzi na pogróżki pułkownika. I tak rozpętało się piekło. Pociski wyrzucone z proc zagrzechotały o boki naszej łodzi i o rząd wystawionych tarczy; pułkownik wzniosł kapelusz, rozległa się salwa i dziewięciu krajowców padło trupem. Z pozostałych część dała susa w morze, reszta z zadziwiającą szybkością powiosłowała ku brzegowi. Wśród tych, co próbowali ratować się wpław, znajdował się mężczyzna z małym chłopackiem na ręku, którego obecność zdawała się wskazywać, że nie zbliżyli się do nas w wojowniczych zamiarach; w moim przekonaniu krajowcy ci wracali z połowu, gdyż na dnie jednego z czołen dostrzegłem sieć z pływakami i ciężarkami, całą lśniąca od drobnych ryb.

Jeden z naszych żołnierzy, niejaki Sebastian Lejja, wycelował starannie do owego mężczyzny, który płynął na grzbiecie trzymając dziecko przed sobą, i posłał obu na dno w wirze czerwonym od krwi. Zasłoniłem oczy i przeżegnałem się. Główny nawigator poderwał się oburzony.

- Kto to strzelił? - zawołał z furją.

- Ja - odrzekł Sebastian. Zawstydzony tym, co uczynił, tłumaczył się niepewnym głosem: - Wasza cześć musi wiedzieć, że piekło przyjmuje tych, których Bóg tam posyła. A poza tym taki otrzymałem rozkaz.

Pułkownik utkwiał pełen nienawiści wzrok w Pedrze Fernandezie, który odpowiedział:

- Żołnierz musi słuchać rozkazu, ale skoro ten człowiek był w wodzie, czemuś nie strzelił ponad jego głową?

- Co? Żeby stracił reputację dobrego strzelca?

- Przecież nie zrobił ci nic złego - powiedział główny nawigator - a ty jednym strzałem pozbawiłeś dwie cenne dusze nadziei na zbawienie. Kiedy wejdiesz w bramy piekła, co ci przyjdzie z tego, że zameldujesz się jako wyborny strzelec? Nasze życie na ziemi jest krótkie; życie za grobem trwa wiecznie.

- Strzeż się, nie podburzaj mi ludzi! - warknął pułkownik, po czym oświadczył, że żołnierz nie obciążył niczym sumienia i że Bóg kocha otwarte działanie i celne strzały.

Następnie wydał rozkaz, aby łódź udała się w pościg za czółnami do przystani, w której się schroniły. Główny nawigator w zawziętym milczeniu usłuchał rozkazu. Kiedyśmy okrążali przylądek, bystrym spojrzeniem ogarnął miejsce lądowania i zaraz oświadczył, iż nie o takim miejscu myślał don Alwar.

- Czy mówisz to z chęci przeciwstawienia się pułkownikowi? - spytał chorąży królewski i wskazał przed siebie na wioskę w zielonej dolinie jako na dowód, że przystań jest dobra.

Pedro Fernandez wyjaśnił cierpliwie, że krajowcy nie używają kotwic, lecz po każdej wyprawie wynoszą czółna na brzeg; poza tym czółna, jako płytkie, mogą wejść tam, gdzie żaden galeon nie wpłynie. Skały, którymi usiane jest dno zatoki - jak to sam chorąży królewski może dostrzec przez czystą wodę - nie stanowią dla nich niebezpieczeństwa.

Pułkownik rozgniewał się bardzo na to, co nazwał uporem głównego nawigatora, ten zaś z kolei tak niedwuznacznie dał poznać swoją urazę, że kazano mu zawieźć nas bezzwłocznie z powrotem na „San Geronimo”, gdzie zostanie podwójnie oskarżony przed generałem.

Wróciliśmy w milczeniu, nie napotykając więcej czółen i don Alwarowi przypadło wystąpić w roli mediatora pomiędzy obydwojma rozgniewanymi mężczyznami, co też nader roztropnie uczynił. Główny nawigator - orzekł - zawinił zarówno wywieszając bez zezwolenia pułkownika pokojową flagę, jak też ganiąc żołnierza, który spełnił tylko swój obowiązek; natomiast wydanie opinii co do bezpieczeństwa lądowania w danym miejscu leżało w zakresie jego kompetencji, byle nie wyrażał się w sposób świadczący o braku poszanowania dla dowódcy.

Główny nawigator nie dał się jednak zbić z tropu.

- Więc ma być wolno strzelać do małych dzieci? - zapytał. - Zaprawdę, nie spodziewałem się nigdy, że ekscelencja pochwali tak wstrętą zbrodnię; nie dbam też o to, kto posłyszysz, i powiadam, że był to pospolity mord.

- Zechciej ogłędniej dobrać słów - rzekł generał - inaczej zmusisz mnie do postawienia cię pod straż.

- Czy i mnie chciałbyś postawić pod straż? - spytała najcichszym swym głosem doña Izabela z fotela pod oknem. - Ja także twierdzę, że to był mord, don Alwarze, a główny nawigator wykazał prawdziwie katolickie męstwo nie godząc się nań w milczeniu.

Generał zdobył się na słabą próbę pojednania zwaśnionych, ale żadna ze stron nie chciała odstąpić od swoich poglądów i niebawem pułkownik opuścił kajutę generalską trzaskając drzwiami. Gdy przyszedł

do kajuty, dowiedział się od pazia, że omal nie stracił swojej białej suczki Carlotty, co jeszcze bardziej podsyciło jego gniew. Podczas gdy wszyscy na okręcie obserwowali potyczkę z lewej burty, od strony morza podpłynęły niepostrzeżenie dwa czółna i kilku bezczelnych krajowców, którzy sądząc po barwie skóry musieli pochodzić z La Magdalena, wdrapało się ukradkiem na pokład. Skradli stoczek do armaty, koszyk z przyborami do szycia i żołnierski hełm i byliby uszli z łupem, gdyby nie spróbowali również ukraść Carlotty. Otóż psy żyjące na tych wyspach, zwane tam au-au i podobne do dużych szczurów, o skórze niemal bez sierści i nieforemnych pyskach, potrafią tylko wyć i skomleć. Gdy tedy jeden ze złodziei bezceremonialnie podniósł Carlottę za ucho, aby ją zabrać, ona zaś obnażyła zęby i zaczęła na niego ujadać, krajowcy przerazili się okropnie, wyskoczyli za burtę ze stoczkiem i hełmem i uciekli na swych czółnach, nim ktokolwiek zdążył do nich strzelić. Pułkownik przyjął jako osobistą zniewagę ową próbę porwania stworzonka, które przywykł uważać za swojego jedyne prawdziwego przyjaciela; kłął się, że zmyć ją może tylko krew i że nigdy więcej wyprawiając się na zwiady nie zostawi suczki samej na statku.

Tegoż wieczoru Matia, Juarez i ja omawialiśmy wydarzenia dnia. Udawało mi się niekiedy wyświadczać juncie pewne drobne przysługi i do tego czasu cieszyłem się już pełnym jej zaufaniem.

Matia powiedział spluwając w morze:

- Sebastian to osioł; cokolwiek ten człowiek robi, robi na opak. Miał rozkaz strzelać, ale skoro już nie wystrzelił z innymi, powinien był oszczędzić sobie prochu i ładunku. Nie ma sensu zabijać dla samego zabijania, kiedy jest już po bitwie: trzeba pokazać wrogowi swoją siłę, ale nie rozjątrzać go do ostateczności. Pułkownik sam byłby skłął skurwysyna porządnie, gdyby główny nawigator go nie ubiegł. Przyjdzie dzień, kiedy Sebastian gorzko pożałuje, że ta kula nie została mu w ładownicy. Znam go już od lat, tego wieprza łaciatego. Zaciągnął się do mojej kompanii podczas ostatnich zamieszek, a skoro tylko mnie

zobaczył, zdjął kapelusz, jak gdybym był naczelnikiem wojsk. „Czy wasza dostojność byłaby łaskawa pokazać mi, jak doprowadzić ten napierśnik do większego połysku?” - pyta. „Ano pewnie, człowieku - powiadam - namydl go dobrze, a potem wsadź do balii z bielidłem.” „Pokornie dziękuję - mówi. - Zależy mi, żeby być schludnym i zrobić piękną karierę w wojsku.” Boże, nigdy się tak nie uśmieiałem, jak kiedy namydlał ten napierśnik niczym damską koszulę, a potem bielił go przez trzy godziny i zawiesił na krzaku, żeby wysechł.

- Tak, to urodzony głupiec - rzekł Juarez zwracając się do mnie - najprawdziwszy księży bękart. Ale chwała Bogu, że tacy głupcy chodzą po świecie; przywiózł ze sobą z Limy ładną kupkę pieniędzy, a z tego trzy czwarte jest już bezpieczne w naszych kieszeniach. Tylko takiemu głuptakowi jak Sebastian mogło przyjść do głowy zabawiać się grą w dwadzieścia jeden; kiedy gra z nami, jakoś zawsze tak się dzieje, że jego asy i figury znikają jakby na skutek czarów i on zostaje z samymi plichtami... Ciekaw jestem, czy wasza cześć ma jeszcze kropelkę tej wybornej małmazji, której dałeś nam do spróbowania zeszłego wieczoru? Na chleb Pański, który Bóg uczynił na obraz i podobieństwo Swoje, nigdy w życiu nie kosztowałem lepszego wina!

Następnego ranka pułkownik otrzymał polecenie dopełnienia swej misji; tym razem bosman-mat i jego wachta stanowili osadę barkasa. Na prośbę don Alwara towarzyszyłem im znowu, choć z gorszymi jeszcze przecuciami niż poprzednio. Zaszczycił mnie mówiąc mi bez świadków, że mam bystre oczy i z pewnością lepiej mu zdam sprawę z tego, co zobaczę, niż żołnierz czy marynarz, których sąd mogłoby wypaczyć uprzedzenie.

Pułkownik powiódł nas z powrotem do przystani, którą Pedro Fernandez uznał był za nieodpowiednią, i wylądowaliśmy. Jakże grunt

zdawał się chybotać pode mną, po tyłu tygodniach spędzonych na morzu, i jak świeże i ostre były wonie płynące z wyspy! Pozostawiając łódź pod strażą trzech arkabuźników, pułkownik poprowadził swój oddział w bojowym ordynku przez plażę i otoczył wioskę. Składała się ona z jakich czterdziestu wąskich chat, pobudowanych w sporych odstępach jedna od drugiej i krytych strzechą z palmowych liści. Każdą z nich otaczał porządnym trzcinowy płot i każda stała na osobnym kamiennym tarasie. Szkielet chaty tworzyły duże, pionowo ustawione słupy bambusowe z przymocowanymi do nich drewnianymi poprzeczkami; dachy od frontu były mniej spadziste niż od tyłu, gdzie dochodziły aż do ziemi; drzwi, mające po obu stronach rzeźbione słupy, były bardzo niskie i suwały się w rowkach, ale niektóre chaty nie miały ich wcale i nic od przodu nie przesłaniało wnętrza. Oczy moje przykuł duży, ozdobny spichlerz oraz budynek zgromadzeń, długi na całe pięćdziesiąt kroków.

Mieszkańcy śmiali się i gwarzyli, jak gdyby to, co robimy, nie obchodziło ich wcale. Gapili się na nas z ciekawością i podziwem; przypominali mi naszych chłopów, kiedy inżynierowie wojskowi przybywają do wsi, aby wytyczyć obozowisko. Pułkownik ustawił warty po bokach i z tyłu, a kiedy dzbany na wodę, które majtkowie przynieśli z plaży, stały już porządnym szeregiem, końcem laski wyrysował za nimi linię. Następnie klasnął w dłonie i skinął na krajowców, którzy zbliżyli się nieśmiało - mężczyźni, kobiety i dzieci w liczbie około trzystu - i z zainteresowaniem jęli przyglądać się dzbanom. Nigdy dotychczas nie widzieli wyrobów garncarskich: wszystkie ich naczynia były z łupin kokosowych, tykw lub drzewa. Przemówił do nich, wielokrotnie powtarzając gesty, którymi dawał do zrozumienia, że nie wolno im pod karą śmierci przekroczyć narysowanej linii i że mają napełnić dzbany wodą.

Był to lud czysty i przyjazny; wstrętnego odoru niemytych ciał, do którego moje nozdrza nigdy całkiem nie przywykły na forkasztelu i

międzypokładach „San Geronimo”, nie czuło się tu wcale. Wioska ich była schludna i dobrze utrzymana; nigdzie nie wały się po ziemi gnijące śmieci, na których lęłyby się muchy, a wokół chat posadzono wiele kwiatów i ozdobnych krzewów. Starsze kobiety wytatuowane były od stóp do głów i zauważyłem kilka starych bab, u których niebieskie znaki zbladły na brzydki zielony kolor; ale młodsze, podobnie jak te z La Magdalena, miały tylko wąskie paski wytatuowane wzdłuż ramię i po trzy małe kropki na każdej wardze i były urzekająco piękne. Wszystkie miały na sobie krótkie białe spódniczki, a niektóre nosiły też powłóczyste białe płaszcze jako ochronę od słońca, ale koszule były tu nieznanne. Włosy, obcięte krótko nad karkiem, przystrajały pięknymi bezwonnymi kwiatami, które dla ich szkarłatnej barwy nazwaliśmy „kardynałami”.

Kiedy pułkownik przestał mówić, mieszkańcy wioski rozbiegli się i niebawem przynieśli nam łupiny orzechów kokosowych napełnione wodą, którą powlewali do dzbanów, oraz wielkie, misternie plecione kosze czubato naładowane wybornymi, podobnymi do jabłek owocami, które dali nam do jedzenia.

Żołnierze byli rozżaleni, ponieważ pułkownik nie pozwolił im zadawać się z młodymi kobietami, które spozierały na nich ciemnymi, tęsknymi oczyma i starały się skusić ich do porzucenia służby. Sierżant błagał go, aby udobruchał żołnierzy odwołując tych spośród majtków, którzy już ulegli pokusie. Tak też uczynił, a dwóch czy trzech, nie śpieszących się z powrotem, bosman-mat później tego wychłostał, oni jednak uznali, że warto było zapłacić tę cenę za przyjemność, jakiej doznali. Słyszałem, jak jeden mówił ze śmiechem: „Na Najświętszą Panienkę, nasza Pancza będzie musiała szybko zwieźć swoje plony do stodoły, zanim zaczną padać deszcze. Skoro tylko pozwolą nam zejść na ląd, będzie miała szczęście, jeżeli zarobi siedem maravedi tygodniowo.”

Dziewczęta były namiętne i robiły wszystko z miłości, inaczej niż sprzedajne kobiety z Limy, nad którymi górowały zarówno urodą, jak miłosnym kunsztem.

Wśród śmiechów i igraszek napełniono już kilka dzbanów, wlewając do nich po parę czarek na raz, gdy zniecierpliwiony pułkownik kazał krajowcom zanieść resztę do źródła, skąd przynosili wodę. Ze względu na jakiś zabobon nie chcieli go usłuchać: udając drzenie, pokazywali nam na migi, że mamy zanieść je sami. Pułkownik dobył szpady i pogroził im, na co chwycili na ramiona cztery dzbany i uciekli w przeciwnym kierunku, zanosząc je do chaty o wysokim, stromym dachu, podobnej do obeliska. Przekonaliśmy się później, że była to ich świątynia, w której składano ofiary z pożywienia prymitywnie wyrzeźbionemu bożkowi o bulwiastym nosie i tłustych, skrzyżowanych na piersi rękach, stojącemu między dwoma olbrzymimi bębnami. Przypuszczam, że zanieśli tam dzbany, aby prosić go o pozwolenie napełnienia ich w źródła, ale pułkownik widząc, że nie usłuchano jego rozkazu, kazał grupie wartowników dać ognia. Kiedy dym się rozwiął, ujrzeliśmy, że jeden z krajowców padł martwy u wejścia do świątyni, a drugiemu strzał roztrzaskał staw barkowy.

Mieszkańcy wioski stanęli niby przykuci do ziemi, przerażeni hukiem salwy i wrzaskami rannego; następnie jak jeden mąż uciekli w górę wąwozu niby stado kóz. Nim nabito powtórnie hakownice, nie było już widać żywej duszy, a pułkownik, śmiejąc się serdecznie, polecił bosman-matowi dopilnować, by dzbany, pełne czy puste, zniesione zostały do łodzi.

Sam poszedł obejrzeć wioskę, a za nim biegła szczekając Carlotta. Będąc swoim własnym panem poszedłem za jego przykładem i wpełzłem przez niskie drzwi do wnętrza jednej z chat. Gdy oczy przywykły do mroku, ujrzałem, że nie zawiera stołków, skrzyń ani stołów, lecz przypomina peruwiańskie budy dla niewolników, tyle tylko, że jest czysta. Przednia część wyłożona była gładkimi, płaskimi kamieniami,

tylną zaś zajmował jeden jedyny długi tapczan zaślany suchą trawą i plecionymi matami o urozmaiconych deseniach; wypolerowana kłoda palmowa służyła za wezglowie, druga leżała w nogach. Z dachu zwisały tobołki owinięte w białą tkaninę i umocowane do sznura przerzucanego przez górną płatew; nad tapczanem wisiały włócznie, oszczepy, maczugi rzeźbione w ludzkie twarze i kosze z bełtami do proc. Nie chciałem rozwijać tobołków ani dotykać broni; ludzie ci byli dzicy, ale wyrządziliśmy im już i tak dość krzywdy, by jeszcze dodawać do tego grubiaństwo. Wiedziony nagłym impulsem zdjąłem mały krzyżyk, który nosiłem na szyi, i uwiązałem go do kołka nad drzwiami, aby nie pozostały im po nas same złe wspomnienia.

W małej przyległej szopie, służącej za kuchnię, podniosłem zwój *tutao* upieczony na złocisto, skosztowałem i znalazłem go smacznym, choć cokolwiek cierpkim. Wyglądało mi to na pożywienie dające się dobrze przechowywać, więc zabrałem kawałek, aby pokazać generałowi. W kącie leżały dwie kury, całkiem podobne do hiszpańskich, z nóżkami związanymi, widać gotowe do zarżnięcia; na kołku wisiała przednia ćwiartka czarnej świni, nigdzie jednak nie znalazłem śladów ludożerstwa.

Poszedłem stamtąd do domu zgromadzeń; choć dużo większy, przypominał skądinąd dokładnie chatę, w której dopiero co byłem; znajdowały się tu tykwy napełnione fermentowanym napojem o przyjemnym smaku. Następnie przybyłem do spichlerza, wzniesionego na słupach dla ochrony przed robactwem i gryzoniami; była tam wielka kupa migdałów, stopy orzechów kokosowych i korzeni podobnych do rzepy. Dwaj wychudli starcy, nadzy i całkiem łysi, drzemali na plecionkach przy wejściu. Najwyraźniej zdziecinniali, nie zwrócili na mnie wcale uwagi, ja zaś odszedłem nie zakłócając im spokoju.

Pułkownik nie znalazł w wiosce wiele ciekawego. Zajrzał do świątyni, ale widząc, że bożka nie zdobiją drogie kamienie ani perły i że

ofiary z pożywienia składają się z rozmoczonego chleba w zwykłych drewnianych misach, uznał, iż miejscowość jest nędzna, nie warta nawet zniszczenia. Wychodząc skrócił męki wijącego się z bólu krajowca niedbałym sztychem szpady, zwołał żołnierzy i ponieważ majtkowie zaciągnęli już dzbany z wodą na brzeg i dźwignęli je do łodzi, kazał nam wszystkim załadować się z powrotem. Szczęki Carlotty były czerwone od krwi.

Huk naszej salwy posłyszano na okręcie flagowym i generał obawiając się, że jesteśmy w niebezpieczeństwie, kazał głównemu nawigatorowi natychmiast wprowadzić „San Geronimo” do zatoki. Ten, choć rozkaz był mu nie po myśli ze względu na ukryte skały podwodne, nie zdołał odwieść generała od powziętego postanowienia. Skróciwszy żagle i postawiwszy u koła sterowego najwprawniejszego z majtków, wprowadził statek; ale przy brzegu wiatr zamarł, niezwykle duża fala uderzyła w statek na trawersie i pchnęła go na długość lancy od ostrej skały, tuż obok której woda była głęboka na pięćdziesiąt sążni. Wszyscy, którzy dostrzegli niebezpieczeństwo, wydali okrzyk przerażenia. Główny nawigator w mgnieniu oka opuścił fok, a Bóg łaskawie zesłał powiew, który go wypełnił, tak iż statek znów stał się posłuszny sterowi i oddalił od skały. Don Alwar, przekonany wreszcie, że przystań jest zła, kazał zawrócić i szczęściem uniknął katastrofy; majtkowie obwiniali jednak głównego nawigatora twierdząc, że nie powinien był narażać okrętu, bez względu na otrzymane rozkazy.

Gdy powróciliśmy na barkasie, bosman-mat poszedł zaraz do don Alwara ze skargą, że jego ludzie pracowali nadmiernie, że kazano im dźwigać dzbany z wodą, choć mieli tyle ciężkiej pracy przy wiosłach, podczas gdy żołnierze nie ruszyli nawet palcem, by im pomóc, i że nie godzi się traktować w ten sposób marynarzy. Don Lorenzo sprzeciwił mu się ostro, mówiąc, że żołnierze są zwolnieni od wszelkiej czarnej roboty; ponieważ krajowców nie było pod ręką, don Alwar zaś nie

skorzystał z uprawnień nadanych mu w królewskim patencie i nie wziął z sobą niewolników do takich robót, zaopatrzenie flotylli w wodę musi być obowiązkiem załogi.

- Ekscelencjo - wybuchnął tamten - to gorsze od niewoli egipskiej! Moi ludzie są na służbie od świtu, nadwerzęli sobie grzbiety dźwiganiem, a teraz znów pora im do roboty, nie zdążą nawet zjeść śniadania albo choć trochę się przespać. Żałuję, że ojciec nie oddał mnie do terminu u krawca albo blacharza! Ostrzegam ekscelencję, że żaden majtek nie zgodzi się przez cały dzień dźwigać wodę w tym tropikalnym upale, podczas kiedy żołnierze wypoczywają sobie w cieniu.

Don Alwar zmartwił się.

- Przyjacielu Damianie - powiedział łagodnie - każdy musi robić, co do niego należy. Przecież pierwszym obowiązkiem żołnierzy było chronić was przed niebezpieczeństwem i gdyby tego nie uczynili...

Ale tamten nie dał się omamić pięknymi słówkami.

- Jeżeli ich obowiązkiem było zabijać bezbronnych ludzi, którzy przynieśli dary i byli gotowi nam pomóc... jeżeli ich obowiązkiem było wzbudzić w całej wyspie nienawiść do nas... to wywiązali się z niego wspaniale. Teraz powiedziałem swoje i ufam, że ekscelencja daruje mi te szorstkie słowa; kiedy widzę niesprawiedliwość, piętnuję ją otwarcie.

- Twoje uczucia chlubnie o tobie świadczą, przyjacielu - odrzekł don Alwar uspokajająco - i postaram się znaleźć jakąś radę. Ponieważ jednak wygląda na to, że tutejsi krajowcy nie chcą dla nas dźwigać lub dawać nam, czego nam trzeba, inaczej niż pod groźbą użycia broni palnej...

- Przepraszam, że przerwę raz jeszcze: jedna salwa, a uciekają z wrzaskiem pomiędzy najwyższe szczeliny swoich gór; żeby ich stamtąd ściągnąć, trzeba by całej armii.

- No, więc skoro nie można ich nakłonić do pomocy nawet siłą, musimy płynąć dalej bez świeżej wody i drzewa na opał. Na najbliższe dni starczy nam tego, co mamy.

Tu wtrącił się z zarem główny nawigator.

- Mamy jeszcze do przepłynięcia jakieś pięćset mil, a więc bez mała tyle, ile wynosi szerokość Atlantyku od Hiszpanii do Brazylii; jeśli nas wiatry zawiodą lub jeśli jaki huragan zwieje nas z kursu, brak wody może nas zgubić. Na „San Geronimo” zostało jej ledwo na dwa tygodnie, co do opału zaś, to żołnierze już odrąbiają kawałki drewna z nadbudówek, a sierzanci nie mogą czy też nie chcą wykryć winnych.

Don Alwar rozpostarł ręce bezradnym gestem.

- Ależ, człowieku - wykrzyknął - cóż mamy robić, skoro nie możemy znaleźć przystani?

- Wracajmy na La Magdalena - rzekł główny nawigator - i schrońmy się za przylądkiem, tam, gdzie zarzuciła kotwicę fregata. Myślę, że jeśli potraktujemy krajowców życzliwie i nie uczynimy nic więcej, by ich rozjątrzyć, chętnie dostarczą nam wody w bambusowych łądogach aż na sam statek. Czółna, które widzieliśmy, przy dobrej woli mogłyby zaopatrzyć całą flotyllę w ciągu jednego dnia. Wiedzą teraz, że umiemy zadawać śmierć na odległość; ich ostatnim postępkim było wysłanie flagi na znak rozejmu i zaproszenie nas do zejścia na ląd. Moglibyśmy także namówić ich do przyholowania odpowiednich bierwion na opał.

- Nie wróćę na La Magdalena! - odrzekł generał z uporem. - Przyśiągłem, że nigdy nie zawrócę z kursu, póki nie dopłyniemy na Wyspy.

- Więc czemu nie poszukać innego miejsca na zarzucenie kotwicy tutaj? - zapytał główny nawigator. - Wczoraj ostrzegłem pułkownika, że przystań, którą znalazł, nie jest dla nas stosowna, a jednak musiał tam wrócić, żeby dowieść swojej racji, i omal nie przyprawił nas o stratę galeona!

- Lepiej by było, szlachetny panie - wtrącił don Lorenzo - gdybyś posłał mnie zamiast pułkownika. Zawiódł nas już dwa razy, ponieważ lekceważy sąd nawigatora.

Don Alwarowi zbrakło odwagi.

- Niestety - rzekł - dopóki słuca moich rozkazów, nie śmiem uczynić nic, co zraniłoby jego dumę. Jest to człowiek skory do obrazy, a pospolici żołnierze darzą go szacunkiem.

W końcu pułkownik wyprawił się raz jeszcze, tym razem zabierając ze sobą bosmańską wachtę; i w niespełna godzinę wpłynęli do szerokiej zatoki w kształcie podkowy, którą bosman uznał za bezpieczne miejsce do zarzucenia kotwicy, dość przestronne, by dać schronienie całej flotylli. Znalazł szmat piaszczystego dna, o głębokości trzydziestu sążni u wejścia, dwudziestu czterech pośrodku, a dwunastu blisko brzegu. Zatoka ta, którą nazwaliśmy na cześć Matki Boskiej - błogosławione niech będzie jej imię! - leży o dziesięć stopni i trzydzieści minut poniżej równika, osłonięta od wszystkich wiatrów prócz zachodniego, który jednak tutaj nie wieje. Od strony morza można ją rozpoznać po stromej górze o trzech wierzchołkach od południa i po nawisie skalnym od północy. Ku przystani zbiegają się porośłe lasem wąwozy, a mniejsze wzgórze dzieli plażę na dwie równe części; po północnej stronie tego wzgórze tryska źródło dobrej wody, gruby jak ramię mężczyzny, na wysokości dogodnej dla napełniania dzbanów. Niedaleko stamtąd strumień równej dobrej wody przepływa obok wioski zbudowanej po obu stronach placu, za którym rosną wysokie drzewa.

ROZDZIAŁ X

KRZYŻ NA SANTA CRISTINA

Po śniadaniu następnego dnia, dwudziestego dziewiątego lipca, gdy dwie kompanie żołnierzy wylądowały już i zajęły stanowiska wokół wioski, my wszyscy także udaliśmy się na brzeg wraz z generałem i donią Izabelą, pozostawiając tylko dwudziestu ludzi na straży flotylli. Ukłękliśmy w rzędach na plaży, twarzami do wschodu. Niebawem posłyszeliśmy śpiewy. Był to psalm *Vexilla Regis prodeunt*, i oto nadciągnęli księża odziani w bogate szaty liturgiczne, niosąc Najświętszy Sakrament w monstrancji pod brokatowym baldachimem. Rolę ministrantów pełnili paziowie, z których dwaj machali kadzielnicami, podczas gdy trzeci niósł jedwabną chorągiew z wymalowanym na niej wizerunkiem Bogurodzicy. Myn, który specjalnie prosił o ten zaszczyt, siedł na czele procesji, z trudem dźwigając drewniany krzyż trzy razy wyższy od niego.

Tegoż ranka pułkownikowi polecono wylądować pod pokojową flagą i obdarować ważniejszych mieszkańców wioski tkaninami i paciorkami. Te objawy życzliwości natchnęły krajowców otuchą, i kiedy ujrzeli nas wypełniających jakiś obrzęd religijny, przez naturalną uprzejmość postanowili w nim uczestniczyć. Padłszy na kolana - mężczyźni w jednym szeregu z nami, kobiety obok naszych kobiet - zachowali się roztropnie i z szacunkiem: robili wszystko co i my, żegnając się nawet i podśpiewując „a-a-a” na melodię psalmu. Jedna dziewczyna klęcząca na prawo od doni Izabeli miała tak piękne rude włosy,

że dama ta zapragnęła ściąć sobie parę jej loków na pamiątkę i ukradkiem dobyła z sakwy nożyczki; dziewczyna jednak krzyknęła z trwogi, więc dała spokój. Dziewczyna wymknęła się chyłkiem i więcej jej nie oglądano. Być może, włosy miała farbowane lub rozjaśnione wapnem.

Po skończonej mszy ta sama pobożna procesja odprowadziła krzyż aż na wierzchołek wzgórza, z którego tryskało źródło, przy czym don Alwar i jego świta kroczyli w pochodzie według starszeństwa rang. Zamiarem generała było, aby żony oficerów szły obok swych mężów, ale ponieważ obecność admirała czyniła to niepożądanym, doña Izabela i inne damy pozostały na plaży. Gdy procesja doszła na szczyt, wykopano w murawie głęboki dół i don Alwar uroczyście zatknął w nim drzewce krzyża.

Gestem dłoni poprosiwszy o ciszę, zadeklamował przenikliwym głosem:

- Świadcami niech będą niebiosa, ziemia, wody, wraz ze wszystkimi zamieszkującymi je stworzeniami, oraz wszyscy zgromadzeni tu mężczyźni i kobiety, że na tych wyspach, ukrytych dotąd przed chrześcijańskimi oczyma, ja, Alwar de Mendaña y Castro, zatykam w tej chwili krzyż Pana naszego Jezusa Chrystusa, na którym On oddał swe życie w ofierze za cały rodzaj ludzki, i wzywam Jego imienia, imienia Trójcy Przenajświętszej i Błogosławionej Dziewicy Marii! I w tym dniu, dniu świętej Marty, roku pańskiego 1595, w obecności wszystkich oficerów wojska i floty, a także wielu szlachejnych dam, przyłączam wyspę tę, wraz z innymi siostrzanymi wyspami, do posiadłości Chrześcijaństwa, z uroczystym zamiarem gorliwego i jasnego głoszenia, we właściwym czasie, Słowa Bożego wszystkim mieszkańcom tych stron.

Następnie kazał sobie podać królewski sztandar, którym opiekował się chorąży królewski, don Toribio de Bedeterra, i zatknąwszy go obok krzyża, mówił dalej:

- Świadcami bądźcie mi także, wszyscy zgromadzeni tu panowie i damy, że biorę tę wyspę, ochrzczonej obecnie mianem Santa Cristina, wraz z innymi siostrzanymi wyspami, i obejmuję ją we władanie w imię monarchy naszego i pana, Filipa II Kastylijskiego, króla Hiszpanii, jako nieodłączną część jego posiadłości na tych Morzach Południowych, by stanowiły po wsze czasy dziedziczne dobro jego i królewskich jego następców!

Powiew wiatru rozwinął fałdy sztandaru, ukazując naszym oczom cały herb królewski, co przyjęliśmy głośnymi wiwatami. Muzykanci zagrali żwawego marsza, któremu dzicy, wszedłszy na wzgórze tak wysoko, jak tylko pozwolili im nasi wartownicy, zawtórowali do taktu uderzeniami w bębny i klaskaniem w dłonie, a nawet naśladowali jego melodię na własnych egzotycznych instrumentach, jak łuki o jednej strunie, drumle, flety, na których grało się ustami i nosem, oraz drewniane trąbki.

Generał rozpuścił wojsko i zeszedł do wioski, która nie wiele różniła się od obejrzonej poprzednio przeze mnie, lecz w której były dwie porządnie wybrukowane ulice i stojący nieco na uboczu budynek o wysokim dachu, broniony palisadami, gdzie mieściła się wyrocznia. Odwiedził dom zgromadzeń, gdzie czekał na niego wódz przykucnięty u wejścia w otoczeniu sędziwych doradców. Osobistość ta wzbudziła mój podziw swoim niezmiernie spokojnym, aż nieco surowym wyrazem twarzy; kiedy wszedł don Alvar, w jego wytatuowanym obliczu nie drgnął ani jeden mięsień; zmierzył tylko gościa nieruchomym spojrzeniem. Na głowie miał strój z piór kogucich i innych, żółtych i połóżczystych; na biodrach grubą spódniczkę z ciemnobrunatnej tkaniny, zakończonej frędzlami; na szyi coś w rodzaju drewnianej kryzy inkrustowanej jaskrawoczerwonymi ziarnkami i dwa naszyjniki z kłów dzika; na rękach i nogach bransolety z bród siwych starców, przeplatanych kolorowymi włóknami, a w uszach kolczyki z zębów wieloryba. W prawej ręce dzierżył długie rzeźbione wiosło, zaostrzone na jednym

końcu, by mogło służyć za włócznię.

Gdy uroczyście obdarowano go składanym nożem i czerwoną chustą z wyszytym napisem „Służę królowi Filipowi”, przyjął te dary z ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, ani nie racząc ich obejrzeć, ani niczym nie okazując zadowolenia; dał tylko znak jednemu z doradców, aby odłożył je na bok. Następnie zadał urywanym głosem mnóstwo pytań, na które generał nie był w stanie odpowiedzieć, i odwzajemniwszy mu się rzeźbionym zębem wieloryba, wskazał ręką w kierunku chat, jak gdyby mówiąc: „Wioska jest twoja, panie.” Wstał i wszedł do wnętrza domu na znak, że audiencja skończona, lecz jeden z jego sług przyprowadził pięknego czarnego wieprzka na obiad dla generała.

Widząc opodal ogród, z którego dopiero co zebrano jakąś okopowinę, don Alwar poszedł tam i w obecności mieszkańców wioski zasiał trzy rzędy ziaren kukurydzy, zapewniając ich na migi, że jeśli zbudują wokół działki płot dla ochrony przed świniami i kurami, z ziaren wyrosną mocne rośliny i wydadzą stokrotny plon. Zrozumieli, uśmiechali się, smarowali się po brzuchach i wielokrotnie wołali *kai-kai*, co w ich języku znaczy jedzenie.

Do tej pory wszystko szło dobrze, lecz wiadomość o zamiarze osadzenia na tej wyspie około trzydziestu żonatych kolonistów poszła z ust do ust i rozjątrzyła tych, których dotyczyła.

- Nie wybraliśmy się po to, żeby zasiedlić ten nędzny kraj - mówili.
- Zgłosiliśmy się ochotniczo do służby na Wyspach Salomona; one i tylko one nas zadowolą. Generał chce nas tutaj porzucić, żeby po dotarciu do celu nie potrzebować rozstawać się z przyobiecany mi nam majątkami, tylko zatrzymać je dla siebie.

Podczas gdy don Alwar rozglądał się za ciekawymi rzeczami, zbliżył się doń grzecznie admirał i szepnął mu coś do ucha; nie wyglądał jednak bynajmniej zadowolony z jęśliwej odpowiedzi, jaką otrzymał.

Odwrócił się na pięcie, gniewnie zszedł z powrotem na wybrzeże i nie zdjawszy nawet kapelusza przed małżonką generała ani nie rzuciwszy doni Marianie bodaj uśmiechu na pocieszenie, wszedł natychmiast do małej szalupy i kazał się przewieźć na „Santa Ysabel”. Ci, którzy widzieli to zdarzenie, domyślali się, że wobec dotarcia na ląd uznany za odpowiedni do skolonizowania, poprosił, by żona mogła się z nim połączyć; spotkał się jednak bądź z wymijającą odpowiedzią, bądź też ze stanowczą odmową.

Zmartwiony niestosownym postępkami admirała, don Alwar wrócił na okręt flagowy wraz z tymi marynarzami, którzy mieli teraz służbę, pozostawiając damy na plaży, aby mogły w cieniu pochyłych drzew palmowych spożyć obiad złożony z owoców i smażonej wieprzowiny. Wydał pułkownikowi polecenie napełnienia beczek wodą i naładowania kilku łodzi drzewem opałowym, jednakże bez zmuszania krajowców groźbami czy siłą do udzielenia pomocy. Jeśli nie da się ich nakłonić darami - brzmiał rozkaz - pracę wykonać muszą nasi ludzie, przede wszystkim majtkowie i osadnicy, a następnie ci z żołnierzy, bez których można się będzie obejść. Załogę galeoty można będzie wyłączyć, ponieważ zajęta jest ścinaniem i ociosywaniem budulca do naprawy statku - poprzedniego dnia nadzieiał się on na bukszpryt „San Geronimo” i w prawej jego burcie widniała brzydka dziura.

Mając wyznaczone zadanie spisania mowy generała dla archiwum Rady do Spraw Indii towarzyszyłem mu na okręt; lecz podczas gdy dyktował mi w kajucie generalskiej, z brzegu dobiegł nas odgłos kilku strzałów. Odłożyłem pióro i spojrzałem pytająco, spodziewając się, że wróci natychmiast na ląd, by przeszkodzić dalszemu rozlewowi krwi. On jednak powiedział niepewnym głosem:

- To nic. Tam nie mogła wybuchnąć żadna kłótnia. Nasi ludzie po prostu popisują się strzelaniem do celu... Powtarzam: „wraz z innymi siostrzanymi wyspami i obejmuję je we władanie...”

Oszukiwał sam siebie, jak zwykle, i westchnąłem z żalu nad biednymi Indianami; oprócz pojedynczych strzałów oddano co najmniej trzy salwy. Gdy wieczorem pojechałem na brzeg, dowiedziałem się, że doszło do starcia między żołnierzami a krajowcami, i wieś opustoszała teraz całkowicie. Zło zaczęło się wtedy, gdy pułkownik, zmęczony dozorowaniem napełniania beczek wodą ze źródła, poszedł pod eskortą swego Murzyna do pobliskiego lasku, aby, jak mówił, „złożyć wizytę pięknym paniom”, pozostawiając dowództwo w rękach don Luisa Morana. Major ofiarował parę nożyc wysokiemu krajowcowi imieniem Terridiri, wyróżniającemu się spośród innych zieloną gałęzią palmową przymocowaną pionowo do czoła oraz długą włócznią, na której czubku szczyrzył prawdziwe zęby rzeźbiony łeb rekina. Przy wręczaniu tego подарunku rozumiało się, że Terridiri, którego widziano wychodzącego z domu wyroczeni i który najwidoczniej był jej kapłanem, każe mieszkańcom wioski stoczyć pełne beczki na plażę i pomóc w ściągnięciu na brzeg zrąbanych przez nas drzew. Przyjął prezent z uprzejmą miną, szepnął coś do łba rekina i udając, że nasłuchuje odpowiedzi, udzielił nam błogosławieństwa; po czym zawiesił sobie nożyce na piersi na sznurku splecionym z włosów i spokojnym krokiem odszedł. Ludziom jego przypomniano zaszczyt, jaki go spotkał, i kazano wziąć się do roboty; oni jednak wzruszali tylko ramionami, uśmiechali się i stali w miejscu, natrętnie wyciągając dłonie.

Major potrząsnął przecząco głową. „*Uai!*” - powiedział; słowo to, oznaczające wodę, było jedynym, jakiego się nauczył, i wskazał na beczki z wodą. „*Uai!*” - zawtórowali krajowcy wesoło, udając, że nie rozumieją, czego od nich chce. Nie wiedząc, co dalej zrobić - skoro nie wolno mu było użyć siły - powiedział swemu adiutantowi, kapitanowi Diego de Vera, że ma nakłonić dzikich do wywiązywania się z zadania, jakim obarczała ich zawarta transakcja. Gdy jeden z nich wytłumaczył kapitanowi na migi, że Terridiri przyjął nożyce jako zapłatę za błogosławieństwo, które rekin udzielił beczkom z wodą, on z kolei dał im

do zrozumienia, że takie tłumaczenie na nic się nie zda i że skoro nie chcą nam pomóc, muszą zwrócić nożyce. Następnie posłał dwu tarczowników po kapłana, którego jednak nie udało się już znaleźć.

Nasz dobosz wybił werbel i kapitan de Vera oznajmił groźnym głosem, pomagając sobie ożywioną gestykulacją, że nożyce potrzebne mu są natychmiast; co jednak dotyczy wszystkich, nie dotyczy nikogo, i na tym sprawa utknęła. Gdybym ja był na jego miejscu, zaniósłbym skargę do wodza; kapitan jednak był człowiekiem niecierpliwym. Schwyciwszy młodego chłopca, który sądząc po bogato rzeźbionych ozdobach i delikatnej skórze musiał być synem jakiegoś dostojnika, przywiązał go ciasno do drzewa (aż dzieciak krzyknął ze strachu) i oświadczył, że puści go dopiero wtedy, gdy dostanie z powrotem nożyce. Na to jeden ze stojących opodal wojowników sięgnął po włócznię i zaczął wywijać nią z oburzeniem. Zapalczywy kapitan ryknął: „Zastrzelić go!”, i wojownik padł martwy, dostawszy trzy kule. Krajowcy skoczyli po broń i rozpętała się bitwa.

Bełt wyrzucony z procy ugodził w pochwę szpady majora, na co ów pośpieszył z powrotem na plażę, krzycząc do wszystkich naokoło, że musi się wycofać, aby bronić dam. Zostawił don Lorenza i kapitana Corzo spierających się zażarcie, który z nich ma objąć komendę nad wojskiem; don Lorenzo był bowiem najstarszym kapitanem na okręcie flagowym, natomiast don Felipe piastował niezależne dowództwo. Zanim ci dwaj zdążyli dojść do rękoczynów lub wciągnąć innych w swoją kłótnię, z lasku wybiegł pułkownik, wścickły, że przerwano mu zaloty. Według tego, co opowiadał potem Matia, wywijał szpadą, a jednocześnie lewą ręką zapinał sobie spodnie. Ukłął krajowca w udo, a jego Murzyn toporem rozplątał czaszkę drugiemu. Oddano jeszcze jedną salwę, po czym mieszkańcy wioski uciekli, ścigani przez naszych ludzi. Zanim zdążyli się schronić w gęstym lesie, padło ich nie mniej niż siedemdziesięcioro, w tym kobiety i dzieci. Pułkownik poprowadził pościg

aż niemal pod szczyty gór, gdzie krajowcy okopali się. Wśród naszych ludzi nie było strat, tylko jeden żołnierz miał w stopie głęboką ranę od kolczastej drewnianej włóczni; okazało się jednak, że nie była zatruta, i żołnierz po tygodniu mógł już znowu chodzić.

Praca nad pobieraniem wody i gromadzeniem drewna trwała dalej, ale majtkowie szemrali bez przerwy, że pozbawieni jesteśmy miejscowych sił roboczych na skutek kłótności żołnierzy, którzy teraz strzeżli wioski przed atakiem i nie chcieli im pomagać.

- Gdyby ci krajowcy mieli broń palną - rzekł bosman-mat pogardliwie - albo chociaż zatrute strzały, takie środki ostrożności byłyby może potrzebne; ale oni, choć silni i mężni, przecież bawią się tylko w wojnę.

Dodał, że czaty wystawiono po to tylko, by usprawiedliwić nieróbstwo żołnierzy.

W ciągu dwóch następnych dni mieszkańcy wioski pozostali w okopach; od czasu do czasu tylko doliny rozbrzmiewały echem ich głośnych nawoływań, jakby chcieli się przekonać, czy wciąż jeszcze jesteśmy na brzegu; nasi ludzie odpowiadali im krzykami. Trzeciego dnia przysłali poselstwo złożone ze starców, którzy przynieśli naszym czujkom w darze banany i papawy i dali znać na migi, że pragną zapomnieć o tym, co się stało, i zawrzeć na nowo przyjaźń. Na dowód szczerości zwrócili nożyce, a pułkownik, którego sprowadzono na rozmowę z nimi, udzielił im wtedy całkowitego przebaczenia.

- Przykro mi myśleć - powiedział - że wy, starzy, leżycie tam w górze bez mat na twardym górskim szczycie, a wasze ładne wnuczki nie mają dostępu do swojej garderoby. Chodźcie więc, ludzie, bądźcie rozsądni i poddajcie się dobrotliwej władzy króla Filipa.

Poszli zameldować wodzowi o życzliwym przyjęciu, z jakim się spotkali, ten zaś wkrótce potem sprowadził swoje plemię na przedpole wioski. Gdy dowiedział się, że generał jest na okręcie flagowym i nie

może przyjść, zgodził się pertraktować z pułkownikiem. Zrozumieliśmy, że pyta, dlaczegośmy nie przyjęli od niego w darze chat, które opróżnił z ludzi i pozostawił nam wraz z całą zawartością.

Pułkownik pokiwał mu wesoło palcem wskazującym i odparł, że nie chcemy brać nic od jego ludu prócz jedzenia, picia i całusów, jeśli i oni ze swej strony wystrzegają się będą zabierania nam czegokolwiek, co by przedstawiało większą wartość; czy jednak wódz pojął coś z tego, nie wiadomo, gdyż surowy wyraz jego rysów nie zelżał ani na chwilę.

Rozejm potwierdzono jeszcze jedną wymianą darów i mieszkańcy wioski powrócili do swoich chat, jakby nic nigdy nie zamąciło pokoju; widać jednak było, że boją się nas ogromnie. Przynieśli ze sobą swoich poległych na noszach, a z podrapanych policzków i piersi kobiet wynioskowałem, że okrzyki, któreśmy słyszeli, były częścią żałobnych obrzędów. Z trupów już usunięto wnętrzności i skórę w wielu miejscach poprzekłuwano, by odprowadzić wody z brzuchów; teraz stare kobiety poukładały zwłoki na słońcu i natarły je olejem kokosowym, przygotowując je do zabalsamowania na sposób egipski. W gęstym lesie niedaleko okopów nasi żołnierze natrafili na cmentarzysko, gdzie trumny zawierające nagie mumie pozawieszane były na gałęziach drzew.

- Na razie są ujarzmieni - chełpił się pułkownik - ale może dobrze będzie od czasu do czasu przypomnieć im ich nowe poddaństwo.

Nasi ludzie zaczęli się teraz bratać z krajowcami i dobierać sobie towarzyszy, z którymi rozmawiali i wymieniali prezenty. Pytali jedni drugich na migi, jak nazywa się ziemia, morze, niebo, słońce, księżyc, gwiazdy i wszystko inne, co było widać dokoła; ale żołnierzy pouczono, by nie pozwalali żadnemu z krajowców dotykać hakownicy lub podpatrzeć, jak się z niej strzela, aby nie mogli przypadkiem w jakiś zdradziecki sposób wykorzystać tej umiejętności. Kapelan miał za towarzysza kapłana z rekinem i wstawił się za nim, gdy żołnierze skradli

z domu wyroczeni ćwiartkę pieczonej wieprzowiny, choć święty Paweł zezwala jeść mięswo ofiarowane bożkowi. Ci dwaj z przyjemnością przestawali ze sobą; kapelan nauczył Terridiriego, który miał nadzwyczajnie bystre ucho i dobrą pamięć, powtarzać Wierzę i Ojczy nasz i okrył jego nagość starą koszulą; nie mógł go jednak namówić do porzucenia włóczni z rekinem.

Człowiek ten opowiedział zacnemu księdzu, że ludzie po śmierci schodzą do otchłani składającej się z trzech pięter, z których najniższe jest nad wyraz straszne, środkowe znośne, a najwyższe niezmiernie przyjemne. Dostęp do najwyższego - mówił - zapewnia śmierć na polu bitwy lub ofiara złożona z bardzo wielu świń. Opisał również wspaniałe niebo ponad gwiazdami, do którego idą dusze wodzów, by ucztować razem z bogami. Na próżno ksiądz Antonio starał się wywieść Terridiriego z błędu opowiadając mu o prawdziwym piekle i prawdziwym niebie i upierając się z żarem, że jedynie krzyż może zbawić od ognia wiekuistego. Terridiri uśmiechał się tylko i twierdził, że łeb rekina mówił mu co innego, a dobry ksiądz, który miał nadzieję uczynić z niego neofitę, bolał głęboko nad jego uporem.

Terridiri poprosił o pozwolenie wejścia na okręt flagowy i porozmawiania z generałem, i pozwolenie to otrzymał. Kapelan przyprowadził go do szalupy, do której wsiadł z wielkim zadowoleniem. Don Alvar przyjął go serdecznie i poczęstował konfiturą z pigwy i winem; on jednak nie chciał ani jeść, ani pić, gdyż jego bożek zabraniał mu tego. Podziwiał krowy i owce, liczył żagle, obstukiwał i wąchał drewno masztów, zszedł pod pokład i przyglądał się wszystkiemu z uwagą, którą uznaliśmy za zaskakującą u krajowca; na koniec namówił łeb rekina do pobłogosławienia okrętu, który teraz, jak twierdził, wytrzyma najgwałtowniejsze sztormy i nigdy nie zatoni ani nie osiadnie na mieliźnie. Kiedy dowiedział się, że nie mamy pozostać długo w zatoce, wydał się przygnębiony i wyraził żal, że jego obowiązki i dom wyroczeni nie pozwalają mu przyłączyć się do nas. Terridiri zachowywał się tak

poważnie i po duchownemu i tak żywo przypominał pewnego kanonika z Sewilli, że nie mogłem się powstrzymać od śmiechu: widziałem go oczyma wyobraźni, jak wstępuje z włócznią w ręce i z brzękiem nasyjników na ambonę w katedrze, by wygłosić uczone kazanie o upadku człowieka.

Na wyspie było w zwyczaju, iż młode dziewczęta mogły się oddawać, komu chciały, i nasi ludzie korzystali z tego do woli. Tylko mężatki, równie obficie tatuowane jak mężczyźni, pozostawały wierne swym małżonkom; jednakże, jak dowiedzieliśmy się ze wstrętem, każda z nich miała co najmniej dwóch mężów, którzy, choć nie zazdrościli sobie wzajem, wspólnymi siłami mścili się na kochanku, którego by przyjęła bez ich wiedzy. Wobec okazywanej im tak wielkiej gościnności nasi żołnierze powinni się byli powstrzymać od wszelkich nadużyć; ale oficerowie dawali im krwawy przykład. Byłem pewnego ranka w kajucie generalskiej, gdy wszedł kapitan Corzo ze swoim chartem na smyczy, by złożyć meldunek o naprawach wykonywanych na „San Felipe”. Powiedział potem don Alwarowi, że jego chart czuje się znakomicie: obzał się ofiarami pierwszej rzezi,

- Ale ponieważ tamte zapasy się skończyły - dorzucił - poszedłem pofurazować wczoraj wieczór, kiedy moja kompania trzymała straż, i teraz spiżarnia jest znowu pełna.

- Tak, tak, don Felipe - wykrzyknął generał nie chcąc zrozumieć ohydneho znaczenia słów kapitana z obawy, że będzie musiał udzielić mu nagany - zdrowo jest chartowi pogryźć od czasu do czasu świeżą kość; ufam jednak, żeś wynagrodził właściciela świni jakimś cennym podarkiem?

Barretowie roześmiali się z pogardą, gdy usłyszeli tę historię, i potem robili już, co im się podobało. Następnego dnia don Diego sprawował komendę nad stałą wartą na okręcie flagowym, kiedy dwa czółna z jedenastoma krajowcami wpłynęły do przystani od południowej strony. Kazał żołnierzom nie odpowiadać na żadne nawoływania, lecz

zapalić lonty i trzymać broń w pogotowiu. Czółna zatrzymały się w pewnej odległości od statku, a krajowcy zaczęli wołać i podnosić w górę dary w postaci orzechów kokosowych. Nie otrzymawszy odpowiedzi, ufnie podpłynęli bliżej, a gdy znaleźli się w zasięgu poziomego strzału, don Diego zakomenderował ognia. Dwóch padło martwych, reszta rzuciła się do ucieczki, ale jeszcze trzech zabito, gdy wiosłowali w popłochu mijając galeon w drodze do brzegu. Don Diego zeskoczył do szalupy, by ich gonić, i tylko trzech ludzi dotarło wpław bez szwanku do plaży, skąd wbiegli na wierzchołek góry o trzech szczytach. Zabrał czółna, w których było tylko parę trupów, ponieważ reszta powpadała do morza, i wrócił na statek z meldunkiem, że odparł próbę zaskoczenia i opanowania „San Geronimo”. Don Alvar chętnie uwierzył w to kłamstwo i wydał ciała pułkownikowi, każąc mu wystawić je na widok publiczny na rogu ulicy biegnącej przez wioskę, celem zdemonstrowania, czego mogą się spodziewać krajowcy zdradziecko napadający na Hiszpanów.

Kiedy udałem się na ląd, przykro mi było patrzeć na trupy zwisające z okapu jednej z chat, bo wiedziałem aż nadto dobrze, po czyjej stronie była zdrada - ani jeden z pomordowanych mężczyzn nie miał przy sobie broni. Daremną jednak rzeczą byłoby złożyć generałowi prawdziwe sprawozdanie z potyczki - nawet gdyby uwierzono mnie raczej niż don Diegowi, nagana sprowokowałaby go tylko do jeszcze gorszych niegodziwości. Oburzenie moje wzrosło, gdy major złożył mu kwieciste gratulację z racji odniesionego zwycięstwa, zapewniając, że te brzydkie rany od strzałów zrobią należyte wrażenie na krajowcach, podobnie jak szerokie cięcia szpadą. Mówiąc to dobył własnej szpady i zaczął nią rąbać trupa rosnącego wojownika; następnie pożyczyl sobie lancę i nacierając z pewnej odległości, przeszył mu brzuch na wylot. „W ten sposób szarak może targać martwego lwa za brodę” - pomyślałem sobie.

Nocą krajowcy przyszli po cichu, odcięli trupy i zabrali je ze sobą.

Nasi ludzie zajęli teraz kilka chat w sąsiedztwie źródła: jedna służyła za wartownię, drugą zajmowali stronnicy pułkownika, trzecią społecznicy don Lorenza, czwartą majtkowie pobierający wodę, pozostałe zaś oficerowie z „Santa Ysabel” i dwóch mniejszych okrętów. Główny nawigator, wstrząśnięty do głębi mordem popełnionym na krajowcach, nie zszedł ani razu na ląd podczas naszego postoju u brzegów Santa Cristina; nic dobrego nie wynikłoby z jego starcia z pułkownikiem, do którego łatwo mogło dojść.

Oficerowie naszego okrętu podzielali jego oburzenie na okrutne i nieustające masakry. Bosman siedział pewnego ranka w chatce marynarzy, kiedy wszedł nasz olbrzymi chorąży, don Tomas de Ampuero, i widząc hakownicę opartą o ścianę, zapytał:

- Cóż to takiego, przyjacielu Marcosie?

- Od czasu ataku na okręt flagowy - odrzekł bosman - jeśli był to rzeczywiście atak, generał kazał mi brać ze sobą broń, ilekroć schodzę na ląd.

- Czy jest naładowana? - spytał chorąży.

- To niepotrzebne - odparł.

- Człowieku, czy to ma sens nosić ze sobą pusty arkabus? Daj, nabię go.

Wziął broń i nabił ją prochem i kulą; następnie sięgnął po krzesiwo bosmana, skrzesał ognia, podpalił lont i poszedł do drzwi chaty mierząc od niechcienia w człowieka, który o jakieś pięćdziesiąt kroków stamtąd, siedząc okrakiem na drewnianym koźle, zajęty był obieraniem orzecha kokosowego. I byłby go zastrzelił, gdyby bosman w porę nie podbił hakownicy. Kula poszła w koronę palmy i przypadkiem ścięła dwa kokosy, które spadły na ziemię. Mieszkańcy wioski powitali tę sztukę okrzykiem podziwu, nie wiedząc, że był to przypadek, i zaczęli prosić don Tomasa, aby zestrzelił jeszcze parę.

- Co chciałeś zrobić, panie? - spytał bosman z oburzeniem.
- Zabić, oczywiście! - odrzekł don Tomas. - Pilnie naśladowałem przykład moich zwierzchników.

- Jak można być tak skorym do przelewu krwi? - ciągnął don Marcos. - Co ci ludzie zrobili wam złego?

- Nie jest dowodem męstwa grać rolę wilka między jagniętami. Nigdyś nie słyszał, jaka to podłość i grzech mordować ciało, w którym mieszka nie odkupiona jeszcze dusza?

- Przyjdzie dzień, kiedy dowiesz się tego, ale wtedy będzie już za późno na skruchę.

Chorąży obraził się na tę reprimendę i zawołał grubiańsko:

- Ty podle urodzony marynarzu! Ty szumowino z Barcelony! Kto cię nazaczył stróżem mojego sumienia? Pilnuj się, żebyś którego dnia nie postradał zębów albo i języka!

- Czy nigdy nie mówiono ci - odparł bosman - że obowiązkiem każdego katolika, choćby najskromniejszego stanu, jest piętnować grzech, kiedy go widzi, nawet u osoby mającej więcej pól na tarczy herbowej i lepsze wykształcenie od ciebie?

Słowa te położyły kres ich przyjaźni, a szafarz wody Jaume, który był przy tym obecny, powiedział:

- Oto ktoś, kto jako dziecko mordował muchy, a jako chłopiec - żaby i kocięta; o ile wiem, zastrzelił już z pół tuzina krajowców dla zwykłego kaprysu. Ta wyspa jest rajem ziemskim, gdzie człowiek, jak to widać z jego nagości i nieznajomości wstydu, uniknął klątwy Adama. Pracować ciężko nie potrzebuje, bo ziemia tu rodzi obficie, a klimat jest łagodny. Jeżeli o mnie chodzi, rad byłbym spędzić resztę życia wśród tych szczęśliwych ludzi, gdyby tylko był tu pod ręką ksiądz, który wyspowiadałby mnie w godzinę śmierci i pochował po chrześcijańsku. Jak może chorąży pozwalać sobie na mordy w tym Edenie? Powinno by się zamknąć go w domu wariatów i chlostać poty, aż złe duchy z wyciem uciekłyby z niego.

Jaume mówił do rzeczy; poza trudem krzesania ognia przez energiczne tarcie twardym patykiem po kawałku hubki lub drążeniem członów przy pomocy toporków o cienkiej, wygiętej klindze zrobionej z muszli, nie było tu potrzeba żadnej pracy wymagającej wysiłku. Woda płynęła z wieczystego źródła. Żywność zwisała z każdego drzewa, i to nie tylko owoce i orzechy, ale nawet chleb - w plantacji za wioską rosły setki owych drzew chlebowych, jak je nazywaliśmy. Mają one zębate liście, podobne do liści papawu, a drewno ich nadaje się znakomicie do najróżniejszych celów. Owoc, który - jak nam mówiono - wisi na drzewie przez pełne pół roku, jest jasnozielony, gdy dojrzeje, duży jak dłoń chłopca i prawie okrągły, o łusce popękanej na krzyż jak u ananasa; z samego środka wystrzela liściasta szypuła. Nie ma ani pestki, ani ziarenek i prawie cały jest jadalny. Mieszkańcy wioski na różne sposoby przyrządzali te owoce, które nazywali „białym jadem” i mieli za bardzo pożywne. Najczęściej piekli je w popiele, po czym zdzierali zwęgloną skórkę i krajali na ćwiartki przed podaniem. W pełni sezonu zbierali wielkie ilości tych chlebowych owoców i zagniatali z nich owo kwaskowate ciasto zwane tutaj. Przy każdej chacie był wyłożony liśćmi dół pełen po brzegi tej substancji, która podobno przechowywała się w dobrym stanie przez wiele lat, znaleźliśmy też wielki dół wspólny dla całej wioski, głęboki na całe dwadzieścia stóp - zapas na nieurodzajne lata.

Zaproponowałem don Alwarowi, że może dobrze by było kupić od wodza tonę czy więcej tego ciasta, płacąc mu cackami, sukrem i szklanymi butelkami, i upiec z pewnej ilości te złociste placki, które mu pokazałem; z reszty zaś można by porobić kluski. Nie chciał słuchać mojej propozycji twierdząc, że nie jest to chrześcijańskie jado i że żołnierze gardziliby nim z pewnością; ja jednak za dwa mosiężne guzy nabyłem placka na własny użytek i schowałem go w kufrze okrętowym, który kupiłem na wyprzedazy rzeczy Miguela Llano. Jedynym

prowiantem, który wzięliśmy z tej wyspy, były migdały średniej wielkości, bardzo tłuste, o łupinach bez spoin i luźno grzechoczących jądrach. Każdy zdobywał sobie zapas na własną rękę, jedni za prezenty, drudzy groźbami, zależnie od tego, jaki kto miał charakter.

Jałem najbardziej poszukiwanym przez naszych ludzi była wieprzowina z pieczonymi kasztanami, ale lubili także wysysać słodki sok z trzciny cukrowej. Kasztany były ze sześć razy większe od hiszpańskich, z taką samą kłującą łupiną i o podobnym smaku; wieprzowina była smaczna, ale przyprawiono nam do zjedzenia wszystkiego siedem czy osiem wieprzy. Była to rasa czarna i zła o grubej, szpakowatej sierści; nie zamykano tych świń w chlewach, lecz przywiązywano za zadnią nogę do drzew. Podczas naszego napadu na wioskę wódz wydał rozkaz puszczenia wolno wszystkich świń, aby nie wpadły w nasze ręce. Teraz powiedziano nam, że huk palby wypłoszył je na drugą stronę góry, ale mieszkańcy wioski mogliby bez wątpienia połapać ich dużo więcej, gdyby im na tym zależało. Kilku naszych żołnierzy poszło pewnego dnia zapolować na świnię, lecz lasy okazały się zbyt gęste na łowy i myśliwi wrócili z pustymi rękami. Krajowcy piekli wieprza w sposób następujący: zdzierali z niego skórę, opalali go i patroszyli, po czym owijali szczelnie w zielone liście palmowe; ułożywszy go w dole do połowy zapełnionym rozżarzonymi do czerwoności kamieniami, przykrywali go następnie grubą warstwą liści, zasypywali ziemią i zostawiali na tak długo, aż całe mięso było kruche. Tykwy i owe korzenie podobne do rzepy, które znalazłem wówczas w spichlerzu, pieczono w taki sam sposób.

Na plaży przed wioską zobaczyłem sześć długich, dobrze zrobionych czółen, ustawionych na drewnianych wałkach. Każde było wydrążone z jednego drzewa chlebowego, z dodatkiem części dziobowej i rufowej oraz stępki; oba końce kryte były deszczułkami uszczelnionymi włóknem i zalanymi gumą. Jedno z czółen mierzyło od końca do

końca trzydzieści kroków, miało sześćdziesięciostopowy maszt i siedzenia dla czterdziestu ludzi, a wszystkie jego części przymocowane były solidnie do siebie plecionym sznurem; zanurzenie jego ocenilem na blisko pół sążnia. Wysięgnik połączony był z czółnem deskami, które służyły jako pokład, gdzie układano zapasy żywności i produkty na wymianę handlową. Dowiedziałem się, że wyspiarze odbywali na tych łodziach dalekie wyprawy, odwiedzając lądy położone na południe i na zachód; często bywali w drodze dwa miesiące i więcej. Gdy jednak zapytałem swego towarzysza-krajowca - bo ja też miałem towarzysza, który wyruszył na morze jedną z takich łodzi - czy kiedykolwiek prowadzili wymianę z czarną, kędzierzawą rasą łuczników, powiedział mi, że nie wie o istnieniu takich ludzi, z czego wywnioskowałem, że jesteśmy jeszcze daleko od celu naszej podróży. Myn natomiast dowiedział się, że często odbywano wyprawy na południe, gdzie staczano bitwy z czarnymi ludźmi, którzy wypuszczali strzały; może jednak powiedział mu to tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność.

Zdrowie, krzepa i przyjacielskie usposobienie mieszkańców Wysp Markizów świadczą o tym, że klimat tamtejszy musi być bardzo zdrowy; nie widzieliśmy nigdzie chorych, kalek ani garbusów. Dni były gorące, noce chłodne, lecz bez rosy; mało tego, mokra odzież pozostawiona na noc pod gołym niebem wysychała do rana, choć nie wiem, czy tak bywało przez okrągły rok. Nasz hiszpański klimat, jak wiadomo, mniej łagodny, rodzi ludzi twardszego gatunku: zawistnych, dumnych, podejrzliwych, nawykłych do ciężkiej pracy i niewygód; każdy trzyma jedną rękę na sakiewce, drugą na orężu. Kiedy ci ludzie okazywali nam życzliwość, myśmy ich posądzali o zdradę; kiedy przybywali po dary, my zaś nie dopuszczaliśmy ich do siebie, źle o nas myśleli, ponieważ sami zawsze gotowi byli oddać nam wszystko, co posiadali; kiedy żądaliśmy od nich, by pracowali dla nas, odmawiali, gdyż u nich nie było tego zwyczaju.

Im dłużej wśród nich przebywaliśmy, tym bardziej wzrastało okrucieństwo naszych żołnierzy, którzy zabijali bądź dla wyrażenia opozycji przeciwko zamiarowi generała, aby zasiedlić te wyspy, bądź też po prostu dla zabawy. Krajowcy byli zastraszeni, a choć przestali uciekać na odgłos strzałów, posłuszni byli rozkazowi swego wodza, żeby nie podejmować zbrojnej zemsty. Schodzili nam z drogi w miarę sił i odwagi, chroniąc się w swojej części wioski, do której pułkownik zabronił żołnierzom wstępu; każdemu jednak wrażliwemu człowiekowi serce musiałyby pękać na widok bóleści, jaką objawiali po codziennych mordach, popełnianych na ich bliskich. Dziewczęta, które przedtem tak chętnie oddawały się naszym ludziom, chodziły teraz z podpuchniętymi oczyma, podrapane własnymi paznokciami, niezdolne myśleć o miłości; tak iż prócz tych, które osadzono w chatach zajętych obecnie przez oficerów i trzymano tam wbrew ich woli, żadnej nie można było zdobyć nawet pokusą paciorków i lusterek. Nie wiem, czy jaki żołnierz na tyle był pozbawiony honoru, by zamordować krajowca, który był jego towarzyszem, ale niektórzy przez porachunki osobiste mordowali towarzyszy kolegów. Ogółem około dwustu wyspiarzy zostało zabitych do naszego odjazdu, a najbardziej notorycznym zabójcą był sierżant Luis Andrada.

Dnia czwartego sierpnia, kiedy galeota była już naprawiona, a wody i opału załadowano na statki dosyć, zdaniem don Alwara - choć główny nawigator żądał więcej - powiadomiono wyższych oficerów, że nazajutrz mamy podnieść kotwicę; przed żołnierzami natomiast należało utrzymać to w tajemnicy do końca. Wiadomość przeciekła jednak i wojsko użyło sobie na ostatek, nie cofając się przed gwałtem, sodomią i innymi potwornościami, aż wreszcie zwołano wszystkich i przewieziono na okręty. O świcie wysłano kilkunastu ludzi na górę o trzech szczytach, by tam postawili trzy drewniane krzyże, widoczne z morza. Mieli też wyciąć jeszcze jeden krzyż w gładkiej korze któregoś z drzew oraz

rok, dzień i nazwy naszych czterech okrętów; ale don Lorenzo, któremu powierzono to zadanie, pominął w napisie „Santa Ysabel” ze względu na nienawiść, jaką żywił do admirała.

Kiedy wracali, niejaki Miguel Cierva, nieżonaty osadnik, który przegrał w hazardowe gry wszystko, co posiadał, i tonął w długach wekslowych, odstał od towarzyszy i więcej go nie widziano. Był to kowal z zawodu i człowiek dosyć pobożny. Jego dezercja wyglądała na nie obmyślaną z góry, gdyż miał ze sobą tylko arkabuz, proch i kule; ot nagły akt desperacji, którego zapewne, zostawszy sam, żałować miał dniem i nocą. Zastanawiałem się często, co się z nim działo po naszym odjeździe: czy krajowcy zemścili się na nim za swoje krzywdy i czy - jeśli go oszczędzili - znaleźli jakiś metal do wykonywania swego rzemiosła; czego nauczył krajowców, a nade wszystko, jak zdołał żyć bez pociech religijnych.

Odplłynęliśmy natychmiast po powrocie ludzi don Lorenza. Mieszkańcy wioski wylegli na brzeg obserwując nas w milczeniu; nie wiedzieli, czy mamy zamiar powrócić, gdyż nie powiedzieliśmy im o swoich planach. Wstydiłem się gorzko za wszystko, cośmy zrobili i czegośmy zaniedbali, i tej nocy wypowiedziałem głównemu nawigatorowi, co miałem na sercu.

- Tak - powiedział - gdybym był Hiszpanem, wstydziłbym się teraz tego miana, tak jak nieraz w Indiach Wschodnich wstyd mi było się przyznać, że jestem Portugalczykiem. W przyszłości, kiedy inne okręty przybiją do tych wysp, nie będą się mogły spodziewać życzliwego przyjęcia i posłannictwo miłości bożej, które mogło tu znaleźć chętne uszy, zostanie odrzucone z pogardą i nienawiścią. Pozostawiam doktorom teologii spór o to, kto jest większym grzesznikiem: ten, kto uprawnia do zbrodni, ten, kto zbrodnię popełnia, czy też ten, kto na nią zamyka oczy, choć ma władzę jej zapobiec. Ale jednego jestem pewien: na szyje tych, co zgrzeszyli przeciwko tym niewinnym, szykuje się kamień młyński, który pociągnie ich na niezgłębione dno otchłani.

Moim zdaniem, gdyby generał od samego początku mocno trzymał wojsko w karbach, nie doszłoby wcale do przelewu krwi i moglibyśmy wykorzystać nasz pobyt do szlachetnych celów, z pożytkiem dla Boga i dla nas samych. Ale don Alwar zatykał oczy i uszy na morderstwa, wikariusz zaś utrzymywał, że skoro mamy ruszać dalej w podróż zaraz po naprawie galeoty, nie będzie wcale próbował nawracać wyspiarzy. Doświadczenie - twierdził - zdobyte w głębi Peru nauczyło go, iż daleko gorzej jest wpoić dzikim Indianom początki nauki chrześcijańskiej, a potem ruszyć dalej niż pozostawić ich w nieświadomości, mieszają bowiem wtedy prawdziwą wiarę z własnymi zabobonami i hoduszą nowe bluźniercze herezje, a nie mając księdza, który by ich spowiadał, błędzą niby owce bez pasterza. Nie ośmielałem się sprzeciwiać księdzu Juanowi, który był człowiekiem wielkiej wiedzy i pobożności; bolałem jednak, że tak dobry lud z tak lekkim sercem pozostawiono w jego błędach.

ROZDZIAŁ XI

SAN BERNARDO I SAMOTNA WYSPA

W cztery dni po odpłynięciu z Santa Cristina don Alwar oznajmił przy wspólnym stole, że teraz lada godzina możemy się spodziewać widoku Wysp Salomona. Główny nawigator zachłysnął się i zeszytywniał w krześle, ale nie zaprzeczył. Jednakże zaraz po skończonym posiłku odciągnął na bok don Lorenza i powiedział, że to omyłka - don Alwar myśli widocznie o odległości, jaką przebył w tyleż dni podczas swej pierwszej podróży, gdy tymczasem według zgodnych obliczeń wszystkich nawigatorów mamy jeszcze przed sobą pięćset mil, a robimy dziennie mniej niż dwadzieścia pięć. Główna przyczyna naszego powolnego posuwania się naprzód leży w tym, że „Santa Ysabel”, mając za lekki balast, nie może dotrzymać tempa, gdyż jeśli rozwinęłaby wszystkie żagle, groziłby jej kapotaż. Fregata również jest statkiem powolnym. Błagał zatem don Lorenza o pilnowanie, aby wojsko i osadnicy oszczędzali żywności, paliwa i wody, sam zaś zobowiązał się, że majtkowie uczynią podobnie; inaczej ucierpimy wszyscy, nim podróż dobiegnie końca.

- Człowieku, ależ u ciebie raz jest czarno, raz biało! - obruszył się don Lorenzo. - W Paicie zapewniałeś załogę, że umiejętności nawigacyjne don Alwara są większe od twoich; teraz znów podsuwasz myśl, że jest ignorantem, który może się mylić aż o milę na każde trzy.

Zresztą - dorzucił niedbale - zapowiem sierżantom, aby ukrócili marnotrawstwo, na które się skarżysz.

Czy zapowiedział im to, nie wiem; ale jeśli tak, nie usłuchali go. Kury i świnie zabrane z Peru wszystkie poszły już do kotła, a resztki z wieczerzy, dotąd odkładane dla zwierząt, wyrzucano obecnie za burtę, choć można je było śmiało przechować na następny dzień na śniadanie. Szafarz wody zameldował oficerowi rachunkowemu, że wbrew zakazom używano świeżej wody do mycia i prania i że zapas jej niepomiernie się zmniejszył. Don Gaspar przekazał meldunek generałowi, który odparł:

- Cierpliwości, przyjacielu! Z bożą pomocą i przy stałym wietrze od wschodu niedługo już staniemy u celu podróży.

Bóg zesłał nam wiatr, jakiego nam było trzeba, ale gdy przepłynęliśmy jeszcze dwieście mil w kierunku na zachodnio-południowy-zachód, a lądu wciąż widać nie było, zarówno oficerowie, jak żołnierze zaczęli otwarcie sarkać na przedłużanie się podróży, za co winę składali na głównego nawigatora. On jednak zachował wzorową lojalność wobec generała; na wszystkie złośliwości odpowiadał: „Trzymam się ustalonego kursu; więcej zrobić nie mogę, a mniej - nie chcę.” Chociaż gotów był bronić się przeciw wszelkim zarzutom nieudolności, nikt mu takiego zarzutu nie postawił; don Alvar nie miał odwagi przyznać się do błędu i wołał zdobywać sobie niezasłużoną sławę człowieka wielkiej cierpliwości, nie uskarżając się na nic i przybierając zrezygnowaną i skrzywdzoną minę.

Doña Izabela wzięła stronę Pedra Fernandeza przeciwko tym, co go oczerniali, zwłaszcza zaś przeciwko stronnikom pułkownika; zaczęła teraz co wieczór po niesporach przychodzić do Sali Map na przyjacielską pogawędkę w towarzystwie don Luisa, i wypada tu wspomnieć, że don Luis, który później zdobył pewną sławę jako nawigator i kartograf, nauczył się podstaw obu tych sztuk od głównego nawigatora

w czasie naszej podróży. Doña Izabela traktowała Pedra Fernandesa tak życzliwie, że któregoś dnia powiedział do mnie:

- Andresie, kiedy sobie przypomnę, jak małżonka generała zachowała się przy pierwszym naszym spotkaniu z krajowcami, mogę tylko dziękować Najświętszej Pannie za to, że sprawiła w niej taką odmianę. Ostatnio nigdy nie widuję doni Izabeli bez modlitewnika w rękę i z jej pomocą sprawy nasze mogą jeszcze obrócić się na dobre. Bracia liczą się z jej słowami, pułkownik jej się boi, a don Alwar rzadko sprzeciwia się jej życzeniom. Jest bardzo odważna jak na kobietę.

- Owszem - powiedziałem, pozornie mu przytakując - jest galicyjską szlachcianką i choćby nie wiem co, pójdzie obraną drogą; oby Bóg dał, żeby droga ta była dobra!

Znałem na tyle świat, by wiedzieć, że doña Izabela jest jeszcze za młoda, aby popaść w dewocję - miała wówczas ledwo dwadzieścia siedem lat i była u szczytu swej piękności. Podejrzywałem więc, że jej życzliwość dla niego jest pochodną jej wrogości względem pułkownika, którego głowę pragnęła mieć podaną na tacy, jak tancerka Salome - głowę Jana Chrzciciela. W trudnej chwili główny nawigator mógł okazać się cennym dla niej sprzymierzeńcem, bo załoga darzyła go szacunkiem. Mimo to jednak nie mogłem zrozumieć, czemu paraduje przed nim z *Symbolem wiary* brata Luisa de Granada, pożyczonym od księdza Juana. Ani razu nie widziałem, żeby czytała tę książkę, chociaż ciągle wzywano mnie do kajuty generalskiej. Po co zadaje sobie trud udawania przed nim pobożności?

Bracia Barretowie, którzy przywykli uważać całą wyprawę za swoje rodzinne przedsięwzięcie, a kolegów-oficerów za podrzędne figury lub członków swej świty, teraz, gdy pułkownik wrócił do czynnego życia, przestali rządzić się we wszystkim po swojemu. Podczas naszych posiłków przy wspólnym stole nie panował już nawet pozór serdeczności. U prezydialnego końca stołu zasiadał generał z donią Izabelą, obaj księża, główny nawigator, major i Barretowie. Rozmawiali w języku

galicyjskim, a Pedro Fernandez posługiwał się portugalskim, bardzo do tamtego zbliżonym. Pułkownik siedział przy drugim końcu z kapitanem artylerii i jego żoną, adiutantem i chorążymi; ci mówili po kastylijsku. Środek stołu zajmowali kupcy ze swoimi kobietami, używający dialektu andaluzyjskiego, i ja. Od czasu do czasu don Alwar zwracał się z jakąś grzecznościową uwagą do pułkownika lub do kapitana artylerii, który był mrukiem, nie lubianym przez żadne ze stronnictw; jeśli chodzi o pozostałych, można by rzec, iż jeden koniec stołu dzieliło od drugiego sto mil morza, tak mało komunikowały się ze sobą.

Pewnego dnia don Lorenzo opowiedział pocieszną dykteryjkę rzucającą cień na skromność kastylijskich kobiet, a ponieważ w drugim końcu stołu przypadkowo było wtedy cicho, Juan de Buitrago usłyszał ją i obraził się. Wstał z krzesła i mówiąc po galicyjsku - żeby zrozumiano, co go ubodło - poprosił don Alwara o pozwolenie przeniesienia swego nakrycia gdzie indziej; adiutant przez solidarność poprosił zaraz o to samo. Don Alwar udał, że nie wie, dlaczego chcą się wynieść, i zamiast zażądać od szwagra, aby przeprosił za niezręczność, powiedział, że będzie niegrzecznie, jeśli wstaną od stołu przed paniami, chyba że obaj nagle zachorowali. Chorąży odparł, że tylko ze względu na damy zgodzi się zostać przy stole, gdzie don Lorenzo tak grubiańsko znieważył jego rodaczki; adiutant tym razem znów go poparł. Wówczas pułkownik jął walić o stół rękojeścią sztyletu, chociaż nie miał pojęcia, co powiedział don Lorenzo, i pochwalił ich jako tęgich zuchów.

- Prawdziwego, szlachcica - oświadczył - poznaje się po gotowości do zignorowania najgorszej nawet obelgi w obecności pań, byle nie zatruwożyć ich publicznym natarciem uszu winowajcy.

Ledwo usiedli z powrotem, doña Mariana opowiedziała, znów po galicyjsku, jakiś zabójczy kawał, na który wszyscy w tamtym końcu stołu ryknęli śmiechem, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Juana de Buitrago, on bowiem jeden spośród stronników pułkownika mógł go zrozumieć. Później, gdyśmy mówili sobie dobranoc, nie chciał

pozdrowić jak zwykle don Lorenza, który dowodził jego kompanią, lecz pożegnał go tylko ledwo zauważalnym ukłonem. Don Lorenzo natychmiast poskarżył się generałowi, który upomniał don Juana, że młodszy rangą oficer powinien zawsze pozdrawiać zwierzchników na dzień dobry i na dobranoc. Wczesnym rankiem następnego dnia, kiedy adiutant i chorążcy spotkali się z don Lorenzem, zawołali jednogłośnie: „Dzień dobry, wasza dostojność... na rozkaz!”

Prawda była taka, że chorążcy uzyskał niedawno od don Alwara zezwolenie na małżeństwo z Luizą Geronimo, najstarszą córką ubogiej kastylijskiej rodziny, do której należał też maleńki Juanito; młodsza była od niego o przeszło trzydzieści lat, toteż musiał już wysłuchać cierpliwie wielu niewybrednych, choć przyjacielskich kpinek z ust pułkownika i swych kolegów-chorążych. Dykteryjka don Lorenza wydała mu się jeszcze jednym grottem wymierzonym w ten sam, dobrze już obstrzelany cel; ale w tym mylił się, jak sądzę.

O świcie w niedzielę dwudziestego sierpnia, kiedy mieliśmy za sobą nowych dwieście mil, z bocianiego gniazda rozległ się okrzyk: „Łąd!” Wypatrywacz otrzymał nagrodę, chociaż nie był to łąd, którego szukaliśmy, ale cztery małe, niskie wyspy tworzące dość zwarty kwadrat, z piaszczystymi wybrzeżami i gajami palm kokosowych. Obwód całej grupy zdawał się wynosić niewiele ponad osiem mil; podpłynęliśmy do niej od wschodu, ale bezpośredni dostęp od tej strony tamowały rozległe ławice piasku.

Generał nazwał te wyspy imieniem świętego Bernarda, którego to był właśnie dzień, i oznajmił przy śniadaniu, że zamierza opłynąć je ku zachodowi i wysłać fregatę i galeotę na poszukiwanie miejsca do zarzucenia kotwicy. Spojrzawszy po stole rzekł:

- Zapewne nikt z was, panowie, nie będzie miał nic przeciwko temu, by rozprostować nogi na tych nowych brzegach i wypić parę orzeźwiających łyków z zielonego orzecha kokosowego. Uważam za swój obowiązek zatknąć tu krzyż i w imieniu króla objąć te ziemie

we władanie. Wyspy są najwidoczniej zamieszkałe; kapitan Corzo dał znać, że wkrótce po świcie jego wypatrywacz dostrzegł dwa czółna koło cypla na południowy zachód od nas; wypłynęły na zwiady, ale zaraz zawróciły.

Szmer potwierdzenia rozległ się przy obu końcach stołu, a główny nawigator zauważył:

- Nasz własny wypatrywacz, który siedział wyżej niż ten z galeoty, zobaczył tylko dwie kłody kołyszące się na wodzie; jednakże, czy są tu mieszkańcy, czy nie, jeżeli ekscelencja zdoła znaleźć bezpieczną przystań i strugę dobrej wody i jeżeli tym razem wojsko dostanie rozkaz dopomożenia moim ludziom, możemy z pożytkiem spędzić tu ze dwa dni.

Don Alwar spytał pułkownika, czy jeśli żaden atak nie będzie zagrażał, każe żołnierzom pracować wraz z majtkami; pułkownik zaś, na złość don Lorenzowi, odrzekł uprzejmie, że jego żołnierze zrobią wszystko, co będzie potrzebne dla wspólnego dobra.

- I dalibóg - dodał - jeżeli nie potrafią przenieść więcej wody i drzewa w jedno przedpołudnie niż taka sama liczba bosych, gubiących portki majtków w ciągu tygodnia, napluję na nich, łajdaków.

Zarówno don Lorenzo, jak Pedro Fernandez poczuli się dotknięci tym powiedzeniem, lecz mimo to byłoby doszło do próby lądowania, gdyby wikariusz nie kiwnął ostrzegawczo wskazującym palcem.

- Synu mój - powiedział do don Alwara. - Jeżeli posłuchasz księdza, który przeżył na świecie więcej lat niż ktokolwiek z tu obecnych, nie będziesz szukał przystani na tych wyspach, tylko zaraz popłyniesz dalej.

- Ależ dlaczego, księżu Juanie? - spytał don Alwar zaskoczony.

Wikariusz rozłożył ręce gestem bezsilności.

- Ach - odparł z suchym kaszelkiem, wzruszając ramionami - powodu podać nie mogę. Nie, synu, nie mogę go podać nawet tobie!

Nie chciał powiedzieć nic więcej, ale w jego słowach było tyle przekonania, że don Alwar ustąpił i wróciliśmy na poprzedni kurs, pozostawiając za sobą San Bernardo. Wiele snuto domysłów, o co mogło chodzić księdzu Juanowi. Niektórzy uważali, że przemówił, jak gdyby doznał jakiegoś anielskiego widzenia; inni, że grzechy popełnione na ostatnim naszym postoju tak go zmartwiły, iż obawiał się ich powtórzenia. Mój własny pogląd, który zatrzymałem przy sobie, był taki, że nie mógł wyjawić swoich racji bez pogwałcenia tajemnicy konfesjonatu: podejrzewałem, że doña Mariana wspomniała mu o swym postanowieniu połączenia się z admirałem przy najbliższym zejściu na ląd. Siedziałem blisko doni Mariany i widziałem, jak pobladła ze zgryzoty, kiedy ksiądz Juan postawił na swoim, i jak zdusiła w sobie gniewny okrzyk protestu; nie było tajemnicą, że wciąż jest bardzo zakochana w mężu i burzy się na tę przeciwną naturze rozłąkę. Jeżeli rzeczywiście nosiła się z podobnymi zamiarami, wikariusz postąpił roztropnie, gdyż don Alwar postanowił oddać ją admirałowi dopiero po dotarciu na Wyspy Salomona; gdyby uciekła do niego wcześniej, bracia staraliby się sprowadzić ją z powrotem siłą, na co pułkownik i jego stronnicy zjednoczyliby się z jej mężem i mogłoby dojść do rozlewu krwi.

Wiatr wiał teraz stale w kierunku południowo-wschodnim i kilkakrotnie mieliśmy przelotne deszcze, ale morze było nadal spokojne. Gęste zwały chmur zdawały się zapowiadać ląd na południu; tak były nieruchome, iż wyglądały jakby przytwierdzone do grani wysokiego łańcucha górskiego, lecz gdy generał zarządził zmianę kursu ku południowemu zachodowi, żaden ląd się nie ukazał. Trzymaliśmy się między ósmym a dwunastym stopniem szerokości południowej, sterując czasem na zachód, czasem na północny-zachód, to znów na południowy-zachód, zależnie od kaprysu don Alwara. Widok urozmaicały jedynie

chmury o fantastycznych kształtach: pewnego popołudnia pojawił się na niebie biały lew z żółtą grzywą, na którego od tyłu jakby nacierały trzy lwiatka. Grupa ta nie zmieniła kształtu ani barwy aż do zmierzchu, następnego zaś ranka ujrzeliśmy obłok przypominający głowę w kapturze, o rysach nader podobnych do don Alwara, lecz wychudłą i z otwartymi ustami, co wielu z nas poczytało za niedobry omen. Tegoż dnia na wschodzie ukazał się jakby ołtarz, na którym siedziała ropucha; po dwóch godzinach krzyż na ołtarzu rozchwiał się, natomiast ropucha robiła się coraz większa i brzydsza.

Do dwudziestego ósmego sierpnia przebyliśmy przewidziane tysiąc pięćset mil drogi i wciąż nie znaleźliśmy nic; lecz następnego dnia dostrześliśmy niską, zadrzewioną wyspę otoczoną rafą koralową. Miała mniej więcej milę obwodu i wydawała się bezludna. Ponieważ w pobliżu nie było żadnego innego lądu, generał nazwał ją Wyspą Samotną. Kazał fregacie i galeocie zbliżyć się do niej i poszukać luki w rafie; admirał skarżył się na wielki niedostatek wody i drzewa opałowego na „Santa Ysabel”, któremu tutaj można było zaradzić. Fregata, wysunąwszy się na czoło, spróbowała wplynąć do jakiegoś kanału od południa, ale niebawem posłyszeliśmy głośne nawoływania i przestrogi, aby się nie zbliżać, gdyż dno jest całe usiane skałami. W jednej chwili sonda trafiała na głębokość stu sążni, w następnej ledwo dziesięciu, potem znów wcale nie znajdowano dna. Zmieniliśmy zatem niezwłocznie kurs.

Niezadowolenie doszło do szczytu w dwa dni potem, kiedy generał milcząco uznał bezzasadność swoich nadziei, nakazując obciąć wszystkim do połowy racje żywności i wody. Dokądkolwiek szedłem w trakcie wypełniania swoich obowiązków, wszędzie słyszałem narzekania majtków, którzy dotychczas okazywali wzorową cierpliwość. Skarżyli się, że gdyby sierżanci posłuchali rad głównego nawigatora i nie pozwalali wojsku marnotrawić żywności i wody, nie musielibyśmy

teraz wszyscy głodować. „Jak pół racji, to i pół roboty!” - mruzcili i zaczęli lekceważyć rozkazy albo wypełniać je niestarannie.

Na zakończenie swojej wachty bosman wypalił jednemu z chłopców okrętowych kazanie na temat grzechu opieszałości. Wyrostek słuchał dość uważnie i przeprosił bosmana, ale jak tylko ten odwrócił się, by odejść, pokazał mu za plecami finfę; na ten gest dwaj jego towarzysze roześmiali się i wywinęli po koziołku z uciechy. Pułkownik, który przypadkiem w tej chwili nadszedł, zobaczył całą scenę; grzotnął winowającą łaską i zważył go na pokład. Potem puścił się w pogoń za tamtymi dwoma wymyślając im od ogoniastych smoluchów z długimi uszami, aż wdrapali się w popłochu na wanty.

Bosman-mat, który teraz objął służbę, poszedł zaraz do kajuty generalskiej ze skargą, że pułkownik napastuje załogę i wtrąca się do żeglarskiej dyscypliny. Zuchwałość jego słów świadczyła, ile generał stracił autorytetu przez swój upór i ciągłe zmiany decyzji.

- To nie do zniesienia, ekscelencjo! Niech pułkownik spełnia swoje obowiązki, jak tego król od niego wymaga, a w czasie wojny czy buntu jesteśmy na jego rozkazy. Ale, na Boga, niechże trzyma się granic swojej władzy! Jeżeli jeszcze raz użyje łaski na kóregoś z chłopców okrętowych, nie odpowiadam za siebie. Jesteśmy ludźmi honoru i deptać się nie damy.

Ponieważ żadnego z wyższych oficerów przy tym nie było, don Alwar pozwolił Damianowi mówić, co mu ślina na język przynosiła; zauważył tylko, że gdyby trzymał ludzi w lepszej dyscyplinie, pułkownik nie miałby okazji do interwencji.

- Ekscelencjo - odparł na to Damian - zapewniam cię, że najgorzej sprawujący się majtek jest świętym w porównaniu z najlepiej sprawującym się żołnierzem. Pracujemy uczciwie na życie; nie kradniemy ani mordujemy. Gdyby pułkownik zwalczał lenistwo i chciwość swoich ludzi, nie byłibyśmy teraz w tak trudnym położeniu. On jednak pozostawia ich majorowi; major pozostawia ich kapitanom i adiutantom,

którzy znów pozostawiają ich chorążym, ci zaś pozostawiają ich sierżantom, którzy zaniedbują ich zupełnie. Odkąd opuściliśmy Markizy, ani razu nie było przeglądu wojska, a oficerowie przechwalają się tylko, kłócą i sieją zamęt. Za wielu ich jest na tym okręcie - co najmniej jeden wypada na każdych pięciu żołnierzy. Ekscelencja sam mógłbyś z łatwością kierować naszymi sprawami. Po co marnować na nich żywność i wodę? Nie jedziemy do Flandrii czy Włoch, gdzie znalazłiby może pożyteczne zatrudnienie, ale na spokojne wyspy zamieszkałe przez przyjaznych, źle uzbrojonych dzikusów. Potrzeba nam nie rzeźników w strojnych kryzach, tylko cierpliwych, pracowitych osadników, gotowych zjednać sobie Indian dobrocią i katolickim przykładem. Proszę darować mi moją szczerość, ekscelencjo!

- Kocham szczerość - rzekł don Alwar - ale ponieważ niewielu oficerów podobnych jest do mnie pod tym względem, uważaj, do kogo kierujesz swoje żale. Zwłaszcza zaś nie powiększaj naszych kłopotów zadzierając z pułkownikiem. Były wybryki i zaniedbania, przyznaję, ale chyba nie chcesz, bym dla twojej przyjemności powyrzucał za burtę moich krewnych i przyjaciół? Biorą udział w tej wyprawie z polecenia jego królewskiej mości i są to wszystko ludzie szlachetnego rodu. Idź już, przyjacielu Damianie! Z pomocą Najświętszej Panny znajdzie się jakaś rada na twoje zmartwienia.

Atmosfera konspiracji zgęstniała. Bracia Barretowie próbowali wciągnąć don Alwara do swojego stronnictwa przekładając mu, że pułkownik zamierza wyrznąć ich wszystkich i uzurpować sobie dowództwo. Do tego celu posługiwali się szpiegami i donosicielami, z których najbardziej czynni byli major Moran i oficer rachunkowy. Podśluchiwali oni rozmowy nie przeznaczone dla ich uszu i znosili swoje plony don Lorenzowi lub samemu don Alwarowi, opuszczając, dodając i przekręcając tyle, że mówca zgoła nie rozpoznałby własnych słów. To samo mniej więcej działo się w przeciwnym obozie, gdzie głównymi agentami pułkownika byli Tomas de Ampuero, i doña Maria Ponce,

żona kapitana artylerii, zakochana w don Tomasie; czuję się jednak w obowiązku dodać, że pułkownik działał w samoobronie i mniej spiskował, niż inni spiskowali przeciwko niemu.

Oficer rachunkowy chodził też do don Alwara z donosami na głównego nawigatora, twierdząc, że zjawia się on z nawigatorem admirała, by skierować okręty ku Indiom Portugalskim, gdzie obaj zdezerterują z flotylli i popłyną do kraju przez Goa, oraz że dawno już minęliśmy Wyspy Salomona. Wielu żołnierzy i osadników wierzyło tej gadce; sam don Alwar też jej wierzył na poły, ale ilekroć wychodził o północy na pokład, aby spojrzeć na kompas lub gwiazdy, zawsze stwierdzał, że okręt trzyma się właściwego kursu. Pedro Fernandez, choć wiedział, co o nim mówią i kto te rzeczy mówi, wstrzymywał się od skarg; powiedział mi, że oficer rachunkowy z czasem i tak wyjdzie na dudka, jak na to zasługuje.

Kiedy pewnego ranka szedłem, nie pamiętam już po co, głównym pokładem w kierunku dziobówki, Matia pociągnął mnie za rękaw i ruchem głowy wskazał zwoje lin, na których siedziała grupka młodych żołnierzy klóćąc się i wyrzekając.

- Posłuchaj no, jak piszczą te szczury! - rzekł pogardliwie.

Przystanąłem, aby posłuchać.

- I pamiętaj, Federico, że winien mi jesteś dziewięć uncji złota, jak zajedziemy na Wyspy. Nie mam od ciebie weksla na dowód, ale zobowiązałeś się przy świadkach, a między kolegami to wystarczy!

- Zlituj się, człowieku! Jak zajedziemy na Wyspy! Przecież my nigdy tam nie zajedziemy! Uplłynęliśmy już kulę ziemską dookolotka, dobrze na południe od wszelkich znanych kontynentów. Te Wyspy Markizy to ostatni ląd, na jaki mogliśmy natrafić... chyba że natkniemy się na nie znowu, robiąc tego samego młynka po raz drugi. Ani generał, ani główny nawigator nie mają najmniejszego pojęcia, gdzie się znajdujemy. Będziemy płynąć i płynąć, aż deski zgniją pod nami i okręt pójdzie na dno, zabierając ze sobą nasze wyszczerzone szkielety. To właśnie

miałem na myśli, kiedy mówiłem, że sierżant nie powinien na nas krzy-
czeć, jakbyśmy stali na warcie przed pałacem wicekróla w Limie. Nie
ma sensu, żebyśmy dwa razy w tygodniu czyścili sobie na glans napier-
śniki, skoro i tak na pewno umrzemy i nigdy nam już nie będą potrzeb-
ne.

- Głupstwa gadasz, Salwadorze, i wiesz o tym doskonale. Federico
może i ma rację, żeśmy minęli Wyspy, i może któregoś dnia znajdzie-
my się w Kochinchinie między żółtymi ludźmi, ale kula ziemska to
większa dynia, niż sobie wyobrażasz. Anglik Drake potrzebował trzech
lat, żeby przejechać po niej swoim nożem dookoła, a już ten nie maru-
dził.

- O wiele prawdopodobniejsze jest, że Wyspy zapadły się w morze.
Wyspy, jak wiecie, zjawiają się i znikają za wolą Boga, a już prawie
trzydzieści lat minęło, jak je ostatni raz widziano.

- Ty, baranie! Takie duże wyspy się nie zapadają. To tak, jakbyś
powiedział, że sama Hiszpania pogrąży się któregoś dnia. Nie, wierzcie
mi na słowo: generał i jego ludzie ulegli czarom. Widzieli i słyszeli
rzeczy, które istniały tylko w ich zmętniałych mózgownicach - słyszeli-
ście, jak w powrotnej drodze poszaleli wszyscy z głodu i pragnienia i
jak złożyli ofiarę ze śnieżnobiałej papugi, żeby uratować życie swego
pułkownika. Śnieżnobiała papuga, rzeczywiście! Kto kiedy widział
takiego ptaka?

- Masz rację, Sebastianie. Te Wyspy były tylko wielkim przywi-
dzeniem; a, przecież generał potrafił jakoś przekonać wicekróla i same-
go króla Filipa o ich istnieniu. A teraz, dlatego że chce nazywać się
markizem i zrobić bogaczy z krewniaków swojej pani, przywłókł nas
tutaj z paroma workami sucharów, żebyśmy zginęli w tej ogromnej
toni...

- I nałowili sobie tych cudownych pereł, wielkich jak gołębie jaja, o
których on banialuki opowiada! Mówi, że widział, jak dzieci się nimi
bawiły, tylko miał za czułe serce, żeby im odebrać zabawki! Najgorsze

to, że jego patent królewski robi z nas wszystkich niewolników: wolno mu uczynić bogacza z kogo zechce i żebraka z kogo zechce i nie ma od tego odwołania.

- Po co się skarżyć na królewski patent, człowieku? To także tylko wytwór wyobraźni. Powtarzam jeszcze raz, i wszystko mi jedno, kto posłyszycie: Wysp Salomona nigdy nie było!

Matia wystąpił gniewnie naprzód.

- Zadajesz mi kłam, Sebastianie Lejia, bęcwale jeden? Byłem już wytrawnym żołnierzem, który walczył w siedmiu bitwach i dziesięciu oblężeniach, kiedyś ty jeszcze raczkował po rynsztoku z gołym zadkiem, zjadając obierzyny z rzepy i mule łajno. Popatrz na tę bliznę od włóczni, którą mnie zdzielił mieszkaniec Wysp Salomona! Śmiesz twierdzić, że mi się to przyśniło, he? Na płaszcz i szatę Tego, który mnie odkupił, wepchnę ci z powrotem do gardła te słowa, ty barania głowo, ty babo w męskim przebraniu, skurwysynie, klucho ciasta z zabią gębą!

Ręka jego pomknęła w kierunku sztyletu, ale pohamowałem go.

- Spokojnie, przyjacielu! - zawołałem. - Kiedy ktoś papie niedorzeczności, cóż z tego, że je odwoła? Posłuchajcie mnie, panowie; nie ulega żadnej wątpliwości, że na te Wyspy dotarto, i zaprzeczać temu byłoby i nierozumnie, i nielojalnie. Tam, w Sali Map jest dziennik okrętowy Hernana Gallego, a prawdziwość jego potwierdza trzeźwe sprawozdanie z tamtej podróży, przechowywane obecnie w archiwum wicekrólewskim w Limie, napisane przez oficera rachunkowego Gomeza Catorrę. Co więcej, sam miałem w ręku broń i naszyjniki, które przywiózł do Nowej Hiszpanii kapitan Pedro Sarmiento. Wypierz sobie mózg w balii, Sebastianie Lejia, a potem powieś go na wantach, żeby wysechł!

To wywołało śmiech i sztylet Matii pozostał w pochwie; on sam jednakże nie poniechał jeszcze sporu.

- Chłopcy - powiedział gładząc siwiejącą brodę - żywności jest mało, a drogi przed nami dużo, więc posłuchajcie starego wiarusa, którego

skóra cała pohaftowana jest bliznami, ale który w głowie ma jasno i jasno widzi. Takie właśnie czasy są próbą dla żołnierza: uważa, by mieć ręce czyste, i przyjmuje, co mu los przyniesie. Unikajcie Sebastiana jak zarazy; w oku ma zęza, kłamstwa na języku, a na zbroi pełno rdzy. Bądźcie mężczyznami i trzymajcie się towarzystwa prawdziwych mężczyzn! Sebastian zadrżał pod wzrokiem krwią nabiegłych oczu Matii, wymamrotał coś niedosłyszalnego i chyłkiem się oddalił. Młody Federico zapytał:

- Ale co wy myślicie, Matia? Już raz odbyliście tę podróż. Dlaczegośmy dotąd nie natrafili na Wyspy?

Matia wyszczerzył zęby w uśmiechu, przyłożył palec do ust, jakby miał wyjawić jakąś ogromnie ważną tajemnicę, i odparł chrypliwym szeptem:

- Z jednego tylko powodu: bośmy jeszcze do nich nie dopłynęli!

Nawet główny nawigator zaczynał się niecierpliwić. Przepłynęliśmy już ponad tysiąc sześćset mil, a przecież Gallego na swojej mapie umieścił Wyspy o mniej niż tysiąc pięćset mil od Peru. Podczas którejś z południowych narad pozostali trzej nawigatorzy wręczyli mu memoriał, gdzie pisali, że ich kapitanowie i niżsi oficerowie skarżą się wciąż na długość podróży, że zatem pokornie proszą, aby generał dał im jakieś wyjaśnienie, które mogliby przekazać dalej. Memoriał rozgrzeszał samego Pedra Fernandezę z wszelkiej winy: nawigatorzy stwierdzali, że ich własne obliczenia zgadzają się z jego obliczeniami, chociaż od dwóch tygodni codziennie biorą wysokość słońca i trzymamy się ciągle na dziesiątym stopniu szerokości południowej, gdzie jakoby mają leżeć Wyspy. Dodawali, że według portugalskiej mapy znalezionej na „Santa Ysabel” powinniśmy teraz płynąć ponad lesistymi górami Tartaru i że sądząc według żalostnego stanu kadłubów naszych statków, kartograf ten może zbyt się nie myli.

Pedro Fernandez, który dotąd nie chciał poruszać tego tematu z generałem, przedłożył mu memoriał i zapytał, jak ma na niego

odpowiedzieć. Tak się złożyło, że i pułkownik, i don Lorenzo byli przy tym obecni, i don Alwar uznał, iż musi usprawiedliwić się w ich oczach. Wstał z krzesła rozniewany i zawołał:

- Nawigatorze, czyżbyś wstydu nie miał? Szumi mi ciągle w uszach od skarg ze wszystkich stron, że zboczyliśmy z kursu i jesteśmy zgubieni bez ratunku. Jakże ty, właśnie ty, śmiesz traktować mnie w ten sposób? Najpierw idziesz do kapitana don Lorenza i napomykasz mu buntowniczo, że jestem niespełna rozumu, bo za wcześniej spodziewałem się natrafić na Wyspy; a teraz znowu skarżysz się, żeśmy przepłynęli nasz cel! Któż wreszcie jest kapitanem tego statku, ty czy ja?

- Ja jestem kapitanem, ekscelencjo - odpowiedział główny nawigator podniesionym głosem, by pokazać, że zastraszyć się nie da - i nawiguję zgodnie ze wskazówkami, jakie mi dałeś w Santa; ty, który odkryłeś Wyspy Salomona, powinieneś wiedzieć, gdzie one leżą. Jest to moja pierwsza podróż po Morzach Południowych, ale potrafię trzymać się ściśle danego równoleżnika, a moich obliczeń nie podważa ani jeden nawigator flotyli.

- Więc dlaczegoś nie spełnił swojego obowiązku i nie doprowadził nas do Wysp? - krzyknął don Alwar wpadając w furię.

- Pewni twoi oficerowie, ekscelencjo, których nazwisk nie będę wymieniał - odparł główny nawigator, z rozmysłem ważąc każde słowo - twierdzą, że Gallego sfałszował swój dziennik na twój rozkaz. Powiadają, żeście obaj przedstawili odległość Wysp od Callao jako znacznie mniejszą, niż jest w rzeczywistości, aby król nie uznał ich za nazbyt odległe do skolonizowania. Odparcie tego podłego zarzutu pozostawiam tobie, ekscelencjo. Wypada ci jednak wytłumaczyć, dlaczego ja i moi trzej koledzy-nawigatorzy, choć trzymamy się twoich wskazówek, nie natrafiiliśmy dotąd na tak wielki archipelag. Proszę cię, ekscelencjo, powstrzymaj się od niejasnych oskarżeń i rozważ logicznie sprawę. Przyznaj, że albo Gallego omylił się w obliczeniach i podał błędną długość geograficzną, albo ukrył przed tobą prawdziwą szerokość,

albo wreszcie sekretarz, który ujmował jego zapiski w formę pisemną, poczynił błędy w przepisaniu.

Tu wtrącił się pułkownik:

- Albo jeszcze, szlachetny panie, że ten tu Portugalczyk jest oszustem i łotrem, który chce przywieść nas do zguby, aby załatwić swoje prywatne porachunki.

- To, mój drogi pułkowniku, nie jest bynajmniej wykluczone - powiedział don Alwar, który nastawiał swoje żagle na każdy wiatr nie dbając, gdzie go poniesie. - Wiem, że główny nawigator nie kocha cię zbyt.

Pedro Fernandez pochwycił spojrzenie doni Izabeli, która przysłuchiwała się uważnie, i nabrał odwagi do zacieklej obrony.

- Czy to prawdopodobne, abym pragnął własnej zguby na równi z jego zgubą? - zapytał. - W Paicie zapewniałeś mnie że łzami w oczach, że jestem jedynym nawigatorem, na którego umiejętnościach możesz polegać. Wtedy to, zgłębiając własną chęć, ale na prośbę twojej cnotliwej małżonki, zgodziłem się zostać przy tobie. Wtedy też odpuściłem pułkownikowi jego winy, tak jak ufam, że Bóg odpuści mi moje, i jeśli możesz uwierzyć, że podsycam w sobie tak obłądną do niego urazę, iż byle tylko ją pomścić, zechcę poprowadzić na śmierć cztery okręty pełne moich braci chrześcijan...

- Mów dalej - rzekł don Alwar pośpiesznie. - Pułkownik i don Lorenzo zgodzą się obaj, że sprawiedliwość wymaga, abys mógł wypowiedzieć się w swojej obronie.

- Krótko mówiąc zatem, dostojny panie, Hernán Gallego mógł popełnić błąd w obliczeniach. Jest to prawdopodobne, gdyż w dzienniku swoim podaje długość geograficzną Wyspy Jezusa, pierwszego napotkanego przez was lądu, jako taką a taką, a potem wyspy Cristobal, leżącej na tej samej szerokości, jako taką a taką, ale oblicza odległość pomiędzy nimi na dwieście pięćdziesiąt mil mniej, niż to wynika z porównania ich długości geograficznych. Z zapisu tego należy wyciągnąć

wniosek, że Wyspy Salomona, z których jedną jest San Cristobal, leżą przynajmniej tysiąc sześćset pięćdziesiąt mil na zachód od Callao, a może i więcej. Znajdują się więc jeszcze przed nami.

- Ależ, przyjacielu - zaprotestował generał - dotarłem przecież na Wyspy w osiemdziesiąt dni...

Pedro Fernandez szybko wpadł mu w mowę:

- ...Przy innych wiatrach, dostojny panie, w innej porze roku i gdy żadna włokąca się w tyle „Santa Ysabel” nie zmniejszała ci prędkości podróży. Proszę, wysłuchaj mnie do końca!

Kiedy generał usiadł z powrotem w krzesło, ciągnął dalej z pewnością siebie, krając dłońmi powietrze adwokackim gestem:

- Słyszałem pogłoskę, że kiedy w końcu podróży poprosiłeś, ekscelencjo, Gallega o jego dziennik i mapę, dał ci sfałszowane kopie zamiast oryginałów. Ale choć powszechnie wiadomo, że poróżnił się z tobą po waszym powrocie do Peru, nie mogę uwierzyć ani w to, by człowiek o jego reputacji zniżył się do czegoś podobnego, ani też, by człowiek o twoim doświadczeniu dał się tak łatwo nabrać. W każdym razie nie mógł oszukać także swych kolegów-nawigatorów, którzy wiedzieli doskonale, na jakich szerokościach żeglowali. Jeżeli jednak przypuścimy, że wszyscy byli w zмовie, a ty nie zadałeś sobie trudu sprawdzenia ich zapisów, wówczas możliwe jest, że Wyspy leżą bądź wyżej niż na siódmym, bądź też niżej niż na dwunastym stopniu szerokości południowej, i że istotnie ominęliśmy je. Trzecią możliwość, mianowicie błędy w przepisywaniu, można z góry odrzucić: nieprawdopodobne jest, aby ta sama omyłka powtarzała się kilka razy w dzienniku, a w dodatku jeszcze figurowała na mapie.

Tu wtrącił swoje don Lorenzo:

- Jestem stanowczo przekonany, ekscelencjo, żeśmy bezwiednie przepłynęli przez lukę między wyspami i zostawili je daleko za sobą. Po przebyciu tysiąca czterystu mil powinniśmy byli kręcić się tam i z

powrotem, póki byśmy ich nie znaleźli. Nie twierdzę, że się znam na nawigacji - nie odróżniam kwadranta od guomona - ale ludziom uczonym, jak nasz główny nawigator, nieraz żałośnie zbywa na zdrowym rozsądku.

- Kapitanie don Lorenzo - powiedział Pedro Fernandez - lepiej by było, gdybyś ograniczał swoje uwagi do spraw wojskowych, na których się rozumiesz, a nie oskarżał mnie o skrajną głupotę. Przeżeglować przez grupę nie dostrzegając ani jednej z jej wysp byłoby mniej więcej tak samo łatwo, jak przejść przez główny pokład nie przestępując przez pół tuzina twoich wylegających się tam żołnierzy. Czyśmy nie dosyć już powiedzieli, ekscelencjo? Jeśli pozwolisz, powiadomię nawigatorów, iż Hernán Gallego zbyt nisko oszacował długość geograficzną Wysp i że płynąc dalej cierpliwie i mężnie wkrótce na nie natrafimy.

Don Alvar nie umiał sprostac' głównemu nawigatorowi w żeglarskim sporze i raptownie zakończył naradę biorąc do ręki różaniec i usuwając się w kąt na modlitwę.

ROZDZIAŁ XII

POŻEGNANIE Z ADMIRAŁEM

Generał odmienił się ostatnio. Nie był już żołnierz ubrany w strój zakonny, ale raczej zakonnik, którego jakiś wybryk losu postawił na czele wojsk. Jadł i pił tyle co ptaszek, większą część nocy spędzał na klęczkach, a kiedy z nich wstawał pokrzepiony na duchu, zdawał się płynąć po podłodze kabiny lub fruwać z pokładu na pokład na niewidzialnych skrzydłach. W rękę miał stale różaniec, a na ustach słowa psalmu: *Ecce quant bonum, fratres*. - O, jakaż to radość, bracia, przebywać razem w jedności. Bywało, przy wspólnym stole błagał nas ze łzami, byśmy pojednali się z Bogiem i ze sobą wzajem, unikali jawnych i ukrytych grzechów i z wszystkich sił swoich służyli Bogu i królowi. Ilekroć przyłapał dwóch oficerów na kłótni, chwycił im jednocześnie prawicę i łączył je w uścisk przyjaźni, i doprawdy myślę, że gdyby mógł zarazem zmusić ich wargi do pocałunku, uczyniłby to. Rozkazawszy usunąć z Sali Map Matkę Boską Opiekunkę Samotnych - twierdził bowiem, że główny nawigator nie ma prawa trzymać tak świętego wizerunku dla swych prywatnych modłów - odział ją w jedwabne szaty uszyte przez damy i osadził na grotmaszcie; codziennie po porannym nabożeństwie wszyscy z jego polecenia śpiewaliśmy na jej cześć *Salve Regina*. W oku jego jaśniał jakiś święty błysk, który sprawiał, że każdy, niezależnie od stronnictwa, do którego się zaliczał, mówił: „Generał wygląda, jakby już pożegnał się z tym światem.”

Nabrał zwyczaju wygłaszania krótkich kazań o najróżniejszych porach dnia. Jednego ranka po śniadaniu rozwiódł się nad niebezpieczeństwem bluźnierstw przestrzegając nas, że droga do piekieł, trakt szeroki i ludny, wybrukowana jest różnymi „O Boże” i „Na Najświętszą Pannę” wypowiedzianymi nadaremno. Powiedział dalej, że ilekroć oficer usłyszy taki zwrot z ust majtka czy żołnierza, ma upomnieć go surowo, a jeśli wykroczenie się powtórzy, przedstawić go do doraźnego ukarania. Słyszałem, jak Matia mruknął wtedy pod wąsem:

- *Carajo!* Więc nasze racje przekleństw też mają być obcięte do połowy!

Uwagi bosman-mata o niechlujstwie i lenistwie żołnierzy, choć nieproszone, poruszyły widocznie don Alwara. Zawiadomił wyższych oficerów, że co wieczór będzie dokonywał przeglądu wojska i przypatrywał się musztrze; ma nadzieję, że prezentować się będą tak schludnie i po żołniersku, jak gdyby spodziewali się odwiedzin jego królewskiej mości we własnej osobie. Co sobotę po południu oraz w przeddzień każdego ważniejszego święta kazał przystrajać okręt flagami i proporcami, podczas gdy muzykanci nasi grali poważne utwory muzyczne, a paziowie śpiewali hymn pod jego osobistym kierunkiem. Nie dosyć na tym: ponieważ wojsko patrzyło z góry na marynarzy, dał mu przykład pokory zaciągając się do bosmańskiej wachty i biorąc udział we wszystkich najniższych i najcięższych pracach. Widzieć go było można, jak zmywał pokład z podkasanym wysoko habitem i sterzcącymi spod niego białymi, żałośnie chudymi nogami lub jak siedząc okrakiem gdzieś wysoko na rei pomagał nastawiać jakiś oporny topsel. Żołnierze uważali go za wariata, majtkom trudno było podziwiać jego niezdarne usiłowania, wyżsi oficerowie wyraźnie nim pogardzali. Doña Izabela była zbyt dobrze wychowana, by go publicznie karcieć za wystawianie się na pośmiewisko; musiała zresztą wiedzieć, że czyniąc tak utwierdziłaby go jeszcze w jego upartej pokorze. Sądzę jednak, że nienawidziła go

za wstyd, jaki jej przynosił, i jeśli nie rzucała się na niego z pazurami, to tylko przez wzgląd na tytuły i bogactwa, jakie spodziewała się zdobyć będąc jego żoną i jedyną spadkobierczynią.

Pewnego piątku w południe admirał przysłał swego nawigatora z wiadomością, że poczyta sobie za wielką łaskę, jeśli generał odstąpi mu pełną łódkę drzewa opałowego; jego zasób na „Santa Ysabel” wyczerpał się zupełnie i żołnierze palili wszystko, co im wpadło pod rękę: zapasowe maszty i reje, skrzynie i kufry, a nawet nadbudówki okrętu. Don Alwar posłał drzewo natychmiast wraz z wyrazami chrześcijańskiej miłości, co zachęciło admirała do wznowienia przerwanych wizyt niedzielnych. Gdy w dwa dni potem ujrzano jego szalupę zbliżającą się do okrętu flagowego, don Lorenzo i don Diego natychmiast poszli do kajuty generalskiej po donię Marianę i z braterską troskliwością eskortowali ją na sam dziób, gdzie zajęli ją rozmową, dopóki admirał nie odpłynął znowu. Pułkownik natomiast powitał go serdecznie, poczęstował winem i zrobił wszystko, co mógł, aby pokazać, że żałuje incydentu w Cherrepé; admirał jednak, choć ścisnął mu rękę z wdzięcznością, nie dał się rozweselić.

Nietrudno było odgadnąć przyczynę jego przygnębienia: oto ksiądz Joaquin, z jego własnego okrętu, nareszcie wzięły na odwagę i odmówił udzielania mu komunii świętej, jeżeli nie odprawi żony sierżanta. Tyle wiedziałem już w zaufaniu od głównego nawigatora, który z kolei słyszał to od nawigatora „Santa Ysabel”; ostatnia wiadomość głosiła, że kobieta owa, opuszczona i znienawidzona przez wszystkich prócz swego protektora, rozchorowała się i w ostatecznym strapieniu wezwała księdza, wypowiadała mu się z cudzołóstwa i obiecała poprawę. Ksiądz Joaquin przyjął jej pokutę i dał jej rozgrzeszenie; w dalszym ciągu jednak dawni przyjaciele z międzypokładów nie chcieli jej znać, toteż nie mając nikogo, kto by ją pielęgnował, była teraz bliska śmierci. Don Lope czuł się urażony w swym honorze, lecz jego oficerowie nie okazali mu współczucia, on zaś był zbyt dumny, aby zrobić

pierwszy krok do zgody z Barretami. Również w rozmowie z don Alwarem nie wspomniał o swoich osobistych zmartwieniach, choć skarżył się gorzko na troski związane z dowództwem. Przyprowadził ze sobą kapitana „Santa Ysabel”, aby zaświadczył, że nie odmalowuje ich w przesadnie czarnych kolorach. Don Alwar uśmiechnął się do niego wesoło i zawołał:

- Odwagi, przyjacielu! Im prędzej będziemy żeglowali, tym rychlej skończą się nasze kłopoty. Rozwiń więcej żagli, człowieku, i niech twój galeon dowiedzie, że jest równie szybki jak „San Geronimo”.

Admirał wypchnął przed siebie kapitana, który wywiódł obszernie (a don Alwar wiedział już o tym od głównego nawigatora), że „Santa Ysabel” jest bardzo wywrotna z braku ołowianego balastu; do niedawna kompensował go w pewnej mierze ciężar wody i prowiantów przechowywanych w jej ładowni; te jednak obecnie stopniały, nie może więc zaryzykować rozwinięcia pełnych żagli.

- Okręt ma tysiąc defektów - ciągnął. - Jest kapryśny jak rozpieszczone dziecko i oporny jak juczny muł.

Na to admirał zaczął płakać - rzecz, której nigdy nie uważałbym za możliwą u tak śmiałego i zawadiackiego szlachcica i błagać don Alwara, by nie pozwolił flotylli odłączyć się od jego okrętu.

- Nigdy w życiu nie zrobiłem gorszej transakcji - powiedział łamiącym się głosem - niż tego dnia, gdy zamieniłem dawną „Santa Ysabel” na obecną, i muszę najpokorniej przeprosić cię, ekscelencjo, że nie posłuchałem twojej rady, kiedy polecałeś mi zadowolić się tym, co mam. Najbardziej żał mi nieszczęsnych osadników, których sam zwerbowałem; gdyby okręt skapotował którejś ciemnej i wietrznej nocy, a oni utonęli, nie próbowałbym ratować życia, lecz zostałbym na posterunku i poszedł na dno wraz z nimi.

- Osusz łyż, szwagrze - powiedział don Alwar i miej ufność we wszechwidzącym oku Opatrzności boskiej, gdyż Wyspy nie mogą już być daleko. Jeśli twój okręt jest nieco chybotliwy, łatwo temu zaradzić.

Napełnij puste kadzie i beczki morską wodą, a wkrótce będzie wszystko w porządku.

- Niestety, ekscelencjo, kadzi już nie mamy, a beczki ciekną i spaczyły się od tego, że tak długo stoją puste.

- Przykre zaniedbanie! Trzeba je było co dzień polewać wodą, żeby spojenia pozostały szczelne.

- Nie chciałem brudzić ich słoną wodą, a na użycie słodkiej nie mogliśmy sobie pozwolić.

- A to czemu?

- Tylko sto stągwi zostało, kiedyśmy odpływali z Santa Cristina. Dziś, Bóg mi świadkiem, mamy już ledwo dziesięć.

- Dziesięć? Do kroćset czerwonych diabłów! Musisz się mylić... w jaki sposób mogliście zmarnotrawić tyle wody?

Wyruszyliście z Paity z taką samą ilością co my, a wasz statek jest mniejszy od naszego.

Admirał z wielkim wysiłkiem odzyskał panowanie nad sobą.

- Zapominasz, ekscelencjo, że stan „Santa Ysabel” wynosi sto osiemdziesiąt dwie osoby obojga płci, twojego zaś okrętu tylko sto dwadzieścia. Sześćdziesiąt porcji wody więcej przez trzy i pół miesiąca to bardzo dużo.

- Jak to trzy i pół miesiąca? Mielście przecież sposobność napełnić stągwie na nowo na Santa Cristina.

- Te, które były jeszcze dobre, ale ponieważ moich ludzi było więcej, wypili po drodze znacznie więcej niż twoi; a zatem, rozumiesz, opróżniliśmy znacznie więcej kadzi i znacznie większa ich liczba rozeszła się wskutek nieużywania.

- I nie pomyślałeś, żeby kazać bednarzowi je ponaprawiać?

- Było z nami trzech bednarzy, kiedy wyruszyliśmy z Callao; teraz nie mamy żadnego.

- Mylisz się chyba; jeśli nie, to dlaczego nie zameldowano mi o ich śmierci?

- O ile wiem, żyją jeszcze i wykonują swoje rzemiosło. Ty sam wygnałeś ich w Cherrepé pod zarzutem niemoralności.

- Ach, prawda, przypominam sobie. Tak jest. A czy chciałbyś, abym ich był zatrzymał na zgubę dusz? Prawdę mówi przysłowie, że od jednego zgniętego jabłka psuje się cała beczka.

- Ale trzech bednarzy może naprawić tysiąc zepsutych beczek.

- Uwaga ta jest zuchwała i niegodna chrześcijanina. No więc, jeśli nie mogłeś napełnić spaczonych kadzi wodą na Santa Cristina, trzeba je było napełnić balastem.

- Kiedy je już porąbano na opał. Wy macie tylko sto dwadzieścia gąb do nakarmienia; gotowanie zupy dla stu osiemdziesięciu wymaga półtora raza tyle opału.

- O don Lope, don Lope, czemuś mi nie powiedział o tym wcześniej? Byłbym znalazł jakąś radę.

- Meldowałem ci o tym, ekscelencjo, trzy razy, w odstępach dziesięciodniowych; za każdym razem zapewniałeś mnie, że niedługo natrafimy na Wyspy, i kazałeś mi położyć ufność w Bogu. A więc do rzeczy, don Alwarze: czy zechcesz miłościwie użyć mi dwudziestu kadzi wody, żeby zwilżyć gardła moim ludziom?

Ponieważ generał wiedział, że mimo całego marnotrawstwa mamy jeszcze w ładowni czterysta kadzi czy stągwi, już miał „tak” na czubku języka, ale weszła doña Izabela, więc powściągnął się. Przybrawszy godną i poważną minę, odpowiedział:

- Don Lope, nie mogę się na to zgodzić. Zaniedbałeś swoich obowiązków i musisz ponieść konsekwencje.

- Chcesz zatem podpisać na mnie wyrok śmierci?

- Nie mam pojęcia, co przez to rozumiesz, przyjacielu - rzekł don Alwar sięgając po różaniec - ani też zamierzam o to pytać.

- Oby ci Bóg przebaczył i zesłał więcej rozumu, nim będzie za późno! Dostojny generale, żegnam.

Odszedł z ukłonem i spojrzeniem pełnym rezygnacji pomieszanej z wyrzutem.

- Czego ten łajdak chciał? - zapytała doña Izabela.

- Wody, miła moja. Twierdził, że jego zapas jest na wyczerpaniu.

- Odmówiłeś mu wody? Ależ on ma kobiety i małe dzieci na pokładzie.

- Powiada, że zostało mu dziesięć kadzi. Na pewien czas jeszcze im tego starczy.

- Na Najświętszą Pannę! Kobiety i dzieci nie potrafią kierować okrętem, kiedy wszyscy inni poumierają z pragnienia. I czemu karać wszystkich za winę dowódcy?

- Nie mogę uwierzyć admirałowi. Gra komedię i przesolił z tymi swoimi łzami i błaganiami. Wiedząc o twoim słusznym gniewie na niego, usiłuje nas teraz oszukać. Błaga mnie, żebym nie opuszczał jego okrętu, jakby taka myśl choć raz powstała mi w głowie. Może to tylko znaczyć, że postanowił umknąć, kiedy będziemy zblizali się do celu; może wikariusz zwiedził się o tym zamyśle, gdy przestrzegał nas przed lądowaniem na San Bernardo. Okręty pod komendą niesubordynowanych oficerów nieraz już porzucały swoje flotylle. Czyż „San Lesmes” nie opuścił Loaysy podczas wyprawy przez Cieśninę Magellana? Czyż „Santiago” i „Sanctus Spiritus” nie umknęły Saavedrze w samym środku Pacyfiku? I czy Pedro Sarmiento nie próbował skraść mi statku „Todos Santos”, kiedy wracałem z Wysp Salomona? Możesz być pewna, że admirał ma dużo więcej wody, niż mówi, choć może nie dosyć do urzeczywistnienia swych buntowniczych zamiarów. Dobrze zrobiłem, że nie dałem się zmiękczyć jego łzom.

Doña Izabela zastanowiła się chwilę.

- Prowadzisz niebezpieczną grę - powiedziała. - Wydaje mi się, że powinieneś sam udać się na „Santa Ysabel” i sprawdzić, czy sytuacja jest poważna, a jeśli znajdziesz więcej wody, niż mówił, powinieneś aresztować go. Ale strzeż się, abyś nie zraził sobie jego oficerów;

jeśli zostawisz sprawę, jak jest, posądzą cię albo o okrucieństwo, albo o słabość.

- Nie zgadzam się z tobą pod żadnym względem odrzekł z uporem.
- Moja odmowa zmusza admirała do nadążania za flotyllą; jego okręt nie jest takim gruchotem, jak to przedstawia jego kapitan. I on też kłamał, żeby poprzeć pretensje admirała. Skoro tylko jego oficerowie zauważą prawdziwie ciężką sytuację na pokładzie „Santa Ysabel”, przyjdą do mnie, i wtedy spełnię ich prośbę.

Wziął znów różaniec do ręki, aby zapobiec dalszym sporom; do prawdy, łączył w sobie niewinność gołębia z przebiegłością węża.

Kiedy doña Mariana dowiedziała się o tragicznym pożegnaniu jej męża, padła na kolana przed don Alwarem i błagała go, by okazał choć trochę chrześcijańskiego miłosierdzia; gdy jednak przekonała się, że nie zdoła zmiękczyć jego serca, wypowiedziała wiele mściwych słów, których wysłuchał z miną męczennika. Następnie wpadła w przygnębienie i żadne krzepiące słowa doni Izabeli nie zdołały przywrócić jej zwykłego dobrego humoru.

Kiedy następnego dnia w południe przybył do nas nawigator admirała, poprosił Pedra Fernandeza, żeby mu dał napić się wody, ponieważ obywa się już bez niej od dwunastu godzin; prosił go też o przedstawienie sytuacji tam, gdzie najprędzej znajdzie się na nią rada. Pedro Fernandez zastał don Alwara w czarnym nastroju.

- Sztuczka jest zbyt grubymi nićmi szyta, żebyśmy się dali oszukać - rzekł. - Powiedz nawigatorowi, że na przyszłość nie oczekujemy jego przyjazdów na te narady, przez które tracimy tylko czas przeznaczony na żeglowanie; w dzień ma płynąć za naszym porpcem, w nocy za latarnią.

Wkrótce potem doña Mariana popadła w wielką niełaskę, a bracia traktowali ją tak, jakby ich zdradziła. Sądząc z aluzji rzuconej przez don Diega, od pewnego czasu miała jakoby porozumiewać się potajemnie z mężem za pośrednictwem jego nawigatora i zamierzała

uciec do niego w szalupie; teraz jednak spisek został wykryty. To pewne, że jednego z naszych chłopców okrętowych zbito do nieprzytomności, a po ocuceniu znowu, za jakąś nie podaną do publicznej wiadomości winę, która według pogłosek miała być sodomia; myślę, że raczej był on tym współnikiem, który miał skraść szalupę dla doni Mariany.

Siódmego września powiał rzeński wiatr z południowego wschodu, ale „San Geronimo” posuwał się powoli, mając rozwinięty jedynie przedni topsel, nawet bez kliwra, gdyż główny nawigator bał się zbyt szybko wyprzedzić „Santa Ysabel” i skusić tym jej kapitana do rozwinięcia więcej żagli, niż to było dla niej bezpieczne. Nasz kurs był na zachód i gdy wieczór zapadł, horyzont przed nami zaciemniła wzdęta czarna chmura o tak dziwnym wyglądzie, że generał wysłał naprzód galeotę i fregatę, żeby ją lepiej zbadały. Statki miały trzymać się blisko siebie i w razie zobaczenia łądu, raf czy czegokolwiek innego zapalić dwa światła jedno nad drugim; potwierdzeniem odbioru sygnału miały być dwa światła umieszczone obok siebie. Chmura rosła i rosła, przesłaniając gwiazdy zachodniego nieba, my zaś zaczęliśmy wciągać nosem powietrze i pytać jeden drugiego: „nie czujesz siarki? Czyżbyśmy przybyli do bram piekła?” W nocy fregata została w tyle, my zaś płynęliśmy dalej ostrożnie o jakieś dwa kable za galeotę, zrzucając od czasu do czasu sondę, ale ani razu nie natrafiając na dno. Główny nawigator doszedł do wniosku, że chmura musi być dymem z jakiegoś wulkanu i zawoławszy na galeotę, kazał jej zmienić kurs na południowy zachód.

O dziesiątej przez chwilę widzieliśmy „Santa Ysabel” płynącą niedaleko za nami, a o jedenastej po lewej burcie pojawiła się gęsta mgła i zasłoniła cały południowy widnokrąg. Żołnierze przysięgali, że pachnie mgłą lądową, lecz marynarze pozostali nie przekonani, aż nagle rześista ulewa przerwała zasłonę i ukazał się wyraźnie ląd, odległy nie więcej

niż o milę. Okrzyk „Łąd!” rozległ się jednocześnie z bocianiego gniazda i z pokładu i tłum ludzi wybiegł, aby go zobaczyć. Na galeocie ściągnięto żagle i wobec niemożności zarzucenia kotwicy statek stanął ze sterem odwróconym od wiatru, żeby nie dać się znieść na brzeg. Wymieniliśmy sygnały świetlne z nim i z fregatą, która zatrzymała się pół mili w prawo; jednakże od „Santa Ysabel” nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Zdziwiło nas to, bo cały czas płynęliśmy wolno i powinniśmy byli ją mieć dobrze w polu widzenia.

Daleki huk fali tłukącej o nieznaną brzeg natchnął nas takim strachem, że się rozbijemy, iż prawie nikt nie odważył się zejść pod pokład, a wokół barkasa zgromadził się gęsty tłum osadników. Główny nawigator ślęczał pilnie nad swym dziennikiem okrętowym w Sali Map, gdy około północy doña Izabela i don Luis przyszli do niego po jakieś pokrzepiające wiadomości. Ja wtedy spałem, ale nie mogli być tam długo, nim obudziłem się przypadkiem i zobaczyłem bardzo wyraźnie twarz doni Izabeli w świetle latarni zwisającej nad jej głową. Stała pochylona nad mapą, na której Pedro Fernandez kreślił nasze położenie; ale oczy jej utkwione były w jego kręconych włosach i mocnym karku, nie w pergaminie. Lśniło w nich tak jawnie łapczywe pożądanie, iż prędko zamknąłem oczy, aby nie przyłapała mnie na obserwowaniu jej. Uspokajałem się w duchu: „Z tego nic nie może być. On jest daleko niższy od niej stanem, a nawet gdyby była na tyle szalona, aby wyznać swoją namiętność, on jest wzorem pobożności, lojalny aż do przesady i za bardzo dba o swoje małżeństwo, żeby spojrzeć na jakąkolwiek kobietę poza swoją żoną.” Chociaż próbowałem zapomnieć o całej sprawie, wracała mi ciągle na myśl i napełniała nieopisanym przerażeniem. Wreszcie usnąłem znowu, ale prześladował mnie koszmar: śniło mi się, że okręt został rzucony na rafę i że wszędzie dokoła pada deszcz rozżarzonej lawy. Stałem przy grotmaszcie, w samej koszuli, rozpaczliwymi gestami ostrzegając bosmana i chorążego, że doña Izabela jest naprawdę bardziej niebezpieczna i od wulkanu, i od skał;

oni jednak nie chcieli słuchać, tylko z zakłopotanymi minami pokazywali w górę, gdzie don Alwar na wantach szczebiał jak małpa, to zegnając się pobożnie, to znów ciskając w nas orzechami kokosowymi.

Bóg zesłał nareszcie świt i obudziłem się na dźwięk wielu śpiewających głosów: wszyscy na statku wtórowali paziom witającym poranek. Wybiegłem na pokład i oto mniej niż o milę na południowy wschód wznosił się przed nami okrągły, lesisty przylądek, bardzo piękny w czerwonym świetle, a za nim długi pas skalistego wybrzeża. Tuż przed nami stała galeota, tuż po prawej fregata; ale „Santa Ysabel” nigdzie widać nie było.

Gdy rozwidniło się na dobre, ujrzeliśmy w odległości jakichś ośmiu mil wystającą z morza górę o tak doskonałym kształcie głowy cukru, jakby ją kto nożem wykroił. Wierzchołek jej wieńczył lekki obłok dymu: otóż i nasz wulkan. Generał wysłał fregatę, aby go opłynęła, na wypadek gdyby „Santa Ysabel” stała unieruchomiona brakiem wiatru gdzieś po tamtej stronie. Równocześnie galeota ruszyła ku przylądkowi, by zobaczyć, czy za nim nie zarzuciła kotwicy.

Podczas gdy czekaliśmy na ich powrót, przygotowano barkas do spuszczenia, naładowano działa okrętowe, sprzątnięto pokłady i wojsko odbyło defiladę pod bronią. Don Alwar zarządził ogólną spowiedź i sam dla przykładu pierwszy wszedł do małego namiotu urządzonego jako konfesjonał, gdzie spędził z wikariuszem pełnych pięć minut. Większość widzów dziwiła się, że człowiek tak świątobliwy może mieć tyle grzechów do wyznania; nieliczni, którzy znali go lepiej, uważali, że mógł być tam zabawić o wiele dłużej jeszcze. Pułkownik wszedł następny i prawie zaraz wyszedł; grzechy nigdy nie ciążyły mu zbytnio na sumieniu, a poza tym nie przebaczył był jeszcze księdzu Juanowi. Po nim przyszła kolej na głównego nawigatora i wyższych oficerów według starszeństwa rang. Kapelan tymczasem spowiadał załogę i osadników w drugim namiocie i w przeciągu dwóch godzin wszyscy

pojednali się z Bogiem, oprócz siedmiu mężczyzn, którzy oparli się stanowczo mimo namów i gróźb wikariusza. Niektórzy z nich popełnili, przypuszczam, grzechy, za które właściwą pokutą było oddać się w ręce sprawiedliwości i umrzeć powieszonym na rei, odkładali więc spowiedź do chwili, kiedy zbliży się naturalna śmierć; inni byli złymi chrześcijanami i kpili sobie z wszelkich praktyk religijnych. Wśród tych ostatnich był Matia, a kiedy wyrzuciałem mu, że daje zły przykład młodszym żołnierzom, zadał mi zagadkę:

- Don Andresie, co to za czarna bestia, która nigdy nie rodzi potomstwa podobnego do siebie, raz na tydzień stroi miny z wierzchołka drzewa i śpiewa najgłośniejszy przy śmierci innych bestii tego samego gatunku?

Kiedy nie potrafiłem zgadnąć odpowiedzi, podał mi ją sam:

- Ksiądz. Bo żaden z licznych bękartów, których płodzi, nie może wejść do stanu duchownego; co sobota podczas nieszpórów wstępuje na drewnianą ambonę, żeby wygłosić kazanie, i robi najwięcej krzyku na pogrzebie drugiego członka tej czarno odzianej zgrai.

- Kiepski żart - powiedziałem surowo. - Wstyd mi słuchać takich bezeceństw z twoich ust.

- Nie, do diabła, to nie kiepski żart, tylko sprawa całkiem serio - odparł Matia - i dlaczegoż człowiekiem będąc miałbym spowiadać się bestii?

- Bóg w odpowiednim czasie nauczy cię dlaczego - rzekłem odwracając się od niego z gniewem. - Dziś powiedziałeś coś, co On nieprędko ci wybaczy.

Mimo to jednak przywiązany byłem do Matu Pineta, w jego dumie było więcej pokory, a w jego szorstkim obejściu - łagodności, niżby sam zechciał kiedykolwiek przyznać. Swoje chrześcijańskie odruchy tłumaczył nakazami żołnierskiego honoru, a choć prawą ręką rabował, lewą rozdawał hojnie. Modliłem się, by kiedyś przyjął prawdziwą wiarę, nie za późno, aby otrzymać rozgrzeszenie.

Galeota wróciła i zameldowała, że wzdłuż kilku mil wybrzeża nie widać nigdzie „Santa Ysabel”. Fregata nie powróciła jeszcze, ale niewiele mieliśmy nadziei, że przywiezie lepsze wiadomości. Nagłe zniknięcie naszego bratniego okrętu wzbudziło ogólne zaniepokojenie i przez pewien czas było jedynym tematem rozmów. Wydawało się nieprawdopodobne, aby skapotował; kiedy fregata, w godzinę po nas, widziała go po raz ostatni, wiatr już się uciszał; nie mógł też rozbić się o skałę i zatonać, gdyż w takim razie bylibyśmy widzieli jego sygnały świetlne i słyszeli alarmowe strzały armatnie. Z tych samych powodów trudno było uwierzyć, aby wiatr rzucił nim o brzeg; zresztą nie znaleźliśmy żadnych śladów rozbicia, żadnej deski nawet ani czapki unoszącej się na falach. Logicznie można było wysnuć tylko jeden wniosek: gdy tylko ukazał się łódź, galeon umknął niepostrzeżenie i obrał sobie jakiś własny kurs...

Z tego wniosku wywodziły się trzy różne rozumowania. Barretowie twierdzili, że admirał już od wielu tygodni nosił się z zamiarem opuszczenia nas, choć pragnął przedtem odzyskać żonę, a kiedy to się nie udało, odpłynął sam; zgadzali się z don Alwarem, że utyskiwania na brak wody i na niezdatność jego okrętu były zwykłym łgarstwem. Stronnictwo pułkownika utrzymywało przeciwnie, że był lojalnym oficerem, którego doprowadziło do rozpaczliwego okrucieństwa don Alwara, i że nie oczekując lepszego traktowania na lądzie niż na morzu, poszukał ratunku w wolności. Majtkowie, którzy wiedzieli o warunkach istniejących na „Santa Ysabel” od załogi jej szalupy, uważali, że gdy generał odrzucił ostatnią prośbę don Lopego, ten pożegnał go na dobre, przeczuwając, iż kiedy wróci na swój okręt, załoga wypowie mu posłuszeństwo.

- Pewne jest - mówił Jaume - że wody już prawie nie mieli i że grożono już jego życiu. Zapisz go w swoim rejestrze jako umarłego, don Andresie! Jego mordercy, bojąc się następstw swojej zbrodni, porzucili nas i wyruszyli szukać szczęścia gdzie indziej.

Doña Mariana zdawała się podzielać pogląd Jaumego. Płakała cały ten dzień bez przestanku i przez parę następnych dni, mówiąc, że to ona wszystkiemu winna. Chciała przez to powiedzieć, jak sądzę, że gdyby nie odgadnięto jej projektu ucieczki, don Alwar nigdy by nie potraktował admirała tak bezwzględnie, a zatem oficerowie „Santa Ysabel” nie mieliby okazji do buntu. Don Alwar także uronił parę łez; on jednak przypisywał stratę okrętu kłótwie rzuconej nań przez kanonika w Cherrepé i usiłował się usprawiedliwić przed głosem sumienia, rozpowiadając uparcie, że to sam admirał narzucił mu wymianę statków. Snuł domysły, że „Santa Ysabel” wpadła na rafę w tej samej chwili, gdy oślepiła nas owa gwałtowna ulewa i że zatoneła bez śladu; widoczna w tym była, mówił, woła Boga, nam zaś nie przystoi kwestionować Jego sprawiedliwych wyroków.

Jedyną pozostałą opinią wartą zanotowania był pogląd głównego nawigatora.

- Okręt przepadł - powiedział ze smutkiem - i nikt z nas nie spodziewa się ujrzeć go więcej, nawet jeżeli pływa jeszcze po morzu. Jak i dlaczego nas porzucił, nad tym dyskutować nie warto, ale jego strata jest niepowetowana. Wiózł na swoim pokładzie gromadę zacnych kolonistów, rolników zebranych z jednej okolicy, którzy mogli byli doprowadzić nasze przedsięwzięcie do szczęśliwego wyniku. Osadnicy na „San Geronimo”, poza jednym czy dwoma, nie są ulepieni z dobrej gliny; są to drobni handlarze, dawni śludzy, górnicy, karczmarze, różni piniacze, łotrzykowie i zabijaki. Nie można zaludnić Nowej Jeruzalem ludźmi ich pokroju.

- Nowej Jeruzalem, nie - rzekłem, starając się go pocieszyć - ale może Nową Romę. Czyż Rzym nie został założony przez rozbójników i nie wzbogacił się na grabieży? A jednak jego późniejsze dzieje były daleko szlachetniejsze od dziejów Jerozolimy.

- Nie mędrkuj, don Andresie - powiedział surowo. Gniew boży rozpełtał się nad nami, i słusznie. Co dobrego może wyniknąć z naszego

przedsięwzięcia teraz, gdy On nam zabrał najlepszą część naszych sił?

Nie chciałem jeszcze tracić ze wszystkim nadziei. „Santa Ysabel” mogła się udać na poszukiwanie wody bez zamiaru dezercji i, być może, stoi teraz bezpiecznie na kotwicy w jakiejś zatoce podobnej do tej, którą znaleźliśmy na Santa Cristina: niewidocznej z morza, póki nie podpłynie się blisko do brzegu. Wiedziałem jednak równie dobrze, a może lepiej niż kto inny, ile stracimy, jeżeli nie powróci. Wszystkie nasze łopaty i motyki znajdowały się w jej ładowni, a także większość toporów, pił i dłut, siarka do odkażania naszych statków na wypadek zarazy oraz - ponieważ doña Izabela żywiła nieprzemierzony lęk przed pożarem w składach - wszystkie nasze beczki z prochem z wyjątkiem czterech.

Ale dość o tym na razie. Zbliżały się już czółna i oczy wszystkich zwróciły się ku nim; było ich z pięćdziesiąt, a na czele płynęła bardzo duża łódź z krótkim masztem na dziobie i łańciskim żaglem z czerwonej plecionki. Prócz czterech czy pięciu wszystkie tym się różniły od czółen, jakie widzieliśmy na Markizach, że zbudowane były z desek, a nie drążone z pni, i że nie miały wysięgników. Części przednie i tylne miały zgrabnie wygięte, bądź zakończone u góry w kształcie dzioba, bądź też zwieńczone czymś, co wyglądało jak hełm z pióropuszem, i ozdobione długimi, czerwonymi wstęgami. W czólnie z żaglem siedziało dwudziestu ludzi, w pozostałych nie więcej niż po sześciu, a niekiedy tylko po jednym; wiosła były długie i zakończone w szpic. Co do krajowców...

Generał przywołał Myna.

- Myn - rzekł uroczyście - jak pragniesz zbawienia, powiedz mi szczerze, co sądzisz o tych ludziach? Czy to są mieszkańcy Wysp Salomona?

Cisza zaległa nad burtą, podczas gdy czekaliśmy w napięciu na odpowiedź naszej czarnej wyroczni.

- Na Najświętszą Dziewicę, panie mój - zawołał Murzyn błyskając zębami - to oni, oni! To te pogany, co jedzą ludzi. Patrzcie, panowie! Patrzcie, mają czarne ciała i kędzierzawe głowy; strzeżcie się ich strzał! Myn aż tu czuje truciznę, którą są posmarowane. Dopłynęliśmy nareszcie do właściwej bramy, panie mój!

ROZDZIAŁ XIII

ZATOKA ŁASKAWA

Ludzie na czółnach byli przeważnie niscy i czarnoskórzy, o szerokich nosach, cofniętych podbródkach i głęboko osadzonych oczach, które nadawały im ponury wygląd, choć lud to był na ogół pogodny; kilku jednak było jaśniejszych i wzrostu średniego, o dużych nosach, zaokrąglonych jak u Żydów. Mieli ze sobą łuki większe od nich samych o stopę albo i dwie, siekiery z gładzonego kamienia, zakrzywione maczugi, oszczepy i długie włócznie ponacinane w karby. Nie byli tak zupełnie nadzy jak wyspiarze z Markizów: szeroki liść okrywający wstydlive części umocowany był sznurem do łędźwi każdego mężczyzny, starszyzna zaś miała brzuchy owinięte ciasno długimi białymi pasami tkaniny. Wszyscy byli gęsto wytatuowani w geometryczne desenie podobne do tych, które zdobią brzegi sewilskich półmisków, a niektórzy obwiedli sobie piersi i ramiona pasami blizn przypominających duże znaki po ospie. Ponieważ wzory te nie były dobrze widoczne na ciemnej skórze, stosowali dalsze upiększenia, jak bielienie kędzierzawych czupryn albo golenie i farbowanie jednej tylko strony głowy, a wioślarze głównego czółna mieli małe warkoczyki jak u toreadorów, związane czerwonymi wstążeczkami. Ciała ich były również pomalowane w pasy czerwoną farbą, na szyjach zaś wisiały im sznury małych paciorków z zębów psich, ludzkich i czegoś, co, jak się potem dowiedziałem, było zębami olbrzymiego nietoperza. Nosili też naramienniki pracowicie dłubane z wielkich konch oraz półksiężycy z muszli perłowej,

umocowane na czole lub pod brodą. Ale co nam się wydało najdziwniejsze ze wszystkiego, to głęboka dziura przebita w czubku każdego nosa, w którą, niby jego przedłużenie, wetknięte było pióro lub podłużna, spiralnie skręcona muszelka. Nozdrza mieli również poprzekłuwane, by móc nosić tam kwiaty, wonne liście lub lśniące haczyki na ryby z rzeźbionej macicy perłowej. Kobiet nie było widać ani w czólnach, ani w wodzie.

Machali do nas i krzyczeli, ale ponieważ ich egzotyczny wygląd nie bardzo się naszym ludziom podobał, odwzajemnili powitanie bez zapału, mocno ściskając broń w garści. Don Alwar wydał wesoly okrzyk.

- Tak, masz rację, Myn - powiedział. - Bez wątpienia są to nasi gospodarze sprzed wielu lat, a sądząc po plecionych torbach, jakie mają na barkach, musi to być część wyspy San Cristobal; co więcej, szerokość geograficzna zgadza się dokładnie. Zaraz do nich przemówię.

Zawołał na czarnuchów wiosłujących gwarnie dokoła statku i uciśnięciem dłoni wykrzyknął:

- *Arra Caiboco Español. Arra Ago Itapulu. Teo Narriu!*

Teo Varia! - co znaczyło: Jestem hiszpańskim wodzem, przybyłem tu przez wiele mil oceanu. Wy i ja jesteśmy braćmi. Niechaj nie będzie pomiędzy nami wojny ani zwady.

Żaden z nich nie zdawał się pojmować ani słowa, a gdy i oni coś powiedzieli, don Alwar też nic nie zrozumiał.

- Widocznie ludzie w tej okolicy - powiedział nieco podrażniony - mówią innym dialektem niż ten, którego nauczyłem się w zatoce Estrella. Ale to nie szkodzi. Niedługo przyswoją sobie trochę łamanej hiszpańszczyzny... No, moi poczciwi zbójce, niech tam dwóch czy trzech z was wdrapie się na pokład, a nagrodzę ich wspaniałymi darami!

Chudy, stary krajowiec stał na dziobie owej dużej łodzi. Miał na sobie mniej ozdób niż jego towarzysze, ale był najwyraźniej ich wodzem.

Wskazując na generała z grymasem obrzydzenia i marszcząc nos, jakby czuł zapach trupa, podniósł gładzoną maczugę i potrząsnął nią groźnie. Jego opinię o nas podano sobie z czółna do czółna i niebawem wszyscy pochwycili łuki, wzniesli głośny okrzyk bojowy i wypuścili serię długich, nie upierzonych strzał, które ze świstem obity się o bok okrętu albo utkwiły w żaglach. Don Alwar stał przy poręczy na rufie gardząc wszelką osłoną i rozpostarł szeroko ramiona gestem przyjaźni. Gdyby dzicy mierzyli w niego, naszpikowaliby go strzałami niczym świętego Sebastiana, gdyż z odległości trzydziestu kroków rzadko chybiają celu; gniew ich jednak skierowany był przeciwko statkowi, nie przeciw naszym ludziom.

- Ognia! - zawołał pułkownik nie czekając na rozkaz don Alwara i wszystkie hakownice wypaliły z wielkim hukiem. Naczelnik i ze dwudziestu ludzi padło martwych, wielu innych odniosło rany, a pozostali uciekli, choć na tyle niespieszeni, że wypuścili na pożegnanie parę strzał. W pośpiechu ucieczki kilka czółen zderzyło się ze sobą; do jednego nabrało się wody, ale połowa załogi zaczęła natychmiast wyczerpywać ją łupinami orzechów kokosowych, podczas gdy druga połowa wiosłowała zawzięcie, w nadziei, że dopłynie do brzegu, zanim czółno zatonie.

- Jeśli się pośpieszymy - rzekł pułkownik - możemy dogonić tego okulałego szaraka.

Wysłał w pogoń szalupę z czterema arkabuźnikami, którzy pierwszym strzałem zabili jednego z wiosłarzy. Jego towarzysze skoczyli w morze i dano im bezpiecznie dopłynąć do brzegu; wtedy czółno zatoneło, ale nasi ludzie zdążyli przedtem wyjąć z niego broń krajowców, by generał mógł ją sobie obejrzeć, jak również torbę pełną sucharów. Don Alwar powąchał je i orzekł, że są zrobione z pieczonych bulw tropikalnych zmieszanych z migdałami i kokosami, a następnie ususzonych na słońcu; jadł takie przed laty i był to jeszcze jeden dowód - jeśli go było trzeba - żeśmy dotarli na poszukiwane Wyspy.

Ustaliwszy ten fakt ku jego zadowoleniu, kręciliśmy się przy brzegach cały ten dzień, szukając przystani. Fregata dołączyła już do nas, lecz nie przywiozła żadnych wieści o „Santa Ysabel”, co pogłębiło jeszcze nasze przygnębienie. Kapitan Leyva zameldował, że zbocza wulkanu, całkiem bezdrzewne i martwe, wznoszą się prosto z morza i że na całych trzech milach jego obwodu nie ma żadnej przystani, żadnego miejsca, gdzie można by zarzucić kotwicę czy wylądować. Wewnątrz góry słyszał grzmoty i wybuchy i widział iskry wystrzelające z krateru na jej szczycie: widok zdolny przerazić najodważniejsze serce. Po stronie zachodniej strumień stopionej lawy spływał z dwu wielkich szczelin i z sykiem wlewał się w fale; od południowego-wschodu wznosił się mniejszy krater, ale ten wyglądał na wygasły.

Przeżeglowawszy kilka godzin wzdłuż wybrzeża, które wszędzie było skaliste i strome, czasem tylko obrzeżone wąskim paseczkiem plaży, schroniliśmy się o zmierzchu pod niskimi skałami nadbrzeżnymi u wejścia do jakiejś zatoczki. Wybór miejsca okazał się zły: kiedy w nocy nastąpił przypływ, „San Geronimo” zaczął wlec za sobą kotwice i dryfować w stronę brzegu. Niebo było czarne jak smoła z wyjątkiem dalekiej, czerwonej łuny wulkanu, która sprawiała, że czuliśmy się jeszcze bardziej zagrożeni. Złękli się nawet najbardziej doświadczeni majtkowie; wytrąceni z równowagi wydarzeniami dnia, krzyczeli, modlili się i klęli na przemian. Wachtę miał bosman-mat; ufny, że potrafi uporać się z niebezpieczeństwem, zrazu nie wzywał głównego nawigatora; za to przybiegł w podskokach don Alwar, by pomóc przy wciągnięciu kotwic. Sam ostrym głosem zaintonował pieśń przy kabestanie:

Boże, pokarz Turków, Maurów,
Zniszcz ich dzieła swoją wiarą.
Stój więc przy nas, Boże nasz,
My trzymamy Twoją straż,
Czcimy Twego Syna znak...

- Na miłość boską, ekscelencjo - krzyknął Damian idź, obudź żołnierzy i każ im pchać te szpilszpaki, podczas gdy my wciągniemy żagle i oddalimy statek od skał!

Ale on zatkał uszy na prośby Damiana i dalej natężał swoje wątle siły przy kołowrocie.

... Pogan niechaj trafi szlag!
Święty Piotr dostojnie stąpa,
Święty Paweł jego kompan;
Więc za nami wedle praw
Niech się wstawią - Ty nas zbaw...

Juarez, który wyszedł był na pokład, żeby zbadać przyczynę tupani-ny i krzyków, pobiegł z powrotem do schodków prowadzących do pomieszczeń mieszkalnych i wrzasnął:

- Wychodzić, panowie z kompanii kapitana Barreto, wychodzić na pokład! Jeżeli chcecie sławy, macie szybką okazję, żeby na nią zarobić!

Wysypali się z bronią w rękę, jeden przez drugiego.

- Gdzie nieprzyjaciel, Juarezie? Ciemno tu jak u czarnego psa w brzuchu.

- Wasz nieprzyjaciel to morze! Łapcie za kołowrót, rozpustnicy, albo będziecie martwi jak zarżnięte koguty i nigdy nie zapiejecie więcej! Znosi nas żywo na skały. Ej, ty, Sebastianie, i ty, Federico, ruszcie się!

- Phi, aleś nas ocyganił! Niech sobie ci zawszeni majtkowie robią swoje, a my swoje.

- Parszywe, bezwstydnne psy! Gdybym mógł, przybiłbym was za uszy do masztów!

Ale oni, znów jeden przez drugiego, zbiegli z powrotem na dół.

Do tej pory wszyscy majtkowie zebrali się już na pokładzie, ale roboty było dużo, a czasu mało. Znalazłem się przy kołowrocie w towarzystwie Juareza, - czterech majtków, dwóch chłopców okrętowych, trzech paziów, jednego z kupców i jego Murzyna, kapelana,

szafarza wody Jaumego, stare-go pielęgniarza chorych, Juana Léala i służącej doni Izabeli, Panczy; wszyscy pchali niby Syzyf dźwigający swój kamień. Pancza wrzeszczała o pomoc do Świętej Panienki z Gwadelupy, z łaski której w ostatniej chwili wyciągnęliśmy kotwicę.

Damian tymczasem pilnie rozwijał żagle i jego komendy rozlegały się głośno na tle ogólnego gwaru:

- O, dzielne serca, przygotować przednie topsle do stawiania, przygotować główne topsle, wciągnąć topsle! Fok w dół, stawiać przednie topsle, stawiać główne topsle! Wciągnąć i postawić grot, umocować szoty!

Nikt się teraz nie lenił; majtkowie dobrze wiedzieli, że ich życie zależy od sprawności ich rąk. Żagle postawiono w mig, lecz kiedy sternik wachtowy na rozkaz głównego nawigatora wykręcił okrętem, ten przechylił się mocno i nabrał na pokład sporo wody; myślałem już, że skapotuje, ale wyprostował się dzielnie, oddalił od skał i z trudem prując fale wypłynął na otwarte morze.

Wyżsi oficerowie, choć świadomi grożącego niebezpieczeństwa, nie ruszyli się ze swoich kwater. Chętniej już chyba przejęliby lejce od furmana, niż spodlili się marynarską robotą. Naszą, Hiszpanów, siłą i słabością zarazem jest, że znamy swoje obowiązki i wypełniamy je dokładnie zgodnie ze stanem, do jakiego Bóg każdego z nas powołał. Pewnego razu nasz zmarły monarcha Filip II usnął siedząc przy kominu; brzeg jego płaszczka zatlił się i wkrótce stanął w płomieniach; Jednakże żaden z obecnych dworzan nie piastował dość wysokiej rangi, by mógł ściągnąć płaszcz z królewskich ramion, zdusić płomień lub choćby zbudzić śpiącego; traf to był tylko, że akurat przechodził jakiś książę krwi i uratował go od losu należnego heretykom. Formalistyka ta właśnie sprawia, że nasi żołnierze są najwytrwalsi na świecie i niezwykieni w boju. Heretycy Anglicy natomiast, choć armia ich jest zbieraniną, górują nad nami na morzu, gdyż ten sam zespół ludzi, nie bacząc na żadne honorowe konwencje, jest jednakowo gotów wywijać kordem czy nabić działa jak postawić lub zrefować żagiel.

Nazajutrz rano padało i słychać było dalekie grzmoty. Don Alwar udał się na pokład „San Felipe” i sam powiódł go na poszukiwanie przystani, każąc okrętowi flagowemu płynąć za sobą w bezpiecznej odległości. Zignorował pewien wyłom w skałach trochę na południowy zachód od wulkanu, lecz gdy pod wieczór wrócił w rozpaczy, nic nie znalazłszy, główny nawigator zameldował, że posłał tam barkas na zwiady i że nie potrzeba szukać dalej. Było to bowiem wejście do piaszczystej zatoki, niewielkiej, lecz wystarczającej na nasze potrzeby, i osłoniętej od panującego tu wiatru. Wpłynęliśmy więc i zarzucili kotwice na głębokości dwunastu sążni.

W głębi zatoki wśród drzew widać było strzechy o łagodnym spadku i szerokich okopach oraz czółna powyciągane na piaszczyste wybrzeże. Don Alwarowi podobało się to miejsce jako dobrze zaopatrzone w wodę, lecz gdy na jego polecenie pułkownik wysłał sierżanta Dimasa z dziesięcioma arkabuźnikami na brzeg, by zajęli pozycje, z których mieli osłaniać nasze lądowanie, z chat wysypali się krajowcy niosąc w rękach oręż, nie dary. Z pobliskiej kępy trzciny strzały leciały tak gęsto, iż sierżant, który miał instrukcję nie atakować, choćby go nie wiedzieć jak prowokowano, wycofał swoich ludzi do stojącej na plaży budy na czółna i wybił w jej ścianach dziury, by w razie czego móc się bronić. Szczęściem nikt nie był ranny i don Alwar przekonany, że dzicy zbierają się do natarcia, kazał kapitanowi artylerii wystrzelić dwa razy w sam środek gromady. Huk dział i trzask śrutu po trzcinach załatwił sprawę: krajowcy uciekli przerażeni, rzucając broń w popłochu. Don Alwar obawiał się jednak, że mogą niebawem odzyskać odwagę, toteż krzyknął na barkas, który już był w drodze do statku, by wracał na ląd po żołnierzy. Było jeszcze dość widno, aby wyprowadzić flotyllę bezpiecznie na morze, i wkrótce wszystkie trzy okręty płynęły znów wolno wzdłuż wybrzeża w odległości dwóch mil od niego. Gdy następnego ranka, całą noc spędziwszy w drodze, zbliżyliśmy się do brzegu, mieliśmy wszelkie powody dziękować Bogu za coś, co przechodziło nasze

nadzieje: dogodną zatokę osłoniętą od wszystkich wiatrów, w żyznej i kwitnącej okolicy.

Generał nazwał tę zatoką Graciosa, i zaprawdę wydała nam się bardzo łaskawa; rozciąga się na północno-północny-wschód i południowo-południowy-zachód, przy zachodnim brzegu wyspy, na południe od wulkanu. W poprzek wejścia do zatoki leży uprawna wysepka długości około czterech mil, mająca po jednej stronie wąski kanał pełen trzciny i skal, po drugiej zaś wolne przejście szerokie na pół mili; obwód całej zatoki wynosi nie mniej niż czterdzieści mil.

Wojsko stało całą noc pod bronią, z zapalonymi lontami, z powodu hałasu bębnow, bębenków i innej dzikiej muzyki, która zdawała się podniecać krajowców do szalu bojowego, choć teraz sędzę, że po prostu wzywali ducha do odpędzenia nas od ich wybrzeży.

Rankiem plaża zaroiła się od gapiów, gdyż wiadomość o naszym przybyciu obiegła brzegi zatoki, wzdłuż których zbudowanych było tuzin lub więcej wiosek; co śmielsi zaś mężczyźni odważyli się wypłynąć w czółnach, by przyrzeć się okrętom. Byli to ludzie tej samej rasy co ci, których widzieliśmy poprzedniego dnia, lecz bardziej pokojowo usposobieni. Wielu miało czerwone kwiaty we włosach i w nozdrzach; zdawali się cieszyć z naszego przybycia. Daliśmy im znać na migi, by zostawili broń w czółnach i weszli na pokład po dary, ale oni wzdragali się, szczerząc zęby w uśmiechu. Wreszcie jakiś dostojny starzec o siwych włosach i brunatnej skórze, mający na głowie żółte, czerwone i niebieskie pióra, a na ramionach liczne obręcze z konchy lub z dziczych kłów, zbliżył się do nas od strony najbliższej wioski. Tłum na wybrzeżu ustąpił mu z drogi i wiwatował, gdy starzec wszedł do łódki wyłożonej błyszczącymi muszlami perłowymi, zasiadł w jej dziobie i kazał wiosłarzom przewieźć się do nas. Bez wahania wspiął się po jakubce w asyście dwóch innych krajowców i choć w jednej ręce trzymał łuk, a w drugiej pęk strzał, tyle miał w sobie godności, że nikomu

na myśl nie przyszło go rozbrajać. Stał na pokładzie i rozejrzał się dokoła ciekawie, lecz z powagą, po czym zrobił znak, jakby się pytał, kto jest naszym wodzem, używając przy tym słowa *Taurique*. Jeden z żołnierzy zaprowadził go na pokład szańcowy, a gdy wszedł po drabinie, cóż za olśniewająca postać czekała tam, by go powitać!

Zdumienie dzikiego nie było chyba większe od mojego. Mrugałem powiekami i przecierałem oczy, ale tak, to był generał, nie kto inny. Przekonany, że Pan Bóg i święty Dominik przywiedli go wreszcie do kresu jego podróży i jego ślubu, wyłonił się z franciszkańskiego habitu niby motyl z poczwarki i paradował teraz w wierzchniej szacie z wytłaczanego aksamitu, lekkiej, pięknie wypranej i wykrochmalonej kryzie, jasnoniebieskim atłasowym ubraniu (kubrak wypchany wieloma funtami watówki, bufiaste, poprzecinane spodnie przymocowane pod kolanami do pończoch czerwonymi podwiązkami ze złotą frędzlą), w czerwonym aksamitnym kapeluszu z białym strusim piórem i w trzewiakach z kordobańskiej skóry z wielkimi, błyszczącymi sprzączkami. Nigdy nie widziałem równie oczywistego dowodu prawdziwości przysłowia, że szata zdobi człowieka: oto zniknął zakonny braciszek, a na jego miejscu stał dumny markiz z Neiry, królewski wielkorządca Wysp Salomona, w trakcie udzielania swojej pierwszej audiencji; jedna stopa wysunięta do przodu, prawica wsparta wytwornym gestem na rękoięści galowej szpady.

Wódz podszedł do niego miarowym krokiem, położył broń na ziemi na znak pokojowych zamiarów i choć jawnie zdumiony świetnością stroju *Taurique'a*, powitał go jak równego sobie. Don Alwar wzajem ścisnął go za rękę, objął ramionami i fetował, jak umiał.

- Jak się nazywasz? - spytał go. - Kto jesteś? Wskazując na swoje serce, wódz odparł:

- Malope.

Świeżo upieczony markiz grzecznie powtórzył to imię i przedstawił się jako don Alvar de Mendaña.

- Mendaña! - powtórzył wódz jak echo. Z bardzo miłym uśmiechem pokazał na generała i powiedział: - *Taurique Malope* - po czym na siebie: - *Taurique Mendaña*.

- Nie - rzekł don Alwar - odwrotnie: to ty jesteś Malope, a ja Mendaña.

Ale tamten nie chciał się zgodzić; w jego pojęciu zamienili się imionami na znak przyjaźni i odtąd byli z sobą związani węzłem dobrej woli, mocniejszym nawet od małżeńskiego. Mówił cicho, powoli i z rozmysłem, bez gestykulacji, jaką posługujemy się my, Hiszpanie, choć podkreślał znakami treść swoich słów. Aby spytać, na przykład, czy jesteśmy głodni, wciągnął brzuch, przybrał żalną minę, podniósł brwi, a potem spojrzął na nas badawczo. Chcąc dowiedzieć się, jak długo byliśmy na morzu, wskazał na niebo, nakreślił w powietrzu sierp księżycy, podniósł dłoń i pytająco wysunął najpierw jeden, potem dwa, a potem trzy palce, następnie zaś jakby przerzucał sobie miesiące przez ramię.

Otrzymał w darze czerwoną koszulę, starą parę zielonych aksamitnych szarawarów, pas skórzany z mosiężną klamrą i lusterko, by mógł się podziwiać, kiedy ubrałem go w te wspaniałości; przy takich okazjach obowiązki pokojowca spadały zawsze na mnie. Wyglądał zadowolony i dał generałowi w zamian dwa ze swoich muszlowych naramienników oraz rzeźbiony ząb morświna. Jego eskorta również dostała podarki: rogowe grzebienie, paciorki, małe dzwoneczki, skrawki tafty i kolorowego sukna i dwie czy trzy karty do gry. Aby wyrazić swój zachwyt, bezgłośnie zwarli dłonie przed twarzami, jakby do oklasków, po czym zatknęli grzebienie w splecione włosy, zawiesili sobie na szyi paciorki i dzwoneczki, skrawki tkanin wsunęli pod naramienniki i zwinąwszy karty w rurki wsadzili je w otwory przekłute w płatkach usznych. Ogółem wpuszczono na pokład około dziesięciu krajowców; żołnierze odnieśli się do nich życzliwie, zgadzając się jak przedtem zakasywać rękawy i spuszczać pończochy, by dowieść, że są ludźmi, a nie duchami, po czym zapanowała ogólna przyjaźń.

Nauczyli dzikich robić znak pokoju przez skrzyżowanie wskazujących palców, mówić amigos i wymieniać uściski dłoni. Przycięli im również nożyczkami paznokcie u rąk i nóg i zgolili im brzytwami skąpe brody. Oczywiście każdy z krajowców zapragnął tych przyrzędów dla siebie, ale umówiliśmy się, że nie będziemy obniżać ich wartości rozdając je bez otrzymania w zamian czegoś cennego, jak to było na Santa Cristina. Rozglądaliśmy się pilnie za złotymi ozdobami, lecz nie dostrzegliśmy żadnych; utrzymywano jednak, że krajowcy nie mają dość rozumu, aby bodaj docenić wartość drogiego metalu, a cóż dopiero wydobywać go i wytapiać.

Generał postanowił spędzić tu kilka dni na kotwicy i następnego rana wziął pułkownika i paru żołnierzy na przejażdżkę barkasem. Skierowali się ku wylotowi zatoki, lecz wieczorem po powrocie żaden z nich nie chciał nic mówić o tym, co w ciągu dnia robili. Z ich ponurych twarzy wywnioskowaliśmy, że doszło między nimi do ostrego starcia, a bosmanmat, który sterował łodzią, opowiedział mi, że wysiedli na skalistym przylądku w północnej stronie i przechadzali się tam razem przez blisko godzinę, żywo gestykulując.

Nie pozwolono nikomu zejść na ląd, póki don Alvar nie upewni się o przyjacielskim nastawieniu krajowców, choć zdawało się ono dość oczywiste. Kręcili się wciąż między brzegiem a okrętami przywożąc nam do codziennego użytku wodę w łupinach kokosowych zatkanych korkami z liści i okazując nam szczerą serdeczność i życzliwość. Dostawaliśmy też banany w kilku odmianach, orzechy kokosowe, kasztany podobne do tych z Markizów, duże trójgraniaste orzechy, ciężkie do rozłupania, lecz bardzo słodkie w smaku, inne orzechy o wielkości i kształcie daktyli, jadalne pąki ścięte i wierzchołków palm, papawy i trzcinę cukrową; również najrozmaitsze gatunki ryb (jedne łowione na wędkę, inne zabijane włócznią zakończoną drewnianym trójzębem) i - co cieszyło nas najbardziej - mnóstwo pieczonej wieprzowiny.

Trzeciego dnia Malope złożył nam ceremonialną wizytę w eskorcie pięćdziesięciu czółen, które otoczyły nas pierścieniem i czekały, podczas gdy bawił na pokładzie. Krajowcy nie mieli broni na wierzchu, lecz pułkownik nie dowierzał im i kazał trzydziestu arkabuznikom stanąć przy burtach z hakownicami gotowymi do strzału na wypadek, gdyby knuli jakąś zdradę. Tak się zdarzyło, że don Alwar odprawiał właśnie modły, kiedy przybył Malope, i pułkownik dość szorstko kazał mu czekać; on jednak albo nie zrozumiał, albo też uznał, że pułkownik nie ma prawa wtrącać się w sprawy dotyczące wodzów. Odpowiedział coś z godnością i poszedł dalej swoją drogą-

- Zatrzymać tego draba! - krzyknął pułkownik, a wartownik stojący u szczytu schodków prowadzących do kabin groźnie podniósł broń. Choć żaden strzał nie zamącił dotąd spokoju w Zatoce Łaskawej, Malope wystraszył się; może wziął hakownicę za maczugę, a może wieść o naszym starciu pierwszego dnia po przybyciu dotarła do niego z dalszej części wybrzeża. Pomknął jak jeleń, dając nura to w jedną, to w drugą stronę pokładu, by uniknąć pojmania - gdyż kilku z nas chciało go zatrzymać i zapewnić go, że nic złego mu nie grozi - a następnie wyskoczył za burtę, wdrapał się na czółno i niebawem już szybko płynął ku brzegowi, a za nim jego liczna świta. Gdy tylko postawił nogę na lądzie, ludzie zbiegli się do niego i rozległ się wielki gwar i śmiechy, jakby wieszowano mu, że tak zgrabnie wywinął się z zasadzki.

Tegoż wieczora krajowcy zajmujący grupkę chat blisko miejsca, gdzie okręty stały na kotwicy, wycofali się do wioski zabierając cały dobytek; zbudziło to podejrzenia wyższych oficerów, choć dla mnie było całkiem oczywiste, że Malope przybył wówczas na pokład, by wspaniałomyślnie zaprosić nas do osiedlenia się na jego terytorium, teraz zaś oddaje nam te chaty do użytku. Don Alwar postanowił wysłać nie uzbrojonego emisariusza, który by zapewnił Malopego o naszej życzliwości; dzicy ci - mówił - są zbyt szlachetni na to, by zaatakować pojedynczego człowieka. Zrazu zwrócił się do pułkownika, który

ze wzgardą odmówił, twierdząc, że z tymi łotrami nie sposób rozmawiać inaczej niż językiem oręża i że z dwudziestką dobrych żołnierzy podejmie się spacyfikować zatokę w przeciągu tygodnia. Z kolei poprosił don Lorenza, ten jednak utrzymywał, że wysłanie nie uzbrojonego człowieka do obozu ludożerców byłoby czymś gorszym od morderstwa.

- Jeśli chcesz, ekscelencjo, postarać się o to, aby twój pogański przyjaciel miał co nadziać na rożen, czemu nie poświęcisz naszego małego Andresa? Czyśmy się wszyscy parę tygodni temu nie zgodzili, że byłby kruchszy i smaczniejszy niż ktokolwiek z obecnych?

- Chętnie pójde - powiedziałem trochę podrażniony. - Szanuję bardzo Malopego i nie lękam się o życie.

Prawie natychmiast pożałowałem swojej pochopnej oferty, ale don Alwar przyjął ją skwapliwie i nie miałem już sposobu wycofać się z honorem; następnego więc ranka, po okropnej nocy spędzonej przeważnie na klęczkach, zostałem przewieziony na brzeg niby gęś na jarmark przed świętym Michałem. Kiedy stanąłem na lądzie - pierwszy z Hiszpanów, któremu przypadło to w udziale - kolana mi drżały, ale ruszyłem naprzód z całą godnością, na jaką mogłem się zdobyć, modląc się w duchu do Matki Boskiej Sewilskiej. Gromada podskakujących z radości krajowców poprowadziła mnie drogą biegnącą wzdłuż plaży obok sadów i starannie utrzymanych plantacji bulw tropikalnych, aż wreszcie dotarliśmy do wioski. U wejścia do niej stał dom zgromadzeń, w którym przechowywano również czółna wojenne w liczbie siedmiu czy ośmiu; długi był na trzydzieści kroków, a jego bambusowa strzecha wspierała się na rzeźbionych słupach. Jeden z tych słupów wyobrażał stojącego na ogniu rekina, w którego paszczy znikало ciało człowieka; pozostałe przedstawiały figury wodzów. Na górnej płatwi i belkach wymalowane były czerwoną farbą różne sceny: walka na czółnach, wyprawa na połów ryb i sprośny taniec wojowników przed diabłem o chudym ciele pomalowanym w pasy, z psim ogonem i rybami we włosach. Z szerokiego okapu zwisały rzędem świńskie szczęki, z górnej

płatwi zaś piszczele i łopatki człowieka, co napędziło mi wielkiego strachu. Dwadzieścia czy więcej zwykłych chat stało półkolem wokół domu Malopego, który z początku wziąłem za świątynię, i szopy, gdzie przechowywał bulwy.

Wszyscy ważniejsi wojownicy powitali mnie z wylewną gościnnością, a choć wielu rzuciło się rozpinać mi kubrak, by podziwiać moją białą skórę, i pozwalało sobie na różne inne poufałości, do domu zgromadzeń nie wpuszczano na szczęście kobiet, tak że nie miałem potrzeby się rumienić.

Zapytany, z czym przychodzę, powiedziałem: „Malope... Mendaña... *amigos*”, i dobytek z kieszeni żółtą jedwabną chustkę. Ponieważ był to dar dla ich wodza, nie odważyli się jej dotknąć, ale pragnąc ich sobie zjednać rozdałem trochę szklanych paciorków i kart do gry. Potem postawiono przy mnie na podłodze posiłek: duży drewniany półmisek z gotowanymi bananami, surowymi krabami i rakami, tłuczoną rzepą polaną mlekiem kokosowym, jakimiś wodorostami podobnymi do winogron i plackiem z rdzenia palmy sagowej. Jadłem ze smakiem, pozostawiając nietknięte tylko surowe morskie stwory, i między jednym a drugim kęsem odwzajemniałem wesoło uśmiechy moich ubawionych gospodarzy.

Kiedy skończyłem, przynieśli mi niedojrzały orzech z gatunku tych, co gdy się je żuje, barwią ślinę na czerwono; na Filipinach nazywają je *buhio*. Przyjąłem go, choć niechętnie, gdyż bałem się ich obrazić. Pokazali mi, jak się odgryza i wypluwa wierzch orzecha, który jest wielkości dużej śliwki, a potem jak go trzymać w zębach, nagryźć, zanurzyć w sproszkowanym wapnie, owinąć w liść i żuć. Liść ten, ponieważ był pieprzny, zabił smak orzecha, który niebawem połknąłem, ale to okazało się błędem - krajowcy wypluwają go po zżuciu - i bardzo prędko krew zaczęła gwałtownie pulsować mi w żyłach. Poczuję się pijany i pozbyłem się wszelkiego strachu przed moimi gospodarzami. Wstałem chwyciłem i zażądałem, by zaprowadzono mnie do wodza.

Oprowadzili mnie po wiosce wymieniając nazwy poszczególnych chat, jak gdybym chciał nauczyć się ich na pamięć; pokazali mi zagrodę pełną okazałych świń i dobrą kamienną studnię nakrytą z wierzchu deskami, ze schodkami prowadzącymi w dół do wody. Każda chata otoczona była murkiem z ułożonych luźno kamieni, z otworem wejściowym, przy którym stały od wewnętrznej strony donice z kwiatami i wonnymi krzewami. Boki chat były zaopatrzone w okapy, a z dachów sterczały małe stryszki, do których wchodziło się po drabinkach, a w których przechowywali zapasy żywności.

Na koniec doszliśmy do domu Malopego, który był wyższy od pozostałych i miał fasadę ozdobioną czerwonymi, białymi i czarnymi kwadratami ujętymi w faliste czerwone listwy. Na zewnątrz przybite były do słupa trzy ludzkie czaszki. Jak w innych chatach, jedynym wejściem była okrągła dziura na wysokości pasa, opatrzona okiennicą; tu jednak był od frontu ganeczek, wzniesiony do poziomu wejścia, co było przywilejem wodza. Moi przewodnicy zatrzymali się z szacunkiem, podczas gdy ja wszedłem śmiało na ganek. Chwilę musiałem czekać, po czym wpuścił mnie do wnętrza garbus z włosami pobielonymi wapnem.

Pewien czas minął, nim oczy moje przyzwyczyły się do mroku, lecz wkrótce dostrzegłem Malopego leżącego na niskiej platformie za kręgiem kamieni tworzących prymitywne palenisko pośrodku chaty. Asystowało mu trzech mężczyzn i cztery kobiety. Na podłodze rozpostarte były maty; zauważyłem też w kącie dwa duże drewniane bębny i rozmaitą broń wiszącą ze stropu; poza tym żadnego umeblowania nie było, jeśli nie liczyć glinianych garnków i drewnianych półmisków.

- Malope... Mendaña... *amigos* - powtórzyłem.

Uniósłszy się na łokciu, Malope spytał o swego brata. W odpowiedzi oburącz ująłem się za brzuch, jęknąłem i wskazałem ze smutkiem na jedną z mat do spania, chcąc wytłumaczyć chorobą fakt, że generał ani wczoraj go nie powitał, ani dziś nie przybył na brzeg.

Malope wyraził swoje współczucie ugniatając własny brzuch i jęcząc; potem posłał jedną z kobiet po odpowiedni lek, który okazał się korzeniem dzikiego imbiru. Powąchałem go z uznaniem, okazałem wdzięczność przykładając rękę do serca, po czym wyciągnąłem ową jedwabną chustkę jako rękojmię pokoju. Malope przyjął ją z zadowoleniem, przewlókł ją sobie przez płatek prawego ucha, i dał mi opaskę na czoło z rzeźbionej muszli perłowej, żebym ją zawiózł jego bratu.

Żuł *buhio*, ale mnie na szczęście nie poczęstował. Niebawem posłał po bladą, pulchną młodą dziewczynę, która wyszła z za przepierzenia i sądząc po obfitości ozdób była zapewne jego córką. Większość jej biżuterii składała się z czerwonych i białych muszelek nanizanych tak, że układały się we wzory; ale choć obwieszona przepaskami, bransoletami na rękach i nogach, naszyjnikami i kolczykami, nie nosiła fartuszka na biodrach, będąc jeszcze dziewicą. Tu muszę powiedzieć, że na owej wyspie dziewictwo było równie zazdrośnie strzeżone jak w Hiszpanii, a swoboda obyczajów u kobiety nie tolerowana ani przed, ani po ślubie.

Malope dał mi do zrozumienia, że jeśli generał da mu w zamian jedną ze swoich córek - wiedział bowiem, że mamy kobiety na pokładzie - wyprawi się podwójne wesele uświetnione zabiciem wielu świń, co połączy nierozzerwalnie oba ich domy. Klasnąłem w ręce z podziwu nad urodą dziewczyny i obiecałem zawiadomić generała o wielkim zaszczycie, jaki chciano mu sprawić, ale dodałem, że niestety nie posiada córek i jest już żonaty.

Gdy starałem się przekonać Malopego, że mężczyzna może mieć tylko jedną żonę, uciszył mnie marszcząc brwi i oświadczył zdecydowanie, że zwykli mężczyźni mogą mieć tylko po jednej, lecz wódz musi mieć cztery lub pięć. Na dowód tego wskazał mi własny posłuszny harem.

Jeśli go dobrze zrozumiałem, zaproponował wtedy, że zamiast oblubienicy przyjmie krowę doni Izabeli, która równym splendorem okryje jego wioskę.

Żegnałem się już, gdy wskazał na moje sprzączki u trzewików i wyraził życzenie przywiązania ich do swoich bosych stóp. Ceniłem sobie te sprzączki, lecz bałem się mu sprzeciwić, więc je oderwałem; uznałem jednak, że jako posłowi wypada mi zażądać w zamian upominek i wskazałem na jeden z jego naramienników. Nie chciał mi go dać, mówiąc, że nie jestem wodzem, lecz gdy opuściłem jego dom, wyszedł za mną i kazał sąsiadowi oddać mi równie duży naramiennik, co ten z wielką niechęcią uczynił.

Odszedłem rażnym krokiem drogą wzdłuż wybrzeża, a dzicy odprowadzili mnie po przyjacielsku aż do szalupy. Gdy pojawiłem się w kajucie generalskiej z kwiatami i piórami zatkniętymi w kapeluszu i z ustami poplamionymi na czerwono, Barretowie zaczęli kpić sobie ze mnie i dopytywali, jak smakuje surowe ludzkie mięso; a choć generał zapewnił wysokich oficerów, że mogą teraz wyzbyć się wszelkich podejrzeń w stosunku do krajowców, nie chcieli słuchać ani jego, ani mnie.

Tej nocy po drugiej stronie zatoki płonęły ogniska, które uznano za ognie wojenne, ponieważ o zmierzchu trzy czółna przepląnęły tam i z powrotem wzdłuż brzegu z wielką szybkością, jakby wiozły jakąś pilną wiadomość. Żołnierzy, narzekających na panujący dotychczas niezmałcony spokój i stęsknionych za okazją do użycia broni, widok ten ogromnie ucieszył.

- Im wcześniej zacznie się bój, tym prędzej się skończy - mówili - a póki nie zwyciężymy, nie ruszymy naprzód z kolonizacją. Te głupie golasy traktują nas jak równych sobie, ale trzeba im pokazać, że nasz oręż i nasza religia dają nam prawo panować nad nimi.

O świcie dalekie ogniska wciąż jeszcze płonęły.

Tego ranka od galeoty odbiła szalupa i pewna liczba majtków pojechała na ląd napełnić dzbany wodą ze strumienia płynącego za wioską Malopego. Zajęli się tą robotą nie bacząc na niebezpieczeństwo, gdy wtem z pobliskich krzaków rozległ się okrzyk bojowy i strzały zagwizdały dokoła. Dwóch ludzi zostało rannych w nogi, a jednemu strzała

przeszyła rękę nad łokciem, ale wszyscy zdołali umknąć do szalupy, gdzie strzegący jej żołnierze dali ognia i w ten sposób zatrzymali pościg. Obawiano się, że strzały są zatrute, i dwaj majtkowie sądząc, że nadeszła ich ostatnia godzina, gwałtem domagali się namaszczenia olejami świętymi; jednakże rany goiły się czysto i w dwa tygodnie obaj byli już zdrowi. Krajowcy, to prawda, smarowali strzały sokiem jakiegoś zieleńca, lecz był to urok, który miał nieść je do celu, nie zaś środek do zatrucia trafionego; niekiedy jednak zanurzali je w gnijących wnętrznościach trupa i te magiczne praktyki, gdyśmy się o nich dowiedzieli, zaniepokoiły nas niemało.

Don Alvar, który przez ostatni dzień czy dwa nie opuszczał łóżka, na wiadomość o zasadzce zapłonął sprawiedliwym gniewem. Kiedy pułkownik zaproponował, że weźmie oddział karny na miejsce wypadku i wyrządzi jak największe szkody okolicznym chatom, przystał na to. Pułkownik uradowany pojechał więc na ląd z trzydziestoma ludźmi i zaskoczywszy nieprzyjaciół wracających po ostatnie nasze dzbany, natarł na nich lancą i szpadą. Był żołnierzem starej szkoły, który wołał szczęk białej broni od huku palby, ale dzicy stawili opór tak mężnie i okazali się tak zręczni w użyciu włóczni, że w końcu, ogłuszony ciosem w hełm, dał rozkaz otwarcia ognia. Pięciu krajowców padło na ziemię i wiło się w mękach, reszta uciekła. Pułkownik ścigał ich aż do grupy chat nad brzegiem, które własnoręcznie podpalił, po czym kazał swym ludziom ściąć kępę palm kokosowych w ten sposób, by zwały się na czółna wyciągnięte na plażę; gdy to zrobiono i nazbierano do woli orzechów, przytknął pochodnię do strzaskanych czółen, zabrał trzy świnie z jakiejś zagrody i tryumfalnie pomaszerował z powrotem.

Tak zakończył się pierwszy tydzień pobytu na tej wyspie, którą na część kawałka Krzyża Świętego, pokazanego nam w limie, don Alvar nazwał Santa Cruz. Z żalem przestał ją teraz uważać za część San Cristobal; nie mógł jednak pojąć, jak taką dużą wyspą mogła leżeć na

tej samej szerokości geograficznej, a mimo to nie zostać dostrzeżoną podczas pierwszej jego podróży. Przepłynęliśmy od Callao przeszło tysiąc osiemset pięćdziesiąt mil i wydawało się niepodobieństwem, by San Cristobal mogła leżeć jeszcze dalej na zachód. Raz jeszcze posądził głównego nawigatora o przewrotność i wyrażał się źle o nim za jego plecami.

ROZDZIAŁ XIV

WYBUCH

Don Alwar skarżył się na osłabienie i uczucie jakby palenia wzdłuż całej prawej strony ciała, nie miał jednak gorączki i jadł z apetytem. Doña Mariana spędzała dużo czasu u jego łoża, okazując mu więcej miłości od siostry; a choć dziwne się zdawało, że tak łatwo mu przebaczyła, z początku nie podejrzewałem niczego. Potem pewnego dnia w kajucie generalskiej, opisując w kronice przebieg wizyty Malopego na okręcie flagowym i moich własnych odwiedzin w wiosce, rejestrowałem akurat następującą obserwację: że krajowcy starannie pozbiierali wszystkie swoje obrzynki paznokci i ścięte włosy i wrzucili je do morza z obawy, że moglibyśmy ich użyć do czarnoksiężskich praktyk, oraz że Malope postarał się również zabezpieczyć swoje czerwone plwociny i pozostałości swego *buhio*, wpuszczając je do skrzynki u podstawy słupa, na którym wspierał się strop jego chaty, mruczając przy tym modlitwę do bożka wyrzeźbionego na głowicy słupa. W końcu odłożyłem pióro, zdjęty nagłym przerażeniem. Przypomniałem sobie, że trzy dni temu, o tej samej porze, widziałem, jak doña Mariana upuściła napastrzek i nieznacznym ruchem stopy popchnęła go tak, iż potoczył się daleko po podłodze, a gdy zerwałem się, aby go podnieść, powiedziała mi ostro, że nie jestem jej służącym. Odczekała minutę czy dwie, po czym wstała bez, pośpiechu i sama zaczęła go szukać, stale jednak odwrócona do mnie plecami; choć domyślałem się, że prócz napastrzka zbiera z podłogi coś jeszcze, nie mogłem dojrzeć, co to było.

Teraz nagle uświadomiłem sobie, że tegoż dnia po śniadaniu don Alwar siedział na skrzyni blisko miejsca, gdzie potoczył się naparstek, i obcinał sobie paznokcie. Czyżby zbierała to, co spadło wtedy na ziemię, uprzedzając paziów, którzy przyjdą zamieść podłogę?

Przypomniałem sobie strzępy plotek, które doszły do mnie od czasu wyjazdu z Callao, zwłaszcza zaś te o talii kart do taroka, których jakaś czarownica na statku miała jakoby używać do wróżby. Elwira, która opowiadała o tym na ucho Jaumemu, nie podała imienia tej kobiety, ale opisała talię kart tak, jakby ją sama widziała i miała w ręku. Opowiedziała, że kiedy na życzenie pewnej ważnej osoby wyciągnięto dwie zakryte karty dla don Alwara, okazały się one szóstką żółędną, która wróży niepowodzenie jakiegoś przedsięwzięcia będącego właśnie w toku, oraz wieżę rażoną piorunem, bardzo nieszczęśliwą kartę. Kiedy zaś wyciągnięto dwie inne karty dla doni Izabeli, te okazały się asem czerwionym, który znaczy początek jakiejś miłosnej przygody, oraz wozem, wróżącym jej tryumfalne zakończenie. Odgadłem, że czarownicą musi być albo sama doña Mariana, albo jej służebna Inez, i że ową ważną osobą mogła być tylko doña Izabela - któż bowiem inny domagałby się wyciągania zakrytych kart dla niej i dla jej męża? Do tego Miguel Llano opowiadał mi na krótko przed śmiercią, z pogardą i wstrętem, że zdybał kiedyś donię Izabelę i jej siostrę przy poręczy na rufie, jak przyklękając składały ukłony księżycowi w pełni. „Wszystkie galicyjskie kobiety to wiedźmy - powiedział - a tamtejsi mężczyźni boją się ich śmiertelnie.”

Choć mogłem opierać się jedynie na zasłyszanych plotkach i własnych domysłach, byłbym postawił tysiąc pesos przeciwko dziesięciu, że doña Mariana wgniotła obrzynki paznokci generała, a być może także i włosy, w woskową jego podobiznę, którą zamierzała pomału stopić i unicestwić nad świecą. Jej obecna pieczołowitość była okrutnym oszukaństwem - próbą odzyskania jego zaufania, aby tym łatwiej się pomścić. Ale nawet gdybym miał przed oczyma niezbite dowody

jej winy, czy byłoby moim obowiązkiem powiedzieć don Alwarowi o tym zamachu na jego życie? Fray Junípero, autorytet w tych sprawach, nauczył mnie w dzieciństwie, że żadna czarownica nie ma władzy nad katolikiem, który spełnia swoje powinności względem Boga i bliźniego, co don Alwar we własnym mniemaniu czynił, a poza tym zasadą moją zawsze było nie wtrącać się do tego, co mnie się bezpośrednio nie tyczyło. Przyznaję, że na moją decyzję, aby nic nie robić i nie mówić, wpłynął tajemny strach, jaki żywiłem przed donią Izabelą, która najwyraźniej milcząco sprzyjała knowaniom, jeśli ich czynnie nie popierała. To, że osłaniała czarownicę rozdzającą owe siedemdziesiąt osiem kart losu, świadczyło o jej gotowości sprzymierzenia się z mocami złego.

Pułkownik poprowadził nową ekspedycję karną - tym razem z własnej inicjatywy - do grupy chat na wzgórku nad widownią wczorajszej potyczki. Udawszy się barkasem na brzeg tuż przed świtem on i jego oddział złożony z czterdziestu ludzi zdołali otoczyć wzgórek bez zwrócenia uwagi krajowców i zablokować wszystkie ścieżki prowadzące na wierzchołek. Następnie przypuścił szturm, lecz nie napotkawszy na opór u żadnego z wejść do wioski, podpalił strzechy chat, aby zmusić mieszkańców do ucieczki. Zaczęli więc wyskakiwać przez otwory drzwiowe, najpierw kobiety i dzieci, potem starszyzna, na końcu wojownicy zbrojni w włócznie i maczugi. Nastąpiła krótka, zacięta walka. Mężczyźni, w liczbie siedmiu zaledwie, bronili się dzielnie, nie bacząc na wielką nierówność sił, i zginęli jeden po drugim, aż ostał się na nogach jeden tylko wyrostek, który, choć rękę z tarczą miał prawie całkiem odrąbaną, zdołał przemknąć się przez pierścień nieprzyjacielski i uciekł. Pułkownik powstrzymał żołnierzy od gwałcenia kobiet, choć uważali, że wedle wojennych reguł mają do tego prawo; powiedział im, że żołnierze muszą być rycerscy i nie brać od kobiety nic, czego nie

chce dać dobrowolnie, nawet jeżeli przedtem uczynili ją wdową. W dwie godziny później wrócił na okręt flagowy z kilkoma rannymi i pięcioma zabitymi świniami.

- Ekscelencjo - zawołał wkraczając do kajuty generalskiej i pokazując okrwawioną szpadę - nauczyliśmy tych czarnuchów, jak lekko-myślnie jest atakować nas bez powodu. Ręczę, że na przyszłość nie będą już poczynać sobie tak zuchwale.

- Żałuję, dostojny panie - poskarżył się generał - że nie uznałeś za stosowne opowiedzieć mi się przed wyruszeniem.

- Mądre uprzedzanie rozkazów jest obowiązkiem każdego liniowego oficera - odparł pułkownik wysuwając naprzód podbródek.

- I każdego rzeźnika, kiedy zbliża się dzień świętego Marcina - zauważyła doña Izabela rzucając pogardliwie okiem na obnażoną szpadę pułkownika - a przecież do tego święta jeszcze daleko.

Później obserwowaliśmy, jak krajowcy układają trupy w czólnach, każdego z kolanami podciągniętymi pod brodę i z kamieniem umocowanym pod nim jako ciężarek. Były tam też trupy trzech kobiet, wdów po poległych, które nosiły ślady uduszenia. Krewni wywieźli zwłoki na długość kabla od brzegu, uwolnili je z liści, którymi były owinięte, i wrzucili do morza, gdzie prawie natychmiast rekiny zgromadziły się na ucztę. Wypiarze przypisują tym stworzeniom moc boską i - chociaż chrześcijanom może się to wydawać dziwne - jeżeli człowiek przypadkiem wypadnie z łodzi i ścigany przez rekina zdoła wdrapać się szczęśliwie na brzeg, jego krewni i przyjaciele strącają go na powrót do wody, by uśmierzyć wściekłość ludojada.

Po południu przybył na brzeg Malope i wołał do nas ponad wodą głosem przenikliwym z bólu. Wezwał generała imieniem „Malope! Malope!”, po czym uderzył się w pierś wykrzykując „Mendaña! Mendaña!” Wskazał ręką na zgliszcza chat, na zrąbane palmy i na

miejsce, gdzie zatopiono trupy, potem zaś tak wyraźnie, że nawet dziecko musiałyby go zrozumieć, pokazał na migi, że to nie jego lud urządził zasadzkę na naszych majtków, lecz nieprzyjaciele z przeciwnego brzegu zatoki. Napiął łuk, jakby chciał wypuścić w tamtym kierunku strzałę, zapraszając nas do wzięcia z nim razem udziału w wyprawie wojennej, aby zemścić się na łotrach, którzy zakłócili pokój.

Don Alwar wzruszył się: rozpostarł szeroko ramiona zapraszając na pokład Malopego, który jednak nie posłuchał, gdyż widać przeszkadzały mu w tym jakieś skrupuły. Przybył wszakże następnego dnia i pokój zapanował na nowo. Generał dał mu jako odszkodowanie nieco czerwonego sukna, co rozwścieczyło don Diega, który widział w tym darze przyznanie się do słabości. Don Luis jednak napomniął go:

- Bracie - powiedział - don Alwar postępuje roztropnie. Mając w Malopem sprzymierzeńca możemy wykorzystać go przy ujarzmianiu sąsiednich plemion. Dzielmy i rządźmy, jak czynili Rzymianie.

Don Lorenzo nie był przy tym obecny, gdyż popłynął na fregacie z dwudziestoma żołnierzami szukać raz jeszcze „Santa Ysabel”. Miał polecenie opłynąć wyspę aż do miejsca, gdzie widziano ją po raz ostatni; potem sterować na zachodnio-północny-zachód, to jest w kierunku, w którym by ją zniosło, gdyby miała wiatr dokładnie z rufy i pozwoliła mu się nieść, gdzie Bóg zechce. Gdy wrócił po południu dwudziestego pierwszego września, to jest w dzień świętego Macieja, przenieśliśmy się właśnie na dogodniejsze miejsce postoju o pół mili za wioską Malopego. Nie przywiózł żadnych wieści o zaginionym okręcie, lecz zameldował, że opłynął Santa Cruz dookoła, robiąc około stu mil, i odkrył inną zatokę na południe od naszej, równie dogodną i z jeszcze większą liczbą czółen. Odkrył też różne wyspy umiarkowanej wielkości, wszystkie leżące w promieniu dziesięciu mil od naszego wybrzeża. Natomiast w kierunku na zachodnio-północny-zachód od miejsca, gdzie rozstaliśmy się z admirałem, ciągną się, jak okiem sięgnąć, liczne

rafy; nie chciał więc narażać swego statku zapuszczając się pomiędzy nie. Jeżeli „Santa Ysabel” istotnie wzięła tam kurs owej nocy, kiedyśmy ją zgubili, musiała rozbić się o te rafy; ten sam los mógł spotkać i nas, gdyby nie wielkie miłosierdzie boskie. Przekonało to większość spośród nas, że okręt i nasi towarzysze zginęli, a co mędrsi (lecz niewielu ich było) pojęli, że wobec zmniejszenia naszej liczebności o połowę, tym bardziej musimy się starać o zjednanie sobie krajowców, oraz że nasze osiedle założone być musi w daleko skromniejszych rozmiarach, niż to przewidywał królewski patent don Alwara. Prawda, że gdy wielki Pizarro maszerując z Tumbes do Cajamarca pojmał peruwiańskiego Inkę i zhołdował jego rozległe królestwo, miał ze sobą siły nie większe od naszych; ale don Alwarowi daleko było do Pizarra.

Nowe miejsce, gdzie zarzuciliśmy kotwicę, znajdowało się blisko brzegu; błotniste dno leżało na głębokości dwudziestu do trzydziestu sążni. Mniej więcej czterysta kroków w głąb lądu, prawie na wprost naszego miejsca postoju, obfity strumień dobrej wody znikał pod skałami przed ujściem do zatoki, a o jakieś pięćset kroków dalej na wschód płynęła spora rzeka. Malope uprzedzał nas, że jego władza nie sięga w te okolice, i gdy tylko zarzuciliśmy kotwicę, przekonały nas o tym dowodnie oznaki jawnej wrogości widoczne wzdłuż całego wybrzeża. Tego wieczoru ogniska zapłonęły znów wieńcem, a z wioski leżącej o strzał armatni za rzeką, słyszeliśmy ryki, jak w czasie walki byków lub pochodu karnawałowego. Żołnierze stali całą noc pod bronią, a o świcie armia złożona z jakichś pięciuset wojowników zesza tłumnie na plażę wznosząc wyzywające okrzyki i wypuszczając w naszym kierunku wielkie ilości strzał, oszczepów i kamieni. Kiedy wszystkie powpadały do morza, weszli do wody po pierś, by skrócić dystans, ale i tak nie mogli nas dosięgnąć. Nie przestawali krzyżeć, a niektórzy podpłynęli, chlapiąc dla odstraszenia rekinów, do naszych pław kotwicznych, odcięli je i zaciągnęli do brzegu. Wyzwiskiem, jakim nas obrzucali,

spluwając przy tym gęsto, trzymając się za nosy i wypinając ku nam gołe zadki, było „*amigos*”. Zastanawialiśmy się, czemu nie walczą z członami.

Don Lorenzo wpadł do kajuty generalskiej, by powiedzieć generałowi, co się dzieje.

- Ci twoi potulni poddani następnym razem gotowi porwać sztandar królewski - zawołał z oburzeniem.

- Wypada dać im nauczkę - rzekł don Alvar wzdychając. - Nie mają powodu źle nas traktować, a jeśli są między nimi jacy ludzie Malopego, nie nasza to wina.

- Czy mogę wziąć do szalupy piętnastu ludzi z mojej kompanii i stoczyć z nimi potyczkę?

- Oczywiście, ale powiedz pułkownikowi, że masz moje zezwolenie.

Don Lorenzo złożył meldunek pułkownikowi, który właśnie zamierzał sam się wyprawić, a teraz z konieczności musiał zostać na statku. Lubił nade wszystko być w pierwszej linii boju i był jednym z tych oficerów, o których mówi się, że trzymają złe psy, ale szczekają sami.

- Idźże więc w imię diabła, kapitanie Barrete - powiedział - ale pamiętaj, mój panie, nie czynь niczego pochopnie.

Wśród żołnierzy załadowanych do szalupy było siedmiu tarczowników, którzy, mimo że wypuszczono na nich istną chmurę strzał (niektóre miały zakończenia z krzemienia, czego nie spotykaliśmy dotąd, inne z kości), tak dobrze osłaniali towarzyszy, że tylko dwaj odnieśli rany, obaj od ukośnie puszczonej strzał, które rozorały im ramiona. Don Lorenzo powstrzymał się od strzelania, a gdy tylko szalupa dobiła do brzegu, skoczył na wroga ze szpadą w rękę, a za nim zwartym szykiem tarczownicy. Krajowcy walczyli każdy na swoją rękę i wkrótce mała hiszpańska falanga znalazła się w ciężkich opałach. Z miejsca, skąd

patrzałem stojąc przy relingu na rufie, przestało ją być widać w tłumie wyjących dzikusów, którzy to przyskakiwali, to odskakiwali niby pszczoły od roju, podczas gdy ich wodzowie szli do ataku kłując długimi włóczniami i waląc w tarcze naszych zakrzywionymi maczugami. Pułkownik szalał ze złości.

- Pioruny z góry Synaj niech rażą i spalą na popiół tego głupca! - krzyczał. - Da pozabijać wszystkich moich najlepszych tarczowników. Na papieżycę Joannę, czemu nie użyje broni palnej? Na cóż innego wynaleziono to przekłete paskudztwo? Sierzancie! - wrzasnął na cały głos, przykładając dłonie do ust jak tubę. - Hej, ty, tam przy szalupie, sierzancie Gallardo! Ognia mi zaraz, człowieku, słyszysz?

Sierzant usłyszał i usłuchał. Dwóch czy trzech dzikusów padło od pierwszej salwy, kilku jeszcze odniosło rany, a reszta uciekła zostawiając don Lorenza i jego ludzi zziajanych, lecz zdrowych i całych, samych na polu walki i ogromnie oburzonych, że popsuto im zabawę.

- Jak śmiałeś dać ognia bez mego rozkazu, sierzancie? - zawołał don Lorenzo błądzący z wściekłości. - Już, już miałem rozpędzić tych drańców. Mogłeś zabić któregoś z nas tą swoją salwą.

- Za przeproszeniem waszej dostojności - odrzekł sierżant - to pułkownik krzyknął do mnie z okrętu flagowego.

- To moja bitwa, nie jego! - wrzasnął don Lorenzo, zapominając w podnieceniu, że mówi do zwykłego sierżanta - i od generała, nie od niego otrzymałem rozkazy. Pułkownik jest tu tylko widzem! Do mnie, chłopcy, pogonimy za tymi skurwysynami i powycinamy im z czarnych boków wątroby.

Pułkownik tupnął nogą i zazgrzytał zębami.

- Tego już za wiele! Przebrała się miarka! - I ryknął w ślad za don Lorenzem: - Wracaj, głupcze niedowarzony! Wracaj natychmiast, mówię! Na siedem ran Hioba, gdybyś nie był szwagrem generała, zakłułbym cię w dyby. Przekraczasz rozkaz, który otrzymałeś, i wystawiasz moich ludzi na szwank!

Don Lorenzo albo nie słyszał, albo nie chciał słyszeć i biegł dalej. Pułkownik zapełnił barkas po brzegi żołnierzami i sam wskoczył za nimi.

- Wiosłujcie jak wszyscy diabli, szumowiny w czerwonych czapkach! - krzyknął na załogę.

Na plaży nie było już nikogo poza arkabuźnikami pilnującymi szalupy i małym czarnym chłopczykiem, może trzyletnim, który siedział przy jednym z czołen i szlochał, trąc oczy piąstkami; nie wiadomo, skąd się wziął na polu walki. Krwawe ślady wskazywały, którędy krajowcy unieśli na ramionach swych rannych towarzyszy lub uprowadzili tych, którzy byli w stanie chodzić. Pułkownik spieszenie posłał swego Murzyna za don Lorenzem z rozkazem, aby natychmiast wracał, co ten musiał uczynić, nie mając innego wyboru.

- Czy mnie uszy zwiódły, don Lorenzo - zapytał targając się za brodę - czy też rzeczywiście złajaleś sierżanta Gallarda za to, że mnie usłuchał?

- Nie mogę odpowiadać za uszy waszej dostojności odparł pochmurnie don Lorenzo - ani też pamiętam, co powiedziałem w ogniu walki, kiedy uznałeś za stosowne pokrzyżować moje dyspozycje. Rozkaz stoczenia tej potyczki pochodził od twojego zwierzchnika, a mego szwagra, który ma do mnie pełne zaufanie.

- Ja jednak pamiętam twoje słowa doskonale, a były one nie tylko grubiańskie, ale i diablo buntownicze. Słuchaj mnie, łotrze: dopóki jestem pułkownikiem, wymagam posłuchu, a ponieważ znieważyleś mój honor wobec pospolitych żołnierzów, nie potrzebuję troskliwie oszczędzać twojego.

- Zanim powiesz coś, czego nie da się cofnąć, don Pedro Merino - odparł tamten z zimną krwią - zapamiętaj, proszę, że dowódcą tej kompanii jestem ja i że wszelką zniewagą mnie wyrządzoną poczują się dotknięci zarówno oficerowie, jak i żołnierze.

- Wstrzymaj swoją kobyłę, młokosie - rzekł pułkownik - bo inaczej, na kości Pana naszego, oddam ją innemu... z siodłem, uzdą, wędzidłem

i wszystkim! Jeszcze słowo, a zdegruję cię i na twoje miejsce mianuję mniej zuchwałego oficera. A teraz idź do swojej kwatery i nie ruszaj się z niej!

Don Lorenzo wrócił więc szalupą na okręt, a pułkownik wziął trzydziestu ludzi i puścił się w pogoń za wrogiem. Ale zbyt wiele już zmarnowano czasu; po godzinie mniej więcej wrócił nie napotkawszy ani jednego uzbrojonego krajowca, ale z łupem w postaci dziesięciu tłustych wieprzów.

Doña Izabela czekała już na niego, kiedy wszedł do kajuty generalskiej, aby złożyć raport generalowi.

- A, dzień dobry, pułkowniku - rzekła niedbale. Czy będę mogła zamienić z tobą parę słów na osobności, kiedy skończysz rozmawiać z moim mężem?

Sklonił się nisko.

- Znasz mnie dobrze, dostojna pani. Mogę być szorstkim starym żołnierzem, ale możesz rozkazywać mi we wszystkim, a usłucham cię, tak jak dziki jednoróżec z puszczy potulnie kładzie swój róg na kolanach dziewicy, płacząc z radości.

Zrozumiała te słowa jako przytyk do swojej przymusowej czystości i wyszła na korytarz, ledwo hamując wściekłość. Pułkownik zwrócił się do don Alwara, złożył mu krótki meldunek, po czym wyszedł za nią.

Doña Izabela od razu przypuściła atak, nie zniżając nawet głosu; widocznie w zamiarach jej leżało, aby don Alwar słyszał każde słowo.

- Panie - rzekła - nie jest mi obcy ani twój wiek, ani ranga, ani sława bojowa; dziwne by zresztą było, gdybym o nich nie wiedziała, gdyż tak wpychałeś nam je siłą do gardła przy stole, że nieraz chciało nam się wyrzygać je razem z obiadem. Nie imponują mi jednak; od dziewczęcych lat obracałam się w znacznie znakomitszym towarzystwie i gdybyś nawet był samym archaniołem Michałem i dowodził wszystkimi zastępami niebieskimi, ostrzegłabym cię tak samo: obrazić jednego z Barretów to obrazić ich wszystkich! Ty sprośny stary grzeszniku, im

prędzej rzucać cię rekinom na pożarcie, tym bardziej ucieszymy się wszyscy. Przyjmij teraz do wiadomości, że nie ścierpią żadnego wtrącania się do spraw mego brata, podczas gdy wykonuje rozkazy mojego męża.

Pułkownik był wyraźnie zaskoczony, ale na ten raz opanował się.

- Szlachetna pani - powiedział - twoja duma rodowa przynosi ci zaszczyt, a wierność, jaką winienem generałowi, nie pozwala mi bronić się, gdy tak okrutnie mi wymyślasz; niech mi jednak będzie wolno przypomnieć ci, że nawet członek rodu Barretów nie może zmienić naszych wojskowych praw i zwyczajów. Rozkazy wydane don Lorenzowi przeszły przeze mnie, wobec czego ja stałem się odpowiedzialny przed twym małżonkiem za to, że ściśle je wypełni, a co więcej, że on i jego ludzie wrócą bez szwanku na ten okręt. Brat twój jest świetnym młodzianem i szkoda byłaby niezmierna, gdyby zginął w kwiecie wieku. Chociaż tedy przyznaję, że skarciłem go ostro za przekroczenie rozkazów, było to nie tylko moim prawem, ale i obowiązkiem; nie można mu pozwalać niepotrzebnie narażać życie. Ze mną jest inaczej: wolno mi brać na siebie ryzyko, którego on podejmować nie ma prawa. Nikt nie dba o to, jaki będzie koniec takiego sprośnego starego grzesznika jak Pedro Merino, chyba że jego wrogowie chcą ten koniec przyspieszyć, co jest dosyć prawdopodobne; ale, na świętą Bogurodnicę, ma on nadzieję umrzeć od cięcia szpadą, a nie w łóżku, i jeśli potem parę mszy odprawi się za jego duszę, niechże sobie rekiny pożrą jego ścierwo.

- Nie wycofujesz się więc z niczego i nie przepraszasz?

- Nie, pani, żałuję mocno, lecz to nie zgadzałoby się ani z moim honorem, ani z wojskową dyscypliną.

- Z jego honorem, powiada! Niech zaraza porwie twój honor, ty kiszko kaszana nasiąknięta gorzałką, ty psie w szarawarach, moczy-mordo, łajno śmierdzące, ośle blacharski w kryzie!

Pułkownik cofnął się o krok. Widziałem przez otwarte drzwi, jak patrzy na nią ze wstydem i zdumieniem: był to język iście stajenny,

nie dworski. Wyszedł był na korytarz z mocnym postanowieniem zdławienia w sobie najmniejszego nieuprzejmego słówka, choćby go nie wiedzieć jak prowokowano, nie tyle (jak potem mówił) dlatego, aby bał się dać Barretom pretekst do zemsty, lecz dlatego, że szczerze żałował swego nierycerskiego zachowania się owego nieszczęsnego dnia w Callao. Jednakże milczące przyjmowanie obelg nie leżało w jego naturze, toteż odrzekł stanowczym głosem:

- No cóż, pani, powiedziałaś swoje, z czego wnoszę, że nie ma miejsca dla ciebie i dla mnie przy wspólnym stole; nie, nawet gdyby twoje krzesło od mojego dzieliło pół mili dębowej deski oraz ze dwustu księży i kupców. Zanim jednak zabiorę swoją kryzę i swoje szarawary na ląd wraz ze zohydzonym ciałem, które przyodziewają, pozwól, że ci zaśpiewam pożegnalną piosenkę najmelodyjniejszym rykiem, jakim może rozporządzać blacharski osioł.

I przykładając rękę do serca, zaczął natychmiast nadpękniętym, ochrypłym tenorem:

Czarownice z Corunny
Chodzą w czarnym i białym,
Święty Jakub swym mieczem
Sprawia, by uciekały.
Bo ich panem jest diabeł,
Co gdy na krzyż popatrzy!,
Wiatry z dwóch stron wypuści!,
Z podziwienia zaślabłszy.

Śmiejąc się z cicha, wrócił do kajuty generalskiej, zawiadomił generała, że zabiera oddział wojska na brzeg, aby dokończyć pacyfikacji okolicy, po czym poszedł do swojej kwatery i tam z pomocą pazia spakował kufer i torbę i zawinął w toból to, co się w nich nie zmieściło. Zatrąbiono na ogólną paradę. Wybrał sześćdziesięciu ludzi, w tym trzydziestu osadników i tyłuż regularnych żołnierzy, powiedział im krótko: „Chłopczy, cieszcie się, bo dziś zrobimy początek”, i posłał

ich z powrotem pod pokład, aby zabrali swoje manatki. Łódź obróciła dwa razy i niebawem wszyscy znaleźli się na lądzie.

Ponieważ zabrał ze sobą adiutanta i wszystkich chorążych prócz don Diega, tego wieczoru przy kolacji panowała głęboka, lecz niemiła cisza. „Kto nie przychodzi do stołu, temu przepada jego porcja - powiedziała wesoło doña Izabela. - I cóż to byli za straszni żarłocy!” - dodała, jakby się nie spodziewała, by kiedykolwiek zajęli jeszcze swoje zwykłe miejsca na ławach.

Cały ciężar konwersacji spadł na wikariusza, kapelana i głównego nawigatora. Ksiądz Juan z całą niewinnością wyraził radość, że wielkie dzieło już rozpoczęte. Ze swojego do-, świadczenia z dzikimi wnosił, że powtórne demonstrowanie naszej wojennej siły nie będzie już potrzebne i że można już teraz zatknąć krzyż i głosić ewangelię po całej rozległej wyspie.

- Miejmy nadzieję, że zdrowie generała pozwoli mu zejść jutro na ląd - powiedział - skoro don Lorenzo i pułkownik odnieśli tak świetne zwycięstwo. To jemu przypaść musi zaszczyt wyboru miejsca pod kościół, który - wobec tego, że nazwał tę wyspę Santa Cruz - zamierzam oddać pod wezwanie świętej Weronice; ale może z początku wystarczy konsekrować jakiś tubylczy dom zgromadzeń. Moglibyśmy zastąpić bałwochwalcze słupy zwykłymi, zabudować front deskami i ustawić ołtarz we wschodnim końcu; następnie można by dobudować zakrystię. Później mam nadzieję postawić kościół w stylu miłszym Bogu, mogący pomieścić tysiąc dusz, i zbierać doroczne składki na jego potrzeby. Dziesięć tysięcy pesos powinno starczyć na pięć lat, a wtedy już będziemy stać mocno na nogach. Don Lorenzo, gdzie to mówisz, że generał ma założyć pierwsze z trzech miast?

- Na skalistym przylądku u wejścia do zatoki, wasza wielbność, tym, który sterczy w stronę wysepki. Wybrał go, ponieważ jest stamtąd rozległy widok na morze i ponieważ brak drzew i krzewów daje nam nie przesłonięte niczym pole do obronnego ognia. Powietrze tam jest zdrowe, a niedaleko tryska źródło wystarczające na nasze potrzeby,

jeżeli je należyce ocembrować. Miejsce ma poza tym wiele innych zalet...

- Ale nie ma przystani - przerwał mu główny nawigator. - Wydaje mi się niedorzeczne zakładać miasto o osiem mil od najbliższego miejsca, gdzie można zarzucić kotwicę, jakiegokolwiek byłoby wojskowe zalety terenu.

- ... na przykład te, że wysepka leży pod ręką i będzie naszym sadem owocowym i spichlerzem - ciągnął don Lorenzo nie zwracając uwagi na Pedra Fernandezę.

Ten jednak obstawał przy swoim.

- Jeżeli wasza dostojność podejmiesz się zbudować port od strony lądu, używając żurawi lub zakłęb - wszystko mi jedno czego - do oczyszczenia dna z jego licznych skał, a potem do usypania z nich mola, nie powiem ani słowa więcej. Ale powiadają, że pułkownik, który razem z don Alwarem oglądał przylądek, wysunął to samo zastrzeżenie.

- Ostatnie słowo należy do generała, mój panie - rzekł zimno don Lorenzo - o czym i ty, i pułkownik skłonni jesteście zapominać. Jeżeli potrzebna jest sztuczna przystań, niewątpliwie obmyślił już plany jej budowy.

- Niech Pan Bóg broni, abym miał podawać w wątpliwość, czy to jego autorytet, czy pomysłowość - odparł główny nawigator - ale wydaje mi się dziwne, że nie zapytano mnie o radę przed powzięciem decyzji.

- No, no, żeglarzu! Ląd to ląd, a morze to morze. W sprawie strategii wojskowej decydować mogą tylko żołnierze i nie ma powodu, abyś tu wtrącał swoje trzy grosze.

Doña Izabela pogodziła ich.

- Moim zdaniem - powiedziała - zarzut głównego nawigatora zasługuje na uwagę, choćby nawet się zgadzał z obiekcjami pułkownika. Wybór don Alwara nie był ostateczny i jeżeli nad Zatoką Łaskawą nie znajdzie się terenu odpowiadającego wszystkim wymogom wojskowym i żeglarskim, może ta druga zatoka, którą sam

odkryłeś, dostarczy nam tego, czego nam trzeba. Teraz kiedy jest nas mniej, rozmawiajmy bardziej po przyjacielsku.

Zapytała następnie księdza Juana, jakie stosuje się obrzędy, aby oczyścić pogańskie miejsce kultu z zamieszkujących je diabłów i obrócić je na chrześcijański użytek.

Wikariusz rozpoczął zaraz uczony dyskurs o egzorcyzmach i przyprowadził nas o dreszcz zgrozy strasznymi opowieściami o czarnej magii i czcicielach diabła. Mówił, jak to niektórzy Indianie z Panamy odcinali głowy hiszpańskim żołnierzom i czarnoksiężskimi sposobami zmniejszali im czaszki do rozmiarów pięści. A jednak pewien prosty mnich, boso i bez asysty, wszedł śmiało do ich głównej świątyni, gdzie przechowywano te czaszki, ukazał krzyż zebranym tam czarownikom, i patrzcie! stał się cud...

Gdy w tym miejscu przerwał dla większego efektu, dał się słyszeć straszliwy huk, jakby wybuchło jednocześnie dziesięć tysięcy beczek prochu strzelniczego, i okręt zatrzęsł się i zachwiał na cumach. Wybiegliśmy na pokład i wlepiliśmy wzrok w ogromną świetlistą chmurę, która piętrzyła się nad północnym horyzontem, podobna kształtem do grzyba. Później przekonaliśmy się, że wybuch wulkanu, który nazywano Tinahula i uważano za przybytek ognistego demona, rozsadził jego wierzchołek i zapełnił morze na całe mile wokół kawałami pumeksu. Ilekroć Tinahula wybucha, krajowcy wierzą, że rozgniewali czymś demona, i tym zapewne tłumaczyć należało ich potulne zachowanie się w ciągu kilku następnych dni, kiedy wulkan nie przestawał grzmieć głucho i zionąć płomieniami i dymem.

Tak się zdarzyło, że główny nawigator w rozmowie z chorążym królewskim dał już wyraz swoim zastrzeżeniom do wybranego miejsca pod miasto, i zastrzeżenia te przejęli niebawem pozostali chorążowie. Następnego więc ranka pułkownik, który spędził noc w jednej z tubylczych wiosek, z łatwością namówił ich do pokrzyżowania zamysłów don Alwara przez założenie osiedla blisko naszego nowego miejsca postoju, między strumieniem, rzeką i morzem. Wystawił czaty,

odmierzyl krokami odleglości i wyslal szalupę na okręć flagowy z żądaniem narzędzi, postanowil bowiem od razu zacząć roboty. Oficer rachunkowy wydal mu wszystkie siekiery, noże do ciosania drewna, motyki i łopaty, jakie udało się znaleźć, ale nie bylo ich duzo, a jedyne pilny na pokladzie stanowiły własność cieśli, którzy nie chcieli się z nimi rozstać.

Generał nie miał pojęcia, na co się zanosi, gdy wtem przyszedł do niego teść Juana de Buitrago, z czapką w ręku, by wnieść prośbę w imieniu wszystkich żonatyh osadników.

- Ekscelencjo - rzekł stary Miguel Geronimo - jeśli wolno nam mieć tę śmiałość, nie możemy się zgodzić, że miejsce wybrane przez pułkownika jest dobre. Nie mamy nic przeciwko glebie, która jest równie żyzna jak w Andaluzji: wyrośnie na niej wszystko, cokolwiek zasiejemy, jak to widać z jednego bodaj spojrzenia na ogrody krajowców. Ale za pozwoleniem waszej ekscelencji, uważamy, że miejsce jest niezdrowe i boimy się, że może się na nim wylęgnąć febra. Mam sześcioro dzieci oprócz zamężnej córki i nie chciałbym mieszkać tam z nimi. To, że krajowcy nie osiedlili się tu, świadczy jasno, że miejsce jest niedobre; inaczej dlaczegóż by wybudowali najbliższe chaty aż o tysiã kroków od dobrej wody? Przysłano mnie tu w deputacji, abym prosił waszą ekscelencję o pozwolenie zajęcia którejś z tubylczyh wiosek, gdzie będziemy bezpieczni przed febrą; ale pułkownik gniewa się na nas, że uchylamy się od pracy, do której stanęli już nieżonaci, i dlatego prosimy pokornie waszą ekscelencję o opiekę i obronę.

Don Alwar siadł na pościeli.

- Czy to prawda? Czy rzeczywiście pułkownik postawil ich już do roboty?

- Tak jest, ekscelencjo. Rąbią drzewa, żeby zbudować mu wartownię, ociosują słupy i belki i szykują gałęzie na strzechę. Ale my, starsi, nie jesteśmy zadowoleni, choć zapewnia nas, że powinniśmy

wyzbyć się naszych obaw dla Boga i dobrego króla Filipa i że męstwo Hiszpanów przewycięży wszelkie przeciwności. Generał klasnął w dłoń.

- Hej, Myn! Przynieś mi ubranie, drugie po najparadniejszym; mszę pojechać na brzeg i położyć kres tym głupstwom.

- Czas najwyższy, ekscelencjo - wtrącił don Diego. I proszę cię, weź ze sobą okutą laskę tej samej wagi co laska pułkownika.

ROZDZIAŁ XV

ZAŁOŻENIE OSIEDLA

Gdy don Alwar wrócił do kajuty generalskiej, doña Izabela zapytała go:

- Jak ci się powiodła wycieczka, panie mój? Czy pułkownik już w dybach?

Ponieważ działo się to w obecności jej braci, okazał pewne zakłopotanie.

- Nie jeszcze, pani moja - odparł. - Zabić kota można na sto jeden różnych sposobów.

- Ale niektóre są szybsze od innych. Lepiej rozplatać mu łeb niż zamknąć go w stodole i czekać, aż ją myszy rozbiorą.

- W zasadzie zgadzam się z tobą. Ale ten przebiegły stary kocur nie da się zniszczyć tak od ręki. Okazał mi jak zwykle pełne uszanowanie i wyjaśnił, że ponieważ byłem chory, nie chciał fatywować mnie sprawami wojskowymi rozumiejącymi się samo przez się, jak wycięcie lasu wokół źródła, aby krajowcy nie mieli gdzie się zaczajać na naszych ludzi chodzących po wodę, albo jak użycie zrąbanych drzew do budowy paru chat dla schronienia i obrony. O, łajdak twierdzi, że nie, nigdy nie miał najmniejszego zamiaru zakładać osiedla; to moja rzecz, nie jego, i nigdy by się nie powazył... i tak dalej, i tak dalej. Ale czyż i ja nie jestem tego zdania, że w porze burz i wielkich upałów mądrze jest dać żołnierzom trochę zdrowego ruchu? I że lepiej zapędzić ich do roboty choćby chwilowo tylko użytecznej niż pozwolić im popaść w

przygnębiecie? „Skąd w przygnębiecie?” - zapytałem. „Z czekania, aż ekscelencja wybierze miejsce na swoją wyspę stolicę” - powiada mi na to. „Owszem, dostojny panie - odpowiedziałem obrzucając go spojrzeniem, od którego powinien być zwiędnąć - takie ćwiczenia mają swoją wartość wychowawczą.”

- A jednak zamydlił ci oczy - upierała się doña Izabela. - Mądrzej byś zrobił aresztując go od razu zamiast słuchać jego niezdarnych tłumaczy. A już kiedy obwiniał cię o demoralizowanie ludzi przez swoje zwlekanie, na Boga, straciłabym wszelką cierpliwość, gdybym tam była! Ale ja nie mam tak spokojnego usposobienia jak twoje. No i cóż? Kazałeś przerwać roboty?

- Ależ oczywiście, pani moja. Przerwano je, podczas gdy ja zwołałem radę złożoną z oficerów, sierżantów i przedstawicieli żonatych osadników.

- *Caramba!* Radę? Zamiast wydać rozkazy, wielkorządca zwołuje radę?

- W moim wieku człowiek się uczy, że najdalszy objazd bywa nie-raz najkrótszą drogą do celu. Postanowienia tej rady niekoniecznie miały mnie wiązać, a chciałem się przekonać, jak silna jest opozycja przeciw planowi pułkownika.

- I cóż postanowiła ta sławetna rada?

- Chorąży królewski i adiutant przemawiali najdłużej. Postawili wniosek, aby prowadzić roboty dalej, twierdząc, że jeśli nie chcemy całkiem opuścić Zatoki Łaskawej, musimy umieścić osiedle blisko jedyne- go dobrego miejsca zakotwiczenia statków i że wobec tego nie ma innego wyboru jak tylko teren pułkownika. Dwaj sierżanci i wszyscy żonaci osadnicy sprzeciwili się temu. Stary Miguel Geronimo utrzymywał, że miejsce jest niezdrowe i że daleko lepiej byłoby zająć wioskę, gdzie spali wszyscy tej nocy, i przystosować ją do naszych potrzeb; zbudowana jest na wzgórzu, mówił, i ma głęboką studnię do czerpania. Jeden z sierżantów poparł go mówiąc, że częstokół i rów, z

działami wystawionymi u wlotów, uczyniłyby ją nie do zdobycia. Pułkownik obraził się, że sierżant za dużo sobie pozwala, i nazwał go dudkiem w sztuce fortyfikacji; ja jednak pozwoliłem mu się wygadać.

- To był sierżant Dimas, nieprawdaż?

- Tenże sam śmiały i uczciwy człowiek.

- A przecież w Paicie chciałeś skazać go na podciąganie na linie za to, że pośpieszył na ratunek moim braciom.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru, cokolwiek mówiłem do pułkownika. No, więc dowiedziałem się tego, co chciałem wiedzieć. Ze słów chorążego królewskiego wynikało jasno, że pułkownikowi w rzeczywistości chodzi o założenie osiedla, a nie tylko o obronność dróg prowadzących do źródła. Pod naporem chwili pozwoliłem mu robić po swojemu, zastrzegłszy, że sam wolę zdrowszy teren na przyłądku. Oddałem sprawę pod głosowanie i wezwałem do podniesienia rąk. Opowiedzieli się za dalszym prowadzeniem robót jedenastoma głosami przeciwko pięciu. Pułkownik był na tyle roztropny, że wstrzymał się i od przemawiania, i od głosowania; jednakże on to jest ojcem projektu i w miarę jak wzrastać będą trudności, niechętnie nastawienie mniejszości przejdzie na pozostałych i wkrótce połączą się wszyscy, aby zrobić z niego kozła ofiarnego, na którym skrupią się skutki ich głupoty.

- Ostrzegam cię raz jeszcze, mężu: prowadzisz niebezpieczną grę. Jeżeli miejsce okaże się mimo wszystko zdrowe, zasługa przypadnie pułkownikowi; jeżeli nie, nasi ludzie będą osłabieni febrą i będą cię winić, żeś go w porę nie osadził. Poza tym nasze prowianty nie będą trwały wiecznie. Powinieneś był poprzeć argumenty sierżanta Dimasa; w ten sposób pułkownik dostałby należycie po nosie, a równocześnie wojsko ucieszyłoby się, że nie musi tak ciężko pracować.

- Nie, nie! Nigdy nie miałbym sumienia nakazać zajęcia tubylczej wioski. Co nam dają dobrowolnie, to chętnie przyjmiemy, ale Bóg nigdy nie ześle nam powodzenia, jeśli przybędziemy tu jako złodzieje. Musimy zawojować ten dziki lud miłością, nie strachem.

- Chyba nie powiedziałaś tego na radzie?
- I owszem, powiedziałem, i to dość gromkim głosem.
- Na wszystkich aniołów i archaniołów! I czyniąc to, zraziłeś sobie mniejszość, nie pozostawiając jej innego wyboru jak plan pułkownika?
- Kiedy jego plan spali na panewce, jak spalić musi, założą miasto nasze w miejscu, które sam wybrałem. A teraz, pani moja, więcej mówić nie mogę; wycieczka ta zmęczyła mnie niemal śmiertelnie. Sprwadź Myna; każ mu posłać mi łóżko, a potem zdjąć ze mnie ubranie.

Ciemny rumieniec na policzkach doni Izabeli i niespokojne ruchy jej palców dały mi poznać, że jest rozgniewana do ostatecznych granic tym, iż generałowi nie udało się poskromić pułkownika; lecz gdy niespodziewanie wszedł do pokoju główny nawigator, dzielnie przybrała pozór cierpliwości i ostentacyjnie zaczęła przewracać kartki modlitewnika.

Nazajutrz nakłoniła don Alwara do wysłania reszty oficerów i żołnierzy na brzeg, z wyjątkiem puszkarzy i stałej straży, którą dowodził każdy z chorążych po kolei. Rodziny osadników, które przeniosły się równocześnie, miały mieszkać w namiotach, dopóki nie zbuduje im się domostw. Barretowie umówili się pomiędzy sobą, że będą jak najbardziej utrudniać wszystko pułkownikowi, a jeśli okaże najmniejszą niełojalność, doniosą o tym natychmiast don Alwarowi. Doña Izabela z siostrą, główny nawigator, księża, dwóch kupców i ja pozostaliśmy na pokładzie „San Geronimo” z don Alwarem, który, choć z dnia na dzień chudł i mizerniał, i skarżył się na tajemnicze bóle w różnych częściach ciała, nie położył się więcej do łóżka, lecz mężnie walczył z chorobą ubrany i na nogach.

Główny nawigator, rad, że może na koniec poruszać się swobodnie po okręcie, zapędził swoich ludzi do mycia i wykadzania rozmarynem cuchnących kwater, które teraz stały pustkami. Cieśle łatali nadbudówki w miejscach, gdzie uszkodzono je szukając drzewa na opał, a majtkowie malowali na nowo kadłub nad linią zanurzenia, ale

skarżyli się bardzo na duchotę i tęskniąc za otwartym morzem, zaczęli się dopytywać, kiedy odeśle się ich do Peru. Mógł im tylko doradzać cierpliwość.

Na lądzie pułkownik okazał się tyleż zmyślnym, co pracowitym, a krajowcy nie próbowali przeszkadzać mu w budowie. Co rano, gdy przeprawiałem się z rozkazami dziennymi - don Alwar rządził bowiem osiedlem z kajuty generalskiej, podczas gdy budowano mu rezydencję - zauważałem postęp robót w stosunku do dnia poprzedniego. Wycięto cały pas lasu, choć brak siekier i pił dawał się dotkliwie we znaki. By okazać dobrą wolę, don Alwar kazał cieślom oddać swoje narzędzia, co uczynili niechętnie, ponieważ nie skończyli jeszcze napraw; znalazł też trochę starych szpad przeznaczonych na handel wymienny, które można było użyć jako noże do ociosywania drzew. Mieliśmy z sobą kowala, który podjął się wykucia siekier ze starego żelastwa stanowiącego balast galeoty; wyszło jednak w końcu na jaw, że kuźnia figurująca w spisie naszych zapasów pozostała w Peru. Będąc człowiekiem zaradnym, kowal powiedział, że obejdzie się jakoś bez niej, byle oficer rachunkowy wynalazł mu cęgi, lecz nie mając takowych do przytrzymywania gorącego metalu, nic zrobić nie może. W tradycji jego rzemiosła, jak mówił, utrzymało się mniemanie, że Bóg przewidując, iż człowiek nie będzie mógł zrobić cęgów bez użycia cęgów, stworzył pierwszą parę z niczego i że Adam, który je dostał, przekazał je Kainowi, pierwszemu kowalowi, który wywiesił szyl. Generał zmartwił się tą przeszkodą i wyzaliwszy się głośno na dostawców oświadczył, że Miguel Llano nigdy mu nie mówił o tym niedopatrzeniu i że brak kuźni należało uzupełnić w Paicie.

Brakowało też gwoździ i ktoś zaproponował, by zamiast nich używać lin; główny nawigator nie chciał jednak wydać ani jednej ze swoich zapasów. Dowodził, że cieśle otrzymają kiedyś z powrotem swoje piły w dobrym stanie, natomiast lina, gdy raz się ją potnie do wiązania belek, nie zda mu się już na nic. Niechże żołnierze, mówił,

uplotą sobie, co im trzeba, z włókien kokosowych, jak to robili krajowcy.

Najgorsze ze wszystkiego było, że brakowało nam żywności. Kończyła się mąka, solona wołowina dawno była zjedzona i zostało tylko trochę fasoli i grochu. Choć żołnierzom nie smakowało pożywienie wyspowe prócz świń i kur - krajowcy hodowali na jedzenie kury białej rasy, które niosły mało jaj i nocą gnieździły się wysoko na drzewach - don Alwar zapowiedział pułkownikowi, że musimy odtąd karmić się tym, co daje tutejsza ziemia, i zachować resztę mąki jako rezerwę. Ponieważ jednak nie wydał żadnych towarów, które można by wymieniać na żywność, pułkownik dopatrywał się w tym zniesienia surowego zakazu obrabowywania wyspiarzy.

Siedem wiosek leżało w promieniu około godziny marszu od osiedla i wyprawy po żywność, złożone z dwunastu do piętnastu ludzi, często je odwiedzały. Krajowcy zdawali się uważać naszych za nieśmiertelne istoty, które okiełznały dla swoich potrzeb błyskawice i pioruny. Z początku nadejście wyprawy było sygnałem do ucieczki, ale później pozostawali spokojnie w chatkach i potulnie dawali, czego od nich żądano, jednakże nie jako daninę, lecz dlatego, że mieszkańcy Santa Cruz uważają za szczyt złego wychowania odmówić jakiegokolwiek prośbie, możliwej do spełnienia. Czasami ofiarowywano im jakiś drobny podarek w zamian za żywność, ale nie zawsze, i rzadko było to coś więcej niż zniszczony guzik lub karta do gry.

Z wypraw tych nasi wracali zazwyczaj z półtuzinem lub więcej świń, z wieloma pękami bananów i mnóstwem orzechów kokosowych i bulw. Krajowcy sami prowadzili świnię, dźwigali banany na długich tykach opartych na ramionach, a resztę wieźli na taczkach, które nasi kołodzieje zrobili umyślnie w tym celu; nie wolno im było jednak wejść do osiedla, aby nie mogli zdać sobie sprawy, jak nas jest mało. Z bramy obozu, na której wyrzeźbiony był krzyż świętego Andrzeja, używany tu jako znak *tambu*, czyli zakazu, widać było wiele rzędów

namiotów i trzydzieści czy czterdzieści chat już w budowie. Starczyłoby tego na pomieszczenie dla setek krajowców, a ponieważ i okręty były wciąż obsadzone, musieli znacznie wyolbrzymić naszą liczebność. Tylko poddani Malopego, których traktowaliśmy jak sprzymierzeńców nie pobierając od nich żadnych danin, wpuszczani byli do wewnątrz, jednakże dopiero po tym jak don Lorenzo, przedstawivszy się jako najstarszy syn generała, a zatem mający rangę wodza, udał się do Malopego z prośbą o pomoc w ścinaniu drzew i budowaniu chat. Malope przysłał czterdziestu młodych ludzi pod wodzą własnego syna; mieli ze sobą siekiery z gładzonego kamienia i małe toporki o wygiętych ostrzach z muszli i wzięli się do roboty energicznie i fachowo; nauczyli też naszych najlepszego sposobu kręcenia lin z włókien (zdzierali je z drzewa demajagua, zarówno jak z kokosu) i układania strzech. Każdy z członków plemienia otrzymał wynagrodzenie w postaci wąskiego kawałka szkarłatnej tkaniny, którą zatykał sobie za naramiennik, co nie tylko sprawiało mu niewymowną radość, ale również służyło za przepustkę i odznakę świadczącą o przyjaźni. Chociaż w hiszpańskich oczach jeden krajowiec o czarnej twarzy i głębokich oczodołach niewiele różnił się od drugiego, tym sposobem można się było ustrzec przed szpiegami i nieproszonymi gośćmi; mogliśmy być pewni, że żaden posiadacz odznaki nie odda jej dobrowolnie członkowi obcego plemienia.

Teraz, gdy już wszystko zdawało się iść gładko, wikariusz zeszedł na ląd ósmego października, w dzień świętego Szymona Sprawiedliwego. Jego kapelan odwiedził osiedle na parę dni przedtem, aby wybrać miejsce pod kościół, który miał być zbudowany możliwie jak najprędzej, choć tylko na dwieście osób - tyle nas bowiem było wszystkich razem, odkąd „Santa Ysabel” zaginęła. Ksiądz Juan, poświęciwszy teren wodą święconą i obszedłszy go dokoła na czele uroczystej procesji z kadzielnicami i chorągwiami, odprawił mszę i położył pierwszy kamień pod prezbiterium, poświęcając go nie świętej Weronice, lecz świętemu Szymonowi, którego nie chciał obrazić. Następnie chór

paziów odśpiewał hymn *Wstąpię w dom Pana mojego*, a głosy ich brzmiały słodko i dźwięcznie; ledwo skończyli, spoza obozu rozległy się głośne śmiechy i śpiewy i ludzie Malopego przybiegli od swej codziennej pracy wołając: *Amigos, amigos!*

Zacnemu księdzu stanął w pamięci sławny cud w Tumbes, toteż pośpiesznie kazał zrobić z dwóch drewnianych pali krzyż, który Juan Leal, pielęgniarz chorych, podjął i zaniósł ku bramie, a za nim szli ministranci z chorągwiami. Na życzenie wikariusza żołnierze obnażyli głowy i zgięli kolana, a krajowcy zbożnie poszli za ich przykładem i przeżegnali się, naśladując ich ruchy. Padłszy krzyżem przed świętym emblematem wikariusz modlił się, aż spłynęło nań natchnienie, aby iść dalej przez bramę i drogę prowadzącą wzdłuż wybrzeża. Dzicy przyłączyli się do pochodu; nasi muzykanci zagrali wesołego marsza i krzyż przeniesiono aż do wioski Malopego, gdzie zatknięto go przed domem zgromadzeń wśród poklasku mieszkańców uradowanych zaszczytem, jaki ich spotyka. Wówczas ksiądz Juan wygłosił kazanie o odkupieniu, odtwarzając historię męki Chrystusowej tak patetycznymi gestami, że wycisnął mi łzy z oczu, a krajowcy zdawali się rozumieć i cierpieć także. Gdyśmy odchodzili, klęczeli jeszcze wszyscy szerokim kręgiem wokół krzyża, prócz Malopego i jego synów, którzy leżeli przed nim rozciągnięci plackiem na ziemi. Chociaż pułkownik był nierad, że przez ten epizod przepadł prawie cały dzień pracy, bardziej nabożni cieszyli się, że nareszcie zapoczątkowane zostało główne zadanie naszej wyprawy.

Pogoda była nadal nieustalona; od częstych ulew z północnego wschodu rzeka wezbrała i objawił się bagnisty charakter gruntu; wilgotny upał między jedną a drugą burzą tak nam dokuczał, że bylibyśmy chętnie chodzili nago jak dzicy. Tymczasem bracia Barretowie spełniali rozkazy pułkownika z demonstracyjną gorliwością, prowadząc wiele udanych wypraw po żywność; nie zapomnieli jednak o umowie zawartej z siostrą. Zaczęli skarżyć się publicznie na powierzane im prace. Lorenzo mówił na przykład:

- Słowo honoru, Diego, nie rozumiem, dlaczego nasi ludzie tak potulnie się zgodzili na osiedlenie w tym nieszczęsnym miejscu! Dziecko potrafiłoby wybrać lepszy teren; ale pułkownik zawsze działa bez zastanowienia i zmiata wszystko przed sobą niczym katarakta.

A Diego odpowiadał:

- Masz słuszność, bracie! Trawa rodząca febrę porasta bujnymi kępami całą przestrzeń od wartowni do rzeki: nieuchronna zapowiedź choroby. Poza tym, jeżeli dzicy zdradzą, możemy spodziewać się ataku ze wszystkich czterech stron. Przylądek wybrany przez generała nie tylko jest daleko zdrowszy, ale jedyna droga do niego prowadzi po grobli tak wąskiej, że trzech ludzi mogłoby ją utrzymać przeciwko całej armii.

Próbując jednak podważyć autorytet pułkownika, wyświadczali doni Izabeli w dwojakim sensie niedźwiedzią przysługę. Ci, którzy słusznie podejrzewali, że to ona włożyła im w usta te wyrazy niesubordynacji, przywiązywali się jeszcze bardziej do pułkownika, który dbał o nich jak ojciec i nigdy nie szczędził wysiłków dla wspólnego dobra. Natomiast źle usposobieni posuwali narzekania o krok dalej i zaczęli się zastanawiać, po co opuścili zamożne i rozległe królestwo Peru, gdzie każdy jest bogaty przynajmniej w nadzieje, i przybyli na tę cuchnącą, zapomnianą przez Boga wyspę, gdzie nic dobrego czekać ich nie może. Prawda, teren wybrany przez pułkownika jest zły, ale pozwalając odrzucić swój własny wybór, generał przyznał, że lepszego nie ma.

- Najwyższy czas - mówili - poniechać tej beznadziejnej sprawy i albo płynąć dalej na złotodajne wyspy - gdyż ta wyraźnie nie jest jedną z nich - albo też uznać swoją porażkę i pożeglować do domu.

Juarez i Matia podzielali pogląd, że kraj jest bogaty i zdrowy; nie zauważono żadnych krajowców cierpiących na febrę, a w osiedlu nie było wcale komarów, w które zawsze obfitują niezdrowe okolice. Rada

powzięła właściwą decyzję, którą teraz należało lojalnie wprowadzić w czyn.

- Najlepszym sposobem spacyfikowania tej wyspy powiedział mi pewnego dnia Juarez - sposobem, o którym myśli pułkownik, jest stacjonowanie po paru żołnierzy w każdej wiosce. Złożą oni wódzów z urzędu i przejmą ich włości i przywileje. Najlepszy krzyż to rękojeść szpady; tak mówi pułkownik, a ja na niego stawiam! Jedną kompanię zatrzyma w kwaterze głównej, aby móc wesprzeć posiłkami każdy garnizon, który znalazłby się w trudnościach. Ale z czasem krajowcy zostaną rozbrojeni, nawróceni i zmuszeni do poddaństwa, co pozwoli nam zająć więcej wiosek i więcej jeszcze, aż cała wyspa będzie nasza. Wtedy podzielimy ją na majątki ziemskie i będziemy mogli opychać się pieczenia wieprzową codziennie do końca życia. Pułkownik nie lubi się patyczkować! Popisywać się miękkością serca, powiada, to tyle, co przekonywać tych czarnych ludzi, że jesteście tchórzami.

- Ale on musi słuchać generała - powiedziałem.

- I owszem, don Andresie, zna swoją powinność nie gorzej od każdego z nas, ale widzisz, nie musi brać rozkazów zbyt serio, bo generał wcale tego nie oczekuje; wydaje je tylko dlatego, że potomności dobrze się będzie o nich czytało, a także na uspokojenie sumienia króla Filipa. Te wielkie majątki przyobiecane nam, osadnikom, jakże je kiedykolwiek zdobędziemy, jeżeli nie podbojem? Generał wie doskonale, że wojownicy, przywiązani do swoich domostw i ogrodów i liczniejsi od nas przeszło tysiącrotnie, nie ustąpią ich nam bez zaciętej walki. Ale wszystko po kolei. Naszym obecnym zadaniem jest zabezpieczenie sobie bazy, a im prędzej się to zrobi, tym wcześniej będziemy mogli wyjść na garnizony. Jeżeli nie zajdzie nic złego, do Trzech Króli ujrzysz mnie wozem z kolorowymi piórami na głowie, bransoletami na ramionach i dwoma czy trzema czarnymi zoneczkami, które będą krzątać się koło mnie z tymi barwnymi kardynalskimi kwiatami zatkniętymi

w uszy i nosy. Będą warzyć mi zupę, czyścić mi napierśnik i dłubać paznokciami w szwach mojej koszuli... dalibóg, don Andresie, nigdy w życiu nie byłem tak zawszony, a jednak od dziesięciu dni nie miałem czasu ani cierpliwości się poiskać... i będę miał największe stado najbardziej spasionych świń na całych Morzach Południowych.

- Dwie czy trzy żony, ty Turku rzezany? - zawołał Matia. - Łakomy jesteś na kłopoty. Mnie tutejsze kobiety się nie podobają. Nawet gdyby nie były takie diabelnie czarne, nie umywałyby się do dziewczyn z Markizów. O, tamte to były piękne i gorące! Ale te stworzenia wyglądają na krzyżówkę świni i małpy, i całe są wytatuowane tak gęsto jak zadrukowana stronica.

- Wolę je od twoich rozpróżnionych kurew z Santa Cristina - rzekł Juarez. - W pościeli po ciemku jedna chętna dziewczka jest równie dobra jak inna, a ci wyspiarze przynajmniej trzymają krótko swoje baby. Nie pozwalają im barszkować przez cały dzień po krzakach albo w wodzie; pilnują, żeby porządnie pracowały. Twierdzą, że kobieta, czarna, brązowa czy biała, stworzona jest, żeby służyć mężczyźnie i sprzątać mu uciechę. A ty jak uważasz, don Andresie?

Nie chcąc wdawać się w teologiczną dysputę, odszedłem. Zawsze żywiłem pewną cześć dla kobiet, jak każdy chrześcijanin całym sercem wielbiący Najświętszą Pannę. Jej cnota i świętość dawno zgładziły grzech pierworodny naszej matki Ewy, a ponieważ napisane jest, że narodziła się bez zwały, żyła bez zwały, została Bożą Matką, po śmierci zaś była wzięta do nieba jako istota już doskonała - to przecież tylko głupiec dzieliłby błędy pogańskiego filozofa Arystotelesa, który uważał mężczyznę za arcydzieło Boga, a niewiastę jedynie za twór uboczny lub wynaturzony. Choć znałem w rzeczy samej kobiety, które zwodnicza i krwiożercza pycha czyniła znacznie gorszymi od najniegodziwszego mężczyzny, przecież w ogólności natura kobieca wydaje mi się łagodniejsza, miłosierniejsza i - choć to może wyglądać na paradoks - trudniej dająca się odwieść od dobrych zasad niż natura mężczyzny.

Diabeł wykazał zaiste wielką chytrą kuszając najpierw naszą matkę Ewę, i to w postaci gadającego węża. Pospolita u kobiet ułomnością jest, że urzeka je każda nowość; ale wierzę święcie, że gdyby zamiast do Ewy wąż udał się był do Adama i skusił jego (z równą łatwością) do skosztowania jabłka, Ewa nie byłaby go jadła. „Rzuć natychmiast ten zakazany owoc, mężu - zawołałaby - i biegnij pojednać się z Panem, jeżeli chcesz jeszcze kiedykolwiek spać ze mną pospołu!”

Odkąd zdano sobie sprawę, że w miarę rozbudowy osiedla rosnąć będzie wartość działek budowlanych, miałem więcej zajęcia niż kiedykolwiek. Każdy zagrodnik starał się zająć jak najwięcej ziemi, grodząc palikami działkę, do której rościł pretensję. Mnie przypadło teraz pomierzyć cały teren, narysować jego mapę i przygotować akty nadania po tym, jak generał obliczył, ile ziemi miało być dodane do każdego domu zgodnie z rangą właściciela lub wysokością jego wkładu w wyprawę. Wszyscy byli niezadowoleni z tego, co im przydzielono, zwłaszcza że doña Izabela uparcie żądała zakazu sprzedaży, zastawu czy innego przekazania prawa własności. Po śmierci właściciela ziemia mogła przejść na jego żonę lub dzieci, lub na krewnego do trzeciego stopnia pokrewieństwa, lecz zbyć jej nie miał prawa; gdyby zaś nie pozostawił spadkobierców, miała powrócić na wieczne czasy do donatora, czyli do generała lub jego prawnych sukcesorów.

Don Alwar polecił mi następnie pomierzyć i rozdzielić wszystkie ziemie orne leżące w zasięgu strzału z hakownicy od osiedla. Każdy posiadacz domu mógł wnieść roszczenie do łanu, którego wielkość znów miała być proporcjonalna do jego rangi lub wkładu, lecz dzierżyć go miał na tych samych prawach co działkę przydomową, a ponadto miał z niego płacić miastu dziesięcinę. Dziesięciny te, choć przeznaczone na budowę i utrzymanie urzędzeń publicznych, zdawały się

ciężarem nie do zniesienia. Powstały więc zaciekle spory o przywileje obywateli, które trzeba było rozstrzygnąć na mocy jakiejś konstytucji. Don Alvar polecił mi przedłożyć mu projekt takiej konstytucji do zatwierdzenia, lecz gdy to zrobiłem, podarł go na kawałki i napisał na nowo, kładąc większy nacisk na obowiązki wojskowe i cywilne niż na prawa i przywileje. Musiał zatem mianować nie tylko sędziów pokoju, ale i urzędników miejskich, jak również rządcę, rejestratora kopalń, generalnego kwatermistrza oraz nadzorcę targów, mnie zaś, jak gdybym i bez tego nie miał dość roboty, zrobił sekretarzem miejskim, ale nie pomyślał wcale o podniesieniu mi pensji. Oczywiście byłbym znacznie wolał synekurę, jaką był urząd rejestratora kopalń.

Nieliczni tylko rozumieli, co to znaczy kolonizacja: niejeden osadnik wyobrażał sobie, że pójdzie sobie ze swoją hakownicą i z rodziną, gdzie mu się będzie podobało, i znalazłszy dolinkę, która przypadnie mu do gustu, ogłosi ją za swoją. Tam zaś będzie mógł rządzić do woli swoimi czarnymi poddanymi, ciesząc się całkowitą niezależnością i bez żadnych dalszych zobowiązań względem generała, jeśli nie liczyć obowiązku pośpieszenia mu na pomoc przeciw angielskim korsarzom lub zbuntowanym krajowcom. Żołnierze z miłą chęcią brali się do budowania miasta, które miało im potem służyć za arsenał, miejsce targowe i twierdzę; gdy jednak dowiedzieli się, że ich swobody będą tu bardziej ograniczone niż w Peru i że generał uważa wyspę za swoją prywatną włość, nie tylko odmawiając im wolnego władania majątkiem, lecz nawet zastrzegając sobie prawo cofnięcia im władania warunkowego wedle swego uznania, ogarnęło ich głębokie rozczarowanie i przygnębienie. Niektórzy narzekali teraz, że przydzielona im ziemia nie jest dość żyzna, by rodzić kukurydzę i pszenicę, i że chociaż nieźle jest od czasu do czasu zjeść zapiekankę z bulw tropikalnych z tartymi migdałami, nie zamierzają przez okrągły rok karmić się korzeniami i orzechami.

Sebastian Lejia, który władał dość zgrabnie piórem i był tym, co żołnierze nazywają koszarowym kauzyperdą (to znaczy malkontentem starającym się przekonać kolegów, że oficerowie ograbiają ich i wyzymskują), pożyczył ode mnie pewnego dnia papier, pióro i atrament pod pretekstem, że chce spisać testament, po czym wygotował kolegom do podpisu następujący memoriał.

My, niżej podpisani, wierni i pracowici poddani króla Filipa II, niezadowoleni jesteśmy z miejsca wybranego pod osiedle, które ma tysiąc wad; prosimy zatem pokornie naszego Wielkorządcę, Generała Don Alwara de Mendaña y Castro, aby poniechał go i znalazł bardziej odpowiednie miejsce gdzie indziej na tej wyspie Santa Cruz lub jeśli to niemożliwe, by dotrzymał obietnicy doprowadzenia nas do poprzednio przez siebie odkrytych złotonośnych regionów, gdzie on z kolei będzie miał pełne prawo zażywać tytułów i przywilejów nadanych mu przez jego królewską mość.

Zatoka Łaskawa, dnia 13 października 1595 roku.

Do powstania tego memoriału przyczynił się po cichu don Diego, chcąc zadać cios pułkownikowi. Ostatnie jednak zdanie, które Sebastian dodał za radą kogoś innego, wymierzone było przeciw don Alwarowi: przypominało chytrze, iż przybrał on tytuł markiza przedwcześnie i ogłosił konstytucję dla miasta, którego nie miał prawa budować. Siedmiu żołnierzy przyłożyło swoje podpisy, lecz bojąc się, że będzie im to wytknięte, jeśli wielu innych nie zrobi tego samego, chodzili tego wieczoru od chaty do chaty wyłudzając podpisy obietnicami i groźbami, aż wreszcie ze czterdzieści dalszych znalazło się na papierze. Kiedy Juarez odmówił podpisu, usiłowali go zamordować trochę przed północą, dźgając szpadą w ścianę namiotu, za którą leżał jego siennik; on jednakże wyszedł był się odlać, a gdy usłyszeli go wracającego, pomyśleli, że to jakiś oficer, i uciekli. Zobaczył dziurę w płótnie, więc zabrał rynsztunek i pościel do wartowni, gdzie opowiedział Matii, co wiedział w tej sprawie.

Nazajutrz po nabożeństwie porannym Matia poszedł do Sebastiana, który siedział przy śniadaniu ze znajomkami, i zapytał:

- Czy to prawda, żołnierzu, że chcesz opuścić tę wyspę?

- A, witam, kolego Matia! Podpiszesz ten memoriał?

- Nie jestem żadnym twoim kolegą. Zadałem ci pytanie i czekam na odpowiedź. Chcesz wiać?

- No, pewnie. Cóż my tu możemy dobrego zdziałać?

- To, po cośmy tu przyjechali; a jeżeli poważysz się wtrącać do mnie albo do moich przyjaciół, jak mi Bóg miły, wbiję ci sztylet w serce! Schowaj swoją petycję dla siebie, babo niegodna, bo inaczej przyłożę ci na niej jaką śmierzącą pieczęć.

Od tej pory szukali sobie łatwiejszych zdobyczy. Jeden prostoduszny żołnierz opowiadał mi później:

- Weszli do mojego namiotu i spytali, czy chciałbym być znowu w Limie i popijać czicę z moją dziewczyną w uliczce za katedrą. „Owszem - odpowiedziałem dalibóg chciałbym tego, koledzy. Z całego serca tęsknię do Teresy.”

„Więc podpisz się na tym papierze - powiedział Federico Salas. - To jest petycja z podpisami w kole.”

„Co to takiego petycja z podpisami w kole?” - spytałem.

„To takie zbiorowe zakłęcie - powiedział mi - żeby każdy dostał to, czego pragnie jego serce.”

„Nie umiem pisać.”

„To nic nie szkodzi - powiada. - Możesz przynajmniej postawić swoją cyfrę.”

Więc napisał za mnie moje nazwisko, a ja pod spodem nagryzmoliłem swoją cyfrę, żeby dostać to, czego pragnie moje serce. Wtedy Federico powiedział:

„Teraz, skoroś się podpisał, mój chłopcze, musisz trzymać broń w pogotowiu. I jeżeli dojdzie do walki między pułkownikiem a krewniakami generała, śpiesz do boku pułkownika, jak przystało na dobrego

żołnierza. Ale nie masz strzelać bez rozkazu.”

„A kiedyż to ja robiłem coś podobnego?” - spytałem.

Potem ktoś zapytał mnie, czy krew się we mnie nie gotuje, kiedy widzę, jak generałowa nosi na palcach i szyi dosyć złota na to, abyśmy przez dwa lata mogli weselić się i nic nie robić. Powiedziałem mu, że nigdy o tym nie myślałem.

„Więc musisz myśleć - mówi. - Ta kobieta jest stworzona do mącenia wody. Ale nasze zamysły szybko dojrzewają. Jeżeli kto chce tu zostać, niech zostaje. My płyniemy na wschód, do Peru i wolności!”

„A co pułkownik na to wszystko?” - pytam.

„Mniejsza o pułkownika - on na to. - Dowiesz się, co robić, jak przyjdzie czas. Jesteś z nami, kolego?”

„Jeżeli mój oficer każe mi wsiąść na statek, a główny nawigator nas powiezie - odpowiedziałem - nie będę się ościagał.”

„Do diabła z głównym nawigatorem. Nie ufamy temu obłudnemu Portugalczykowi. Siedzi w kieszeni u generała. Martin Groe, nawigator galeoty, oto człowiek, którego nam trzeba. Doprowadzi nas gdzieś do wybrzeży Chile, pomaszujemy w głąb kraju do Potosi i tam zbijemy fortuny. Nie, nie zaryzykujemy dobiecia do żadnego peruwiańskiego portu.”

„No to kiedy znów zobaczę swoją dziewczynę?” - zapytałem.

„Ach, niech zaraza porwie twoją dziewczynę! - wykrzyknął. - Podpisałeś petycję, na dzisiaj to wystarczy.”

Cała sprawa była w najwyższym stopniu zagmatwana. Pułkownik jak dotąd nic nie wiedział o memoriale, który, choć domagał się tylko porzucenia niedokończonego osiedla, powszechnie był interpretowany o wiele szerzej. Sygnatariusze spodziewali się, że don Alwar przyjmie go, jako osobisty afront i przybędzie na ląd skarcić pułkownika za to, że go milcząco popierał. Po wymianie gniewnych słów i rekryminacji, Barretowie spróbują aresztować pułkownika, to zaś będzie sygnałem do ich śmierci. Generał i jego małżonka będą domagać się pomsty, więc

spotka ich ten sam los, wtedy zaś pułkownik, nie mając prawa do zakładania kolonii, będzie musiał poprowadzić wyprawę z powrotem do kraju.

Wszystkie te kalkulacje były jednak chybione, jak się w przyszłości okaże.

ROZDZIAŁ XVI

PUŁKOWNIK MÓWI, CO MYŚLI

W tym miejscu wózek mój zaczyna grzęznąć, tak unurzany w błocie intryg, waśni, wzajemnych wrogości i podejrzeń, że z trudem mi przyjdzie wyprowadzić koła na twardej grunt pchając i ciągnąc za szprychy.

Jednego popołudnia generał nagle postanowił wysłać głównego nawigatora na okręcie flagowym z powrotem do Callao; miał zawieźć wicekrólowi list wyjaśniający, dlaczego nie natrafiliśmy jeszcze na Wyspy Salomona - powód, jaki spodobało się don Alwarowi podać, był ten, że nieprzychylnie wiatry zepchnęły nas z kursu - i pilnie błagający go o pomoc. Jeśli żywność, proch i narzędzia nie zostaną nam zaraz przysłane, przyjdzie nam niechybnie zginąć, gdyż bez nich nie zdołamy ani utrzymać się na Santa Cruz, ani popłynąć dalej na Wyspy, ani nawet powrócić do Peru. Podyktował mi pismo bardzo wolno, aby uniknąć błędów, po czym podpisał je i zapieczętował drżącymi rękami.

- Czy ekscelencja życzy sobie, bym wezwał głównego nawigatora? - spytałem.

- Nie trzeba - odparł. - I tak niedługo będę z nim rozmawiał. Tymczasem wyświadczyłbyś mi przysługę puszczać w obieg treść tego pisma. Chciałbym zwłaszcza - dla uciszenia zawistnych języków - aby wiadano, że mąki nie zostało nawet tyle, by wyżywić nas wszystkich na morzu przez miesiąc, choćby i przy obciętych do połowy racjach. Zrozum, nie upoważniam cię do rozpowiadania tajemnic stanu, ale

jeśli na ten raz zapomnisz o trzymaniu języka za zębami, bynajmniej nie wezmę ci tego za złe.

Tegoż wieczoru siedziałem właśnie w Sali Map, kiedy wszedł choraży Tomas de Ampuero, który akurat sprawował komendę nad strażą.

- Masz jaki trunek schowany, przyjacielu Andresie? - zawołał. - Nie zostało mi już ani kropelki, żeby rozgrzać sobie wnętrzności.

- Mam tylko małą buteleczkę okowity - odparłem - odłożoną na wypadek choroby.

- A więc na miłość Najświętszej Panny, otwórz ją - powiedział - jesteśmy tu wszyscy chorzy.

Nalałem mu pełny kubek, który wychylił duszkiem. „Jeszcze” - zawołał ocierając usta. Nalałem mu drugi, a wtedy usiadł, żeby pogadać.

- Co nowego? - zapytał.

- Ach, nic - odrzekłem - nic zupełnie. Wszystko po staremu, aż nudno. Jedno tylko... ale powiedz mi, don Tomasie, czy potrafisz utrzymać sekret?

- Nie ma bardziej milczącego człowieka ode mnie na całych Morzach Południowych. Możesz mi wierzyć na słowo, Pyzaty.

- A zatem - powiedziałem - mówiąc ściśle między nami, główny nawigator wraca do Peru. - I zacytowałem parę zdań z napisanego listu.

Zapłonął gniewem w jednej chwili, waląc w stół swoimi olbrzymimi pięściami.

- Jeżeli twój przyjaciel Pedro Fernandez myśli, że mu się uda taka sztuczka - wykrzyknął dorzucając paskudne przekleństwo - straż okrętowa prędko da mu mata. Możesz mi wierzyć, że nigdy nie wyprowadzi okrętu z tej zatoki; wpierv wybilibyśmy dziurę w jego dnie. Generał musiał całkiem postradać zmysły. Nie mówiąc już o szaleństwie spodziewania się świeżych dostaw mąki, i tak dalej - jego kredyt w Limie jest przecie gorzej niż wyczerpany - jakież, u diabła, pożytek widzi w wysyłaniu tego krokodyla, żeby tłumaczył, dlaczego dotąd nie odnaleźliśmy Wysp? Komu się teraz chce ich szukać? Z tego, co słyszę, nie

są one ani lepsze, ani gorsze od tej zakazanej dziury. I czy generał naprawdę wierzy, że Pedro Fernandez zaprowadzi okręt do Callao, nładuje go, zawróci i przyprowadzi tu z powrotem? Na krew świętego Januarego, ja bym tego nie zrobił będąc na jego miejscu; nigdy w życiu nie zbliżyłbym się nawet na tysiąc mil do tej wyspy. Jeżeli ma choćby tyle rozumu co mysz, pożegluje na wschód, nie na zachód, i przyłączy się do swoich portugalskich przyjaciół na Molukkach. To właśnie próbował zrobić, kiedyśmy odplynęli z Markizów, i dopiero podejrzenia generała zmusiły go do skręcenia z powrotem na południe; dlatego też upłynęliśmy Wyspy Salomona całkiem dookoła i zamiast trafić na nie, trafiliśmy tutaj.

Napełniłem mu znowu kubek, choć żał mi było zmarnowanego trunku.

- Ależ, don Tomasiu - zaprotestowałem łagodnie - nie zapominaj, że nasze przybycie tu ma na celu dobro krajowców. Król kazał nam spacyfikować ich i nawrócić, i wydaje mi się, że powinniśmy go usłuchać. Jeżeli nie odeśle się Pedra Fernandeza - a jest to jedyny człowiek zdolny do wypełnienia tej misji - jakże się wicekról kiedykolwiek dowie o naszym ciężkim położeniu i jak nam pomoże wykonywać dalej nasze zadanie?

Twarz mu poczerwieniała jak rozżarzony węgiel.

- Dobro krajowców! - wykrztusił. - Tych gołych czarnych półgłówków! Jakże ich można nawrócić? Sam siebie oszukujesz. Ludzie, którzy raz jedli człowiecze mięso, są po trzykroć potępieni i na wieki odcięci od Eucharystii; wynaturzony gust pozostaje im na zawsze. Jak w pieśni o świętym Jerzym: „Tacy byli, tacy są, tacy zawsze muszą być!” A nawet gdyby tak nie było, dlaczego, na Chrystusa, mielibyśmy skazywać się na śmierć dla ich zbawienia?

- Miarkuj się, przyjacielu - powiedziałem trochę ostro. - Każdy chrześcijanin, który przywiedzie choćby jedną duszę do chrzcielnicy, powinien uważać się za szczęśliwego; a wielu spośród tych Indian

objawia silną skłonność do cnoty... choćby stary Malope.

- Co, Malope? Malope? Chciałbym napakować sobie do brzucha tyle dobrych befsztyków, ile ten chytry stary wilk nażarł się całych ludzi!

Przyłożył sobie flaszkę do ust nie pytając nawet o pozwolenie i opróżnił ją do dna. Po jego wyjściu siedziałem i namyślałem się, czy powtórzyć jego słowa generałowi. Zastosowałem się ściśle do otrzymanych instrukcji i straciłem na tym prawie kwartę okowity. Postanowiłem powiedzieć o tym tylko Pedrowi Fernandezowi, który właśnie wszedł do kajuty.

Wysłuchał mnie spokojnie, lecz zdziwił się zarówno tym, że generał nie powiadomił go dotąd o swych zamiarach, jak również tym, że byłem na tyle niedyskretny, by wyjawić je olbrzymiemu chorążemu, znanemu z gadatliwości.

- Podejrzewasz mnie o niedyskrecję? - spytałem dotknięty w swojej dumie.

- Daruj, nie zrozumiałem. Ale jaki cel może mieć generał w rozpowszechnianiu tej wiadomości? Nie moglibyśmy w żaden sposób odbyć tej podróży, wie o tym doskonale.

- Umysł don Alwara to istny labirynt - powiedziałem - i czasem, skręciwszy o jeden raz za dużo w prawo lub w lewo, generał gubi się w jego mrocznych korytarzach i dochodzi do dziwnych decyzji.

Kiwnął głową potakująco.

- Paskudna sprawa, Andresie Serrano, i Bóg jeden wie, czym się skończy. Ale skoro dałem się zachwiać w swoim postanowieniu wtedy w Paicie, kiedy już się pożegnałem, muszę teraz ponosić konsekwencje. Przyznam jednak, że gdyby tą scena miała się rozegrać na nowo i gdybym wiedział naprzód o wszystkim, co się zdarzyło od tej pory, wahałbym się dalej, czy powtórzyć swój błąd, czy nie. Ostatnio doña Izabela tak łagodnie i miłościwie spełnia rolę mego anioła-stróża, że byłoby z mojej strony podłą niewdzięcznością żałować, iż jestem tutaj, aby jej służyć.

Ślepy był na wszystkie jej wady i knowania, a ja nie miałem serca rozwiązać jego złudzeń.

Później tegoż wieczoru don Alwar powiedział Pedrowi Fernandezowi o ostrzeżeniu, które, jak twierdził, dopiero co otrzymał od kogoś życzliwego: że kapitan pewnego okrętu - nie może wyjawić, którego - zamyśla pewnej ciemnej nocy rozwinąć żagle i chce nas opuścić. Aby jednak nikt nie mógł pomyśleć, że podejrzewa się kogoś szczególnego, należy zdjąć wszystkie żagle, tak z okrętu flagowego, jak z mniejszych statków, przewieźć je na brzeg i umieścić w wartowni. Ponieważ don Alwar nie wspomniał o piśmie do wicekróla, Pedro Fernandez wywnioskował, że ktoś podsłuchał, co mówił po pijanemu chorąży, i doniósł o tym generałowi, i że teraz on, główny nawigator, a nie kapitan Corzo ani kapitan Leyva, jest przedmiotem podejrzeń.

- Wedle rozkazu, ekscelencjo - odrzekł i spojrzał na donię Izabelę, która posłała mu ukradkiem uśmiech pełen współczucia. Prawda zaś była taka, że ponieważ mąż nie zasięgnął był jej rady w sprawie pisma do wicekróla, doña Izabela udała teraz przed nim, że powątpiewa o lojalności Pedra Fernandez. Przez ten podstęp chciała osiągnąć podwójny cel: zamaskować swoją namiętność do głównego nawigatora i zatrzymać go przy sobie. Nie wiem, co jeszcze powiedziała; teraz, gdy w dążeniach do uśmiercenia pułkownika hamowała ją obawa przed utratą dobrej opinii w oczach Pedra Fernandez, nikt już połapać się nie mógł w jej kłamstwach, tak były liczne i kręte. Ona to jednak ukartowała scenę w obozowisku, która miała wstrząsnąć don Alwarem i przerazić go tak, aby na koniec wywarł doraźną zemstę na jej wrogu.

Na skutek jej nalegań udał się następnego ranka na brzeg, aby przywrócić porządek. Ledwie wszedł w bramę obozową, wszyscy trzej Barretowie wybiegli na jego spotkanie ze szpadami w rękę.

- Cóż to znaczy, bracia? - spytał zatrwożony.

- Cóż by, jeśli nie wojnę? - odpowiedział don Lorenzo.
- Przecież zapewniano mnie, że krajowcy są już na najlepszej drodze do spacyfikowania.

- I owszem; te czarne kudłate jagnięta boją się teraz nawet beknąć, ale wojna toczy się po naszej stronie palisady. Nasze życie jest w niebezpieczeństwie.

- Wytłumacz się jaśniej, proszę!

- Nie tu, gdzie mogą mnie usłyszeć żołnierze. Wypytaj pułkownika, nie mnie; właśnie tu idzie. On nigdy nie dba o to, co mówi, do kogo mówi ani przy kim mówi.

Nadszedł wolnym kroczkiem pułkownik i pozdrawiając serdecznie don Alwara, wspaniałym gestem zamiótł przed nim kapeluszem.

- Witaj, ekscelencjo! - powiedział. - Dobrze, że raczyłeś wreszcie odwiedzić swoje miasto-niemowlę, które, choć rośnie szybko i zdrowo, ma nieskończone kłopoty z ząbkowaniem.

- Jak słyszę, twoi dowódcy kompanii mówią nawet o wojnie domowej.

- Aha! To tak się rzeczy mają? - Ręka jego pomknęła do rękojęści szpady, gotowa dobyć jej w mgnieniu oka. - A więc wiedz, że znam trzech łotrów, trzech przeklętych donosicieli i łgarzy, którzy chcą zmusić mnie do pokłócenia się z tobą; i na rany Boga, nie ścierpię ich dłużej! Proszę cię, ekscelencjo, pozwól się ostrzec, że jeśli nie zdołasz albo nie zechcesz ich ukrócić, pewnego pięknego dnia znajdzie ich ktoś wiszących rzędem na gałęzi, z sinymi twarzami i wywalonymi językami.

- O kimże mówisz, przyjacielu? - spytał don Alwar udając zdziwienie. Spodziewał się widać, iż pułkownik schowa rogi i powie, jak wielu innych powiedziałoby w podobnych okolicznościach: „Nie wymieniam nazwisk, ale, na Najświętszą Pannę, mam swoje podejrzenia i błagam waszą ekscelencję o zatkanie sobie uszu na te kalumnie” - na co on

odparłby: „Zechciej zachować swoje podejrzenia dla siebie, don Pedro Merino, dopóki nie znajdziesz słusznego powodu do skargi; wtedy zaś dam ci należną satysfakcję.”

Zamiast tego pułkownik z iście kastylijską szczerością odpowiedział:

- Dobrze, ekscelencjo, skoro mnie zmuszasz, ujawnię to publicznie. Mówię o tym przeklętym łotrze i o tym, i o tym!

I wskazał kolejno don Lorenza, don Diega i don Luisa.

Zaskoczony generał całkiem stracił kontenans.

- Niestety, dostojny panie - wyjąkał. - Mylisz się, bardzo się mylisz.

Choć wargi jego poruszały się nadal, nie wyszło z nich ani słowo więcej; wielkie łzy potoczyły mu się po policzkach i załśniły na włosach brody. Gdyby Barretowie wtedy zdobyli się na odwagę i rzucili się wszyscy razem na pułkownika, doña Izabela osiągnęłaby swój cel i zamordowanie pułkownika uszłoby za uczciwe zabójstwo z zemsty za potrójną zniewagę; ale don Lorenzo spojrział na don Luisa, don Luis znów na don Diega, ten zaś stał niezdecydowany.

Moment minął. Podbiegł bratanek pułkownika i widząc szpady w rękach Barretów, dobył swojej i wystąpił przed stryja. Pułkownik wziął go za kołnierz i odciągnął do tyłu.

- Schowaj szpadę, Jacinto! - krzyknął ostro. - To, że ci galicyjscy roznosiciele piwa pozwalają sobie obnażać broń w obecności swego generała, nie usprawiedliwia podobnych manier u osoby dobrze urodzonej i wychowanej.

Zbliżyło się wtenczas kilku oficerów, on zaś zwrócił się znów do don Alwara:

- Słusznie płaczesz, ekscelencjo - powiedział. - Na Boga, i ja bym płakał mając za krewnych taką złośliwą bandę łgarzy, tchórzów, którzy nie odważyliby się ukraść kotu skórki chleba, którzy zwodzą pospolitych żołnierzy i idą ręką w rękę z piratami i mordercami. (Tu spojrział nienawistnie na kapitana Corzo, który stał obok Barretów.) Z jednym

wyjątkiem samego ekscelencji, który przerastasz mnie o całą głowę, nie dbam tyle co o zas...ą figę o nikogo z twego klanu, od największego do najmniejszego. I od tej pory traktować ich będę jak śmiecie, ponieważ nie mieli nawet tyle odwagi, żeby bronić swego honoru jak szlachcom przystało. Powiem więcej: znów z wyjątkiem waszej ekscelencji i mnie, nie ma tu ani jednego oficera czy żołnierza, który by miał najmniejszą ochotę lub zamiar pozostać na tej wyspie. To ja jeden utrzymuję ich na posterunkach i Bóg świadkiem, że gdyby nie ja, honor waszej ekscelencji walałby się w błocie. Kto mówi o wojnie domowej? Zbrodniarze opłacani przez twoich znamienitych szwagrów obnoszą się tu z memoriałem w sprawie obozu. Wczoraj wieczór usiłowali się zemścić na niektórych starych żołnierzach, którzy nie chcieli go podpisać; ale pies podniósł alarm i wszyscy uciekli jak zmyci. Jednocześnie trzech zamaskowanych zbirów - tu spojrział bystro z góry na dół po Barretach - próbowało wejść do mego domu przez kuchnię, ale mój Murzyn wyszedł na nich z siekierą i przepędził ich. No i co teraz, panie?

Stał w wyzywającej pozie, czekając na odpowiedź don Alwara; odpowiedzi jednak nie było, tylko jeszcze więcej łez. Barretowie wszyscy za jednym zamachem schowali szpady do pochew i odprowadzili szwagra; pułkownik zaś pewnym krokiem wrócił nadzorować żołnierzy budujących nasyp przy rzece.

Don Alwar niebawem odzyskał na tyle ducha, by obejrzeć kościół i rezydencję, już prawie na ukończeniu, jak również kuchnię, warsztaty, wartownię, składy i pozostałe budynki. Chwalił Barretów za ich pilność, przypisując im całą zasługę za to, co było dobrze zrobione, po czym zjadłszy obiad w ich chacie poszedł z nimi oglądać pracę przy nasypie.

Sierżant Dimas zobaczył go nadchodzącego i podbiegł prosić o prywatne posłuchanie. Pułkownik zapłonął gniewem na tak jawne złamanie dyscypliny i wrzasnął za nim:

- Jak śmiałeś pozwolić sobie na coś podobnego, sierżancie? Jak śmiałeś opuścić swój posterunek i zwrócić się do generała bez mojego pozwolenia?

Tamten jednak udał głuchego i stał przed generałem kłaniając się i szurając nogami.

- Proszę, zajmij się nadal swoją pracą, pułkowniku - powiedział don Alwar.

Pułkownik kazał swym ludziom stanąć na baczność i sam zdjął kapelusz, ale poskarżył się na głos towarzyszącemu mu kapitanowi Leyvie:

- Czyż to nie paskudny widok? Jeżeli każdy łobuz będzie mógł zanosić swoje skargi wprost do generała, moi ludzie stracą dla mnie wszelki szacunek.

Don Alwar wziął sierżanta Dimasa na bok, aby wysłuchać, co ten mu miał do powiedzenia, a potem, ściskając go serdecznie za ramię, powiedział tak, że wszyscy słyszeli:

- Nie, nie, jeszcze nie czas. Poczekaj jeszcze trochę, przyjacielu.

Sympatie żołnierzy były po stronie pułkownika, który nigdy nie naraziłby na szwank honoru podwładnych sobie oficerów, pozwalając ich ludziom przychodzić ze zwierzeniami wprost do siebie. Wrócił do pracujących przy nasypie i ignorując don Alwara, który stał w pewnej odległości z Barretami, zwymyślał sierżanta Dimasa tak, że mu uszy poczerwieniały, a ręce drgały konwulsyjnie.

We czwartek, kiedy don Alwar znów przybył na ląd, pułkownikowi spodobało się zamaskować swoją urazę i potraktować go z ugrzecznością poprawnością. Każdy jego ukłon był zniewagą, a im bardziej don Alwar starał się unikać jego uwagi, tym pilniej sypały się one na niego. Tego dnia wytrzymał jeszcze, lecz w sobotę, podbechtany przez donię Izabelę, która nie dawała mu spokoju, powiedział pułkownikowi

zdyszany głosem, jak ktoś, kto przekazuje prędko zlecenie, nim je zapomni;

- Proszę cię, szlachetny panie, daj już spokój z tą komedią. Przy całym swoim ściąganiu kapelusza z głowy i szuraniu nogami jesteś nieposłusznym oficerem, i muszę uznać ciebie jednego odpowiedzialnym za wszystkie bezmyślne plotki krążące teraz po obozie. Cackasz się z żołnierzami i pozwalasz im pleść wszelkie głupstwa, jakie im przyjdą do głowy.

- Ja cackam się z żołnierzami, ekscelencjo! - zawołał tamten zdziwiony. - Przeciwnie, to ja nalegam, aby szanowali cię jako przedstawiciela jego królewskiej mości na tutejszych ziemiach. A jeśli chodzi o plotki, to wylęły się one w kajucie generalskiej, do osiedla zaś przenieśli je twoi znakomici szwagrowie.

- To nieprawda. Najpierw wywołujesz niezadowolenie żołnierzy postępując wbrew mojemu życzeniu i zaprzęgając ich do niemądrego i niewdzięcznego zadania, a teraz uczysz ich kpić sobie ze mnie.

- Kpić z waszej ekscelencji! Za pozwoleniem! A co do niemądrego i niewdzięcznego zadania, to rzeczywiście nie oszołomiłeś mnie zbyt-kiem wdzięczności za wszystko, co zrobiłem...

Ale generał odwrócił się na pięcie z wyrazem obrażonej cnoty i odszedł, sądząc zapewne, że tym razem doña Izabela nie wypomni mu uchylania się przed przykrym obowiązkiem.

Tego popołudnia pułkownik siedział u siebie w domu, rozmyślając gniewnie o swoich krzywdach i popijając palmowe wino, które przyrzędził mu jego Murzyn. Raptem kopnął i przewrócił składane krzeselko i wielkimi krokami wymaszerował z domu, wykrzykując do siebie po drodze. Szukał wszędzie generała i w końcu znalazł go w kościele (gdzie brakowało już tylko ambony), klęczącego u krated przed ołtarzem i nie mającego przy sobie nikogo prócz mnie. Obwieścił swoje nadejście głośnym kaszlem, po czym poprosił o kilka słów rozmowy na osobności. Don Alwar wstał spokojnie z klęczek, przyłożył palec do ust i szepnął:

- Pamiętaj, gdzie jesteś, szlachetny panie.

Pułkownik parsknął śmiechem, który rozległ się głośnym echem dookoła.

- Twoja pobożność jest godna podziwu, ekscelencjo - powiedział - ale dopóki ten budynek nie zostanie jutro poświęcony świętemu jakmu-tam, nie może rościć sobie pretensji do większej świętości niż wartownia albo latryny obozowe.

- Cicho, człowieku, jak możesz mówić takie rzeczy? Nie widzisz krucyfiksu na ołtarzu?

- Wartownia też może się pochlubić krucyfiksem.

- A całe obejście kościelne zostało sownie pokropione święconą wodą.

- Aha, i latryny także - odparował pułkownik. Właśnie widziałem wychodzącego stamtąd księdza Antonia... - I zaniósł się śmiechem, nadzwyczajnie rad z własnego dowcipu. Widząc jednak, że generał zbiera się do odejścia, zagroził mu drogę rozpostartymi rękoma mówiąc: - Nie, ekscelencjo, nie wolno ci jeszcze stąd odchodzić, ta sprawa czekać nie może. Żeby ci dogodzić, niżę głos do szeptu, ale na łzy i boleści naszej Najśodszej Dziewicy, nie przychodzi mi to łatwo.

Don Alwar poznał po jego cuchnącym oddechu i płatającym się języku, że dobrze podpił, i chętnie byłby odtrącił go na bok i wyszedł, gdyby się nie obawiał, że sprowokuje tym pułkownika do rękoczynów.

- Powiedz zatem, co masz na sercu, przyjacielu powiedział z rezygnacją, siadając na stołku - i jeśli pozwolisz, zatrzymamy przy sobie don Andresa, żeby zanotował twoją sprawę. Jest to młodzieniec dyskretny.

- Dyskretny czy niedyskretny - odparł tamten grzmiącym szeptem, wywijając młynca manierką - dbam o to tyle, co o zgniły migdał! Otóż, don Alwarze, wiesz dobrze, że twoja pani nazwała mnie psem. Starym psem mnie nazwała, i nie będę się z tym spierał. Przyznaję, że jestem podobny do starego psa z bliznami na cielsku i poszarpanymi uszami,

postrachu wszystkich kundli, które ośmielą się dobrać do jego skóry. Pies, ekscelencjo, to niekoniecznie uwłaczająca nazwa, skoro każdy szlachcic ceni sobie przyjaźń swojego psa jako najwartościowszą rzecz po przyjaźni swojego konia. I czy widział kto kiedy psa, któremu, jeżeli nie jest wściekły, tak dalece zbywałoby na rycerskości, by pogryzł sukę, co na niego ujada? Ale twoja pani nie poprzestała na „psie”. Nie, na Boga, który odkupił nas wszystkich, nie zatrzymała się na tym, lecz wymyślała mnie paskudnie, i to przy tobie, a nawet wyglądało na to, że chce mi wyrwać włosy z brody. Jednakże nie podniosłem na nią ręki, nieprawdaż, ekscelencjo?

Generał z powagą potrząsnął przecząco głową.

- Nie, byłem istnym arsenałem rycerskości! Kiszka kaszaną nasiąkniętą gorzałką mnie nazwała, i gorzej jeszcze; wyzwisk tych nie zapomnisz łatwo nawet ty, don Alwarze, który rzadko obciążasz pamięć tym, co ci niemiłe.

- Dlaczego wstrzymywałeś się ze swoją skargą do dzisiaj?

- Ze skargą! Na szpadę mojego ojca, która była niezmiernie długa i obficie poplamiona krwią niewiernych, nie przyszedłem się skarżyć, ale ostrzec! My, Merinowie, pochodzimy z Kastylii i zawsze przeskakujemy przez płot zamiast pełzać wzdłuż niego aż do znalezienia dziury, przez którą można by się przecisnąć. A teraz powiem ci, ekscelencjo, otwarcie, chociaż na twoje życzenie szeptem: twoja małżonka, doña Izabela, jest czarownicą nie mniej niegodziwą od owej niesławnej Eutropy, która przypawiła o śmierć wielu mężnych rycerzy w *Historii Palmyryna*.

- Ech, szlachetny panie, naczytałeś się tylu romansów, że twoja wyobraźnia jest otumaniona, i widzisz za każdym płotem złych wielkoludów, karły, czarownice i tym podobne. Moja żona czarownicą! Trzymaj język na wodzy i uważaj na to, co powiesz, don Pedro Merino!

- Wobec tego muszą mówić jeszcze wyraźniej: jest pospolitą wiedźmą! - Podniósł palec wskazujący gestem uroczystego ostrzeżenia.

- Dąży ona nie tylko do mojej zguby w zмовie z braćmi, ale i do

twojej w zмовie z siostrą! Jeżeli się jej nie przeszkodzi, sępy będą niedługo dziobać zarówno twoje oczy, jak moje.

Przez chwilę don Alwar gapił się tępo na niego. Potem jęknął, chwycił się ręką za serce, a twarz pobladła mu jak papier.

Wówczas wystąpiłem naprzód i zacząłem ich błagać ze łzami, żeby nie mówili nic więcej i zapomnieli o słowach, które już padły, tak jak ja obiecywałem o nich zapomnieć. Ale don Alwar byłby spadł ze stołka, gdyby pułkownik go nie złapał. Razem ułożyliśmy go delikatnie na ziemi, rozpięliśmy mu kubrak i koszulę, pod głowę podłożyliśmy poduszkę i przytknęliśmy mu do ust manierkę z winem palmowym. Wkrótce wrócili mu rumieńce, a wtedy pułkownik pożegnał się tym samym chrypliwym szeptem, zapewniając mnie, że o wszystkim już zapomniał, i stąpając na palcach odszedł.

Mniej więcej w godzinę później pomogłem don Alwarowi przejść krok za krokiem do wartowni, gdzie położył się na skrzyni z bronią, ale był tak słaby, że musieliśmy sami podnieść mu nogi. Gdy kapitan Leyva, którego kompania pełniła w tym dniu wartę, zapytał go, co się stało, jęknął:

- Wszyscy jesteście przeciwko mnie, nie wiem dlaczego. Cokolwiek można było zrobić, aby was zjednać, zrobiłem, i zamęczyłem się do szczerń, aby wam służyć. Ale komu mogę zaufać? Każdy tu ma inne cele i pragnienia; nikt nie respektuje rozkazów jego królewskiej mości, który nas tu przysłał. Pułkownik otwarcie odmawia mi posłuszeństwa.

Mamrotał dalej w ten żałosny sposób, gdy wszedł kapitan Corzo, a za nim główny nawigator, który przybył sprawdzić osobiście, czy żołnierze nie pożyczają sobie jego zagli do łatania namiotów. Barretowie nie pojawili się jednak. Kapitan Leyva roztropnie pokiwał głową w milczeniu, bojąc się, że wszelkie słowo współczucia może mu być poczytane za złe; zasadą jego było pozostawać neutralnym w każdym sporze, póki nie stanie się jasne, która strona jest silniejsza. Ale kapitan

Corzo, który choć nie ufał Barretom, skłaniał się w naturalny sposób do ich stronnictwa ze względu na swoją nienawiść do pułkownika, zaklął się na krzyż świętego Dionizego, że don Alvar nie ma powodów do niepokoju.

- Czyż nie jesteście wszyscy twymi sługami, ekscelencjo - zawołał - gotowymi iść za tobą na koniec świata?

Don Alvar uśmiechnął się blade.

- Już to uczyniliście, mój dzielny przyjacielu. A skoro tu już jesteście, czy będziecie mi wiernie służyć?

- To się rozumie, ekscelencjo... nieprawdaż, panowie?

Major przytaknął, a główny nawigator wyraził swoją lojalność w elokwentnych zdaniach. Don Alvar wydał się nieco pokrzepiony na duchu, gdy zaś słońce zapadło za wysepkę, Pedro Fernandez i ja zaprowadziliśmy chorego, podtrzymując go z obu stron, do szalupy, gdzie zastaliśmy czekających na nas braci Barretów.

Przy kolacji don Lorenzo opisał siostram przedpołudniową kłótnię.

- Słyszałam już o tym epizodzie od Diega - rzekła doña Izabela. - No i co się potem działo? Podobno widziano pułkownika wychodzącego z kościoła około drugiej, a później mały Andres przyprowadził mego męża wpółzemdlonego do wartowni.

- Nic o tym nie wiem - powiedział don Lorenzo.

Wszystkie oczy skierowały się na generała, który zwiesił głowę, przyłożył rękę do czoła i błagalnym głosem poprosił donię Izabelę, aby nie wypytywała go na ten temat.

- Niestety, mężu, czy jesteś wciąż tak osłabiony? zawołała. - Ale oto Andres może mówić za ciebie; niech nam opowie, co ci zrobił ten pijany cyklop.

Don Alvar, woląc przedstawić rzecz po swojemu, wypił parę łyków wina na wzmocnienie. Pouczające było słyszeć, jak przeplata kłamstwa z prawdą: czułem, że nigdy więcej nie będę mógł mu wierzyć, tak doskonale przekonujące były jego słowa. Tę część rozmowy, która

dotyczyła kościoła i mówienia szeptem, powtórzył dokładnie, ale potem włożył pułkownikowi w usta następującą skargę: „Przybyłeś bez uprzedzenia, otoczony uzbrojonymi krewniakami, jak człowiek lękający się o swoje życie.” I ciągnął dalej:

- Odpowiedziałem na to: „A gdyby tak było, don Pedro? Sam wiesz, że ich potrzebowałem.”

Puścił to mimo uszu i oskarżył mnie, że zdradzam wojsko - zdradzam, zważcie tylko - nie dając mu więcej siekier i noży do ociosywania drzew „Na Mękę Pańską - powiedział marnujesz, ekscelencjo, dobrych żołnierzy w kraju, gdzie ich obecność nie może przynieść korzyści ani Bogu, ani królowi.”

„Jego królewska mość sam musi o tym rozstrzygnąć” - powiedziałem, na co on odparł: „Na szpadę mego ojca, nie dbam ani tyle, co o zgniły migdał, o ciebie i o tę zmiję, twoją małżonkę, która tak paskudnie mi naubliżała! Jestem Kastyljczykiem, który nie lubi obwijać niczego w bawełnę, i ostrzegam cię otwarcie, że jeśli ona jeszcze raz wystawi moją cierpliwość na próbę, sępy będą niedługo dziobać zarówno jej oczy, jak twoje!”

Doña Izabela roześmiała się głośno.

- Naśladujesz pułkownika do złudzenia, panie mój! - rzekła. - Ale czy skarżył się na jakąś szczególną obelgę?

- Owszem, że nazwałaś go psem, i to przy mnie. Może powiedziałby więcej, ale oburzenie zmoгло mnie i zemdlałem. Potem Andres ocucił mnie z wielką troskliwością i zaprowadził do wartowni.

- No, i gdybym ja nie natarła mu uszu, któż inny by się ośmielił? Przecież nie ty, drogi mój panie.

Nazajutrz rano udaliśmy się na brzeg, damy zarówno, jak mężczyźni, by asystować przy poświęceniu kościoła, którego to obrzędu dokonał uroczyście i z wielkim przejęciem ksiądz Juan, choć żołnierze dość skąpo wyrażali radość. Potem don Alwar chwiejąc się na nogach, formalnie objął wyspę w posiadanie. Musiał dowiedzieć się o treści

petycji z podpisami w kole, bo zatykając królewski sztandar mówił o „tej wyspie Santa Cruz, najdalej na zachód wysuniętej z Wysp Salomona, których król Filip łaskawie mianował mnie wielkorządcą.”

Wiwaty na zakończenie ceremonii nie były ani gromkie, ani jedno-
głośne; usłyszałem, jak stojący obok mnie osadnicy mamrocą pod
nosem przekleństwa, a potem jakaś kobieta powiedziała: „Jego królewska
mość może sobie wziąć tę wyspę; ja tam nie dałabym za nią ani
złamanego maravedí.” Słowa te powitał wybuch stłumionego śmiechu.

Gdy zasiadłem do spisania mowy generała dla archiwum Rady do
Spraw Indii, przyszedł do mnie Pedro Fernandez i rzekł:

- Przyjacielu Andresie, aby uratować reputację moją jako nawigato-
ra i don Alwara jako geografą, zechciej zmienić słowa „wysuniętej
najdalej na zachód” na „najdalej na wschód”.

- Nikt na świecie nie zdoła mnie odwieść od mojego obowiązku -
odparłem z żartobliwą surowością. - Kiedy dojdę do tego zdania, ni-
czego nie ujmę i nie dodam, a jednak podejmuję się spełnić twoje ży-
czenie. „O” umieszczone przed słowem *este* (wschód) jest tylko zerem,
rzeczą bez znaczenia; i jeśli kto odczyta to słowo jako *oeste* (zachód),
nie potrzebuję odpowiadać za taką pomyłkę.

Pułkownik, wierny zobowiązaniu, że zapomni o tym, co zaszło w
kościelce, przedłożył teraz don Alwarowi do zatwierdzenia plany czę-
stokołu, który miał służyć za schronienie dla kobiet i dzieci w razie
ataku na osiedle. Miał on być zbudowany na pagórku, w jedynym miej-
scu, skąd można było skierować ogień kryjący na plażę. Don Alwar
odrzucił plan, ponieważ był to teren przynależny do rezydencji, i doña
Izabela, która po obejrzeniu go poszła do chaty swych braci, chciała na
tym właśnie pagórku urządzić plac do zabaw. Wskazał inne miejsca
jako bardziej odpowiednie, lecz pułkownik rozprawił się z jego argu-
mentami druzgocąco, tak że don Alwar nie wiedział już, co ma mówić.
Choć przyznawał, że budowa częstokołu jest sprawą nader pilną,

odłożył decyzję do chwili, kiedy upora się z całym mnóstwem dokuczliwych sporów o akty nadania, prawa przejazdu, utrzymanie ogrodzeń i tym podobne, i w końcu wrócił na okręt flagowy nie postanowiwszy niczego. Miał niewątpliwie nadzieję, że pułkownik weźmie jego milczenie za przyzwolenie i zbuduje częstokół na pagórku, co byłoby niezłym pretekstem do aresztowania go.

Tej nocy tuż przed świtem ozwały się trąbki i bębny i w całym obozie zdawał się panować tumult. Słychać było ryk pułkownika: „Do broni, do broni! Wszyscy na posterunki. Szykujemy się, aby ich przyjąć.” Nie można było jednak wyróżnić żadnych wrzasków krajowców. Była to wachta głównego nawigatora i w nieobecności kapitana artylerii, który nocował na lądzie, kazał on zbrojmistrzowi wypalić z działa stojącego w pogotowiu, z lufą skierowaną na najbliższą wioskę na brzegu; polecił jednak przedtem podbić lufę nieco w górę, aby kula przeleciała ponad chatami, nie czyniąc żadnej szkody. Huk wystrzału sprawił, że generał wybiegł na pokład w nocnej koszuli, ze szpadą w ręce, i szcękając zębami zapytał, co się tu dzieje na Boga.

- Sądząc po krzykach - odrzekł Pedro Fernandez - krajowcy mieli właśnie zaatakować obóz. Kazałem wystrzelić z działa ponad ich głowami, aby im przypominieć, że trzymasz czujnego psa na straży.

Nasłuchiwaliśmy pilnie. W wiosce wrzeszczały kobiety, a z obozu rozległy się okrzyki konsternacji i zamieszania. Niebawem z ciemności wyłoniło się czółno i don Alwar zawołał głośno: „Straż! Szykować się do odparcia nieprzyjaciela!” Lecz był to tylko don Diego, który wdrapał się na pokład na wpół ubrany, drżący ze strachu i niezdolny do złożenia jasnego meldunku.

- Pułkownik chce wymordować nas wszystkich - wyszłochał - ciebie, mnie, moich braci i siostry, i kapitana Corzo także... przybyłem cię ostrzec.

W rzeczywistości uciekł pozostawiając braci ich własnemu losowi. Wkrótce potem wrzawa w obozie ucichła jakby na rozkaz i przez wodę dobiegł nas wyraźnie głos chorążego królewskiego:

- Ahoj, oficerze dowodzący strażą, czy mnie słyszysz? Pułkownik kłania się generałowi i prosi go, aby zaraz przysłał lontu i prochu. Lontu i prochu!

- Nie zwracajcie uwagi - błagał don Diego. - To Toribio de Bedetera. Należy do spisku, aby zwabić cię na brzeg i tam poderznąć ci gardło. Boję się, że moi bracia już nie żyją.

I znowu zaczął płakać.

- Gdzie jest don Jacinto Merino, oficer dowodzący strażą? - spytał generał. - Czy i on należy do spisku?

Ale nikt jakoś nie wiedział, co się z nim stało.

Gdy nadszedł świt, wysłano na ląd zbrojmistrza w szalupie z beczką prochu i paroma łożkami lontu. Miał polecenie krzyknąć: „Wszystko dobrze”, jeśli zastanie Barretów przy życiu, w przeciwnym zaś razie milczeć. Czekaliśmy w wielkim napięciu i niebawem dobiegł nas pocieszający okrzyk.

Dowiedzieliśmy się później, że nasze obawy były bezpodstawne; pewien młody wartownik, przestraszony odgłosem gałęzi ocierających się o jakieś słupy, zaalarmował strażę krzykiem: „Dzicy napadają!” Wtedy pułkownik dał rozkaz chwycenia za broń, ale żadnych krajowców widać nie było, natomiast późniejsze krzyki wywołane były odkryciem, że arkabuźnikom z kompanii kapitana Corzo zabrakło prochu i lontów. Cała sprawa skończyła się kocią muzyką i wesołym śmiechem, lecz wieść o tchórzostwie don Diega dostała się na ląd za pośrednictwem zbrojmistrza i obiegła wszystkie chaty.

ROZDZIAŁ XVII

MALKONTENCI

Pułkownik użyczył księdzu Antoniowi pomieszczenia w swoim dużym nowym domu do czasu ukończenia budowy plebanii, wikariusz natomiast nocował jeszcze na okręcie w kabinie opróżnionej przez Juana de la Isla. Pewnego dnia wracając ze mszy wszedł do Sali Map z poważniejszym niż zwykle wyrazem twarzy, ja zaś widząc, że ma jakąś prywatną sprawę do głównego nawigatora, ucałowałem jego krzyż i zostawiłem ich samych. Później Pedro Fernandez opowiedział mi:

- Wikariusz przyszedł mnie ostrzec, że wojsko postanowiło opuścić wyspę. Nie może mi powiedzieć, dokąd chcą płynąć ani kogo zamierzają wziąć za nawigatora, ale pewien jest, że w razie potrzeby użyją siły. Błagałem go, żeby udał się jeszcze raz na brzeg i namówił ich do pozostania na posterunku ze względu na obowiązki, jakie mamy wobec krajowców.

„Jeżeli o mnie chodzi - powiedział wzruszając ramionami - chętnie zostałbym na tej wyspie choćby i parę lat i nauczał krajowców. Ale jeśli Bóg zrządzi inaczej, mój synu...”

- Jesteśmy tu zaledwie miesiąc - rzekłem z oburzeniem - i już do tego doszło?

Chodząc tam i z powrotem po wąskiej kajucie Pedro Fernandez wybuchnął:

- Ach, jakąż chwiejną wieżę zamętu wznieśliśmy na popiołach ambicji, niezgody, chciwości, próżności i mściwości! Wkrótce wszyscy

zginiemy pod jej gruzami, przyjacielu Andresie, jeśli nie będziemy niezłomnie wierni Panu Bogu i królowi. Nie mówiłem ci jeszcze, że wczoraj po południu ktoś chciał mnie zabić, gdy stałem przy bezanmaszcie. Strzał oddany był z zarośli za plażą. Drugi strzał poszedł w stronę fregaty. Nie wiem, do jakiego tam ptaka mierzono; może do Francisca Frau, nawigatora. Ale z łaski boskiej obie kule chybiły.

- Po co by chcieli cię zabijać? - zawołałem przerażony.

- Któż to wie? - odparł wysuwając naprzód dolną wargę. - Może po to, aby ich przyjaciel Martin Groe z „San Felipe” mógł objąć po mnie funkcje głównego nawigatora? Odkąd wypłynęliśmy z Callao narobiłem sobie wielu wrogów, począwszy od pułkownika, a skończywszy na oficerze rachunkowym, i liczba ich z każdym dniem rośnie. Kapitan artylerii nienawidzi mnie teraz, bo kazałem zbrojmistrzowi wystrzelić z tej armaty; a przecież zrobiłem to nie z chęci mieszania się do spraw wojskowych, tylko po to, by osłonić oficera dowodzącego strażą, który używał sobie wtedy w cudzym łóżu. Gdyby go generał przyłapał, byłoby doszło do krwawego mordy.

Nie wyjawiał imienia kobiety, o którą chodziło; szeptano jednak, że doña Mariana już się pociesza po owdowieniu i zamyśla o trzecim małżeństwie.

Don Alwar świadomie ignorował dysydenckie nastroje na lądzie w nadziei, że przyczynią pułkownikowi kłopotów i upokorzeń. Czuł się bezpieczny w kajucie generalskiej pod ochroną dział okrętowych i stałej straży, złożonej z dobranych ludzi; gdyby żołnierze chwycili za broń, udałby się na brzeg jako ich opiekun, rozwinąłby królewski sztandar i zakuł pułkownika w żelaza. Nie brał jednak pod uwagę powszechnej nienawiści do Barretów, która sprawiała, że sympatie większości malkontentów przechylały się na stronę pułkownika.

Pułkownik ze swej strony nie zrobił nic. Świadom własnej prawości i obowiązkowości i niewiele dbając o przyszłość, pozostawiał

generałowi wygaszenie pożaru, który złośliwie wzniecali jego szwagrowie. Wystarczało mu, że wojsko sprawiało się jeszcze gracko na musztrze i pracowało dobrze pod jego rozkazami.

Ale w przekonaniu Pedra Fernandeza płomienie rozprzestrzeniały się szybko, więc martwił się bardzo widząc, że nawet wikariusz patrzy na to obojętnie, założywszy z rezygnacją ręce. Powiedziałem mu:

Ksiądz Juan nie ma obowiązku interweniowania w sprawie dyscypliny wojskowej, chyba żeby zarówno don Alwar, jak pułkownik zwrócili się do niego o pomoc. Póki mają z sobą na pieńku, nic poradzić nie można. Jest to choroba, która musi się przesilić, abyśmy mogli mieć nadzieję na polepszenie.

- Nie zgadzam się z tym - zawołał. - Podejmuję się uspokoić ludzi w pół godziny, jeśli mi tylko don Alwar pozwoli!

- Moim zdaniem - odrzekłem - zwracanie zbytnej uwagi na szemranie kilku wartogłówów może mieć tylko złe skutki. Gdy byłem wczoraj na łądzie, nie widziałem żadnych oznak buntu. Dopóki słuchają swoich oficerów...

Ale mimo, że usilnie go od tego odwodziłem, poszedł do kajuty generalskiej.

Doña Mariana siedziała tam sama, wachlując się ze znużeniem.

- Gdzie generał? - spytał ją.

- W spiżarni - odpowiedziała. - Moja kochana siostra przekonuje go pilnie, że nie stać nas na żywienie nikogo więcej poza naszą najbliższą rodziną. Sumy, które do tej pory co tydzień potraçał ludziom z pensji lub wkładów, już nie pokrywają wartości prowiantów, jakie przywieźliśmy z sobą, ponieważ nie można zdobyć nowych na ich miejsce. Siostra powiada, że księża muszą odtąd utrzymywać się z funduszu kościelnego, a reszta musi radzić sobie, jak potrafi. Może się postara zrobić wyjątek dla ciebie, a może nie. Ale nie stójże tak z czapką w rękę, człowieku! Oto krzesło; siadaj i baw mnie przez chwilę, póki nie wrócą.

Musisz teraz mieć sporo wolnego czasu, skoro żagle schowane są w wartowni i nie potrzebujesz się kłopotać o codzienną robotę. Powiedz mi coś na rozweselenie; nie wyobrażasz sobie, jak się nudzą, odkąd moi o bracia przenieśli się na łód. Powiedz mi, co ci ślina na język przyniesie!

Usiadł niechętnie.

- Niedobre mamy czasy - powiedział. - Obawiam się, że nie jestem usposobiony do żartów i dowcipkowania. Ale skoro każesz, pani...

- Mówmy o miłości - rzekła. - Miłość jest najciekawszym tematem w całej naturze; jakże szczebiotały o niej wróble pod okapami naszego domu w Corunnie! A i tu, na drugim końcu świata, czworonożne nietoperze piszczą i męczą się podobnie w cieniu drzew nad rzeką. Czyś zauważył, jak te kochliwe stworzenia zwisają z gałęzi głową na dół niby czarne gruszki, po pięćset na jednym miejscu?... Powiedz mi, don Pedro, kiedy zakochałeś się po raz pierwszy?

- Za pozwoleniem, pani! Mieszać miłość ludzką ze sprośnością nietoperzy i wróbli to obrażać naszego Stwórcę. Skoro jednak mnie pytasz - zakochałem się tylko raz jeden w życiu: stanem górowała nade mną znacznie, będąc najmłodszą córką licencjata, a do tego najcnotliwszą i najpiękniejszą ze wszystkich znanych mi kobiet. Z łaski Najświętszej Panny odwzajemniła moje uczucia, a jej ojciec nie wzgardził moimi konkurami; w niespełna sześć miesięcy po oświadczeniach pobraliśmy się i z biegiem czasu urodził nam się syn, obecnie pięcioletni. To wszystko, co mogę powiedzieć ci, pani, o miłości.

- Szczęśliwy jesteś, zaiste - rzekła doña Mariana. Chciałabym, aby barwne dzieje mojego serca były równie niezamącone... i myślę, że tego samego pragnęłaby moja siostra. Nie umiesz sobie przedstawić, przyjacielu, jak ciężka jest dola szlachetnie urodzonej kobiety, której mąż żyje i która musi dbać o swoje dobre imię, gdy bez powodu i niespodzianie don Kupido wypuszcza kolczastą strzałę i lokuje ją głęboko w jej sercu. Cóż ma biedna czynić? Wyjawić swoją namiętność byłoby

nieroztropnie; zaspokoić ją byłoby hańbą. Czy powinna wypowiadać się księdzu? Ale robiąc tak przedstawiłaby jako grzech śmiertelny coś, co jeszcze jest tylko nieszczęściem, i jej cierpienie zwiększyłoby się o ciężką pokutę; przecież nic złego się nie dzieje, póki słowem lub znakiem nie da poznać swych uczuć ukochanemu, zmuszając go w ten sposób, by cierpiał słodko z nią razem. Musi więc albo zamartwiać się w milczeniu, spalając się z wolna na śmierć, albo też niebacznie dać upust namiętności i gorzeć na wieki w piekle. Wyobraź sobie jej udręki: oto stoi, przestępując z nogi na nogę; pójść nie śmie, zostać w miejscu nie może. Lituj się nad nią, szczęśliwy człowieku, dla którego ścieżka miłości usiana była zawsze nie bolesnymi kolcami, ale zdrowymi i niewinnymi stokrotkami. Co do mnie, dziękuję Świętym Pańskim, że wystarczył mi ból spowodowany moją wielką stratą; że nie zaznałam odtąd mąk występnej i nieodwzajemnionej miłości.

Pedro Fernandez pojął doskonale, że doña Mariana nie mówi ogólnikami, lecz zaznajamia go ze stanem uczuć doni Izabeli. Mieszanina zgrozy i radosnego uniesienia, jaką napełniło go to odkrycie, którego mimo wszystko nie śmiał uznać za prawdziwe, wzburzyła go tak bardzo, że nie umiał znaleźć słowa odpowiedzi. Doña Mariana przypatrywała mu się bacznie, z okrutnym uśmieszkiem.

Nie przyszedł jeszcze bynajmniej do siebie po tym wstrząsie, gdy wszedł generał z samą donią Izabelą, i z największym trudem przypomniał sobie misję, z jaką tu przybył. Wstał pośpiesznie i przedstawił swoją prośbę, nie w formie przemówienia, które był sobie przygotował, lecz w słowach dobranych na chybił trafił i wypowiedzianych niepewnym głosem.

Don Alwar zauważył jego zmieszanie i podejrzewając od razu, że pochodzi z nieczystego sumienia, osadził go krótko:

- Dziwię się, przyjacielu, że ośmieliłeś się wystąpić do mnie z tak niesłychanym żądaniem.

Główny nawigator odnalazł wątek myśli i zapytał, czemu by miało się je uważać za niesłychane.

- Żołnierze nigdy nie zechcą wysłuchać niczego, co byś im miał do powiedzenia w obronie tej wyspy lub mojej osoby - usłyszają. - Postanowili sobie iść swoją własną głupią drogą, do której zachęca ich pułkownik, a twój apel dołączy tylko oliwy do ognia. Zakazuję ci iść do nich!

Mimo to don Alvar przywołał go później raz jeszcze i pozwolił mu zrobić to, o co prosił, jednakże pod pewnymi warunkami. Prawdopodobnie doña Izabela przejawiała tymczasem grożące nam niebezpieczeństwa; powiedziała zapewne, że wobec niechęci Pedra Fernandeza do pułkownika można na razie liczyć na jego wierność i że byłoby korzystne, gdyby przekonał choć kilku buntowników (jak podobało się jej ich nazywać), iż zostali wprowadzeni w błąd.

Główny nawigator odgadł, że ujęła się za nim, i szykował się do zejścia na brzeg nazajutrz rano z żarliwością rycerza, który wybiera się na turniej z rękawiczką bogdanki przypiętą do hełmu. Poprosiłem, by wolno mi było być świadkiem tego, co się będzie działo, i don Alvar dał mi zezwolenie. W rzeczywistości nie mogłem znieść myśli o pozostaniu na pokładzie, ponieważ bałem się o los Pedra Fernandeza, gdyby wzbudził wściekłość żołnierzy zbyt naiwnym wezwaniem do wierności.

Gdyśmy stanęli na brzegu, podszedł do nas Tomas de Ampuero.

- Wybierasz się do Peru z pismami, nieprawdaż? - spytał głównego nawigatora szydlerczo. - Czy zechcesz wyświadczyć mi tę grzeczność i zawieźć coś także ode mnie?

I odwrócił się do nas tyłem, jakby miał puścić wiatry. Następnie zbliżył się major z miną człowieka, który obawia się najgorszego, i mruknął:

- Niebo brzydko wygląda, panowie. Nie śmiem pomyśleć, co może nastąpić.

Był z nim kapitan Corzo, który posłyszawszy od Pedra Fernandeza, w jakiej przybywa misji, zauważył:

- Śmiały z ciebie człowiek, ale boję się o ciebie. Żołnierze grozili już, że cię zabiją.

Nie zwróciliśmy jednak większej uwagi na żadnego z tych oficerów, wiedząc dobrze, co są warci.

Przybyliśmy do wartowni, gdzie Pedro Fernandez wyłuszczył swoją sprawę adiutantowi, który powiedział sucho:

- Pułkownik będzie niezmiernie obrażony, żeś przybył przemówić do jego ludzi, jakby sam nie umiał ich utrzymać w korbach. Radzę ci, unikaj z nim spotkania; weź ludzi gdzieś, skąd nie będzie was słychać, i streszczaj się... jeśli potrafisz.

Cały obóz wkrótce obiegła pogłoska, że główny nawigator przyniósł jakieś orędzie z kajuty generalskiej, i nie minęło wiele czasu, a otoczył nas podniecony i zaciekawiony tłum.

- Przyszyła mnie tu generał - oznajmił głośno Pedro Fernandez. - Chodźcie ze mną na cmentarz kościelny; tam do was przemówię.

- Dlaczego sam nie przychodzi? - krzyknął ktoś.

Główny nawigator zignorował to pytanie i szedł dalej.

Gdyśmy przybyli pod portyk kościoła, odwrócił się i podniósł dłoń, wzywając do ciszy. Żołnierze zebrali się wkoło w cieniu olbrzymich paproci rosnących tam na przemian z niskimi liściastymi drzewami, które nazywaliśmy żółcieniami.

A oto moja kronika tego, co się wydarzyło, spisana wieczorem tego samego dnia. Należy ją odczytać jako scenę z niedokończonej tragedii zbójckiej pod tytułem *Wyspy szaleństwa*. Ręczę, że sławny imiennik admirała, don Lope de Vega Carpio, napisał niejedną mniej ciekawą dla madryckiej sceny.

Scena: przed kościołem świętego Szymona. Wchodzą:

Główny Nawigator z Andresem Serrano, Sierżant Jaime Gallardo, Osadnicy Miguel Geronimo i Melchior García, Żołnierze: Salvador Alemán, Sebastian Lejia, Federico Salas, Gil Mozo, Juarez Mendes, Matia Pineto i inni.

Główny Nawigator (*z jedną ręką wspartą o biodro, a drugą wzniesioną oratorskim gestem*): Panowie, jestem do waszych usług. Proszę was, zgłaszajcie swoje pretensje po jednemu, a rozpatrzę je sprawiedliwie, zgodnie z danym mi pełnomocnictwem.

Głośny rozgwar głosów: Do diabła z tobą! Czy to prawda, że wyprawiasz się do Callao? Po co? Łajdaku, zdrajco, czy myślisz, że jest tu chociaż jeden, który wierzy ci, że wrócisz?

Główny Nawigator: Po jednemu, panowie, po jednemu.

Głos: Jak mówiła papuga w zamtuzie! (*Głośne śmiechy*)

Sierżant Gallardo (*przekrzykując wrzawę*): Zaraza na was wszystkich! Słuchajcie mnie! Główny nawigator jest najuczciwszym i o najlepszych chęciach człowiekiem w całej flotylli, głowę dam za to. Ale co nam z tego? Słuchajcie mnie, zuchy!

Krzyki: Cicho, niech mówi sierżant Gallardo!

Sierżant Gallardo: Jeżeli bezpiecznie dopłynię do Peru, opisze nasze położenie i poprosi o pomoc, wicekról roześmieje mu się w nos. Jakżeby mógł inaczej, gdy się dowie, jak spartołono tę wyprawę? Trzeba by łgarza nie lada - istnego Ananiasza - do namówienia kupców z Limy, żeby wyrzucili w błoto jeszcze więcej pieniędzy. Ponieważ jest człowiekiem uczciwym, główny nawigator nie wywiąże się z tego zadania. Nie będzie nawet mógł wrócić do nas z pustym okrętem, bo kanonik z Panamy zajmie go za długi. Głosuję zatem, chłopcy, aby odradzić generałowi wysłanie „San Geronimo” do Peru, chyba że razem z „San Felipe” i „Santa Catalina”, i z nami wszystkimi na pokładzie.

Krzyki: Niech żyje Jaime Gallardo! Tak wszyscy uważamy!

Główny Nawigator: Dziękuję ci, sierżancie, za dobrą opinię o mnie. Ale cóż to za pogłoski o jakiejś podróży do Peru? Generał nie wspominał ani słowem, że mnie tam chce posłać.

Gil Mozo, ordynans: Kłamstwo! Don Tomas widział na własne oczy pismo do wicekróla. Spytaj swego grubego przyjaciela, czy tak nie było.

Andres Serrano: Panowie, słowo wam daję, że nic podobnego nie było; a choć generał rzeczywiście zastanawiał się, czy nie posłać po pomoc, uznał to wkrótce za niemożliwe i kazał przenieść na brzeg żagle ze wszystkich statków.

Główny Nawigator: Teraz, kiedy to nieporozumienie zostało usunięte, chciałbym wysłuchać waszych pretensji.

Melchior Garcia, jeden z osadników (*opryskliwie*): Czy wasza dostojność wyobraża sobie, żeśmy tu przyjechali uprawiać ziemię? W Peru jest milion akrów ziemi, gdybyśmy chcieli zostać rolnikami. Ale myśmy sprzedali nasze warsztaty pracy ze stratą, żeby pojechać za generałem Mendañą na Wyspy Salomona i tam zrobić majątki na kopalniach złota.

Główny Nawigator (*głosem sprawiedliwego*): Nie, zgłosiliście się ochotniczo na służbę Bogu i królowi Filipowi, a naszym uznanym celem było zawsze nawrócenie pogan i spacyfikowanie tych wysp, nie wydobywanie złota. (*Wrzawa i gwizdy.*)

Melchior Garcia: To nie ma nic do *rzeczy*. Obowiązki mamy względem siebie samych, nie względem dzikich, a ta wyspa nie jest jedną z tych, o których mowa w królewskim rozkazie. Ziemia tu jest zła i nie mogłaby być gorsza. Nie chcemy tu zostać, możesz to powtórzyć generałowi. Wieźcie nas albo na Wyspy Salomona, albo z powrotem do Peru, albo do jakiejś innej części świata, gdzie są chrześcijanie. (*Głośne wiaty.*)

Główny Nawigator: Dlaczego twierdzisz, że ziemia tu jest zła?

Melchior Garcia: Rodzi tylko trochę wodnistej okopowizny. To nie jest ziemia do uprawy pszenicy.

Główny Nawigator: Przyznaj się, człowieku, że nigdy nie byłeś rolnikiem! Czy narzekasz dlatego, że nie możesz zebrać dzisiaj tego, coś wczoraj zasiał? Don Andresie, znasz tego osadnika? Jakie było jego

zajęcie, kiedy przyłączył się do nas?

Andres Serrano: To Melchior Garcia, lat trzydzieści, kawaler, pochodzi z Limy. Mam dane o jego przeszłości w moim rejestrze. Po rozwiązaniu jego kompanii nie poszukał sobie lepszego zajęcia niż żebranina na rogu ulicy, aż generał z litości wyekwipował go jako ochotnika. Nie pozostawił za sobą nic, czego by mógł żałować. (*Wiwaty, gwizdy i śmiechy.*)

Główny Nawigator: Znam więcej takich jak on: ludzi, którzy nie mogli spojrzeć w oczy Nowemu Światu, więc pożeglowali szukać jeszcze nowszego. Jak Peruwiańczycy pędzą zazwyczaj życie, jeśli nie w nieustannym trudzie, aby zarobić na utrzymanie? A ilu z nich udaje się, nawet po latach ciężkiej pracy, zabezpieczyć sobie starość przez uzbieranie pełnego garnka srebrnych pesos? Przyznajcie się, panowie! W domu byliście bogaci tylko w nadzieję; tu zaś macie daną od Boga szansę zamienienia tej nadziei w rzeczywistość. Działka dziewiczej ziemi nie kosztuje was nic, talerz dobrej stawy czeka zawsze gotowy, a dwóch tygodni pracy wystarczy, aby mieć wygodny domek. Pracujcie więc, zdobywajcie sobie utrzymanie. Kiedyś, gdy odegnacie na dobre wilka niedostatku, który do tej pory wył pod waszymi drzwiami, będziecie mogli się zabawiać takimi wyszukanymi rozrywkami jak dobywanie złota z ziemi i poławianie perel. Kiedyś, ale nie teraz. (*Ironiczne wiwaty.*)

Federico Salas, młody żołnierz: Nie, ani teraz, ani za dwadzieścia lat, ręcę za to. Będziemy starcami, nim nadejdzie ten dzień. A tymczasem w obrębie tysiąca mil nie mamy tu winiarni ani sklepu cukiernika.

Ochrypty Głos (*śpiewa*)

W Limie, w każdej winiarni
Dla żołnierza-szczęściarza
Pełno tęgiej małmazji,
Pełno... (*Ryki śmiechu.*)

Główny Nawigator (*do Federica*): Więc spodziewałeś się zastać tu wszystko gotowe, aż do najdrobniejszego wesołego szeregółu? Miasto pełne kościołów, gospód i sklepów, i twój własny dom pięknie umeblowany... stół nakryty, piwniczka pełna wyborowych win i „Witaj” wypisane wielkimi literami kredą na drzwiach? Czy tak? A jak myślisz, w jaki sposób powstały Toledo, Sewilla, Rzym i inne wielkie miasta tego świata? Zaczęło się od paru szałasów zbudowanych przez dzielnych ludzi, których następcy korzystali z owoców ich pracy i błogosławili ich pamięć. Po trochu, stopniowo kamień i dachówki zastępowały plecionkę i strzechy, aż wreszcie skromne początki zostały uwieńczone wspaniałością katedr i pałaców.

Miguel Geronimo, jeden ze starszych osadników: Nie słuchaj pojedynczych leniwych nicponiów, wasza dostojność. Wszyscy chcemy pracować, ale kto może uprawiać ziemię bez narzędzi?

Główny Nawigator: Gleba tu jest dość pulchna, by można ją było obrabiać drewnianymi łopatami do czasu, kiedy będziemy mogli postać po żelazne.

Gil Mozo: Cieszysz się z góry na to, że po nie pojedziesz. Kiedy zobaczę, jak kopiesz własny kawałek ziemi drewnianą łopatą, uwierzę ci.

Główny Nawigator: Krzywdzisz mnie. Cały trud prowadzenia was po nieznanym morzach, wyznaczania kursu, wyężaniu oczu po nocy, czy nie widać raf i skał, ponosiłem ja jeden...

Gwar Głosów: Ale dlaczegoś nas tu przywiózł? Przecież to nie są te wyspy, które kazano ci odnaleźć. Zabierz nas stąd i płynmy dalej!

Główny Nawigator: Panowie, błagam was! Gryziecie wciąż jedną i tę samą kość, a przecież jest też inna, na której możecie wypróbować zęby. Wiedźcie zatem, że domagacie się niemożliwości. Przybyliśmy tu z wiatrami i póki one wieją, wracać nie możemy, chyba żeglując wiele setek mil na północ, poza linię równika, aby złapać wiatry

przeciwne. Nie mamy dosyć żywności na tak długą podróż, nawet gdybyśmy pozostawili tu co trzeciego z nas; a z braku kadzi i dzbanów na wodę zginęlibyśmy z pragnienia jeszcze na długo wcześniej, nim umarlibyśmy z głodu. Poza tym okręty nie nadają się do takiego przedsięwzięcia. Nie możemy przewrócić ich tu na bok dla naprawy, a ich osprzęt jest w dwóch trzecich przegniły i wytrzymać by mógł tyle tylko wiatru, ile można w czapkę nałapać.

Gil Mozo: A więc jesteśmy przykuci do miejsca! Jednakże wolałbym już utonąć w stu sążniach słonej wody niż gnić w tej dziurze, w tej wylęgarni febry. Na miłość boską, zabierz nas stąd mimo całego niebezpieczeństwa!

Główny Nawigator (z błyskiem w oczach): Jest to wbrew woli generała, a sprzeciwiać mu się to *znaczy* być nielojalnym wobec jego królewskiej mości.

Salvador Alemán: Cofnij te słowa, żeglarzu! Nie jesteśmy nielojalni.

Główny Nawigator: Nie cofnę. Odmowa pracy na ziemi zajętej przez generała w imieniu króla nie jest niczym innym jak nielojalnością. Odwodzenie kolegi od jego obowiązków jest więcej niż nielojalnością: to pospolita zdrada.

Sebastian Lejia, arkabuźnik: Powiedz mi, wasza dostojność, czy jest zdradą podpisać memoriał upraszający pokornie generała, aby zaniechał tego osiedla i zabrał nas tam, gdzie kazano mu się udać?

Główny Nawigator: Jeżeli memoriał prosi o to, i tylko o to, to nie jest zdrada. Ale pamiętajcie, że to Bóg podniósł zasłonę mgły i ukazał nam tę wyspę; inaczej bylibyśmy wpadli na rafy. A skoro On nam ją dał, powinniśmy być radzi pozostać tu przez jakiś czas, żywiąc się tym, czym nas tak hojnie obdarza.

Sebastian Lejia: Owszem, przez jakiś czas! Ale co potem?

Główny Nawigator: Potem generał postanowi, co trzeba robić.

A tymczasem oto, co mi polecił wam powiedzieć: zamierza raz jeszcze poszukać „Santa Ysabel”. Nie jest wykluczone, że dotarła na Wyspy Salomona przed nami. Według moich obliczeń leżą one zaledwie o kilkadziesiąt mil na zachód.

Salvador Alemán: Nikt z nas nie będzie się temu przeciwstawił... jeżeli generał sam popłynie.

Główny Nawigator: Nie można oczekiwać tego po nim; zdrowie jego jest wątłe i generał nie śmie narażać go na nowe niebezpieczeństwa. On i jego małżonka zostaną tu, by dodawać wam ducha, póki okręt wysłany na poszukiwania nie wróci.

Gil Mozo (z *głośnym śmiechem*): Ach, czyż on nie jest sprytny? Namawia generała, żeby załadować resztę naszych zapasów na galeotę i wysłać jego samego na niej jako nawigatora! Żeglarzu, sam siebie osądziłeś; powiedz mi, jeżeli wiatr wieje w kierunku San Cristobal, jakże stamtąd wrócisz? Przy pomocy wiosła?

Główny Nawigator (*cierpliwie*): Generał pošle, kogo zechce, a okręt poszukujący, jeśli będzie stale halsował, powinien być tu z powrotem w przeciągu miesiąca. Ktokolwiek go poprowadzi, otrzyma niewątpliwie do towarzystwa jednego z wyższych oficerów, któremu generał ufa...

Gil Mozo: Ale który, nie znając się na nawigacji, może być łatwo wyprowadzony w pole!

Przybywa nowa gromada żołnierzy, zwolnionych z nocnej straży. Główny Nawigator ucisza ich i wygłasza swoją przemowę dopomagając sobie szlachetnymi gestami.

Główny Nawigator: Wysłuchajcie mnie, panowie! Nie jesteście pierwszymi poddanymi, których król Filip wysłał w trudną podróż, aby poszerzyć granice swoich rozległych włości. Jakże często się zdarzało, że garstka mężnych ludzi utrzymywała całą prowincję przeciwko niezliczonym wrogom! Dniem i nocą bronili samotnych placówek przed atakami, cierpiąc głód i pragnienie, nie znając odpoczynku, gotowi

raczej jeść psy i koty niż zhańbić honor Hiszpanii przez kapitulację.

Głos: Tu nie ma żadnych psów ani kotów. Czy wasza dostojność pozwala nam zamiast nich jeść nietoperze i szczury? (*Głośne śmiechy.*)

Główny Nawigator (*ignorując głos*): Walczyli dalej bez nadziei na nagrody - w każdym razie nie na tak wielkie jak te, które nas tu czekają. Na Santa Cruz głodować nie ma potrzeby. Gleba tu żyzna, morze pełne ryb, krajowcy skłonni do szczodropliwości. Szczęściarze z nas! Ileż tysięcy ludzi oddałoby wszystko, co posiadają, za okazję, która nam się nadarza: być pionierami w bogatym, nieznanym kraju, zdobyć sławę i majątek przez śmiałe zagospodarowanie jego zasobów! Oby nigdy nie powiedziano o nas, żeśmy cofnęli się przed przeszkodą zamiast ją przeskoczyć. Czas nie gra roli. Co za różnica, jeżeli dotrzemy do celu naszej podróży dopiero w maju?

Federico Salas: Co za różnica, jeżeli nie dotrzemy tam nigdy? Co za różnica, jeżeli zechcemy odpłynąć stąd nie czekając do maja?

Główny Nawigator (*z pasją*): Wtedy okryjemy się niesławą jako zdrajcy względem Boga, króla Filipa, generała i, *co może będzie najdotkliwsze*, względem siebie samych! Jako zdrajcy względem Boga, jeżeli z tak błahych powodów porzucimy cudowne dzieło zbawiania dusz, którym obarczył nas nasz Zbawiciel, i pozostawimy w szponach diabła tych, których przybyliśmy ratować. Jako zdrajcy względem króla, jeżeli opuścimy bezpieczną bazę, z której moglibyśmy zdobyć dla jego cesarskiej korony jeszcze bogatsze klejnoty nowych odkryć... gdyż rozległy południowy kontynent Australii leży tuż przed nami. Jako zdrajcy względem generała, który czekał dwadzieścia sześć lat i sprzedał wszystko, co miał, aby wyposażyć tę wspaniałą wyprawę. Jako zdrajcy względem samych siebie, bo dokądkolwiek byśmy pożeglowali, nie zdołamy ująć przed zemstą króla. Żaden cywilizowany port w promieniu trzech tysięcy mil nie uznaje niczyjej władzy, tylko jego. Gdybyśmy zmusili generała, aby z nami popłynął, oskarżyłby nas jako buntowników przed najbliższym królewskim namiestnikiem; gdybyśmy

pozostawili go tutaj, zażądano by od nas wiadomości, gdzie się znajduje, i torturami wydobyto by z nas prawdę. Gnilibyśmy w więzieniu latami, póki król nie wyznaczyłby nam kary odpowiedniej do naszej zdrady! (*Głęboka cisza.*)

Sierżant Gallardo: Mężne to słowa, żeglarzu. Ale wydaje mi się, że im dłużej tu zostaniemy, tym cięższe będzie nasze położenie. Sam przyznajesz, że osprzęt statków jest w dwóch trzecich przegniły. Do maja przegnije całkowicie, a kadłuby tak będą przeżarte przez teredo, że zatoną tam, gdzie są przycumowane. Zostaniemy w potrzasku, bez nadziei ratunku. A choć z biegiem czasu jego królewska mość zechce, może, łaskawie przypomnieć sobie o nas i wyśle nam na pomoc jakiś statek, jaką mamy szansę, że nas znajdzie? Nikt nie wie, gdzie nas szukać, i widać jasno, że sam generał nie ma pojęcia, gdzie się znajdujemy. Nie ma co, trzeba zaraz odpływać, zabierając wszystkie okręty i tylu zdrowych mężczyzn, na ilu pozwalają nasze zapasy.

Główny Nawigator: Chcecie, żebyśmy pozostawili tu kobiety, dzieci i starców?

Sierżant Gallardo: Tak, jeżeli będzie trzeba. Księża mogą opiekować się nimi do naszego powrotu.

Główny Nawigator: Oto przemawia beztroski kawaler! I dokąd byśmy popłynęli? Do Nowej Hiszpanii? Generał wybrał tę drogę w czasie swojej pierwszej wyprawy, ale, jak wam opowiedzą ci, co ją przeżyli, płynął w początku sierpnia i nie dotarł do portu aż w styczniu, znosząc straszliwe trudy po drodze i tracąc kilkudziesięciu ludzi, którzy pomarli z głodu.

Sierżant Gallardo: Nie, nie do żadnego z portów Nowego Świata. Niech będzie na Filipiny. Martin Groe powiada, że są one o połowę bliżej i że wiatry by nam sprzyjały.

Główny Nawigator: Ta droga także ma swoje trudności. Nie możemy liczyć, że znajdziemy łańcuch wysp, które dostarczą nam wody i świeżego pożywienia. A w każdym razie musimy poczekać na wynik

ostatnich poszukiwań „Santa Ysabel”. Jeśli się znajdzie, nie będzie trzeba posyłać po narzędzia i proch.

Sierżant Gallardo: A jeżeli się nie znajdzie? Co wtedy? Nasza jedyna nadzieja to płynąć na Filipiny. Jeżeli chodzi o wodą, to weźmy krajowcom kilka czółen, napełńmy je, zabijmy deskami i uszczelnijmy porządnie.

Główny Nawigator: A jak myślisz je wnieść do ładowni? Na pokładzie woda prędko by się popsuała.

Sierżant Gallardo: Wobec tego trzeba użyć orzechów kokosowych albo lasek trzciny cukrowej.

Główny Nawigator: Aha! Dziesięć tysięcy kokosów i dziesięć tysięcy lasek trzciny; wszystko to majtkowie musieliby zebrać, wydrążyć i napełnić, bo żołnierze uważają, że takie prace są poniżej ich godności! A co z prowiantem?

Sierżant Gallardo: Moglibyśmy poradzić sobie jakoś na tubylczym jadle - przede wszystkim na sucharach z bulw tropikalnych i wieprzowinie. Są jeszcze setki wiosek, gdzie nie chodziliśmy po żywność.

Główny Nawigator: A skąd pewność, że twoje suchary nie zepsują się równie prędko jak wieprzowina?

Sierżant Gallardo: Zaryzykujemy to. (*Oklaski i okrzyki: Na Filipiny!*)

Federico Salas: Manila to cywilizowane miasto!

Główny Nawigator: Tak, dzięki mężnym ludziom, którzy założyli je dwa pokolenia temu! Ale czyż nie jest daleko lepiej zostać na Santa Cruz i współzawodniczyć z nimi o bogactwa i zaszczyty niż powlec się w świat niby maruderzy, ze szpadami w pochwach i hakownicami opuszczonymi ku ziemi?

Federico Salas: Gdzie król i papież mieszkają, tam są zaszczyty; nie w Manili ani tym bardziej tutaj.

Główny Nawigator: Marnujemy słowa. No, panowie, namyślcie się raz jeszcze i jeśli chcecie wnieść jakąś petycję, przedłóżcie ją, jak się należy, poprzez waszych oficerów. Generał nie zamknie uszu na

uzasadnione skargi; ale obrażony jest głęboko wiadomością, że krąży jakiś memoriał z podpisami w kole...

Głos (*zza wielkiej paproci*): Za poduszczeniem jego dwulicowej małżonki i jej tchórzliwych braci!

Główny Nawigator: To niegodziwe kłamstwo. Kto śmie oczerniać donię Izabelę?

Głos (*ten sam co pierwszej*): Niech żyje pułkownik! Śmierć Barrettom!

Główny Nawigator: Oto przemawia język buntu.

Sebastian Lejia: Ach, zostawcie tego głupca z jego kazaniami! Kto chce zostać, niech sobie zostaje, ale my postanowiliśmy odpłynąć, i nikt nas nie powstrzyma.

Sebastian Lejia, Federico Salas, Salvador Aleman, Gil Mozo i inni pierwotni sygnatariusze petycji z podpisami w kole rozbiegają się po swoich chatach i niebawem powracają ze szpadami, szepcząc złowrogo pomiędzy sobą.

Federico Salas: Oto człowiek, który przywiódł nas tutaj, i na wszystkich aniołów niebieskich, czy nie zasłużył sobie na śmierć?

Sebastian Lejia: Ja tam chętnie piłbym z jego czaszki.

Weteran Matia Pineto zaczyna się za plecami Sebastiana, a jego przyjaciel, Juarez Mendes, popycha go nagle w pierś. Sebastian zatacza się do tyłu. Matia i Juarez rozbijają go szybko.

Sebastian Lejia: Na pomoc, koledzy, na pomoc! Przeklęty Matia! Oddaj mi szpadę! Porachuję się z tobą którejś ciemnej nocy!

Matia Pineto: Spokojnie, chłopcy! Pierwszego, który się wtrąci, zakłuję jak wieprza! (*Cofają się ponuro. Matia Pineto do Głównego Nawigatora*) Daruj, proszę, tę przerwę, wasza dostojność. Ale trzeba było przytrzeć nosa tej babie.

Główny Nawigator: Dziękuję ci, żołnierzu, ale już skończyłem. Boże, zbaw króla! (*Rozlega się fanfara. Wychodzą wszyscy wśród wiwatów i gwizdów.*)

ROZDZIAŁ XVIII

Z MALOPEM PO ŻYWNOSĆ

Kiedy pułkownik dowiedział się, że Pedro Fernandez poszedł na cmentarz kościelny, by tam przemawiać do żołnierzy, już-już miał nakazać straży, aby rozprędziła zebranie; Juan de Buitrago odwiódł go jednak od tego.

- Dostojny panie - powiedział - czy nie byłoby to na rękę twoim wrogom? Główny nawigator twierdzi, że jest wysłannikiem don Alwara. Z całym uszanowaniem radzę ci założyć protest w kajucie generalskiej, nim przystąpisz do jakiejś akcji na lądzie.

- Na Boga, masz rację - rzekł pułkownik. - Udam się tam zaraz.

- Czy wolno mi będzie towarzyszyć waszej dostojności? - spytał chorąży. - Barretowie mogą szykować zasadzkę.

- Nie; pozwól, że wezmę Carlottę. Jest istnym postrachem na szczury.

Co było potem, opowiedział mi jeden z paziów. Doña Izabela pobiegła do kajuty generalskiej wołając:

- Dobre wieści! Pułkownik wpada nam w ręce. Zbliży się tu w szalupie sam jeden, nie mając przy sobie nawet swego Murzyna dla obrony. Prędko, panie mój, wezwij bosmana, każ mu zrobić pętlę na końcu długiego sznura i trzymać sześciu ludzi w pogotowiu pod bezanmaszem!

- Nie, pani moja, nie! - rzekł don Alwar. - To nie zgadzałyby się

z moim poczuciem honoru. Gdyby miał ze sobą swoich przyjaciół, to co innego. Ale skoro przybywa sam, nie poważę się użyć na nim przemocy; poza tym nie mam jeszcze dostatecznych dowodów, że podżega do buntu. Zdobądź się na jeszcze trochę cierpliwości i wysłuchajmy, co nam ma do powiedzenia.

- Tak prędko zapomniałeś, jak groził śmiercią tobie i mnie, i moim braciom? Pozostaw więc to zadanie komuś z rodu Barretów, skoro sam nie śmiesz wyprawić go na tamten świat. Ja osobiście go powalę.

I porwała tasak wiszący na haku koło kominka.

- Odłóż to, pani moja - powiedział - jeżeli chcesz zachować moją miłość.

Prawie natychmiast potem wszedł pułkownik i rozmowa odbyła się przy drzwiach zamkniętych. Tu zatem wątek mojej opowieści się urywa, ale wiadomo, że wrócił do obozu w dobrym humorze i krwawa kulminacja zadawnionej waśni odwlokła się raz jeszcze.

Przybył do bramy właśnie w chwili, kiedy kończyło się zebranie. Nie zwracając uwagi na głównego nawigatora, który pozdrowił go dwornie, krzyknął do żołnierzy:

- Zostańcie na miejscu, chłopcy, mam dla was posłanie od generała.

Na dźwięk jego głosu wyszli z namiotu chorążcy królewski i Tomas de Ampuero.

- Ustaw ludzi w ordynku, don Toribio - rozkazał pułkownik. - Chryste Panie, aż mnie brzuch bolał, kiedy szedłem tu z plaży. Ci hultaje tłoczyli się wokoło tego żeglarza jak baby targujące się na rynku o wielkiego sztokfiszka. A ty, don Tomasie, sprowadź go tu z powrotem, proszę; chcę, żeby słyszał, co powiem.

Pedro Fernandez i ja zawróciliśmy i stanęliśmy trochę z boku, tymczasem wojsko ustawiono trójkami i dano komendę „Baczność”! Pułkownik przeszedł wzdłuż szeregów, chorążowie za nim. Znalazłszy siedmiu ludzi zbrojnych w szpady, wbrew rozkazowi obowiązującemu

na stałe w obozie, skłął ich siarczyście i posłał pod eskortą do wartowni, by tam czekali na chłostę.

Rzucił okiem pogardliwie na głównego nawigatora, jakby chciał powiedzieć: „Patrz na mnie i naucz się, jak się przemawia do żołnierzy!” - po czym zaczął chrapliwym głosem:

- Panowie, nie będę tracił swojego ani waszego czasu na kwieciste przemowy, w trzech słowach powiem wam, o co chodzi. Doszło do wiadomości generała, że jesteście niezadowoleni, że wam się ta wyspa nie podoba i że chcecie się przenieść na lepszą. **CICHO TAM W SZEREGACH!**

Urwał piorunując ich wzrokiem, a gdy zrobiło się znowu cicho, mówił dalej:

- Generał oskarżał was, że jesteście buntownikami, ale ja was broniłem. Powiedziałem mu, że aniście się nie zbuntowali, ani się na to nie zanosilo. „Bunt - powiedziałem - jest wtedy, kiedy żołnierze dostają szau i krzyczą z dobytymi szpadami: śmierć łotrom! A to się nigdy nie stanie, póki Pedro Merino sprawuje dowództwo.” „Dziękuję ci, dostojny panie - odpowiedział. Miłuję tych, którzy szczerze opowiadają się po mojej stronie.” „A ja dziękuję ci, ekscelencjo - rzekłem - za ten wyraz zaufania.” Potem powiedział mi, żeście spisali swoje żale i że jeśli dokument ten będzie mu należycie przedłożony, to znaczy poprzez waszych dowódców kompanii i przeze mnie, rozpatrzy go z całą uwagą, jak mu obowiązek nakazuje.

Zatem, panowie, dajcie tę petycję waszym oficerom, a jeśli ujęta jest właściwie, przekażę ją generałowi. Tymczasem niech żaden z podległych mi żołnierzy, jakkolwiek jego ranga, nie poważy się wypowiedzieć jednego słówka, które pachniałoby brakiem uszanowania, bo, na kości Pana naszego, powieszę go jak Amana¹, choćby był moim najserdeczniejszym przyjacielem. Honor generała, a z nim honor naszego dobrego króla, mnie został powierzony. Ale posłuchajcie przestrogi!

¹ Stary Testament, Księgi Esther, VII, 9.

Wielu jest szpiegów i donosicieli - nazwisk ich wymieniać nie potrzebuję - którzy nazywają mnie zdrajcą, ponieważ was bronię i zapewniam, że jesteście porządnymi ludźmi. Niektórzy szepczą nawet po cichu, że podburzam was do rebelii... jak gdybym mógł zniżyć się do tak paskudnej zbrodni albo jak gdybyście wy posłuchali mnie, gdybym to zrobił. Strzeżcie się tych podłych łotrów!

Jeszcze ostatnia rzecz: zanim będzie można pomyśleć o opuszczeniu tych brzegów, trzeba przeszukać wszystkie pobliskie wyspy, czy nie ma tam okrętu admirała. Postąpić inaczej byłoby tchórzostwem, gdyż jego dowódca jest odważnym szlachcicem, którego ciężko oczerniono, a jego ludzie to nasi koledzy i bracia. A teraz, jeżeli macie jakieś pytania, proszę!

Jeden krzyczał jedno; drugi coś innego. Uciszył ich rykiem, klnąc się, że nie ma stu języków, żeby odpowiadać na sto głupich pytań zadawanych mu na raz.

Wystąpił wtedy don Tomas i zapytał, czy może pierwszy zabrać głos. Otrzymał zezwolenie, powiedział:

- Niektórzy z nas, wasza dostojność, nie dowierzają głównemu nawigatorowi na tyle, aby go puścić na poszukiwanie „Santa Ysabel”. Gdybym ja się podjął tej misji, czy mógłbym liczyć na poparcie waszej dostojności?

Pułkownik zlustrował go drwiącym spojrzeniem od stóp do głów.

- Dostyc to jest komiczne - powiedział w końcu - kiedy żeglarz przemawia do wojska niby Aleksander do swoich Macedończyków; ale kiedy żołnierz zaczyna grać żeglarza...

Reszta jego słów zginęła w ogólnym śmiechu.

- Niech pułkownik sam jedzie! - zawołał sierżant Gallardo. - Co? Ja? - wykrzyknął krzywiąc się. - Nie odróżniam bakbortu od sterbortu, a od samego widoku astrolabii w głowie mi się kręci. Ktoś jednak jechać musi, a na kogokolwiek wybór padnie, musi to być człowiek cieszący się zaufaniem.

Na to Pedro Fernandez poprosił o parę słów rozmowy z pułkownikiem na osobności; chorąży królewski przeszukał jego odzież, czy nie ma tam ukrytej broni, a nie znalazłszy żadnej, podprowadził go do pułkownika.

- Don Pedro - powiedział - będąc nie mniej wierny naszemu królowi niż ty, dostojny panie, i równie gotów oddać za niego życie, z radością słuchałem twoich słów. Jednakże mam ci za złe, żeś pozwolił don Tomasowi tak mówić o mnie, jak gdybym był zdrajcą.

Pułkownik przeprosił go ładnie i tak, aby wszyscy słyszeli:

- Dziękuję ci, panie, za twoją dobrą wolę i przepraszam za krzywdę, na którą się uskarżasz. Bywały między nami różnice zdań, lecz chociaż często kwestionuję twoją rozagę, o wierności twojej nigdy nie wątpiłem. Powiadasz, że jesteś gotów umrzeć za króla Filipa; przecież i ja także, na wnętrności Chrystusa! Podajmy sobie ręce, don Pedro! Bylebym służył jego królewskiej mości, figę dbam o to, jaki będzie mój koniec.

Uścisnęli sobie ręce, a wśród wojska rozległy się wiwaty.

W ten sposób rozłam pomiędzy dwiema służbami przestał wreszcie istnieć i gdyby nie zażarta mściwość doni Izabeli, nasze sprawy mogły jeszcze ułożyć się pomyślnie. Niepokoje wśród żołnierzy płynęły tylko stąd, iż wyczuwali oni niezgodę na wysokich szczeblach; bez tego bowiem Sebastian Lejia i jego łajdaccy poplecznicy nigdy nie przekabaciliby ani jednego człowieka na swoją modłę.

Pożegnaliśmy się z pułkownikiem i wróciliśmy na okręt flagowy, gdzie Pedro Fernandez z radością zapewnił don Alwara, że żołnierze są znów zdyscyplinowani i że pułkownik, choć obrażony o to, co na niego mówiono, nie okazuje żadnej nielojalności.

Doña Izabela, widząc, że jej pozycja osłabła znacznie, postanowiła dopiąć swego teraz albo nigdy. Poszła za Pedrem Fernandezem do Sali Map i powiedziała najśłodziej, jak tylko można sobie wyobrazić:

- Drogi przyjacielu, wyświadczyłeś dziś don Alwarowi i mnie przysługę, za którą zawsze będziemy ci wdzięczni. Czy zechcesz wyświadczyć mi jeszcze jedną?

- Jestem twoim oddanym sługą, pani - rzekł z widocznym wzruszeniem, całując wyciągniętą ku sobie dłoń. - Rozkazuj tylko!

- Więc poproś mego męża o pozwolenie wzięcia jutro rano barkasa i zebrania żywności z wiosek leżących poza zwykłym zasięgiem wypraw po prowianty. Jeżeli zdołasz przywieźć pół łodzi wieprzowiny, orzechów, sucharów i tak dalej, ułatwi mu to sprawę, kiedy zejdzie na ląd urządzić wszystko podług swego upodobania, a zrobi to za dwa dni, o ile Bóg pozwoli.

- Jestem zawsze na twoje rozkazy, pani - odrzekł.

- Ach! - westchnęła - gdybym miała więcej przyjaciół tak dzielnych jak ty, byłabym zaiste szczęśliwa...

I Andrés niech pojedzie z tobą. Generał bierze dziś wieczór na przeczyszczenie i nie będzie go jutro potrzebował.

- Czy mam dostać żołnierzy?

- Ilu tylko zażadasz.

Zamiarem jej było usunąć go z drogi - i mnie także jako kronikarza wyprawy - na czas jej pomsty na pułkowniku.

Generał dał Pedrowi Fernandezowi pozwolenie, pułkownik przydzielił mu sierżanta i dwudziestu ludzi i nazajutrz w jakąś godzinę po śniadaniu wsiedliśmy do łodzi. Przewiosłowaliśmy obok wioski Malopego, machając rękami na powitanie, i płynęliśmy dalej z pół mili, aż dopłynęliśmy do grupy szop, w których składano czółna. Tam zaczęliśmy wołać do krajowców budujących łódź wojenną, ale uciekli z krzykiem. Po krótkim zastanowieniu wylądowaliśmy i weszliśmy do pobliskiej wioski, z której mieszkańcy puciekali zostawiwszy na miejscu tylko jednego kulawego mężczyznę i dziecko chore na półpasiec.

W zagrodzie przed domem wodza nie było świń, a choć mogliśmy wleźć na wysokie stryszki i dobrać się do przechowywanych tam przez krajowców bulw tropikalnych i kokosów, najbardziej potrzebna nam była wieprzowina. Postawiwszy czterech arkabuźników na straży naszej łodzi, główny nawigator poprowadził nas krętą ścieżką biegnącą w głąb lądu, u końca której spodziewaliśmy się znaleźć plantacje bulw. Przykazał żołnierzom trzymać broń w pogotowiu.

Pierwszy to raz przechodziłem przez dziewiczą puszcę i jej wspaniałość napełniała mnie pełnym lęku podziwem. Starsze drzewa były niezmiernie grube i wysokie; korony ich rozpościerały się sto pięćdziesiąt stóp nad naszymi głowami, zamykając dostęp słońcu, pnie zaś tonęły w gęstwie paproci i pnącz. Idąc nie czuliśmy najłżejszego tchnienia wiatru, wszędzie było wilgotno i duszno, czuć było zgnilizną, a zielone światło nadawało naszym policzkom niezdrową barwę. Niektóre drzewa na wysokości domu wypuściły w dół zwisłe gałęzie, które w miejscu, gdzie dotknęły ziemi, natychmiast zapuszczały korzenie i tworzyły potężne przypory. Inne w połowie pnia otoczone były zwisającymi zarodniowymi liśćmi paproci. Z obawy przed wężami tupaliśmy w marszu mocno nogami o ziemię, aby je wystraszyć; nie zobaczyliśmy jednak anj jednego. Żadnych tu nie było owoców do zerwania i nie kwitły żadne kwiaty, poza jednym błogosławionym miejscem, gdzie padło wielkie drzewo migdałowe i pociągnąwszy za sobą inne w swym upadku wpuściło trochę światła słonecznego. Tutaj przebiegło nam drogę stadko świń, wpadło jednak z trzaskiem łamanych gałęzi w zarośla, zanim zdążyliśmy wystrzelić. Poza tym puszcza zdawała się niezamieszкана, choć słyszeliśmy gruchanie niezliczonych gołębi ukrytych gdzieś wysoko wśród gałęzi. Gdy maszerowaliśmy tak dziesięć lub więcej minut, zabłysło wreszcie światło dzienne u wylotu naszego liściastego tunelu i wyszliśmy na plantacje założone na stoku wzgórza. Tu również nie było żywej duszy i staliśmy niezdecydowani, nie

wiedząc, gdzie się teraz skierować, gdy wtem usłyszeliśmy strzał z arkabuza, a zaraz potem drugi, i zawróciliśmy biegiem, klnąc i z trudem łowiąc dech ustami.

Ku naszej uldze zastaliśmy wszystko w porządku. Strzały miały nam zasygnalizować przybycie Malopego, który czekał na nas na plaży, z zielonymi szarawarami obwiązanymi wokół głowy jak turban. Popłynął był za nami w swojej wojennej łodzi, eskortowany przez mniejsze czółno, na którym komendę sprawował jego najstarszy syn. Kiedy wystąpiłem naprzód, aby zapoznać go z głównym nawigatorem, poznał mnie, wskazał na srebrne sprzączki przywiązane do swoich stóp i rzekł powoli dobrą kastylijską hiszpańszczyzną: „Przyjacielu, chodźmy na obiad”. Zwrotu tego nauczył się od syna wraz z paroma innymi równie pożytecznymi, jak: „Daj mi to. Stój, dosyć. Jak to się nazywa? Do diabła z tym!” Zaproponował nam potem na migi, abyśmy popłynęli za nim do miejscowości, gdzie jest dużo świń i orzechów kokosowych, i polecił, aby małe czółno ruszyło przodem. Wdzięczniśmy mu byli za przewodnictwo i niebawem przybyliśmy do innej wioski, nie różniącej się prawie niczym od poprzedniej, którą zastaliśmy opustoszałą. Tu Pedro Fernandez poprosił Malopego, aby zwołał mieszkańców i zapewnił ich o naszej życzliwości, co ten bardzo chętnie uczynił i umówił się z nimi, że zbiorą dla nas zapas prowiantu na czas, gdy będziemy tędy wracać.

Ruszyliśmy dalej i w dwóch jeszcze wioskach Malope wyświadczył nam tę samą usługę. Powiedział nam potem przy pomocy znaków, że następna, leżąca za małym przylądkiem, nie jest dobrze usposobiona do jego plemienia i że mądrze by było wysłać zbrojny oddział na przełaj przez wąski pasek lądu, by zaskoczyć mieszkańców i zmusić ich do uległości. Tak też zrobiono, ale krajowcy widząc, że oddział nasz składa się tylko z dziesięciu ludzi, chwycili za broń. Sierżant zgodnie z otrzymanymi wskazówkami wystrzelił z hakownicy w powietrze; wtedy z wrzaskiem uciekli spuścić czółna na wodę.

Tymczasem jednak nasza łódź ukazała się zza cypla i strach przed salwą powstrzymał ich od wsiadania do czółen. Pedro Fernandez wyskoczył na brzeg i zażądał świń. Stanęli niezdecydowani. Po pewnym czasie niechętnie przyprowadzili jedną sztukę i przynieśli trochę bananów i orzechów kokosowych, lecz gdy zażądał więcej, znów zaczęli wymachiwać orężem i przykładając strzały do cięciw łuków ukryli się za drzewami i chatami. Poznawszy Malopego, przypomnieli mu krzykami o rozejmie ustanowionym pomiędzy jego a ich plemieniem. Stał patrząc to na nas, to na nich, jakby nie wiedział, gdzie leży jego obowiązek, aż Pedro Fernandez schwycił go za ramię i zagroził mu sztyltem - nie w zamiarze zabicia go, lecz by przedstawić go wrogom jako człowieka działającego pod przymusem.

- Powiedz im, żeby nie strzelali - zawołał. - Jeżeli będą strzelać, wtedy *pu pu* !

I wyrwawszy jednemu z arkabuźników zapalony lont, udał, że chce wypalić z hakownicy.

Malope rozumiał delikatność sytuacji i nie obraził się wcale. Upuścił broń na ziemię i nie zdradzając strachu poszedł sam jeden do domu wodza. Tam konferował przez chwilę, po czym wrócił, by powiedzieć nam na migi, że do godziny trzeciej - teraz minęło właśnie południe - prowianty nasze ułożone będą przed domem zgromadzeń. Tymczasem kobiety przyniosły nam sporą ilość orzechów kokosowych, już rozłupanych, a także dojrzałe banany i papawy, i naciągnęły nam wody ze studni, uśmiechając się gościnnie. Gdyśmy jedli i pili, zbliżyła się nieśmiało gromadka małych dziewczynek, które poszeptawszy między sobą zaczęły tańczyć nago, żeby nas zabawić. Ich wygibasy były tak rozwiązłe i sprośne, że przyniosłyby wstyd nawet panamskiemu burdelowi, ale nowość tego widowiska rozbawiła mężczyzn, którzy śmiali się, wiwatowali i krzyczeli „*Ole, olé!*” Tylko Pedro Fernandez był zgorszony i odwrócił głowę.

Następnie syn wodza wyszedł z ojcowskiego domu i poprosiwszy o dary otrzymał w prezencie jedwabną czapkę i kozi dzwoneczek. Zachwycony, zaproponował nam, abyśmy z nim razem najechali wysepkę po drugiej stronie zatoki, gdzie wspólnie będziemy mogli zabić dużo ludzi i świń; Malope zobowiązał się, że zrobimy to jeszcze przed końcem miesiąca. Wreszcie znaleźli nam jeszcze dwie świnie, tuzin pęków bananów i około stu orzechów kokosowych; wszystko to władaliśmy do barkasa.

Główny nawigator i ja wracaliśmy pieszo wybrzeżem wraz z większością żołnierzy i trzema krajowcami-przewodnikami, aż przyszliliśmy do pierwszej z życzliwych nam wiosek, gdzie obiecano nam żywność. Barkas i czółna popłynęły przed nami. Barwne kwiaty rosły obficie obok naszej ścieżki, a przewodnicy wciąż wskazywali na jakieś niepozorne zioła wymieniając ich nazwy i informując nas, po większej części niezrozumiale, jakie mają szczególnie złe lub dobre właściwości. Hałaśliwe białe papugi latały na wszystkie strony; widzieliśmy też parę zimorodków i stado kanarków, a także bardzo brzydką, zieloną jaszczurkę drzewną, jadowite stonogi i olbrzymiego szczura. Jakiś czerwoniopióry ptak siedział na gałęzi o trzydzieści kroków od ścieżki i jeden z przewodników, chciwy na jego piękne długie pióra, poprosił, byśmy mu go ustrzelili. Jednakże Pedro Fernandez roztropnie zabronił tego z obawy, że spudłowany strzał zdradzi krajowcom, iż arkabuz nie jest precyzyjną bronią.

Po godzinie marszu przybyliśmy nad strumyk płynący koło wioski, gdzie czekał na nas Malope, który wciąż wymagał od nas, byśmy nazywali go Mendaña. Gdyśmy już ugasili pragnienie, zaczął kiwać na nas i dawać znaki, naprzód przytykając zawzięcie lewym palcem wskazującym i kciukiem, a potem tłukąc prawą pięścią w lewą dłoń. Zrozumieliśmy z tego, że w pobliżu ma legowisko jakiś zwierz i że Malope pragnie, byśmy z nim razem na niego zapolowali. Nie mieliśmy nic przeciwko temu i poszliśmy z nim w górę strumienia aż do głębokiej

sadzawki, na której dnie widać było olbrzymich rozmiarów krokodyla. Malope kazał jednemu ze swoich ludzi kolczastą włócznią podrażnić gada, który mierzył dwie długości człowieka. Potwór niebawem rozżłóścił się i popłynął z prądem strumienia, okładany maczugami i kłuty włóczniami, by schronić się w innej sadzawce. Gdy i stamtąd go wypędzono, popłynął dalej nie wydając żadnego głosu, choć miał przetrąconą przednią łapę i był trochę ogłuszony. Męczyliśmy go i przepędzaliśmy z sadzawki do sadzawki, a zanim zdążył umknąć do zatoki, Malope, który dotychczas był tylko widzem polowania, skoczył do wody z głośnym okrzykiem i złapał go za zrogowaciały ogon. Synowie poszli za jego przykładem, pozostali zaś mężczyźni walili bestię po karku maczugami, aż wreszcie z tryumfalnym wrzaskiem wyciągnięto ją na brzeg pomrukującą gniewnie i kłującą pal, który jej wbito między złowrogie szczęki. Synowie trzymali potwora za ogon, ojciec zaś grzmocił go w kark ostrym kamieniem. Ponieważ konał tak długo, Pedro Fernandez wetknął mu w gardziel hakownicę i wypalił. Krokodyl skoczył wysoko w powietrze, aż łowcy rozpierzchli się przerażeni, po czym straszliwie łypnąwszy ślepiami skonał ku ich wielkiemu zadowoleniu.

Był z nami Federico Salas, zwolniony z dybów po tęgiej chłoscie otrzymanej z rąk dobosza. Wystąpił teraz naprzód, wyjął sztylet z za pasa, wyciął krokodylowi oczy i owinął je w liść.

Pedro Fernandez zapytał go niewinnie, dlaczego to robi. Tamten z głupim uśmiechem odparł:

- Ofiaruję je pewnej ważnej osobie.
- Czy mogę wiedzieć komu?
- A komuż by, jak nie doni Izabeli? Krokodyle ślepieją, jak wasza dostojność musi wiedzieć, są najpotężniejszym środkiem miłosnej podnieoty, jakim Bóg w mądrości Swojej obdarzył niemocnego mężczyznę. Wystarczy, że małżonka generała przyrządzi mu je na wieczerzę, a o północy on stanie się dzikim satyrem, ona zaś przed świtem zaspokojo-ną kobietą.

Koledzy zawtórowali mu rubasznym śmiechem i dorzucili więcej niewybrednych uwag, bynajmniej nie nacechowanych szacunkiem dla generała i jego małżonki.

Dość często widywałem Pedra Fernandeza w gniewie, a nawet raz czy dwa razy w furii, nigdy jednak dotąd nie wpadł w tak nagłą i niepohamowaną wściekłość z tak błahego powodu.

- Pluję na ciebie, ty gnoju z rynsztoka! - wrzasnął. - I na wszystkich innych, którzy ośmielają się znieważać naszą szlachetną opiekunkę.

Żołnierze stali w osłupieniu. Na domiar tej komedii wszyscy krajowcy prócz Malopego uciekli przerażeni do lasu, on zaś, mylnie odgadując przyczynę kłótni, wyrwał z rąk Federica krokodyle ślepiea i położył je u stóp głównego nawigatora.

- Zapłacę ci za to któregoś dnia, ty skurwysynu z długim nosem! - warknął Federico do Malopego.

- Wracać do szeregów! - krzyknął Pedro Fernandez odzyskując panowanie nad sobą. Schował sztylet do pochwy i szorstko wydał rozkaz do marszu.

Poszliśmy dalej ścieżką do wioski, gdzie leżały przygotowane dla nas wielkie kupy bananów, trzciny cukrowej, orzechów kokosowych, placków z bulw tropikalnych, a także jeszcze dwie świnie i stos mat palmowych. Krajowcy siedzieli spokojnie w domu zgromadzeń przy swoich czólnach, które okryli zielenią i białymi tkaninami na znak pokoju. Malope wszedł na kopczyk, aby okazać swoją ważność; paroma słowami pochwały pokwitował w naszym imieniu odbiór darów, po czym zwracając się do nas powiedział: „Naprzód, naprzód! Przyjaciele, chodźmy na obiad!” Za jego wskazaniem mieszkańcy wioski zanieśli prowianty do barkasu i warto było doprawdy widzieć, jak ze stu ich szło gęsiego drogą wzdłuż wybrzeża, a brzemiona kołysały się u końców tyk, które nieśli oparte na ramieniu. Załadowaliśmy się do łodzi i powiosłowaliśmy do następnej wioski i znów do następnej, aż zebraliśmy czternaście świń i więcej żywności, niż mogło się zmieścić

wraz z nami w barkasie; toteż czółna holowały go, a my poszliśmy pieszo. Na koniec dotarliśmy do wioski Malopego, skąd zabrano nas na dwa czółna wojenne.

- Uściskajcie mojego brata Malopego - rzekł na pożegnanie i wręczył Pedrowi Fernandezowi paczuszkę zawiniętą w liście i obwiązaną niemi tutejszego wyrobu. Przyjaciele, chodźmy na obiad! - wyjaśnił.

Gdyśmy zbliżali się do okrętu flagowego, Federico i Sebastian mruzczyli do siebie pod nosem, że nie po to przyjechali tu aż z Peru, żeby ich wysyłano pod komendą żeglarza na mało ważne, hańbiące wyprawy.

- A jedną z nich ma być ta nasza wyprawa? - zawołał Pedro Fernandez, którego gniew rozpałił się na nowo. - Przywieźliśmy przecież z niej pełną łódź świetnych prowiantów, które kosztowały nas tylko parę słów podziękii dla Malopego.

- Ludożercy wymalowani! - odparł Sebastian. - Puścić nas tylko na nich ze szpadą i hakownicą, a prędko nauczymy ich szacunku dla chrześcijan.

- Oby Bóg przebaczył ci te słowa! - powiedział główny nawigator.

Doña Izabela pochwaliła nas, gdy weszliśmy na pokład, i ściągnęła don Alwara z łóżka, by przyszedł podziwiać nasze zdobycze i pomógł jej rozdzielić je pomiędzy wojsko, załogę i kajutę generalską. Podczas gdy Myn go ubierał, Pedro Fernandez wręczył jej paczuszkę mówiąc, że Malope przysyła ją w darze swemu bratu do zjedzenia; ona zaś odłożyła ją na bok. Zanim dokonano rozdziału żywności, ofiarowała Pedrowi Fernandezowi całą jedną świnię jako należną mu nagrodę, on jednak odmówił przyjęcia czegokolwiek poza przypadającą na niego marynarską racją i wyjął, że przyjemność służenia generałowi i jej samej jest dostateczną nagrodą za jego trudy; na co ona odrzekła, że nigdy żadna dama nie miała szczęścia posiadać wierniejszego sługi.

Tej nocy gdy generał poszedł już spać, weszła do Sali Map i spytała wahając się nieco, jakby przez skromność:

- Powiedz mi, przyjacielu Pedro, czemu to Malope przysłał memu mężowi krokodyle ślepie? Nie powiedziałam mu jeszcze o tym złośliwym podarku; wstyd by mu było, gdyby się dowiedział, że nawet dzicy na tej wyspie wiedzą o jego smutnej przypadłości.

Pedro Fernandez zaczerwienił się jak cegła.

- Musiałem nie zrozumieć, o co mu chodzi - bąknął. Nie wiedziałem, co ta paczka zawiera. Niewątpliwie przeznaczona była dla mnie.

- Weź ją, weź koniecznie - powiedziała utrzymując z wysiłkiem powagę - choć nigdy bym nie przypuszczała, że i ty także... - I nie zadając sobie trudu dokończenia zdania, wetknęła mu paczuszkę do ręki.
- A teraz chodź ze mną - powiedziała.

Główny nawigator z zawstydzoną miną poszedł za nią do kajuty generalskiej, gdzie don Alwar skinął na niego, by usiadł na łóżku, i powiedział, że tego rana postanowił bezzwłocznie pozbyć się inkubusa, który tak długo siedział mu okrakiem na piersi, wyduszając z niego życie. Kiedy jednak zeszedł na brzeg, Myn podkasał sobie rękawy i podskakując zawołał głupio: „*Ole, ole!* Bierzmy się za te kiszki kaszane! Myn pokrwawi sobie ręce do łokci.” Jacyś żołnierze stojący opodal podnieśli gniewnie głowy i powiedzieli: „Oho, to generał przychodzi z martyngałem po starego bojowego konia? Słyszeliście, co mówił jego Murzyn?” Skarcił wtedy Myna wobec nich wszystkich i po krótkich odwiedzinach w wartowni wrócił na okręt flagowy.

- Przyszła mi wówczas myśl, mądry mój doradco, że odtąd nic robić nie będę bez twojej aprobaty.

- Zaszczycasz mnie niezmiernie, ekscelencjo. Ale co takiego chciałeś zrobić?

- Miałem postawić pułkownika pod sąd w gardłowej sprawie.

- Doprawdy! Pod jakimi zarzutami?

Don Alwar zaczął wyliczać na palcach:

- Po pierwsze, że siał niezadowolenie; po drugie, że groził, iż powiesi moich szwagrów; po trzecie, że nie jeden raz okazał

nieposłuszeństwo moim rozkazom. A czwarty i najcięższy zarzut...

- Jak wiesz, ekscelencjo, nie mam powodu kochać pułkownika, ale że jego wczorajsza przemowa do żołnierzy była nie mniej lojalna od mojej, więc wyznaję, że go za nią pochwaliłem i że zawarliśmy pokój.

- Łatwo dajesz się zwieść, prostolinijny przyjacielu. Ledwo odszedłeś, przemówił do nich raz jeszcze w całkiem innym duchu, każąc im być w pogotowiu do szybkiej decyzji. Doña Izabela otrzymała ściśle informacje o jego najnowszych knowaniach. On zamierza wprowadzić zbrojnych ludzi do kościoła w najbliższą niedzielę, kiedy będziemy się tam modlić, aby porwać i zamordować jej braci i ją samą, a mnie przyłożyć szpadę do piersi i zmusić do podpisania rozkazu odpłynięcia na Filipiny; jednakże zanim tam przybędziemy, otruje mnie skrycie i potem oświadczy, że zmarłem na febrę.

- Ach, co za piekielna niegodziwość! - zawołał Pedro Fernandez. - Pomyśleć tylko, że ofiarowałem temu potworowi swoją przyjaźń!

- Staniesz przy nas? - zapytała doña Mariana kładąc drżącą dłoń na jego ramieniu.

- Stanę, jak mi Bóg miły - odrzekł bez tchu.

- Jutro - ciągnął don Alwar ochrypłym szeptem po wczesnym śniadaniu zamierzam zabrać z sobą na ląd ciebie i jeszcze czterech zaufanych ludzi. Moi szwagrowie będą czekać przy bramie; wsparty przez nich, odszukam pułkownika i każę mu udać się ze mną na okręt flagowy. Jeśli będzie się opierał, trzeba będzie użyć siły. Być może, iż dowiedział się o głupim wybryku Myna, i będzie się miał na ostrożności.

- Możesz mi ufać aż do śmierci.

Don Alwar słabo uściśnął jego rękę.

Jednakże w Sali Map tej nocy Pedro Fernandez był przygnębiony. W głębi serca wiedział dobrze, że to, co czeka pułkownika, nie jest wymiarem sprawiedliwości, ale zagłuszał głos sumienia przypominaniem sobie, jak to pułkownik nie miał litości dla niewinnych

wyspiarzy z Markizów, a także twierdzeniem, że doña Izabela jest niezdolna do kłamstwa i zdrady.

Zaczął mi opowiadać o swym dzieciństwie na Rua Nova w Lizbonie: jak to ojciec jego, żeglarz, zaciągnął się kiedyś na podróż do Goa i zobowiązał go, że będzie się dobrze sprawował, dopóki statek nie powróci...

- „A za każdy twój zły postępek w czasie mojej nieobecności, chłopcze - ostrzegł mnie - twoja matka wbije gwóźdź w tę oto deskę; a za każdy gwóźdź, który tu znajdą po powrocie, możesz się spodziewać dziesięciu tęgich uderzeń różgą.”

Tegoż lata popadłem w złe towarzystwo i do świąt Bożego Narodzenia pięć wielkich gwoździ sterczało z deski wydając o mnie złe świadectwo; lecz na Nowy Rok dane mi było odmienić się na lepsze. Matka, litując się nade mną i widząc moją poprawę, wyciągnęła z powrotem ostatni gwóźdź przed dniem świętego Piotra w Okowach, kiedy wrócił ojciec. W ten sposób uniknąłem różgi, a jednak płakałem gorzko, gdy mu pokazała deskę z dziurami po gwoździach, widocznymi w miękkim drzewie.

- Dlaczegoś mi to opowiedział, przyjacielu Pedro?

- Jako przypowieść o słabości duszy ludzkiej. Ileż to razy od tej pory zbłądziłem! A choć po spowiedzi i pokucie grzechy zostały mi darowane, przecież znaki po gwoździach widoczne są w desce!

Rozumiałem coś niecoś z tego, co miał na myśli: nie żaden stary grzech dawno wyznany i odpokutowany, ale grzech nowy, do którego nie śmiał się przyznać nawet przed samym sobą.

- Tak - powiedziałem. - Któż jest wolny od błędów? Grzech popełniony w wyobraźni waży równie dużo na boskiej szali, jak gdyby popełniony został w rzeczywistości. Czyż Zbawiciel nasz nie napiętnował cudzołożenia za pomocą oczu...

- Nigdy surowsze słowa nie wyszły z Jego ust - przerwał, jakby chciał przeszkodzić mi w powiedzeniu czegoś więcej. - A jednak czyż nie zlitował się nad niewiastą cudzołożną i nie okazał jej łaski?

ROZDZIAŁ XIX

MORD

Niedługo przed świtem z brzegu dobiegły nas głośne nawoływania:

- Ahoj, oficerze dowodzący strażą! Pożyczcie nam barkasa!

Don Jacinto Merino, który znów sprawował komendę nad strażą, poszedł zameldować o tym w kajucie generalskiej.

- O! o! - wrzasnęła doña Izabela. Zamordowali moich braci, a teraz przybywają zrobić to samo ze mną.

Na wszystkich świętych pańskich, nie dawajcie im tego, o co proszą!

- Udaj głuchego, don Jacinto - rzekł generał, równie zaniepokojony - dopóki nie przekonamy się, kto woła.

Nawoływania powtórzyły się jeszcze cztery czy pięć razy, po czym wszystko ucichło.

Gdy zrobiło się widno, na wybrzeżu nie było nikogo, ale mniej więcej w godzinę później z obozu wymaszerowało trzydziestu żołnierzy. Don Alwar zawołał do nich, każąc im stać w miejscu, dopóki nie porozumie się z ich oficerem. Usłuchali, a don Alwar pośpieszył w szalupie na ląd biorąc ze sobą don Jacinta, głównego nawigatora, mnie i kilku ze służby.

- Kto wami dowodzi? - zapytał żołnierzy.

- Jestem na rozkazy waszej ekscelencji - odrzekł adiutant występując naprzód.

- A wasze zadanie?

- Idziemy do wioski Malopego. Musi wziąć nas ze sobą wzdłuż wybrzeża po więcej prowiantów.

- Ależ Malope wczoraj zebrał dla nas pełną łódź żywności!
- Owszem, ekscelencjo. Dla obozu przydzielono cztery wieprze i pół tuzina pęków bananów; większość zapasów została na „San Geronimo”. Major polecił nam wypożyczyć barkas i kazać go napełnić na nowo, ale ponieważ nikt nie odpowiadał na nasze wołania, postanowiliśmy zamiast tego wypożyczyć czółna od Malopego.

- Byłbym chętnie pożyczył wam łodzi, gdybym wiedział o tym w porę - rzekł generał - ale mniejsza z tym! Pilnuj, aby żołnierze nie wyrządzili w wiosce żadnych szkód.

- Ekscelencja może mi zaufać - powiedział adiutant z nieprzyjemnym uśmiechem - że nie narobimy kaszanki bez jego pozwolenia.

Wówczas don Jacinto poprosił o pozwolenie przyłączenia się do wyprawy, w której uczestniczyli też Juan de Buitrago i chorąży królewski, a don Alwar zgodził się, by jeden z sierżantów przejął komendę nad strażą do jego powrotu. Adiutant dał rozkaz do wymarszu i - odział ruszył śpiewając ochoczo:

Równaj krok - raz, dwa, trzy,
Noga w nogę - ja i ty,
Lance tworzą równy rząd,
Równaj krok lub zmykaj stąd,
Bo to *Sus! Sus! Sus!*

Patrz, żurawi leci klucz,
Więc się od nich również ucz.
Peru nie mogłoby wszak
Ani żyć, ni kwitnąć tak
Bez nas - *Sus! Sus! Sus!*

Tam na flance - równaj brzeg,
W swoim rzędzie każdy człek.
Służ królowi aż po grób,
Równaj krok, to samo rób
Co ja - *Sus! Sus! Sus!*

Młyn sprawiedliwości mógł teraz pójść w ruch bez dalszych przeszkód. Kapitan Corzo szedł po prawej ręce don Alwara, uzbrojony jak zwykle w długi tasak do ociosywania drzew, po lewej zaś główny nawigator bez żadnej broni; z tyłu szło dwóch tarczowników i Myn wywijając swoim toporkiem, śmiejąc się cicho do siebie i mlaskając grubymi wargami. Aby zamaskować charakter naszej misji, polecono mi zabrać ze sobą plik papierów i rozek z inkaustem.

Bracia Barretowie czekali na nas przed bramą do obozu.

- Wczoraj wytyczył linię częstokołu - zaraportował don Lorenzo po cichu - i to na terenie, którego zabroniłeś mi używać. Żołnierze od świtu ścinają drzewa; teraz mają przerwę, póki ludzie Malopego nie przyjdą im pomóc, a on rozpiął sobie namiot przy źródle. Za chwilę ma tam samotnie jeść śniadanie. Kapitan artylerii przeszedł na naszą stronę; kapitan Leyva zapewne pójdzie za jego przykładem; z pozostałych oficerów tylko Tomas de Ampuero jest niebezpieczny, a w tej chwili jest jeszcze w swoim namiocie. Kapelan odprawia mszę w kościele.

- Cieszę się serdecznie, że to wreszcie otwarty bunt - powiedział don Alwar. - Chodźmy do źródła. Pedro Fernandezie, pójdź, proszę, do wartowni z następującym poleceniem: niech kapitan artylerii będzie gotów do udzielenia nam pomocy w razie potrzeby.

Polecenie było całkiem zbędne; don Alwar po prostu nie miał odwagi wykonać swojego planu w obecności głównego nawigatora.

Poszliśmy z wolna w stronę źródła; kapitan Corzo wecował po drodze swój tasak o kawałek szmergla, Myn z radości wywijał koziołki, a ja włókłem się w tyle przygnębiony. Gdy widać już było namiot, don Alwar zwrócił się do mnie:

- Andresie, ja poczekam tutaj, a ty idź powiedz pułkownikowi, że wzywam go w pilnej sprawie.

- Poczytałbym sobie za łaskę, gdyby ekscelencja wybrał innego pośłańca - odrzekłem.

Ale don Diego ukłuł mnie po kryjomu koniuszkiem sztyletu, więc ruszyłem naprzód, tłumiąc okrzyk bólu.

Pułkownik siedział w namiocie na pniaku, ubrany tylko w koszulę i spodnie; jadł smażoną wieprzowinę i placki z bulw tropikalnych ułożone na porysowanej cynowej tacy. Na ziemi siedział po turecku paż pochylony nad wielką księgą i czytał na głos. Przed namiotem Murzyn podsyczał ogień wachlując go liściem palmowym; na małym trójnogu skwierczała w patelni nowa porcja wieprzowiny.

- Dostojny panie - powiedziałem łagodnie.

- Cicho, człowieku! - odrzekł marszcząc brwi. - Nie przerywaj cudzego toku *Palmyrina*. Za nic w świecie nie chciałybym stracić końca tego nadzwyczajnego spotkania.

Czytaj dalej, Pacito! Albo nie, chłopcze, zacznij jeszcze raz od początku zdania. Pacito czytał:

- „Następnego ranka Rycerz Śmierci wyszedł przed swój namiot, odziany w czarną zbroję, na której w różnych miejscach wymalowana była podobizna kobiecej twarzy widoczna poprzez zarośla...”

- To pewnie będzie czarownica Eutropa - sprytnie domyślił się pułkownik z ustami pełnymi placka. - Zaczajęła się w ten sposób, przywołując do zguby niejednego prawego rycerza.

- „Na tarczy zaś jego wyobrażony był rycerz o smutnym obliczu otoczony wieloma śmierciami, które uciekały wszystkie od niego: całość przedstawiona była tak naturalnie, że widz odczuwał strach przed tymi brzydkimi szkieletami i współczucie dla człowieka. Siedział na ciemnym koniu płomienistej barwy, wsparty na lancy...”

- Dostojny panie - powtórzyłem - choć przykro mi bardzo ci przeskadzać, muszę ci powiedzieć, że generał czeka na dworze i pragnie widzieć się z tobą w pilnej sprawie.

Zerwał się i wybiegł z namiotu, bez kapelusza nawet, by złożyć don Alwarowi spóźnione uszanowanie; gdy jednak ujrzał tyłu swych wrogów skupionych wokół generała, zawołał przez ramię:

- Prędko, Pacito, podaj mi pas i moją okutą laskę!

Pacito zamknął księgę, zaznaczywszy miejsce żdźbłem słomy, i pobiegł wykonać rozkaz. Pułkownik zapiął pas na koszuli i postąpił naprzód kłaniając się nisko.

- Dzień dobry, ekscelencjo - powiedział. - Proszę, daruj mi ten nieporządny strój, ale przybyłeś bez uprzedzenia. Czy zrobisz mi zaszczyt i pozwolisz się poczęstować skromnym śniadaniem?

Don Alwar westchnął głęboko. Zamknął oczy, jakby się modlił, po czym chwyciwszy w garść szpadę wrzasnął:

- Niech żyje król! Śmierć wszystkim zdrajcom!

Ordynans don Diega, Juan de la Roca, ten od kolorowych wstążek, podpełznął był tymczasem jak jaszczurka za plecy pułkownika. Teraz wstał, złapał go za kołnierz od koszuli i wołając: „Niech żyje święty Józef.”, dźgnął go sztyletem w usta i w prawą pierś; sierżant Dimas, nadbiegając z drugiej strony, wbił mu czeski nóż między żebra i zostawił go tam. Murzyn pułkownika zerwał się na ratunek swemu panu, ale Myn pchnął go na ziemię i stanął nad nim z toporem.

- Och, panowie! - wykrztusił pułkownik straszliwie rozciętymi ustami, podczas gdy na jego cienkiej batystowej koszuli szybko powiększała się czerwona plama. W oczach jego można było wyczytać zgrozę i niedowierzanie wobec tak haniebnej napaści. Ręką sięgnął powoli ku szpadzie, ale nim zdążył wyciągnąć ją z pochwy, kapitan Corzo rzucił się na niego i niemal odrąbał mu prawe ramię potężnym ciosem tasaka.

Wydał głośny okrzyk i osunął się na kolana.

- Dość, dość! - jęknął. - Sprowadźcie kapelana!

- Nie ma na to czasu - rzekł don Lorenzo uśmiechając się brutalnie.
- Zrób porządny akt skruchy, i na tym koniec!

Gdy leżał wijąc się na ziemi, wargi jego złożyły się do modlitwy:

- Jezusie, Mario...

Stałem jak skamieniały ze zgrozy, czując się istnym Judaszem ze względu na mój udział w tej ohydnej sprawie; wtedy Leona Benitel,

zaczyna kobiecina, która prała jego bieliznę u źródła, podbiegła, ułożyła jego głowę na swych kolanach i pomogła mu umrzeć w spokoju. Głaszcząc go po czole, szeptała:

- Cierpliwości, synu! Pan Jezus w miłosierdziu swoim daruje ci grzechy i pomści cię.

Don Diego, który miał przewodzić w tym rzeźniczym dziele, wciąż trzymał się gdzieś z tyłu, ale kapitan Leyva, chcąc pokazać, że jest po stronie silniejszych, dobył szpady.

- Skróć mękę tego zdrajcy - zawołał i przebił mu serce.

Pułkownik wstrząsnął się i skonał, a Leona wrzasnęła:

- Niech gniew boży spadnie na tak okrutnych kapitanów!

Don Alvar podszedł, aby wygłosić apostrofę do trupa, co uczynił ze smutkiem tak bolesnym, że nie mogłem przypuszczać, iż jest wymuszony lub nieszczerzy.

- Niestety, biedny szaleńcze, czemuś podarł swój katolicki patent wojskowy, a poszedłeś na służbę szatana, umierając za wcześniej, by pożałować swoich grzechów?

Na jego rozkaz rozwinięto sztandar królewski, zawarczały bębny, a on zawołał:

- W imię króla Filipa! Zemsta dosięgła don Pedra Merina. Niech jego los będzie dla was przestrożą! Od tej chwili ogłaszam ogólną amnestię dla wszystkich, którzy byli wtajemniczeni w jego spisek, jeżeli złożą nową przysięgę wierności.

Tymczasem główny nawigator poszedł do wartowni, gdzie powitał go don Luis mówiąc:

- Sprawiedliwości stało się zadość.

- Ale sąd? Przecież nie było czasu na sąd?

- Opierał się aresztowaniu - brzmiała odpowiedź.

Słyszając ich głosy Tomas de Ampuero i jego ordynans Gil Mozo wyszli ze swego namiotu i zapytali, co się dzieje.

- Nic, co by was interesowało - odrzekł don Luis dobywając sztyletu i biegnąc ku nim. Mierzył w serce, lecz ponieważ chorąży rzucił się

do tyłu, uderzył za wysoko i sztylet utkwił w jego ramieniu.

- Mnie? A co ja zrobiłem? - zawołał w bólu i oburzeniu.

Don Luis obnażył szpadę, ale Pedro Fernandez mężnie wszedł pomiędzy obu mężczyzn i zapytał:

- Co to jest? Zabiłbyś człowieka bez zaczepki z jego strony?

Gil Mozo tymczasem pobiegł w stronę plaży, a don Tomas ruszył ku domowi pułkownika, chcąc zapewne schronić się u kapelana. Wszyscy trzech Barretowie gonili go zawzięcie, lecz on swym długim krokiem byłby im może umknął, gdyby się nie potknął o sznur od namiotu i nie upadł ciężko na ziemię. Podnosił się powoli i don Lorenzo rzucił się na niego w chwili, kiedy znajdował się na czworakach. Teraz, gdy chorąży był już śmiertelnie ranny, don Diego wyrwał sztylet z ramienia i wbił mu go prosto między łopatki.

- Śmierć Barretom! - krzyknął sierżant Gallardo wybiegając ze szpadą w ręku z innego namiotu i zмирzając w kierunku don Luisa. Don Luis cofnął się, lecz nagle pojawił się sierżant Dimas i zawołał:

- Pójdź, zdrajco, i giń marnie!

- Zdrajca, tak? - odparł Gallardo z furią. - Jeżeli twoje zbiry dopuszczą mnie do uczciwej walki, zetrę to kłamstwo ostrzem mojej szpady, fircyku przeklęty!

Byli równi sobie siłą i biegłością w szermierce i bili się zażarcie, to przyskakując, to odskakując od siebie ze szpadą i sztyletem, aż szpada Gallarda złamała się i walczył dalej ułamanym kikutem. Zawołał o drugą szpadę, ale nikt się nad nim nie zmiłował, i niebawem Dimas przebił mu płuca na wylot. Wtedy padł rzygając krwią i skonał bez spowiedzi.

Nadszedł dobosz ze skrwawioną odzieżą pułkownika, należną mu z urzędu, i zapytał:

- Co to, chłopcy? To ten Gallardo też był zdrajcą?

Kiedy zapewnili go, że był, łajdak rozebrał trupa do naga i nawet

zerwał mu z szyi srebrny medalik ze świętym Krzysztofem.

Gdy odchodziłem, by poszukać głównego nawigatora, trąciłem nogą o leżący w trawie koniec szpady sierżanta. Schyliłem się i schowałem go pod kubrak z zamiarem oprawienia go w rzeźbioną rękojeść jako sztylet; a gdy wieczorem obejrzałem krawędź pęknięcia, spostrzegłem że była do połowy przepiłowana.

Opowiedziałem Pedrowi Fernandezowi z oburzeniem o losie, jaki spotkał pułkownika.

- Niech odpoczywa w pokoju - rzekł przeżegnawszy się. - Mord wcale nie leżał w zamiarach don Alwara, mam na to słowo jego małżonki.

- Gdzie teraz idziesz? - spytałem.

- Tam, gdzie mogę uratować ludzkie życie.

Żołnierze kręcili się po obozie z obnażonymi szpadami, wyjąc: „Niech żyje król! Śmierć wszystkim zdrajcom!” Nastąpiła pora wymazywania długów karcianych i załatwiania starych kłótni. Słyszałem, jak wykrzykiwano nazwiska Juareza i Matii, a potem ktoś powiedział:

- Zemścimy się wreszcie na tych łajdackich szulerach; zawsze najgłośnieżej wychwalali pułkownika.

- Prędko - powiedziałem do Pedra Fernandez - do chaty weteranów! Ludzie, którzy dwa dni temu ocalili cię od śmierci, są w niebezpieczeństwie.

Pobiegliśmy razem i stanęliśmy oparci plecami o ich drzwi. Przyleciała hałastrza wrzeszcząc: „Z drogi tam! Śmierć zdrajcom!”, i jakiś nieokrzesany żołdak rozsypał moje papiery w błoto. Rzuciłem się, by je pozbierać, ale Pedro Fernandez nie ruszył się z miejsca, nawet gdy zjawił się don Lorenzo i kazał mu się wynosić.

- Ci ludzie są wierni - powiedział główny nawigator - i jestem dumny, że mogę ich nazwać swoimi przyjaciółmi. Uważaj, co robisz!

- Zabić ich, zabić zdrajców! - krzyczano.

Jeden z żołnierzy podniósł arkabuz celując w Pedra Fernandezę, ale drugi podbił mu lufę.

- Głupcze - rzekł - jeżeli zabijesz głównego nawigatora, w jaki sposób dostaniemy się kiedykolwiek do domu?

Stojąc w obliczu śmierci, Pedro Fernandez wyjął z kieszeni kilka migdałów i zaczął żonglować trzema, nie upuszczając żadnego.

- Raz, dwa! - wołał jak kuglarz. - Czy ktokolwiek z tu obecnych potrafi utrzymać cztery sztuki w powietrzu? Raz, dwa! Raz, dwa! Patrzcie, zuchy! Raz, dwa!

Żołnierze śmiali się mimo woli i krzyczeli: „Ole!” Zimna krew Pedra Fernandezę speszzyła don Lorenza.

- Odejdź od tych drzwi, jeżeli nie chcesz umrzeć - rozkazał.

- Uważaj! - powtórzył główny nawigator, z oczyma utkwionymi w migdałach, które podlatywały w górę i spadały niby woda w fontannie.

- Don Alwar ogłosił powszechną amnestię.

- Nie dla tych łotrów! Tylko święty Piotr i sam diabeł mogliby uratować ich przed naszą zemstą!

Dobyl szpady i groźnie postąpił naprzód.

Wtem drzwi się otworzyły i wybiegły z nich trzy kobiety: jedna uzbrojona w warząchew, druga w miotłę, trzecia, półnaga, miała w rękę maczugę z gatunku tych, jakich używają krajowcy do miażdżenia bulw. Dobrały się ostro do napastników, wymyślając im co tchu w piersiach, i odpędziły ich. Szpada don Lorenza wyfrunęła mu z ręki, a don Luis oberwał niesławnie tłuczkiem do bulw. Ale taka już jest natura kobieca, że zaraz po zwycięstwie uderzyły w płacz, załamując ręce i rwąc sobie włosy z głowy. Opłakiwały sierżanta Gallarda jako zacnego pana, ale również i chorążego, narzekając gorzko, że miłość go zgubiła, co było prawdą, gdyż Barretowie kupili sobie przyjaźń kapitana artylerii obietnicą zabicia kochanka jego żony.

Kapitan Corzo podszedł z czterema żołnierzami, odciął trupom głowy i nabił je na pale przed wartownią, mając na to zezwolenie generała.

Don Diego stanął pod sztandarem królewskim, w najbezpieczniejszym miejscu, a ów drugi tchórz, major, chcąc koniecznie się wykazać, że raz czy dwa machnął szablą za króla, poszedł do namiotu pułkownika. Tam zastał Pacita tulącego do piersi *Palmyrina* i płaczącego oraz Murzyna filozoficznie dojadającego napoczęte śniadanie. Dobył szpady na Murzyna, który obronił się patelnią i uciekł; ruszył zatem na pazia i zadał mu cięcie w głowę, przecinając skórę czaszki. To samo uczynił młodemu synkowi Leony Benitel, który pomagał jej przygotować zwłoki pułkownika do pogrzebu, po czym pogonił obu chłopców w kierunku sztandaru, pod którego fałdami poszukali azylu. Don Alwar podziękował mu za zapał, lecz błagał go, by oszczędził ich życie.

Ukazał się teraz barkas zdążający od okrętu flagowego, wypełniony po brzegi wiernymi żołnierzami, z których każdy miał taką czy inną broń przy sobie. Przy żaglu w tyle łodzi stał wikariusz, nie mniej bojowy od nich, z zardzewiałą halabardą w ręku. Wysypali się na brzeg w pośpiechu, a bosman-mat, który nimi dowodził, wykrzyknął z żarem:

- Przybyliśmy umrzeć u boku naszego generała!

Don Alwar uśmiechnął się do nich.

- Witaj, zacny Damianie; witaj, wielbny ojcze! powiedział. - Ale płomień buntu już ugaszony.

- Chwała Bogu! - odrzekł Damian. - Jednakże, za pozwoleniem waszej ekscelencji, zostaniemy aż do powrotu wyprawy po żywność.

Kapitan Corzo powiosłował następnie do okrętu flagowego, aby oznajmić o naszym zwycięstwie doni Izabeli. Rozwiódłszy się nad bohaterską rolę, jaką odegrał w ujarzmieniu pułkownika, przywiózł donię Izabelę i donię Marianę na ląd i zaprowadził je do wartowni. Pojawienie się dam wywarło uspokajający wpływ na żołnierzy, którzy, odgadując rękę doni Izabeli w tym, co się wydarzyło, powitali ją służalczymi wiwatami. Don Alwar kazał im ustawić broń w kozły i sam pośpieszył naprzód, by przyjąć powinszowania żony.

Federico, najbardziej czynny z prawdziwych buntowników, uznał chwilę za odpowiednią do wyjścia spacerowym krokiem z zarośli; gdzie się dotychczas ukrywał.

- Jak się macie, koledzy? - rzucił niedbale. - Czy stało się coś ciekawego, odkąd poszedłem naścinać sobie amarantów?

Ponieważ nikt nie zwracał na niego uwagi, wśliznął się w tłum i uniknął aresztowania.

Don Alwar ucałował krzyż księdza Juana i poprosił go o odprawienie mszy dziękczynnej w kościele, na co ten z radością przystał. Urządzono paradę wojska, po czym żołnierze odmaszerowali przy dźwiękach żwawej i wesołej muzyki. Pozostali pociągnęli za nimi beładną gromadą. Po błogosławieństwie zacny ksiądz, nic nie wiedząc o niegodnych okolicznościach, w jakich odbyły się egzekucje, wszedł na ambonę i zaczął nas błagać, byśmy nie zgorszyli się tym, czegośmy byli świadkami, ponieważ działo się to dla dobra i bezpieczeństwa ogółu.

- „Jeśli prawa ręka twoja gorszy cię - zarecytował - odetnij ją; albo jeśli oko twoje prawe gorszy cię, wyłup je, a odrzuć precz od siebie”, tak nam przykazał nasz Zbawiciel.

Żołnierze ustawili się znowu w szeregi i zostali rozpuszczeni przed wartownią. Następnie przyniesiono rzeczy ofiar Barretom, którzy podzielili się nimi iście po bratersku. Pracy nie podjęto na nowo; drużynie roboczej pozwolono waleśać się beczynnie po obozie aż do obiadu. Don Alwar pozostał na modłach w kościele i nie przyszedł z nami do stołu. Co do mnie, nie mogłem przełknąć ani kęsa.

Około godziny drugiej wypatrywacz postawiony na wzgórzu zameldował, że awangarda powracającej wyprawy adiutanta zbliża się w dwóch czólnach. Wezwano don Alwara, który kazał natychmiast zatrąbić na zbiórkę, tak aby przybysze nie dowiedzieli się zawczasu, co się stało; trzy głowy zdjęto z pali, a sztandar królewski schowano.

Jeden z sierżantów zbliżył się i zasalutował.

- Co nowego, przyjacielu? - spytał don Alwar,

- Przywieźliśmy trzy duże świnie, ekscelencjo - odpowiedział - i złe wieści o Malopem.

- Trzy świnie? To niewiele... Ale co z Malopem?

- Nie żyje.

- Nie, nie! To nie może być. Ach, księżu Juanie, słyszałeś te słowa? A tak wielką miałeś nadzieję na jego nawrócenie. Niestety, biedaczysko, tak gwałtem wezwany do swego Stwórcy!

- To prawda, że gwałtem, ekscelencjo! - rzekł sierżant ponurym głosem. - Zamordował go jeden z naszych ludzi!

- Ach, Boże, zmiłuj się nad nami! Kto to był ten nieszczęśnik? Kto śmiał popełnić tak podły czyn... - ze wzruszenia nie mógł dalej mówić.

- Sebastian Lejia. Pomaszerowaliśmy do wioski, gdzie Malope zaprosił nas na obiad do domu zgromadzeń. Zasiedliśmy rzędem i podano nam jedzenie; tymczasem adiutant i syn Malopego obmyślali najazd na Sadową Wysepkę. Śmialiśmy się i gawędzili w najlepszej zgodzie, gdy wtem, zupełnie nieoczekiwanie, Sebastian wstał, oparł wylot lufy swojego arkabuzo o prawą sutkę Malopego i wypalił. Malope runął do tyłu charcząc, a Salvador Alemán skrócił jego mękę rozłupując mu czaszkę siekierą.

- Niestety, to moja wina! - wyszlochał don Alwar. - Powinienem był odwołać ten oddział, póki mogłem. I co potem się stało?

- Dzicy krzyknęli strasznie i uciekli. Juan de Buitrago dobył szpady i zagroził Sebastianowi, który wyzywająco ładował ponownie hakownicę. „To było dzieło diabła, nie człowieka!” - krzyknął na niego chorąży, - ale on odpowiedział zuchwale: „Dobrze zrobiłem, że zabiłem tego niewiernego. Nie był godny zaufania; nie dalej jak wczoraj główny nawigator musiał dobyć przeciwko niemu sztyletu. Kto jeszcze chce umrzeć?” Ale kapitan Diego de Vera kazał go rozbroić, związać i wsadzić do czółna pod strażą; moi ludzie prowadzą go teraz tutaj.

Don Alwar osunął się na jeden z bębnow.

- Teraz jesteśmy zgubieni ze szczętem! - jęknął; powiedzenie to często słyszało się z jego ust. Tym razem jednak ukrył twarz w dłoniach i kołysał się z boku na bok.

Gdy nadszedł Sebastian z wisielczą miną, posłano go do wartowni i zakuto w dyby. Oddział szedł teraz luźną gromadą ku zbrojowni, by odstawić broń jak zwykle; ale generał rozkazał był don Luisowi z grupą marynarzy schować się za jej tylnymi drzwiami; mieli oni wiązać i kneblować żołnierzy jednego po drugim, gdy będą wychodzić. Zadanie to zostało wykonane szybko i cicho. Adiutant i sierżant Andrada, którzy szli na samym końcu, zostali również rozbrojeni i don Alwar kazał ich umieścić w dybach obok Sebastiana. Rozglądali się zdumieni, nie wiedząc, co myśleć, dopóki nie spostrzegli w kącie Pacita przywiązanego do słupa i opatrującego sobie ranę na głowie. Kiedy zapytali go oczami, co się stało, przesunął palcem po szyi i zaczął na nowo płakać, co zatrwożyło ich mocno.

Następnie wrócił bratanek pułkownika w towarzystwie chorążego królewskiego; żadnemu z nich jednak nie uczyniono nic złego. Doña Mariana wstawiła się za swym kochankiem, a ksiądz Juan za don Toribiem, który był spokrewniony przez matkę z biskupem Limy.

- Oto przynajmniej dwaj wierni słudzy króla! - oznajmił don Alwar, z trudem podnosząc się na nogi.

Straż tylna oddziału przybyła pod wodzą Juana de Buitrago i ją teraz z kolei obezwładniono za zbrojownią; chorążemu don Lorenzo nałożył kajdany, obstawił go czterema arkabuźnikami i zaprowadził do budki strażniczej po drugiej stronie obozu.

- Dlaczego traktujesz mnie w ten sposób? - zapytał chorąży z oburzeniem.

- Pułkownik nie żyje, a dla jego współników ogłoszono ogólną amnestię - odparł don Lorenzo.

- Więc po co te kajdany?
- Twoi wrogowie zaprzysięgli ci śmierć. Pod strażą będziesz bezpieczny.

Młoda żona chorążego, już brzemienna, od wielu godzin płakała po cichu, a teraz pobiegła za nim z głośnym krzykiem między chatami i zaroślami, aż padła zemdlona.

- Czy to był krzyk doni Luizy? - spytał chorąży zaniepokojony. - Niechże ktoś ją zaraz upewni, że nic mi się złego nie stanie.

- Poczekaj za tym drzewem, a sam pójdę to zrobić rzekł don Lorenzo. - Zastrzelcie go, jeśli się tylko ruszy - powiedział do eskorty. Następnie udał się do domu pułkownika, gdzie słychać było księdza Antonia modlącego się za dusze zmarłych; mówił urywanym głosem, jakby się z kimś szamotał.

- Potrzebny jesteś - oznajmił szorstko don Lorenzo wchodząc. - I najlepiej chodź zaraz.

Ksiądz Antonio nie podniósł się z klęczek. Widząc mord wypisany na dumnej, zaczerwienionej twarzy tamtego, odparł:

- A co będzie, jeśli odmówię brodzenia w tej zamulonej rzece, mój synu?

- Wtedy powlokę cię przez nią za sutannę.

- Kapitanie Barrete - skoro nie chcesz mnie nazywać ojcem, nie mogę nazwać cię synem - pamiętaj, że jestem księdzem! W imię Boga Jedyne go zaklinam cię, nie dodawaj świętokradztwa do morderstwa...

- Chodź ze mną, powiadam!

Do okna zajrzała czarna twarz. Był to Myn, który skorzystał z zamieszania, aby się wymknąć w poszukiwaniu łupów.

- Myn, synu mój - zawołał ksiądz Antonio - jeżeli jesteś dobrym katolikiem, przybądź mi na ratunek!

Don Lorenzo zaniechał swojej okrutnej gry. Nim Murzyn zdążył wejść, powiedział potulnie:

- Nie zamierzałem żadnego gwałtu, ojciec. Ale proszę cię, chodź

ze mną wypowiadać kogoś, kto ma zaraz umrzeć. Daję ci słowo honoru, że niczego innego wymagać się od ciebie nie będzie.

- Honoru? - powtórzył ksiądz nadając słowu ton pogardy. Następnie wstał, spiesznie umył ręce, włożył szaty liturgiczne, zabrał, co trzeba, ze skrzyni służącej mu za zakrycie i wyszedł za don Lorenzem.

- Zostań przy mnie, Myn - powiedział - i bądź mi stróżem.

Myn posłusznie wziął topór na ramię i ruszyli razem. Kapelan zastał don Juana śmiejącego się i żartującego ze strażnikami.

- Dobrze, że cię widzę, ojczyste - rzekł. - Dowiem się wreszcie, co tu się działo podczas naszej nieobecności. Ci ludzie boją się otworzyć gęby.

Ksiądz Antonio odpowiedział:

- Popołniono mord, mój synu. Pułkownik został po tchórzowsku zastrzykowany... w obecności don Alwara.

Chorąży usiłował się przeżegnać, ale kajdany przeszkodziły mu. Powiedział z głębokim bólem:

- Oby Bóg przebaczył mu winy, których było niemało, ze względu na jego okrutny, a niezastuzony koniec!

- I Tomasa de Ampuero krewni generała zaszczuli i usiekli.

- Musieli go przydybać samego i nie uzbrojonego.

Zacny ksiądz nie odpowiedział.

- I co dalej?

- Teraz, mój synu, zamierzają zabić ciebie.

- Tak, zawsze się nosili z tym zamiarem. Wiedzą, że nie cenię ich nawet tyle co trzy pluskwy na ścianie wychodka w burdelu.

Ksiądz Antonio upomniał go:

- Cicho, człowieku! W takiej chwili kończą się kłótnie; wezwano mnie, abym cię wypowiadał. Masz umrzeć natychmiast.

- Mimo generalskiej amnestii?

- Don Tomasowi ona nie pomogła. Czy jesteś gotów?
- Tak, wielbny ojcie.
- Synu kochany, jeśli pragniesz rozgrzeszenia i żywota wiecznego, zaklinam cię, abyś niczego nie zatajał. Powtarzaj za mną *Confiteor!* Chorąży ukląkł posłusznie, a kiedy skończyli, rzekł półgłosem.
- Ojcie, oskarżam się, że grzeszyłem ciałem...
- Kapitanie Barreto - powiedział kapelan - proszę, wycofaj swoich strażników na godziwą odległość... A teraz mów dalej, synu!

Gdy chorąży skończył swoją spowiedź, usłyszano głos księdza Antonia:

- Ciężkie to grzechy, mój synu! Czy masz jeszcze jakie inne na sumieniu?

- Jeden tylko, ojcie - odrzekł podnosząc głos. - Grzech, który choć w swoim czasie wydawał się błahy, pociągnął za sobą gorsze następstwa niż wszystkie inne razem wzięte. W Callao, na dwa dni przed naszym wyruszeniem, stojąc przy grotmaszcie z don Andresem i bosmanem...

- Nie mów więcej! - rzekł kapelan. - Słyszałem wtedy twoje słowa i byłem świadkiem tego, co nastąpiło. A jednak nie ty pierwszy wybrałeś się z tą złośliwą opowiastką; trzydzieści lat temu, gdy służyłem pod księciem Alwą, ta sama ślepa sierota zamieszkiwała w Brukseli nad sklepem złotnika, i nie wątpię, że wyprawiała swoje sztuczki jeszcze na długo przedtem, w starożytnym Rzymie, w Niniwie i w Sodomie. No, synu kochany, wzbudź w sobie teraz dobry akt skruchy...

Dał mu rozgrzeszenie i udzielił komunii.

Chorąży, nadzwyczajnie pokrzepiony na duchu, poprosił dobrego księdza, aby pocieszył jego wdowę. Ostatnie jego słowa były:

- Niech Murzyn będzie moim katem. Nie chciałbym, żeby to morderstwo obciążało sumienia moich własnych arkałużników. Na znak dany przez kapelana Myn zbliżył się szybko i zanim don Lorenzo zdążył interweniować, rzucił się na don Juana i odrąbał mu głowę dwoma pewnymi uderzeniami topora.

Generał czekał niecierpliwie przed wartownią, nie wiedząc, co tak długo zatrzymuje don Lorenza.

- Proszę, daruj tę zwłokę, ekscelencjo - rzekł ten ostatni nadbiegający. - Którego z tych zdrajców będzie się sądzić pierwszego? Może adiutanta?

- Czemu nie? - zawołał major. - Z największą chęcią sprowadzę tu przed was tego łajdaka.

Pośpiesznie wszedł do wartowni i wywłókł z niej kapitana Diega de Vera, niczym rzeźnik barana. Don Alvar niepewnie spojrzął po obecnych.

Co mówicie, przyjaciele? Śmierć czy przebaczenie?

Po pułkowniku adiutant był najbardziej lubianym oficerem w obozie, toteż w szeregach rozległo się tak głośno: „Przebaczyć mu, przebaczyć!”, że Barretowie nie śmieli nalegać na karę śmierci. Kazano mu klęknąć i zaprzysiąc wierność generałowi, po czym zwrócono mu szpadę i puszczono wolno.

Następnie postawiono pod sąd sierżanta Andradę. Wiedział on, że generał ma do niego wstręt, odkąd słyszał jego przechwałkę, że zabił na Santa Cristina więcej ludzi niż ktokolwiek inny; nie oczekiwał więc zmiłowania.

- Do usług, generale! - powiedział. - Jeżeli moja głowa musi spaść, nie marudźmy z tym.

Major ciągnął go już za jedno ramię, chcąc prędko oddać go katom, lecz Pedro Fernandez przyciągnął go z powrotem za drugie.

- Po co ten nieprzyzwoity pośpiech? - zaprotestował. - Na miłość Najświętszej Panny, niechże sierżant zostanie osądzony, jak należy.

Generał oddalił się, by uniknąć próśb o łaskę, lecz doña Izabela, pragnąc zaskarbić sobie wdzięczność Pedra Fernandesa, poszła za nim i namówiła go do okazania litości.

Sierżant padł na kolana i pozwolono mu złożyć przysięgę wierności; ale gdy wstawał, ujrzał don Diega trzymającego w jednej ręce ciężką łagę pułkownika, a w drugiej halabardę, na której była zatknięta jego rozplątana, trupio blada głowa. Zasłonił sobie oczy, by ukryć płynące strumieniem łzy, i zawołał:

- Niestety, szlachetny starcze! Takież to koniec twojej długiej i wiernej służby jego królewskiej mości? Słodki Jezu, cóż za królewska nagroda! Nędzna śmierć i twoje siwe kędziory kiwające się na czubku pala!

- Uczciwe słowa, na Boga! - wybuchnął bratanek pułkownika, nie mogąc dłużej utrzymać się na wodzy. - Każdy, kto ma bodaj iskierkę honoru w piersi albo litości w trzewiach, musi zapłakać razem z tobą!

- Milcz, mój panie! - zawołał don Alvar. - Czyżbyś nie czuł żadnego zobowiązania wobec tych, co wstawili się za tobą?

- Jestem im wszystkim szczerze wdzięczny - odrzekł. - Ale dziękuję także człowiekowi, który odważył się powiedzieć głośno to, co wszyscy czują w głębi serca!

Obrócił się, by uściskać płaczącego sierżanta, a żołnierze obdarzyli go przyciszonymi oklaskami.

Sebastian Lejia, wciąż w dybach, namówił jednego z pilnujących go strażników, aby zawołał głównego nawigatora, który przyszedł do niego zaraz i spytał go, czego chce.

- Słyszałem, wasza cześć, żeś ocalił życie sierżanta Andrady. Na miłość Boga, zrób to samo dla mnie!

- Czemu bym miał brać twoją stronę? Z zimną krwią zamordowałeś naszego szlachetnego dobroczyńcę, tak samo jak zamordowałeś tego mężczyznę, który płynął ze swoim dzieckiem u brzegów La Magdalena.

- W obu wypadkach zrobiłem tylko to, co mi kazano, wasza dostojność. Wtedy rozkaz pochodził od pułkownika, teraz zaś od osoby, dla

której żywisz wielki szacunek; nie pytaj mnie jednak o jej imię. I klnę się na słodkiego Jezusa, który nas wszystkich odkupił, że moja niezasłużona śmierć pociągnie za sobą pół tuzina innych... Małżonka generała będzie ci wdzięczna za tę przysługę - zaskamlał. - Nie dalej jak wczoraj pozwoliła mi poślubić jej służebną Panczę.

Pedro Fernandez ani się domyślał, jakiego szatańskiego targu dobiła doña Izabela z Sebastianem: Pancza miała być jego nagrodą za zamordowanie Malopego. Ja sam nie od razu domyśliłem się jej udziału w tej niegodziwej zbrodni, choć znałem jej talent do oszukaństwa i podwójnej gry; zabójstwo to wydawało mi się jednak całkowicie przeciwne jej interesom.

Sebastiana uwolniono z dybów wespół z Salwadorem Alemanem i zaprowadzono obu przed oblicze don Alwara. Salwadorowi darowano życie, gdy oświadczył na swoją obronę, że i przyjacielowi wymierzyłby taki sam litościwy cios, żeby skrócić jego męki. Sebastian milczał. Sam generał chwycił go teraz mocno za kołnierz.

- Oto najpodlejszy morderca naszych czasów! - powiedział. - Człowiek, który ni stąd, ni zowąd, za diabelskim poduszczeniem, roztrzaskał szlachetną pierś naszego niewinnego sprzymierzeńca, Malopego. Czy jest tu kto na tyle wyzuty ze wstydu, by śmiać stanąć w jego obronie? Zginiesz na stryczku, łotrze!

Główny nawigator zdjął czapkę z głowy.

- Ekscelencjo - rzekł - błagam cię, nie składaj więcej ofiar na ołtarzu sprawiedliwości. Pułkownika już nie ma, a ci, których wywiódł na manowce, wrócili do posłuszeństwa. Ten człowiek działał na rozkaz; byłoby niesprawiedliwie powiesić psa, a jego pana zostawić na swobodzie.

Przypuszczał, że to don Lorenzo był inspiratorem zbrodni, ponieważ nieraz słyszano, jak mówił, że powinniśmy wydać wojnę wszystkim krajowcom bez wyjątku i wydrzeć im wyspę siłą oręża.

Don Alwar musiał odgadnąć, co główny nawigator ma na myśli. Puścił więźnia i zaczął narzekać z irytacją:

- Miłosierdzie, tak, bardzo pięknie, przyjacielu. Ale jakże ja mam pomścić Malopego, jeżeli daruję życie temu człowiekowi?

- Dość już krwi przelano - odpowiedział Pedro Fernandez - ekscelencja musi pamiętać, jak nas jest teraz mało. Poślij głowy chorążego i sierżanta do wioski Malopego, jakby to były głowy jego morderców. Dzicy nie połapią się, że jest inaczej.

Generał spojrział przelotnie na don Lorenza, który powiedział prędko:

- Główny nawigator dobrze mówi. Ten człowiek musiał otrzymać rozkaz od Juana de Buitrago, który już zapłacił za tę zbrodnię.

Wtedy don Alwar ustąpił, ale polecił głównemu nawigatorowi zabrać Sebastiana sprzed jego oczu, nim pożałuje swojej wspaniałości. Powiedziawszy to zemdłał. Jego działania tego dnia przywodziły mi na myśl dogorywający ogarek świecy, który rozbłyśka nagle, nim ostatecznie zagaśnie.

Podczas gdy cuciłem go wraz z donią Marianą, Pedro Fernandez zawołał czterech majtków i wysłał Sebastiana pod ich eskortą na okręt flagowy, gdzie zamknął go w dziobówce o sucharach i wodzie. Załoga, która ucztowała jeszcze na zapasach żywności ofiarowanych nam przez Malopego, nie posiadała się z oburzenia na jego czyn. Tej nocy majtkowie dosypali soli do wody w jego dzbanie i zanieśli mu łupiny migdałowe do jedzenia. Nie dali mu też zasnąć, lecz stale budzili go kuksańcami, krzyząc: „Czegożeś zabił Malopego, bydlaku? Powinno się ciebie powiesić, włóczyć końmi i poćwiartować!” Nowa to była przyjemność dla marynarzy mieć żołnierza w swojej mocy, a zwłaszcza takiego, który zawsze spoglądał na nich z pogardą.

Nazajutrz rano posłał po Panczę, która niebawem zajrzała do niego przez uchylone drzwi. Twarz mu się rozjaśniła i powiedział:

- Kochanie, kiedy tylko mnie puszcza, tego samego dnia ożenię się z tobą; mam już zgodę doni Izabeli.

Ale gdy ona splunęła na niego, gdy miłośnie objęła za szyję strażnika, który najwięcej się nad nim znęcał, i pozwoliła mu pieścić swoje piersi, Sebastian odwrócił się twarzą do ściany i zaszlochał.

ROZDZIAŁ XX

ZACMIENIE

Lekka bryza wiała od strony wioski Malopego niosąc z sobą odgłosy dalekich lamentów, tak ponurych i długotrwałych, że serca nam się krajały. Don Alwar, drżąc z niepokoju, kazał zanieść tam głowę Juana de Buitrago dla przebłagania krajowców; dowiedział się, że po śmierci wodza jego krewni zawsze domagają się ofiary, która by towarzyszyła mu na tamten świat: jego mordercy, jeśli zmarł gwałtowną śmiercią, a jeśli nie, to wroga podejrzanego o zabicie go sposobami magicznymi (wierzono bowiem, że żaden wódz nie umiera śmiercią naturalną). Niemiłe to zadanie powierzył adiutantowi, który wyruszył z don Jacintem i dwudziestoma żołnierzami. Jednakże skoro tylko krajowcy ujrzeli z daleka barkas, rozpierchli się i uciekli w las, wciąż głośno lamentując. Adiutant wołał za nimi, pokazując głowę chorążego wbitą na pał, ale ponieważ nie zwracali na niego uwagi, wylądował i pomaszerował do wioski.

Aby okazać swoją ekstatyczną żalność, osieroceni członkowie plemina pościnali kilkadziesiąt młodych drzew owocowych, podeptali kwitnące rośliny na dziedzińcach swoich domostw, a nawet częściowo poniszczyli rzeźbione słupy domu zgromadzeń. Do zagrody, w której zazwyczaj przebywały świny Malopego, każdy mężczyzna i każda kobieta wrzucili jakąś broń lub ozdobę jako dar pożegnalny dla duszy wodza, w tym kilka owych czerwonych opasek, które od nas otrzymali.

Żołnierze mieli ochotę wejść do zagrody i zabrać sobie rzeźbione przepaski z muszli i naramienniki z dziczych kłów, ale adiutant zabronił im tego. „Okradanie zmarłych przynosi nieszczęście” - powiedział. Mimo to, ledwo się odwrócił, skradli ozdoby samego Malopego ułożone na drewnianym ołtarzu obok domu. Następnie przybito głowę chorążego pod okapem dachu, a don Jacinto wdrapał się przez otwór wejściowy do wnętrza, by zobaczyć, czy nie mieszka tu jeszcze któraś z wdów po Malopem, której można by przekazać kondolencje generała. Znalazł dom pusty. Palenisko było zimne, połamane włócznie wały się po podłodze wśród porzucanych skórek bananów i innych owoców, a na podwyższeniu, gdzie niegdyś sypiał Malope, leżała trumna ukształtowana jako cielsko rekina, zawierająca jego zwłoki. Widoczna była tylko dolna część twarzy, wszystko inne okrywały pokrzywy przyciśnięte grubymi deskami, taki bowiem był sposób wypiarzy na powstrzymanie rozkładu ciała, póki leżało wystawione na widok publiczny.

Zawodzące okrzyki *ulo, ulo* rozlegały się boleśnie z lasu; adiutant przeżegnał się i sprowadził swoich ludzi z powrotem do łodzi. Przez cały ten dzień i noc, z krótkimi tylko przerwami, żałobne lamenty dźwięczały nam w uszach niby oskarżenie.

Szafarz wody, Jaume, przyszedł do mnie ze zgnębiłą miną i zapytał:

- Don Andresie, czy słyszałeś, co opowiadają o zdrowiu generała?

- Wiem, że jest bardzo chory. Nie dał mi nic do pisania od dnia śmierci pułkownika.

- Albo od dnia śmierci Malopego.

- Tak jest, ale co z tego?

Przystąpił bliżej i szepnął:

- Powiadają, don Andresie, że Malope zamienił się z nim nazwiskami, żeby się zabezpieczyć przed zdradą; mocą magii współczucia

każde nieszczęście dotykające Malopego padłoby również na don Alwara, gdyby maczał w nim palce.

- Cóż za dziwaczny pomysł! - powiedziałem. - W każdym razie, ktokolwiek wydał rozkaz Sebastianowi, możesz być pewien, że nie był to don Alwar.

- Zgadzam się z tobą - odrzekł - ale jeśli doszła do niego ta pogłoska, a Elwira mówi, że doszła, i jeśli jej wierzy, jak mnie o tym zapewnienia dziewczyna, no, to wspomnisz moje słowa, że nigdy już nie podniesie się z łoża bolesti. Trapi go myśl, że nie zagroził śmiercią każdemu, kto uczyniłby coś złego Malopemu; a teraz skarży się na rozdzierające bóle w prawej piersi, gdzie kula uderzyła Malopego, i na ból głowy, od którego zda się pąka mu czaszka. Nie na darmo pochodzi z Corunny, gdzie każde dziecko chowane jest w strachu przed czarami i nawet księży uważa się za będących w zмовie z szatanem.

- A czy to na Majorce nie ma czarownic? - spytałem ze śmiechem. - Słyszałem, jak Galicjanie zaklinają się, że czarna magia jest ich prowincji nieznana, a za to Majorka i pozostałe Baleary są przez nią zupełnie opanowane.

- No, nie zaprzeczę, że mamy swoje mądre baby. Mój własny wuj, szewc w górskiej wioszczynie, nie mógł wyjść z domu przez przeszło dziesięć lat; żona jego, zazdrosna o córkę piekarza, zuroczyła próg drzwi wejściowych tak, że ilekroć chciał go przestąpić, padał zemdłony. Żadnej innej krzywdy mu jednak nie zrobiła, a kiedy zmarła, przestąpił próg bez szwanku, wyszedł na ulicę i skierował się prosto do domu piekarza. Ale czarownice z Corunny rzucają swoje uroki nie tylko w celach samoobrony.

Nie zaprzeczyłem mu.

- Przyjacielu Jaume - powiedziałem - nie mówmy więcej o czarnej magii; mówiąc o niej zwiększa się jej moc czynienia złego.

Kiwnął głową i po chwili milczenia rzekł od niechcienia, jakby zmieniał temat rozmowy:

- Główny nawigator ma żonę i dziecko, prawda? - Tak, i kocha ich bardzo oboje - odparłem zabierając się do odejścia. A więc Jaime podejrzewał donię Izabelę o to samo co ja! Gdy jednak rozważyłem starannie sprawę, przyszło mi na myśl, że doña Mariana nie jest mimo wszystko czarownicą ani też jej siostra, choć obie być może udają czarownice po to, aby przerazić don Alwara. Manewry doni Mariany z naparstkiem musiały mieć na celu przykucie, nie odwrócenie, mojej uwagi: gdyby była chciała zebrać obrzynki paznokci generała nieopstrzeżenie, wystarczyłoby jej wyprawić mnie gdziekolwiek z posyłką. Liczyła, że rozpowiem, co widziałem. Plotki o kartach do tarota miały z pewnością także dojść do uszu generała i przygnębić go na duchu. Teraz zaś obie siostry rozpuszczały potworne i bezbożne twierdzenie, że don Alwar musi umrzeć dlatego, iż jakimś nieokrzesanemu pogani nowi spodobało się zamienić z nim nazwiskami.

- Powiem mu prawdę o doni Izabeli - postanowiłem. Dowiedziałem się jednak, że gdy wikariusz poprosił, aby trzy pozostałe głowy usunąć z widoku publicznego i pochować po chrześcijańsku przy tułowiach, don Alwar przystał wprawdzie na jego prośbę, lecz rozmyślnie nie wydał odpowiedniego rozkazu. W rezultacie głowy walały się przez noc po obozie i do rana głodne psy objadły je z mięsa do czysta. „Carlotta też miała w tym swój udział” - powiedział majtek, który przyniósł mi tę wiadomość. Dreszcz mną wstrząsnął na myśl o takim braku serca i powstrzymałem się od zamierzonych rewelacji.

Żałoba po Malopem trwała tydzień. Trzeciej nocy po jego śmierci krajowcy zapalili wielkie ogniska, a my podwoiliśmy strażę spodziewając się ataku; ale żaden atak nie nastąpił. Tego wieczoru dozorca Sebastiana zmiękli i dali mu świeżą wodę i suchary, jakie mu się należały; on jednak nie chciał jeść ani pić, a kiedy siódmej nocy zawodzenia nagle ustały, był już o włos od śmierci. Główny nawigator wezwał wikariusza; Sebastian wypowiedział się, otrzymał rozgrzeszenie i umarł

jak męczennik. Pochowano go obok bezgłowych ciał pułkownika, don Tomasa i sierżanta Gallardo, z których żaden nie dostał takiej pociechy; miał również przewagę nad Juanem de Buitrago, którego tułów złośliwie rzucono rekinom.

Major Moran był teraz najstarszym oficerem na wyspie, lecz nie zaryzykował objęcia dowództwa, bojąc się obrazić Barretów. Pozostawał w swojej chacie, podczas gdy oni robili, co chcieli, a niebawem generał, który słabł z godziny na godzinę, mianował don Lorenza swoim zastępcą na lądzie i na morzu. To, że ludzie Malopego przestali przychodzić nam pomagać, posłużyło za pretekst do zaniechania robót przy częstokole, choć doña Izabela pozwoliła teraz zbudować go wokół pagórka. Zamiast tego zapędzono żołnierzy do jak najszybszego dokończenia budowy rezydencji, naszego jedynego piętrowego budynku. Gdy jedną stronę pokryto strzechą i zaopatrzono w podłogę, Myn przeniósł don Alwara na grzbiecie na ląd i położył go tam na łóżku. Murzyn opowiadał nam później, że ważył nie więcej niż dziecko.

Pewnego wieczoru don Lorenzo wszedł do kajuty generalskiej i poprosił o pozwolenie porwania dwudziestu chłopców-krajowców, by ich przyuczyć na przewodników i tłumaczy, i don Alwar zgodził się na to. Na godzinę przed świtem jeden z sierżantów i dwudziestu żołnierzy wyruszyło w barkasie do najodleglejszej z wiosek, w których byliśmy z Malopem po żywność; tam jednak, choć wylądowali ukradkiem w półmroku, zostali powitani gradem strzał. Sierżant miał polecenie nie zabierać broni palnej na ląd, lecz znieść chłopców podarkami i słodkimi słowami; tym się tłumaczy, dlaczego żaden z oficerów nie podjął się poprowadzenia tak dużego oddziału. Ponieważ zaskoczenie się nie udało, żołnierze wycofali się; sierżant wskoczył do łodzi ostatni i w nagrodę za swoją odwagę został ranny strzałą w dłoń; z czasem wywiązała się martwica i kosztowała go życie. Siedmiu innych odniosło

rany, w tym dwaj ciężkie, nim łódź oddaliła się poza zasięg strzału. Dzicy puścili się w pogoń na czółnach, aż wyprzedziwszy naszych wylądowali tuż przy molu i pobiegli ku bramie obozu.

Don Lorenzo wyruszył przeciwko nim z biciem bębnow i rozwiniętym proporcem, lecz nie chciał zniżyć się do użycia broni palnej, toteż jeszcze siedmiu ludzi, wśród nich on sam, odniosło rany nie zadawszy żadnych strat nieprzyjacielowi, który byłby się wdarł do obozu, gdyby puszkarz z galeoty nie wypalił z działa ponad głowami dzikich i nie zmusił ich w ten sposób do pośpiesznej ucieczki właśnie w chwili, gdy barkas ukazał się w polu widzenia. Z bólem wyciągnąwszy sobie strzałę ze stopy, don Lorenzo przywołał go okrzykiem i gdy zniesiono rannych na brzeg, wysłał barkas raz jeszcze do wioski pod komendą innego sierżanta. Tym razem kazał żołnierzom spalić tam szopy z czółnami do szczytu i sprawić wszelkie, jakie tylko zechcą, spustoszenia; ale wysyłał ich w takim pośpiechu, że choć wydał im arkabuzy i kule, zapomniał o prochu, toteż wrócili po dwóch godzinach z ośmioma nowymi rannymi.

Trzy zwycięstwa, w których nie stracili ani jednego człowieka, tak rozzuchwaliły krajowców, że całą noc przy pełni księżyca kręcili się wokół obozu, kryjąc się za krzakami, i ilekroć zbliżył się jakiś żołnierz, wypuszczali na niego strzałę lub ciskali kamieniami z procy. (Na Santa Cruz używanie procy zastrzeżone było dla wodzów i ich synów, którzy byli jasnobrązowi, roślejsi i o szlachetniejszym wyglądzie niż reszta.) Ponieważ latryny obozowe znajdowały się blisko ogrodzenia z palików, strzelono do kilku żołnierzy, którzy poszli się odlać, a trafiono dwóch, w tej liczbie Salvadora Alemana. Znalaziono go nieżywego w rowie kłocznym; szarawary miał ściągnięte do kolan, a w brzuchu tkwiła mu strzała. Wyglądało na to, że duch Malopego mści się z całą dokładnością. Drugi żołnierz został oślepiiony na jedno oko bełtem wyrzuconym z procy, ale dotąd żyje i prowadzi gospodę „Pod Adoracją” w Limie.

Ponieważ wróg się nie pokazywał, nie wystrzelono ani razu z hakownicy; częściowo dla oszczędności prochu i ołowiu, lecz głównie dlatego, że niecelne strzały wprędce nauczyłyby krajowców gardzić hukiem wystrzału.

Taki był ów katastrofalny dzień czternastego października, kiedy mieliśmy również pierwszą zapowiedź zarazy, która miała nas tak drogo kosztować. Nie była to złośliwa febra z gatunku tych, które wyrobiły Portobello, Panamie, San Tome i wielu innym portom tak złowrogą reputację: żaden z chorych nie umierał raptownie jak w tamtych miejscowościach, zaledwie w parę godzin od wystąpienia najpierwszych objawów choroby. Niektórzy ciągnęli tygodniami, a nawet miesiącami, zależnie od siły swoich organizmów, inni, jak ja, po kilku dniach pozbywali się ataku. Objawami choroby były zawroty głowy, ból gardła, nocą wysoka gorączka z przykrymi snami i maligną, w dzień straszliwe znużenie i tak słaby żołądek, że nawet od najzdrowszego jedzenia zbierało się na mdłości; w większości wypadków drugiej nocy infekcja spadała z gardła na płuca.

Ksiądz Joaquin, który przywiózł był z sobą koszyk słynnego środka przeciwko febrze, zwanego korą jezuicką, przepadł na „Santa Ysabel”; przy ciepłej, troskliwej opiece i odwarze z tego gorzkiego leku, febra ta mogła nie być zabójczą dla nikogo z nas. Nie przypuszczam, aby teren był w dużej mierze jej przyczyną (choć oczywiste jest, że inne jedzenie, nagłe spadki temperatury w nocy, częste ulewy, po których żołnierze nie zdejmowali przemoczonych odzieży, lecz suszyli ją na sobie, wilgotność ziemi, na której spali - gdyż nie chciało im się zrobić sobie prycz, jak to czynili krajowcy - wszystko to musiało zaszkodzić zdrowiu każdego Hiszpana, który nie był z kamienia. Ale przyszło mi na myśl, że póki pułkownik utrzymywał swoich ludzi w surowej dyscyplinie i dawał im zatrudnienie, żaden nie zdradzał najmniejszych oznak choroby; że właściwie plaga, która nas nawiedziła, była tym, co Włosi nazywają *la influenza*, przypisując ją tajemniczemu wpływowi planet raczej niż

złym warunkom sanitarnym czy też bliskości ziejących zgnilizną bagien. Często zjawia się ona w następstwie powszechnych zamieszek, zbrodni lub klęsk publicznych czy też długotrwałej wojny, której żadna ze stron nie ma już siły dalej prowadzić, i ja osobiście dopatruję się przyczyny swojego wyzdrowienia w tym, że zawsze pilnie starałem się nie uczestniczyć bezpośrednio w niegodziwych wydarzeniach, które opisywałem w kronice.

Pierwsza śmierć miała miejsce siedemnastego października, w wigilię świętego Łukasza Ewangelisty, co przypomniało nam dotkliwie, że nie mamy z sobą lekarza; a ofiarą był nie kto inny, tylko ksiądz Antonio. Jego zgon wszyscy prócz Barretów przyjęli z głębokim żalem, a już szczególnie wikariusz, który udzielał mu wiatyku. Lamentował żałośnie nad zwłokami kapelana; z oczyma wzniesionymi ku niebu i ze łzami płynącymi strumieniem po policzkach zawołał głośno w mojej obecności:

- O, Panie Boże mój, jakże ciężko mnie karzesz za moje grzechy! Więc zostawiłeś mnie, Panie, bez księdza, przed którym mógłbym się wyspowiadać?... O, księżu Antonio de Serpa, jaki szczęśliwy jest twój los! Jakże chętnie zamieniłbym się z tobą, złapany oto w ten straszny potrzask: choć sam mam władzę odpuścić winy wszystkim na tej wyspie, nikt nie może zrobić tego dla mnie.

Chodził chwiejnym krokiem tam i z powrotem, z twarzą ukrytą w dłoniach i nic nie mogło go pocieszyć, choć Pedro Fernandez i Juan de la Isla zaklinali go, aby się uspokoił. Niebawem powlókł się do kościoła i tam płakał niepowstrzymanie przed ołtarzem, modląc się za duszę księdza Antonia i wysławiając jego cnoty; w końcu wyszedł na cmentarz kościelny i zawoławszy o łopatę, własnymi słabymi rękoma wykopał głęboki grób.

Tej nocy, kiedy wzeszedł księżyc na wschodzie, nastąpiło całkowite jego zaćmienie, wywołując wielką konsternację; słyszałem, jak szepta- no, że przy takiej okazji czarownice mogą sprawiać wszelkie zło, jakie

zechcą, i że duch jakiejś wielkiej osobistości opuści swe ciało przed następnym wschodem księżyca. Żaden wartownik nie wyszedł na służbę bez amuletu na szyi i kolegi do towarzystwa, a o świcie rozeszła się pogłoska, że gdy pewien oficer wyszedł z namiotu, żeby się odlać przy świetle gwiazd, zobaczył, jak naga kobieta z gałęzią w ręce rzuca uroki na rezydencję. Pogłosce tej nie bardzo chciało mi się wierzyć, ale Myn uroczyście potwierdził mi prawdziwość innej: że tej nocy głodne psy albo też czarownice odgrzebały trupa Sebastiana.

Dzwon zabił na pogrzeb kapelana, a ten złowieszczy odgłos, wraz z opowiadaniem o czarnej magii, które doszły do uszu don Alwara za pośrednictwem służebnych i paziów, napełnił przerażeniem serce chorego. Pewien, że musi umrzeć przed końcem dnia, wezwał do swego łóża don Luisa, kapitana Corzo, adiutanta, dwóch kupców i mnie i poddyktował mi swoją ostatnią wolę, jak następuje:

W Zatoce Łaskawej, na tej chrześcijańskiej wyspie Santa Cruz, w dzień świętego Łukasza 1595 roku, w obecności mego sekretarza Andresa Serrano oraz świadków, don Diega de Vera, Andresa del Castillo, Juana de la Isla, don Luisa Barrato i kapitana Felipe Corzo, ja, Alwar de Mendaña y Castro, markiz, prefekt, wielkorządca, wódz naczelny i najwyższy sędzia Wysp Salomona, będąc bliski śmierci, niniejszym oznajmiam i ogłaszam wszem wobec moją ostatnią wolę.

Po pierwsze: duszę moją polecam i oddaję Bogu.

Po drugie: nakazuję, by wszelkie zapisy, jakich prawo ode mnie wymaga... itd., itd.

Po trzecie: nakazuję, aby ciało moje pochować w kościele świętego Szymona Sprawiedliwego, na rzeczonyj chrześcijańskiej wyspie Santa Cruz, oraz aby ksiądz Juan de la Espinosa celebrował na moim pogrzebie, oraz aby tego samego dnia lub - jeśli to niemożliwe - następnego odprawił mszę nad moim grobem, za co z majątku mego otrzyma opłatę w przyjętej wysokości; oraz aby dwadzieścia dalszych mszy odprawionych zostało za moją duszę w tymże kościele lub - jeśli to

niemożliwe - gdzie indziej, a opłaty za nie tak samo wypłacone były z mego majątku.

Po czwarte: mianuję donię Izabelę Barreto, moją ślubną małżonkę, wielkorządczynią wyżej wymienionych Wysp. Aby zaś zapewnić wykonanie niniejszego mojego testamentu, mianuję jego egzekutorami rzezoną donię Izabelę oraz wymienionego wyżej księdza licencjata Juana de la Espinosa, którym łącznie nadaję wszelkie uprawnienia potrzebne do wykonania niniejszego mojego testamentu i do rozporządzenia wszystkimi dobrami, jakie przywożem ze sobą do tych brzegów; dóbr tych mianuję rzezoną donię Izabelę jedyną dziedziczką i właścicielką, jak również wszelkich innych dóbr, ruchomości i nieruchomości, jakie obecnie są w moim posiadaniu lub jakie z czasem znane i uznane być mogą za moją własność; jak również dziedzicznego markizatu, który nadał mi nasz miłościwy pan i władca król Filip II, a który ona teraz piastować będzie na własną rękę wraz z innymi tytułami i wyróżnieniami, jakimi jego królewska moc łaskawie mnie zaszczycił, wyjąwszy tylko tytuł naczelnego wodza.

Po piąte: wyznaczam i mianuję naczelnym wodzem sił, będących obecnie pod moim dowództwem, kapitana don Lorenza Barreto, brata mojej żony.

Po szóste: odwołuję i anuluję niniejszym wszelkie inne testamenty itd., itd.

Zacisnąłem jego wychudłe palce wokół pióra, po czym z największym wysiłkiem podpisał swoje nazwisko; zgrabny zazwyczaj podpis rozwlókł się i zmienił nie do poznania. Potem opadł wyczerpany na poduszki i posłał po wikariusza, któremu spowiadał się długo i żarliwie, powtarzając też za nim *Miserere mei* i *Credo*. Jednakże nawet po otrzymaniu rozgrzeszenia i przyjęciu Najświętszego Sakramentu nie uspokoił się na duchu i prosił, aby izbę i wszystkich w niej obecnych dobrze pokropić święconą wodą, a krucyfiks zdjęć ze ściany i włożyć

mu w ręce. Prośby te ksiądz Juan spełnił, lecz ani doña Izabela, ani jej siostra nie wzdrygnęły się przed kroplami, co byłyby uczyniły niechybnie, gdyby były czarownicami; obie też okazywały wielką katolicką pobożność i czuły żal nad konającym. Mimo to jego ostatnie słowa, wyszeptane na parę minut przed południem, brzmiały:

- Postaw straż nad moim grobem, ojcze; przybij mocno wieko trumny; pochowaj mnie głęboko! - A po chwili, z zimnym uśmiechem: - Przynajmniej moja dusza dostanie się Bogu, nie im!

Niektórzy wątpią, być może, czy generał rzeczywiście zmarł z przyczyn tu wymienionych, albo podejrzewają, że doña Izabela przyspieszyła jego koniec jakąś powolną trucizną; można jednak przytoczyć wiele przykładów ludzi, którzy sami doprowadzili się do śmierci przez zabobny strach. Pamiętam zwłaszcza los pewnego francuskiego szlachcica, mojego najbliższego sąsiada z Sewilli, który zabiwszy rodaka w pojedynku na świętego Jana, został przeklęty przez wdowę w tej formie, iż umrze, gdy ostatnie jabłko spadnie z drzewa, pod którym zadany został śmiertelny cios. Drzewo to widoczne było z okien jego sypialni i szlachcic wziął sobie te słowa tak głęboko do serca, że rozchorował się i co dzień liczył jabłka pozostałe na gałęziach. „Niestety, Jacques - mówił do swego sługi - już tylko pięć zostało” albo: „Już są tylko trzy”, i słabł z dnia na dzień. Oddany sługa posłał na miasto po porcelanowe jabłko, które pod osłoną ciemności przywiązał do jednej z gałązek; potem, choć wiały zimowe wichury i deszcze lały strumieniami, jabłko ani nie spadało, ani nie gnęło. Mój chory sąsiad czuł się wielce pokrzepiony tym niby cudem, że jabłko wisi tak wytrwale wśród ogołconych gałęzi; odzyskał apetyt i siły, i na Trzech Króli, ponieważ dzień był słoneczny i suchy, wstał i wyszedł do ogrodu obejrzeć owoc, który uratował mu życie; gdy jednak przekonał się o oszustwie, nagle podniósł rękę do serca i natychmiast umarł, nawet zanim można było wezwać księdza na pomoc jego duszy.

Pochowaliśmy don Alwara tego samego wieczoru z całą pompą, na jaką pozwalały nasze skromne warunki; trumnę, spowitą w czarne

sukno, ośmiu oficerów poniosło na barkach na cmentarz kościelny. Za nimi szli żołnierze powolnym krokiem marszowym, jak tego wymagał zwyczaj przepisany na takie okazje: broń nieśli odwróconą lufami do dołu, flagi wlokły się po ziemi, owinięte kirem bębny biły wolno i żałośnie, a piszczałki zawodziły głośno i przenikliwie. Myn wykopał grób obok mogiły księdza Antonia i tam wikariusz oddał prochowi to, co było prochem. Wystrzelono pożegnalną salwę i ci, co nieśli trumnę, wrócili do rezydencji, by złożyć kondolencje i hołd naszemu wielkorządcy w spódnicy czy też wielkorządczyni, która nie uznała za stosowne pokazać się u grobu.

Don Alwar zawsze traktował mnie z łagodnością, którą tylko mały krok dzielił od łaskawości, i byłbym żałował go więcej, gdyby żalu nie wypierał mi z duszy niepokój o przyszłość. Sytuacja nasza, która jeszcze przed trzema dniami zdawała się rokować jakieś takie nadzieje, odmieniła się katastrofalnie na gorsze. Teraz, kiedy tak wieki oficerów i żołnierzy leżało rannych lub chorych na febrę, nie mogliśmy wyprawiać dużych oddziałów po żywność nie osłabiając w sposób niebezpieczny garnizonu, małe zaś już nie wystarczały. Co więcej, odkąd plemię Malopego zwróciło się przeciwko nam, nasza liczebność i dyslokacja przestały być tajemnicą. Dzicy rozzuchwalili się i osaczali obóz nawet za dnia. Kępa zielonych amarantów, które żołnierze nazywali chrześcijańską jarzyną (tzn. znaną im i zdrową), rosła niedaleko bramy, lecz ilekroć nieduży zbrojny oddziałek wyruszał naścinać ich trochę, strzelcy-krajowcy czyhali na nich zaczajeni wśród drzewiastych paproci i jeszcze kilku naszych ludzi zostało rannych podczas tych wycieczek.

Sprawy nasze przedstawiały się niewesoło: żołnierze umierali od ran, troje dzieci osadników zmarło na biegunkę (najały się zepsutych owoców), a febra rozprzestrzeniała się tak szybko, że do parady wojskowej mogło stanąć ledwo trzydziestu ludzi. Mimo to sądzę, że gdyby pułkownik, Juan de Buitrago i kapelan żyli, potrafiliby wspólnymi

siłami dodać ludziom ducha i przekonać ich, że bynajmniej nie wszystko jeszcze stracone. Ale doña Izabela zamknęła się w rezydencji, don Lorenzo z powodu rany nie mógł opuszczać swojej kwatery, major Moran był przedmiotem powszechnej wzdąry, na adiutancie nie przestały ciążyć podejrzenia, kapitan Leyva leżał chory, a kapitan Corzo usunął się na galeotę uważając, że tam jest zdrowiej. Gdzież więc żołnierze mieli szukać przywódcy?

Wikariusz w swoim zapale religijnym przyczyniał się do tego, by nasze położenie wydawało się jeszcze gorsze, niż było w rzeczywistości. Chodził po całym obozie nie wstrzymywany przez nikogo, wołając:

- Czyńcie pokutę! Pójdźcie i czyńcie pokutę! Pojednajcie się z Bogiem, synowie moi! Zesłał na nas tę plagę jak na Izraelitów na puszczy, jako słuszną karę za nasze grzechy, i zaprawdę wierzę, iż ani jeden z nas nie ujdzie żywy, choć jest nas tak dużo. Wyspiarze zatryumfują nad nami, zawładną naszą bronią i wszystkim innym, co posiadamy. Jeśli za jedną jedyną winę Pan Bóg pokarał całe królestwo, czegoż możemy spodziewać się tutaj?

Strach o własne zbawienie zupełnie rozstroił zacnego księdza; robił jednak, co mógł, aby ratować dusze innych.

- Zważcie - wołał - przypadek króla Dawida, który zgładził Hetytę Uriasza, aby móc legnąć z jego żoną; jak to Bóg, gdy wyznał swą winę, dał mu do wyboru trzy kary. My tutaj zgrzeszyliśmy na sto gorszych sposobów niż Dawid, a mimo to nie okazaliśmy skruchy, toteż gniew boży rozgorzał, a nagi i krwawy miecz Jego sprawiedliwości uderza na prawo i na lewo. Choroba, wojna, głód i niesnaski panoszą się wśród tych oto chat. Ach, oczyśćcie serca wasze, synowie moi, oczyśćcie serca wasze! Znam pewnego sierżanta, który spowiadał się tylko raz jeden w życiu, i dobosza, który sam nie wie, czy jest Maurem, czy chrześcijaninem. Otwórzcie oczy wasze i ujrzyjcie błoto, w którym się tarzacie!

Mieszkałem teraz w izbie na piętrze rezydencji i pewnego ranka z łóżka posłyszałem, jak Matia, który trzymał wartę na dole, skarży się Jaumemu na wikariusza.

- Gdyby nie był księdzem, przysięgam, że zadusiłbym go własnymi rękoma. Kapłan powinien krzepić swoje owieczki w chorobie i niebezpieczeństwie, a nie wpędzać je jeszcze szybciej do grobu. Ach, gdybyż ksiądz Galvez był tu teraz z nami! Nigdy w życiu nie wyprawię się więcej na Morza Południowe inaczej niż z franciszkaninem!

- Wygląda, że i sposobności nie będziesz miał po temu - rzekł Jaume. - Aten ksiądz Juan to święty. Powiedział mi dziś, że jedna jedyna kropla krwi wylana przez Chrystusa podczas Jego męki wystarczy do zmycia grzechów nieskończonych światów.

- Oho, toś poszedł do konfesjonału?

- Wypowiadałem się i, Bogu dzięki, rozgrzeszył mnie!

- Ach, Jaume, Jaume, pomyśleć tylko, że dałeś się w końcu złapać na wędkę! Ale ja nie będę prosił o rozgrzeszenie księdza, który robi tchórzy z moich kolegów.

Po niesporach słyszałem kazanie wikariusza? W obozie było cicho, jeśli nie liczyć wycia psów i stłumionych krzyków jakiejś kobiety w malignie, i jego głos dobiegał mnie wyraźnie z otwartych okien ościola:

- ...I opowiem wam o jeszcze jednym znamienym i udowodnionym cudzie, za którego prawdziwość ręczył mi znajomy czcigodny ksiądz, mający probostwo w Indiach Zachodnich. Pewien wielki pan, ubogi w cnoty, ale bogaty w dobra tego świata, żył zakorzeniony głęboko w występku. Potrafił wjeżdżać konno, z lancą i sztyletem, do miasta Hawany i tam, zgrzytając zębami i wpatrując się groźnie w niebo, krzyczyć: „Hej, Boże Ojczy! Zejdź i stocz ze mną walkę, a zobaczymy, kto z nas jest silniejszy!”, dodając wiele innych bluźnierstw i nieprzystojnych wyrażań. Grzesznik ten chodził pewnej nocy tam i z powrotem po ciemnej komnacie w swoim wspaniałym pałacu, z różańcem w ręku, mrużąc nie wiem już jakie głupstwa, kiedy głos kobiecy,

słodki jak dzwoneczek, przemówił doń z podłogi: „Don Bassanio - tak się bowiem nazywał - czemu nie zrobisz z tego różańca właściwego użytku i nie pomodlisz się nabożnie?” Zdziwiony i przerażony, sięgnął po krzesiwo, skrzesał iskrę, zapalił świecę i rozejrzał się wkoło. W komnacie oprócz niego nie było nikogo.

Szukając dalej, znalazł na podłodze kolorowy wizerunek Matki Boskiej, który podniósł i oparł o ścianę; podtrzymując go oburącz, klęczał i pobożnie odmawiał różaniec. Na to zjawili się znikąd dwaj rośli Murzyni, zdmuchnęli świecę, rozebrali go do naga i zaczęli go chłostać harapem. Chłostali go i chłostali, a on modlił się ciągle, aż ledwo już żywy, padł zemdlony na ziemię. Wtedy nadprzyrodzona światłość przeniknęła całą komnatę i ten sam łagodny głos powiedział: „Odejdźcie, niegodziwcy, odejdźcie! Zostawcie tę duszę, która do was nie należy... Syn mój oddał mi ją dzięki Swojemu miłosierdziu i moim modlitwom.” Czarni zniknęli natychmiast, światłość odpłynęła przez drzwi, a bogacz poczołgał się za nią i położył do łóżka. Posłał po zakonnika, który spytał zdziwiony, czemu go się wzywa w środku nocy.

Strapiony grzesznik opowiedział swoje przeżycia, pokazując posiniaczone i skrwawione plecy i błagał, aby zaraz go wyspowiadać, pierwszy raz w ciągu trzydziestu ośmiu lat. Zakonnik kazał mu być dobrej myśli i pocieszać się tym, że Bóg nieraz wspaniałomyślnie przebacza gorszym jeszcze grzesznikom. Rozpoczął tedy wyliczanie swoich grzechów, nie opuszczając ani jednego, gdyż wszystkie miał utrwalone w pamięci. Trwało to, z krótkimi przerwami, nie mniej niż siedemnaście dni, a gdy skończył, zakonnik, widząc jego doskonałą skruczę rozgrzeszył go i zadał lekką tylko pokutę. Taki był jednak słaby, że zapadł na febrę w ten sam dzień, w którym skończyła się jego pokuta, i umarł jak święty.

W ten sposób ksiądz Juan zbawił niejedną duszę autentycznymi i pokrzepiającymi powiastkami i aby tym lepiej pełnić swoje obowiązki, przeniósł się na ląd i zamieszkał w domu kapitana Leyvy, który tymczasem padł ofiarą zarazy.

Przez tydzień byłem zbyt chory, aby bodaj prowadzić dziennik, a w tym czasie zaszło wiele wydarzeń, o których mogę tylko krótko wspomnieć, ponieważ szczegóły mi uszły. Krajowcy wciąż robili zasadzki na naszych ludzi, ilekroć wychodzili z obozu lub zabłąkali się w pobliżu płotu, i mieliśmy trzech dalszych zabitych i dziesięciu rannych. Przywódcą ich był syn Malopego i żołnierze obarczali Sebastiana, choć nieżyjącego, winą za taktykę, którą teraz stosowali nasi dawni przyjaciele. Okazuje się, że w domu zgromadzeń, tuż przed morderstwem, wziął był strzałę i uderzał nią kolejno z całą siłą o swój hełm, pancerz i taszki przechwalając się przed krajowcami, że są odporne na ich bronie; teraz więc mierzyli w nasze oczy lub nogi.

Generał don Lorenzo wydał rozkaz, aby kilku chorych ściągnąć z łóżek i posłać na wartę, i dzięki temu zdołał wysłać jednego z sierżantów i dwunastu zdrowych ludzi na karną ekspedycję przeciwko wiosce Malopego. Wzięli barkas i ponieważ wszyscy uciekli na ich widok, splądrowali chaty, jak chcieli, a potem spalili je doszczętnie co do jednej.

Akcja ta zatrwożyła mieszkańców wioski leżącej najbliżej nas po drugiej stronie, przystali więc do nas deputację z flagą pokoju. Don Lorenzo pokuśtykał do bramy na ich spotkanie, ale oni cofnęli się, gdy ujrzeli eskortujących go arkabuźników. Zawołał ich przymilnie i spytał:

- Dlaczego nie przynosicie nam żywności jak dawniej? Jesteśmy waszymi przyjaciółmi.

Ich przywódca odparł, pomagając sobie wymownymi gestami:

- Dość, przestań! Malope... Malope *amigos... pu pul* co znaczyło, że nie rozumie, dlaczego zastrzeliliśmy Malopego, skoro byliśmy z nim w takiej przyjaźni. - A co mówicie o tym?

- zapytał wskazując oskarżycielskim ruchem gęsty dym, który wiatr niósł przez zatokę z płonącej wioski.

Don Lorenzo wyjaśnił, że mordercę ukarano, a głowę jego przybito do domu Malopego, którego synowie źle robią mszcząc się tak zawzięcie. Spytali następnie o *Taurique*, to znaczy don Alwara, na co usłyszeli odpowiedź: „Śpi”. Otrzymałszy prezenty ze skrzyni z towarami, będącej ongi własnością pułkownika, odeszli zadowoleni i zarówno tego dnia, jak następnego przychodzili pod bramy obozu z hojnymi darami. Przyniesiona przez nich żywność była tym bardziej pożądana, że przez ubiegły tydzień trzeba było karmić chorych mąką z naszej skąpej rezerwy. W ciągu całego naszego pobytu na Santa Cruz nigdy żaden krajowiec nie odmówił nam poczęstunku ani nie okazał złej wiary; a jakże myśmy im się odplacili!

W rejestrze moim było teraz więcej zgonów niż małżeństw i urodzeń; odpowiednie liczby wynosiły czterdzieści jeden, osiemnaście i dwa. Choć jasne było, że nie możemy utrzymać się na lądzie nie narażając się na zupełną klęskę, dona Izabela kazała ogłosić, że wszelkie dalsze gadanie o opuszczeniu wyspy uważać będzie za przejaw buntu. Wydawało mi się prawdopodobne, że zechce poty odwlekać konieczną decyzję, aż będzie za późno - zresztą niewiele dbałem o to, co się ze mną stanie, tak otępiały były moje uczucia i umysł - a wtedy rozgoryczone wojsko z pewnością zamorduje ją i całą jej rodzinę. Gdyby taka chwila nadeszła, nie ruszyłbym nawet palcem, aby im pomóc.

ROZDZIAŁ XXI

PORZUCAMY OSIEDLE

Don Lorenzo robił, co mógł, dla żołnierzy mimo rany, która się teraz jątrzyła, i nazajutrz po pogrzebie generała kazał kapitanowi artylerii, wraz z dziesięcioma ozdowieńcami, wziąć fregatę i udać się raz jeszcze na poszukiwanie „Santa Ysabel”. Byli w drodze dwa tygodnie, a choć wypełnili zlecone im zadanie co do joty, nie znaleźli żadnego śladu naszych zaginionych towarzyszy. Kapitan Lopez przywiózł cały stos muszli perłowych z jednej z niskich wysepek położonych na północny-wschód, ale bez pereł; przywiózł też ośmiu ładnych chłopców o jasnobrązowej skórze, którzy jednak nie przydali nam się wcale jako zakładnicy ani nawet jako tłumacze, ponieważ mówili zupełnie innym językiem niż mieszkańcy Santa Cruz. Niektórzy pomawiali go o występne skłonności, ale w moim przekonaniu postąpił tak z czystej głupoty. Zaraz po przybyciu chłopcy zabili włóczniami w zatoce ze dwadzieścia ryb, które podzielili pomiędzy siebie i oficerów; ale po kilku dniach nowość sytuacji przestała ich bawić. Obrabowawszy nas ze sporej ilości cacek i drobiazgów, skradli od naszych sąsiadów czółno morskie i pozęglowali do domu.

Równie niemądrą sprawą było porwanie przez kapitana de Vera trzech kobiet z sześciorgiem dzieci jako zakładników z wioski leżącej za wioską Malopego. Ponieważ z początku nie chciały jeść strawy, którą im podawano, pozwolono ich mężom odwiedzać je codziennie,

ale ci przychodzili zawsze w otoczeniu całej gromady krewnych, którzy głośno domagali się zwolnienia zakładników, krzycząc i lamentując przed wartownią i rezydencją. Po tygodniu doña Izabela znudziła się tą farsą i na prośbę głównego nawigatora uwolniła kobiety.

Tymczasem febra dotarła na okręt flagowy, gdzie zbrojmistrz i dwaj żołnierze ze stałej straży zmarli, lecz nikt z załogi dotychczas nie zachorował; następnie przeniosła się i na mniejsze okręty, gdzie zachorowali prawie wszyscy majtkowie, a piętnastu z nich zmarło. Zaczęło się teraz ustawiczne zmienianie kwater: ci z łądu mieli nadzieję, że odzyskają zdrowie na pokładzie, i na odwrót. Ja wstałem już i zacząłem chodzić, choć niepewnie trzymałem się na nogach i z osłabienia gotów byłem płakać z lada przyczyny. Wstrząśnięty byłem żalonym wyglądem obozu: żołnierze brudni i niechlujni, nie wstydzący się już swych poplamionych i zardzewiałych zbroi; kupy śmieci gnijące przed chatami; wszelkie uprawy poniechane; zaniedbane rowy kloaczne wydające obrzydliwy fetor.

Jedynym oficerem, który nie upadł na duchu pod wpływem powszechnego nieszczęścia, był główny nawigator; aby pokazać, że wciąż jeszcze wierzy w nasze przedsięwzięcie, zaproponował nawet, że przeniesie swoich marynarzy na ląd i zapędzi ich do sadzenia bulw tropikalnych i kukurydzy. Pewnego dnia przyszedł go odwiedzić chorąży królewski. Nie wiem, czy działał bezinteresownie, czy też inni wydelegowali go, żeby powiedział to, co powiedział; w każdym razie ostrzegł głównego nawigatora, aby przestał się wtrącać, jeżeli nie chce zginąć zadżgany sztylblem lub powieszony na stryczku, a w najlepszym razie zostać porzuconym samotnie na wyspie, do której powziął tak dziwne i chorobliwe przywiązanie.

- A więc wrócisz do swoich dawnych poglądów? - rzekł główny nawigator ze smutkiem. - Miałem nadzieję, że okrutny los pułkownika nauczy cię roztropności. Jesteśmy tu przecież, don Toribio, aby z

całych sił służyć Bogu i królowi, i nikt, kto przyłożywszy rękę do pług, nie ogląda się...

Don Toribio osadził go mówiąc:

- A ty wciąż śpiewasz swoją dawną śpiewkę: „Równaj krok! *Sus, Sus, Sus!*”, zachowując się bardziej po żołniersku niż sam pułkownik, i płaczesz nad poganami, których oszukaliśmy fałszywymi nadziejami na zbawienie? Twoja pobożność bardzo ci się chwali, ale skoro nie będzie tu księdza, który by czuwał nad dobrem ich dusz po ochrzczeniu, wydaje mi się, że zbożniej będzie zostawić ich tak, jak są. Obecnie, jeżeli nie przekręcą nauki chrześcijańskiej, czeka ich po śmierci otchłań, stan całkiem znośny w porównaniu z czyścim i piekłem, czekającymi ludzi ochrzczonych, którzy umierają w grzechu.

- Jak to „nie będzie księdza”? Czyż nasz wikariusz nie jest gotów głosić tu słowa bożego i chrzcić przez tyle lat, ile Bóg pozwoli mu żyć na świecie?

- Twoje informacje są przestarzałe. Ksiądz Juan sam wystosował do doni Izabeli petycję, w której wyłuszcza wiele niezbitych argumentów przeciwko upartemu pozostawianiu w osiedlu, i kto tylko na lądzie potrafi utrzymać pióro w ręku, położył pod nią podpis lub cyfrę. Co było, to było; teraz jest co innego. Od egzekucji pułkownika wiele się zdarzyło, a że wikariusz przeszedł na stronę rozsądku, więc nikt z sygnatariuszy nie potrzebuje się teraz obawiać zemsty wielkorządczyni.

- Czy zrobił ten krok z własnej woli? - zapytał Pedro Fernandez zdziwiony.

- Przypuszczam, że kapitan Corzo szturchnął go trochę w tym kierunku, a także, że wcale chętnie dał się szturchać, ponieważ tak bardzo mu tęskno do towarzystwa swoich kolegów w sutannie. Ale to wszystko jedno - jego podpis figuruje u samej góry na dokumencie i jutro odczyta go twojej załodze.

Nie więcej niż dziewiętnastu żołnierzy zdolnych było jeszcze do noszenia broni, a i z tych większość miała febrę, tak iż mogli pełnić wartę

tylko za dnia. Obaj weterani zyskali sobie sławę trwając na służbie prawdziwie po żołniersku, podczas gdy ich koledzy ulegli rozpaczce: Juarez stał na warcie przez dziewiętnaście nocy z rzędu, a Matia przez piętnaście. Twierdzili, że między żołnierzem a jego rynsztunkiem zachodzi ścisły związek. „Pozwól tylko hełmowi zardzewieć, a wnet rozboli cię głowa; pozostaw napierśnik nie oczyszczony, a ból przejdzie na płuca; zaniedbaj szpadę, a siła opuści twoją prawicę.” Gdy dano im petycję do podpisu, nie chcieli nawet na nią spojrzeć, mówiąc zgryźliwie: „Jesteśmy ciemnymi żołnierzami; nie umiemy po łacinie.”

Ksiądz Juan, przyszedłszy do Sali Map, błagał głównego nawigatora, aby podpisał petycję i namówił swoją załogę do zrobienia tego samego. Pedro Fernandez odrzekł, że skoro jego propozycja uprawy roli została tak źle przyjęta przez żołnierzy, niewiele czuje sympatii do ich petycji; odczyta ją majtkom, ale nic więcej.

Wikariusz zrozumiał z tego, że Pedro Fernandez jest niezadowolony, ale powiedział sprytnie:

- Synu, gdybym sądził, że przyczyny, dla których pragniesz pozostać na tej wyspie, są całkowicie zbrojne, pochwalilibym cię...

Z tymi słowy odszedł, ponieważ odwołano go na dziobówkę, ale w połowie drogi wykrzyknął nagle: „Moja głowa, moja głowa! O Boże, ratuj mnie!”, i kurczowo uczeplił się relingu. Zniesiono go na dół do kajuty Juana de la Isla, gdzie okazało się, że ma silny atak febry.

Pedro Fernandez udał się na brzeg, aby przywieźć mu pościel i rzeczy i zawiadomić donię Izabelę, że msza nie będzie odprawiana przynajmniej przez kilka dni. Nie chcąc przeszkadzać jej w żałobie, od śmierci don Alwara złożył jej tylko jedną krótką i oficjalną wizytę; ale tym razem miał nadzieję otrzymać dłuższe posłuchanie. Zastał ją z suchymi oczyma i ubraną od stóp do głów w czerń, która podkreślała piękność jej złotych włosów i mlecznej karnacji.

- Wielkorządczyni nie może oddawać się boleści powiedziała mu ze smutnym uśmiechem - choćby jej serce wewnątrz krwawiło.

Gdy dowiedziała się o chorobie wikariusza, zaproponowała, że będzie go żywić z własnego stołu, ale nie wydawała się bardzo przejęta; zauważyła tylko, że wyrokom boskim złorzeczyć nie wolno.

Miał już pożegnać ją ceremonialnym ukłonem, ale powstrzymała go.

- Drogi przyjacielu - rzekła - widziałeś męstwo, z jakim przyjmuję moją bolesną stratę. Czy i ty także potrafisz z męznym sercem wysłuchać złej nowiny, dotyczącej ciebie osobiście?

Pedro Fernandez odparł, że potrafi, ponieważ jej usta odejmą gorycz każdemu nieszczęściu, o którym mu doniosą, choćby było nie wiedzieć jak wielkie.

- Słuchaj zatem, przyjacielu Pedro - powiedziała zaciskając dłoń na jego rękawie - na kilka godzin przed śmiercią mój świątobliwy mąż odkrył przede mną rzecz wielkiej wagi: że w Callao, wieczorem tego dnia, kiedy mieliśmy pierwotnie odpłynąć, dostał list od twego szwagra, spowiednika klarysek w Limie, donoszący mu, iż twoja żona zmarła spokojnie w jego obecności, po otrzymaniu sakramentów. Pogrzeb miał się odbyć nazajutrz rano i proszono, abyś w nim uczestniczył. Ponieważ twojej biednej żonie żaden śmiertelnik nie mógł już pomóc, generał uznał za słuszne ukryć przed tobą tę wiadomość, gdyż bez twoich usług obejść się nie było można. Powiedział, że nieraz miał zamiar wyjawić ci prawdę, ale lękał się wyprowadzić z równowagi twój umysł, już i tak obciążony troskami związanymi z nawigacją; poza tym zniszczył list twego szwagra z obawy, że go przeczyta Miguel Llano, i wstydził się tej nieuczciwości.

Łzy trysnęły z oczu Pedra Fernandesa i jego potężnym ciałem wstrząsnęły łkania. Miłował donię Anę owym wybujałym uczuciem, jakim żeglarze wielkich mórz nieraz darzą żony, z którymi rozłączają

się na całe lata. Niebawem jednak zdołał opanować swój ból, jak gdyby doña Izabela swoją mężną postawą dała mu dobry przykład, i westchnął zegnając się pobożnie:

- Niech odpoczywa w pokoju wiecznym! Bóg dał, Bóg wziął, błogosławione niech będzie Jego imię!

Pochyliła się naprzód i czule dotknęła jego czoła wargami.

- Niestety, drogi Pedro, żal mi ciebie! Wiem nazbyt dobrze, jak gorzko cierpisz.

Wciąż płacząc, padł jej do stóp, ale ona podniosła go, błagając słodkim głosem, by nie ulegał rozpaczcy. Potem dodała, o czym poprzednio nie wspominała: że jego szwagier zobowiązał się wychować chłopczyka pozbawionego matki i otoczyć go troskliwą opieką we własnym domu.

Gdy Pedro Fernandez odchodził, trochę pocieszony jej dobrocią, zobowiązała go, że dla jej dobra i dla dobra całej wyprawy nie będzie się gnębił tą wielką stratą aż w tym stopniu, by zaniedbywać swoje obowiązki.

- Teraz, kiedy mój świętej pamięci mąż leży w ziemi - powiedziała - a wszyscy trzej bracia są chorzy, jesteś jedynym człowiekiem, na którym mogę polegać. Powszechnie oskarża się nas Galicjan o to, że jesteśmy zamknięci w sobie i nie ufamy nawet sąsiadom, a cóż dopiero obcym; jednakże gdy ktoś postronny okaże nam prawdziwą przyjaźń, którą potwierdza częstymi dowodami oddania, wówczas dopuszczamy go w pełni do naszego ścisłego grona, nie mamy przed nim sekretów, wszystko zaś, co posiadamy, należy do niego.

Ufał jej i wierzył jej słowom. Spędziwszy prawie całą tę noc na klęczkach modląc się za duszę żony, rankiem uznał za swój obowiązek przebaczyć don Lorenzowi jego mordercze pogrożki i pojednać się z nim. W skrzydle rezydencji, oddanym don Lorenzowi jako naczelnemu wodzowi, zastał przy nim samą tylko donię Marianę. Żadni doktorzy już nic by mu pomóc nie mogli; leżał wyciągnięty na łóżku sztywno jak stoczek do armaty prócz chwil, kiedy łąpały go spazmy; jęczał wtedy

ponuro jak przestępca na torturach. Twarz miał zakrzepłą w okropnym uśmiechu, zęby wyszczerzone, kąty ust ściągnięte ku uszom i w dół, czoło ociekające potem. Do belki stropowej nad łóżkiem przymocowana była tęga lina, a doña Mariana powiedziała do głównego nawigatora ze łzami:

- Tylko przy użyciu tej liny i z pomocą dwóch silnych mężczyzn udaje nam się przewrócić go na bok.

Albowiem kurczowy grymas don Lorenza nie wyrażał ani wesołości, ani wyzwania: był to straszliwy *sardonicus risus* - spazmatyczny skurcz człowieka cierpiącego mękę szczękościsku.

- Jakże się czujesz, dostojny panie? - spytał główny nawigator głosem pełnym współczucia.

- Umieram, don Pedro - odparł niewyraźnie poprzez zaciśnięte zęby - i to, obawiam się, bez spowiedzi. Po chwili usłyszeli, jak dodał: - Ach, śmierci, w jakim nieszczęsnym stanie mnie dopadłaś! - Potem zwrócił oczy na krucyfiks wiszący w nogach łóżka i wymamrotał: - Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

Pedro Fernandez zaproponował, że sprowadzi wikariusza, za co doña Mariana podziękowała mu ze łzami. Rad, że służąc innym, może zapomnieć o własnym strapieniu, wrócił na okręt flagowy i gorąco poprosił księdza Juana o wyspowiedanie don Lorenza, który nie ma i godziny życia przed sobą.

- Ja też nie mam! - szepnął wikariusz. - Mimo to, niech go tu przyniosą do mojego łoża, a zrobię, o co mnie poprosisz.

- Niestety, wielbny ojcze, to niemożliwe. - I główny nawigator opisał mu ciężką sytuację chorego.

- Nie mogę pójść do niego, mój synu. Siły mnie opuszczają.

- Bóg je odnowi - rzekł tamten dodając, że nie powinno się dopuścić, aby jakkolwiek młody człowiek umierał bez spowiedzi, pogrążony w grzechach. Nikogo innego zresztą też nie powinno to spotkać, kiedy ksiądz jest pod ręką.

- Zawzięteś się, żeby mnie zabić - jęknął nieszczęsny wikariusz. - Nie widzisz, że nie mogę utrzymać się na nogach? Litości nie masz?

Ale rób, co ci się podoba, zabieraj mnie, gdzie chcesz, niewielka różnica, kiedy i jak umrę.

Pozwolił się owinąć w koc i spuścić do szalupy, a z mola Pedro Fernandez zaniósł go na własnych plecach do rezydencji. Tam wikariusz wypowiadał don Lorenza oraz czterech innych konających, których przyniesiono do pokoju chorego, i udzielili im sakramentów. Gdy zrobił swoje, przewieziony został troskliwie na powrót do swojej kabiny, mając uszy pełne ich podziękowań i błogosławieństw.

Wczesnie rano następnego dnia, drugiego listopada, zmarł don Lorenzo wyczerpany konwulsjami, których jeden atak był tak gwałtowny, że rozerwał mu mięśnie brzucha. Oby mu Bóg przebaczył! Doña Izabela bolała głęboko nad jego zgonem i pochowała go z takimi samymi honorami jak don Alwara, choć jego orszak pogrzebowy był żałośnie mały, a z braku księdza główny nawigator musiał odczytać modlitwy nad grobem. Tytuł naczelnego wodza wygasł teraz, gdyż don Lorenzo nie wyznaczył następcy.

Śmierć zmiotła całą rodzinę de la Isla. W ciągu ostatniego tygodnia października kochająca żona i córka don Juana zmarły na febrę w wielkim strapieniu ducha; teraz zaś on sam, nie zdążywszy skorzystać z ostatnich posług wikariusza, wyznał grzechy bezpośrednio swemu Stwórcy i umarł tak pogodnie, jakby już był pielgrzymem na gościńcu wiodącym do nieba. Czcigodny ten i mężny człowiek nigdy nie wyrzekł jednego słowa żalu z powodu fatalnego interesu, jaki zrobił wybierając się na te Wyspy; różnił się tym całkowicie od swoich kolegów-kupców, dwóch braci Castillo, których przekleństwa i lamenty dotyczyły niemal wyłącznie tego tematu. Diego i Luis Barretowie, korzystający ze stałej opieki służebnych doni Izabeli i otrzymujący pożywne i delikatne posiłki, dość prędko pozbyli się febry i don Diego objął po bracie dowództwo jego kompanii.

Następny zmarł Andrés Castillo, po nim zaś jego brat Mariano i doña Maria Ponce. Do tego czasu krajowcy przestali z nami wojować,

choć wiedzieli doskonale, w jakiej znajdujemy się pułapce i że dzie-
sięciu śmiałych ludzi, gdyby przyszło nocą, mogło łatwo obezwładnić
nasze strażę i zająć obóz. Czy wstrzymywał ich strach przed naszą arty-
lerią lub przed zarażeniem się febrą, czy też ulitowali się nad nami,
musi pozostać sprawą domysłu; w każdym razie dalej zostawiali dla
nas pod bramą znaczne ilości prowiantów, za które płaciliśmy im
odzież tych, co pomarli. Mimo tych przyjacielskich stosunków znale-
ziono pewnego ranka bratanka pułkownika na plaży, do połowy zanur-
zonego w wodzie, z sercem przebitym strzałą i z raną w tyle głowy,
jakby upadł na ostry kamień. Ponieważ nie szukano pomsty na krajow-
cach, podejrzewałem, że to obaj Barretowie, zazdrośni o cześć doni
Mariany, zaczęli się nocą na niego, ogłuszyli go maczugą, a następnie
ręcznie wbili w niego strzałę. Doña Mariana przyjęła wiadomość spo-
kojnie - bo cóż innego mogła zrobić? - ale cierpiała tym więcej.

Piątego listopada doña Izabela przeniosła się z powrotem do kajuty
generalskiej, twierdząc, że rezydencja pełna jest zbyt ciężkich do znie-
sienia wspomnień ostatnich godzin życia generała i don Lorenza: a
przecież jakiś nieczysty demon dalej popychał ją do zbrodni. Darowała
trzy dni na uśmierzenie się pierwszego bólu Pedra Fernandez, po czym
zrzuciła na niego ukryty atak. Przez te trzy dni widywała go często i
mówiła z nim słodko i nabożnie o ich wspólnej żałobie; teraz, czwarte-
go wieczoru, powiedziała:

- Przyjacielu, o ile się nie mylę, wolą Boga jest, abyśmy w końcu
zaniechali naszej misji na tych wyspach i pozostawili nie spełnione
nadzieje i modły mego biednego męża; niebawem już będziemy bez
księdza. Gdyby nie to, choć opuszczona przez wszystkich bez mała,
wytrwałabym tu aż do gorzkiego końca. Ty - wiem o tym - nigdy, co-
kolwiek się zdarzy, nie porzucisz mojej sprawy, teraz, gdy tak jak ja
zostałeś sam na świecie. Nie mogłabym zgodnie z prawdą powiedzieć
tego o nikim innym; nie, nawet o moich własnych braciach.

Pedro Fernandez zapewnił ją, że czuje się głęboko zaszczycony jej zaufaniem, które słusznie w nim pokłada, i że czci ją bardziej niż jakąkolwiek żywą kobietę, i mężczyznę zresztą, prócz jego królewskiej mości i Ojca Świętego w Rzymie; zgodził się z żalem, że jeśli wikariusz nie wyzdrowieje, trzeba będzie zrobić tak, jak ona mówi.

- Mimo to, pani, nie musi to być ostatnia nasza bytność w twoich włościach. Jesteś jedyną spadkobierczynią don Alwara i pewnego dnia przygotowawszy nową wyprawę, lepiej wyposażoną i równie dobrze obsadzoną ludźmi, mocniejszą w wierze i pod każdym innym względem, wrócisz podjąć na nowo odłożone zadanie; a gdy ten dzień nastąpi, podejmuję się jechać wraz z tobą.

Opowiedział jej o swych ambicjach odkrycia wielkiego południowego kontynentu „Austrialii”, o którym podobno wiedzą Chińczycy, i o zapale, z jakim pragnie rozpocząć dzieło nawrócenia zamieszkujących go milionowych rzesz.

- Wówczas, o pani, ty będziesz wicekrólową, a ja (jeśli nie wzgardzisz człowiekiem niskiego rodu) będę dowódcą twoich flotylli.

Otarła łzę, zapewniając go, że on droższy jej jest nad wszystkich grandów Starej Hiszpanii, ale że - choć tym większa to szkoda - wspinała perspektywy, jakie przed nią roztacza, nigdy nie będą mogły się urzeczywistnić. Choć czuje w sobie siły do zwalczania i przezwyciężenia trudności związanych z uruchomieniem nowej wyprawy, jak to już raz uczyniła, „a wyznaję - westchnęła - że mój mąż był mi bardziej zawadą niż pomocą, gdy działałam w imieniu nas obojga”, jedna tylko przeszkoda zagradza drogę: brak męskiego potomka don Alwara.

- Wierzę mocno - ciągnęła - że gdybym mogła stawić się przed jego królewską mością w Madrycie i upadłszy mu do nóg błagać go o nadanie godności naczelnego wodza małeńkiemu synowi, którego miałabym z don Alwarem, nie wahałby się tego uczynić. Wówczas otwarłyby się przede mną wszystkie drzwi i wszystkie sakiewki, tysiąc walecznych

rycerzy pragnęłoby popłynąć pod moim proporcem i zostałabym raz jeszcze wielkorządczynią Wysp Salomona; ty zaś, przyjacielu Pedro, w nagrodę za swoją wierność byłbyś zaufanym opiekunem mojego syna. Z biegiem czasu uczyniłbyś mnie z bożą pomocą wicekrólową Austrii (jakże słodko brzmi ten tytuł!), a Kościół Święty zebrałby największe żniwo dusz od czasu swego założenia. Ale niestety są to tylko lube marzenia! Przez świątobliwą wstrzemięźliwość don Alwara żaden dziedzic nie oczekuje w moim łonie na pogrobowe narodzenie. Król wzgardzi prośbą jałowej wdowy, a wyspa ta i wszystkie inne pozostaną w szponach tego, który je dzierżył przed naszym przybyciem.

Wstała i wyszła pośpiesznie, jak gdyby chciała dać upust żalowi na osobności - miała bowiem bardzo subtelne wyczucie tragicznego efektu.

Do tego czasu chorzy żołnierze kapaniną ściągali z powrotem na pokład „San Geronimo” w nadziei, że ksiądz Juan wypowiada ich, zanim umrze, i tylko chorąży królewski, sierżant Andrada i dwunastu zdrowych ludzi pozostało w obozie. Mieszkali wszyscy razem w wartowni, osłaniając marynarzy, którzy napełniali, co zostało z naszych beczek i stągwi, a potem zwozili je na taczkach od źródła na molo. Ponieważ potrzebne było i drzewo opałowe, rozebrano kilka chat, a belki przepiłowano na polana odpowiedniej długości. Krajowcy przyglądali się tym czynnościom z daleka, a widząc, że wkrótce mamy zamiar odjechać, częstowali nas chórem szyderczych śmiechów, ale poza tym nie zakłócali nam spokoju.

Siedemnastego listopada, gdy żagle znalazły się wreszcie znów na okrętach, chorąży królewski ściągnął flagę z rezydencji, nazaczył pozostałe budynki krzyżem świętego Andrzeja, aby ochronić je przed krajowcami, i wraz ze swymi ludźmi przybył na pokład okrętu flagowego. Doña Izabela wydała rozkaz pozostawienia wszystkich psów

na wyspie, ze względu na szczupłość zapasów żywności, i żał nam było patrzeć, jak wierne zwierzęta biegają całą gromadą wzdłuż brzegu, szczekając i wyjąc do nas z wyrzutem. Tylko jedno odważyło się skoczyć w morze i wypłynąć w kierunku „San Geronimo”. Była to Carlotta, najmniejsza z nich wszystkich, a choć byli tacy, którzy chcieli do niej strzelać albo dać jej się utopić, wzięto ją na pokład i niebawem znalazła sobie miejsce w forkasztelu, gdzie majtkowie ogromnie o nią dbali.

Tak więc porzuciliśmy osiedle, zanim nawet powzięto decyzję, dokąd teraz płynąć i jak. Okręty były w stanie ruiny i nikt z nas nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób zaopatrzy się je w żywność. Główny nawigator prosił księdza Juana, by pomodlił się do Boga o jakąś wskazówkę, co ten uczynił z wielkim żarem.

- O Panie - błagał - wysłuchaj modłów swego umierającego kapłana! Zgrzeszyliśmy i dłoń Twoja pokarała nas. O, odpuść nam nasze winy, natchnij naszych przywódców mądrością i doprowadź nas bezpiecznie do jakiegoś chrześcijańskiego portu.

Po czym opadłszy na poduszki w wyczerpaniu, rzekł między westchnieniem a jękiem:

- Synu, sił nie mam, nie mogę więcej. Poślij po Andresa Serrano; muszę spisać testament.

Była to prosta sprawa, gdyż zacny ksiądz miał niewiele do przekazania oprócz pięciuset pesos stanowiących jego wkład, za które nikt teraz nie dałby mu i pięciu srebrem, a także dlatego, że wszystko zapisywał biskupowi Limy, do rozdziału pomiędzy duchowieństwo katedry. Sierżantowi Andradzie i dwóm żołnierzom przykazano czuwać u jego łoża po kolei i około północy jeden z nich, który był nieco wykształcony, czytał mu na głos urywki z *Symbolu wiary* brata Luisa de Granada, co znacznie pokrzepiło księdza Juana na duchu, tak iż zaczął mieć znowu nadzieję na życie. O brzasku główny nawigator przyszedł zbać mu puls.

- Wielebny ojciec - rzekł smutno - pora się zbliżyć.
- Wiem o tym, synu mój - odpowiedział wikariusz. Chwała Bogu, niedługo puścimy się w drogę pozostawiając za sobą ten zakątek piekieł, który tyle nas kosztował.

- Niestety, ojciec, nie oszukuj siebie. Dobrze by było, gdybyś przygotował się do drogi, z której nikt nie wraca.

- Czemuś nie ostrzegł mnie wcześniej? - jęknął. - Czułem mało bólu, więc myślałem, iż jestem na drodze do wyzdrowienia.

Zawołał o krucyfiks; ujawszy go oburącz, modlił się w męce:

- O, wiekiuisty Ojciec, któryś mnie tu przysłał, nie wiem, co mam czynić i mówić! Gdzie jest ksiądz, który by stanął przy mnie w tej czarnej godzinie? Wkrótce już stracę mowę.

Prawie zaraz potem rozpoczęła się agonía, jednakże wargi jego ułożyły się w słowa: „Ojciec, w ręce Twoje oddaję ducha mego”, i powiedziawszy to, skonał.

Mówiono o pogrzebie na cmentarzu kościelnym, ale nikt nie miał ochoty wracać do obozu po odbytym już przykrym pożegnaniu. Pod pretekstem, że krajowcy mogliby zbeczcześcić jego szczątki, postanowiono pochować je na morzu.

Tego dnia wiatr, który od naszego przybycia przez cały czas wiał ze wschodu i południowego wschodu, teraz raptem skręcił i zaczął dąć z północy. Nie był to huragan ani nawet wichura, ale wespół z wielkimi falami wtaczającymi się przez wejście do zatoki wystarczył do zerwania trzech z naszych czterech lin kotwicznych; czwarta zaś, jako bardzo cienka, zdawała się za słaba, aby utrzymać okręt tej wielkości. Skąły był blisko, a ponieważ główny nawigator nie mógł mieć nadziei na uniknięcie rozbicia przez rozwinięcie żagli, ostrzegł nas, że musimy być przygotowani na ratowanie się w łodziach. Matia pozwolił sobie w tej sprawie na ponury żart:

- Nie bój się o okręt, wasza cześć - powiedział. - Terridiri pobłogosławił tę linę swoim łbem rekina u brzegów Santa Cristina i przepowiedział, że nigdy nie pójdzie na dno. A poza tym, czy nie jest to jedna z czterech lin, której nie pokropiono święconą wodą, kiedyśmy opuszczali Callao?

Główny nawigator z oburzeniem kazał mu być cicho i zagroził mu chłostą, ale jego słowa obiegły cały statek i zabobonni żołnierze, nie mając już przewodnika duchownego w osobie księdza, wzięli jego bluźnierstwo za szczerą prawdę. Mimo to lina rzeczywiście wytrzymała, za którą to łaskę przynajmniej główny nawigator i ja dziękowaliśmy Temu, który nam ją zesłał; i wiatr na nowo zaczął wiać od wschodu.

Wczesnym rankiem następnego dnia sierżant Andrada poszedł do don Diega, który teraz sprawował na okręcie flagowym największą władzę po doni Izabeli, i powiedział:

- Wasza dostojność, śniło mi się tej nocy, że posłałeś mnie na „Sadową Wysepkę” po drugiej stronie zatoki i że tam znalazłem dosyć wieprzowiny i sucharów na wyżywienie przez miesiąc całej twojej kompanii.

- Jedź więc, sierżancie! - odrzekł don Diego. - Weź barkas i wszystkich zdatnych ludzi, jakich zdołasz zebrać, a zobaczymy, czy masz równie wieszczce sny jak patriarcha Józef.

- Ale co dostanę w nagrodę?

- Dziesiątą część wszystkiego, co przywieziesz, ręczę ci za to słowem.

I rzeczywiście, wrócił jeszcze przed południem, holując za sobą pięć dużych czółen wyładowanych prawie po brzegi sucharami z bulw tropikalnych, które znalazł ukryte w gęstych zaroślach nad jakąś zatoczką, oraz dwadzieścia świń; twierdził, że zarznął ich przynajmniej ze sto, ale nie miał sposobu ich przetransportować. Jego koledzy opowiadali nam, że poprowadził ich, jakby wiedziony jakimś boskim natchnieniem, prosto do tej zatoczki, gdzie zdobył czółna, a stamtąd do pobliskiej

wioski, gdzie znaleziono dużą zagrodę pełną świń, jakby przygotowanych na jakąś ucztę. Tu, choć gościnnie przyjęty przez wodza i obdarzony dziesięcioma świńmi i mnóstwem orzechów kokosowych, zażądał więcej, a gdy mu odmówiono, bez ostrzeżenia strzelił do gospodarzy. Zabił ich ze dwudziestu i zarzął wszystkie świnie w zagrodzie, choć wiedział, że barkas nie pomieści więcej niż dwadzieścia sztuk. Mieszkańcy wioski rzucili się do ucieczki; popędzono za nimi, aż natrafiono w ścieżce na zapadnię, gdzie trzech naszych wpadło na zaostrome koły; buty uratowały ich przed nabiciem się na pal, ale jeden tarczownik miał paskudnie rozoraną nogę.

Sierżant Andrada, człowiek o krwiożerczym usposobieniu, który nienawdził wszystkich krajowców, odkąd stracił przednie zęby, nie wydawał się bynajmniej tego rodzaju osobą, której Bóg zsyłałby objawienie. Gdy zacząłem dopytywać się pilniej, Juarez opowiedział mi prawdę; mianowicie, że wioska sąsiadująca z naszym obozem była sprzymierzona z tą na wysepce i że wszystkie świnie i suchary przepawiono z niej nocą przez zatokę, byśmy nie mogli ich porwać. Sierżant wy dobył ten sekret od pewnej zakładniczki, dyndając jej przed oczami sznurkiem szklanych paciorków.

Sierżantowi Andradzie dano zgodnie z umową dwa wieprze i trzy wory sucharów w nagrodę za jego trudy; jednego wieprza odprzedał oficerowi rachunkowemu za pięć srebrnych pesos, a drugiego zachował dla siebie. Kiedy żołnierze najedli się do syta flaków i podrobów, tusze zasolono; lecz ponieważ don Diego odmówił załodze jakiegokolwiek udziału w łupach, Pedro Fernandez był zmuszony na własną rękę wyprawić się po żywność. Wyprawa okazała się pełna przygód. Tego samego dnia przeprowił się barkasem znów na Sadową Wysepkę w towarzystwie dwudziestu majtków i pół tuzina żołnierzy z fregaty. Wylądowali w wiosce położonej o niespełna milę od widowni ekscesów Andrady, toteż mimo wywieszenia pokojowej flagi powitano ich gradem

strzał i pocisków z procy. Dwa strzały z hakownicy oddane ponad głowami nieprzyjaciela prędko zmusiły go do ucieczki i nasi ludzie weszli do wioski, znaleźli jednak tylko parę koszy sucharów, ale żadnej okopowizny oprócz korzeni używanych do wyrobu pomarańczowego barwnika. Puścili się w pogoń za krajowcami na szczyt wzgórza, gdzie natrafili na małą, żyzną równinę, na której rosły bulwy tropikalne i najróżniejsze drzewa owocowe. Majtkowie pościnali wielkie pęki bananów i zrabali trzy palmy kokosowe, aby zebrać z nich orzechy; znaleźli też składzik pełen sucharów. Po nowej bezkrwawej bijatyce udało im się zabrać cały ten cenny łup i umieścić go w łodzi, którą główny nawigator odesłał zaraz na okręt flagowy. Osadzie kazał wrócić jak najprędzej do niego; sam miał tymczasem poprowadzić swój oddział wzdłuż wybrzeża celem zdobycia dalszych zapasów z pewnego porośłego palmami przylądka, gdzie miał czekać, aż po niego przyjadą. Skierowawszy się znowu w głąb lądu i nie napotkawszy tam żadnego oporu, dotarł na cypel i tam ściął ze dwadzieścia drzew, zebrał migdały i kokosy i pościnał sporo głąbów palmowych, które są dobrym lekarstwem na szkorbut.

Późnym popołudniem barkasa wciąż jeszcze nie było i oddział zaczął wyrzekać na tę zwłokę. Pedro Fernandez, bojąc się, że łódź została przychwycona i porwana, prowadził swoich ludzi brzegiem w kierunku pierwotnego miejsca lądowania, w nadziei, że znajdzie jakieś czółno, które będzie można posłać do okrętu flagowego z wiadomością, gdzie się znajdują. Ludzie jednakże przekonani byli, że barkas dotarł szczęśliwie na „San Geronimo” i że tam don Diego namówił siostrę, aby odpłynąć z ich prowiantami, pozostawiając ich samych na łasce losu. Nadaremnie główny nawigator usiłował im wytłumaczyć, że jest to pomysł nedorzeczny. W końcu wpadł w oburzenie i oświadczył, że gdyby nawet znalazło się na okręcie dość majtków do manewrowania żaglami oraz oficer zdolny do wyznaczenia kursu, doña Izabela nigdy nie zgodziłaby się na tak nikczemną propozycję.

Maszerowali znużeni wzdłuż wybrzeża aż do zachodu słońca, odpoczęli trochę i znów ruszyli dalej; lecz ponieważ ścieżka się niepostrzeżenie skończyła, musieli się przedzierać przez ostre kamienie, śliskie bagniska i gęstą puszcze wyglądającą, jakby nikt nigdy nie naruszył jej spokoju od dnia stworzenia. W jednym miejscu musieli obejść dookoła, brodząc po pas w morzu. O północy nie mogli już iść dalej, ponieważ zemdłało dwóch żołnierzy, ozdrowieńców po świeżo przebytej febrze, ale około trzeciej rano usłyszeli krzyki i ujrzeli latarnię barksa, który szukając ich już od pewnego czasu pływał wzdłuż brzegów. Okazało się, że miał przeciwny wiatr, a osada nie miała sił do wiosłowania. Główny nawigator z radością załadował swoich ludzi na łódź, choć byli doszczętnie wyczerpani, i zabrawszy głąby i orzechy o brzasku wrócił na „San Geronimo.”

Pięć godzin spał, po czym jednak wezwano go do kajuty generalskiej na naradę, której protokół załączam.

Nic innego ważnego nie zdarzyło się już w tym dniu, ostatnim, jaki mieliśmy spędzić u wybrzeży Santa Cruz; ale gdy noc zapadła, kapitan de Vera pojechał na ląd z sześcioma ludźmi, aby odkopać trumnę generała, co uczynił bez przeszkód ze strony krajowców, a następnie zniósł ją na molo. Byli z nim między innymi Juarez Mendes i Matia Pineto. Prosimi, aby wolno im było ostatnim opuścić wyspę; chorąży królewski obiecał im ten zaszczyt podczas ściągania flagi. Prośbie ich stało się zadość, po czym zasiedli na powrót w łodzi; lecz kiedy podpłynawszy do galeonu, okrzykami oznajmili swoje przybycie, don Diego kazał kapitanowi zabrać trumnę na fregatę dodając, że jest to rozkaz doni Izabeli. Łatwo mi było w to uwierzyć; chociaż pragnęła przewieźć zwłoki do Manili, by w ten sposób utracić wszelkie pogłoski, że nie umarł śmiercią naturalną, płynąc z nimi na jednym okręcie było całym innym sprawą.

PROTOKÓŁ Z RADY ZWOŁANEJ PRZEZ DONIE IZABELĘ

Na pokładzie „San Geronimo”, zakotwiczonego w Zatoce Łaskawej u brzegów wyspy Santa Cruz, dnia osiemnastego listopada 1595 roku.

Obecni: Doña Izabela Barreta, wielkorządczyni Wysp Salomona; major don Luis Moran; kapitanowie: don Diego Barreto, don Felipe Corzo, don Diego de Vera, don Manuel Lopez; chorążowie: don Luis Barreta, don Toribio de Bedeterra i don Diego de Torres, a także główny nawigator, kapitan don Pedro Fernandez z Quiros, oraz Martin Groe, nawigator galeoty „San Felipe”.

Doña Izabela otworzyła obrady stwierdzając, że ma zamiar opuścić bezzwłocznie Santa Cruz i obrać kurs na San Cristóbal jedną z Wysp Salomona, jako ostatnią próbę odszukania galeonu „Santa Ysabel”. - Jeżeli to się uda, uczyni następnie to, co wyda się najlepsze w służbie Boga i jego królewskiej mości. Jeżeli jednak poszukiwania okażą się bezowocne, skieruje się ku Manili na Filipinach, aby tam wyposażyć na nowo swoją flotyllę, zaangażować księży, zwerbować osadników i wróciwszy na rzeczony Wyspy dalej wypełniać rozkazy jego królewskiej mości. Teraz wzywa oficerów wojskowych do wypowiedzenia się, czy uważają te propozycje za roztropne.

Major Moran i trzech dowódcy kompanii powstrzymali się od komentarzy. Kapitan Lopez zapytał, w jakim kierunku ma leżeć San Cristóbal: na wschód czy na zachód.

Wezwany do odpowiedzi główny nawigator uznał, że byłoby obrażą pamięci don Alwara twierdzić, że Wyspy Salomona leżą na zachód, poprosił więc, by go zwolniono z wyrażenia swego poglądu. Kiedy kapitan Lopez sprzeciwił się temu mówiąc, że nie powinno się ukrywać przed radą spraw tak wielkiej wagi, zaproponował obranie kursu na zachodnio-południowy-zachód, póki nie osiągnie się jedenastu stopni

szerokości południowej, a jeżeli do tej pory nie natrafi się na żaden ląd, powinni żeglować na północny zachód w kierunku Filipin.

Ponieważ nikt inny z oficerów nie miał nic do powiedzenia, propozycję poddano pod głosowanie; przeszła jednogłośnie, po czym ujęto ją na piśmie i wszyscy obecni położyli pod nią podpisy.

Następnie doña Izabela zażądała od głównego nawigatora meldunku o zdatności flotylli do żeglugi. Stwierdził on, że dno okrętu flagowego jest zmurszałe, a znaczna część takielunku zużyta oraz że galeota „San Felipe” i fregata „Santa Catalina” znajdują się w nie lepszym stanie, a prócz tego mają załogi niebezpiecznie małe z powodu choroby. Radził poniechać obu mniejszych statków po zdjęciu z nich żagli, lin i tym podobnych i przenieść ich załogi i ładunki na „San Geronimo.”

Doña Izabela zapytała kapitana de Vera, dowódcę fregaty na miejsce zmarłego kapitana Alonza de Leyva, oraz kapitana Corzo, dowódcę i właściciela galeoty, czy się z tym zgadzają.

Kapitan de Vera odparł, że usłucha rozkazu, ale uważa za korzystne zachowanie fregaty nadającej się do nawigacji na wodach, po których okręt flagowy nie mógłby żeglować, nie narażając się na szwank. Kapitan Corzo odrzucił propozycję wręcz, twierdząc, że byłoby istnym kanibalizmem, gdyby galeon miał żerować na trupach bratnich okrętów; oświadczył następnie, że główny nawigator złośliwie obniżył w swoim meldunku wartość „San Felipe”, chcąc ograbić go ze statku, wartego co najmniej dwa tysiące pesos.

Główny nawigator powiedział, że kapitan Corzo przecenia wartość galeonu. Jeśli okręt flagowy dotrze kiedykolwiek do Manili, podejmuje się znaleźć mu lepszy statek za dwieście pesos.

Wielkorzączyni zapytała zebranych, czy kapitanowi Corzo ma się wydać rozkaz porzucenia „San Felipe” dla wspólnego dobra; na co on sam odpowiedział: „Mam jeszcze przy sobie nóż do ociosywania drzew.”

Chorąży don Luis Barreto stwierdził, że byłoby wielką niesprawiedliwością pozbawiać kapitana dowództwa w nagrodę za jego wierną służbę; gdyby nie on, pułkownik żyłby w najlepsze, a ciała Barretów żartyby rekiny.

Ponieważ główny nawigator nie chciał wycofać tego, co powiedział, niczego uzgodnić się nie dało. Doña Izabela zarządziła wtedy, aby kapitan Corzo zatrzymał swój okręt, a gdy don Luis oznajmił, że kapitan Leyva zostawił ustny testament, w którym zapisał mu jedną trzecią fregaty, przystała na jego prośbę, aby i temu okrętowi dozwolono żeglować dalej.

Kapitan don Diego postawił wniosek, poparty przez majora Morana i don Luisa, ażeby tych chorych z „San Geronimo”, u których febra jeszcze się nie przesiliła, przenieść na „Santa Catalina” - w ten sposób ochroniłoby się zdrowie tych, którzy dotąd uniknęli zarazy, a innych, jeszcze osłabionych, nie budziłyby po nocach krzyki bredzących w malignie.

Temu oparł się kapitan de Vera mówiąc, że nie przyjąłby dowództwa, gdyby wiedział, że fregata ma się zamienić w pływający lazaret. Chorąży królewski, który miał rozkaz płynąć z nim razem w zamian za chorążego don Diega Torresa, zgłosił podobny sprzeciw. Główny nawigator zauważył, że choć sam miałby lżejsze zadanie, gdyby przyjęto propozycję, uważa ją za okrutną i niekatolicką. Dowodził, że chorych nie powinno się pozbawiać nielicznych wygód, jakie można im dać na okręcie flagowym, jak na przykład schronienie przed żarem słonecznym, deszczem i nocnym powietrzem, oraz zmuszać ich do przebywania na fregacie, gdzie musieliby leżeć na pokładzie.

W tym momencie kapitan don Diego wyszedł, ale prawie natychmiast powrócił.

Major don Luis Moran podsunął, że można by rozpiąć jakiś stary żagiel nad pokładem „Santa Catalina” jako osłonę przed żywiołami; powiedział też, że morska bryza jest daleko zdrowsza niż cuchnące powietrze forkasztelu.

Główny nawigator zaproponował mówiąc, że wszelkie podobne urządzenia przeszkadzałyby w nawigacji oraz że nagły spadek temperatury o zachodzie słońca, któremu zawsze towarzyszy wzrost gorączki u chorych, w większości wypadków przyniosłby zgubne skutki. Odwołał się do miłosierdzia doni Izabeli.

Zarządzono, aby chorzy pozostali na okręcie flagowym.

Doña Izabela zażądała, aby główny nawigator znalazł obsady dla dwóch mniejszych okrętów, jak również żywność i wodę w ilości proporcjonalnej do ich liczebności, oraz aby dostarczył nawigatorom map i wskazówek nawigacyjnych; oba te obowiązki podjął się wypełnić.

Główny nawigator poprosił następnie o pozwolenie opuszczenia narady, ponieważ usłyszał, jak jakiś człowiek woła do niego o pomoc. Pozwolenie to otrzymał i obrady zawieszono aż do jego powrotu, kiedy to zawiadomił wielkorządczynię, iż sierżant Luis Andrada, jakoby na polecenie kapitana don Diega, spuszcza ciężko chorych do barkasa celem przewiezienia ich na fregatę.

Wielkorządczyni kazała bezzwłocznie naprawić tę omyłkę, po czym naradę zakończono.

ROZDZIAŁ XXII

PRZEZ RÓWNIK NA PÓŁNOC

Kiedy osiemnastego listopada wyruszyliśmy w drogą do San Cristobal, nasi ludzie wyrażali pięściami oddalającemu się brzegowi i wykrzykiwali tysiące złorzeczeń pod adresem mieszkańców, jakby sam nasz pobyt nie był już dla nich wystarczającym przekleństwem. Na okręcie flagowym mieliśmy dziewięćdziesiąt jeden dusz, a na dwu mniejszych okrętach dalszych trzydzieści. Żadne czółna nie wypłynęły, aby pożegnać nas strzałami czy pociskami z proc, co było dowodem roztropności, gdyż działa wszystkich okrętów były nabite, a puszkarze stali w pogotowiu z zapalonymi lontami. Ponieważ wiał pomyślny wiatr z południowego wschodu, wypłynęliśmy z Zatoki bez trudu, ale takielunek „San Geronimo” był tak zużyty, że fały pękły aż trzy razy, podczas gdy wciągaliśmy barkas na pokład, a choć nie jestem marynarzem, zrozumiałem, że nie potrzeba będzie wielkiego sztormu, aby ogołocić nas z każdego kawałka płótna, jaki mieliśmy na masztach. Ciało wikariusza zrzuciliśmy za burtę w chwili, gdy Santa Cruz zapadała za widnokrąg czerwony od gniewnych błysków wulkanu Tinahula. U trzech spośród majtków, którzy brali udział w wyprawie po żywność, wystąpiły teraz objawy febry, a czwarty zakaził sobie stopę stąpając na ostrą muszelkę.

Nasz kurs był na zachodnio-południowy-zachód. Dziewiętnastego listopada główny nawigator wziął wysokość słońca i stwierdził, że znajdujemy się na jedenastym stopniu szerokości południowej. Tymczasem bosman i dalsi czterej majtkowie rozchorowali się, wobec czego pozostało nam tylko pięciu zdrowych ludzi oprócz bosman-mata, gdyż resztę naszej trzydziestoosobowej załogi rozdzielono pomiędzy „Santa Catalina” i „San Felipe”. Damian sarknął, że zmuszono nas, byśmy brnęli dalej, ostro do wiatru, na poszukiwanie wyspy San Cristobal, która, jeżeli nawet zdołamy ją odnaleźć, nie zapowiada nam lepszego przyjęcia niż to, za które tak brzydko odpłaciliśmy na Santa Cruz. Dlaczego więc nie zawracamy i nie płyniemy prosto ku Filipinom? Główny nawigator był zły na niego, aż raptem sztagowa gruba lina biegnąca od szczytu grotmasztu do podstawy fokmasztu, aby przejąć napięcie żagli - trzasła jak nitka, a grotmaszt pękł przy liku. Wówczas nawrócił się na pogląd Damiana, którego posłał dopilnować szplajsonowania sztagu, ale wyznał, że nie gwarantuje, czy maszt utrzyma się choćby trzy dni. A stało się to, gdy znajdowaliśmy się jeszcze o jakieś dziewięćset mil od najbliższego chrześcijańskiego portu.

Na jego usilne nalegania i nie mając wielkiej nadziei odnalezienia „Santa Ysabel”, wielkorządczyni, acz niechętnie, zgodziła się skierować wprost ku Manili. Don Luis, kapitan Lopez i niektórzy inni oficerowie, w pełni świadomi naszej niebezpiecznej sytuacji, pomogli jej przełamać opór don Diega, który uparcie nie chciał wierzyć, aby cokolwiek było nie w porządku z naszym okrętem, i wciąż jeszcze roił o wzbogaceniu się na całe życie w kopalniach złota króla Salomona.

Dwudziestego listopada zatem ustalono kurs na północny zachód, a gdy stało się wiadome, do jakiego portu zdążamy, wieść ta wywarła lepszy skutek niż jakiegokolwiek lekarstwo.

Liczba krzyżyków w moim rejestrze, wynosząca dotychczas czterdzieści siedem, przestała wzrastać przez pewien czas, a bosman i wszyscy chorzy żeglarze prędko wracali do zdrowia. Tego wieczoru przy

wspólnym stole Pedro Fernandez powiedział, że nie możemy być daleko od rozległej wyspy Nowej Gwinei, której północne wybrzeże miałby wielką ambicję wykreślić na mapie, i powstrzymuje się od tego tylko na rozkaz doni Izabeli. Prawda zaś była taka: pewne chmury dostrzeżone tego dnia daleko przed nami po lewej stronie wydały mu się spiętrzone nad granią wysokiego łańcucha górskiego. Wyspy Salomona, nareszcie, ciągnące się na północny zachód przez blisko pięć stopni szerokości! Aby jednak uspokoić don Diega, który mógł nalegać, abyśmy skręcili i lądowali, wykorzystał jego niewiedzę i otumaniał go gadaniem o Nowej Gwinei, która leżała o jakieś dwieście mil dalej na zachód.

Doña Mariana, wyczerpana trudem pielęgnowania braci i tajnym żalem za don Jacintem, łatwo padła ofiarą febry. Zawsze była w głębi serca szalona i obarczona większością wad właściwych jej rodowi, a mianowicie pychą, chciwością i dwulicowością; nie była wszakże całkiem zła i gdyby był przy niej ksiądz, mogła łatwo skruszyć się i umrzeć pobożnie. Wiele jednak niewyznawalnych grzechów ciążyło na jej sumieniu i zaczęła odczuwać nienawiść do siostry, która skusiła ją do złego, a teraz, bojąc się zarazić, trzymała się od niej z daleka. Zastanawiała się z goryczą, czy Pedro Fernandez połknął haczyk, czy też może już nawet wyciągnięto go z wody.

Przez cały ubiegły tydzień Pedro Fernandez był w tak dziwnym nastroju, na zmianę pogodnym i ponurym, serdecznym i kłótliwym, że pierwszego wieczoru po wypłynięciu przyjąłem propozycję oficera rachunkowego, aby wynająć kajutę, w której skonał wikariusz. Powietrze w niej było dobre, łóżko wygodne, a ponadto miała tę zaletę, że drzwi zaopatrzone były w kłódkę, wstawioną jeszcze przez Juana de la Isla. Nie wątpiłem, że to doña Izabela kazała don Gasparowi wystąpić do mnie z tą propozycją; moje wyprowadzenie się z Sali Map miało pozostawić jej wolną drogę.

Dopiero w wiele miesięcy później dowiedziałem się szczegółów tego, co wydarzyło się tej samej nocy. Na jakieś trzy godziny przed

świttem, kiedy służebne już spały, zakradła się do Sali Map, otulona w długi, czarny płaszcz i cicho zamknęła drzwi za sobą. Pedro Fernandez zerwał się, a że latarnia paliła się ciemno, wyciągnął spod poduszki sztylet, biorąc ją za zbira nasłanego przez don Diega.

- Ach, Pedro, nie! - szepnęła. - Chciałbyś zabić tę, którą najbardziej kochasz?

Na wpół we śnie, zmieszany straszliwie, odszepnął:

- Przebac mi, opiekunko moja, aniele mój, jedyna moja nadziejo!

Delikatnie zabrała mu broń i położyła ją poza zasięgiem jego ręki, po czym usiadła na łóżku. Przycisnął wargi do jej dłoni, niezdolny ukryć wzruszenia.

- A więc to tak jest z tobą? - spytała drżąc. - Ze mną jest to samo.

Nie odpowiedział, tylko wpatrzył się w nią rozszalałymi oczyma. - Łaknę rozmowy z tobą, ukochany - rzekła - ale zęby szcękają mi z zimna. Na miłość boską, pozwól mi wejść do twego łóżka.

Ponieważ nie odpowiadał, zrzuciła płaszcz i odziana tylko w jedwabną koszulę, wśliznęła się pod kołdrę pomiędzy niego a ścianę.

- Weź mnie w swoje mocne ramiona i utul mnie - powiedziała. - Jestem osamotniona i zziębnięta do szpiku kości.

Objął ją z taką czcią, jakby była cudowną statua, i rzekł:

- Niech to nigdy nie będzie poczytane za grzech. Bóg jeden wie, że kocham cię z całego serca i że nigdy nie wyrządziłbym ci krzywdy; radość to niewymowna, że mogę ci to nareszcie powiedzieć twarzą w twarz.

- Pedro - szepnęła ledwo dosłyszalnie - kiedy upłynie rok mego wdowieństwa, poślubisz mnie? Będziemy wtedy wolni oboje, wolni jak powietrze, a ten pocałunek jest rękojmią, że jestem twoja na wieki.

I przycisnęła usta do jego ust. Odwzajemnił pocałunek, płacząc z zachwyty.

- Czy nie jestem piękna? - spytała niebawem. - Don Alvar gardził moją urodą.

- Niech mu Bóg przebaczy! - odparł. - Musiał być zupełnie obłąkany

- Dotknij tego gładkiego, miękkiego brzucha - chwyciła go za rękę - nie, nie wzdrağaj się! Czyż nie było okrucieństwem odmawiać tu mieszkania żywej istocie? A te jędrne, krągłe piersi, czy to nie grzech był pozbawiać je naturalnej funkcji?

Zaczął drzeć i omal już nie stoczył się w przepaść, ale zrobił mężny wysiłek, aby odzyskać grunt pod nogami.

- Na Matkę Najświętszą, puść mnie! - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Będąc sama tak cnotliwa, nie możesz się domyślać, jak strasznej próbie poddane jest moje ciało.

Puściła go i leżała szlochając, jakby miało jej pęknąć serce; aż po chwili rozmyślił się, przygarnął ją znów mocno do siebie i obsypał namiętnymi pocałunkami, których ona nie wzięła mu za złe.

Było tak, jak gdyby ją uwiódł, a przecież ona rozradowana była tym, co się stało, oświadczając, że są teraz jednym ciałem w oczach Boga i że gdyby On tego nie był zamierzył, nigdy nie usunąłby z ich drogi trudności, które ich otaczały; powiedziała też, że jest najszczęśliwszą kobietą na ziemi. On, choć bynajmniej nie przekonany, zaczerpnął odwagi z jej błyszczących oczu i odrzekł, że w najgorszym razie ich grzech jest grzechem powszednim, który można będzie naprawić uczciwym ślubem w Manili, i że przepis zabraniający wdowie już brzemiennej obcowania z nowym małżonkiem nie dotyczy ich przypadku.

- Ukochany mój - rzekła na to - jeśli z rozkoszy tej nocy urodzi nam się syn, będzie on prawowitym dziedzicem markizatu. Będzie to tak, jakbyś wzbudził nasienie za brata swego, czego Zbawiciel nasz nie zabronił, i tym sposobem urzeczywistnimy pragnienie najbliższe naszemu sercom, które musi przyczynić się do większej chwały bożej.

Przystał na to fałszywe i heretyckie rozumowanie. Całowali się, obłapiali i pocieszali wzajemnie do świtu, umawiając się na nowe spotkanie następnego nocy o tej samej porze; ostrzegła go jednak, że tymczasem będzie go traktować surowo i wzdurliwie, aby tym lepiej skryć swoją miłość przed bacznymi oczyma innych, i robić tak będzie cały czas, póki nie dotrą do Manili.

Jej pokojówka Elwira, zauważywszy nocne nieobecności swojej pani, zlekła się. Nie zwierzyła się nikomu poza Jaumem, którego prosiła, aby przestrzegł potajemnie głównego nawigatora, że gdyby Barretowie odkryli, jakiego to gościa przyjmuje nocą, może się spodziewać sztyletu w plecy, a kto wtedy doprowadzi flotyllę bezpiecznie do portu? Jaume przyszedł po cichu do mnie, jako będącego w zażyłych, stosunkach z Pedrem Fernandezem, i prosił o przekazanie mu tej przestrogi; udał jednak, że dotyczy ona spisku mającego za cel porwanie okrętu.

- Wolno im robić ze swoim życiem, co chcą - powiedziałem od razu, aby pokazać, że mnie nie oszukał i kimże ja jestem, żeby go ostrzegać przed posiadaniem kochanki? Jakaż mam nadzieję przekonać go, że to niebezpieczne? Jeżeli nie czuje, jak to nieprzyzwoicie spać z nią tak prędko po pogrzebie jej męża i tak prędko po otrzymaniu wiadomości o własnej stracie, musi być naprawdę mocno zadurzony.

- Więc nie będziesz interweniował?

- Nie sądzę. Milczenie jest niebezpiecznie, przyznaję, ale mówić coś wydaje mi się jeszcze niebezpieczniej. On wierzy wszystkiemu, co ona mu powie, jak gdyby była piątym ewangelistą, i wcale nie byłby wdzięczny życzliwemu przyjacielowi, który by chciał otworzyć mu oczy na jej prawdziwy charakter. Jeżeli powiem mu tylko, że jego miłość została odkryta, powtórzy jej tę wiadomość i wskaże mnie jako tego, który go o tym uwiadomił; a ona, chcąc zatrzeć za sobą ślady, znajdzie sposób, żeby uciszyć mnie na wieki. Będę z tobą szczery, Jaume: w dążeniu do swoich celów doña Izabela zdolna jest do

wszelkiej podłości, co więcej, ma nas wszystkich w swojej władzy. Czy Elwira rozmawiała o tej sprawie z przyjaciółką?

- Z Belitą? Nie, Belita nie wie o niczym. Don Diego i don Luis dzielą się nią teraz po bratersku, więc nigdy jej nie ma w kajucie generalskiej między północą a świtem. Elwira zwierzyła się tylko mnie.

- Więc powiedz jej, że ten sekret nie powinien pójść nigdzie dalej. U nas dwóch jest bezpieczny, ale jeżeli nie chce być zepchnięta za burzę którejś bezksiężycowej nocy...

- Masz słuszość, don Andresie - powiedział. - No cóż, niech sobie diabeł robi swoje.

Robiliśmy teraz mniej więcej po dwadzieścia mil dziennie i dwudziestego siódmego listopada wypatrywacz dostrzegł unoszący się na wodzie pień drzewa i wielką, splątaną masę rzecznych wodorostów, wśród których, gdy podpłynęliśmy blisko, zobaczyliśmy migdały, na wpół spaloną strzechę i dwa węże. Pedro Fernandez wziął wysokość słońca i na intencję don Diega zameldował, że już osiągnęliśmy piąty stopień szerokości południowej; byliśmy jednak dopiero na siódmym, żeglując w sporej odległości od najdalej na północ wysuniętych Wysp Salomona. Wiatr skręcił na południowy zachód, niosąc szkwały i ulewy, co dowodziło - jak twierdził - że Nowa Gwinea niedaleko. Wielka fala wywołana przez wstrząs denny uderzyła nas z dziobu; okręt zaczął kołysać się wzdłużnie, a potem z boku na bok, gdy nowa seria spiętrzonych fal uderzyła na nas z prawej burty. Uderzenia te wystawiły kadłub okrętu na ciężką próbę i zwiększyły nasze cierpienia; ale również zniechęciły donię Izabelę do dalszych wizyt w Sali Map, gdyż nawet najbardziej namiętna miłość znajduje równorzędną rywalkę w morskiej chorobie. W ten sposób minęliśmy i pozostawili za sobą Wyspy Salomona, nie odwiedzając ich ani nawet ich nie widząc. Żaden biały

człowiek po dziś dzień nie postawił na nich stopy i położenie ich pozostaje tajemnicą znaną tylko niewielu.

Wiatry stały się zmienne, a niekiedy ucichały zupełnie, ale przykra fala denna trwała nadal; nasze dzienne odcinki drogi zmniejszyły się do ośmiu mil i jeszcze bardziej, w miarę jak zbliżaliśmy się do równika, który przecięliśmy dopiero trzynastego grudnia. Święta Łucja, której to był dzień, uzdrawia chore oczy i przywraca zmętniały wzrok; kiedy słońce wstało, niebiosy były czyste, powietrze spokojne, morze gładkie, lecz nawet człowiek o najbystrzejszym wzroku nie mógłby dostrzec najmniejszego śladu lądu na bezchmurnym horyzoncie.

Pedro Fernandez przygotowany był na to, że doña Izabela okazywać mu będzie wyraźną pogardę, i przez pewien czas im ostrzejsze były jej słowa, tym bardziej się cieszył. Kiedy przerwała swoje nocne odwiedziny w Sali Map, odgadł, że przyczyną tego była morska choroba, i litował się nad nią. Wydobrzała jednak, a mimo to nie przychodziła; a choć zdarzyło im się czasem być samym w kajucie generalskiej, traktowała go dalej tak zimno i surowo jak sędzia sądzący kogoś o gardłową sprawę. Nie niecierpliwił się przypuszczając, że cierpi na kobiecą słabość, ale ona ciągle trzymała go z daleka, cóż więc mógł począć? Zobowiązawszy się, że nie zdradzi ich tajemnicy słowem, spojrzeniem ani uczynkiem, czekał dyskretnie na jej łaskę.

Jaume i ja zauważyliśmy w nim tę zmianę. Wyglądał jak ktoś, kogo przesznuł kuchennym wejściem do nieba, a potem bez uprzedzenia wyrzucono przez okno, aby spadł głową naprzód przez przestworze, jak Wulkan w klechdzie, nie wiedząc, kiedy uderzy o twardą ziemię. Łatwo sobie wyobrazić, że nie skarżył się mnie ani nikomu. Będąc jednocześnie nawigatorem i kapitanem okrętu o niewystarczającej załodze, źle zaopatrzonego w żywność i w najwyższym stopniu zniszczonego, miał mnóstwo pracy, która zajmowała mu umysł i nie pozwalała na smutne rozpamiętywanie. Siadał na swoim miejscu przy wspólnym stole wśród szczupłego teraz towarzystwa składającego się z

wielkorządczyni, jej dwóch braci, majora Morana, kapitana Lopeza, chorążego Torresa i mnie. Luiza, wdowa po Juanie de Buitrago, powinna była zasiadać z nami albo przynajmniej otrzymywać swój przydział żywności, będąc teraz w daleko posuniętej ciąży; lecz doña Izabela orzekła, że nie ma żadnych obowiązków względem wdowy po uznanym zdrajcy, która musi zadowolić się swoją poprzednią skromną pozycją.

Nigdy przedtem ani potem nie jadalem w równie niemiłej kompanii. Ponieważ doña Mariana nie wstawiała z łoża, nie było żartów ani kpin; rozmawiano też bardzo mało, chyba kiedy don Luis lamentował, że boi się pokazać swoim wierzycielom w Limie, będzie więc musiał szukać szczęścia w Chinach lub na Wyspach Korzennych; albo kiedy don Diego narzekał na zły obiad, na co jego siostra zawsze odpowiadała, że gdyby jadł trochę mniej, smakowałoby mu więcej. Od czasu do czasu któryś z Barretów rzucał złośliwą uwagę skierowaną przeciwko głównemu nawigatorowi, na co major i chorąży Torres wybuchali przypochlebnym śmiechem; ale kapitan Lopez, główny nawigator i ja zjadaliśmy posiłki w milczeniu.

Wreszcie pewnego ranka, kiedy byłem w kajucie generalskiej i spisywałem pod dyktando doni Izabeli inwentarz jej prywatnych zapasów, wszedł Pedro Fernandez z ponurą miną, niespokojnie mnąc trzymaną w rękę czapkę.

- Jestem zajęta, nawigatorze.

- Muszę pomówić z tobą o galeocie, dostojna pani - powiedział wlepiając wzrok prosto przed siebie.

- Proszę zwracać się do mnie per „wasza ekscelencjo”. Cóż tam znowu szwankuje?

- „San Felipe” od dwóch dni dziwnie się zachowuje. Zostaje w tyle i nie odpowiada na nasze sygnały.

- Ale dlaczego?

- Trzy dni temu, kiedy jej nawigator przybył na pokład porównać

namiary, zobaczył, że nasz grotmaszt jest pęknięty. Musiał powiedzieć kapitanowi Corzo, że nieprawdopodobne jest, abyśmy kiedykolwiek dotarli na Filipiny. Gdyby maszt się zwałił pozbawiając nas możliwości żeglowania, wasza ekscelencja rozumie, że honor wymagałby od niego udzielenia nam pomocy i ratunku.

- Ach, więc to tak okazuje swoją wdzięczność? Doskonale; poczekaj, aż galeota dopłynie do nas, i zawołaj do niej. Powiedz tak: „Rozkaz jej ekscelencji: kapitan Corzo ma się trzymać o pół mili za rufą, inaczej uznany będzie za zdrajcę.”

- I to wszystko?

- Na Boga! A czegoż chcesz więcej, ty gamoniu, stojący tam z otwartą gębą, wzdychający i miętoszający swoją zatłuszczoną czapę? Cóż to, u licha, naszło cię ostatnio? Febra cię rozbiera czy może zakochałeś się w tej rozpróżnianej ulicznicy Panczy? Odejdź, człowieku, zanim stracę panowanie nad sobą! Daj mi skończyć te przeklęte rachunki. Andresie, ile to, ja mówiłam, zostało butli oliwy?

- Siedemnaście, ekscelencjo - odrzekłem - oprócz tej, którą teraz używamy.

- Czy wolno mi prosić o parę słów rozmowy z waszą ekscelencją na osobności?

- Nie, nie wolno. Nasz Andres jest dyskretny. Jeżeli masz coś do powiedzenia, mów prędko, a potem idź sobie.

Spojrzał na nią z niemym błaganiem, przełknął ślinę, skłonił się i odszedł. Niedługo potem usłyszałem, jak nawołuje „San Felipe” i składając dłonie w trąbkę przy ustach przekazuje zlecenie; lecz kiedy wieczór zapadł, kapitan Corzo zmienił hals, a rano nie było go więcej widać. Fregata wciąż brnęła dalej po naszej lewej burcie, gdyż jej obecny sternik był pospolitym marynarzem nie umiejącym ani odczytać mapy, ani posługiwać się kwadrantem, tak iż jedyną dla niej nadzieją ocalenia było zdążyć za nami.

Zaczynaliśmy odczuwać męki głodu - suchary i solona wieprzowina

zabrane z Santa Cruz już się skończyły i dzienna racja sprowadzała się do pół funta spleśniałej mąki i kwaterki cuchnącej wody, pełnej utopionych karaluchów. Nasz kucharz mieszał mąkę z morską wodą i wyrabiał z niej kołaczki, które piekł w gorącym popiele. Wkrótce nastały tak ciężkie czasy, że ledwie mam odwagę o nich pisać. Popełniano zbrodnie przeciwko naturze, na przykład kiedy dorosły mężczyzna skradł garnczek wody konającemu dziecku. Dwaj chorzy majtkowie i jedna kobieta oszaleli i trzeba było ich zakuć w żelaza, wyjątych i gadających od rzeczy, aby nie mogli zrobić krzywdy sąsiadom.

Doña Izabela nigdy nie ryzykowała pójścia na dziobówkę. Uzbrojony wartownik pilnował, aby nikt z żołnierzy i załogi nie mógł nachodzić jej z petycjami, a całą artylerię, hakownice i proch kazała przenieść na rufę, tak iż w razie próby buntu ci z rufy mieliby ich w swojej mocy. Wszystkim na okręcie wydzielano jednakowe racje, ale swojej straży i służbie uznała za wskazane dawać podwójne. Główny nawigator i ja nie cieszyliśmy się wielkimi względami. Przy wspólnym stole tylko Barretowie jedli, co chcieli; od pozostałych żądano paskarskich cen za wszystko, co podawano. Sprzedawano nam mąkę po sześć pesos za funt, a oliwę po dwadzieścia pesos za kwartę, przy czym doña Izabela albo brała gotówkę, albo potrącała opłatę z naszych wkładów; wartość ich jednak oceniała licząc tylko reala za peso. Mój skromny wkład trzystu pesos wraz z zaległą mi pensją wynoszącą dalsze trzydzieści nie mogły w tych warunkach starczyć na długo; ale byłem jeszcze dość zdrowy i uniknąłem szkorbutu, który niedługo po tym, jak przepłynęliśmy równik, zaczął objawiać się u załogi w postaci wrzodów na stopach i nogach.

- Don Andres umie żyć swoim tłuszczem jak niedźwiedź w zimie - sztydził major.

W moim rejestrze zgonów wyrosły nowe krzyżyki. Nie mijał prawie dzień, żeby nie wyrzucano jednego lub dwu ciał za burtę; przez miesiąc od świętej Łucji pozbyliśmy się w ten sposób dwudziestu dziewięciu

trupów, w tym dwu młodych kobiet i pięciorga dzieci. Żołnierze i osadnicy żyli w nieopisanym brudzie, zbywszy wszelkiej dumy, nadziei i miłości, a jęk „Wody, wody!” rozlegał się wszędzie. Gdy przechodziłem wzdłuż okrętu z jakimś poleceniem na dziobówkę, ludzie wystawiali opuchłe języki i pokazywali na nie, jak ów biblijny bogacz wzywający litości u Łazarza; a kobiety z wyschniętymi piersiami podnosiły ku mnie małe dzieci, wychudłe na istne szkielety. Biedny Juanito, pupilek don Alwara, był krzepkim dzieckiem i długo się męczył przed śmiercią.

Pedro Fernandez chodził jakby w otumanieniu, robiąc, czego od niego wymagano, siłą przyzwyczajenia, ale robiąc to dobrze. Wyglądało na to, że pogodził się już z nieustannym okrucieństwem doni Izabeli jako z czymś zupełnie niewytłumaczalnym, i dopiero kiedy wyzbyła się wszelkich pozorów miłosierdzia i objawiła się taką, jaką była naprawdę, zaczął po trosze rozumieć, jak sprawy stoją między nimi: odrzuciła go jak stary trzewik i jej poprzednie zapewnienia o stałej miłości okazały się całkiem bezwartościowe i nieszczerze. Jednakże powoli tylko dostosowywał się do tej zmiany i wciąż jeszcze próbował znajdować wytłumaczenie dla jej bezwstydnego skąpstwa i lekceważenia zasad chrześcijańskich.

Takielunek i żagle zużyły się już do tego stopnia, że załoga nie mogła dać sobie rady z ciągłym szcieniem żagli i robotami linowymi, zapędzono więc do tej nieodzownej służby cieśli, paziów, Murzynów i wszystkich, którzy byli pod ręką - prócz wojska. Podstawa bukszprytu, obłuzowana przy zderzeniu z galeota parę miesięcy temu, teraz oderwała się prawie całkowicie i zwiśla w prawo pociągając za sobą bukszpryt, tak że kliwer wpadł do morza z całym olinowaniem i nic z tego nie dało się uratować. Sztag grotmasztu zerwał się po raz drugi i jedyнным sposobem utrzymania grotmasztu w należytej pozycji było zaimprovizować nowy sztąg przy użyciu resztek jednej z konopnych lin, które zawiodły nas w Zatoce Łaskawej, oraz tylnych sztągów, które Pedro Fernandez i bosman-mat odwiązali specjalnie w tym celu. Nie

było rei, która by nie przekrzywiła się ku dołowi, na skutek uszkodzenia fałów i pęknięcia stropów, i można było widzieć żagle walające się po pokładzie trzy dni i więcej, gdyż nikt nie miał sił ani serca postawić ich na nowo z pomocą liny, która była już szplajsowana ze trzydzieści razy. Główny nawigator kazał zdjąć topsle i bezan i użyć ich do łatania naszych dwu jedynych żagli, które nam teraz zostały. Z nadbudówek okrętu pozostało tak niewiele, że gdy żeglowaliśmy ostro do wiatru, woda wlewała się i wylewała na przemian, zatapiając międzypokłady. Tylko belki utrzymywały go na powierzchni - zrobione były z doskonałego peruwiańskiego budulca zwanego *guatchapeli*, który jakoś nigdy nie paczy się ani psuje.

. Najgorszym człowiekiem na pokładzie był don Diego, który jadł i pił tak obficie, jakby był w gościnie u wicekróla; za najcnotliwszego zaś uważano powszechnie Juana Leala, pielęgniara chorych. Czcigodny ten staruszek sam dostał febry, ale trzeciego dnia wstał ze swego siennika, aby doglądać towarzyszy. Puszczał im krew, stawiał bańki, słał łóżka, wylewał wiadra z odchodami i albo ułatwiał im przetrwanie choroby słowami prostej pociechy, albo pomagał umrzeć spokojnie i nabożnie powierzał ich ciała odmětom. W Chile przed trzydziestu laty był żołnierzem i dotychczas miał w wyglądzie coś marsowego, mimo zakonnej szaty z workowego płótna, bosych nóg i strzępiastej, siwej brody wiszącej mu aż do pasa. Nikt nie widział, żeby spał, i zdawał się żyć powietrzem. Oficer rachunkowy powziął uwielbienie dla Juana Leala i podkrażał ze spiżarni doni Izabeli wodę i żywność, którą następnie Matia i Juarez, wartujący na przemian przy drabince prowadzącej pod pokład, przekazywali mu do rozdziału pomiędzy chorych. Na ich usilne prośby czynił to samo dla doni Luizy; zgadzał się zresztą z nimi, że byłaby szkoda, gdyby po Juanie de Buitrago nie pozostał dzie dzic jego męznego i żołnierskiego ducha.

Wiatr dął z północnego wschodu przez cały miesiąc. Będąc zmuszeni żeglować ostrymi wiatrami, nabieraliśmy dużo wody i nie było innej rady jak kierować ludzi do pomp na ca ą godzinę na początku każdej

wachty. Zebranie ludzi do tej roboty i zmuszenie ich do wykonania jej wymagało wielkiego wysiłku ze strony oficerów, nawet wtedy gdy dla dodania im bodźca obiecywano podwójne racje żywności. Jedni wymykali się i chowali, inni zuchwale odmawiali pracy, jeszcze inni kładli się i udawali chorych. Trzeba ich było okładać kijami, aby wymóc posłuszeństwo.

Szesnastego grudnia, gdy znaleźliśmy się na trzecim stopniu szerokości południowej, główny nawigator poszedł do doni Izabeli i w imię chrześcijańskiej miłości bliźniego prosił ją o ulżenie doli ciężko chorych; w rękę trzymał listę jakichś trzydziestu mężczyzn i kobiet. Odparła, że żadnej żywności odstąpić im nie może, ale on obrzucił ją tak złowrogim spojrzeniem, że zmiękła i podjęła się dawać im dzienną porcję grochówki, a do tego pół słoika miodu i wyskrobki z beczki na słoninę, dopóki tego starczy, oraz każdego popołudnia dzbanek wody z odrobiną cukru. A przecież do tej pory nie przebyliśmy więcej niż trzecią część drogi na Filipiny.

Następnego dnia kapitan de Vera zrównał się z nami, a kiedy okręty zbliżyły się burtami, krzyknął, że chorąży królewski rzucił się w morze w przystępie szału i że okręt cieknie jak sito. Poprosił o użyczenie mu trzech majtków do pomocy jego załodze, zupełnie wyczerpanej pracą przy pompach.

Bosmańską wachtę posłano zatem na fregatę, aby utrzymała ją w stanie suchym, podczas gdy główny cieśla miał odszukać i zatkać przeciekające miejsca; ten jednak zameldował, że wszyscy budowniczy okrętów Starej Hiszpanii razem wzięci nic by tu nie poradzili, gdyż okręt jest zupełnie zniszczony i można palcem przedziurawiać mu boki równie łatwo, jak gdyby były z sera. Pedro Fernandez jął wówczas błagać wielkorządczynię, aby porzucić fregatę „Santa Catalina” zabrawszy z niej załogę, wszystkie zapasy i takielunek. Odpowiedziała mu krótkim „Nie!” bez żadnych wyjaśnień ani wymówek i odprawiła go. Dawszy jej czas na zastanowienie, poszedł do niej raz jeszcze i

zawiadomił ją, że fregata jest skazana na zagładę i że zyskawszy dziesięciu ludzi więcej, jeszcze jeden żagiel i więcej lin, okręt flagowy może mieć lepsze widoki dotarcia do Manili.

- Nie - powtórzyła, dodając tym razem: - Nie ufam kapitanowi de Vera; uczestniczył w spisku, aby mnie zamordować, i pojąć nie mogę, dlaczego mąż mój go oszczędził. Z pewnością zamordował chorążego królewskiego, ponieważ ten nie chciał wziąć udziału w nowym zamachu na moje życie.

Prawda była taka, że bała się wziąć na pokład zwłoki don Alwara, nie śmiała też zostawić ich na porzuconym okręcie. Główny nawigator udał się zatem do kapitana de Vera i powiedział mu:

- Prosiłem donię Izabelę, aby znalazła miejsce dla ciebie i twoich ludzi na „San Geronimo”, ale ona ci nie ufa. Czemu nie zwrócisz się do niej sam, dostojny panie? Jeżeli zostaniesz na swym okręcie, zginiesz. „Przyjacielu - rzekł kapitan de Vera - jedna rzecz tylko powstrzymuje mnie od pójścia za twoją radą: mianowicie mój honor. Wolę zapaść się w toń niż prosić o najmniejszą łaskę tę wilczycę, tę wiedźmę, tę mordczynię lub choćby znaleźć się na jednym z nią okręcie”.

- Są to nieumiarkowane słowa, dostojny panie. Jednakże, jeśli jesteś zbyt dumny, aby prosić, sprowadź swoich ludzi na nasz pokład o północy, ze wszystkimi zapasami i osprzętem, jaki zdołacie zabrać. Przyjmujemy was jak braci, a doña Izabela nigdy nie poważy się odesłać was z powrotem.

- Nawigatorze, wdzięczny ci jestem za twoje dobre chęci, ale znam ją lepiej niż ty. Kobieta, która zdobyła się na to, aby zabić własnego męża, grając na jego zabobonnych lękach, nie będzie miała dla mnie litości. Jeżeli mam wejść na pokład „San Geronimo”, muszę albo przyjść uzbrojony i wrzucić ją i jej braci do morza - za co musiałbym wisieć w Manili - albo też nieuzbrojony i z miejsca doznać podobnego losu. Nie, wolę zostać, gdzie jestem; fregata może jeszcze dobrnąć do portu albo też uciekniemy szalupą na jakąś wyspę.

Na krótko przed świtaniem straciliśmy z oczu latarnię „Santa Catalina”, choć powietrze było czyste, na co główny nawigator zlużował żagle i czekał, aż do nas dopłynie. Don Diego podniósł wściekły krzyk: „Nie pora teraz opóźniać żeglugę, i jeśli fregata nie wyprzedziła nas w nocy, pewno skręciła na jakiś własny kurs.” Na uwagę Pedra Fernandezza, że byłoby zbrodnią opuścić bratni okręt na pełnym morzu bez nawigatora zdolnego nim kierować, odrzekł, że teraz Bóg jest jeden dla wszystkich, każdy radzić sobie musi sam, i niech diabeł bierze tego, kto się wlecze na końcu. Pod wieczór wielkorządczyni wydała rozkaz do dalszej drogi, którego nie można było nie słuchać.

Wspomnienia losu jej męża odżyły w sercu doni Mariany, kiedy leżała konająca, a choć pomściła się na don Alwarze za rolę, którą w związku z tym odegrał, widziała teraz historię całej kłótni w innym świetle. Doña Izabela musiała się obawiać, że po śmierci don Alwara admirał obejmie godność naczelnego wodza i wielkorządcy Wysp i że jego dzieci z czasem odziedziczą markizata - nieszczęście, do którego zdecydowana była nie dopuścić. Namówiła zatem don Alwara, aby spętał go na jakiś czas więzami małżeńskiej czystości, a tymczasem spiskowała na jego życie. Tak więc nawet gdyby don Lope nie zadał się z żoną sierżanta, wkrótce bądź zamordowano by go, bądź stracono pod jakimś fałszywym zarzutem, byle tylko małżeństwo jego nie zostało skonsumowane. Może ostrzegł go o tym ksiądz Juan, który potrafił być nader bystry, kiedy chciał, a on wobec tego odpłynął na własną rękę, skoro tylko ukazała się Santa Cruz.

- Jakaż ja byłam głupia! - westchnęła doña Mariana - naprzód bawiąc się w rajfurkę, gdy Izabela uwodziła głównego nawigatora, potem pomagając jej zostać wdową, a teraz milcząc, gdy ona nosi pod sercem pogrobowe, ale prawe dziecko! Oby Najświętsza Panna sprawiła, żeby to była dziewczynka, a do tego koślawa!

Zwierzyła się z tych myśli Panczy, która była teraz jej służebną (Inez bowiem umarła), i obiecała zapisać jej złoty naszyjnik, jeśli przekaże pewne zlecenie głównemu nawigatorowi. Miała mu powiedzieć, jaka jest przyczyna złego traktowania, którego doznaje: mianowicie, że doña Izabela, będąc już brzemienna, nie potrzebuje więcej jego miłosnych usług; również, że opowiadanie o śmierci jego żony było fikcją opartą na wiadomościach, które sam dobrowolnie głosił w dniu naszego wyjazdu z Paity, i że kto wie, czy doña Ana nie jest zdrowa i cała. W tydzień po przybyciu do Manili zostanie mu doręczony zapieczętowany list, którego istnienie zapewni mu do tego czasu bezpieczeństwo, o ile postąpi zgodnie ze wskazówkami itd., itd.

Spisałem testament doni Mariany pod jej dyktando, a dwóch paziów podpisało go jako świadkowie. Poza naszyjnikiem dla Panczy, w nagrodę za wierną pielęgnację, i dwustoma pesos na msze za swoją duszę, zapisywała wszystko, co miała, don Fernandowi de Castro, bratankowi swego pierwszego męża, stacjonującemu obecnie na Filipinach, czyniąc go zarazem egzekutorem swojej ostatniej woli; nikt z Barretów nie otrzymał nic na mocy jej testamentu ani nie dostąpił w nim najmniejszej wzmianki. Wyniszczona była do cna i nie żywiła już żadnych nadziei na wyzdrowienie, ale nie zdawała się rozpaczać na myśl o śmierci. Umarła wczesnie następnego ranka bez modlitwy ani skargi i tylko Pancza i ja byliśmy przy jej łożu. Kiedy zaniósłem wiadomość doni Izabeli, wyraziła życzenie przeczytania testamentu, który miałem przy sobie; przebiegłszy go oczyma zauważyła, że umysł jej biednej siostry był od wielu tygodni zmaczony i zwróciła mi dokument kiwając melancholijnie głową.

ROZDZIAŁ XXIII

GŁÓD I PRAGNIENIE

Dnia dwudziestego trzeciego grudnia, trzymając się kursu na północno-północny-zachód, ujrzeliśmy wyspę odległą o jakieś trzy mile i zaczęliśmy sterować ku niej w poszukiwaniu przystani i prowiantów, ale ponieważ wiatr nagle ustał, nie zdołaliśmy dotrzeć do niej przed zmierzchem. Chociaż morze zdawało się wolne od raf, główny nawigator nie chciał narażać okrętu zbliżając go zbyt do brzegu i nakazał wykonać zwrot przez rufę. Majtkowie nalegali, aby płynąć dalej, tłumacząc, że nie mają sił do żadnej zbędnej pracy; lecz bosman i jego mat zgodzili się, że roztropniej będzie nie zbliżać się do brzegu przed rankiem, i we trójkę za pomocą steru skierowali okręt od wiatru, opuścili fok i wykonali zwrot.

O brzasku zajęliśmy na powrót tę samą pozycję co poprzedniego wieczoru i posłano wypatrywacza na górną reję; ten krzyknął ze strachem, że widzi same rafy na północ, zachód i południe aż po samą linię widnokregu. Weszliśmy do wielkiej pułapki znęcani widokiem wyspy i małe mieliśmy widoki na ocalenie - jedyna luka była od wschodu, ale wiatr wiał z północnego wschodu, a my nie mieliśmy tylnych żagli, przy pomocy których moglibyśmy opłynąć cypel rafy trzymając się ostro do wiatru. Jednakże kilku majtków, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ruszyło się do roboty, podczas gdy Damian stanął przy kole sterowym i z wolna obrócił okręt według wskazówek Pedra

Fernandeza. Przejście było tak wąskie, że chociaż bardzo zręcznie operowano żaglami, wąpiliśmy, czy okręt kiedykolwiek się wydostanie. Była godzina trzecia, nim znaleźliśmy się znów na pełnym morzu, a przepłynęliśmy tak blisko rafy, że widać było najmniejsze kraby uciekające w popłochu po koralu. Pedro Fernandez przypisywał zasługę naszego ocalenia świętemu Antoniemu Padewskiemu, do którego świątyni ślubował odbyć pielgrzymkę, jeżeli tylko ujdzie z życiem.

Kiedy wyspiarze zobaczyli, że mimo wszystko nie zamierzamy ich odwiedzić, wypłynęli na czółnach, aby wyrazić swoje rozżalenie; ale do tego czasu oddzieliła nas od nich rafa. Weszli na nią z okrzykami i gestami pełnymi żalu, z których zrozumieliśmy, że już przygotowali dla nas ucztę i że nie możemy sprawić im zawodu odjeżdżając nie skosztowawszy jej. Wszystko to byli mężczyźni nadzy i krzepcy, z długimi, rozpuszczonymi włosami.

Jedno czółno opłynęło rafę; siedzący w nim samotny krajowiec wrzeszczał, pokazywał na wyspę i podnosił w górę orzechy kokosowe oraz rodzaj chleba udając, że go zjada. Gdyśmy kiwali na niego, aby wszedł na pokład, nie chciał tego zrobić i cofnął się, na co don Diego strzelił do niego z hakownicy dla zabawy, lecz chybił. Wyspa ta, której nie zadaliśmy sobie trudu nazwać, leży na szóstym stopniu szerokości północnej i zdaje się mieć około trzydziestu mil obwodu; jest niska, okrągła i gęsto zadrzewiona, choć widzieliśmy także polany i uprawne pola. Pedro Fernandez uznał ją za jedną z dużej, rozproszonej grupy wysp, które Portugalczycy nazywają Barbudos, co znaczy Wyspy Brodatych Ludzi. Tegoż wieczoru wypatrywacz zawiadomił, że widzi cztery wyspy w zachodniej stronie oraz szereg odosobnionych skał, jedne z prawej burty, drugie z lewej, jeszcze inne wprost przed nami; my jednak położyliśmy ufność w Bogu i popłynęliśmy dalej dawnym kursem. Tak minęła wigilia Bożego Narodzenia roku 1595. Paziowie przestali występować swoje dobrze znajome kuplety, nabożeństw porannych

ani wieczornych nie było i jedyną naszą duchową pociechą było codzienne *Salve Regina*, śpiewane ochryplymi głosami do Matki Boskiej Opiekunki Samotnych, która w dalszym ciągu przydykowała na naszym pękniętym grotmaszcie. Chociaż jej piękne jedwabne szaty zetlały na słońcu i deszczu, a złote listki odpadły z kędziorów Dzieciątka, uśmiechała się do nas z góry uśmiechem pełnym nadziei i zdawała się obiecywać ocalenie, jeśli wytrwamy mężnie do końca. Ale majtkowie nie cenili już sobie życia. Powiedzieli Damianowi, że ani Bóg, ani król nie może żądać od nich niemożliwości; wolą umrzeć raz jeden niż umierać wielokrotnie i najchętniej zamknęliby oczy, założyli ręce i pozwolili okrętowi pójść na dno.

- Na takie gadanie rzucam swój powróż i biorę się do bata - odpowiedział Damian - choć niegdyś chlubiłem się, że mój język chłoszcze dostatecznie mocno. Zaniedbujcie tylko swoje obowiązki, chłopcy, a jak Bóg na niebie, tak was urządzę, że padniecie z wyciem na kolana, osły jedne, eunuchy, żołnierze! - to słowo bowiem było u niego wyrazem najwyższej wzdargy.

Jeden z chłopców okrętowych powiedział ze szlochaniem:

- Jeżeli nie dasz mi tu umrzeć w spokoju, okrutny Walencjaninie, wyskoczę za burtę.

- Wtedy porwie cię diabeł, z ciałem i duszą! - odrzekł Damian.

- Nie dbam o to! Piekło nie może być dużo gorsze niż to tutaj.

Pedro Fernandez, który w tej chwili nadszedł, popatrzył na majtków ze współczuciem. Zdawał się teraz spokojniejszy, odkąd pozbył się złudzeń co do wielkorządczyni i równocześnie nabrał znów nadziei, że doña Ana może jeszcze żyje. Jeden z marynarzy, sprawny we wspinięciu się na maszty w czasach, kiedy był zdrowy, powiedział mu:

- Wasza cześć wie lepiej niż kto inny, że nie odwagi nam brak, ale siły. Kiedy my głodujemy, ty jadasz przy wspólnym stole ze starszyzną. Zdobądź naszą miłość udając się do doni Izabeli; poproś ją o jedzenie.

- Ale jakbyście za nie zapłacili? Nie macie pieniędzy i nie należą się wam, póki nie staniemy w porcie Manili.

- Tak jest, ale należą nam się nasze racje, i to okazałe. Nie jesteśmy łakomi, wasza cześć, ale wszystkim wiadomo, że w tej prywatnej spiżarni jest jeszcze dużo różności: oliwy, wina, soczewicy, mąki, cukru i tak dalej. Trzy świnie tuczy resztkami ze swego stołu i ma dosyć wody i otrąb na to, żeby jej łaciata cielica dobrze obrastała w mięso. To zwyczajna niegodziwość rzucać bydłom to, co może utrzymać chrześcijan przy życiu. Alboż nie wie, że zabija nas powoli? Tydzień temu biała suczka pułkownika poszła do naszego kotła, a choć zakosztowała ludzkiego mięsa, zjedliśmy ją razem ze łbem, z bebeczami i ze wszystkim.

- Dzielne serca, prosiłem za was wielkorządczynię już wiele razy, ale ona nie chce słuchać!

- Więc powiedz jej, że zobowiązujemy się zapłacić za wszystko, co zechce nam sprzedać. Może odliczyć wartość od naszej zapłaty, kiedy nam się będzie należała. Nie będziemy kłócić się o cenę - im wyżej ją wyznaczy, tym bardziej radzi będziemy. Jeżeli przedstawimy naszą sprawę gubernatorowi, na pewno podrze nasze zobowiązania, a ją odda pod sąd za lichwę.

- Za dużo gadasz, człowieku! Mimo to pójdę do niej raz jeszcze.

- Powiedz jej - zawołał za nim ten sam chłopiec okrętowy - że przyjdzie dzień, kiedy będzie potrzebowała naszej pomocy, a my wtedy przypomnimy sobie, jak się z nami obchodziła.

Zapukał do drzwi kajuty generalskiej i został wpuszczony. Doña Izabela rada była, że on traktuje ją teraz zimno i z daleka. Obawiała się ostatnio, że mógłby okryć ją hańbą przed braćmi czyniąc aluzję do tego, co było pomiędzy nimi; gdyby to się stało, byłaby zmuszona zakuć go w żelaza jako wariata i płynąć dalej z tak marnym nawigatorem jak don Luis. Raczyła więc zmięknąć trochę i nawet uśmiechnąć się do niego lodowato, pytając:

- No, przyjacielu, czegoż to chcesz ode mnie?
- Jadła i wody dla załogi, jeśli łaska waszej ekscelencji:
- Już cztery razy odmówiłam tej samej prośbie; powiedz mi coś, czego jeszcze nie słyszałam.

- Bardzo dobrze. Do dziś daremnie odwoływałem się do twojego miłosierdzia, pani; teraz odwołuję się do twojej pasji zawierania korzystnych transakcji handlowych. Doña Izabela uniosła brwi i rozśmiała się.

- Ejże, to zapowiada się ciekawie. Co mi takiego oferujesz?

- Życie, w zamian za trochę prowiantów. Moich ludzi nie można zmusić do pracy nawet batami. Umrą wszyscy do Nowego Roku, jeśli ich nie nakarmisz, i okręt będzie zdany na łaskę fal.

- Ty łotrze! Twoim obowiązkiem jest służyć mnie, a nie zabiegać o względy tych szumowin.

Obserwowała go bacznie chcąc się upewnić, że nie knuje jakiejś zemsty, ale on odpowiedział wzgardliwie:

- Możesz liczyć na mnie, pani, że wytrwam na posterunku i zrobię wszystko, co mi rozkażesz, przynajmniej w granicach rozsądku.

- W takim razie zechciej powiesić na rei ze dwóch mąciwodów jako przykład dla reszty.

- I zostawić sobie jeszcze mniej ludzi? Powiedziałem: „w granicach rozsądku”, ekscelencjo. Moim zadaniem jest prowadzić okręt, dokąd rozkażesz, ale muszę mieć załogę.

Posłała po oficera rachunkowego, któremu poleciła przynieść dwa nieduże słoje oliwy i kazać je zabrać na dziobówkę pod strażą. Potem powiedziała do Pedra Fernandeza:

- Odtąd możesz jadać z majtkami, których tak bardzo kochasz; nie stać mnie na żywienie i załogi, i nawigatora.

Następnego dnia, podczas gdy kołacze piekły się w popiele palenisk kuchennych, junta zabawiła się w grę zwaną „gotujmy wszyscy razem”.

- Kto będzie kucharzem? - zaczął Juarez.

- Gotujmy wszyscy razem! - odpowiedzieli tamci chórem.

- Ale ja dysponuję - powiedział. - Wczoraj Jaume zbył nas cienką majorkańską zupką chlebową, choć byłem bardziej zgłodniały niż nasz Zbawiciel na szczycie góry. Dziś będzie zupa co się zowie, taka, jaką jedzą kanonicy katedralni w tłusty wtorek, żeby nabrać sił na Wielki Post. Wczoraj wieczór pamiętałem o namoczeniu grochu i solonej głowizny. Kolej na Matię iść na targ po zakupy; hej! weź no tę listę i Murzyna z wielkim koszem od winogron! Jaume, rozpal ogień i przynies mi dwa duże kamienne gary, a jeżeli przyniesiesz sagany miedziane albo żelazne, obetnę ci uszy, jak mi Bóg miły!

- Skoro mam być chłopcem na posyłki - rzekł Matia - a Jaume kuchnikiem, ty musisz zamienić się w piwniczego i postawić nam dobrego wina.

- Z całego serca - odparł. - Akurat dziś rano rozmawiałem z winiarzem. No, jazda, marudy!

- Masz tu swoje garnki, stary - powiedział Jaume po chwili - dobrze wypłukane i mocno osadzone na trójnogach. Opał kupiłem na placu wyładunkowym: dobre drewno okrętowe, które pali się na niebiesko. Rozdmucham ogień i będę go wachlował kapeluszem, o, w ten sposób! A otóż i Matia; jak ten Murzyn drży cały pod ciężarem swego kosza! Prędko, człowieku, odpakowuj, jesteśmy głodni jak wilcy! Jak ci się poszczęściło?

- Dobrze się spisałem, chłopcy - odrzekł Matia. Pochwalcie mnie! Nie znalazłszy na rynku kapłona, wybrałem kruchego młodego indyka ważącego dwadzieścia pięć funtów, a potem musiałem podwoić wszystkie inne zakupy, żeby zachować proporcje. Ale to nic; możemy

teraz zaprosić don Andresa, żeby przyłączył się do naszej uczty, jeśli zechce jeść z pospolitymi żołnierzami.

- Zaszczyt to dla mnie, panowie - powiedziałem. Ale nie dajcie mi stać beczynnie. Gotujmy wszyscy razem!

- Wobec tego możesz postarać się o deser - powiedział mi Juarez. - Trochę sycylijskiego marcypanu z wiśniami w cukrze. Tymczasem stań nad garnkiem z mięsiwem i szumuj go tą oto kopyścią. Hej, chłopcy, indyk jeszcze nie wypatroszony?... Dalej, żywo, a teraz nadziejcie go kasztanami, bułką i jego własną wątróbką! Tak, tak, właśnie! Ja biorę się do fasoli i główizny. Wsadź to wszystko do garnka z lewej strony!

- Oto idzie indyk dotrzymać im kompanii - powiedział Matia. - Tłusty jest niczym córka króla Francji.

I cztery piękne befsztyki.

- I plaster boczku - dodał Jaume - wraz z główką czosnku i dwoma ziarnkami chilijskiego pieprzu. Don Andresie, daj kopyść! Niech się to pogotuje ostro przez tyle czasu, ile trzeba na odmówienie *Credo, Pater noster* i *Salve Regina*; potem trzeba to dusić na wolnym ogniu, dobrze mieszając, przez jakieś pięć godzin. Ale, Boże mój, byłbym zapomniał o kiełbasie! Chodźcie no, chłopcy, zagramy w dwadzieścia jeden, póki czekamy! Kto wygra, dysponuje jutrzejszy bankiet.

- Jak ten czas leci! - rzekłem wskazując ku górze. - Już minęło południe.

- Tak późno, zuchy? - zawołał Juarez. - Prędko, jarzyny! Oto rzepa, marchewka, kapusta, selery i czerwone amaranty. Skrobać, skrobać, krajać, krajać! Jaume, rzuć je na ten durszlak i opłucz w strumieniu!

- Wedle rozkazu, panie podczaszy koronny! Ty tymczasem, Matia, książę cudzołóżników, posiekaj mi ten czosnek i pokraj w talarki cebulę, a popłacz się przy tym rześście za swoje grzechy. Nie zaszkodziłoby parę ziemniaczków i spory kawałek dyni.

- Już i nasz garnek z prawej strony bulgoce - powiedział Matia. - Nie, jest za pełny! Jaume, odlej połowę wody, chłopie!

A teraz wrzucaj jarzyny według starszeństwa rang: najpierw hrabia Czosnek i hrabina Cebula, potem dobrzy rycerze Marchewka i Rzepka, potem pani Kapusta i cała reszta... pokojowiec Sałata może poczekać na sam koniec.

- Jeżeli pozwolicie - zaproponowałem grzecznie dodam dwa cierpkie jabłuszka, pokrajane w cienkie plasterki i odrobinę szafranu. A co powiesz, Juarezie, na gałązkę rozmarynu?

- Nie, nigdy w życiu, zachowaj swój rozmaryn na pogrzeb diabła! Za to wdzięczny ci będę, jeżeli nie zapomnisz o przyjaciółce mężarogacza, jejmości Pietruszce. Czekaj, wpierw ją rozetrzyj w moździerzu.

W obu garach mieszano gorliwie i kosztowano kopyścią ich wrzącą zawartość. Podczas gdy Juarez troszczył się o wino - najlepszego gatunku malagę - reszta nas wzięła ogromny, srebrny półmisek w kształcie łodzi, dobrze podgrzany; osaczywszy jarzyny do sucha, rozłożyliśmy je po całym jęgo dnie. Następnie pośrodku łodzi położyliśmy indyka, główkę na zwoju kiełbasy na dziobie, a befsztyki i boczek na rufie. Boże, jakże ta junta jadła i piła, rozdętymi nozdrzami wciągając smakowitą parę! Spleśniałe, gorzkie, śmierdzące kołaczce, podane na napierśniku, uległy przeistoczeniu; tak samo obrzydliwa woda w metalowych kubkach u ich boku.

Kiedy skończyli, powiedziałem:

- Ach, panowie, omal nie zapomniałem o deserze - i wstałem, aby przynieść go z kajuty. Ku ich zdumieniu wróciłem z sycylijskim marcycyanem; jak mi kazano, ukroiłem każdemu spory kawałek i szybko odszedłem, aby uniknąć pytań i podziękowań.

Prezenterem tym był placek *Mao* z Santa Cristina, który dotychczas trzymałem zamknięty bezpiecznie w żeglarskim kufrze Miguela Llano. Za sznurek mosiężnych guzów kupiłem sobie pół cetnara tego pożywnego wypieku. Jedną trzecią część zapasu odłożyłem teraz na rozdanie, drugą zatrzymałem dla siebie. Resztę podarowałem Pedrowi Fernandezowi, który wzdragał się ją przyjąć, aż powiedziałem mu surowo:

- Jest to dar dla głównego nawigatora, od którego zdrowia zależy życie nas wszystkich, a nie dla niejakiego Pedra Fernandeza, gnuśnego, gadatliwego Portugalczyka.

Żołnierze i osadnicy narzekali nie mniej od załogi, choć nie mieli wiele do roboty poza utrzymywaniem się przy życiu. Kiedy Jaume wynosił im poranną rację wody, sierżant Andrada nadzorował jej rozdział z obnażoną szpadą; podobnie główny nawigator pilnował, gdy majtkowie pobierali swój przydział.

Nazajutrz po wydaniu oliwy przez wielkorządczynię, Myn zszedł na dół z pustym dzbanem na ramieniu i zastał sierżanta Andradę i głównego nawigatora czekających, aż Jaume odemknie z klucza drzwi, za którymi mieścił się zapas wody. Sierżant burczał, że chętnie zamieniłby obecne życie na karę dożywocia w jakimś chrześcijańskim więzieniu, gdzie przynajmniej mógłby umrzeć ugasiwszy pragnienie, z pełnym żołądkiem i rozgrzeszony przez księdza; albo nawet na ławę na tureckiej galerze, gdzie miałby choć nadzieję na ocalenie czy okup. Przerwał swoje lamentsy, aby zapytać Myna, po co przyniósł tak duży dzban.

- O - powiedział tamten - Myn przychodzi tu często po wodę do prania bielizny naszej pani; staremu Jaumemu to się nie podoba, ale słuchać musi, bo inaczej Myn użyje swego topora jak wtedy, kiedy odrąbał głowę chorążemu.

- Więc ona pierze swoje brudne koszule w naszej krwawicy! - zawołał Andrada. - Możliwe to rzeczy?

Ledwo pokazał się Jaume, główny nawigator wyrwał mu klucz i poszedł prosto do kajuty generalskiej, gdzie oficerowie czekali, aż podadzą im śniadanie.

- Proszę mi wybaczyć, jeżeli przeszkadzam - powiedział do doni Izabeli - ale dobrze by było, pani, abyś natarła uszu swoim służebnym. Posłały Murzyna pod pokład po wodę do twego prania. Ponieważ

groził szafarzowi toporem, zabrałem klucz, aby zapobiec rozlewowi krwi.

- Myn spełnia mój rozkaz, nie służebnych. Czy myślisz, że zamierzam psuć dobrą odzież mocząc ją w stoney wodzie albo nosić brudną bieliznę? Dzban musi być napełniony natychmiast i niech nie słyszę nic więcej na ten temat.

Powściągnął wzbierającą wściekłość.

- Sądziłbym, że wasza ekscelencja powinna znacznie oszczędniej obchodzić się z wodą.

- Czy nie wolno mi robić, co mi się podoba, z moją własnością? - wrzasnęła na niego.

- Przypomnij sobie, pani, jak Zbawiciel nasz pobłogosławił kubek wody podany w Jego imię...

Don Diego napełnił kubek z dzbanka stojącego na stole i chlusnął mu nim w twarz.

- Niech Jego błogosławieństwo spadnie na moją głowę - zadrwił.

Ocierając sobie krople z oczu i pozostawiając Bogu zemstę za bluźnierstwo Pedro Fernandez ciągnął:

- Już niektórzy spośród żołnierzy narzekają, że pierzesz swoją odzież w ich krwawicy.

- A ty ich w tym popierasz? - spytała, kurczowo łapiąc się za krawędź stołu i zwężając oczy.

- Nie, zaiste! Wciąż jeszcze oczekuję od waszej ekscelencji, że okaże słuszny gniew.

- No, to lepiej im powiedz, że się omyliłeś. Masz jeszcze coś do powiedzenia?

- Mógłbym powiedzieć wiele, gdybym nie był ostatnim człowiekiem na ziemi, który chciałby osądzać waszą ekscelencję. Ale pozwól się ostrzec, że znane są wypadki, gdy głodujący ludzie sami brali, co chcieli.

- Dziękuję ci przynajmniej za ostrzeżenie. Daj mi ten klucz! A ty, Myn, idź do oficera rachunkowego i poproś go o klucz od składu żywności. Na przyszłość będę nosiła oba na moim pasku.

- Ludzie ciągle czekają na wodę.
- Mieliby ją do tej pory, gdybyś nie był tu przyszedł ze swoimi bezczelnymi bredniami. Niech poczekają, aż zjem śniadanie.

Wiadomość o tej rozmowie wkrótce rozeszła się po całym okręcie. Sierżant Andrada odszukał Pedra Fernandeza i spytał go:

- Co my zrobimy z tą Jezabel? Moi ludzie wszyscy są za tym, aby obezwładnić straż, włamać się na rufę i zabrać jej zapasy żywności. Długo ich już nie zdołam utrzymać na wodzy.

Odkąd dojedli mi moją świnię - zdaje mi się, jakby to było już całe tygodnie temu - troje dzieci umarło z głodu, a wszystkim trupom, które rzucamy rekinom, brakuje wątroby i nerek...

Choćby Murzyn pułkownika, na przykład; ten ci potrafi dbać o siebie.

Kiedy Pedro Fernandez po obiedzie poszedł znowu do kajuty generalskiej, zastał wielkorządczynię samą. Podeszedł do niej bez ceremonii.

- Wiem, moja miła - powiedział z gorzką ironią - że zamierzasz sprowokować mnie do buntu. Wstydzisz się tego, co robiliśmy razem, i moja obecność jest dla ciebie nienawistnym przypomnieniem, że dobrałaś sobie nieodpowiedniego miłośnika. Wiem także, że skłamałaś mi o tym liście od szwagra i że nosisz w sobie dziecko spłodzone przeze mnie... oby Bóg darował nam obojgu!

Wstała z fotela i otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć, ale on zepchnął ją z powrotem za ramiona i rzekł:

- Wysłuchaj mnie do końca! Twoja siostra na łożu śmierci powierzyła komuś na tym okręcie zapieczętowany list, ale czy żołnierzowi, czy marynarzowi, tego nie wiem. Wiadomo mi, że zawiera on szczegółowy opis dwóch morderstw, które inspirowałaś, i innych zbrodni nie mniej haniebnych. List ten zostanie mi wręczony w twojej obecności w tydzień po naszym przyjeździe do Manili, ale jeśli nie będę już żył, oddany będzie gubernatorowi z żądaniem, aby twoi bracia dowiedzieli się o jego treści.

Wpatrywała się w niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a on mówił dalej:

- Doña Mariana obmyśliła to sobie, aby zapewnić nam bezpieczne dotarcie na Filipiny. Wiedziała, że inaczej sztylet twojego brata, Diega, przez ciebie naostrzony, prędko utkwii mi między łopatkami, a wtedy okręt trzeba uznać za stracony. Kiedy otrzymam ten list, nie zrobię z niego użytku, tylko oddam ci go nieczytany.

- Chytrze to obmyśliła Mariana - odparła cicho. No cóż, przyznaję, że nie zawsze traktowałam ją jak siostrę, i to jest jej zemsta. Teraz będę musiała przeszukać cały okręt, żeby znaleźć ten list, a kiedy go znajdę, każę powiesić cię i poćwiartować za spisek.

- Jak zechcesz, kobieto, chociaż gdybym był na twoim miejscu, ani nie mówiłbym twoim braciom o jego istnieniu, ani nie drażniłbym ludzi wieszając ich jedynego nawigatora. Myślisz, że forkasztel nie ma broni, ale się mylisz: kiedy kazałaś przenieść hakownice na rufę, dwadzieścia pięć zatrzymano i po dziesięć ładunków na sztukę... dużo więcej, niż trzeba na ciebie i twoich popleczników.

- Wymyśliłeś to sobie przebiegle! Szkoda, żeś się urodził w rynsztoku. Jako szlachcic zaszedłbyś wysoko w wojsku. Dobrze, przyznaję, żeś mnie tym razem pokonał, i dowiodę ci, że umiem przegrać uczciwie; zobaczę nawet, co mi się uda znaleźć z żywności dla utrzymania twojej załogi na nogach. Ale niedługo wszystkie kozery znajdą się w moim ręku, a wtedy pożałujesz dzisiejszej sprawy. Ciekawa jestem, czy twoja żona jeszcze żyje; ufam, że nie. Miałabym wówczas na sumieniu cudzołóstwo, grzech, którego zawsze starannie unikałam.

- Masz pecha - warknął dławiąc się z wściekłości, że nie jestem szlachcicem, bo wtedy rycerskość powstrzymałaby mnie od tego, co teraz zrobię!

Chwycił ją i potrzęsął nią zajadle, aż jej zęby zadzwoniły, a potem stał i patrzył na nią nienawistnym wzrokiem.

- Zasłużyłam sobie na to - odezwała się zawstydzonym, pojednawczym tonem. - Okrutna byłam dla ciebie, Pedro Fernandezie, ale diabeł mieszka w moim łonie. Serdecznie bym pragnęła, abyś wypędził go ze mnie bykowcem.

- Chętnie temu wierzę - odrzekł puszczając ją wolno - musisz się jednak nauczyć poprzestawać na biczu, którym cię chłoszcze po cichu twoje własne sumienie.

Dzień Nowego Roku zastał nas na czternastym stopniu szerokości północnej, więc prawie tym samym, na którym leży Manila, że zaś wiatr wiał ze wschodu, posuwaliśmy się na zachód dość szybko, a maszty i reje trzymały się dzielnie. Pedro Fernandez zwierzył mi się, że ma nadzieję dostrzec niebawem dużą wyspę Guam, położoną mniej więcej o sto mil na zachód od Filipin i oddzieloną od drugiej wyspy, zwanej Serpana, kanałem o długości dziesięciu mil. Trzeciego stycznia ku jego wielkiej uldze rzeczywiście natrafiliśmy na te wyspy i przeżeglłowaliśmy pomiędzy nimi, bliżej Guamu, płynąc śladami Magellana, który odkrył ten kanał siedemdziesiąt pięć lat wcześniej. Łąd był niski i obficie porośły lasem.

Na nasze powitanie wypłynęło z małej zatoczki mnóstwo czóten. Rozstrojony gorączkowym oczekiwaniem jedzenia, pewien majtek, który właśnie refował fok, stracił równowagę i wpadł do morza, a jego towarzysze nie mogli znaleźć żadnej liny dość długiej, aby rzucić mu ją na ratunek. Ale Myn wiedział o jednej: wisiła rozciągnięta w poprzek rufy, a na niej suszyło się pranie Barretów. Miał na tyle rozumu, żeby przerzucić jeden koniec tej liny przez burtę w tej samej chwili, gdy nieszczęsny majtek wynurzył się łowiąc oddech na powierzchnię tuż za nami. Złapał się za linę i chwała Bogu wyciągnięto go bezpiecznie na pokład. A ponieważ to Myn, a nie żaden z załogi skapał koszule doni Izabeli i don Diega w morskiej wodzie, dostał od nich tylko niegroźną reprimendę.

Czołna podpłynęły bliżej. Zakończone były z obu stron jednakowo, tak że osady mogły płynąć naprzód lub cofać się bez konieczności zwracania ich bokiem do nieprzyjaciela. Magellan nazwał był tę grupę Las Islas de las Latinas (Wyspami Łacińskich Żagli), ale jego załoga - Las Islas de los Ladrones (Wyspami Złodziei) i ta nazwa przyłgnęła. Ladronowie byli krzepko wyglądającą rasą, o stosunkowo jasnej skórze i kształtnych rysach, choć o prostych czarnych włosach i wąskich, cofniętych czołach. Dobrze wiedząc, czego mogą się spodziewać po galeonie, tak skwapliwie pchali się po dary, że parę czołen zderzyło się ze sobą; znajdujący się w nich ludzie powpadali do wody, ale z łatwością doprowadzili swoje łódki do porządku i wesoło wgramolili się na nie z powrotem.. Stanęliśmy, ale nie zarzuciliśmy kotwicy.

Przywieźli z sobą orzechy kokosowe, banany, wodę, kosze ryżu i trochę bardzo dużych ryb, wołając *charume*, co znaczy „przyjaciele”, i *herrequepe*, co znaczy „dajcie nam żelaza!” Nigdy w życiu nie widziałem sprzedawców tak chętnych do sprzedaży ani nabywców równie skorych do kupna: wyspiarze ci szaleli po prostu za żelazem, które cenią więcej od złota, a nasi biedacy byli tak udręczeni pragnieniem, że byliby się zaprzędali na dziesięć lat do niewoli za parę kubków wody. Ale sierżant Andrada i bosman-mat, naradziwszy się ze sobą, zabronili komukolwiek obniżać wartość żelaza przyjmując w zamian zbyt mało i urządzili się tak, aby sprzedaż i kupno odbywały się hurtem. Targowali się z wodzem Ladronów, który wszedł na pokład z eskortą. Ugodzono się, że dwa cetnary prowiantów liczyć się będzie za funt żelaza, czy będą to młotki, łańcuchy, ostrza łopat, klucze, rygle, zawiasy czy też kawałki połamanej zbroi; lecz doña Izabela przysłała oficera rachunkowego do pilnowania, aby sprzedawano tylko prywatną własność ludzi; zdjął więc ze stosu przedmiotów na pokładzie przeszło piętnaście funtów wagi - lufę hakownicy, która kiedyś wybuchła, obręcze z dawno popalonych beczek na wodę oraz części sprzętu okrętowego.

Wódz przyjął to bardzo źle, nazywając don Gaspara ladronem i grożąc użyciem siły. Sprawa skończyłaby się niedobrze, gdyby Matia nie przyniósł swojej paczki igieł, nożyczek i brzytwy i nie rzucił połowy na wspólną kupę. Towary te oceniono jako warte trzykroć tyle, co zaważą, tak iż nasi umęczeni ludzie otrzymali nową szansę na przeżycie dzięki obfitości zakupionych prowiantów.

My z rufy zawieraliśmy transakcje na własną rękę i rozkoszowaliśmy się smakiem świeżych owoców i czystej wody; mając jednak przed sobą jeszcze wielki szmat morza dzielący nas od Filipin i trudne przemykanie się między wyspami przed dotarciem do Manili, bylibyśmy kupili więcej żywności za wszelką cenę, zwłaszcza ryżu i oleju kokosowego, gdyby pewien incydent nie przerwał nam handlu. Wielkorządczyni przechylwszy się przez reling wykrzyknęła z wściekłością:

- Patrz, Diego! Patrz! Widzisz, co tamten chudy dzikus trzyma w garści? Kawałek obręczy od beczki! Każ mu oddać to zaraz, Diego! To moja własność, warta z tuzin dobrych kokosów.

Don Diego wyrwał jakiemuś żołnierzowi arkabuz, oparł go o reling, mierzył długo i wypalił. Kula trafiła nie podejrzewającego niczego krajowca w szyję i zabiła go, jak również człowieka, który znajdował się za nim. W mgnieniu oka czółna pierzchły i nie widzieliśmy więcej ani ich, ani im podobnych.

Kapitan Lopez poprosił wtedy o pozwolenie wyprawienia się barkasem na poszukiwanie wody, świń i orzechów kokosowych. Doña Izabela wyraziła zgodę, lecz główny nawigator oświadczył, że choć bardzo by chciał postąpić zgodnie z życzeniem wielkorządczyni, nie ma kłobów potrzebnych do spuszczenia łodzi.

- Dźwignijmy ją przez burtę siłą rąk - rzekł kapitan, a na pytanie, jak zamierza wciągnąć ją z powrotem na pokład, odpowiedział: - To niepotrzebne, możemy ją holować za sobą.

Główny nawigator potrząsnął głową.

- Nie po falach, które napotkamy zbliżając się do Filipin. Nabraliby wody i zatonała. Gdy raz znajdziemy się wśród wysp, nie możemy się obejść bez łodzi.

Kiedy kapitan Lopez z gniewem bronił swojej racji, zatkał sobie uszy, a że wielkorządczyni nie miała ochoty tracić łodzi wartej pięćdziesiąt pesos albo i więcej, więc barkas pozostał na pokładzie.

Szliśmy teraz pełnym wiatrem. Główny nawigator nigdy dotąd nie żeglował po tych wodach, ale przypomniawszy sobie, że najdalej na wschód wysuniętym cyplem Filipin jest przylądek Santo Espiritu, leżący na dwunastym stopniu szerokości północnej lub coś koło tego, wyznaczył kurs w tamtym kierunku.

Żeby nie przedłużać opisu naszych cierpień powiem tylko, że o świcie w niedzielę dnia czternastego stycznia ujrzeliśmy z bardzo daleka szczyt górski i Pedro Fernandez oznajmił, że tam oto leżą owe Filipiny, których szukamy.

- Chwała niech będzie Najświętszej Pani - szepnął jeden z żołnierzy, którego głowa wyschła na trupa czaszkę, a nogi były cienkie niby kule. - Wkrótce wysłucham mszy i zobaczę Boga.

ROZDZIAŁ XXIV

ZATOKA COBOS

Przestaliśmy już płynąć po nieznanym wodach i kilku ludzi na okręcie uważało, że wiedzą lepiej od głównego nawigatora, jaki kurs należy obrać. Najbardziej natarczym z nich był major Moran, który niegdyś służąc jako paź u małżonki gubernatora towarzyszył jej na przejażdżce wśród tych wysp reprezentacyjną barką. Tego popołudnia, kiedy byliśmy o milę od brzegu, nie oglądając go z powodu ulewnego deszczu, zauważyliśmy niewielki przesmyk biegnący na północ i na południe.

- O, co za szczęśliwy traf! - wykrzyknął major. - To jest cieśnina San Bernardino, dzieląca wyspy Samar i Luzon. Znam ją tak dobrze jak rękaw mego kubraka; trzymajmy się tylko krętej linii wybrzeży Luzon, a wpłyniemy wprost do Zatoki Manilskiej. Nic łatwiejszego; przez całą drogę jest głęboka woda, aż się dotrze do rafy Tuley, na południe od wysepki Fortun.

Słońce kryło się za chmurami od piątku, kiedy to główny nawigator po raz ostatni użył swego kwadranta i obliczył, że jesteśmy na trzynastym stopniu szerokości, a ponieważ był wiatr północno-wschodni, od zachodu zaś szła potężna fala denna, nie mógł być pewien, czy trzymamy się wciąż na kursie. Jego zamiarem było przeżeglować przez cieśninę San Bernardino, położoną na dwunastu i pół stopniach, mając wiatr z rufy. Z początku słuchał pilnie majora, lecz gdy zbliżyliśmy się do wejścia do cieśniny, zobaczył, że mierzy ona znacznie mniej niż

milę szerokości, gdy tymczasem Juan de la Isla, który dobrze znał to wybrzeże, opowiadał mu kiedyś, iż cieśnina szeroka na blisko dziesięć mil, z wyspą osadzoną pośrodku. Wobec tego, że wybrzeże wciąż przesłaniała mgła, postanowił nie ufać zbyt wspomnieniom majora z lat dziecińczych. Gdyby „San Geronimo” wszedł do cieśniny i utknął, nie byłoby sposobu wydostać go stamtąd, a poza tym niedługo miała zapasć noc. Ustawił więc okręt odpowiednio na wietrze, mając nadzieję ustalić nasze położenie według jakiejś gwiazdy lub według słońca następnego dnia i w ten sposób uzyskać jakieś pojęcie, gdzie się znajdujemy.

Oficerowie, wściekli, żeśmy cofnęli się przed wejściem do cieśniny, udali się w czambuł do doni Izabeli, która wezwała Pedra Fernandesa do kajuty generalskiej i zażądała odeń wyjaśnienia. Nie tracąc bynajmniej kontenansu, wypytał majora w ich obecności i przyłapał go na takich niedorzecznych sprzecznościach, że aż kapitan Lopez i chorąży Torres wybuchnęli głośnym śmiechem. Ale don Diego wciąż utrzymywał, że główny nawigator, który nie chce korzystać z czyjejś znajomości terenu, zasługuje na podciąganie na linie.

- Bóg zechciał kierować nami do tej pory - odparł Pedro Fernandez z ferworem - i nie wątpię, że doprowadzi nas też do Manili, jeśli nie wystawimy Jego cierpliwości na próbę niepotrzebną lekkomyślnością. Kapitanie Barrete, gdybyś ponosił najmniejszą odpowiedzialność za bezpieczeństwo tego okrętu, śpiewałbyś całkiem inaczej.

Doña Izabela nakazała mu milczenie.

- Zgadząmy się wszyscy, że to jest cieśnina San Bernardino - powiedziała - i musisz albo podporządkować się powszechnej opinii, albo narazić się na mój gniew.

- Podciągajcie mnie na linie, powieście mnie albo wyrzucicie za burtę - odrzekł z uporem - wszystko mi jedno. Odmawiam jednak wprowadzenia okrętu w tę pułapkę. Niech się major zabawi w nawigatora, jeżeli chcesz, i rozbije nas wszystkich o najbliższą rafę. Ty, pani,

i twoi bracia wsiądziecie wtedy do barkasu wraz ze wszystkimi zdrowymi mężczyznami, pozostawiając kobiety, dzieci i chorych na mojej opiece; mnie zaś wypadnie sprawić chyba jakiś cud, żeby ich uratować.

- Kiedy dotrzemy do Manili, odpowiesz za te słowa, ty dorszu śmierdzący! - zagroził mu don Diego.

- Nikt z nas tam nie dotrze - odpowiedział - jeżeli kapitanowi tego okrętu nie będzie wolno decydować po swojemu!

I wielkimi krokami wyszedł z kajuty.

Nie wtrącano się więcej do jego żeglarskich spraw. Gdy „San Geronimo” oddalił się już na bezpieczną odległość, żagle spuszczone i spędziliśmy niespokojną noc miotani na fali, bici nagłymi porywami wichru, nie widząc księżyca ani gwiazd. Nastął świt, wiatr zelżał, łądu wciąż widać nie było z powodu mgły. Wszyscy narzekali, że główny nawigator powinien był przepłynąć kanał, póki była po temu szansa; teraz nigdy go się już nie odnajdzie. Niebawem jednak na północnym wschodzie zamajaczył jakiś przylądek i Pedro Fernandez kazał przy-mocować balon do foka. Zamierzał opłynąć przylądek i dalej żeglować wzdłuż brzegu z opuszczoną sondą, aż do znalezienia czystego dna, a wtedy zarzucić kotwicę i czekać na rozproszenie się mgły.

Gdy tylko wciągnięto fok, rozległ się trzask i szum: dodatkowy ciężar balona rozłupał pacholki na dwoje i żagiel zwałił się jak namiot na żywe szkielety, które nim manewrowały. Wygramoliwszy się spod niego, zaklinali się, że jeżeli o nich chodzi, może sobie leżeć i gnić do końca świata tam, gdzie upadł. Ale bosman ostrzegł ich, że wiatr znie-sie nas na rafy, jeśli się nie pośpieszą; z jękiem więc rozprostowali go na nowo, umocowując go do rei zatyczkami, te jednak także puściły i żagiel runął raz jeszcze. Trzeba było powrozu Damiana i najbardziej bluźnierczych przekleństw, aby postawili go po raz trzeci.

Kiedy spojrzałem w górę, serce we mnie zamarło. Okręt, utrzymywany na ostrym wietrze przez całą noc, przeszedł ciężką próbę i zobaczyłem, że prawie cały takielunek popękał, a zwłaszcza olinowanie

fokmasztu, i tylko po jednej wancie z każdej strony zostało, aby go podtrzymać.

- Nie patrz na ten maszt, don Andresie - powiedział stojący u mego boku Jaime - na miłość boską, nie patrz, nie kiwnij mu głową ani na niego nie dmuchnij... bo się wywróci i runie do morza!

Ale był to tęgi maszt i nie puścił. Tymczasem i na rufie, i na dziobie trwał gniewny i podniecony rozgwar. Niektórzy uważali, że mamy przed sobą rafy wyspy Catanduanes, na północ od San Bernardino, gdzie poszedł na dno niejeden dobry statek; powiadali, że wypiarze ustawiają się szeregiem wzdłuż skał, aby strzelać do ludzi starających się dotrzeć wpław do brzegu, i wbijają w nich tyle strzał, ile jeżowierz ma kolców. Inni twierdzili, że wpadliśmy pomiędzy te rafy a Luzon i nigdy już nie wydostaniemy się stamtąd. Ale major, aby podreperować swoją nadwerżoną reputację geografa, zaklinał się, żeśmy przegapili cieśninę, która pozostała za nami, i że okręt powinien natychmiast zawrócić za wszelką cenę.

Wszyscy się bali, że wkrótce będziemy zmuszeni ratować się wpław, i don Diego, wybiegłszy z dołu na pokład, zamachnął się na bezanmaszt siekierą, chcąc zapewnić sobie coś, czego będzie mógł się trzymać w wodzie.

- Precz stamtąd, wasza dostojność! - krzyknął Damian ze zgrozą.

Pedro Fernandez wyrwał mu z rąk siekierę i zaniósł ją do kajuty generalskiej jako dowód przeciwko don Diegowi; zawsze bowiem istniało morskie prawo, że kapitan okrętu musi zadać pierwsze trzy ciosy jakimkolwiek masztowi, który ma być rzucony w morze, i że każdy, kto poważy się go w tym ubiec, zostaje ukarany śmiercią przez powieszenie.

Wielkorządczyni ubrała się była pośpiesznie w żałobne szary i wyglądało na to, że jedna się z Bogiem, nim nadejdzie koniec; z oczyma zwróconymi w niebo i z książką do nabożeństwa w ręku wzdychała głęboko, pobożnie wzywając wszystkich świętych po kolei. Zanim Pedro Fernandez mógł rozpocząć oskarżenie, don Diego podszedł go

cicho od tyłu ze sztyletem w dłoni. Na szczęście kapitan Lopez zdołał go rozbroić i rzekł surowo:

- Jeżeli główny nawigator potrafi nas uratować, szaleństwem byłoby go zamordować. Jeżeli nie potrafi, szaleństwo byłoby tym większe; zważ, dostojny panie, że umarłbyś z rękami splamionymi krwią i gorzałbyś na wieki!

- Ten wariat chciał przed chwilą pozbawić nas masztu, ekscelencjo!
- krzyknął Pedro Fernandez.

Don Diego wrzeszczał, klął i groził straszliwą zemstą, ale kapitan Lopez powiedział mu:

- Szlachetny panie, nie ruszaj się z tej kabiny bez pozwolenia głównego nawigatora, inaczej, jak mi Bóg miły, ten sztylet znajdzie się w miejscu, gdzie będzie ci niedogodny!

Doña Izabela zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na to, co się koło niej działo. Pograżona była w psalmie *De profundis clamavi*, który powtarzała żarliwie nie załamującym się głosem.

Pedro Fernandez wrócił na pokład, gdzie wszyscy stłoczyli się wokół niego chcąc wiedzieć, gdzie jesteśmy - jak gdyby nazwa przylądka była na nim wypisana tajemnymi literami, które on jeden umiał czytać. Major Moran dopytywał się najgłośniejszym głosem, ale don Luis grzmotnął go kolanem w słabiznę mówiąc, że jakiś zły duch musiał go opętać na naszą zgubę.

Na koniec doña Izabela ukazała się na pokładzie szańcowym.

- No, cóż, nawigatorze - zapytała spokojnie - co masz do powiedzenia na swoją obronę?

- A czy jestem o coś oskarżony?

- Nie odgryzaj mi się! Gdzie jesteśmy?

- Wiesz doskonale, pani, że pierwszy raz żegluję po tych wodach, a ponieważ nie param się czarnoksięstwem, nie umiem powiedzieć, gdzie jesteśmy.

- A przecież zaciągnąłeś się jako biegły nawigator! Czemu się nie poradzisz swoich map i przyrządów?

- Nie mam żadnej mapy Indii Wschodnich, a sama widzisz, pani, że brzeg jest we mgle i niebo zbyt zaciągnięte, abym mógł wziąć wysokość słońca. Jednakże, jeżeli zechcesz powstrzymać swego brata od zasztyletowania mnie i rozbicia okrętu, Bóg może jeszcze nam zesłać ratunek.

Kazał dwóm majtkom wzmocnić fokmaszt parą sztagów, ale nie wolno im było pociąć w tym celu liny kotwicznej. Mieli użyć sztagu od bezanmasztu, gdyby nie znaleźli nic innego. Inny majtek miał stanąć przy kotwicy, gotów spuścić ją, gdy tylko sonda natrafi na dno. Wszyscy trzej odwrócili się do niego plecami, wymamrotali jakieś nieprzyzwoitości i wynieśli się chyłkiem.

Grzesznemu człowiekowi nie dane jest wiedzieć, kiedy Bóg ześle lub odmówi mu łaski; opłynęliśmy przylądek, zerwała się bryza, maszty wytrzymały i nagle okazało się, że zwróceni jesteśmy dziobem wprost w zaciszną zatokę, do której wpłynęliśmy rączo, choć po obu bokach leżały rafy!

Trzech krajowców wypłynęło czółnem na zwiady i nie porozumiewając się z nami ustawiło się na naszej nawietrznej stronie. Nasza załoga powitała ich słabymi okrzykami radości i hałas ten sprowadził majora do burty.

- Szlachetny panie - zawołał główny nawigator skoro tak dobrze znasz te wyspy, przemów do tych ludzi w ich języku i poproś ich o wskazanie nam, miejsca do zarzucenia kotwicy!

Major krzyknął coś, czółno podpłynęło do okrętu i dwaj ludzie z jego osady wdrapali się na pokład. Jeden z nich wykrzyknął z przyjacielskim uśmiechem:

- *Duilacapaylat? Juatrix, bulis?*¹

¹ Przekręcone słowa angielskie: *Do you lack a pilot? What cheer, bullies?* (Potrzebujecie pilota? Jak się mają zuchy?)

Drugi upomniał go i odezwał się do nas po kastylijsku, powoli dobierając słów:

- Jesteście Hiszpanami. Niech Bóg błogosławi króla Filipa! Władam dobrą manilską hiszpańszczyzną; on zna tylko trzy słowa po angielsku, których nauczył się dawno temu od kapitana don Tomasa Candisha. Przepilotował okręt don Tomasa pomiędzy tymi wyspami i otrzymał za to bogate dary. Ma nadzieję spotkać się jeszcze raz z don Tomaszem.

- Co to za łódź? - spytał kapitan Lopez.

- Tam oto jest przylądek Espiritu Santo, a to, na Boga, jest zatoka Cobos. Płyniecie do Manili, tak? Jesteście na właściwym kursie, panowie.

- Wskażcie nam miejsce do zarzucenia kotwicy - powiedział główny nawigator.

Tamten krzyknął do mężczyzny w czóźnie, który natychmiast powiosłował przodem jako nasz przewodnik. Zarzuciliśmy kotwicę w samym środku zatoki, na głębokości czternastu sążni. Cud ten wydarzył się o godzinie dziewiątej w poniedziałek, dnia piętnastego stycznia 1596 roku.

- Kto teraz rządzi w Manili? - zapytaliśmy z niepokojem naszego nowego przyjaciela.

- Don Luis Perez de las Marinas jest obecnym gubernatorem, na Boga. Don Gomez, jego ojciec, zginął niedawno, zamordowany w czasie wyprawy na Molukki.

Odpowiedź tę przyjęliśmy z serdeczną ulgą. W Peru słyszeliśmy bowiem pogłoski, że Taikosama, cesarz Japonii, który rości pretensje do zhołdowania Filipin, szykuje wielką flotę do ataku na miasto; lecz nasz przyjaciel nam teraz powiedział, że przywrócono przyjazne stosunki, a cesarz pozwolił nawet naszym franciszkanom głosić ewangelię na obszarach podległych jego władzy.

Następnie pilot mówiący po angielsku zapytał o kapitana Candisha i zmartwił się bardzo na wieść, że zmarł na wyspie Ascension rok czy dwa temu.

Mieszkańcy zatoki Cobos mają ciemny kolor skóry i długie czarne włosy; są niezbyt wysocy i obficie tatuowani. Bród nie widziałem ani śladu nawet u starszych mężczyzn. Wyznają Chrystusa - a przynajmniej widzieliśmy krzyż ustawiony na kopczyku niedaleko ich wioski; uznają też zwierzchność króla Kastylii, choć nie przyszło mi na myśl zapytać, czy płacą mu daninę albo korzystają w jakiś sposób z jego opieki. Ich naczelnik, z białą urzędową laską w ręce, wypłynął łodzią na czele dwudziestu innych czółen dobrze wyładowanych żywnością. Jak wszystkie ważne osobistości w tych okolicach, miał na sobie wielkie złote kolczyki, bransolety z kości słoniowej, na nogach obręcze z połączanego brązu (który nasi żołnierze z początku wzięli za złoto) oraz długą, sięgającą mu do łydek tunikę bez kołnierza, zrobioną ze sztywnej tkaniny miejscowego wyrobu zwanej *medriñaque*.

Zgiąwszy kolana przed Matką Boską na grotmaszcie i powitawszy nas uprzejmie, oświadczył, że jest człowiekiem cywilizowanym, który zna wartość pieniądza i nie zadowolony się zwykłymi obietnicami jako zapłatą za jego towary. W środkowej części okrętu powstał niebawem prawdziwy rynek, na którym on ustalał ceny: świnia kosztowała dwa albo trzy reale zależnie od wagi, kura od sześciu maravedi w górę. Każdy, kto miał nóż lub sztylet do sprzedania, mógł zacenić za niego peso, a szklane paciorki warte były srebrem dwa razy tyle, ile ważyły. Matia poratował żołnierzy porastała połową swojego mająteczku, co zyskało mu wielkiej, chwały, ja zaś mogłem zaopatrzyć nie tylko siebie, ale i załogę, sprzedając woreczek paciorków zakupiony na licytacji rzeczy Miguela Llano. Następnie zarówno żołnierze, jak marynarze przewrócili swoje skrzynki do góry dnem i wszyscy dorzucili do wspólnego funduszu, cokolwiek im pozostało cennego.

Oprócz świń, drobiu i ryb zakupiliśmy orzechy kokosowe, banany, trzcinę cukrową, papawy, ryż, bulwy tropikalne, wodę w laskach bambusu i chrust na ogień pod kuchnię, któremu nie dano wygasnąć przez

cały ten dzień i noc ani zresztą przez dwa następne dni, będące wigilią i dniem świętego Antoniego, który tak dobrze się, nami opiekował. W grę „gotujemy wszyscy razem” bawiono się teraz na serio i bez przesłanku. Mężczyźni i kobiety, którzy niedawno temu zadusiliby się nawzajem o skwaśniały kawałeczek mięszu kokosowego, teraz stali się na powrót uosobieniem dworności, mówiąc: „Proszę cię, skosztuj mojej potrawki, kumo!” lub „Towarzyszu, zrób mi ten zaszczyt i przyjmij trochę tej wybornej pieczeni!” Nikt nie dbał o spanie i gdyby doba miała trzydzieści godzin zamiast dwudziestu czterech, pewien jestem, że wszystkie poświęcono by na jedzenie.

Mając dobrze zwilżone gardła i pełne brzuchy nasi ludzie poczuli się nieopisanie szczęśliwi, a spora ilość palmowego wina, którą zakupili, rozwiązała im języki niczym Zesłanie Ducha Świętego. Wznosili zdrowie własne, naszych hojnych gospodarzy, Matki Boskiej Opiekunki Samotnych i świętego Antoniego, ale nade wszystko głównego nawigatora, którego wielu pragnęło uściskać klnąc się, że po sto razy uratował ich od śmierci. On, choć przyjmował te karesy, zachęcał ich z powagą, aby dziękowali Bogu, nie jemu, gdyż od piątku do poniedziałku sterował całkiem na ślepo.

Wygłodzony człowiek mądrze robi jedząc tylko po trochu na raz i zwiększając stopniowo obciążenie brzucha, póki ten nie przyzwyczał z powrotem do pracy; ale nasi ludzie za nic nie chcieli nauczyć się umiaru. Przestrzeżony, aby się powściągnął, jeden z nici westchnął: „Ach, cóż to byłby za wspaniały koniec umrzeć z nadmiaru wieprzowej pieczeni!” Nim pożeglowaliśmy dalej, dopisałem jeszcze trzy krzyżyki w swoim rejestrze. Ale te tłuste czasy potrwały tylko dzień lub dwa dłużej, gdyż nasze fundusze wyczerpały się do tej pory prawie całkowicie.

Główny nawigator miał nadzieję zaopatrzyć okręt w prowiant i nowy osprzęt w przeciągu dwóch tygodni, ale rankiem dwudziestego

drugiego stycznia wiatr skręcił i zaczął dąć z wielką siłą z północnego zachodu, a po każdym podmuchu następowały wielkie fale. Pedro Fernandez ostrzegł donię Izabelę, że nie można ufać naszej jedynej linie kotwicznej, iż powstrzyma nas od zdrzyfowania na skały lub bagna. Roztropność nakazywała, jego zdaniem, wyładować działa i amunicję stanowiącą własność jego królewskiej mości, i zostawić je na przechowaniu w wiosce pod opieką naczelnika; należałoby również przenieść na brzeg kobiety i dzieci oraz jej własne kosztowności.

- Chyba szkoda na to zachodu - odrzekła udając naiwność. - Nie zostaniemy tu przecież dłużej niż jakie parę dni, prawda?

- Nie mogę ręczyć za nasze bezpieczeństwo ani przez godzinę więcej... spójrz, pani, jaka ta lina jest napięta!

- Ach, idźże sobie ze swoimi ustawicznymi strachami! Lina jest dostatecznie mocna.

Poszedł do Sali Map, ale wkrótce powrócił.

- Ułożyłem krótkie oświadczenie i wdzięczny będę, jeśli wasza ekscelencja je podpisze - powiedział. Stwierdzam w nim, że w zatoce Cobos, dnia dwudziestego pierwszego stycznia, gdy wiatr wiał z północnego zachodu, poprosiłem cię o pozwolenie usunięcia własności koronnej z galeonu „San Geronimo”, któremu groziło pójście na dno, ty zaś odmówiłaś mojej prośbie. Muszę obrobić się zawczasu przed zarzutami, które mogą być skierowane przeciwko mnie w przyszłości. Oto pióro i atrament.

Spytała wtedy, nagle zatrwożona:

- Jesteśmy zatem zgubieni? Nie ma sposobu uratowania okrętu?

- Jeśli zdobędę się na wielkie ryzyko, może mi się uda doprowadzić go w bezpieczne miejsce za cyplem, o dwa strzały z muszkietu na zachód. Ale dlaczego nie posłuchasz mojej rady? Szkoda by było stracić twoją garderobę, biżuterię i srebra, nie mówiąc już o twoim życiu.

- Przedstaw swój wniosek na piśmie, a rozważę go.

Uczynił to czym prędzej, gdyż wichura przybierała na sile i lina była napięta jak struna. Wezwała oficerów na naradę i odczytała im dokument, jego jednak nie zaproszono do uczestnictwa. Wkrótce Myn przyszedł do niego z krótkim i nedorzecznym rozkazem: „Główny nawigator ma ruszyć w dalszą drogę przed zapadnięciem nocy.”

Wiatr dął prosto w głąb zatoki, z której doña Izabela rozkazywała mu wyprowadzić „San Geronimo”, tymczasem nie tylko nie wzięto na pokład wody i prowiantu, ale również nasz takielunek był nadal w tym samym opłakanym stanie jak w chwili naszego przybycia.

Jego krótką i węzłowatą odpowiedź: „To niemożliwe”, odparowała groźbą, że każe go powiesić, jeśli w przeciągu godziny nie wykona rozkazu.

Zwrócił się do kapitana Lopeza, jedyne pozostałego oficera, u którego mógł liczyć bodaj na ziarnko rozsądku.

- Dostojny panie - zapytał - po co i w czym interesie kazano mi rozbić okręt i potopić nas wszystkich?

Tamten potrząsnął głową posępnie.

- Tak wygląda, jakby oni wszyscy uwzięli się na własną zgubę. Ale dlaczego my mamy być w to wciągnięci? Posłuchaj, jeżeli wypowiesz posłuszeństwo doni Izabeli, podejmuję się obronić cię przed jej braćmi. Jesteś kapitanem tego okrętu, a jej mandat jako wielkorządczyni Wysp Salomona nie rozciąga się na Filipiny.

- Mimo to ona dowodzi tą wyprawą.

Kapitan Lopez zastanowił się chwilę.

- Przyjacielu Pedro - powiedział - pozostaw to mnie. Jesteś zanadto uczciwym człowiekiem, żeby dać sobie z nią radę.

Następnie poszedł do bosmana i bosman-mata i wyjaśnił im, jak rzeczy stoją. Na jego wniosek cała załoga podpisała memoriał tej treści, że odmawiają żeglugi na nie zaopatrzonym okręcie i że ponieważ obecnie głodują z braku pieniędzy lub towarów na zamianę, wielkorządczyni musi albo wydawać im racje, albo wypłacić im zaliczkę,

albo wreszcie pozwolić im udać się na brzeg po prowianty.

Dokument ten zanieśli do Pedra Fernandez z prośbą, aby przedłożył go doni Izabeli, co też uczynił.

- Jakże ja mogę dawać im wyżywienie? - wrzasnęła. - Mam ledwie dosyć dla własnej rodziny. Nie mogę też znaleźć im pieniędzy, póki nie zastawię moich klejnotów w Manili; a gdybym ich wysłała na ląd po prowianty, ani jeden by nie wrócił.

- Doskonale - powiedział. - Ufam, że ty i twoi bracia umiecie dobrze pływać.

- Milcz, ośle! Podnoś natychmiast kotwicę albo będziesz wisiał!

- Wedle rozkazu waszej ekscelencji.

Poszedłem do swojej kajuty przygotować się na śmierć, gdy nagle usłyszałem pieśń kabestanową i rozkazy wykrzykiwane ochrypłym głosem, a zaraz potem wielki krzyk trwogi. Klęcząc rozmodlony, wyszedłem jak gdyby z siebie i w zachwyceniu doznałem dziwnej wizji mojej słodkiej opiekunki, Matki Boskiej Sewilskiej. Z gwiazdami we włosach i błyszczącą lilią w ręce weszła na posypaną piaskiem rozległą arenę, na której się znajdowałem. Wokoło mnie piętrzyły się stopnie widowni zatłoczonej upiorną kompanią widzów: trupami ludzi dawno utopionych! Zagrała trąbka, otwały się stajenne wrota i wybiegł z nich biały byk, którego ryki przypominały huk fal rozbijających się o rafę. Stał przez chwilę grzebiąc nogą o ziemię, po czym ruszył wprost na mnie i w jednej chwili byłby mnie nadział na straszliwe rogi i wyrzucił w powietrze; lecz Opiekunka moja wkroczyła pomiędzy niego a mnie i odpendziła go lekkim muśnięciem swego błękitnego płaszcza.

- *Ole, ole!* - zawołali widzowie zrywając się z ław i podskakując w groteskowym tańcu, podczas gdy byk pokłusował dalej w poszukiwaniu innych ofiar.

- Niebezpieczeństwo minęło, moje dziecko! - rzekła z miłym uśmiechem. I mówiąc te słowa zniknęła.

Gdy wstałem z kłęczek zmieszany, przekonałem się, że była to prawda. Główny nawigator z wielką odwagą i zręcznością obrócił okręt, choć prawie nie miał miejsca do manewru; a mianowicie, wykonał zwrot przez rzucenie podwieszanej kotwicy w momencie, kiedy okręt znajdował się w linii wiatru, i przeniósł linę kotwiczną przez rufę na drugą burtę w chwili, gdy okręt złapał wiatr z przeciwnej strony; potem uciął linę kotwiczną i okręt swobodnie oddalił się od brzegu. Od razu stało się jasne nawet dla wielkorządczyni, że nie możemy wypłynąć na otwarte morze przy takiej wichurze. Kazała mu zarzucić na nowo kotwicę, lecz ponieważ kotwicy już nie miał, nie mógł usłuchać rozkazu; posterował więc ku schronieniu, które przedtem upatrzył. Kiedy manewrowaliśmy na ostrych wiatrach tuż koło cypla, fok pękł na dwoje i wszystko zdawało się stracone. Ale okręt płynął dalej, aż dziób znalazł się tuż przy skale, wówczas mężny Damian wyskoczył na burtę z liną i popłynął przez rozszalałe wody do brzegu, gdzie tuzin lub więcej krajowców przybiegło mu na pomoc. Główny nawigator przywiązał cumę do liny, którą wyciągnięto na brzeg, po czym przeholowano nas na drugą stronę cypla, gdzie przymocowano cumę do palmy. „San Geronimo” został bezpiecznie przycumowany dziobem do wiatru.

Ledwie wykonano ów niebezpieczny manewr, a już załoga ponowiła swoje żądania. Ustawivszy się pod pokładem szańcowym majtkowie krzyczeli chórem:

- Albo nas nakarm, albo nam płąć!

Wielkorządczyni wpadła w histeryczną pasję.

- Udaj się zaraz na brzeg, majorze, weź konia, jedź do Manili i sprowadź mi tu urzędnika sądowego z całą fregatą wojska do stłumienia tego buntu!

Major byłby z największą chęcią podjął się tej śmiesznej misji choćby tylko po to, by wydostać się spod jej władzy, ale don Diego zaofiarował się oszczędzić mu fatygi nadziewając na szpadę ze dwóch marynarzy, co szybko zmusi resztę do milczenia.

Doña Izabela cofnęła wtedy swój rozkaz i odmieniwszy nastrój układnie powiadomiła Pedra Fernandeza, że możemy wobec tego wykorzystać nasz przymusowy postój w Cobos: jeśli on zajmie się naprawą takielunku, ona zgadza się pokryć koszty zaprowiantowania. Przystał na to z radością i namówił krajowców, aby skęcili mu zapasową linę kotwiczną z włókien kokosowych, jak również kilka mniejszych lin do zabezpieczenia fokmasztu i grotmasztu; nie mając jednak pieniędzy na zapłacenie im i wiedząc, że doña Izabela nie wyłoży na to ani jednego maravedi, pożyczył potrzebne sześćdziesiąt pesos od kapitana Lopeza, dając mu w zastaw swoją astrolabie, kwadrant oraz kieszonkową klepsydrę. Wielkorządczyni ze Swej strony zamówiła u naczelnika prowiant na trzy tygodnie, dając mu kilka pesos na zadatek i obiecując wypłatę reszty, kiedy wywiąże się z zamówienia.

Wydała następnie proklamację, odczytaną przy biciu bębna i z rozwiniętym sztandarem królewskim, że nikomu pod karą śmierci nie wolno opuszczać okrętu; tak się jednak zdarzyło, że major pozwolił był już przedtem staremu Miguelowi Geronimo zejść na brzeg po żywność dla chorego dziecka. Nieco później don Luis zobaczył Miguela wracającego w czółnie i pobięł powiedzieć o tym siostrze, która rozgniewała się tak bardzo, że wystraszony major nie chciał się przyznać, iż pozwolił komukolwiek udać się na ląd nie odwołując się do niej. Zmilczał nawet wtedy, gdy wysłała go na pokład, aby poczynił przygotowania do bezzwłocznego podciągania na linie.

Bosman zobaczył go, jak przypatruje się grotmasztowi, od dawna już pozbawionemu topsła, i mamrocze coś pod nosem.

- Zgubiłeś coś, wasza dostojność? - zapytał drwiąco.
- Nie, bynajmniej, dobry człowieku. Ale gdzie jest ten kawałek drewna, do którego kiedyś przymocowany był topsel?
- Masz na myśli maszt, szlachetny panie?
- Nie, nie! Tę poprzeczną belkę tam wysoko.

- A - rzekł don Marcos - jeżeli ci potrzebna ta reja, musisz, panie, pójść do głównego nawigatora; schował ją w ładowni z obawy przed złodziejami. A po cóż to ci ona, wasza dostojność?

- Wyśmiewasz się ze mnie, półgłówku, ale nie dam ze siebie kpić. To jest rozkaz wielkorządczyni.

- A czyś powiedział jej, kto dał Miguelowi Geronimo pozwolenie zejścia na ląd? - spytał don Marcos, patrząc nań pesząco.

- Żadnego pozwolenia mu nie dałem.

- Dwóch czy trzech uczciwych ludzi było przy tym.

- Dość tego, ty łajdaku! Natychmiast umocuj tę reję na dawnym miejscu albo przebiję cię szpadą!

- Przyjmuję rozkazy od głównego nawigatora, a nie od żadnego wojskowego, jakakolwiek byłaby jego ranga.

- Ale ten rozkaz pochodzi od wielkorządczyni, mówię ci.

- Więc doradź jej, proszę, żeby go zmieniła. Nie ma tu ani jednego człowieka, który by miał siły do tracenia na podciąganie na linie. Co innego, gdyby nam wydała dzban wina i słoć oliwy, i worek mąki, i ze dwa półcie słoniny ze swojej spiżarni...

- Bezczelność! Skąd możesz wiedzieć, co wielkorządczyni trzyma pod kluczem?

- Jedna z jej służebnych obnosi cichcem cały spis prowiantów na sprzedaż, ale żąda zbyt wysokiej ceny... Gdyby wielkorządczyni nakarmiła nas dobrze, chętnie podciągnęlibyśmy na linie wszystkich panów z rufy, nie wyłączając waszej dostojności.

- Więc odmawiasz mi posłuszeństwa, podlecę?

- Tu podciągaj, tam chłószcz... to nierozumne! A ludzie znowu o krok od śmierci głodowej!

Tymczasem nadszedł oddział egzekucyjny pod wodzą chorążego Torresa, który wyglądał niezwykle blado i mizernie z powodu dotkliwego ataku biegunki. Za nim maszerował dobosz wystrojony w piękne szaty, które wziął po pułkowniku. Pułkownik był niski i gruby, dobosz wysoki i wychudzony, więc strój pasował nie najlepiej, a bęben był

fantastycznie przybrany wstążkami. Więzień szedł następny, między dwoma halabardnikami o zapadniętych policzkach, którzy czując wstręt do swojej haniebnej służby, szturchali go łokciami, aby skoczył w fale i próbował wydostać się na wolność.

W każdej tragedii są komiczne interludia! - westchnąłem do siebie.

Bosman odszukał głównego nawigatora, który zapowiedział mu, aby bez jego rozkazu nie zakładał żadnych klubów, po czym poszedł do doni Izabeli przedstawić jej sprawę tak, jak naprawdę wyglądała.

- Ekscelencjo - powiedział - boję się o twoją reputację w Manili. Co będzie, jeśli ludzie się dowiedzą, żeś okaleczyła starca, który stracił już w twojej służbie cały swój majątek i czworo spośród swoich siedmiorga dzieci... starca, którego jedyną zbrodnią było zejście na ląd, za pozwoleniem majora, żeby kupić trochę jadła dla swych dzieci, co pozostały jeszcze przy życiu?

- Za pozwoleniem majora? Czy to prawda, czy też to jeszcze jedno twoje oszukaństwo?

- Oszukaństwa i kłamstwa pozostawiam szlachetnie urodzonym damom - odpowiedział z goryczą.

- Poczekaj, aż będziemy w Manili, szcurze dokowy! Poszczuję cię wtedy psami.

- Poczekam. Ale tymczasem, co z tym podciąganiem?

- Ten człowiek złamał mój rozkaz i musi ponieść karę.

- A jaka kara czeka tych, co łamią prawa boże?

Z jakiegoś powodu to proste pytanie przeniknęło mur, którym się obwarowała. Niespodziewanie wybuchnęła płaczem, a on, znając głęboką udrękę jej serca, odczuł pokusę utulenia jej w ramionach, tak wielki jeszcze urok wywierała na nim jej piękność. Powściągnąwszy się z wysiłkiem, powiedział łamiącym się głosem:

- Donio Izabelo, żal mi ciebie z całej duszy.

Odpowiedziała szlochając:

- Każ majorowi puścić tego człowieka wolno. Chciałam tylko nastraszyć majtków. A teraz zejdz mi z oczu, nim zrobię ci coś złego!

Moim zdaniem, nie odkochała się jeszcze całkiem w Pedrze Fernandezie; inaczej nigdy nie potrafiłaby znęcać się nad nim tak okrutnie.

ROZDZIAŁ XXV

OSTATNIE STO MIL

Naczelnik z Cobos dostarczył niewiele ponad trzecią część zamówionych prowiantów, po czym domyśliwszy się sprytnie, że doña Izabela zamierza wykręcić się od zapłaty, zażądał dalszego zadatku. Ona w tych dniach źle się czuła i leżała w łóżku, ale powiedziała Elwirze, że nigdy w życiu nie spotkał jej podobny wstyd i że naczelnika należy odprawić w diabły. We wtorek zatem, dwudziestego dziewiątego stycznia, mając już znowu kotwicę i linę do niej, wyruszyliśmy o świcie nie wzięwszy na pokład ani jednego orzecha kokosowego więcej; tym, co kupiono, żywiliśmy się przez ostatni tydzień, ale do końca miesiąca starczyć tego nie mogło.

O piątej po południu przepłynęliśmy już cieśninę San Bernardino i wysepkę tejże nazwy mieliśmy już dobrze za sobą. Około północy niedaleko Capulu natrafiliśmy na potężną boczną falę; okręt kręcił się na niej w kółko jak patyk w nurcie pod kołem młyńskim. W końcu jednak okazał się dość posłuszny sterowi i kiedy o brzasku mała flota baranarów wypłynęła do nas z portu pod nazwą Nivalon, obładowana świńmi, drobiem, winem i owocami, zastała nas ocalałych bez szwanku z tej przygody. Wobec tego, że załoga nie miała grosza, żołnierze podobnie, a u wszystkich razem wziętych nie zostało już ani noża, ani paciorka, handel szedł niezmiernie ospale, choć wielkorządczyni dokonała kilku korzystnych zakupów dla kajuty generalskiej. Krajowcy opuścili nas

wściekli, miotając wymysły, ale ponieważ znajdowaliśmy się już na hiszpańskich wodach, wyperswadowano don Diegowi, aby do nich nie strzelał.

Pedro Fernandez potrzebował pilota, który by wskazał nam drogę przez kręte cieśniny tego archipelagu, straszną przez swoje skały, ławice piasku i prądy; ale doña Izabela nie zgadzała się nająć nikogo nowego na tym etapie podróży. Zmuszony zdać się w nawigacji na domysły, trafi łaskę boską, przeprowadził „San Geronimo” przez niebezpieczeństwa, które zaparłyby nam dech w piersi, gdybyśmy z góry o nich wiedzieli. Duże wyspy Ticao, Burias i Marinduque zostawiliśmy daleko po prawej, trzymając się Luzonu, i pierwszego lutego dotarliśmy do Galbanu, miasteczka leżącego tylko o piętnaście mil lądem od Manili, jeśli było przeciąć półwysep; morzem jednak odległość była dwa razy większa. Tutaj don Diego i don Luis otrzymali pozwolenie udania się barkasem na ląd po zakup prowiantów, gdyż nie zostało już ani odrobiny z tego, co nabyto w Cobos. Szybko spuszczone łódź na wodę przy pomocy nowych fałów uplecionych przez głównego nawigatora, a na życzenie doni Izabeli bracia wzięli z sobą kapitana Lopeza, chorążego Torreasa, dwóch Murzynów i trzech pospolitych żołnierzy. Podczas gdy całe to towarzystwo schodziło po jakubce, Damian zauważył:

- Jadą sobie, i dobrze im! Głowę daję, że nie przywiozą żadnej żywności. Zdezercerują z okrętu i zostawią nas tu, żebyśmy poumierali z głodu.

Don Diego posłyszał to i wspiąwszy się z powrotem na pokład, do był szpady i zajadłe zaczął gonić Damiana. Ten uciekł na wanty bezmasztu i schronił się na samym jego czubku, na co don Diego wrócił do łodzi, chwycił hakownicę, narychtował ją i wręczył don Luisowi.

- Masz tam swojego ptaszka, bracie - powiedział.

Strzał zdał tylko Damianowi skórę z przedramienia i zerwał z masztu proporzec, który wpadł do morza; bosman miał jednak na tyle

dowcipu, aby krzyżeć i jęczeć, jakby rana była śmiertelna. Wtedy barkas odbił, a Damian ześliznął się powoli, mrugając do nas okiem na uspokojenie.

Przewidywania jego okazały się słuszne; nie wrócili, i o zmierzchu doña Izabela wydała rozkaz wyruszenia bez nich w dalszą drogę. Tej nocy okręt zabrnął tak głęboko pomiędzy wyspy, że straciliśmy wszelką nadzieję na znalezienie wyjścia z tej matni. Nie mając już żadnej łodzi - szalupa została zalana i zatonęła w zatoce Cobos - i rozpaczliwie potrzebując pilota, zaczęliśmy wołać do kilku barangów, z których jacyś ludzie łowili ryby przy świetle pochodni. Jednakże na nasz widok uciekli wszyscy. Ponieważ o tej porze roku żadne galeony nie przybywały tu z Nowej Hiszpanii, gubernator przestrzegł ich, że mają się kryć, ilekroć ujrzą jakiś podejrzany żagiel, gdyż może to być korsarz angielski lub holenderski. Sunęliśmy naprzód powoli i ze strachem po spokojnej wodzie przy księżycu, mając tylko niewiele wiatru w żaglach; brzegi zwierwały się koło nas coraz ciasniej, aż w końcu można było przerzucić kamień z jednego na drugi. Gdy pojawiły się pierwsze oznaki brzasku, kanał nagle się poszerzył, zerwała się bryza i wkrótce ku naszej radości znaleźliśmy się niedaleko przylądka Azufre w zatoce Banbon, przeżeglowawszy między Luzonem a wysepką Maricaba. Jest to trasa, którą - jak się zdaje - nie przepłynął nocą nigdy przedtem żaden królewski okręt, chyba że przyplacając swoją śmiałość katastrofą.

Ponieważ wielkorządczyni kazała zabić deskami drzwi łączące Salę Map z kajutą generalską, do której zabroniła Pedrowi Fernandezowi wstępu pod jakimkolwiek pozorem, posłał mnie do niej jako pośrednika. Miałem oznajmić, że jeżeli nie sprzeda mu żywności, za którą zobowiązuje się zapłacić jej w Manili, nie będzie poczuwał się do odpowiedzialności za następstwa; żołnierze, znajdujący się teraz w gorszym jeszcze stanie niż wtedy, gdyśmy ujrzeli przed sobą przylądek Espiritu Santo, mogą zbuntować się i włamać do jej składów.

- Mój poczciwy Andresie - powiedziała - zapytaj głównego nawigatora, czy stracił na tej wyprawie, jak ja, czterdzieści tysięcy pesos!

- Ale ludzie, ekscelencjo?

- Żołnierze nie pracują, więc nie potrzebują jeść, a marynarze nic mnie nie obchodzą.

Nie posunęła się jednak do wypowiedzenia tego, co musiało górować w jej myślach: że im mniej będzie ludzi na okręcie, gdy dobijemy do portu, tym mniej pieniędzy będzie musiała wydać.

Pancza szlachetnie przyszła nam z pomocą. Zameldowała doni Izabeli, że cielica zdechła w ciągu nocy, nie wydobrzwawszy nigdy po wstrząsie, jakiego doznała koło Capul, gdy fale miotają okrętem.

- Nie radziłabym żadnemu chrześcijaninowi próbować tej cielęciny - powiedziała. - Jej kiszki były całkiem przegniłe.

- Moja biedna krasulo! - zawołała doña Izabela. A miałam nadzieję dowieźć cię cało i zdrowo do Manili!

- Co mam zrobić z tą padliną, wasza ekscelencjo?

- Cóż by innego, jak wyrzucić za burtę? Ach, gdyby tylko Pan Bóg był mi tego oszczędził!

Cielicę, żywą i cieszącą się najlepszym zdrowiem, zaszlachtowano wtenczas potajemnie i jej kadłub wrzucono do morza uwiązany do liny, po czym natychmiast wyciągnięto z powrotem. Pancza zobowiązała nas pod przysięgą, że nie będziemy jej gotować, gdyż zapach mógłby dotrzeć do nozdrzy wielkorządczyni; zjedzono ją zatem na surowo. Niektórzy uważali to za odrażające, ale Jaume powiedział im: „Co nie tru-je, tuczy.”

Okolo południa czwartego lutego napotkaliśmy dwie czterdziestowiosłowe galery zdążające z Manili. Rozwinęliśmy sztandar królewski i zaczęliśmy do nich wołać. Oficerowie i załoga byli Filipińczykami co do jednego i dowódca pierwszej galery, skoro zrównała się z nami, powiedział nam niezgorszym językiem kastyljskim, że wiezie ładunek chińskich towarów na wymianę do misji jezuickiej na Zebu, na zachód od Leyte; jest to stumilowy rejs pomiędzy wyspami. Kiedy Pedro Fernandez w imieniu króla zażądał pilota, który by nas przeprowadził

koło słynącej z niebezpieczeństw rafy Tuley, dali nam jednego za dzienną opłatą trzech pesos, płatnych w Manili.

Widząc nasz zgłodniały wygląd, dziwnie kontrastujący z błyszczącymi pierścieniami, w których paradowała doña Izabela, ich oficer rachunkowy zaproponował, że sprzeda jej trochę ryżu. Odpowiedziała mu, że stawia zbyt wysoką cenę, a widząc, że nie wytarguje od niego ani jednego maravedí, odeszła w gniewie do kajuty generalskiej. Błagaliśmy go o podarunek, na co odrzekł, że to zależy od nas samych i że nie zasługujemy na nic, jeżeli nie mamy dość męstwa, aby pościągając jej z palców te piękne pierścionki. Jednakże Pedro Fernandez znalazł w swoim kufrze dwie dobre pary trzewików ze sprzączkami, za które Filipińczyk dał mu po dużym koszu ryżo. Ryż ten główny nawigator rozdzielił pomiędzy załogę, pozwalając jej również porąbać bezanmaszt na opał.

Popłynęliśmy wtedy dalej wzdłuż brzegów wysepki Fortun, aż dnia siódmego lutego stanęliśmy u wejścia do Zatoki Manilskiej. Łąd rozciągał się przed nami po obu stronach i widać było nawet z daleka dymy miasta; wiatr był nam jednak przeciwny, więc z północnego wschodu. Przez trzy dni noce próbowaliśmy wpłynąć do Zatoki, ale na próżno, a choć liczyliśmy godziny od przyływu do przyływu, w nadziei że następny zanieśie nas na odległość głosu od wysepki Corregidor leżącej u samego wejścia do Zatoki, raczej oddalaliśmy się od niej, niż przybliżali.

Na koniec Damian rzekł do głównego nawigatora:

- Na miłość boską, prowadź okręt do brzegu, wasza cześć; nie mamy szczęścia.

- Ależ, człowieku, brzeg jest stromy, a fale wysokie.

- Jakąż inną szansę pozostawiła nam ta nikczemnica?

Poszedłem jeszcze z jednym, ostatnim apelem do wielkorządczyni; odpowiedziała, że zostały jej już tylko dwa worki mąki i cztery flaszki wina, które są jej potrzebne na zakupienie mszy za duszę don Alwara.

Kłamała i wszystko jej było jedno, kto o tym się dowie; powstrzymałem się zatem od zaprzeczenia jej słowom.

Już odwracałem się, aby odejść, gdy przywołała mnie z powrotem.

- Kiedy główny nawigator doręczy mi pewien list - rzekła - skierowany do niego przez moją siostrę, ludzie zostaną nakarmieni, ale nie wcześniej.

Zaniósłem Pedrowi Fernandezowi tę odpowiedź udając, że nic nie wiem o liście.

- Chętnie bym go jej oddał, żeby uratować im życie zapewnił mnie - gdybym był pewien, że dotrzyma słowa. Ale nie mam pojęcia, komu doña Mariana powierzyła ten list... chyba że kapitanowi Lopezowi, którego nie ma już z nami.

- W takim razie - powiedziała mi doña Izabela, kiedy udałem się do niej ponownie - obawiam się, że nie mogę spełnić jego życzenia.

Miauknąłem jak zgłodniały kociak:

- A co ze mną? Pozwoliłabyś, ekscelencjo, własnemu sekretarzowi wyschnąć na wiórek?

Cisnęła mi w głowę plikiem papierów.

- Zabieraj się stąd, mały nędzniku! Nie jestem taka głupia, jak myślisz; poznaję dwulicowca po sposobie chodzenia.

Nic więcej dziać się nie dało. Słabliśmy z godziny na godzinę, a ja sposobiełem się na śmierć, nie mając nic w ustach od tygodnia poza talerzem suchego ryżu i małym kęsem surowej cielęciny oraz łyżką wody. Myn, który dotychczas żywiony był niezłe, otrzymał polecenie obejścia wraz z drugim sługą całego okrętu w poszukiwaniu owego listu; otwierał kufierki okrętowe z klucza lub rozbijał je siekierą, wytrząsał słomę z sienników, rozpruwał podszewki kaftanów i odrywał podeszwy od trzewików, śmiejąc się ze słabych protestów właścicieli. Ogłoszono nagrodę w postaci słoja oliwy i pół worka mąki za „pewien zdradziecki list do głównego nawigatora, jeśli zostanie oddany wielko-rządczyni z nienaruszoną pieczęcią”.

Nie znaleziono nic, a doña Izabela nie śmiała wziąć głównego nawigatora na tortury, zanim nie miniemy bezpiecznie Corregidoru.

- Jeszcze jeden, ostatni wysiłek, dzielne serca - powiedział ten do swoich trzech pozostałych majtków - a Manila jest nasza! Odbiliśmy podróż po nieznanym morzach, której sława trwać będzie przez lata, i szlachetnie spełniliśmy swój obowiązek względem Boga i króla.

Z wyschniętych krtani i szerniactych języków dobył się w odpowiedzi skrzek:

- Do diabła z tym! Wielkorządczyni i jej krwiożerczy bracia upomną się o lwią część sławy. Jesteśmy tylko marynarzami; obszarpanymi i bliskimi śmierci; jakiego powitania, jakiej łaski możemy się spodziewać?

Spełniali jego rozkazy ponuro, rzucając mu spojrzenia pełne wyrzutu albo nie spełniali ich wcale. Wiatr dał ciągle z północnego wschodu. Z bólem wpisałem swoje własne nazwisko do rejestru zgonów i postawiłem krzyżyk, zostawiając tylko wolne miejsce na datę i rozmyślając tępo, kto też dopełni zapisu.

Jednakże nasza Matka Najświętsza patrzy zawsze z litością na swoje strapione dzieci i przynosi ratunek i pociechę w chwilach największej niedoli. O świcie dziesiątego lutego wiatr zaczął wiać z północnego zachodu i mogliśmy halsować z wolna ku wejściu do Zatoki Manilskiej, odległemu jeszcze o dwie mile. Wkrótce po godzinie dziewiątej ujrzeliśmy barang nadpływający od strony Corregidoru, gdzie zawsze rezyduje urzędnik celny, aby zawczasu uwiadamić gubernatora o przybyciu statków. Było w nim czterech Hiszpanów, którzy wydali się nam czterema tysiącami aniołów, a wiosłami machała ochoczo krzepka załoga. Zawołali do nas i weszli na pokład: urzędnik celny, don Alonzo de Albarran, z dwoma żołnierzami i ochmistrem dworu gubernatora. Nasi ludzie bezsilnie potrząsali im dłonie i ściskali ich ze łzami; próbowali wiwatować, ale nie mogli. Doña Izabela wyszła na pokład

szańcowy, gdzie ochmistrz dworu podał jej list od swojego prześwietnego pana, pełen współczucia dla jej nieszczęść, o których don Diego i don Luis szczegółowo mu opowiedzieli, oraz wysokich pochwał dla jej niezłomnej odwagi i oddania sprawie królewskiej.

Pokazała ów list głównemu nawigatorowi zauważając z satysfakcją:

- Radzę ci uważać teraz, jak się zachowasz w Manili, gdzie jestem już sławna.

- Nie stanęliśmy tam jeszcze - odpowiedział. - Bóg może nam zesłać jeszcze dalsze kłopoty. Proszę o pozwolenie odejścia, mam robotę.

Wskazał na kanał dzielący Corregidor od Zakonnika, wielkiej skały położonej na południe od wyspy.

Zaprosiła ochmistrza do kajuty generalskiej, gdzie ugościła go winem i napisała odpowiedź do gubernatora.

Tymczasem urzędnik celny spoglądał ze zdumieniem i zgrozą na naszych ludzi, a widząc ich tak wychudłych, sponiewieranych, chorych i okrytych bolączkami, zdołał tylko wykrzyknąć:

- Bogu niech będą dzięki, że nareszcie dobiliście do portu!

Następnie odważył się zejść pod pokład mimo straszego fetoru, który uderzył go w nozdrza, i ujrzał takie widoki nędzy i brudu, jakich zapewne nigdy przedtem nie oglądano na żadnym królewskim okręcie. Międzypokłady mogły być lazaretem w mieście złupionym po dwuletnim oblężeniu. Nagie, rozkładające się trupy leżały szeregiem pod grodzia; półnagie straszdyła, kiedyś dorodni mężczyźni i powabne kobiety, wlepiły weń spojrzenia zapadniętych, zmatowiałych oczu i skamlały: „Wody! Na miłość Chrystusa, kropelkę wody i parę okruszyn chleba!” Jakiś obłąkany zakuty w dyby bredził: „Niestety, niestety, czarni ludzie pożarli moje śliczne dzieci; z krwią, z kośćmi, ze wszystkim.”

Don Alonzo cofnął się w udręce ducha, mówiąc półgłosem: „O Boże! Pomyśleć, że chrześcijanie mogli upaść tak nisko!”

Słyszac głośne pochrząkiwania i kwiki po drugiej stronie grodzi, zajrzał do komory rufowej, by się przekonać, co to może być za nowa

okropność; i stwierdził, że te odgłosy pochodzą od dwóch dobrze wypasionych świń. Zawołał oficera rachunkowego i spytał nie dowierzając własnym oczom:

- Człowieku, co to takiego?

- Świnie, za pozwoleniem waszej dostojności.

- Więc mnie oczy nie zwodzą! Ależ, na miłosierdzie boskie, czemu się ich nie zarżnie, aby nakarmić waszych głodomorów?

- Są to prywatne świnie wielkorządczyni.

- Co, u diabła! Czy to pora na kurtuazję wobec świń? - Po czym z głębokim westchnieniem zadeklamował z patosem: - O, okrutna chciwości, która zamieszawszy w tak nadobnym łonie i wzięwszy je w posiadanie potrafisz obrócić bijące serce w kamień!

Wtargnął bez ceremonii do kajuty generalskiej, gdzie doña Izabela, promieniejąca radością, pieczętowała właśnie świeżo napisany list. Kiedy złożył jej ukłon, poczęstowała go swoją najlepszą malagą.

- I wino także? - zawołał przerażony. - Wziąłbym wielki ciężar na sumienie, gdybym bodaj umoczył usta w tym pucharze.

- Masz coś do zarzucenia mojej gościnności, panie? - spytała marszcząc czoło.

Don Alonzo spojrział na nią surowo.

- Kiedy, szlachetna pani, odwiedzałaś po raz ostami swoje siostry z międzypokładów? - zapytał.

Z większą jeszcze niż zazwyczaj wyniosłością odparła:

- Miałam tylko jedną siostrę, która mieszkała i umarła tutaj, na rufie, jak przystało jej stanowisku.

- Pójdź ze mną! - rozkazał ostro, a ona poszła, wzruszając ramionami, gdyż nie chciała skompromitować się przed ochmistrem. Don Alonzo sprowadził ją na dół, gdzie na jej widok kobiety wyduły spieczone wargi, jakby chciały splunąć, mężczyźni zaś przeżegnali się i odwrócili oczy ze wstrętem. Stała tam, strojna w szaty usiane klejnotami,

podnosząc wysoko spódnicę, aby jej nie pobrudzić.

Policzki jej były pełne i rumiane, delikatny noszek drgał obrzydzeniem. Don Alonzo pochwycił zawiniątko łachmanów z rąk jakiejś kornajęcej kobiety: było to dziecko o twarzyczce podobnej do zwiędłego zimowego jabłka, o ramionkach jak badyle i złowieszczo wzdętym brzuszku. Wtykając je przemocą doni Izabeli: „Weź to, miłosierna damo!” - rozkazał. Wydała przenikliwy krzyk i uciekła z płaczem, ścigana szeptanymi przekleństwami i śmiechem podobnym do trzasku suchych gałązek.

Na jej rozkaz Myn zarznął obie świnię, rozpałił ogień w kuchni i powyrzucił trupy do morza; ona zaś tłumacząc się ze łzami, że główny nawigator nie poinformował jej o strasliwym położeniu jej ludzi, zobowiązała się wydać im bezzwłocznie wina, mąki i oliwy. Ale tymczasem idąc przez dłuższy czas jednym halsem dotarliśmy do Corregidoru i tam nasi goście opuścili okręt, wobec czego nie zadała sobie trudu dotrzymania obietnicy.

Wkrótce potem przypłynął inny barang, wioząc sędziego prowincji, obu braci Barretów i kilku żołnierzy. Przywieźli doni Izabeli wina, owoców, świeżego chleba i inne przysmaki w prezencie od gubernatora. Nauczywszy się przezorności ze spotkania z don Alonzem, była teraz ubrana dość skromnie i powiedziała sędziemu ze smutnym uśmiechem:

- Niestety, wasza miłość, chociaż jestem głodna, nie wolno mi tknąć tych dobrych rzeczy, póki ci biedni cierpiętnicy z dziobówki nie otrzymają swojej porcji. Ich potrzeba jest jeszcze większa od mojej.

Łatwo jej przyszło go omamić.

Sędzia zabrał swoje dary pod pokład, gdzie wilcza łapczywość, z jaką wydarto je z rąk jego służby, zmusiła go do okrzyku:

- Panowie, panie, pamiętajcie o dobrym wychowaniu! Nie jesteście już w dżungli.

Chwiejąc się na nogach, wyszedłem z kajuty i zdobyłem swoją porcję złożoną z małego bochenka chleba i kubka wina, lecz trzech oficerowie okrętu, którym pozostawiono teraz cały trud żeglowania, nic jeszcze nie dostali. W zaciszu kajuty generalskiej zastałem don Diega i don Luisa dokazujących wraz z siostrą i pomagających jej w opróżnianiu dużego kosza z chlebem i kurczętami na zimno. Poprosiłem don Diega, czy nie byłby łaskaw użyzyć kęsa głównemu nawigatorowi. Zamiast odpowiedzi zaczął natrzęsać się z mego wyglądu mówiąc:

- Ej, Pyzaty, nie byłbyś teraz bardzo miękki w krajaniu, co? Myślę jednak, że nadałbyś się jeszcze na rosół, gdyby ci dodać sporo jarzyn.

Pancza to była, która raz jeszcze ulżyła doli Pedra Fernandeza i jego towarzyszy, podkradłszy coś w porę swojej pani.

Jedząc i pijąc, Damian rzekł do niej ze wzruszeniem:

- Swojego czasu sprawiałaś sporo kłopotu na okręcie, ale teraz wiem, że zaliczasz się do aniołów.

- Kiedy kobieta traci urodę, musi z konieczności uciec się do cnoty - odpowiedziała Pancza patrząc z żalem na swoje wyniszczone ciało.

Noc zdawała się nie mieć końca, ale o świcie dobiła do nas duża barka naładowana wszelakim gotowanym mięsiwem, chlebem, winem i jarzynami. Był to dar przysłany nam na prośbę gubernatora przez don Diega Marmolejo, najbogatszego ziemianina w tej okolicy. Tym razem każdy otrzymał tyle, ile tylko zdołał zjeść.

Bielone wapnem domy Cavité, portu odległego o dwie mile od Manili, ukazały się teraz naszym oczom i zaczęliśmy halsować w ich kierunku. Don Juan Pinao, bosman królewskiego galeonu stojącego tam na kotwicy, przybył w szalupie, u której wiosła siedzieli majtkowie postrojeni w najlepsze, jedwabne ubrania, i wszedł na pokład, aby poprowadzić nas do portu. Jego ludzie nie wiedzieli, czy śmiać się, czy płakać nad zwariowanym wyglądem „San Geronimo”, a on sam powiedział do Pedra Fernandeza:

- Na ciało Bachusa! Musisz być najbardziej umiejętnym albo najszczęśliwszym nawigatorem, jaki kiedykolwiek istniał na świecie.

- Jest jednym i drugim, i czymś więcej jeszcze! - rzekł don Marcos. - Jego umiejętności na nic by się nie zdały bez nadzwyczajnego szczęścia, szczęście - bez nadzwyczajnych umiejętności, a jedno i drugie - bez pomocy Matki Boskiej!

Kapitan portu stał na brzegu ze szpadą w dłoni, a za nim jego ludzie pod bronią, pięknie uformowani w szeregi. Wykonaliśmy jeszcze jeden, ostatni hals i wpłynęliśmy do przystani. Gdy zarzuciliśmy kotwicę, na nabrzeżu rozwinięto sztandar królewski i powitała nas potężna salwa z dział i muszkietów. W odpowiedzi pomocnik zbrojmistrza i Myn oddali strzał z dwóch falkonetów, a obaj weterani wypalili z arkabuzów.

Był to dzień jedenasty lutego 1596 roku i dnia tego napisałem w swoim rejestrze: KONIEC.

Spośród ślubów zawartych na okręcie flagowym nie było ani jednego, którego by nie rozwiązała śmierć. Ze stu dwudziestu dusz, stanowiących naszą pierwotną obsadę, żyło jeszcze tylko dwudziestu pięciu mężczyzn, dziewięć kobiet i jedno dziecko; a dalszych ośmiu mężczyzn, jedna kobieta i owo jedyne dziecko zmarli przed końcem miesiąca.

W spiżarni doni Izabeli pozostało dwadzieścia beczek wody, dwańście worków mąki, cztery dzbany oliwy, pół tuzina beczek wina, dużo polci boczku i wiele innych prowiantów - wszystko, czego nie udało się Belicie sprzedać po paskarskich cenach (potajemnie, niby to bez zgody wielkorządczyni) nędzarzom z załogi okrętowej. Ale haniebny ten zapas ukryto starannie przed dobrymi ludźmi z Manili, którzy wypłynęli do nas na łodziach z darami żywności i odzieży, aby ulżyć naszej doli. Z ich miłosierną pomocą przewieziono chorych i konających do lazaretu, podczas gdy ci, którzy mogli jeszcze chodzić, udali się do prywatnych domów, gdzie okazano im wiele dobroci. Ja pozostałem na pokładzie z wielkorządczynią i oficerami okrętowymi.

Tłumy gapiów przybywały teraz oglądać niezwykły okręt, który - jak chciała pogłoska - wicekról Peru wysłał w podróż, aby sprowadzić królową Sabę z Wysp Salomona. Wszyscy oni dotykali owej sławnej liny, która ciągle jeszcze utrzymywała nas na kotwicy - co miało im przynieść szczęście - i klękali z uwielbieniem przed Matką Boską Opiekunką Samotnych, wciąż uśmiechającą się tkliwie z pękniętego grotmasztu.

ROZDZIAŁ XXVI

DOBRY LUDZIE Z MANILI

Gdy główny sędzia wybrzeża przybył z kurtuazyjną wizytą, doña Izabela zarzuciła go skargami, że wszyscy oficerowie okrętu dopuścili się zdrady: główny nawigator i bosman nie usłuchali jej rozkazu w Cobos, a bosmanmat w Galban publicznie znieważył wodza naczelnego, Barreta. Ponieważ tak zawzięcie sypała oskarżeniami, zgodził się odbyć nad nimi bezzwłocznie sąd w kajucie generalskiej spodziewając się, że doña Izabela wystąpi jako główny świadek; jednakże w ostatniej chwili wycofała się, wobec czego mógł tylko przesłuchać ich nieoficjalnie.

Don Marcos Marin nie przyznał się do winy twierdząc, że odnośny rozkaz nie został mu przekazany w należytej formie. Damian odpowiedział kontroskarżeniem, iż strzelano do niego za to, że powiedział prawdę; zaprzeczył również, aby don Diego piastował kiedykolwiek godność naczelnego wodza. Pedro Fernandez odmówił zeznań, prosząc o umieszczenie go w areszcie do chwili, kiedy wniesione będzie przeciwko niemu formalne oskarżenie.

Z bardzo groźną miną i waląc w stół pięściami sędzia powiedział gwałtownym tonem, że dziwi się, iż jakikolwiek mężczyzna mógł zawahać się spełnić rozkaz damy tak pobożnej, pięknej i nieszczęśliwej jak doña Izabela.

- Wasza miłość - odparł śmiało bosman - jej pobożność niech Bóg osądzi; swoim nieszczęściom po większej części sama była winna; a skoro my, nieliczni niedobitkowie, głodem zostaliśmy doprowadzeni do tak straszliwej szpetoty, sama jej piękność oskarżała ją o niczemne skąpstwo i chciwość.

Sędzia upomniał go surowo i zabronił mu oczerniać dalej wielkorządczynię, jeżeli nie chce być zamknięty w domu wariatów do końca życia.

- Słuchajcie, łajdacy peruwiańscy - powiedział na zakończenie - wasi rodacy są dobrze znani ze swej krewkości, ale nakazuję wam pamiętać, że nie jesteście już na Wyspach Salomona, gdzie każdy mógł się zachowywać, jak mu się podobało. Przybyliście na Filipiny i podlegacie naszemu prawu karnemu, z którym nie radzę wam igrzać.

Mimo to Damian miał ostatnie słowo.

- Wasza miłość - powiedział - nawet człowiek nie znający morza zobaczy od jednego wejrzenia, że jesteśmy wiernymi poddanymi króla Filipa: stan naszego, okrętu, tak połatanego i pozbijanego, świadczy wymownie o pracowicie spełnionym obowiązku, i to pomimo niedbalstwa i okrucieństwa naszych wielkich państwa z rufy.

Z braku dowodów winy on i bosman zostali zwolnieni z upomnieniem. Pedra Fernandez natomiast odprowadzono do więzienia w Cavité, gdzie dozorca, dowiedziawszy się od urzędnika celnego, swojego znajomego, że jego więzień jest najzaciejszym z ludzi, żywił go przy własnym stole i hojnie zaopatrzył w odzież, obuwie i inne potrzebne rzeczy.

Gdy doña Izabela zeszła na ląd, krocząc jak królowa pomiędzy dwoma wysokimi urzędnikami, powitał ją nowy salut armatni. Zaproszono ją do ratusza na bankiet, a wieczorem przewieziono reprezentacyjną barką do Manili, wspaniale na jej cześć iluminowanej; tam niedomagający gubernator i jego małżonka podejmowali ją w swojej rezydencji, jakby była osobą krwi królewskiej.

Pozycję miała teraz zapewnioną, a sława jej wzmogła się jeszcze dzięki nadzwyczajnej historii, którą puścił w obieg don Diego: jak to doprowadziła okręt bezpiecznie do portu mimo nieposłuszeństwa nawigatora i buntu załogi. Pozostała jej zatem jedna tylko troska: obawiała się, że list doni Mariany może zostać doręczony gubernatorowi i przywieść ją do zguby. Udając więc wielkoduszność, wystarała się o zwolnienie Pedra Fernandezza; lecz dozorca więzienia osobiście odwiózł go do klasztoru Świętego Dominika w Manili, bojąc się, że może go w drodze spotkać wypadek, jak to się zdarzyło niefortunnemu kapitanowi Lopezowi na galbańskim gościńcu.

Ja jeden wiedziałem, gdzie znajduje się list, toteż odzyskawszy nieco sił, wyszedłem z domu mego szczodrobliwego kuzyna, adwokata don Estebana Serrano, u którego zamieszkałem, i zaaranżowałem spotkanie między doña Izabelą i Pedrem Fernandezem w klasztorze Świętego Dominika. Na obecność Myna mogłem liczyć: towarzyszył jej wszędzie, z toporem na ramieniu, niby czarny cień i tło uwydatniające jej pięknosć.

Spotkanie umówione było na południe i gdy przybyłem, Pedro Fernandez oczekiwał mnie spokojnie. Fray Diego de Soria, przeor klasztoru i jego dawny znajomy, stał u jego boku; ale doña Izabela przybyła z prawie półgodzinnym opóźnieniem, co było jej przywilejem jako szlachetnie urodzonej damy.

Po wymianie powitalnych uprzejmości nie traciłem więcej czasu i przemówiłem bez ogródek:

- Dostojna pani, sierżant Dimas, nim umarł z głodu pośród Wysp Barbados, kazał mi obiecać, że wyświadczę mu pewną przysługę wkrótce potem, jak wylądujemy tu bezpiecznie. Myn, proszę cię, pożycz mi swoją siekiere!

Sztyletem wydłubałem ze styliska drewniany kołeczek, następnie sporo wosku, a w końcu wytrząsałem cienki zwitek pergaminu zaadresowany do głównego nawigatora, który mu podałem.

Murzyn łypnął oczyma w zdumieniu i zawołał:

- Na Najświętszą Panienkę z Gwadelupy! Pomyśleć tylko, że Mynowi jego własna siekiera mogła spłatać takiego figła! Masz coś jeszcze w brzuchu, toporku?

Doña Izabela pochwyciła pergamin i przeczytała go ukradkiem. Potem, wręczając go przeorowi z westchnieniem głębokiej ulgi, rzekła półgłosem:

- To ostatnie posłanie od mojej siostry Mariany, która umarła bez spowiedzi.

Posłanie było krótkie:

„Miłosierdzie boskie nigdy nie zawodzi! Żałuj za grzechy, póki nie jest za późno, i módl się za duszą twojej Kochającej Mariany.”

Zacny przeor wpatrzył się w list.

- Słodkie to są słowa; ale czemu je ukryła w stylisku topora?

- Moja biedna siostra cierpiała przed śmiercią na dziwne urojenia - rzekła doña Izabela. Wzruszona nieoczekiwaną dobrocią posłania, odciągnęła na bok głównego nawigatora i powiedziała mu impulsywnie: - Miałam diabła w sercu, przyjacielu, ale Bóg mnie pokarał. W Cobos poroniłam twoje dziecko, a wraz z nim straciłam wszystkie moje świetne nadzieje. Jak mogę zyskać twoje przebaczenie za wszystkie okrucieństwa, które ci wyrządziłam?

Podawała mu dłoń, odwracając oczy jakby w obawie, że nią wzgardzi; ale on ujął ją i przycisnął do ust.

- Oby Bóg przebaczył nam wszystkim! - powiedział. - Dostojna pani, jestem dalej twoim wiernym sługą; ale nasze drogi powinny się teraz rozejść, aby nie dokuczały nam wspomnienia tego, o czym najlepiej zapomnieć.

- Czy zwierzyłeś się temu czcigodnemu przeorowi? - spytała. - Ogromnie mi potrzeba spowiednika.

Następnego dnia odszukałem don Fernanda de Castro, którego doña Mariana wyznaczyła swoim egzekutorem i legatariuszem. Znalazłem przystojnego młodego galanta, który pięć lat przedtem był królewskim paziem u swego wuja, don Gomeza Pereza de las Marinas, mianowanego gubernatorem Filipin. Gdy don Gomez przeprowadzał się z Nowej Hiszpanii przez Pacyfik, aby objąć swój urząd, chorąży de Castro dowodził wojskiem na galeonie należącym do tegoż konwoju, który miał nieszczęście wpaść na rafę u brzegów wyspy Marinduque; on jednak skoczył w fale, z flagą okrętową okręconą wokół pasa i z liną w ręce, i dopłynął do brzegu. Choć okręt przepadł, wszyscy jego ludzie zostali bezpiecznie wyciągnięci liną na ląd, a on w nagrodę za ten bohaterski czyn otrzymał wysoką rangę. Od tej pory don Fernando oddał jeszcze inne znakomite usługi i był teraz tytularnym generałem i kawalerem Orderu Św. Jakuba, choć miał dopiero dwadzieścia pięć lat. Ostatnio powrócił z Kochinchiny, gdzie wywarł zemstę na mordercach wuja, którzy się tam schronili.

Kiedy przyniosłem młodemu generałowi wiadomość, że jest wyłącznym spadkobiercą doni Mariany, wyraził wielkie zdziwienie. Wmówił sobie, że obdarzona na łożu śmierci proroczym jasnowidzeniem, zobaczyła w nim swojego przyszłego szwagra, gdyż zapisane mu klejnoty powinny były właściwie dostać się jej kochającej siostrze. Doña Izabela nie wyprowadziła go z tego fantastycznego urojenia. Byli już wtedy głęboko w sobie zakochani, i teje jesieni, w sam dzień, w którym kończył jej się rok żałoby, wzięli ślub w manilskiej katedrze. Tym samym wszystko, co posiadała, przeszło na niego, między innymi jej prawa do Wysp Salomona, odziedziczone po don Alwarze. Jego własny majątek był duży, gdyż życzliwy mu kuzyn, gubernator don Luis Perez, umarł tymczasem i pozostawił mu pokaźną sumę pieniędzy, a dobrzy ludzie z Manili, którzy tańczyli i ucztowali na ich weselu, twierdzili jednogłośnie, że nigdy przedtem w ich mieście nie oglądano równie pięknej pary.

Niedługo po naszym przybyciu nadeszły wieści o galeocie. Dotarła ona do Filipin, lecz tam straciła orientację. Przepluwając tuż obok wysypki zwanej Camiguin, leżącej u północnych wybrzeży Mindanao, załoga zobaczyła na brzegu psa, a przywiedziona była do takiej ostateczności, że jeden z majtków skoczył za burtę wołając, iż zabije go i zje na surowo, jak przystało na wiernego poddanego króla Filipa. Kilku krajowców nadeszło w chwili, gdy pił krew wprost z psiej gardzieli; przejęci zdumieniem, odwieźli go na galeotę barangiem naładowanym prowiantem, potem zaś wskazali kapitanowi Corzo drogą do misji jezuickiej w Layavan. Zacni ojcowie, szczerze ich ugościwszy, zaprowadzili ich przed sędziego prowincji, który na życzenie kapitana zaarrestował pięciu majtków i odesłał ich pod eskortą do Manili. Sekretarz doktora Antonia Morgi, naszego wicegubernatora, był tak uprzejmy, że pokazał mi list sędziego tyżący się tych więźniów. List ten brzmiał:

Ekscelencjo,

Do naszego portu wpłynęła właśnie, wywiesiwszy królewski sztandar, galeota „San Felipe”, znajdująca się pod dowództwem niejakiego kapitana Corzo, którego zachowanie się i język są jednakowo niepoahomowane, lecz którego przyjąłem z szacunkiem należnym jego randze. Twierdzi on, że burza oddzieliła galeotę od flotylli generała Alwara de Mendaña, która przed rokiem wypłynęła z Peru na poszukiwanie mitycznych Wysp Salomona. Jeżeli pozostałe okręty dopłynęły do Manili, Ekscelencja będzie wiedział o tej sprawie więcej ode mnie. Pięciu majtków, których Ekscelencji odsyłam, ich kapitan oskarża o bunt; nie podjąłem jednak przeciwko nim żadnej dyscyplinarnej akcji, ponieważ twierdzą, że ich jedynym przestępstwem był protest przeciw jego samowolnemu opuszczeniu okrętu flagowego.

Kapitan Corzo z biegiem czasu doprowadził galeotę „San Felipe” do Manili, gdzie po oporządzeniu osiągnęła wysoką cenę.

Dziwnym trafem fregata „Santa Catalina” również z czasem dotarła na Filipiny: znaleziono ją ugrzęzłą na wybrzeżu Leyte, z postawionymi żaglami, z pokładem niemal zalanym wodą i z całą załogą wymarłą już i zgniłą. Nigdy natomiast, od owego dnia do dziś, nie posłyszano więcej o galeonie „Santa Ysabel”.

Większość niedobitków naszej wyprawy osiedliła się na Filipinach, a wszystkie wdowy wyszły powtórnie za mąż wobec wielkiego braku kobiet hiszpańskich w tych stronach. Doña Luiza została żoną kupca handlującego kością słoniową; bywam częstym gościem w jej domu nad brzegiem rzeki Pasig, a jej córka po Juanie de Buitrago mówi do mnie „wuju”. Damian wybrał sobie Panczę za oblubienicę, ale zdradzała go haniebnie, więc ją rzucił. Jaume ożenił się z Elwirą, która okazała się dobrą żoną, chociaż jej język nie spoczywa ani na chwilę. Juarez umarł w lazarecie w Cavité, Matia zaś, zdjęty głębokim żalem po jego śmierci, postanowił wstąpić do zakonu; to samo uczynili sierżant Andrada i pomocnik zbromistrza, i Federico. Po krótkim okresie szkolenia wysłano ich do tej lub owej z odległych misji na tych wyspach, gdzie zakonnik bywa jedynym Hiszpanem w promieniu wielu mil i odgrywa rolę dobrotliwego despoty wśród dzikich ciągłych krajowców.

Ja jestem obecnie sędzią prowincji, mam wygodny dom, a w kieszeniach moich pobrękuje niemało srebrnych monet. Kraj ten podoba mi się bardziej od Peru, jak i od Nowej Hiszpanii, gdyż pacyfikacji jego dokonali księża raczej niż żołnierze i jego mieszkańcy rządzeni są po ojcowsku. Nie mamy tu kopalni srebra, tych grobów ludzi umarłych za życia, a zakonnicy prowadzą pilnie swoje dzieło, choć istnieje wiele zawiści pomiędzy poszczególnymi zakonami. Groźba inwazji japońskiej zdaje się należeć do przeszłości.

W następnym roku Pedro Fernandez przewiózł donię Izabelę i jej męża przez Pacyfik do Nowej Hiszpanii. Ona byłaby niewątpliwie

wolała innego nawigatora w kapitańskiej kajucie, on inną generałową w generalskiej, a oboje - inny okręt niż „San Geronimo”; ale zmusiła ich konieczność. Ponieważ ostatnio, ze względów oszczędnościowych, dekret królewski ograniczył ruch między Filipinami a Nową Hiszpanią do dwóch statków rocznie w każdym kierunku, wobec czego nie było łatwo o przejazd nawet za bardzo wysoką opłatą, oraz ponieważ królewski patent doni Izabeli uprawniał ją do wysyłania jednego okrętu rocznie ze swojej prefektury do Nowej Hiszpanii, don Fernando postanowił wyposażyć na nowo „San Geronimo”, naładowywać go korzeniami i chińskimi towarami i pożeglować na nim; a Pedro Fernandez był jedynym biegłym nawigatorem, który zgadzał się na podróż o tak późnej porze roku - różne sprawy zatrzymały ich bowiem aż do sierpnia. Po niewiarygodnych niemal nowych trudach i przeciwnościach dowiózł ich szczęśliwie do portu Acapulco, gdzie zeszedł na ląd 11 grudnia 1597 roku, pożegnawszy się z don Fernandem i donią Izabelą, którzy zarobili na swoim ładunku blisko pięćdziesiąt tysięcy pesos. Don Marcos popłynął z nimi jako bosman, ale pod koniec drogi fala zmyła go z pokładu; Boże, daj wieczny odpoczynek jego zacnej duszy!

Gdy Pedro Fernandez przybył do Limy w maju 1598 roku, zastał żonę i syna w dobrym zdrowiu, jak również córeczkę, urodzoną niedługo po naszym odjeździe, już umiejącą chodzić i mówić; wkrótce jednak opuścił ich ponownie, udając się z pielgrzymką do Rzymu. Doszły mnie pogłoski, że doña Ana przyprawiła mu rogi z zemsty za długą nieobecność i pośpieszny wyjazd, niezadowolona zarówno ze swego ubóstwa, jak z religijnych wymówek, jakimi się zasłaniał.

Nie ujrzałem go nigdy więcej. O jego późniejszej wyprawie na Morza Południowe istnieje wiele sprzecznych relacji i nie mogę tu autorytatywnie o niej pisać. Zdaje się, że usiłował ustrzec się błędów popełnionych w poprzedniej podróży; nie wystarczyło mu jednak wziąć ze sobą kilku franciszkanów i nie mieć ani jednej kobiety na pokładzie

swoich dwu niewielkich, dobrze zaopatrzonych statków; nie wystarczyło zainstalowanie na każdym z nich pomysłowej maszyny własnego wynalazku do destylowania świeżej wody ze słonej; ani wreszcie otrzymana od Ojca Świętego¹ specjalna dyspensa, na mocy której każdy uczestnik wyprawy, umierający bez księdza, mógł się wypowiadać bezpośrednio Bogu. Musiał wciąż jeszcze walczyć z duchem wojowniczej pychy, zawiści i okrucieństwa wśród swoich żołnierzy; poza tym rozmaite opóźnienia w Callao spowodowały stratę przeszło dwóch miesięcy dobrej żeglarskiej pogody; a na nowo odkrytej wyspie Espiritu Santo zachorował akurat w chwili, kiedy jego autorytet najbardziej był potrzebny do stłumienia rozruchów. Przedsięwzięcie spaliło na panewce, jego wysiłki, aby podjąć je na nowo, zostały utracone przez Radę do Spraw Indii i dwa lata temu zmarł w Peru jako człowiek złamany. Zastanawiałem się nieraz, w jakim stopniu ożywiła go chęćliwa żądza odkryć raczej niż katolickie pragnienie zbawiania dusz; lecz kiedy człowiek próbuje ustrzelić z procy dwa ptaki na tej samej gałęzi, jego pocisk bardzo często przelatuje pomiędzy nimi.

¹ Klemensa VII.

Niech mi będzie wolno na koniec napisać o doni Izabeli. Zdziwiająca to rzecz, że skoro tylko poślubiła generała don Fernanda, jej charakter odmienił się zupełnie: stała się hojna, wierna, prawdziwie pobożna i zyskała sobie miłość wszystkich swoich przyjaciół i sług. Przeobrażenie to należy przypisać nieskończonemu miłosierdziu boskiemu oraz serdecznej miłości jurnego, szczęśliwego męża, co spłodził z nią dzieci, do których od tak dawna tęskniła, przeciwstawił męską stanowczość dziecinnym kaprysom i odciągnął ją od towarzystwa don Luisa, jedyne go brata, jaki jej pozostał. Don Diego bowiem dawno już zginął w karczemnej burdzie z rąk rozgniewanej młodej Indianki, która, uzbrojona w nożyce, najpierw obcięła mu ucho i czubek nosa, a potem oba ostrza wbiła mu głęboko w brzuch.

EPILOG HISTORYCZNY

W roku 1606 Pedro Fernandez, dzisiaj znany przeważnie jako Pedro de Quiros, zmuszony został przez przeciwne wiatry i bunt do wycofania się z Espíritu Santo, wyspy z grupy Nowych Hebrydów, którą kolonizował w przekonaniu, że stanowi częśćkę północnego wybrzeża „Australii”. W powrotnej drodze do Acapulco w Meksyku znów przełynął o parę godzin żeglugi od Wysp Salomona, lecz być może dlatego, iż generał Fernando de Castro i doña Izabela przestrzegli go, aby nie wkroczał w ich prawa, ominął je z daleka. Jego zastępca Torres, którego pozostawił na łasce losu, pożegłował na zachód w stronę Filipin przez cieśninę obecnie noszącą jego nazwisko, odkrył wschodni kraniec Nowej Gwinei i zobaczył z daleka australijski półwysep York, który począł za wyspę.

Era ekspansji hiszpańskiej zakończyła się teraz ogólnonarodowym bankrutem i choć Pedro Fernandez słał memoriał za memoriałem do nowego króla, błagając go o sfinansowanie jeszcze jednej wyprawy misyjnej, nigdy nie urzeczywistnił swoich nadziei.

Wyspy Salomona pozostały niezbadane niemal przez dwa stulecia od chwili, kiedy odkrył je po raz pierwszy Alvar de Mendaña. W roku 1767 kapitan Carteret z „Jaskółki” ujrzał je z daleka płynąc przez Pacyfik, dopiero co odkrywszy ponownie Santa Cruz, ale nie rozpoznał grupy, ponieważ Gallego w swoim beznadziejnie niedokładnym dzienniku pokładowym umieścił je o przeszło tysiąc dwieście mil dalej na wschód. Nie rozpoznali ich także Francuzi Bougainville i Surville, którzy przybyli tam - pierwszy w 1768, drugi w 1769 roku. Dopiero geograf Buache ustalił ich tożsamość z wyspami Mendani we wspomnieniach opublikowanych w roku 1781.

Żadnej nowej próby nawrócenia mieszkańców tych wysp nie podjęto aż do roku 1845, kiedy to katolicki biskup Magister Epalle wylądował tam wraz z osiemnastoma ojcami marianami; został jednak zaraz pierwszego dnia zamordowany i obrabowany ze swego krzyża, pierścienia i szat liturgicznych i w roku 1848 misji poniechano. Anglikańscy biskupi z Melanezji mieli więcej szczęścia, choć niektóre wioski do dziś są pogańskie, a zarówno główne Wyspy Salomona, jak ich południowa grupa, do której zalicza się Santa Cruz, znajdują się obecnie pod brytyjską flagą.

Położenie Markizów Hiszpanie długo utrzymywali w tajemnicy, nie chcąc, aby wpadły w ręce Anglików, ale kapitan Cook odkrył je ponownie w roku 1774. Od czasu zaanektowania ich przez Francuzów w roku 1842 ludność ich zmniejszyła się o cztery piąte; Herman Melville podaje sielankowy, lecz wiarygodny obraz prymitywnego życia krajowców na Dominice w swoim *Typee, czyli opisie czteromiesięcznego pobytu wśród krajowców w pewnej dolinie na Wyspach Markizach*.

SPIS TREŚCI

Uczestnicy wyprawy wymienieni z nazwiska	5
Słowo wstępne	11
I Ślepa dziewczyna z Panamy	15
II Audiencja u wicekróla	28
III Bagaże wikariusza	45
IV Wyjazd z Callao	61
V Co się zdarzyło w Cherrepé	82
VI Co się zdarzyło w Paicie	97
VII Na pełnym morzu	116
VIII Wyspy Markizy	136
IX Pułkownik szuka przystani	151
X Krzyż na Santa Cristina	165
XI San Bernardo i Samotna Wyspa	185
XII Pożegnanie z admirałem	203
XIII Zatoka Łaskawa	219
XIV Wybuch	238
XV Założenie osiedla	255
XVI Pułkownik mówi, co myśli	272
XVII Malkontenci	290
XVIII Z Malopem po żywność	307
XIX Mord	323
XX Zaćmienie	344
XXI Porzucamy osiedle	361
XXII Przez równik na północ	382
XXIII Głód i pragnienie	399
XXIV Zatoka Cobos	415
XXV Ostatnie sto mil	432
XXVI Dobrzy ludzie z Manili	445
Epilog historyczny	454